



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

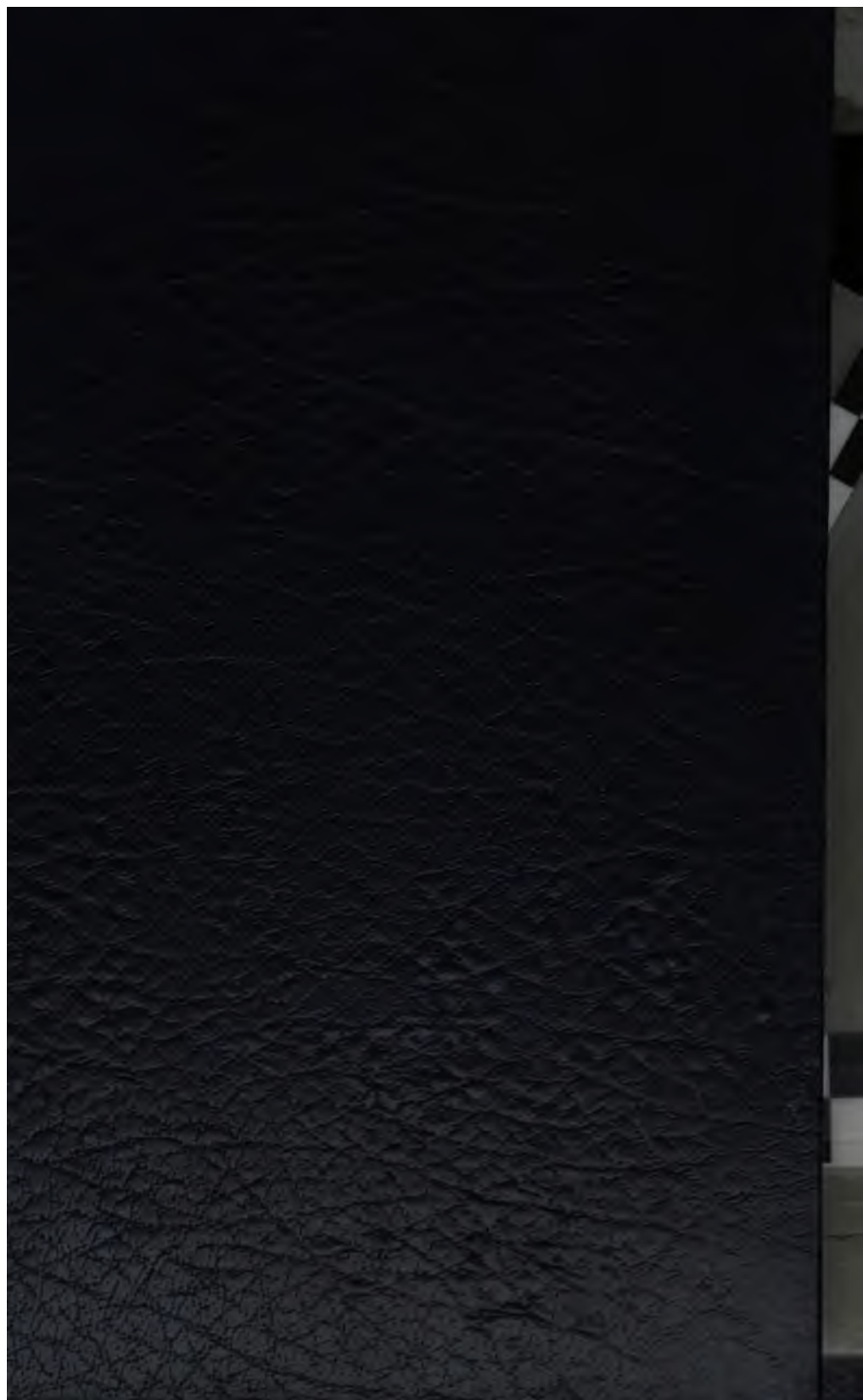
Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>






STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES





Z PRZESZŁOŚCI DZIEJOWEJ

I



ANTONI MAŁECKI

Z PRZESZŁOŚCI DZIEJOWEJ

POMNIEJSZE PISMA

TOM I.



KRAKÓW
NAKLAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI
WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
1897

STANISŁAW
LIEBOWITZ

DK 4200
M3



REWIZYA DZIEJÓW POLSKICH

w pierwszych dwóch wiekach politycznego istnienia.

962—1146.

~~~~~  
**Rzecz pisana i ogłoszona w r. 1875 w »Przewodniku naukowym  
i literackim«, w kilku artykułach, opatrzonych tam innym tytułem.**  
~~~~~

Primam esse historiae legem, ne
quid falsi dicere audeat, deinde ne
quid veri non audeat; ne qua sus-
picio gratiae sit in scribendo, ne
qua simultatis.

Słowa Leona XIII, powtórzone za Ciceronem.

Początków Polski, jako państwa i narodu przed przyjęciem chrześcijaństwa, nie udało się dotąd rozświecić najmozolniejszym poszukiwaniom. I tak to pewnie pozostanie na zawsze. Dla domysłów otwarte pole — pewności nie będzie nigdy, skoro świadectw historycznych, ani współczesnych tym wiekom ani nawet bliskoczesnych, co do narodu naszego nie dostarcza nam żadna postronna literatura. Własne nasze podania narodowe weszły wprawdzie dość wcześnie w treść kronik; ile w nich jednak prawdy dziejowej, a co tylko płodem wyobraźni potomnej albo co gorsza erudyty zbłąkanej, tego w szczegółach po dziś dzień nikt nie potrafi rozeznać. W najlepszym razie — kilka imion prawie mitycznych, garstka zdarzeń ubocznego znaczenia, bynajmniej nie rzucająca światła na główną istotę rzeczy — oto wszystko, co z tego źródła do historii przyjąćby można jako prawdopodobne.

Podczas gdy zawiązek zakrytego tego na długie jeszcze czasy przed okiem sąsiadów państwa ustalał się i rozmażał na wielkopolskich równinach: wrzała na dobre już walka plemion, lepiej w dziejach zapamiętana, u brzegów Elby. Kraje środkowej Europy,

dzisiaj niemieckie, począwszy od rzeki Sali i Elby aż po za Odrę, równie były wtedy obsiadłe słowiańskim ludem, jak dalsze ku wschodowi przestrzenie, które przerzyna Warta i Wisła. Umiejętny rozbiór ostatnich szczątków mowy wygasłego tego już od dawnych wieków plemienia upoważnia do przypuszczenia, że była to ludność — przynajmniej w odłamach swoich północnych — narzeczem swoim bardzo zbliżona do fonetycznego organizmu polskiego. Świadomości wszelako o rodowem pokrewieństwie swoim, czy to z sąsiednią Słowiańszczyzną, czy choćby tylko pomiędzy sobą, równie nie miały rozdrobnione owe ludziszczą, jak im zbywało na jednej narodowej nazwie dla całego swego ogółu. Jeżeli zaś było w nich jakie zamglone tej plemiennej pokrewności poczucie, to nie miało ono żadnych następstw praktycznych, nie kierowano się niem zgoła w pożyciu. Odwiecznym obyczajem słowiańskim, w tej stronie świata jakby do wyższej podniesionym potęgi, separatyzm i samowola jednostek, odrębność gmin, luźność poszczególnych ciał politycznych, antagonizm wreszcie książątek nad nimi panujących, stanowił tu główną podstawę całej egzystencji społecznej. Wygórowane zamięłowanie w wolności wykluczało wszelką możność podporządkowania spraw poszczególnych pod władzę jakiejś większej całości; wskutek czego tworzyła cała ta rzesza Słowian mnóstwo kraików, które się z sobą ciągle wadziły, a łączyły jeden z drugim chyba dopiero w razie ostatecznego niebezpieczeństwa — bez skutku jednak i bez pożytku, bo się to działo tylko częściowo, dorywczo i bez planu stałego, a co gorsza, prawie zawsze wśród działania na przekorę drugim takimże tylko dorywczym federacyom, uwodzonym i wyzyskiwanym przez każdego z postronnych panujących, który w tem upatrywał korzyść dla siebie.

Zrządziła to szczególna ironia losu, że ta prawdziwa ruchawica społeczna właśnie graniczyła o ścianę

z takim w Europie plemieniem, które celuje instynktami wręcz przeciwnymi, a w zachłanności rasowej nie ma sobie w świecie równego. Do tej żądzy zaborczej, wrodzonej już krwi germańskiej, łączyła się w tamtych wiekach jeszcze i wyższa, rzecz można historyczna idea — wiara w posłannictwo cesarstwa.

Z mocy praw przez stolicę apostolską w roku 800 przelanych na Karola W. miało cesarstwo zachodnie zdane sobie zadanie, rozciągnięcia najwyższego swego zwierzchnictwa na wszystkie w świecie narody, a otrzymało onę misję w tym celu, aby przez to, na świat cały jedno zwierzchnictwo świeckie zaprowadzać we wszystkich krajach i przywracać i utrzymywać jedność kościoła katolickiego. Jakkolwiek prawo to cesarskie rozumieć się miało w jak najuniwersalniejszym sensie, to jednak wynika już z samej natury rzeczy, że mogła mieć ta idealna teoria praktyczne zastosowanie tylko względem ludów bezpośrednio graniczących z cesarstwem, a między tymi znów przede wszystkim względem społeczeństw jeszcze nie nawróconych, którym się żadnych praw międzynarodowych i ludzkich nie przyznawało, a pomiędzy takimi wreszcie społeczeństwami miała ta teoria najwięcej praktycznego znaczenia względem — najsłabszych. Takimi byli pod wszystkimi tymi względami właśnie Słowianie. To też już za czasów tego pierwszego cesarza Franków począł się podbój Słowiańszczyzny na całej linii granicznej rozległych dzierżaw frankońskich. Na razie wprawdzie nie mogło to przedsięwzięcie na wszystkich punktach wydać skutku trwałego. Od strony mianowicie północnej, właśnie w tych krajach między Odrą a Elbą, sprawa ta długo nie posuwała się z miejsca, rzecz bowiem przechodziła słabe siły rozdwojonych i niezgodnych pomiędzy sobą spadkobierców władzy Karola W. Lecz później — w wieku X — podjęto tę myśl na nowo i przystąpiono do niej z uporem i wysiłkiem odpowiednim trudności przedsięwzięcia. Henryk I cesarz niemiecki w różnych

latach panowania swojego (919—936) zagarnął dzielnicę Wagrów (dzisiejszy Holsztyn), Obotrytów-Ratarów (disiejsza Meklemburgia), Lutyków-Wilków (kraj od Berlina począwszy aż do Gryfii), Hawelan czyli Heweldów (ziemia brandeburska w zakręgu rzeki Haweli): i nie poprzestając na podboju tego szerokiego szmatu ziem różnych słowiańskich między Bałtykiem, dolną Odrą, Elbą, Hawelą i Sprewą (Szpreją) — położył ciężką dłoń swoją i na karkach odłamu Słowian serbskim nazywanego, z południa rzek Haweli i Szprei, tak iż mu trybut składać musieli także Milczanie (w górnych Łużycach, około Budyszyna) i Dalemińcy (na przestrzeni dzisiaj saskiej, między Merseburgiem, Lipskiem, Miśnią i Dreznem). Tak więc przeszła cała niemal ziemia połabska, jak ją dzisiaj konwencyjnie nazywają starożytnicy, w południowo-wschodnim kierunku sięgająca aż do granicy czeskiej i szląskiej, pod zwierzchnictwo niemieckie już w tych pierwszych kilkudziesięciu latach X stulecia.

Jakkolwiek brzemień tego zwierzchnictwa nie dawało się w pierwszych czasach czuć nad miarę uciążliwie — podwładność bowiem Połabian kończyła się jeszcze wtedy na płaceniu cesarzowi trybutu, w sprawy wewnętrzne księstw słowiańskich się nie mieszano, władze narodowe przy sterze nad nimi pozostawiano i nadal, nawet pod religijnym względem nie wywierano jeszcze nad nimi stanowczego przymusu: to jednak pamięć dawnej nieograniczonej swobody nie dozwalała ludom tym znosić i takiego ciężaru. Ponawiały się przeto często bunty to tu, to owdzie wszczynane, które jednak nie miały skutku.

Śmierć Henryka I w r. 936 dała hasło do groźniejszego, bo powszechnego powstania Słowian na całej owej przestrzeni krajów. Skończyło się wszelako i tym razem na przytłumieniu tych usiłowań odzyskania niepodległości. I teraz-to weszła dopiero ta sprawa w stadyum prawdziwie groźne i dotkliwe dla tych pokona-

ných narodów: Otto I, następca Henryka I, powziął bowiem postanowienie doraźnego, przymusowego nawrócenia tych pogan na wiarę chrześcijańską; krom tego uznano także potrzebę wzięcia ich i politycznie pod stały zarząd dostojników niemieckich. W tymto celu założono dla nich już z góry, jeszcze przed nawróceniem, kilka nowych biskupstw słowiańskich, a z drugiej strony zaprowadzono i tutaj ów rodzaj nowożytnych prokonsularnych organizacyi, jakie w państwie frankońskiem ze skutkiem zawsze pomyślnym z dawien dawna, gdzie tego była potrzeba, ustanawiano pod nazwą marchii, czyli hrabstw pogranicznych.

Biskupstwa takie słowiańskie powstały wtedy w Starogrodzie (Altenburg), jako mieście największej wysunięciem na północ; w Hawelbergu i Braniborze (dzisiejszy Brandenburg), jako grodach najznaczniejszych w pośrodku ziemi słowiańskiej; nakoniec w Merseburgu, Życz (Zeitz) i Miśni (Meissen), jako głównych osadach serbskich Słowian z południa. Czas założenia tych sześciu biskupstw przypada na lata między rokiem 946 a 968. W tymże roku 968 stanęło wreszcie i centralne arcybiskupstwo w Magdeburgu, któremu całą tę kościelną organizację wraz z zadaniem kierowania sprawami nawrócenia tych ludów, oddano w zawiadowanie zwierzchnicze.

Pierwej jeszcze nim weszły w życie te instytucye kościelne, przeprowadzono zamierzone polityczne reformy, dzieląc obszary słowiańskie między dwiearchie. Kraje Wagrów, Obotrytów, Ratarów, Lutyków i Wilków (odpowiadające dzisiejszemu Holsztynowi, Meklemburgii i tak zwanemu Vorpommern) przezwano Północną archią i dano ją w zawiadowanie księciu saskiemu Hermanowi Billingowi, jako cesarskiemu margrabi. Resztę ziemi połabskiej, łącznie z Hawelbergiem i Braniborem, nazwano archią Wschodnią, zarząd zaś nad nią otrzymała znana i w naszej narodowej historii osobistość — margraf Gero.

Działalność tych dwóch urzędów ustalać się zaczęła jeszcze około r. 940. Pod politycznym względem zdawała się ona zrazu zupełnie odpowiadać skutkom oczekiwanym, szczególnie w zakresie władzy Gerona, który nie tylko umiał utrzymać w karbach burzliwość i niechęć Słowian sobie podwładnych, ale nawet szerzył jeszcze krwią i żelazem coraz dalej ku wschodowi przewagę cesarskiego imienia. Inaczej zato wiodło się Niemcom pod względem religijnym. Tu wysilała się i żarliwość i zmyślność księży do opowiadania słowa bożego użytych bez skutku, a to nie tylko w obrębie marchii Północnej, lecz nawet i w Geronowej. Odwieczne bałwochwalstwo Słowian zapuściło było zbyt głęboko korzenie. Pozorne z razu tu i owdzie postępy chrześcijaństwa opierały się jedynie na grozie towarzyszącego im niemieckiego oręża i zniknęły też natychmiast za pierwszym podmuchem okoliczności przyjaznych. Przyszło do tego, że krzyż misyonarza i miecz najezdcy zaczęto na całej tej krajów przestrzeni uważać za godła tejsamej rzeczy i że je obydwaj zarówno znienawidzono. Miecz wymuszał sobie uznanie, bo rady na to nie było, ale krzyża nie przyjmowano, bo ducha okuć w więzy niełatwo. To też po kilkunastu już latach tej gospodarki marchijskiej, skończyły się rzeczy na tem, że propaganda miecza stała się nie tylko głównym, ale niemal jedynym celem wytkniętego tutaj działania, nie przebijającego już w środkach i poczynającego sobie ze wszystkimi bezwzględnościami walki rasowej; a zamiary nawrócenia obróciły się w pretekst tylko do nieustannych zaczepek i do tem większego ciemnienia podbitych.

Powiedzieliśmy wyżej, że wschodni margrabia Gero pruł się w stronę ku wschodowi coraz dalej i coraz głębiej w tę dzicz lasów i społeczeństw dziewiczych, znacząc w niej krwawą swą ręką coraz szerszą linię graniczną cesarstwa. Po 20 z górą latami takiego niezmordowanego karczunku, dorąbał się wreszcie

progu starego domostwa, którego dotąd nie przestąpiła stopa żadnego z tej strony przywłaszczyciela, przekroczył kresy dziedzictwa narodowego takiej ludności, o której dotąd świat zachodni nie słyszał nawet z nazwiska. W wrogu naszym i najeźdźcy, mimo woli jego i naszej, upatrywać dziś musimy ową osobistość opatrznosciową, która dała hasło Polanom do wystąpienia z odwiecznego ukrycia i historycznego letargu na jasną widownię politycznego i cywilizacyjnego w świecie działania.

Wypadek, do którego się tu odnosimy, zaszedł w r. 963. Wyprawa Gerona owego roku została uwieczniona szczególnym plonem. Wspomagany w niej krom własnych swoich zastępów pomocą walecznego Wichmana, krewniaka domu w Niemczech panującego, awanturnika prześladowanego w własnej ojczyźnie i dobijającego się teraz jakiego księstwa dla siebie w tym świecie niezajętym jeszcze kulturą — zagarnął Gero w obręb swej marchii nie tylko niezawisłą jeszcze dotąd część Łużyc (dzisiejszą dolną czyli pruską Łuzycę), ale i przyległy kraik jakiś Selpuli (prawdopodobnie okolica między Odrą a Szpreją, obejmująca dzisiejsze miasta Mittenwalde, Kottbus, Zossen, Storkow i Fürstenwalde). Owoż przy tejto sposobności spotkał się marchion niemiecki już na prawem pewnie pobrzeżu Odry, gdzieś między dzisiejszym Frankfurtem a Kistrzynem, z siłą zbrojną władcy Polan, który mu tutaj zastąpił drogę, aby położyć kres dalszemu jego wdzieraniu się w obcą własność. Władcą tym był nasz Mieczysław I czyli jak go nazywali współcześni, Mieszko, naczelnie panujący nad Polanami. Szczęście wojenne w tej potrzebie potuszyło broni niemieckiej. W kilku bitwach pokonany został nasz Mieszko razem z braćmi, którzy go posiłkowali w tej wojnie. Wskutek tych zwycięstw Wichmana i Gerona, owa część kraju polskiego, która bezpośrednio dotykała tamtej zdobyczy (a więc pewnie mniej więcej okolica lubuska

i kistryńska), od granicy kraju Selpuli aż do uścia Warty do Odry, ogłoszona teraz została za włość podwładną cesarstwu i marchii Geronowej, a Mieszko zobowiązać się musiał do płacenia danin z tej ziemi¹⁾.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, wypadek, który wdzierstwu niemieckiego marchiona otwierał bramę do krajów polskich i pod każdym względem zdawał się być wielką klęską tego narodu — miał się niezadługo okazać zdarzeniem zupełnie przeciwnych następstw. Ani wątpić, że onto głównie przyspieszył ów obrót rzeczy wiekopomnego znaczenia, któremu Polska wszystko czem została później, zawdzięcza.

Księżę polski nie poszedł bowiem, jak się pewnie Gero tego spodziewał, za przykładem zaślepionych swych pobratymców zachodnich, których smutne położenie miało i jemu teraz przypaść w udziale. Odgadł szczęśliwym instynktem, że ten bój o nierównych zasobach prędzej czy później skończyć się musi zniszczeniem jego dziedzictwa, a upor przy pozbawionym już żywotności systemie religijnym, tylko przyspieszy czas tej zagłady. Tradycje nasze narodowe (postrzyżyny cudowne Ziemowita i t. p.) dają nam wglądnąć w wewnętrzny nastrój ówczesnej ludności polskiej. Pierwszy posiew chrześcijaństwa już tam musiał być rzucony. Przygotowanie umysłów do przyjęcia nowej

¹⁾ Wzmiankę Diethmara o zobowiązaniu się Mieszka do składania daniny aż po Wartę, rozumiem, rozpatrując się w zaborach dokonanych owego czasu przez Gerona, tylko o samym uściu tej rzeki w łożysko Odry w okolicy pobojuwiska. Boć o całej rzece Warcie (aż do Poznania lub Kromolowa) myśleć tu dlatego zdaniem mojem nie można, że w takim razie trudnoby było pojąć, dlaczego nie nałożono na pokonanego księcia trybutu z całego jego księstwa — nawet za Wartą? Zdobycze marchiona szły powoli, krok za krokiem — zato tem pewniej. Przy owej sposobności zagięto kartę tylko na to, na czem faktycznie ręka jego spoczęła i co zdawało się koniecznem do zaokrąglenia posiadłości zdobytych. Nie wykluczało to jednakże bynajmniej widoków i na dalsze jeszcze w późniejszych latach postępy.

wiary — już panującej nad światem, musiało od dawna zrobić postępy w tem społeczeństwie, nie drażnionem przez żaden przymus i pozostawionem sobie samemu. Chodziło tylko jeszcze o jakąś pobudkę z zewnątrz, o jakieś hasło głośniejsze, aby idea kielkująca w umysłach, przybrała ciało i stanęła na gruncie rzeczywistości. Stary Ziemomysł, jeśli rzeczywiście zgodnie z tradycją tak się nazywał ojciec Mieszka, nie chciał i nie mógł być nowatorem w tej sprawie. Zostawił on powalenie bałwanów, z których czcياً zrósł się całem swem życiem, przyszłości dalszej, ręce młodszej, woli zuchwalszej i mniej krępowanej okolicznościami. Taka chwila, taka pobudka, stanęły w r. 963 przed młodym Mieszkiem, który jako świeży władca narodu miał w tej mierze przed sobą wszystkie drogi jeszcze otwarte. Dodajmy do tego, że mógł tu znaczyć niemało i przykład tego co się działo i stało dawno gdzieindziej. Mogły wprowadzić nie być nad Gopłem i Wartą wiadome nawrócenia różnych ludów słowiańskich, od wieków już dokonane, o ile one dotyczyły krajów odległych. Takimi byli Słoweńcy korutańskiego odłamu, pod niemieckimi najczęściej zostający książęty; takimi Słowianie macedońsko-traccy, kolonizacyjnie rozrzucony w obrębie bizantyńskiego cesarstwa; takimi wreszcie Chorwacowie nad Sawą i na nadbrzeżu Adryatyckiem — którzy wszyscy poprzehodzili na chrześcijaństwo jeszcze w ciągu VII i VIII stulecia; takimi Serbowie naddunajscy, którzy to samo uczynili mało co później; takimi nakoniec Bułgarzy, których wnijsie na tę drogę zaszło jeszcze w IX wieku. O tych wszystkich nawróceniach mogło jeszcze wtedy nie być ni słyhu w tem ustroniu środkowej Europy, które było naszą kolebką. Ale o Morawianach pozyskanych nowej wierze w samym początku IX stulecia, a w następstwie tego rozslawionych z przewagi swej politycznej i w dalszym świecie, o Czechach, którzy poszli za tym przykładem o jakie pół wieku

później — o tych obu społeczeństwach i przesileniu w całym ich politycznym ustroju z tego wynikiem, musiał współcześnie już być powiadomiony nasz naród, boć przecie albo ościennie graniczył z tymi ludami albo z nimi utrzymywał pewne wzajemne stosunki. Morawian świetność wprawdzie, i nawet byt polityczny, przeminęły potem zbyt wcześnie — w latach, które tu mamy przed sobą, dzicz już madiarska zalegała opaloną ich ziemię. Ale Czesi używali błogich skutków swego sojuszu z Kościołem nawet po rozbięciu ostatnich szczątków państwa Morawców w roku 907, a co w tym razie ważniejsza, mieli mir i spokój ze strony Niemiec, o ile chyba sami nie dawali powodu do przeciwnego z nimi postępowania. Prawda, że stosunek ten okupili dobrowolnem w roku 895 oddaniem się pod opiekę cesarstwa, które później (w r. 950) księżę czeski Bolesław I już z konieczności na nowo zaprzysiąć musiał. Lecz skutki tego stosunku, zwłaszcza począwszy od r. 950, nie okazywały się bynajmniej pozbawionymi znacznych skądinąd korzyści — owszem porównane z rozpaczliwem położeniem połabskich Słowian, którzy stali uporeczywie przy bałwochwalstwie, a ciężki ucisk niemiecki tylko z musu znosili, poczytywane być mogło za dobrodziejstwo prawdziwe... Księżę czeski wolny przynajmniej był od obelg i napaści tej rojnej rzeszy niemieckich hrabiów i książąt, która na gruncie słowiańskim sądziła się uprawnioną do pełnienia wszelkich nadużyć. Na równi postawiony z nimi wszystkimi, poważany w radzie cesarskiej, w której niekiedy sam uczestniczył, miał w cesarzu, bezpośrednim swoim zwierzchniku, przedewszystkiem punkt oparcia przeciw nieokreślonym pretekstom wdzierstwa takich jak Wichman obcych przybłędów, a nadto miał i rękojmię przeciw tradycyjnemu wichrzycielstwu własnych swoich poddanych. Powaga jego monarsza rosła, a z nią razem też zasobność, oświata i ład społeczny w tym kraju, tak nieskończenie już wtedy wyższym od Sło-

wiańszczyzny pogańskiej, czy to między Elbą a Odrą, czy w posiadłościach Mieszkowych.

Takiemito pobudkami wiedziony, nie mówiąc już nic o czysto-religijnych podniętach, tak potężnie działających zawsze w chwilach podobnych, postanowił Mieszko po zdarzeniach r. 963 zając względem Kościoła i cesarstwa to samo poniekąd stanowisko, co Czesi, a przeprowadzenie tego zamiaru dokonało się w czasie stosunkowo nader szybkim, widocznie przy pomocy i z poręki księcia czeskiego Bolesława I. Ślub z córką jego Dubrawą zaszedł już w r. 965, chrzest Mieszka z całym jego narodem odbył się w roku następnym, a w r. 968 weszło już w życie i urządzenie kościelnych stosunków w Polsce przez biskupstwo własne krajowe, założone w Poznaniu, którego przynależność do metropolii słowiańskiej, t. j. do magdeburgskiej, orzeczona już w chwili samego założenia tegoż biskupstwa, niezawodnie w porozumieniu z cesarzem Ottonem I, wynika niewątpliwie z dokonanego już poprzednio poddania się Mieszka cesarstwu jako księcia chrześcijańskiego.

W takito sposób i od tej chwili poczęła Polska wątek swego politycznego żywota. Dobrowolnie, bez niczyjego przymusu, z pobudek leżących w samych okolicznościach, obrała sobie drogę swoją i kierunek działania, z którego nigdy później nie zeszła — przyłączyła się do grona państw Europy zachodniej, jako córka Kościoła rzymsko-katolickiego i zwolenniczka wszystkich idei, które się przesunęły w kolei wieków ponad tym łacińsko-germańskim światem. W szeregu pracowników około wolności, cywilizacyi i światła, stała jako ochotnik — równy równym. Od tej też pory dopiero zwróciła się uwaga dalszego świata na tego nowego uczestnika pracy i trudu, tak iż akta jego działania zaczęły być zapisywane w wielkim protokółe dziejowym już od tej pory pamiętnej — nasamprzód

ręką postronnych, a niezadługo potem i ręką własnych krajowców.

Mając śladem tych notatek podążyc za dalszym tokiem żywota narodowego, rozpatrzmy się przede wszystkim w zasobach, o jakich się ta epoka zaczęła.

Na wstępie samym spotykamy się z pytaniem, co znaczyła zwierzchność cesarstwa niemieckiego, uznana przez Mieczysława? Czy to było oddanie się w lennictwo?

Lennikami cesarstwa byli tylko książęta »państwa rzymskiego« trzymający to co mieli, z nadania cesarskiego i na pewnych umówionych warunkach. Dopiero w r. 1002 weszli w ten stosunek poniekąd także i Czesi (przez akt odnośny Włodoweja, księcia czeskiego). Stosunek Polski za Mieszka I, równie jak Czech przed r. 1002, był zupełnie innej natury. Podług panującej w tamtych wiekach teorii politycznej, wszyscy książęta świata katolickiego byli uważani za podporządkowanych, a więc za podwładnych cesarzowi rzymskiemu. Dla państw daleko oddalonych, jak np. Hiszpania, dla morzami odgrodzonych, jak Anglia, dla silnych i do odporu gotowych, jak Francya albo też Węgry — uroszczenia te cesarzów nie miały wprawdzie praktycznego znaczenia: pomimo tego były one w zasadzie podtrzymywane i względem tamtych. Książęta zaś bliżsi cesarstwu, jeżeli się nie chcieli wystawić na ciągle udry z Niemcami, radzi nieradzi musieli przyjąć i uznawać to ich pretendowane zwierzchnictwo. I stądto jedynie całe źródło stosunku, w jaki przeszła wtedy Polska w prostem następstwie swojego połączenia się z Zachodem i Kościołem.

Istota takowej podwładności polegała głównie na przyznaniu samej zasady — mniej na formach, któreby to czuć dawały dotkliwie w rzeczywistem zastosowaniu i w obowiązkach praktycznych. Cesarze bowiem w wewnętrzne stosunki państw takich się nie mieszały, a żądali tylko w razie znaczniejszych wojen zbrojnej po-

mocy, a nadto pewnych, umówionych wedle okoliczności ofiar czy danin, które im były składane w oznakę ich dostojności najwyższej. Oprócz tego przyrzekać musiał panujący, takim stosunkiem związany ze zachodniem cesarstwem, wierność rycerską i poczciwość sąsiedzką cesarzowi; a w zamian zato otrzymywał też i on od cesarza, jako od naczelnika całego rycerstwa chrześcijańskiego, rozciągającego opiekę swoją nad wszystkimi jednostkami tej instytucji, pewne rękojmie dla siebie i dla kraju swojego, które w ówczesnych okolicznościach — szczególnie dla Polski — nie były bez rzeczywistego znaczenia, np. nietykalność swoich granic ze strony wszystkich do cesarstwa należnych, uczestnictwo w walnych zjazdach członków tej spółki państw chrześcijańskich, możliwość pomocy w razie jakiej nadzwyczajnej potrzeby, zawarowanie owej władzy monarszej wobec własnych poddanych i częściowych nad nimi książąt, która w pojęciu i w rzeczy zaczęła się dopiero od tego właściwie czasu w narodzie naszym wytwarzać, itd.

Znając stosunek Polski na zewnątrz, zorientujmy się teraz w jej położeniu wewnętrznem: poznajmy jej obszary ówczesne, doniosłość władzy panującego i okoliczności, na tle których działała.

Znamy poniekąd to wszystko, co z krajów polskich przybyło dopiero za panowania Bolesława Chrobrego; wiemy, jakie były granice jego królestwa. Na tej podstawie i przy pomocy innych jeszcze różnych wskazówek utworzyć sobie możemy w przybliżeniu wyobrażenie o rozciągłości państwa i za Mieszka I i to mniej więcej już w pierwszych latach jego rządów, które jak wiadomo, znaczniejszymi zaborami nie słyną w dziejach.

Dziedzictwo Mieszka stanowiła przedewszystkiem ziemia w ścisłym znaczeniu nazywana wtedy Polską czyli krajem Polan, to jest późniejsze województwo kaliskie, gnieźnieńskie i poznańskie, które ostatnie się

gało do samej Odry (w kierunku dzisiejszego Kistrzyna) i częstką swoją zachodnią (zaoberską, ziemia Lubuska) przeszło było w r. 963 pod zwierzchniczą władzę niemieckich marchionów wschodnich, którym się z tego kawałka ziemi od tego czasu trybut płacił. Z tą dzielnicą, właściwą »polską«, stanowiącą pierwotny, jak się to powszechnie przypuszcza, zaród państwa polskiego, połączone jednak być musiały już w owym czasie i inne ziemie okoliczne znacznie rozległe: mianowicie Kujawy z odwiecznym swoim grodem Kruszwicą; następnie ziemia Czerska czyli Mazowsze aż po Wisłę; ziemia Łęczycka i graniczące z nią Sieradzkie; z południa jakaś najbliższa Polski część Śląska, którego reszta stanowiła (może jeszcze od r. 907 t. j. epoki upadku Wielkiej Morawii albo też od czasów późniejszych) własność książąt czeskich.

Obszerniejszej rozciągłości trudno księstwu polskiemu w pierwszych latach panowania Mieszka przyśądzić, roztrząsnąwszy wszystkie okoliczności ze sprawą tą połączone: jakkolwiek zastrzec tu jak najwyraźniej należy, że etnograficznie rzecz biorąc, miały się okoliczności inaczej. Co innego bowiem państwo polskie, kraj Mieszka, a co innego naród, jednym i tym samym, t. j. jak się później nazywać zaczął, polskim językiem mówiący. Ten sięgał obszarem swoim już w owym wieku daleko poza granice powyższe. I w Sandomirskim bowiem aż do ruskiej granicy, i w Krakowskim aż po Karpaty, i w górnym Śląsku, i nawet w tak zwanej później Rusi Czerwonej czyli »grodach czerwieńskich« (w ostatnich podług jak najdobitniejszego świadectwa Nestora) równie żyła już w tym wieku tasama polska czyli lechicka ludność, jak stanowiła odwiecznie zaludnienie i całego nadbałtyckiego Pomorza. Lecz to były wtedy jeszcze dzierżawy z rzeczy tylko polskie, nie z nazwy, i zostawały pod inną władzą, po największej części zapewne pod swoją własną, jako nikomu nie podległe kraiki.

I dziwić się raczej trzeba, że i ten kompleks różnych dzielnic, tyle rozległych, dał się jeszcze w przed-historycznych stosunkach, a więc jakby wnosić należało, środkami czysto-narodowymi połączyć pod jednym berłem książęcym, w rodzinie Piastów. Jeżeli bowiem przejdziemy cały aż po owe czasy szereg znacznie-szych państw słowiańskich, ile ich tylko było — od Bułgarii w wieku VII powstającej począwszy, aż do Rusi Rurykowej, przetwarzającej się w państwo w owych dopiero latach, w których Mieszko już przeprowadzał swój naród w kierunek ustalony dziejowy: to się przekonamy, że te wszystkie bez wyjątku narody zawdzięczały przejście swoje z mnóstwa małych społeczeństw w jedno, z separatyzmu w skupienie, z nicości politycznej w początek działania i znaczenia historycznego, jakiemuś naciskowi z góry i z zewnątrz, jakiejś kości-
stej dłoni obcej, najezdźczej, jakiejś woli wydającej swoje rozkazy innym jak słowiański językiem i wbrew ich woli stawiającej te społeczeństwa na nogi ¹⁾. Sama jedna tylko Polska przeobrażenie takowe zawdzięczała sobie samej jedyńce.

¹⁾ Chorwacya długo podlegała obcej władzy, najprzód cesarzów wschodnich, potem Franków — nim około r. 830 wybiła się na niepodległość. Zawdzięczała przeto organizację państwa swego jako jednoty społecznej, tym obcym władzom, z pod których się wydobyla następnie. — Wielka Morawia także przeszła poprzednio tęsamą szkołę (pod Awarami — następnie pod Frankami), nim około r. 820 stanowić zaczęła społeczeństwo szerszych rozmiarów. — Czechy nim w końcu IX wieku poddały się jako państwo mniej więcej już jednolite pod opiekę cesarstwa były poprzednio (od r. 870) zawisłe od W. Morawii i urządziły stosunki swoje polityczne na wzór tego, co się wtedy działo w Morawii. — Ruś, w myśl podania, około r. 860 sama sprowadziła sobie Waregów, aby ład w niej uczynili, co też nastąpiło natychmiast. (O Serbii zaś naddunajskiej niema zgoła co mówić, bo jej w tych czasach jeszcze jako ciała politycznie w jedno księstwo połączonego nie było wcale. Bułgarzy nakoniec zgoła nie mieli nic wspólnego z Słowiaństwem i dopiero później złączyli się w jedno z narodem przez nich zawojowanym).

Przechodzę do określenia natury władzy monarchicznej w pierwotnej Polsce. Co powiem, nie odnosi się koniecznie do samego tylko Mieszka I. Raczej mieć tu należy przed oczyma stan rzeczy w całej tej początkowej epoce, z śmiercią Bolesława Krzywoustego i wyprawieniem Władysława II w r. 1146 dopiero kończącej się. Wydobyta z spostrzeżeń takich teoria daje się w całej swej prawdzie i sile widzieć tylko za panowania dzielniejszych osobistości w tym czasie. Z początku epoki, znaczenie władzy naczelnej wytwarza się dopiero i wzrasta; pod jej koniec, słabnie i chwiać się zaczyna: ale główna zasada pozostaje mimo tego wszystkiego podstawą trafnego zapatrywania przez całą tę dobę dziejową.

Owoż na mocy owej zasady uważał się książę polski za dziedzicznego pana i właściciela kraju swojego, to jest wszystkiej ziemi jego, o ile z woli książęcej poszczególne w niej włości nie były na własność ponadawane prywatnym; był uważany za właściciela wszystkich nieużytków gruntowych położonych w jego państwie granicach (lasów, puszczy, wód itp.), niemniej jak i wszystkich nowych zaborów, które rozdawał, komu chciał, a zatrzymywał dla siebie wedle nieograniczonej swej woli. Jako pan i dziedzic państwa, przekazywał je i dzielił między synów jak prywatny majątek; co do naczelnej zaś władzy jedynowładnie orzekał, który z synów jego, i w jakich warunkach względem reszty rodzeństwa, ma być spadkobiercą władzy najwyższej po jego zgonie. Jako ostateczny piastun władzy rządowej, dzierżył pod ręką swoją wszystkich bez różnicy mieszkańców ziemi podwładnej, dla których był i sędzią najwyższym (w pewnych granicach dającym się wyręczać w tej atrybucyi przez osoby przezeń do tego umocowane) i jedynym źródłem rozkazów w obrębie administracyi, o ile poszczególnych funkcyi tej władzy nie poruczał do wykonywania w swoim imieniu dostojnikom, jego tylko wolą usta-

nawianym. Był nadto wodzem zbrojnych sił narodowych, z nieograniczonem nad niemi prawem rozkazu. Poczynał wojny, przywoził w bitwach, zawierał pokoje, prowadził wojsko daleko nieraz poza granicę państwa i częstokroć w pomoc ludom niepopularnym w jego narodzie — nikogo się nie pytając o zgodę. On też sam jeden ster nadawał polityce zewnętrznej, przyjmując zobowiązania względem sąsiadów, jakie mu się podobało. Nakładał i pobierał w całym kraju daniny, cła, podatki, myta, wreszcie ciężary przeróżne w naturze i w robocie, i to nie tylko zwyczajem odwiecznym uświęcone, lecz w wielkiej mierze i nowe, na swoje imię i dla swojego skarbu; a jeżeli pewne stany (np. duchowny) i pewne odcienie społeczne miały w tej mierze już w tej epoce niejakię ulgi albo zwolnienia: to tylko na mocy przywilejów, których znowuż sam tylko książe a nie kto inny udzielał.

W tych wszystkich atrybucyach książęcych któżby nie widział pierwiastków stanowezej monarchiczności? Na tym pokładzie, raz przyznany, władza panującego wśród okoliczności przyjaznych mogła być wytworzyć się i w absolutne samodzięstwo, tak jak na Rusi np. albo w tylu innych krajach postronnych. Że do tego w Polsce nie przyszło: pochodzi stąd, że w kraju Piastów, od najrychlejszych czasów, działały obok monarchicznej i inne jeszcze idee, tej doniosłości, że się z niemi i najsilniejsza osobistość na tronie liczyć musiała.

Nasamprzęd miejscowy, od wieków w tej części Słowiańszczyzny panujący obyczaj, który w praktyce wszystko łagodził... Nie wiemy, kiedy i w jaki sposób władza pierwotnie patryarchalna, zbiorowa, po raz pierwszy przeszła w Polsce w ręce jednej osoby. Co jednak pewne, to że to pojawienie się rządów książęcych nie było tu ani skutkiem podboju przez obcą rasę, ani owej organizacyi na wskrós i wyłącznie wojennej, gdzie dowódcą zbrojnej bandy jest wszystkim, a cała jego drużyna dyszy tylko jego skinieniem. Sło-

wianie w tej części świata wszakże do późna »nie znali wcale żelaza« — a rodzina Piastów wyszła z rdzeni narodu. O czem także wątpić nie można, to że ów początek książęcych rządów -- czy one tam przez tę dopiero rodzinę zapoczątkowane zostały, czy wcześniej — zaszedł na razie w pewnej tylko, szczuplejszej dzielnicy (przypuśćmy w gnieźnieńskiej albo kruszwickiej). Następnie przybywały do niej drugie, sąsiednie okolice, tak iż się owo początkowe księstwo stopniowo zwiększało. Postęp tych kolejnych aneksyi mógł kroczyć nieraz drogą przymusu i gwałtu: w takim razie przewodząca dawniej w nich osobistość, sama lub z całą rodziną, podlegała zagładzie. W innych razach, gdzie się to dało dokonać bez użycia ostatecznych środków, przewodyr okolicy zatrzymywał swoje stanowisko wybitne, choć się uznał podległym centralnej władzy. Nie wywierał on już wtedy w swej sferze tego wpływu, co dawniej, ale zawsze sterczał głową ponad poziomem ogółu; a ten prym dziedziczyła po nim i rodzina jego przez generacye dalsze, o ile nie dawała powodu, żeby ją do tamtej kategorii (przymusem pokonanych) zaliczać i wedle tego traktować. Tak się wytworzył ów — nie można powiedzieć stan, ale odcień społeczny, który tylko w imię dawnych wspomnień, starożytnością rodu, majątkiem, moralnem znaczeniem, prywatnym na najbliższe otoczenie wpływem, nie tylko innemu rycerstwu imponował, ale nawet i nad osobistościami powołanemi do uczestnictwa w rządzie, nad dostojnikami górował, chociaż żadne przyznane przywileje, żadne prerogatywy poręczone, nie dawały rodzinom takim odrębnej w społeczeństwie pozycyi. Są to owi »domini« w najdawniejszych naszych źródłach dziejowych. Występują tam pod tą nazwą, choć najczęściej nie widać, żeby jaką urzędową władzą mieli ten swój dominujący charakter popartym. — Powiedziałem, że odcień ten (może nazywany pańskim), ten zaród możnowładztwa, nie tworzył u nas stanu. I to właśnie było najgorszem.

Nazywamy stanem takie klasy społeczne, o których powiedzieć można, gdzie się zaczynają a kończą, które się dają ująć w pewne granice. Moźnowładztwo polskie nigdy, ani w tej pierwotnej epoce ani później, nie odkrawało się czemś zewnętrznem od reszty narodu. W najpierwszych czasach byli to potomkowie zmedyatywowanych dynastów. Tych jednak z natury rzeczy, której tu niema potrzeby tłumaczyć, nie starczyło długo. Na ich miejsce właczały się potem rodziny, które na mocy innych posiadanych, w różny sposób nabytych warunków, mogły uchodzić za pańskie, i za takie się uważając, przejmowały tradycje tamtych. Od panującej dynastji oddzielała je widoma linia. Ale na dół — nie było nigdy i nie chciano, żeby była przedzielająca granica. Wchodziły one w skład rycerstwa, a kiedy rycerstwo przeszło w szlachtę, w skład szlachty. Między zwykłym rycerstwem a rodzinami pańskimi zachodziła oczywiście potężna zawsze różnica. Ale u nas ani pierwsze ani drugie, ani niżsi ani wyżsi, słuchać o tem nie chcieli, żeby była między nimi pociągana jaka miedza demarkacyjna. Tamtym, dyktowała tę niechęć próżność; tym, ich własny, nader zmyślnie pojmany interes. Gdzieindziej, nawet w Czechach tak do nas pokrewieństwem zbliżonych, stan pański a stan rycerski były oddzielone. W zapędach wyjednania sobie kosztem władzy rządowej coraz dalej idących swobód jeden stan miarkował drugi. Panujący księżę w miarę potrzeby mógł się to na jednym, to na drugim każdorazowo oprzeć, żeby wybijałe żądania trzymać w szachu. U nas przeciw władzy naczelnej szły zawsze szturmem obydwu odcienie razem. Moźnowładztwo prowadziło — rycerstwo im potakiwało, zadowolone pozorem, że pod tymisamymi znakami gardłuje, że równi z równymi pod jedną chorągwią walczą. Okruchy owoców tej solidarnej jednoty spadały w udziale i młodszej braci. *Pars leonina* dostawała się tamtym. Ta sztuczna jedność, ta rzekoma popularność moźnych, wspomagana

poplecznictwem całej reszty uprzywilejowanych w narodzie aż do najniższych stopni, nadawała możno-władztwu *in corpore*, a nawet i poszczególnym domom takie znaczenie, że chyba tylko najdzielniejszym osobistościom na tronie uchodziło nie liczyć się z nimi, iść w przebój z ich dążeniami.

Drugiem, co w zasadzie samej miarkowało samowładność księżęcą, był wpływ «księży» biskupów, władza duchowna. Już r. 968 powstało biskupstwo polskie w Poznaniu. W 30 lat później znalazło ich się już pięć, a w kilkanaście lat dalszych stanął już w całej zupełności ów zrąb organizacji kościelnej, wobec której cała potęga panującego stawać się mogła w danych razach bezsilną. Przynależność Polski do zachodniego Kościoła, jego prawo kanoniczne, ujęte w formy warowne i już w innych krajach katolickich uznane, nadania poczynione już przez pierwszych naszych księży, które wyobrazicielom tej władzy od razu zapewniły i w świeckim względzie stanowisko pierwszych dostojników królestwa — wszystko to razem wzięte sprawiło, że nazwa biskupów księżętami (w swoim zakresie) nie była w Polsce czczym tytułem, a wpływ ich i poza owym nawet zakresem sięgał pod koniec tej epoki już dalej, niż w niejednym innym współczesnym katolickim narodzie.

Trzecią okoliczność, bardzo fatalną dla rozwinięcia się w całej pełni władzy monarszej, stanowiło w Polsce *paragium*, to jest ów zwyczaj tutaj wniesiony jeszcze z pogaństwa, a także spostrzegany i w innych narodowościach, że się członkowie rodu panującego dzielili krajem jak prywatnem dziedzictwem. Nazywało się wprawdzie, że jeden z rodu, np. Mieszko I w swych czasach, panuje nad całą Polską; w istocie rzeczy jednakże miał taki panujący tylko część kraju pod bezpośrednim swoim rządem, inne dzielnice przeciwnie podlegały rozkazom jego braci lub krewnych, którzy mieli uznawać wyższość tamtego nad sobą, lecz rzadko

dopełniali tego warunku. I Mieszko miał niewątpliwie takich współuczestników w zarządzie Polski, choćby tylko w osobie braci swoich rodzonych, których na mocy świadectw współczesnych, było dwóch, jeżeli nie więcej. Jeden z nich, niewiadomego nazwiska, poległ w r. 963 w owej wojnie z Geronem, zapewne w młodych latach i bezdzietnie, tak iż dzielnica jego przejść mogła zaraz pod zarząd Mieszka; drugi, Cydebur (Czci-bor?) żył dłużej (niewiadomy rok jego zgonu), ale szczęśliwym od reguły wyjątkiem, zostawał w stałej zgodzie z swym bratem. Nie wszyscy jednak książęta od Bolesława Chrobrego zaraz począwszy, byli tyle szczęśliwi w stosunku do tych współksiążąt. Trzeba im było uciekać się nieraz do gwałtów, nawet wypędzać z kraju młodsze rodzeństwo. — Ten więc stosunek naczelnie panującego do cząstkowych książąt, jako i niepraktyczny i nawet w samej teorii przez ciąg całej tej epoki zupełnie prawem zwyczajowem nieokreślony, gmatwający tylko pojęcia narodu o obowiązkach względem najwyższego zwierzchnika, stanowił najslabszą może stronę władzy monarszej w Polsce. I o tento właśnie szkopuł rozbiła się ona też później (po śmierci Bolesława Krzywoustego).

O takimto mieniu i o takim długu tronowym, o takich prawach i o takich niedostatkach, puścili się władcy polscy w zawód dziejowy. Było z czego wytworzyć silną władzę monarszą, choć wolną od despotyzmu — i za tę cenę zapewnić narodowi świetną rolę jednego z pierwszorzędných mocarstw w historyi. Było aż nazbyt pokuszeń, pójść za innymi ideałami, unikać starcia tam gdzie było konieczne, być popularnym za życia, sławionym przez kronikarzy po śmierci, a potomności przekazać — sprawę przepadłą. Jedno i drugie zależało od czujności i instynktu politycznego, od trudu i dzielności panujących nad Polską.

A teraz przejdźmy do przeglądu tych poszczegół-

nych panowań, aby orzec, co które z nich zdołało pod tym właśnie względem uczynić.

Rządy Mieszka I (c. 962—992) były mimo nadzwyczajnych trudności, towarzyszących każdemu przekształceniu stosunków, a cóż dopiero takiej reformie, jak nią było zaprowadzenie chrześcijaństwa i europejskich politycznych pojęć do tego narodu, dziwnie szczęśliwe od początku do końca. Z warunków pomysłowości krajowej, przekazanych z dawnych czasów, nie uрониł książę ten ani jednego, a przyczynił nowych niemało, owszem położył trwałą i niepożytą na wszystkie wieki podwalinę przyszłości narodowej. Dokazał zaś tego wszystkiego nie rozgłosną a błyskotliwą braurą czynów, ale cichem, konsekwentnem, pełnem prawdziwej mądrości politycznej umiarkowaniem. Z drogi, na którą raz go wprowadził instynkt szczęśliwy w roku 966, nie zszedł przez całe swe życie. Pozostał wierny i chrześcijaństwu i politycznym obowiązkom swoim względem Zachodu, przyjętym w następstwie dążności uznanej przezeń za jedynie możliwą w okolicznościach ówczesnych. Licząc się trzeźwo z warunkami, na jakich żyć i rządzić mu przyszło, nie wyłamywał się nawet z pod cesarskiego zwierzchnictwa. Owszem wspomagał Niemców posiłkami swoimi — i posuwał abnegacyę do tego stopnia, że nie odmawiał tych posiłków nawet przeciw pobratymcom swego narodu, którzy (mianowicie w marchii Północnej) obstając uporczywie przy bałwochwalstwie i tradycyjnym swoim nieładzie politycznym, podnosili ciągle bunty przeciw narzuconej im władzy. — W ciągu rządów cesarza Ottona II (973—983) mogło się wprawdzie czas jakiś zdawać, że ta zgodność Polski z Zachodem sąsiednim zachwiewa się i przerzuca w nieprzyjaźń: i tu wszelako nie było zasadniczego wyłamywania się z pod stosunków z cesarstwem, ale jedynie spór o to, kto tam piastuje tę wła-

dzę; ponieważ Mieszko wraz z szwagrem swoim Bolesławem Pobożnym, księciem czeskim i znacznym w Niemczech stronnictwem, uznawał za cesarza Henryka II (bawarskiego), a nie Ottona. Czego tedy Ottonowi zaprzeczał, to wszystko przyznawał Henrykowi. Po wstąpieniu Ottona III na tron niemiecki okazało się to najjaśniej: Mieszko przybywał z darami na walne zjazdy panów i książąt Rzeszy (np. do Kwedlinburga w roku 986) i był tam przyjmowany zaszczytnie; co większa, posiłkował wytrwale odtąd tego cesarza w wojnach jego z północnym znowu Słowiaństwem w roku 985, 986 i 991.

Że ta polityka, małodusznie pojmwana przez niejednego z późniejszych dziejopisów, była rozumną; że jedynie odpowiadała ówczesnemu położeniu kraju polskiego: to się stwierdziło w skutkach. Żaden z potężniejszych sąsiadów tego dopiero ustalającego się państwa nie śmiał granic jego nachodzić; a kiedy następcą zmarłego około r. 967 Gerona, Hodo marchion łużycki, wraz z jakimś znowu awanturnikiem niemieckim, hrabią Sigfriedem, pozwolił sobie najechać w r. 972 po dawnemu dziedzinę tego księcia naszego, żeby ją podbić lub złupić: to doznali obaj takiego przyjęcia, jakie im się należało (pogrom pod Cidini dziś Zehden nad Odrą). Ówczesny cesarz Otto I nietylko się nie ujął za tym szerzycielem »kultury«, lecz owszem położył najskwapliwiej kres dalszemu krwi rozlewowi i wdzierstwu tego swego wasala.

Z Czechami za życia Dubrawy († 977) — i nawet przez kilkanaście lat później — trwał stały pokój, pomimo podżegań Lutyków, zawsze nienawistnych Polakom, a trzymających z Czechami. Dopiero w r. 990 przyszło do wojny z Bolesławem Pobożnym o »księstwo« (*regnum*) jakieś, które Mieszko do granic państwa swojego wcielił¹⁾ — zapewne o część Szląska, do któ-

¹⁾ Obacz Diethmar i inne źródła niemieckie, przywiedzione w tomie I »Monum. Polon.« str. 255 i n.

rej Czesi prawo sobie rościli albo ją posiadali. W tej wojnie wspomagali Czechów Lutyce, a Mieszka Niemcy: i zdaje się, że zabranej tej dzielnicy nie dali już sobie wydrzeć Polacy. Od tego r. 990 mógł już należeć do Polski Szląsk cały, a pewnie i Krakowskie.

Sprostować tu wreszcie należy aż nazbyt upowszechnione mniemanie, jakoby ostatnie lata panowania tego księcia przyćmione być miały utratą kilku prowincyi. Zabór »grodów czerwieńskich« (tak zwanej później Rusi Czerwonej), dokonany przez Włodzimierza W. w r. 981, jakkolwiek wątpić o fakcie samym nie można, nie dotyczył Mieszka I bynajmniej; ziemia ta bowiem nie należała politycznie w tamtych czasach jeszcze do Polski, choć ją w myśl świadectwa Nestorowego zamieszkiwała już wtedy ludność »lechicka«, więc ludność tego samego szczepu, co polski. A co się tyczy rzekomego zaboru Krakowa i ziem okolicznych przez Czechów, który kiedyś przed rokiem 973, niewiadomo w którym właściwie czasie i w jaki sposób miał zostać Polsce wydarty: to trzeźwa krytyka wytknąć musi i tu mylność zapatrywania w tymże kierunku. Czesi za panowania swego księcia Bolesława I (936—967), teścia naszego Mieszka, mogli Kraków z pewnemi przyległościami posesić i przez niedający się bliżej określić przeciąg czasu posiadać; wszelako (jeżeli tak było) nie był to zabór na Polakach, lecz chyba aneksya tej przyległej Szląsku prowincyi, wtedy jeszcze zostającej pod własnym osobnym swoim rządem ¹⁾.

1) Przynależność Krakowa do Czech w tych już latach, kiedy Mieszko I początkowe swoje rządy nad Polską sprawował, zdaje się być faktem stwierdzonym. Doszła czasów naszych, co prawda nie z pierwszej ręki, ale za pośrednictwem pewnego już późniejszego pisarza, wzmianka współczesna o podległości Krakowa księciu czeskiemu Bolesławowi, niewątpliwie I-mu. Autorem tej zapiski był Izraelita hiszpański, imieniem Ibrahim Ibn Jakub. Tenże, czy to w celach handlowych, czy może przydzielony do poselstwa od któregoś z kalifów Korduby do cesarza

Nieuszczuplone przeto państwo, a nawet jak wno-
sić można, rozszerzone o jakąś część Szląska świeżo
dopiero nabytą, a może i o coś z ziemi pomorskiej

Otona I, odbył podróż do Niemiec, a głównie w Merseburgu czas
jakiś spędził. Zająć to musiało kiedyś już po roku 962 (rok wstą-
pienia na tron Mieszka) a przed 973 (rok śmierci Otona). Bawiąc
w Merseburgu, rozpytywał ów podróżnik o stosunki sąsiednich
krajów, a głównie słowiańskich, i to co o nich usłyszał, spisał
w języku hebrajskim. Otóż w jednym miejscu tej swej relacji
powiada: »Słowianie składają się z mnogich i różnych szczepów.
Teraz mają czterech królów. Jeden jest król al-Błgarin (bułgarski —
autor według pisowni hebrajskiej niektóre samogłoski z sylab
wypuszczał); drugi Brisław (Bolesław) król Fragi (w dalszych
miejscach pisze i Braga), Bwimy i Krakwa; trzeci Mszka
(Mieszko) król północny; czwarty Nakur, na skrajnym zachodzie«
(zapewne Nakon obotrycki, o którym wspomina Widukind pod
r. 954, »Monum. Pol.« I str. 136). — W jednym z dalszych ustę-
pów: »Co się tyczy ziemi Brisława, to długość jej od Fragi aż
do grodu Krakwa (Krakowa) jest na 3 niedziele drogi. Kraj ten
styka się wzdłuż z Turkami« (Madjarami). — Przytaczam jeszcze
jedno Polski dotyczące miejsce: »Z Mszką graniczą na wschód
Rusy, a na północ Brusy« (Prusy)... »Szczep Słowian, który się
zwie Awbaba (?) żyje w błotnistym kraju Mszki ku północnemu
zachodowi. U nich jest wielki gród nad okrażającym morzem. Ma
dwanaście bram i przystań. Wojują z Mszkiem, a siła ich wielka.
Króla u nich niema, rządzi nad nimi starszyzna«. (Wynikałoby
z tego, że już w tych tak wczesnych latach zachodziły walki z Po-
morzanami; czy zaś tym grodem był Gdańsk, czy może Kołobrzeg
lub Wolin, trudno rozstrzygać).

W każdym razie było to zatem pisane już po r. 962. A po-
nieważ w dalszej pewnej notatce, poświęconej Bułgarom, podnosi
z pryncypem pewnym Ibrahim, że to naród już chrześci-
jański: więc zdaje się z tego wynikać, że kraj Mszki nie musiał
wtedy jeszcze być nawrócony. Jeżeli to bowiem co do Bułgarów
podnosi, toć musi tę okoliczność przeciwstawiać czemuś drugiemu.
A ponieważ Czechy wtedy już były nawrócone, a nawet i dla Obo-
trytów istniało już od r. 952 biskupstwo starogrodzkie (Olden-
burskie), choć co prawda więcej ono tam z imienia istniało, jak
z rzeczy: więc chyba głównie właśnie krajowi Mszki przeciwstawia
autor tę chrześcijańskość Bułgarów. W takim zaś razie datowałoby
pismo to Ibrahima z czasu przed r. 966, jako rokiem nawrócenia
księcia i narodu polskiego. Owym »Bryslawem« zaś, do którego

i krakowskiej, przekazał Mieszko swym czterem synom, kiedy krótko przede śmiercią, dzielił to księstwo na części między nich wszystkich podług panującego wtedy

wtedy miał należeć oprócz Pragi i Kraków, byłby Bolesław I czyli Okrutny, a nie dopiero II-gi tego imienia czyli Pobożny.

Zapiski Ibrahima, choć tak kaleczące nazwy miejsc i osób słowiańskich, zawsze jednak wiarogodne, doszły do nas tylko w wyciągu, uskutecznionym (co do nazwisk jeszcze pewnie gorzej) po arabsku, przez autora, który żył w w. XI, a nazywał się Abu Obeid Abdallah al Bekri. Ten zszedł z świata r. 1094. Jego dzieło, zatytułowane „Podróże i kraje”, było do r. 1878 zupełnie światu uczonemu nieznanie. Odszukane w ms. w którejś konstantynopolińskiej bibliotece, ujrzało światło dzienne w tymto 1878 roku w Petersburgu, jako Dodatek do XXXII tomu Zapisek tamtejszej Akademii Um. Jest wydane obok arabskiego oryginału w przekładzie rosyjskim prof. Rosena, z cennymi wyjaśnieniami A. Kunika, członków tejże cesarskiej Akademii. Przekład Rosena spolszczył potem nasz wielkopolski uczoney Dr Lebiński i wydał to w r. 1887 w tomie XV Roczników poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk. — Rzec Al-Bekrego składa się przeważnie z excerptów, ile sądzić można dosłownych, choć może z opuszczeniami, z dwóch pism podróżniczych dawniejszych, mianowicie Ibrahima i niewiele od niego dawniejszego Masudego († 957), który także pozostawił wiadomości o Słowianach, ale tylko wschodnich, i o ich sąsiadach.

Wyprowadziłem z powyższej wzmianki wniosek, że jeżeli Kraków rzeczywiście przed przyłączeniem do Polski należał do Czech, któremuto faktowi niema powodu przeczyć: to początek tego stanu rzeczy datuje z czasu panowania jeszcze teścia naszego Mieszka, Bolesława I. Historycy czescy, a na ich czele Kosmas, odnoszą zabor ten do Bolesława II Pobożnego, brata Dubrawy; widzą w nim nietylko władcę południowej Polski, ale i Słowaczynę węgierskiej, niemniej Szląska całego i Moraw prócz właściwego czeskiego księstwa; ta południowa Polska miała obejmować oprócz krakowskiej, sandomirskiej i lubelskiej ziemi całą dzisiejszą Galicyę aż po Bug i Styr; i cała ta wielkość państwa miała się rozprysnąć nagle zaraz po zgonie tego księcia w r. 999, wskutek podboju tych dzielnic przez Bolesława Chrobrego. U Pałackiego sprawa ta o tyle przedstawiona inaczej, że zabor tych ziem miał zająć za ks. czeskiego Bolesława I (wnet po r. 955); Bolesław II miał te zdobycze rozszerzyć między 967 a 973 r. aż do Bugu i Styru; utrata zaś tych wszystkich nabytków nastąpiła

zwycaju — z zastrzeżeniem, aby naczelną władzę nad całym krajem dzierżył najstarszy z braci, syn Dubrawy, Bolesław. Trzej drudzy, Mieszko, Świętopelk i Lambert

r. 999. Opierają oni te twierdzenia na podstawie dwóch źródeł: Kroniki Kosmasa i dokumentu fundacyjnego biskupstwa praskiego z r. 973. — Nim rozpatrzymy dowodową wartość tych źródeł, zestawmy porządek rzeczywistych wiadomych faktów, około których się ta cała sprawa obraca. A więc od r. c. 955 począwszy przynależność Krakowa do Czech. W r. 967 zgon czeskiego Bolesława I i wstąpienie na tron Bol. II. W r. 973 fundacya biskupstwa praskiego — dokument fundacyjny układa Wolfgang biskup ratisboński, cesarz Otto I (prawdopodobnie d. 23 marca — na Wielkanoc — w Kwedlinburgu) go podpisuje, a potem zatwierdza to i papież — pierwszym biskupem praskim Ditmar. — W tymże r. 973 d. 7 maja Otto I umiera. — W r. 999 zgon ks. czeskiego Bolesława II. — W tymże r. 999 postanowione, a w r. 1000 ustanowione bisk. krakowskie. — W r. 1028 Morawia przyłączona do Czech (zdobyta w części na Węgrach, w części na Polsce; dotąd nie posiadali jej Czesi). — W r. 1062, za Wratysława II, erekcyja biskupstwa w Ołomuńcu, papież je r. 1063 zatwierdza. — W r. 1086 tenże Wratysław, brat jego biskup praski Gebhard i cesarz Henryk IV obalają to biskupstwo i łączą z praskim na synodzie w Moguncyi. Papież Urban II 1088 unicestwia tę czynność i biskupstwo morawskie przywraca.

Teraz patrzmy, jak się wobec tych faktów rzecz ma z dokumentem fundacyjnym biskupstwa praskiego z r. 973. Autentyk tego aktu należy do liczby zaprzeczonych; co orzekał, wiedzieć nie można. Kraków wtedy mógł być może włączony do dyecezyi praskiej jako włość księstwa czeskiego, o Morawach i Słowaczyźnie tego jednak ani myśleć niemożna. Najpewniej granice tej dyecezyi na wschod wcale w nim nie były zakreślone, zostały tu na razie pozostawione otworem. — W r. 1086 na synodzie w Moguncyi, w chwili właśnie opróżnionego biskupstwa ołom., tamtoczesny biskup praski (brat panującego księcia czeskiego) Gebhard, w porozumieniu z bratem, pragnąc posieść i to ołom. biskupstwo, wystąpił przed cesarzem Henrykiem IV z twierdzeniem, że dyecezya praska od pierwszego swego początku obejmuje i czeskie i morawskie księstwo, i zażądał, żeby ten stan rzeczy pierwotny i jedynie legalny został przywrócony. Na dowód, że tak się ta rzecz miała, złożył dokument, jakoby przez św. Wojciecha wydany, a przez Ottona I i przez papieża Benedykta zatwierdzony, który nie tylko przynależność Moraw do dyece

tej jak

byli synami drugiej żony Mieszka I, Ody córki marchiona północno-saskiego Dietricha, poprzednio mniszki

najwyraźniej orzekał, ale i onej granice — co prawda nader bala-
mutnie — tak opisywał, że z tego wynikało, iż południowa Polska
aż po Tatry i rzeki Bug i Styr, niemniej Słowacyzna węgierska,
wreszcie i Szląsk niemal cały do tej dyecezyi należą. Henryk IV
uwierzył, czy może udał że wierzy w autentyczność tego doku-
mentu. Ówczesne okoliczności czynią to przypuszczenie prawdo-
podobnem. Wystawił od siebie nowy, ale tejsamej treści dokument
(*novum, antiquo fere eiusdem tenoris privilegium*) i wszystko tak
uskutecznił, jak się tego domagano od niego. Ten przywilej Hen-
ryka z r. 1086, w oryginale nie przechowany, doszedł nas w kopii,
zaciągnął go bowiem w całości i dosłownie do swej kroniki Kos-
mas, który na owym synodzie był także przytomny i jak powiada,
naocznie patrzył na kładzenie własnoręcznej sygnatury cesarskiej
na tym dokumencie. Z Kosmasa zatem jest on jedynie znany, róż-
nie jak i o towarzyszących tej sprawie wszystkich okoliczno-
ściach jedynie przez tegoż kronikarza jesteśmy powiadomieni
(księga II rozdz. 37; *Monum. Pol. I 145 i n.*).

Niema żadnego powodu niewierzyć Kosmasowi. Dokument
z r. 1086 przezeń w całej osnowie podany był z pewnością auten-
tyczny; mimo to jednak jego zawartość nie ma żadnego źródło-
wego znaczenia, ponieważ ów produkowany tam w Moguncyi do-
kument św. Wojciecha był sfalszowany przez owego biskupa
Gebharda. Św. Wojciech nie był pierwszym biskupem praskim,
był konsekrowany dopiero r. 983: jakże tedy mógł dokument jego
być zatwierdzony przez Ottona I i Benedykta, kiedy pierwszy
zszedł z świata jeszcze r. 973, a Benedykt VI w rok po nim, a je-
żeliby to do Benedykta VII sięgać się miało, to i ten już przed
r. 983 życie zakończył. A potem, dokumenta tego rodzaju, orzekające
o rozległości dyecezyi, z natury rzeczy bywały zawsze wystawiane
dla biskupów odnośnych, a nie przez nich. Więc chyba byłby
to przez kogoś dla św. Wojciecha wydany dokument, gdyby tenże
był pierwszym praskim biskupem. I kto go to miał wystawić,
jeżeli Otto I tu występuje jako tylko konfirmujący? — Nie dziw
zatem, że papież Urban II nie był tak łatwowierny — nie potwier-
dził, skasował tę całą robotę w r. 1088. — Falszerz dokumentu, kiedy
w nim mówił o przynależności Moraw w r. 973, wręcz kłamstwo
popęlnił; a kiedy się rozpisywał o wschodnich dyecezyi granicach
aż do rzeki Wagi, Bugu, Styru i Karpat, zastosował stan rzeczy
r. 1086 do 973 t. j. podał tamtoczesne biskupstwa krakowskiego
granice jako obszar pierwotnej praskiej dyecezyi w tych stronach.

w klasztorze w Kalbe nad Salą. Zaślubił ją kiedyś po r. 977, w którym pierwsza jego małżonka zeszła z świata.

Rządy Bolesława Chrobrego (992—1025) szły z razu tymże torem, co jego ojca. Przez pierwsze

Mogła mu zaś myśl tę poddać ta okoliczność, że Kraków z najbliższą okolicą może podlegał praskiemu pastorałowi, nim w r. 1000 otrzymał własnego swego biskupa.

Kosmas około r. 1120 piszący swoją kronikę, a w r. 1086 i przytomny całej tej pertraktacyi, uwierzył w to całe szalbierstwo. Na podstawie przywileju Henryka IV z tego roku, uwierzył w taką rozciągłość monarchii czeskiej w r. 973. A nie widząc, komuby jej utworzenie przypisać, gdyż wszystkie źródła milczały o takich zaborach, przypisał je Bolesławowi II. Z tego tylko powodu kładzie w usta umierającemu temu monarsze słowa „*ego dilatavi terminos regni usque ad montes nomine Trytri, qui sunt ultra Krakow*“. Z tego też tylko powodu, widząc w Bolesławie II niezwyčajonego zdobywcę, jakim on bynajmniej nie był, każe chyba dopiero po jego zgonie, ale już w tysamym roku (999), gdyż w rok potem powstaje krakowskie biskupstwo — odpaść tym wszystkim prowincjom, a mianowicie krakowskiej, od czeskiego księstwa. A wydziercą tej ziemi — w r. 999! — miał być *dux poloniensis Mesco, quo non fuit alter dolosior homo* (Lib. I cap. 33 i 34). Otóż i temu, o ile to chronologii dotyczy, wierzyć nie można. Mniejsza o to, że Mieszko † 992. Ale rozważmy, że gdyby ziemia krakowska dopiero r. 999 została przyłączona do Polski, to trudno by było pojąć już w tymże roku powzięte w Rzymie postanowienie utworzenia tam osobnego biskupstwa, a dokonanie tego zamiaru w rok potem. Tak prędko takie rzeczy nie postępują! Przyłączenie (później t. zw.) Małopolski zajęć musiało zatem w każdym razie kilka lat wcześniej. I być też może, że ten przez Kosmasa odniesiony do Mieszka w r. 999 zabór Krakowa nie polega na tej pomyłce, żeby on Bolesława Chrobrego za Mieszka brał, ale że rzeczywiście tkwiło w pamięci, że początek tej całej akcyi jeszcze za życia tego starego księcia się począł, w takim zaś razie zapewne w r. 989 i 990, w którym (jak donosi Diethmar, ks. IV c. 9) miał nasz Mieszko swemu byłemu szwagrowi jakieś „*regnum*“ odebrać czy najechać, i wywiązała się z tego rozległa, obustronnie własnymi i obcymi siłami prowadzona między nimi wojna. (*Mon. Pol. I 255 i n.).

lata panował wspólnie z braćmi. Najstarszy z tych młodszych książąt nie mógł liczyć w chwili zgonu ojca więcej, jak najwyżej 13 lat, podczas gdy Bolesław był już w 25 roku wieku swojego¹⁾: była to przeto dla niego tytułarna tylko wspólność rządzenia i (na razie) nietrudna zgoda z rodzeństwem.

Stosunki państwa na zewnątrz żadnej na razie nie doznawały zmiany. Aż do pamiętnych odwiedzin stolicy naszej przez Ottona III, świadczyła Polska temu zwierzchnikowi swojemu wszystkie oznaki wierności i danniczego stosunku, mianowicie pomoc zbrojną w przebojach z Słowianami już natenczas prawie corocznych (992, 994, 995 i 996).

Pod osłoną pokoju i bezpieczeństwa ze strony Niemiec, miał Bolesław otwarte pole skutecznego działania wewnątrz państwa swojego: mógł przedewszystkiem urządzić domowe i narodowe stosunki w Polsce w tym duchu, jak je pojmował. Już w czwartym roku tego działania jednakże, ujrzał przed sobą takie trudności — nie oznaczyła nam ich bliżej historia, że aby je przelamać i raz na zawsze usunąć, uciec się musiał do groźnej ostateczności. Wszyscy trzej książęta młodszy, wciągnięci zapewne nierozważnie w jakąś intrygę, zostali wraz z matką swoją Odą wypędzeni z ojczyzny (995), a jacyś Bolesława krewniacy, czy powiernicy (*familiars*), Przybywoj i Odylen, przypłacili postępek swój oślepieniem. Tej katastrofie w samej rodzinie książęcej towarzyszyć musiała niezawodnie podobna katastrofa i w państwie — w stosunku do narodu całego: i nie wątpić, że ów tytuł królewski, w posiadaniu którego widzimy tego monarchę niezaprzeczenie w dalszym ciągu jego panowania, został przezeń przybrany przy owejto tak stanowczej porażce wszystkiego, co mu opór stawiało.

¹⁾ Rok 967 podają roczniki polskie jako czas narodzenia Bolesława Chrobrego. Obacz »Monum. Pol.« II str. 777, 828 i 872.

Wraz z tym wyniosłym tytułem przybyła mu oczywiście i władza odpowiednia ¹⁾. A przy władzy — rozwinać się mogły i spełnić nareszcie zamysły głębsze, już w jego duchu dojrzałe...

Jakoż pozachodziły w tych już latach — w przyspieszonych jak ze wszystkiego wnosić się godzi, jeden po drugim postępach — zabory rozległych owych z południa i z północy Polski prowincyi, które zaludnione były wprawdzie plemieniem polskim, lecz nie były związane jeszcze politycznie z tem państwem. Szląsk, o ile w całości nie należał dotąd do Polski — Kra-

¹⁾ Tytuł królewski Chrobrego jest pewnikiem w historii; od kiedy jednak zaczął on używać tego tytułu? tego domyślić się chyba trzeba. Od kiedyż więc? Od czasu koronacyi niezawodnie nie, bo ta przypada na ostatni dopiero rok jego życia. Od chwili bytności cesarza niemieckiego w Gnieźnie, także zapewne nie; bo Otto III przybył tylko uznać i przyznać to wszystko, co się w kraju naszym już dokonało, a nie nadawać władcy polskiemu nowe tytuły. Nie pozostaje zatem, jak przyjąć chyba ów rok 995 za chwilę, w której to najpodobniejsze do prawdy.

W kwestyi królewskiego tytułu w pierwotnej Polsce jesteśmy mniej więcej wszyscy pod wpływem wyobrażeń, które zawilość rzeczy jeszcze bardziej gmatwają. Wyobrażamy sobie, że kto koronowany, ten król — a kto koronacyi nie odbył, ten tylko książę. Sądzimy, że kto podlegał jako dannik cesarstwu, ten tylko księciem, a dopiero bezwarunkowa niezawisłość na zewnątrz stanowiła warunek królewskości. Rozumiemy, że niemieckie *könig*, łacińskie *rex*, oznacza króla, a *dux* książęcia. Wobec późniejszych wieków było to wszystko tak w samej rzeczy, ale nie w czasach Bolesława Chrobrego. Duński władca Harald Blauzahn, dopiero w r. 966 ochrzczony, koronacją uroczystą bynajmniej nie zaszczycony, cesarzowi niemieckiemu jeszcze w r. 974 składający daniny, nazywany był mimo to wszystko kunik. Czeski Bolesław I, ani koronowany, ani też w kraju nawet swoim pewnie nigdy królem nie nazywany, a dannik względem cesarstwa, nazywany jest w kronikach niemieckich współczesnych (Frodoarda i Widukinda) *rex*. Piszący dzieło swoje jeszcze w VI wieku cesarz bizantyński Maurycy († 603) nazywa książąt słowiańskich, którychbyśmy słusznie zagrodowymi, chodaczkowymi nazwać tylko mogli książęty, *reges* (ῥῆγες). Czeski Wratysław II (1061—1092), który nie tylko urzędo-

uznana monarchia Bolesławowa z woli tego cesarza przejąc na siebie tęsamę rolę na Wschodzie, jakiej ciężar na wszystkie strony dotąd dźwigało imperium katolickie zachodnie — w stosunku do ludów dla świata chrześcijańskiego jeszcze niepozyskanych. W tymto sensie rzekł Otto Bolesławowi: jesteś bratem moim i współpracownikiem cesarstwa.

I jakież były wyniki tego wielkiego przyznania? — Niestety, nieodpowiednie oczekiwaniu.

Już we dwa lata po tej pielgrzymce cesarskiej do grobu wojciechowego zamknęło się i nad szlachebnym Ottonem wieko grobowe. Zgasnął w pierwszym kwiecie dni swoich. Z nim razem rozwiały się w nicość idealne jego marzenia. Nowy cesarz, Henryk II (1002 do 1024), choć w dziejach nazywany »Pobożnym«, »Świętym«: okazał się wolnym od takich illuzyi, pojmował znaczenie swojej władzy praktycznie, oparł dążność rządów swoich, jak się wyraził nowoczesny historyk, *auf dem Boden der thatsächlichen Verhältnisse*, to znaczy: na tradycyjnych torach polityki zachłannej. A król polski uczynił też ze swojej strony wszystko, ażeby mu to ułatwić, aby go do tego zachęcić — postarał się o to samochęcąc, aby ten nawrót na poziom realizmu i udrów narodowych nastąpił bez żadnej zwłoki.

Z żalem przychodzi mi wyznać, że nie widzę się w możności iść ręką w rękę z tradycyjnym sądem dziejowym o całym tym 16-letnim okresie panowania Bolesława Chrobrego, którego początek właśnie tu mamy przed sobą. Historyografia nasza upatruje w tem wielki tryumf, że Polska ówczesna potrafiła przez tyle lat dźwigać na sobie ciężar wojny z całym ogromem cesarstwa, i że wyszła z tej walki bez szwanku, nawet z pokojem zaszczytnym. W wyprawie kijowskiej — także widzi szczyt sławy i wielkości tego króla naszego... Zapewne, obrazy to wspaniałe! Lecz przedmiotowa, ścisła, z politycznego punktu widzenia oceniająca

wiedzy dziejowej. To jedno tylko zdaje się pewnem, że dokonano tego między rokiem 990 a najpóźniej 999.

Co do Pomorza, przypuszcza się powszechnie, że je zagarnął Bolesław w każdym razie jeszcze przed rokiem 997, skoro właśnie w rzezonym roku i to już w pierwszych dniach wiosny, św. Wojciech w okolicy miasta Gdańska z poręki króla polskiego przebywał, opowiadając słowo boże i udzielając chrztu tłumom tamtejszej ludności — zanim następnie gorliwość apostolska i żądza śmierci męczeńskiej zawiiodła go na ziemię Pruską, nietkniętą jeszcze stopą naszego narodu, gdzie też

jej ten tytuł księdza czy księcia już nie wystarczał. Wtedyto obejrzano się za dostojniejszym tytułem i znaleziono go w wyrazie karl, wymawianym po słowiańsku kral i król — jako imieniu największej liczby panujących frankońskich począwszy od Karola Wielkiego. Używał tego imienia kral, jako tytułu odpowiedniego swej władzy, niejedyn już władca słowiański przed Bolesławem Chrobrym i w innych stronach, np. Tomisław książe chorwacki na początku jeszcze X stulecia, a po nim i dalsi jego następcy. Wytworzyła się więc ta nowa nazwa godności panujących słowiańskich z imienia własnego Karł zupełnie w taki sam sposób, jak się również z imienia tylko osobowego Caesar wyrobił w wschodnim świecie słowiańskim wyraz car, w zachodnim cesarz, a w niemieckim języku Kaiser.

Widoczna przeto, że przybranie nazwy króla przez Bolesława Chrobrego nie wynikało ani z nominacji cesarskiej (bo wyrazu takiego jako tytułu nigdy w Niemczech nie było), ani też z koronacji legalnej czy nielegalnej — ale za przykładem innych postronnych panujących słowiańskich, w rychlejszych jeszcze czasach już tytułu tego używających — i pod wpływem poczucia, że dawne czasy malowanych księdzów już się w Polsce skończyły, a wniść należy w epokę władzy zmuszającej do posłuchu i rządzącej po frankońsku, tj. na nowych zgoła warunkach...

Że zresztą była to nazwa świeża i późna na ziemi naszej, to okazuje i nomenklatura osad. Podczas gdy mnogo jest wsi i miast, nazwanych Książ, Książno, Książnice, Książeniec, Książek i t. d. zaledwie doszukać się możemy Królewic i Królikowa, które ostatnie bodaj czy ma z królem, a nie raczej z królikiem jakie zetknięcie w tradycji. (Królewiec zaś powstał dopiero r. 1255 i wiadomo, że wziął nazwę od króla czeskiego Otakara II).

tek powodzeń poprzednich; sangwinizm nasz, który rachunku politycznego do dziś dnia się nie nauczył; dziwny nakoniec fatalizm w samym zbiegu zewnętrznych okoliczności.

Było to po takich początkach panowania tylko naturalnem w położeniu Bolesława I, że chciał iść i dalej jeszcze w rozwinięciu potęgi swojej. Było to zupełnie w duchu instynktu narodowego, że odsunął od siebie myśl podboju takich z Polską ówczesną o międę graniczących ludności, które (jak Prusy albo Jadźwingi) nie z nią nie miały wspólnego oprócz granicy. Było to prostem następstwem logicznem zapatrywań w duchu powyższym, że zamarzył Chrobry o stworzeniu wielkiego państwa z samych naturą rzeczy zbliżonych, a więc pobratymczych żywiołów. Polska ówczesna miała w samej rzeczy zadanie, które z tym wymarzonem programem aż do pewnego przynajmniej kresu mogło iść w parze — miała zadanie uczynienia wszystkiego, co tylko mogła, w stosunku do Słowiańszczyzny zachodniej, by ją wprowadzić na tory dziejowego żywota. Ściąga się, co tu mówię, mianowicie do tej jej części, która zaludniała dzisiejsze północne Niemcy od bałtyckiego nadbrzeża aż po linię równoległą do niego w myśli poprowadzoną mniej więcej przez okolicę dzisiejszego Berlina, to jest do części lutyckiej. I w owych latach, jak wiekiem pierwej, była to ciągle jeszcze bałwochwalcza kraina. Społecznie — nie wychyliła się ona i teraz z poza pomroki przeddziejowego bytu. Wszystkie owe narowy i niedostatki, dla których nie mogło się z tego materiału przez tyle wieków nigdy jednolite polityczne, większe ciało wytworzyć, broiły w łonie tej licznej ludności i wtedy tak samo jeszcze, jak kiedykolwiek. Na pozór wprawdzie używała ona chwilowo o tyle lepszej teraz niż dawniej doli, że strząsnęła z siebie prawie na wszystkich punktach panowanie niemieckie i żyła od niejakiemu czasu w faktycznej prawie niezawisłości. Stan ten jednak nie

mógł być trwałym. Przy wyraźnym rozkładzie, jakiemu już podlegać zaczął organizm tej ruchawicy społecznej — obce rządy musiały do kraju tego wrócić prędzej czy później i wnieść doń z sobą idee, które owładnęły już światem. Otóż wszystko składało się na to, żeby owe idee wniosła polska ręka na tę ziemię słowiańską. Mimo nienawiści ku Polakom, która co najmniej od chrztu Mieczysława począwszy była tu już tradycyjną, wcielenie tego narodu do Polski zapewniało mu i nadal jego szczepową odrębność. Polska byłaby zyskała na tym podboju przyrost terytoryalny, któryby pod każdym względem zaspokoić był w stanie i jak najdalej posuniętą ambicję panującego. Zawisć niemiecka, nawet pod rządami Henryka II, nie byłaby miała powodu bróździć wszystkimi siłami przeciw szerzeniu się Polski w tej stronie, boć przecież kraje te więcej już wtedy kłopotu cesarstwu sprawiały, aniżeli przynosiły pożytku. Zresztą gnieźniński z r. 1000 układ Bolesława z Ottonem przyznawał królowi temu prawo aneksyi barbarzyńskich krain, a do takich jeżeli która, to ta właśnie część Słowiańszczyzny i w przekonaniu Ottona niewątpliwie mogła się liczyć.

Trudno pojąć, dlaczego nie przystąpił Bolesław z tej właśnie strony do przeprowadzenia w życie swoich zamysłów, dlaczego wołał je począć w sposób, który nań ściągnął zaciętą wojnę z całym państwem niemieckiem.

Z południa plemion lutyckich, między ową linią berlińską a granicą czeską, zalegały obszary serbskiej ludności, pochodzeniem bliższej Czechom, skłonnościami z dawien dawna więcej Polsce przychylniej. W tamtoczesnych bowiem stosunkach nie rządziło usposobieniem ludów słowiańskich poczucie bliższego albo dalszego pokrewieństwa narodowego, ale sam tylko stopień sąsiedzkiego zbliżenia. Im ościenniej się z kim sąsiedowało, tem bardziej się niecierpiało tego sąsiada, a z kim się było przegrodzonym jaką pośrednią dzier-

żawą, z tym się zwykle utrzymywało stosunki. Lutyicy równie nie lubili Polaków, choć językiem byli im bliżsi, jak Obotrytów i Serbów, z którymi graniczyli o międzę, a natomiast trzymali zawsze z Czechami. Czechów znowu niecierpieli Serbowie, a przechylali się do naszego narodu, podzielając jego antagonizm i względem ościennego sobie lutyckiego odłamu. Być bardzo może, że właśnie ta życzliwość Serbów dla Polski była powodem, że od nichto postanowił sobie Bolesław Chrobry zacząć podbój zachodniego Słowiaństwa. Przyczyniła się też do tego pewnie zarówno i chęć — przyjsčia naraz do gotowego. U Lutyków, Wilków, Hawelan, Obotrytów i t. d., którzy z przyczyn powyżej wyłuszczonych najwłaściwiej postawieni być mogli na pierwszej linii jego programu, trzeba było dopiero stworzyć to wszystko, co się zwać może chrześcijańskim, politycznym pierwiastkiem i żywiołem cywilizacyi. U Serbów zielenił się już podrost tego zasiewu. Stanowiła bowiem ta ludność główną miazgę w organizmie Wschodniej marchii owego niegdyś Gerona, który tak zmyślnie umiał trzymać w szachu książątka władzy swojej poddane. Zaprowadził on tam wszędzie ład i porządek w sensie niemieckim. A chociaż po śmierci tego margrabi (c. 967) rozpadła się była jednota tego marchijskiego ustroju na kilka cząstek drobniejszych, przechodziła przez różne ręce, nakoniec się przekształciła w trzy znowu większe margrabstwa: Łużyckie, miśńskie i (późniejsze brandeburskie czyli wtedy tak zwaną) Altmark: to stała tam jednak mimo tego wszystkiego władza niemiecka zawsze warownie — z wyjątkiem chyba brandeburskiej dzielnicy; w skutek czego też i chrześcijaństwo nawet zdołało tak w Łużycach, jak i Miśnii silne już zapuścić korzenie.

Ale właśnie dla tych przyczyn mogły też słusznie obydwaj te margrabstwa uchodzić w oczach niemieckich za prowincye zupełnie już pozyskane i zapewnione władzy cesarskiej. Jakoż pod tytułem formal-

nych lenności niemieckiego imperyum dzierżyli je za dni Bolesława ich niemieccy zwierzchnicy.

Owoż właśnie od zajęcia tychto dwóch dzielnic, Łużyc włącznie z ziemią Milską (około Budyszyna) i Miśnii, zaczął Chrobry wkroczenie swoje w stosunki zachodniej Słowiańszczyzny. Wykonał na te dzierżawy najazd niespodziewany zaraz po zgonie Ottona III (1002), zanim jeszcze przeprowadzony został obiór jego następcy. I dopiero kiedy wszystkie ważniejsze twierdze, na całej tej przestrzeni krajów między Odrą a Elsterą i Salą, poobsadzone już były załogami polskimi, stawił się przed co tylko obranym Henrykiem II z licznym orszakiem — na walnym zjeździe merseburskim (czerwiec r. 1002) — aby za wielką sumę pieniędzy i przez nacisk dokonanego już czynu wymusić na nowym cesarzu przychylenie się do wszystkiego, co się stało przed jego na tron wstąpieniem.

Oczywiście dziwić się temu nie będziem, że omyliła Chrobrego nadzieja, z jaką na dwór cesarza przyjechał. Henryk nie mógł w żaden sposób, nie przegrawszy żadnej bitwy, zaczynać panowania swojego od takiej przysługi państwu, którego całość powierzono jego opiece. Nacisk okoliczności wymógł wprawdzie na nim pewne ustępstwo — oznajmienie, że pozostawia królowi polskiemu Łużycę wraz z ziemią Milską; co do Miśnii jednak rozbiły się zupełnie układy. Ta marchia przeszła, zaraz na tymże zjeździe, w ręce jakiegoś Guncelina, brata (może tylko krewniaka) Bolesława naszego, z zastrzeżeniem wszakże lenniczego tylko tytułu władzy. Zdaje się, że i Bolesławowi pod takim tylko warunkiem oddane zostały Łużycę, choć co do tego punktu dzieje żadnych zgoła objaśnień nie dostarczają.

Na początek można było i w tem już upatrywać istotną korzyść. Feudalny tytuł władzy nad Łużycami przy zręcznej polityce mógł być z czasem przemienić się w inny stosunek. Kiedyś i Miśnia byłaby może zrosła napowrót z tamtą prowincją. Cóż, kiedy cho-

dzilo koniecznie o przeparcie wszystkiego naraz — a do podzegnienia tajonej jeszcze wtedy niechęci przyczynił się i fatalizm zajścia przypadkowego, które zaszczerpiło w sercach obu monarchów na całe życie osobistą nienawiść. Już przy wyjeździe króla polskiego z zamku merseburskiego dopuścił się jakiś tłum pospólstwa czy żołdactwa niespodzianej napaści na jego orszak. Do przelewu krwi nie przyszło, ale poczytał Bolesław wybryk ten poddanych cesarskich za zamach wymierzony na własną swoją osobę, w czem zapewne się nie pomylił, a ukartowanie tego zamachu przypisał — trudno dziś sądzić, o ile słusznie — Henrykowi samemu.

Pod tem wrażeniem, z uczuciem otrzymanej obelgi — przebył cały swój odwrót do Łużyc, odgrazając się już jawnie przeciwko cesarzowi, buntując mu jego poddanych, niszcząc po drodze miasta niemieckie.

I trzeba było jeszcze jednego wypadku, żeby ten tlejący w iskrze już ogień rozżarzył się w lunę ja-skrawą. Zajęcie tronu czeskiego, które nastąpiło w ośm miesięcy po tej merseburskiej przygodzie, miało być tym wypadkiem.

Niezdolność i okrucieństwa ówczesnego księcia czeskiego Bolesława III nazywanego w historii Rudym, ośmieliły pod owe czasy poddanych jego do wypowiedzenia mu posłuszeństwa. Rudy musiał szukać ocalenia w ucieczce. Na jego miejsce przyzwany został przez panów czeskich dalszy jakiś, jak przypuszczać należy, krewny rodziny tam panującej, który przypadkowo bawił w tych czasach w Polsce, imieniem Włodowej, księżę z tego tylko pamiętny w dziejach swego narodu, że się bez kielicha w rękę nie mógł obyć ani godziny i że w międzynarodowym stosunku dokonał aktu politycznego, którego następstwa trwają aż do chwili obecnej. Ażeby się utrzymać na tym tronie nieprawowicie sobie oddanym — mieli bowiem lepsze do niego prawo dwaj bracia rodzeni Bolesława Rudego, Jaromir i Ulryk, a i Rudy mógł mu jeszcze być nie-

bezpiecznym — powziął Włodowej postanowienie oddać się pod rękojemstwo i opiekę Henryka niemieckiego, jako wasal z całym swym krajem zaprzysięgający mu wierność. Jakoż zaraz po osiągnięciu mitry książęcej, przywiódł to postanowienie do skutku na zjeździe ratysbońskim, mało co później od owego merseburskiego (w listopadzie roku 1002) odbytym, składając dobrowolnie cesarzowi Henrykowi II hołd feudalny i przyjmując z ręki jego Czechy jako lenno cesarskie. W takito sposób i w owej dopiero chwili stało się to samoistne, jakkolwiek dannicze aż dotąd księstwo, integralną na wieczne czasy częścią i lennością Rzeszy niemieckiej ¹⁾.

Cesarz zapewnił wprawdzie hołdownikowi swemu trwałość władzy za cenę tę okupionej, ale życia długiego — tego nie mógł pijakowi zapewnić. Zaskoczyła śmierć przedwczesna Włodoweja już we dwa czy trzy

¹⁾ Nie można zbyt dziwić się historykom czeskim, że nieradzi, jak się zdaje, z tego wniósł swego narodu w początek niemieckich feudów, ucepili się oburącz konceptu przez Pelzla zapewne najprzód wygłoszonego. Ażeby uchylić z swego narodu odpowiedzialność za to hołdownictwo Włodowejowe, powtarzają jeden za drugim, że Włodowej był Polak, brat rodzony Bolesława Chrobrego — dlatego powołany do władzy w Czechach, ponieważ był synem Dubrawy. Tem bardziej zato dziwić się trzeba, że i niektórzy polscy dziejopisowie od Naruszewicza począwszy, bezmyślnie to samo za nimi prawią... Żeby Włodowej był bratem Chrobrego, a choćby tylko z urodzenia Polakiem, na to niema nawet śladu dowodu w źródłach dziejowych ani czeskich ani polskich ani niemieckich. Owszem uboczne okoliczności, przez współczesnego Diethmara (ks. V, 15) przy tej sposobności podane, upoważniają do twierdzenia, że jest to wymysł, co się zowie wyssany z palca. I za taki go też już poczytali krytycy niemieccy. Wszystko się tu na tem tylko opiera, że w owej chwili, gdy Włodoweja powoływano do zajęcia tronu czeskiego, bawił ten książę w naszym kraju. Jakgdyby na gościnnym dworze króla polskiego nie byli mogli przebywać i postronni książęta, a zwłaszcza też krewniacy, jakimi byli względem Bolesława naszego wszyscy członkowie dynastji Przemyślidów czeskich.

najdalej miesiące po dokonaniu aktu ratysbońskiego, w styczniu roku 1003. To umożliwiło powrót do kraju i do tronu czeskiego wygnanemu Bolesławowi Rudemu. Że go zaś teraz odzyskał, wbrew życzeniom swego narodu: miał to do zawdzięczenia jedynie cioteczemu bratu swojemu, u którego w ostatnich miesiącach życia tamtego krewniaka gościnny znalazł przytułek — królowi polskiemu Bolesławowi. Przyprowadził go ten bowiem osobiście teraz do Pragi i posłuszeństwo dla niego całej ludności praskiej nakazał. Owoż ta interwencya Chrobrego w sprawy nie swoje miała wydać złe owoce dla nich obydwóch. Doznana przeciwność losu nie nauczyła bowiem bynajmniej czeskiego księcia rozumu: już po kilku tygodniach tych ponownych swych rządów nad przejednanym narodem posunął on tam rzeczy do takiej ostateczności, że Czesi, do rozpaczki doprowadzeni, ażeby się raz na zawsze pozbyć tyrana, zażądali pomocy przeciwko niemu od własnego jego obrońcy. Bolesław przybywa na miejsce, staje tym razem po stronie uciemiężonych. Dozwala, a raczej nie przeszkadza narodowi, postąpić sobie z okrutnikiem, jak im się podobało (oślepiiony i wywieziony gdzieś daleko został ten książę czeski przez własnych swoich poddanych) — a po tym akcie wymiaru sprawiedliwości ludowej, wdzięczni Czesi za tę pomoc w ich zakłaniach domowych, zapraszają z własnej inicjatywy na tron, w ten sposób opróżniony... polskiego króla.

Ani się marzyć mogło Bolesławowi naszemu w chwili, kiedy przyjmował ten dar fatalny, jak sobie przez to całe położenie utrudniał, w jaką matnię po tem wszystkiem, co w stosunku księstwa czeskiego do cesarstwa i w stosunku do niego samego poprzednio zaszło, w jaką trudność powtarzam wchodził, jeżeli się nie chciał wyrzec swej doraźności w działaniu, wyniosłości w uroszczeniach, nienawiści przeciw osobie cesarskiej. Księstwo czeskie było rzeczywiście gorzej jak darem fatalnym — było dla niego psychologizmem

niepodobieństwem. Wprawdzie samito Czesi zażądali, by król polski objął rządy nad nimi. Wprawdzie były po stronie Bolesława pewne prawa dziedziczne do tego księstwa, bo wszakże po kądzieli i on z Przemyślidów pochodził. Fakt objęcia władzy, rzecz najważniejsza, był już spełnionym. A przecież, mimo tego wszystkiego, połączenie narodu tego z Polską było w danych okolicznościach utopią. Nie dlatego, że jak się wyżej już okazało, przyrodzona polityczna waga naszej monarchii ciążyła wtedy ku Zachodowi; nie dlatego, że podobny zlew dwóch już w tym stopniu politycznie sformowanych i wyosobnionych ludów należy w historii do przykładów co najmniej fenomenalnych; nie dlatego, że naród czeski jak mało który drugi był wtedy z charakteru wichrowaty w swoich zachęciach; nie dlatego, że dwaj bracia rodzeni oślepionego Rudego, którzy lepsze do spadku po nim mieli prawa, niż nasz Bolesław, już rozpoczynali zabiegi, jakie tylko były w ich mocy, żeby przyspieszyć w Pradze powianie innego wiatru. Ale dlatego to nazwałem niepodobieństwem, że księstwo Włodoweja od czasu spełnionego hołdu Henrykowi II w roku poprzednim, już się musiało prawowicie poczytywać za lenność Rzeszy, a tron czeski za beneficjum niemieckie, które osiągnąć można było tylko z ręki i łaski owego cesarza, którego Bolesław tak nienawidził — na warunkach, które inny monarcha, przebieglejszy w politycznych kabałach, zdolniejszy do wyczekiwań, skłonniejszy do maskowania zamiarów rzeczywistych, a udawania uczuć tym zamiarom przeciwnych, byłby pewnie z wdzięcznością przyjął i może z nieobliczonym dla stron obydwóch, czeskiej i polskiej pożytkiem, czy to zaraz, czy bodaj kiedyś — czy to sam, czy przez którego z swoich następców spożytkować potrafił. Lecz nasz Bolesław nie posiadał takich przymiotów. Jego program brzmiał węzłowato i jasno — zdobywać kraje i panować w nich jak w udzielnych.

Z takim programem położenie ówczesnego księcia czeskiego nie dawało się w żaden sposób pogodzić.

Kiedy przeto przyszło od Henryka II niezadługo oznajmienie do Pragi, że mu nie tylko Łużyce, ale nawet i księstwo Czeskie zostawi w posiadaniu spokojnem — lecz nie inaczej, jak na warunkach, w jakich je znalazł, to jest jako lenność cesarską: odtrącił dumnie Chrobry to orędzie cesarskie i odpowiedział, że posiada już czeskie księstwo i że je dzierży swem własnym prawem. Tą odpowiedzią dokonał rzeczy, którą nazwać można spaleniem za sobą wszystkich mostów. Sprawa stanęła na ostrzu miecza — i nastąpiło, co musiało w danych okolicznościach nastąpić.

Panowanie nad czeskim księstwem trwało tedy tylko półtora roku. Skończyło się... bądź co bądź niezaszczytnym odwrotem z Pragi, wymuszonym nieprzewidzianą przez Bolesława zdradą tego burzliwego narodu. Uknuli Prażanie wiarołomnie to sprzysiężenie przeciw monarsze, którego sami niedawno temu do stolicy swojej ściągnęli, zanim jeszcze przyszło do stanowczego zerwania i starcia z cesarzem, (w początku września r. 1004).

Zawojowana w tych samych czasach i zatrzymana nawet po tej katastrofie w rękach polskich (aż do śmierci Chrobrego) połowa Moraw — drugą połowę dzierżyli Węgrzy — nie mogła być uważaną za korzyść równoważącą doznanemu upokorzeniu. Starania ciągle w tych latach ponawiane w Rzymie o koronację królewską, które gdyby były wydały doraźny skutek, byłyby się mogły w części przyczynić, i to może nawet w oczach czeskich poddanych, do podniesienia uroku tej potężnej osobistości — i te także musiały chybić. Pobożny niemiecki Henryk posiadał aż nadto środków, żeby wpłynąć na kurję rzymską w duchu przeciwnym. A krwawe wysiłki 14-letniej odtąd wojny (1005—1018), prowadzonej w skutek tego wszystkiego już z konieczności z całym państwem niemieckim —

odsunawszy na bok magiczne światło bohaterstwa nieznanego żadnem niepowodzeniem, a tak często odnoszącego nawet niewątpliwe nad silniejszym przeciwnikiem korzyści, przyniosły ten tylko rzetelny skutek, że się Bolesław wreszcie dowiedział, że zbyt dzielny jest wodzem, by się dać pobić Niemcowi, lecz królem państwa zbyt jeszcze niezasobnego, by jego rzucić na ziemię i wymusić od niego ustępstwa, które były celem walki. Wojna ta zatem, mimo całej tak imponującej świetności, zmitrężyła tylko siły tego genialnego człowieka i zajęła bezowocnie najdzielniejszą część jego życia. Traktat Budyszyński (1018) zwrócił, a raczej pozostawił rzeczy na punkcie, na którymśmy stali jeszcze w r. 1002. Łużyce z Budyszynem pozostały przy Polsce pod nieokreślonym jasno, to jest przez obie strony po swojemu wykładanym tytulem. Miśnii cesarz nie odstąpił. Lubusz z przyległościami za Odrą, zajętemi w r. 1012 - ten nam wprawdzie przyznano; ale zato odpadło w tymże czasie w bałwochwalstwo napowrót i w niezawisłość pozyskane przed r. jeszcze 997 Pomorze, a wśród trudów wojny postronnej nie było tak zaraz na to sposobu, żeby zaradzić stracie tej tak nieskończenie ważnej, bo nadmorskiej prowincyi.

Ale te wszystkie bezskuteczności wysileń są jeszcze niezem w porównaniu z największą szkodą, jaka z nich pośrednio w dalszem następstwie wynikła — z wyprawą kijowską.

Nie znamy wprawdzie wszystkich pobudek, które skłonić mogły Chrobrego do powzięcia zamiaru zawojowania księstwa ruskiego (z którym już w poprzednich latach, np. w r. 1013, miał zatargi zalatwane wojennie) i do postanowienia wcielenia Kijowa do dzierżaw swojej monarchii. Że jednak ta największa z wszystkich powziętych przezeń utopii rzeczywiście stała w r. 1018 na jego programie — to jest jasnem dla każdego, kto wszystkie szczegóły 10-miesięcznego jego pobytu w tej stolicy ruskiej rozważy. Że to zaś było

w ścisłym związku z wojną niemiecką, że było prostym tylko tej co tylko ukończonej wojny wynikiem: o tem przekonać może samo zestawienie wypadków. Dobijanie się władzy nad zachodnim słowiańskim światem (źle rozpoczęte) nie doprowadziło do celu; nadzieja wcielenia do Polski czeskiego księstwa chybiła; a więc — »dajmy pokój wstrętnemu Zachodowi, niech sobie nad nim Niemiec panuje! my położmy rękę naszą na innem królestwie, obróćmy oręż w przeciwną stronę, gdzie pragnienie przyścia naraz do gotowego łatwiej się da osiągnąć — idźmy wyszczerbić ten oręż... na żelaznej bramie kijowskiej!« — Takie były w każdym razie główne motywa najazdu Rusi.

I został zajęty gród ten Włodzimierza W. (1018). Poddano się księstwo ruskie swojemu zwycięzcy — mógł z niego Bolesław na wszystkie strony dumne rozsyłać poselstwa — mógł przy wyjeździe z Kijowa w roku następnym uprowadzić z sobą z niego skarby bajeczne i wierzyć, że na tronie tamtejszym siedzi zięć jego jako namiestnik... Niedaleka przyszłość miała okazać, że to były znowu tylko marzenia. Co w nich było opartego na przyrodzonych warunkach, to pozostało — lechicka ziemia od Sanu aż do Seretu, którą był zdobył i do państwa swego przyłączył Włodzimierz W., a Chrobry ją w r. 1019 ciągnąc do własnego kraju z powrotem, obsadził załogami polskimi. Lecz Kijów — okazał się fantazmatem.

I nie byłoby też powodu ubolewać nad tym tak wspaniałym epizodem epepei panowania bohatera naszego. Boć szkody, klęski, straty przytem żadnej nie poniesiono. Owszem, sława, zdobycz bogata, dowiedziona przewaga męstwa Polaków — wynagrodziły so-wicie trudy podjęte. Na nieszczęście, właśnie ta pozorna świetność wyprawy kijowskiej stanowi ujemną, wręcz złowieszczą stronę tego dziejowego wypadku. Przez całe dzieje polskie już potem snuje się jak nić czerwona ta nieszczęśliwa idea, że co się straciło, lub

czego się nie dopięło, w stosunku do zachodniego sąsiada, który się ciągle wpijał i wżerał w nasze wnętrzości — to nam odbijać należy na pograniczach wschodnich. Następstwa tej obłędnej dążności do dziś dnia utrudniają, łamią, niweczą, obrzydzą nam niestety nasze trudy społeczne! Otoż pierwsze zainaugurowanie tej polityki fatalnej było mimowolnem — nie zamierzonom wprawdzie, ale przecież spełnionem dziełem chrobrego króla naszego. Jego szczerbiec, jego — jak je ograniczeni kronikarze nazwali, słupy żelazne, bite w łożysku Dniepru i Elby i Sali, nie przestały już zatrudniać fantazy potomnego narodu. Od Elby wprawdzie i Sali stroniłszy przez wszystkie wieki następne, bo tam była twarda przeprawa. Tem chętniej zato sunęliśmy się ku pochyłemu Dnieprowi. Całe ciężenie Polski z czasem ku Wschodowi się przechyliło. Wielu historyków naszych to sławi! Czy słusznie? Spytajmy o to Szląsk i Pomorze i te mogiły słowiańskie, na których się dziś rozłożyły stolice Niemiec północnych. Spytajmy o to wreszcie i nasze położenie obecne...

Fantazyjna ta polityka Bolesława I jednakże nie miała aż do końca dni jego zaprzętać jego umysłu. Jak początek rządów tego prawdziwego założyciela Polski jako mocarstwa zapełniony był czynami trwałej wartości: tak też i koniec tego panowania (1019—1025) ukazuje nam w nim znowu monarchę, do moralnej wysokości którego prócz Krzywoustego i Łokietka, żaden z Piastów wznieść się już nie potrafił. Zawód doznany na fantazmacie ruskim, krótko po powrocie z Kijowa ¹⁾, odsłonił przed nim nadaremność wszystkich podobnych

¹⁾ Rozumiem przez to przeniewierstwo, jakiego się pozostawiony na tronie kijowskim przez Bolesława naszego zięć jego Świętopelk w r. 1019 dopuścił, dając rozkaz pomordowania Lachów, którzy stanowili załogę w stolicy ruskiej, dla jego własnego bezpieczeństwa tam pozostawioną. Zaraz potem odebrał mu władzę książęcą brat jego Jarosław, który Świętopelka wypędził, a do

przedsięwzięć. Była to ostatnia jego próba dobijania się o królestwa odległe, o państwa, których i przeszłość i duch nie miały z jego narodem przyrodzonej wspólności. Zrozumiał teraz Bolesław, że zadaniem fundatora państw i narodów — tworzyć samemu podwaliny ich wielkości, wyrabiać i wywodzić z elementarnej nicości politycznej materiał zamierzonej budowy, nie zaś zagarniać, co inni — sobie, nie komu w takiż sposób stworzyli. Duchowe, moralne, stopniowe i organiczne czyny, zdobycze w zakresie żywiołów okolicznych, najbliższych, oto co stało się odtąd hasłem zbawczych działań Bolesławowych: teoria dosięgania wszystkiego naraz i przychodzenia łatwym kosztem do gotowego już żniwa, poszła w odstawkę.

Ubolewać nam należy, że tak mało nam są znane właśnie te lata ostatniej pracy i dojrzałej myśli wielkiego tego króla. Uszły one równie baczności krajowych bliskoczesnych mu spisywaczy roczników, z których potem kronikarze osnowę dziejów (jak umieli) klecili, jak i postronnych dziejopisów współczesnych, do wiedzy których te niejaskrawe już czyny w zbyt oddalonym narodzie albo wcale nie dochodziły albo żywszego nie obudzały zajęcia. Zmuszeni jesteśmy odgadywać prawie w tym okresie dążność rządów Chrobrego, odtwarzać sobie program jego działania z odosobnionych zdarzeń, zaledwie się dostrzec dających, z zdarzeń zapomnianych przez potomność, niewiadomych czyimi właściwie były czynami, jakby martwych i napowietrznych, dopóki się na nie nie spojrzy z punktu widzenia, który je wszystkie razem połączone widzieć daje i na gruncie chwili domyślnej osadza.

Zamierzono sobie teraz przedewszystkiem odzyskać straconą ziemię Pomorską. Podbić ją mieczem i narzuconem na karki jarzmem, nie wystarczało. Posiew

żadnych stosunków podległości względem króla polskiego wcale się nie myślał poczuwać.

trwały chrześcijaństwa i moralny wpływ ducha polskiego, oto co miało stworzyć pomost do społecznego przyswojenia sobie tej zdziczałej ludności, i taki tylko jej powrót uznano za pożądany. Wynikło z tego postanowienie wznowienia biskupstwa Kołobrzeskiego, które (zapewne jeszcze przed rokiem 1013) przy powszechnym powrocie Pomorzan do bałwochwaltwa upadło. Biskup Reinbern, osadzony na tej katedrze w r. 1000, był w ogóle jedynym biskupem tej dyecezyi. Po jego śmierci, którą około roku 1013 z niewiadomych nam powodów znalazł w więzieniu kijowskim jako jeden z orszaku córy Bolesława naszego, wydanej w owym czasie za Świętopelka, syna Włodzimierza W. nie można już było nowego pasterza do tej dyecezyi wysyłać. Otóż teraz, po ukończeniu zawieruchy wojennej, przyszła pora podniesienia na nowo tej tak nieskończonej ważnej strażnicy religijnego i cywilizacyjnego działania na północnych kończynach Polski. Nie osadzono jej już jednakże na podmulonym gruncie pomorskim, nie w Kołobrzegu — lecz na rdzennie polskich kresach, na chrześcijańskiej już ziemi, w bezpiecznej, bo własnej starej kujawskiej twierdzy Kruszwickiej. Biskupstwo to, wyposażone skrawkiem gnieźnińskiej dyecezyi, a rozciągnąć mające właściwe swe terytoryum aż do samego Bałtyku i uścia Odry, było tedy wznowieniem tylko dawnej kołobrzeskiej fundacyi; lecz otrzymało teraz charakter kresowy, cywilizacyjno-zdobywczy, marchijski i misyonarski — ani zaś wątpić nie można, że z tem religijnem zadaniem szło ręką w rękę także i polityczne ¹⁾).

Drugim takim krokiem, skierowanym ku ustaleniu

¹⁾ Dowodów na poparcie tego zapatrywania na początek, czas założenia i znaczenie ówczesne Kruszwickiego biskupstwa, udzieliłem przy innej sposobności. Usprawiedliwiam tam także i twierdzenia moje co do innych biskupstw, które tu wypowiadam, a w którychto biskupstw założeniu widzę więcej jeszcze politycznych zamiarów, aniżeli kościelnych.

wewnętrzny ład w królestwie i stosunkach jego kościelnych, było wydobyte Poznańskie biskupstwo z organizmu zagranicznego, z pod Magdeburga, i wcielenie go do całości polskiego kościoła, do metropolii gnieźnieńskiej. Kiedy to zaszło — w przybliżeniu chyba tylko można oznaczyć. Przed r. 1012 niezawodnie nie. Drugi z porządku bowiem biskup poznański Unger, wiadomo, że zakończył życie jako sufragan jeszcze magdeburgskiej archidiecezyi, a zgon Ungera przypada na rok 1012. Czy zaś zaraz po jego śmierci, czy w kilka lub dopiero w kilkanaście lat później (po budyszyńskim traktacie r. 1018) przyszło do tej zmiany stosunków, o tem nie powiadamiają nas dzieje. W każdym razie jednak uważać można za pewne, że wprowadzenie w życie kruszwickiej fundacyi było wcześniejszym wypadkiem, aniżeli to poddanie poznańskiej katedry pod gnieźnieńską. I właśnie z tego powodu musimy koniecznie wnosić, że stało się to wszystko w ostatniej dopiero epoce życia Chrobrego.

Trzecim czynem tegosamego rodzaju, lecz doniosłości (w zamiarze!) nierównie większej, było założenie biskupstwa w zdobytym na Niemczech Lubuszu nad Odrą. Z którego roku datuje ta fundacya — dzieje i tego nie orzekają. Oczywiście przed budyszyńskim traktatem ona powstać nie mogła; nie byłaby mu bowiem stolica apostolska udzieliła zatwierdzenia swojego, gdyby miasto, w którym je zakładano, należało jeszcze do gruntów spornych i tylko faktyczną mocą oręża posiadanych przez Polskę. A więc i ta kreacya kościelna przypada na ostatni dopiero okres życia założyciela. Wzniesione na samych zachodnich kresach państwa polskiego, nie mogło mieć to biskupstwo oczywiście posłannictwa, rozciągać na gruncie polskim pasterskiej swojej opieki. W tym względzie czyniła wszelkiej potrzeby zadość już i poznańska katedra. Jego zadanie patrzyło w oczy bałwochwaleczych pobra-
tymców i sąsiadów naszych za Odrą, miało działać du-

chownie na plemię Lutyków, dotąd z taką dla strony swojej i naszej szkodą pomijanych przez Polskę, zasiać tam w imię pokoju ziarno, z którego plony błogosławione miały się kiedyś zbierać przez Polskę i w politycznym znaczeniu. Że do tego nie przyszło, to już skutek dalszego obrotu rzeczy.

Czwartym tegoż może monarchy czynem, tejsze dążności — to wzniesienie jeszcze jednej takiej kresowej fundacyi kościelno-politycznej — biskupstwa Mazowieckiego, założonego w Płocku. Gdy Kruszwica działać miała na północ, po lewej stronie Wisły — gdy Lubusz stać się miał duchowną marchią naszą zachodnią: przypadło temu biskupstwu w dziale posłannictwo takiejże propagandy w pogranicznych ziemi mazowieckiej Prusiech i na gruncie Jadźwingów. Narody te niepokoili granice polskie; na Pomorzan działała dzikość tych ich zawiślańskich sąsiadów buntowniczo i reakcyjnie: było to przeto dla naszego narodu ze wszech miar pożądanem, by i na tej ościennej ziemi światło wiary i pojęć europejskich raz już przyświecać zaczęło, na korzyść wzajemnego zbliżenia ludów ku sobie i dalszych z tego możliwych następstw ¹⁾.

Że zamiary założyciela tych biskupstw, tak bijące

¹⁾ Dzisiejsza krytyka historyczna podaje w powątpiewanie, a nawet przeczy, żeby biskupstwo płockie było dziełem Bolesława Chrobrego. I rzeczywiście ze strony zewnętrznych pozytywnych dowodów przypuszczenie to nie ma żadnego poparcia. Taksamo jednak nie mają go i inne domysły o początku tego biskupstwa. — Nabytek zawiślańskiego Mazowsza zdaje się być faktem dopiero z czasu po roku 1000. Gdyby bowiem ten nabytek był dokonany przed owym rokiem, byłoby trudno pojąć, dlaczego tam nie założono biskupstwa równocześnie z krakowskim i innymi z owego czasu. W każdym razie jednak aneksya tej dzielnicy musiała być czynem tego jeszcze monarchy. I jak wierzyć, żeby Chrobry Mazowszu tego poskapił, czem obdarzył inne swoje, a nawet nie-swoje jeszcze ziemie? Przynależność zaś przedwiślańskiego Mazowsza datowała z czasów Mieszka I i to powód, że ziemia Czerska pozostała na zawsze pod biskupstwem poznańskim.

w oczy przez samo zestawienie zdarzeń odnośnych, tak uzasadnione w jego położeniu ówczesnem, wydały mimo wszystkiego w tym kierunku tak mało plonu: o to winić już nie jego należy. Niestety, nie dość wczesnie wszedł on na tę drogę, jedynie prowadzącą do celu. Po jego śmierci ubyłoby ręki, któraby kierowała i podsycała skuteczność działań z tych wszystkich tak mądrze obmyślonych stanowisk.

Wymienione tu fundacye kościelne nowe, i przeobrażenia dawniej już dokonanych, które zapewne przychodziły do skutku w miarę rozwijających się potrzeb i w każdym razie nie mogą być poczytywane za wynik jednego postanowienia, nasuwają nam jedno jeszcze spostrzeżenie, które warto tu podnieść, rzuca bowiem pożądanę światło na ten tak mało rozświetlony ustęp dziejowy. Widzimy tu z jednej strony, w jak częstych i w jak ścisłych zostawać musiał Bolesław przez cały ten czas stosunkach ze stolicą apostolską. Bez przyzwolenia papieża aniby wehodzić w życie nie mogły nowe biskupstwa ani zmiany tak istotne orzeczeń fundacyjnych co do katedr założonych już dawniej. Z drugiej strony uderza w tych wszystkich czynach zupełny brak ingerencyi cesarskiej. (W przeciwnym razie byłby odgłos tego wszystkiego musiał się odbić we współczesnych pismach niemieckich — a te o założeniu tych biskupstw milczą). Snać więc umiał zapewnić król polski ustępstwom Ottona III moc obowiązującą i nadal i co czynił w kraju swoim od tego czasu, do tego nie dopuszczał żadnej spółki niemieckiej nawet w sprawach kościoła.

Jeżeli go zaś widzimy zostającego w takich ciągłych stycznościach i dobrym skutkiem wieńczonych porozumieniach z Rzymem, zajętego tak gorliwie pomnażaniem środków szerzenia chrześcijaństwa nie tylko w swoich obszarach, lecz nawet poza ich granicami; jeżeli go widzimy składającego tyle dowodów iście monarszej hojności przy uposażaniu tych biskupstw: to

~

jakżebyśmy uwierzyć też temu mieli, że dwór rzymski mimo tych niewątpliwych dowodów wiary żarliwej i tak znakomitych zasług około Kościoła, miał mieć dla Bolesława zawsze tylko rękę szczelnie zamkniętą i traktować go jak pasierba? Nie, niepodobno w to uwierzyć, co z powodu że milczą o tem źródła współczesne (a o czemże one nie milczą wobec tej epoki rządów Chrobrego) już się prawie zamieniło, nawet w narodowej historyi, w pewnik. Uroczysta koronacja kościelna i namaszczenie Bolesława na króla, dopełnione w ostatnim dopiero roku życia tego monarchy przez krajowych biskupów w Gnieźnie, nie mogło być aktem bez wiedzy i zezwolenia papieża dokonany tylko na sam rozkaz królewski... Zaprawdę aniby biskupi polscy nie byli śmieli przystąpić do tej czynności bez wyższego upoważnienia, ani też papież nie miał już wtedy żadnych powodów wzbraniać tego. Że do tego przyszło tak późno, dopiero w ostatnich miesiącach r. 1024 albo pierwszych 1025: to w rzeczy samej zdaje się że zostawało, jak się tego powszechnie domyślają, w związku z śmiercią mało co przedtem (r. 1024) przypadłą cesarza Henryka II. Lecz nie w tym sensie, jak to niektórzy niemieccy historycy pojmują i chcieliby po swojemu tłómaczyć, mianowicie że Bolesław skorzystał skwapliwie z zamknięcia oczu tego »swego zwierzchnika: i jakby pod niebytność pana w domu, wyplatał Niemcom figla, by dowieść swej od nich niezawisłości. Był on od nich niezawisłym już od r. 1000. A jeśli miał i potem z nimi o to zatargi, to nie w charakterze króla polskiego, lecz z tytułu dwuznacznej władzy swojej nad Łużycami. Związek przyczynowy między zgonem Henryka a koronacją gnieźnieńską był zdaniem mojem innej natury. Upatrywać go w tem należy, że kurya rzymska, zobowiązana słowem danem i ulegająca wpływowi tego cesarza, nie mogła przychylić się do życzenia króla polskiego prędzej, aż dopiero kiedy ten wróg jego nareszcie do grobu zstąpił.

Od tej chwili rozwiązane były jej ręce. Z jej tedy wiedzą i wolą uświetniła i koronacya nakoniec dostojność tronu polskiego, a lament kronik niemieckich, ten odgłos oburzenia, jakie to widać w całych Niemczech sprawiło, potwierdza nasz domysł o tem, kto to aż do owej pory stał murem przeciwko tej koronacyi.

Po zgonie Bolesława Chrobrego miała Polska pozostawione sobie w spadku po obydwóch pierwszych swoich chrześcijańskich władcach dwie polityki, dwa zgoła odrębne wzory rządzenia — do wyboru. Polityka Mieszka I była ostrożna, z danych okoliczności w kraju i za granicą nigdy oka nie spuszczałająca, niby zawisała i nie bohaterska, w szczegółach od świetności olśniewającej daleka — w całości skutków zato przejmująca podziwem i pewną drogą wiodącą naród do celu. Polityka Bolesława I w latach od 1002 do 1019, a i później poniekąd, była pod wielu względami prostem przeciwieństwem tamtego wzoru. Osięgała ona potężne rezultaty, lecz nie takie jak zamierzała. A że i takie odniosła, zawdzięczało się jedynie osobistej wielkości tego monarchy... Po zejściu Bolesława miało się narzeczcie okazać, czy pod berłem nie genialnego, ale zawsze uznania godnego panującego, któremu dopiero kłamliwa pragmatyka późniejszych dziejopisów zarzuca to tyranie i wyuzdaną rozwiązłość, to znowu gnuśność lub pantoflową względem żony cudzoziemki uległość, będzie się mogło utrzymać to młodociane państwo na wysokości, której nie odpowiadała ani moralna siła w narodzie ani tęgość i doniosłość władzy nad nim najwyższej.

Tamtę czynnik był jeszcze niewyrobiony: gmatwały go dawne, głęboko zakorzenione, bynajmniej nieuchylone jeszcze tradycje — innej natury. Władza królewska miała wprawdzie swój już teraz świetny pre-

cedens; ale ażeby posiadać całą tę władzę, na to potrzeba było dopiero zdobyć ją sobie osobiście każdemu, kto ją miał dzierżyć — nie tak w stósunku do ogółu poddanych, jak do współksiążąt, braci, krewnych, słowem w stosunku do paragialnych współników rządu.

Cały tok dziejów od tej chwili aż do początku rządów Krzywoustego — jest to jeden ciągły proces przesilenia to jednej polityki, to drugiej. Nazywać tej części historii naszej świetną i bezwarunkowo pomyślną w żaden sposób nie można. Kto tylko z panujących w tej dobie puścił się drogą Bolesławowską — zawsze szwankował. Nawet dzielne osobistości zbierały na tej drodze, prędzej czy później, niepowodzenia, które im samym przynosiły upadek, a na państwo ściągały kłeski, z których je dopiero mozolną pracą musieli podnosić ich następcy, a to sposobami przez Mieszka I przekazanymi. I warto zauważyć, że nawet przy zwyyczajnych zdolnościach księżęta postępujący tym torem, dochodzili do celu, gdy przeciwnie nawet świetne osobistości, za tamtym ideałem goniące, upadały wśród zawodu.

Przerzucanie się z jednego kierunku w drugi nie działo się przypadkowo, choć niewątpliwie wpływały na to i osobiste skłonności panujących. Nawrót ku Mieczysławowym tradycjom bywał zwykle wywoływany koniecznością, leżącą w samych stósunkach. Przeciwnie pierwsza pozorna możność puszczenia się w ślady odwrotne wystarczała, żeby iść za przywodem fantazyi. W chwilach takich żył młodociany naród nasz pełną piersią. A kiedy zużył, czego mu trudem i powściągliwością dostarczyła poprzednia generacya, wracał znowu do cichej pracy.

Początek panowania Mieszka II (1025—1034) był zupełnie w duchu Chrobrego. Historyografia czasów późniejszych zowie go Gnuśnym. Od lat co najmniej 400 powtarza o nim sądy i nawet szczegóły,

które go prawie obmierziły w pamięci potomności. Sądy te nie mają żadnej historycznej podstawy.

Są to później dorobione, z własnej głowy kronikarzy wysnute domysły — nie wedle podań, któreby i wtedy jeszcze były w obiegu, lecz wedle kłesk, które pod tym księciem państwo poniosło. Aby zrozumieć te kłeski, dorobiono sobie króla z przymiotami odpowiednimi. A można to było zrobić tem łatwiej, że w podaniach krajowych była już wtedy w tem miejscu zupełna próżnia, postronne zaś wzmianki o tem nie były w Polsce znane.

Genezę tej opinii o Mieczysławie, jak się zawiązała i rosła, można tropić krok za krokiem. Gallus, najdawniejszy z krajowych dziejopisów, to tylko wyrzekł o nim, że był on dzielnym wojownikiem, który dokazał wiele czynów rycerskich, ale *propter patris invidiam vicinis omnibus exitit odiosus*. Nie można trafniej w kilku słowach opisać położenia. Kadłubek, o trzy ćwierci wieku późniejszy od Galla, o całe półtora wieku późniejszy od Mieczysława, już mu zarzuca, że jeżeli czasem prowadził wojny, to dlatego tylko, że musiał. Baszko, pod koniec XIII w. żyjący, utworzył z tego już bezwarunkową gnuśność (*desidiam*). Żywot św. Stanisława (przy Gallu drukowany w r. 1824) do tej *desidia* dodaje jeszcze, że był to żonkoś i zgoła rozwiązyły człowiek. A Długosz nakoniec, który go tak szczegółowo opisał, jakby go był widział i osobiście znał, ni suchej nitki na nim nie zostawił! Dzisiejsza krytyka wprawdzie umiarkowała to trochę, ale zawsze wiele z tego zostało, nawet w najlepszych dziełach ¹⁾. — Współczesne wzmianki o Mieczysławie niemieckich annalistów zadają kłam tej całej charakterystyce od Kadłubka począwszy: ganią w nim dumę, wyniosłość, zuchwałość, tyranję i wojowniczość. Jakże z tem pogodzić gnuśność?

¹⁾ Mowa tu o dziełach z przed r. 1875.

Komu zależy na rzeczywistej prawdzie dziejowej, kto ją czerpie z rozprószonych wzmianek współczesnych w postronnych literaturach, i z takich źródeł krajowych, które przez samą czasową bliskość z przedmiotem przynajmniej mogą zasługiwać na wiarę: ten pozostanie co do Mieczysława II rządów wprowadzie przy nader szczupłym zasobie wiadomości, ale mu i to minimum wiedzy wystarczy nato, żeby tamtą pragmatykę jak najzupełniej odrzucić.

Uczestnik wielokrotny w sprawach publicznych jeszcze za rządów ojca, używany przezeń do czynów największej nieraz wymagających zręczności, przeniesiony z jego woli nad innych braci i ustanowiony następcą tronu z pominięciem starszego (Bezpryma), ożeniony (jeszcze r. 1013) z jedną z najświetniejszych księżniczek w Rzeszy niemieckiej¹⁾ — chciał Mieczysław, już w tych czasach 35-letni, nie tylko iść we wszystkim w ślady Chrobrego, ale nawet i dalej jeszcze posunąć jego zamysły. Odbywa zaraz po swoim na tron wstąpieniu uroczysty akt koronacyi²⁾, który wywołał takież zgrzyt oburzenia na dworze cesarskim, jak niedawno przedtem koronacya ojcowska. W stósunku do braci, których miał dwóch i którzy, jak wnosić ze wszystkiego należy, w myśl obyczaju panującego wyposażeni być musieli cząstkowemi księstwami, poczyną sobie jak jego ojciec; widzi się niezadługo zmuszonym, jeżeli nie z obydwoma, to co najmniej z przyrodnim, starszym swym bratem Bezprymem, który go nienawidził i zdradzał, tak postąpić jak tamten względem swoich braci w r. 995 postąpił. Łużyce, w r. 1002 Niemcom wydarte, zatrzymuje w swoim dzierżeniu

¹⁾ Ryksa była siostrzenicą zmarłego w r. 1003 cesarza Ottona III, jako córka siostry jego Matyldy i Ezona Palatyna lotaryńskiego.

²⁾ To można na pewne twierdzić na podstawie znanego listu do Mieczysława II, który mamy zamieszczony w »Mon. Pol.« T. I str. 323, mianowicie na podstawie początku tego listu.

i ani wątpić, że taksamo jak jego ojciec, nie uiszczal cesarzowi z nich danin. Co większa, poczyna, i to w pierwszych już latach panowania swojego, względem kraju Lutyków działanie, którego Bolesław w czasie dogodnym zaniedbał, później zaś, gdy je już za późno było przeprowadzić orężem, w inny sposób bodaj przygotować próbował (założenie biskupstwa Lubuskiego). To działanie najwyższej wagi wznawia tedy aż nazbyt śmiały Mieczysław jawnie i zbrojnie. Najdalej w r. 1028, jeśli nie rychlej, miał on już pod ręką swoją część jakąś tego plemienia i to prawem nie podlegającego żadnej wątpliwości podboju...¹⁾

Na dobrych chęciach i animuszu tedy Mieszkowi II nie brakło. Ale mu brakło sił i zasobów do prowadzenia tej polityki, a co gorsza, brakło mu do tego nawet i szczęścia. Wgnany z ojczyzny Bezprym (jak się drugi brat Mieszka, młodszy od niego Otto zachowywał, nie jest wiadomem) obszedł w okół wszystkich po kolei sąsiadów, z których każdy miał coś do odebrania sobie napowrót od Polski, i miało się niezadługo okazać, że te zabiegi jego odnosiły skutek, jakiego wgnani bracia Bolesława Chrobrego czasu swego nie dostąpili. Zawojowani Lutyce z swojej strony wywnętrzają przed cesarzem (r. 1029 w Palithi) swoje jęki boleści, swoje skargi na »tyranię« króla polskiego, swoją odtąd niby wierność dla Niemiec. Aż nazbyt powodów do wyprawy Konrada II przeciwko Polsce (1029, która

¹⁾ Orzeczenia powyższe opieram na zapiskach rocznikarskich niemieckich, w części współczesnych, w części bliskoczesnych, których zbiór lubo nie wszystek, ale zawsze dostateczny, mamy zestawiony w »Monumentach polskich«, tomie II, str. 763 i n., mianowicie počawszy od wspominki w rocznikach Hildesheimskich danej pod r. 1028. Przez »*regnum Sclavorum*« i »*orientales partes Saxoniae*« rozumiem Łużyce i dzierżawy Lutyków. Z dalszego kontekstu zapisek tu powołanych okazuje się zdaniem mojem jak najjawniej taki tylko, a nie inny sens powyższych wyrażań.

jednak skończyła się prawie sromotnym w roku rze-
czonym odwrotem Niemców z pod Budyszyna, a roz-
zuchwalila tylko ufnosc wlady naszego. W r. 1030
orez polski, przez postepy w brandeburskich (a wiec
glębszych jeszcze lutyckich) dzierzawach, i przez
przewagi wstepnym bojem roznoszone na miśnij-
skich rozlogach, krwawo się wpisal w karty annalów
niemieckich. Ale w jesieni r. 1031 nastapil odwet. Pro-
wadzić wojnę z kilku naraz wrogami, bylo dla ówczes-
nej Polski, intrygami Bezpryma nurtowanej przytru-
dnem. Hart woli Mieczysława II zostal raz na zawsze
zlamany. Pobity w boju przez Niemców, w miesiac po-
tem wyzuty z wladzy przez brata, musial szukać oca-
lenia tylko juz w ucieczce z kraju. Łużyce wróciły
w zaprzysiężony sposób pod bezpośredni zarząd ce-
carski. Lutyce odzyskali swą niepodległość. Za ich
przykładem poszło i Pomorze, przez Chrobrego przy-
łączone do tego państwa. Morawy, aż do tej chwili
(od r. 1003) pozostające pod berłem tutejszem, zajęli
r. 1028 Czesi. Ziemia Bełska w r. 1030, reszta Rusi
Czerwonej w r. 1031 dostala się pod panowanie
ruskich ksiąząt. Słowaczyna węgierska (jeszcze
pono 1027 ugodowo) przeszła — na zawsze — w obręb
węgierskiego królestwa ¹⁾).

¹⁾ Było w obiegu w ostatnich (przed r. 1875) czasach mnie-
manie, jakoby Słowaczyna i w dalszych latach stanowila część
Polski. Miał to być dział przez Chrobrego Bezprymowi nadany,
który i po śmierci tegoż przy jego pozostawał potomstwie. Źródła
historyczne nie dostarczają jednak żadnego wytrzymującego ści-
słą krytykę dowodu na to, żeby ta prowincya stanowila kiedy
udział Bezpryma. Przeciwnie dowodzą one raczej, że pod jego za-
rządem ziemia ta nigdy nie zostawała. W Wippona *Vita Conradi*
imperatoris, cap. 29 (*Monum. Pol.* I str. 347 w nocie) czytamy,
że wypędzony z Polski przez Mieczysława Bezprym (Wippo na-
zywa go Ottonem) uszedł do Ruzyi (tak się wtedy nazywała Sło-
waczyna węgierska) i żył tam *miserabiliter* przez czas niejaki,
a następnie zaczął błagać cesarza, *ut ipso iuvante restitueretur pa-*
triae suae. A więc żył on tam *miserabiliter*, jako tulacz. Z drugiej

Panowanie przywłaszczyciela Bezpryma nad Polską skończyło się wprawdzie wkrótce — padł pod ciosem morderczym, z nieznaney ręki, już w r. 1032. Akt jednak wielkiej doniosłości publicznej przez niego dokonany, pozostał. Poddał on to królestwo, w chwili kiedy obejmował ster nad niem, w zawisłość od niemieckiego cesarstwa. Postąpił sobie, jak w podobnych okolicznościach 30 lat pierwej w sąsiedniem księstwie Włodowej, tylko że ten oddał był Czechy cesarstwu w lennictwo, a Polska przywróciła teraz swój związek z Rzeszą na warunkach z przed r. 1000. Zmiana potem osoby panującego, wypadku tego oczywiście nie uchylila. Pod tymisamymi tylko już warunkami musiał rządy nad państwem przyjąć napowrót i przybywający teraz do kraju Mieczysław; jakoż złożył stanowcze oświadczenie w tym sensie przy osobistem widzeniu się z Konradem (w Merseburgu, w lipcu roku 1032¹⁾. W dwa lata potem zakończył życie.

Po śmierci tego króla nieszczęśliwego (1034) pozostawione własnym swoim losom królestwo (postronna przemoc nie zdaje się żeby była zakłócała jego sprawy wewnętrzne) przechodziło najsmutniejsze koleje, mało wyjaśnione w historii. Mozolna a sumienna krytyka czasów ostatnich²⁾ wydobyla z półsłówkowych, nieraz

strony, mamy wyraźną wzmiankę współczesną — w Hildesheimskim roczniku («Monum.» T. II str. 765) — że w r. 1031 dzierzył Słowaczyznę jako ksiązę tego kraiku Emeryk (Henryk), syn ówczesnego króla węgierskiego Stefana I. Zakończył ten Emeryk życie właśnie w roku rzezonym i już przed 1031 otrzymał tę ziemię od ojca, który ją zatem w tych czasach musiał posiadać.

¹⁾ «Mon. Pol.» T. I str. 346 i n. w notach w uzupełnieniu dodanych.

²⁾ Tad. Wojciechowski «O Kazimierzu Mnichu» w «Pamiętniku Akad. Umiejętn. Wydziału histor.» z r. 1885 (tom V), i Oswald Balzer, «Genealogia Piastów», Kraków 1895 str. 76 i nast.

sprzecznych z sobą podań źródłowych na jaw tyle przynajmniej jako wynik dochodzenia nie podlegający powątpiewaniu, że objął rządy bezpośrednio po ojcu starszy syn Mieszka II imieniem Bolesław (1034—c. 1037). Czyny i rządy tego księcia o tyle tylko są znane, że miały być jak najgorsze. Jedna z kronik, co prawda przedzielona od tych czasów znaczną przestrzenią, bo co najmniej półtrzecią wieków, kronika Baszka — dawniejsze milczą o tem panowaniu i zbywają je ogólnikiem — zarzuca Bolesławowi okrucieństwo i niegodziwość (*saevitia, immanitas scelerum, nequitia*) i powiada, że jak źle żył, tak i zakończył źle życie, i z tej przyczyny, choć miał być koronowany (?), nie został zaliczony w poczet królów i książąt Polski¹⁾. W szczególności z jego występków ten podnosi, że się niepocziwie z matką (Ryksą) obchodził, która nie chcąc znosić tej poniewierki, porzuciła tę przybraną ojczyznę i razem z maleńkim swym drugim synem Kazimierzem odjechała do Niemiec. — Maleńkim jednak nie był bynajmniej wtedy Kazimierz, liczył lat sobie bowiem w roku zgonu ojca już 18²⁾. Dawne podanie o stanie jego zakonnym okazuje się być prawdziwym, choć tak długo było zaprzeczanem przez późniejszą historję. Wątpić o tem wcale nie można, że jak to już Gallus podał³⁾, rzeczywiście z woli obojga rodziców królewicz ten w bardzo wczesnym swym wieku oddany został do klasztoru, z tem przeznaczeniem by

¹⁾ Baszko, »Mon. Pol.« II 484.

²⁾ »Rocznik Kap. Krak., Śto-Krzyski i Szląski kładą zgodnie urodzenie Kazimierza pod r. 1016. »Mon. Pol.« II 793, 773, III 672.

³⁾ »Mon. Pol.« I 419: »Qui (Kasimirus) monasterio parvulus a parentibus est oblatu (ofiarowany), ibi *sacris litteris liberaliter eruditus*. A zatem chodziło o *sacrae litterae*, dla uzyskania kapłaństwa. I z pewnością w 18 swym roku był Kazimierz wyświęconym już księdzem. Nie należy tylko myśleć o klasztorze kluniackim, jak to opowiada legenda. Nie brakło przecież już wtedy na klasztorach w własnym kraju.

w stanie zakonnym, jako kapłan wyświęcony, przeżył życie, a nie (jak to chciano tłómaczyć) dla poznania tylko nauk i wykształcenia. O powołaniu do stanu duchownego, wrodzonym temu młodzieniaszkowi, trudno tu myśleć. Dalsze życie tego księcia, przed powrotem do kraju i potem, zachwiewa ten domysł. Powody musiały być polityczne. Nie życzo no sobie tego, by brat młodszy czasu swego bróździł starszemu w rządach. Ten zamiar jednak krótko po śmierci Mieszka II okazał się chybionym. Czy z niechęci do gnuśnienia w murach klasztor nych, czy może na widok, jak brat starszy nadużywa swej władzy i matkę krzywdzi, Kazimierz porzucił owo zakonne ustronie. I zejść musiał jakiś wypadek, dla którego razem z matką musiał ucho dzić z kraju w kilka lat a może zaraz po r. 1034.

Dalsze rządy Bolesława w każdym razie musiały być niefortunne. W zupełnym braku świadectw trudno orzekać, czy złe płynęło jedynie z osobistości panującego, czy składało się na to w części i warcholstwo poddanych ¹⁾. Zapewne broiło jedno i drugie, a to doprowadziło do tego, że około r. 1037 nastąpiły czasy w Polsce zupełnego przewrotu, w którym Bolesław swoją przeszłość życiem przyplacił (*vitam male terminavit*). Ucisk słabszych przez uprzywilejowanych — prawem odwetu zwrot potem i w przeciwnym kierunku — rzucenie się pospólstwa na prerogatywy, na własność, na obyczaj, słowem na wszystkie podwaliny społeczne. Reakeya pogaństwa podniosła głowę — prześladowanie religii chrześcijańskiej, rozpędzenie duchowieństwa, burzenie kościołów i klasztorów, grabież skarbów i ozdób

¹⁾ Jest jedno ciekawe miejsce w (pisanym w końcu XIII w.) „Żywocie św. Stanisława”, drukowanym przy Gallu w edycji z r. 1824, str. 345. Powiada o Bolesławie Śmiałym, że do celów jego polityki i ten należał, żeby pomścić *in nobilibus Poloniae* krzywdę, wyrządzoną jego rodzicom przez wygnanie ich z państwa. — A zatem trwała wtedy jeszcze pamięć, że na wygnanie młodego Kazimierza z kraju składały się i z dołu społeczeństwa idące czynniki.

kościelnych, zapanowanie siły brutalnej, i powrót do stanu rzeczy, jaki mógł być przed Mieszkiem I albo i w gorszych jeszcze kiedyś tam czasach — wszystko to teraz przeszło przez tę spuściznę Chrobrego.

Czego w gruzy nie powalił domowy zamęt w narodzie, tego dopełnił postronny najazd. W r. 1038 przevaliła się zgraja czeskich łupieżców pod Brzetysławem, ówczesnym książęciem owego kraju, przez Kraków i okoliczne dzierżawy. Następnie uległa temuż rabunkowi i reszta Polski. Czy marzył Brzetysław o podboju tego królestwa, czy raczej o złupienie tylko tego chodziło, co w niem było ruchomem — nie wiedzieć. Lecz to pewna, że po tym ostatnim ciosie pozostała w tym biednym kraju tylko ziemia i niebo. Nawet ciała umarłych musiały za rydwanem zwycięzcy procesjonalnie wracać do miasta, w którym tych świętych za życia nie chcieli cierpieć współcześni.

O skarbach przez Chrobrego zdobytych i posiadanych pozostały w jego kraju tylko mity bajeczne, a stan tego kraju był taki, że w jego stołecznem mieście i w jego metropolitalnej świątyni, w katedrze gnieźnieńskiej, dzikie się gnieździły zwierzęta ¹⁾.

Do takiej doli przyszła Polska, w krótkich latach, samą logiką faktów.

Że po tem wszystkim nastąpiła restauracya — restauracya rządu, dynastyi, władzy monarszej, religii chrześcijańskiej, porządku społecznego, a w skutek tego i powagi państwa na zewnątrz: tośmy mieli do zawdzięczenia niezawodnie tak nauce otrzymanej przez tę próbę zapędów nad siły, jak i zasłudze Kazimierza I słusznie nazywanego Odnowicielem. Ale w wyższym jeszcze stopniu zawdzięczała to Polska ówczesna, a i Kazimierz z nią razem, owym wpływom i dźwigniom moralnym, które to państwo już w pierwszej jego chwili dziejowej postawiły na nogi. Uchylenie się z pod tych

¹⁾ Gallus ks. I cap. 19.

wpływów sprowadziło jego upadek. Powrót na drogę Mieszka I i tym razem okazał się skutecznym.

Boć jak już teraz wiadomo, bajki to są, żeby sam naród szukał był królewicza swojego aż po klasztorach zamorskich. Nie on Kazimierza, ale Kazimierz poszukał drogi do kraju. A ta droga była dla niego i teraz jeszcze daleka, bo przez Węgry i przez Niemcy, które choć tak często nieprzyjacielskie, potrzebowały przecież Polski dla własnego dobra swego jako przedmurza cywilizacji, i dopomogły temu wnukowi Chrobrego do nadania jej na nowo form państwa regularnego. Sześciuset zbrojnych rycerzy, których dostarczył Henryk III cesarz niemiecki, i zastęp podobnych 100 mężów z Węgier, towarzyszył Kazimierzowi do Polski. Pogrom papieski przycisnął silną dłońią czeskiego wdziereę, który już podnosił swój tytuł prawny do kraju, rzekomo podbitego orężem, a szląską ziemię, jako przyległą swemu księstwu, aż poza Wrocław w rzeczywistość wziął posiadanie. Z pod klątwy rzymskiej wywinął on się niezadługo pieniędzmi, ale się nie wywinął tak łatwo z pod innej ręki, która go przycisnęła. Zakaz Henryka dopiero, który się z nim aż do r. 1041, oczywiście nie w polskim interesie, lecz w swoim własnym, lecz pośrednio przecież i w polskim borykał, zamknął mu drogę do wdzierstwa i poza Wrocław.

Jeżeli przeto rzeczywiście jest prawdą, że wracający do ojcowizny swej królewicz był witany ową pieśnią serdeczną, której początek zapamiętała jedna z kronik naszych późniejszych: to witano temi słowy konieczność — witano doprowadzony do skutku mimo woli narodu powrót państwa polskiego do solidarności z światem dziejowym, do stroju z cywilizacją i politycznym organizmem zachodnim. Bo jegoto wysłannikiem był w owej chwili, a i przez całe swe panowanie Kazimierz, i to jedno go tylko, a nie co innego, przyprawiało do kraju.

Ośmnastoletnie rządy Kazimierza I (1039–1058) w szczegółach mało są znane: ogólny ich wynik będzie każdemu jawny, kto mizeryę Polski przed jego wstąpieniem na tron porówna ze stanem, w jakim on ją swemu następcy zostawił. Bolesław Śmiały mógł już znowu zamarzyć o wznowieniu czasów wielkiego dziada i imiennika swojego. Nie byłoby to zgoła podobnem, gdyby te kilkanaście lat skrzętnej pracy nie były państwa politycznie i religijnie odbudowały od fundamentu.

W stosunku do cesarstwa zostawała Polska w tych latach w zasadniczej uległości i stałej zgodzie. W danych okolicznościach — po dokonanych deklaracjach Bezpryma (1031) i Mieczysława II (1032), które byłyby Kazimierza wiązały, gdyby tenże nawet nie był dał i z swojej strony Henrykowi III ponownie zapewnień jakich, o których zresztą doniosłości nic nam bliższego nie podają źródła dziejowe, lecz bez których przy jego z Niemiec wyjeździe niewątpliwie się nie obeszło — w okolicznościach takich mówić nie mogło to być inaczej. Kronikarstwo niemieckie sławi też tego króla naszego, że „służył cesarzom wiernie”. Na czemby w praktyce polegała ta wierna służba, tego się nie można dopatrzeć w wiadomych nam zdarzeniach. Jest wszelki powód, żeby twierdzić, że główną istotę tej „wierności” cesarstwu stanowiło w tamtych czasach zasadnicze wstrzymywanie się od aneksyi ziem przez to państwo zajętych, jako też od popierania książąt z cesarzem zwaśnionych, a obok tego i uznanie owej wyższości tronu cesarskiego ponad wszystkie w okół inne władze rządowe, której teorya stanowiła fundamentalny artykuł wiary politycznej w tych wiekach tak w samych Niemczech, jak w Rzymie.

Mogły z tego niewątpliwie wynikać i przykre nie-raz dla poczucia monarszego następstwa — a do takich policzyć należy i okoliczność, że się Kazimierz przez cały czas rządów swoich obywać musiał bez tej

siły moralnej, jaką dawało ówczesnym panującym tak na zewnątrz ich państw, jak też w oczach własnych poddanych, namaszczenie i koronacja królewska ¹⁾).

Szcześniejszym zato był ten Odnowiciel państwa

¹⁾ Choć wręcz nie twierdzę, iż Kazimierz I nie był królem koronowanym, rozumiem jednak, że jego koronacja jest rzeczą nierównie więcej wątpliwą, aniżeli przypuszczenie przeciwne. O każdej polskiej koronacji poprzedniej źródła współczesne w Niemczech głoszą zawsze jak najdokładniej, że została dokonana i kiedy. Że się Bolesław I koronował w r. 1025, to stwierdza kilka znanych powszechnie świadectw w sposób niezbity. Że Mieczysław II aktu tego dopełnił, to wypowiadają one w sposób równie stanowczy. Że się to stało na samym wstępie panowania tego księcia, to wynika z listu Matyldy. Że małżonka jego Ryksa, nie tylko za życia męża, ale nawet po wydaleniu z Polski, w Niemczech, i sama używała tytułu *regina Poloniae* i miała go sobie przyznawany przez samego nawet cesarza: to widzimy nie tylko z nadań przez nią wydanych, lecz nawet z dokumentów cesarskich (»Mon. Pol.« T. I str. 333, 346, 351, 352 i t. d.). Że później Bolesław Śmiały ponownie tego aktu dokonał i że to zaszło w r. 1076: to nam znowu z oburzeniem największym powiada jeden z współczesnych, Lambert z Aschaffenburga. Te koronacje polskich monarchów uważane były przez Niemców za rodzaj buntu i to buntu przez kościół uprawnionego, przeciw prawom ich królów czyli cesarzów; dlatego zapisywali je oni w rocznikach jako zdarzenia najwyższej dla nich wagi. Otóż co do Kazimierza I nie tylko najgłębsza panuje cisza w całym kronikarstwie postronnem, żeby on się był koronował, ale nawet chwala go oni jeszcze za wierne służby cesarzom i to w sposób, że ta pochwała Kazimierza widocznie miała kontrastować z zarzutami, jakie ojcu jego czynili (obacz np. Wippona rozdz. 29; »Mon. Pol.« T. I str. 347). Czyż byliby Kazimierza ci pisarze mogli tak chwalić, gdyby on był właśnie to samo uczynił, co jego ojciec? Zdaje się, że już upokorzenie się Mieczysława II przed cesarzem w Merseburgu (r. 1032) ukazywało się w oczach współczesnych niemieckich jako milczące zaparcie się tego wszystkiego, co z obrazą uroszczeń tamtejszej władzy uczynił ten król w początkach panowania swojego („*coronae scilicet ac totius regalis ornamentis oblitus*“, rocznikarz Hildesheimski pod r. 1032, w »Monum. Pol.« T. II str. 766). W ten stosunek względem Niemiec wszedł dziedzic jego królestwa, i że się z niego nie wyłamywał, zato go właśnie chwalili.

Powyższy pogląd na sprawę umożliwi nam zrozumienie

i Kościoła w zagradzaniu materyalnych, a nawet terytoryalnych jego wylomów. Mazowsze, tę zbuntowaną prowincję, która od czasu Mieczysława II została pod wielkorządztwem Masława, a Kazimierza

niejednej rzeczy późniejszej, której inaczej byłoby niepodobieństwem zrozumieć. Bolesław II, choć «Śmiały», choć przychodzący do władzy w czasach zupełnego upadku powagi cesarskiego imienia, zwleka akt koronacyjny przez całe lat 18. Wykonywa go dopiero w r. 1076. Jeśli przyjmiemy, że królowanie bez korony stało się w Polsce niejako zadawnionym zwyczajem, to stan ten rzeczy, nawet pod takim Bolesławem Śmiałym aż do r. 1076, łatwo pojąć; ale w przeciwnym razie, byłoby to niewytłómaczoną zagadką. A dalej zważmy, że koronacja tego króla sprawiła w Niemczech popłoch i oburzenie, które znowu na zagadkę zakrawa. Bo jeżeli ten władca Polski nie uczynił ani mniej ani więcej, jak tylko to, co jego ojciec i dziad i pradziad jeden po drugim spełnili: to jakż powód dla Niemców, żeby się tak bardzo oburzać na to, co się w tym kraju już zamieniło w uświęconą samym czasem tradycję? Ale jeżeli przyjmiemy, że Kazimierz I nie był koronowany, to rzecz przestaje być w takim razie zagadką. Idźmy wreszcie i dalej jeszcze. Że po upadku Bolesława Śmiałego taka wątpliwość pod względem woli, jak nią był brat tego monarchy, nie upomniała się o zaszczyty korony: toby wprawdzie może nie zadziwiało nikogo; ale że i Bolesław Krzywousty idzie w tej mierze aż do samego zgonu swojego w ślady ojca, to znowu rzecz, której zdrowy rozum nie pojmie. Zrozumie ją zaś każdy najśnadniej, kto się zgodzi na przypuszczenie, że w Polsce od r. 1034 do 1076 nie było koronowanego monarchy, od 1076 do 1079 był wprawdzie, ale skończył fatalnie, a potem znowu wrócił stan rzeczy do którego już przywykły umysły. Z tegoto tylko powodu ani dzielny Krzywousty, ani też syn jego Władysław, choć był całej Polski zwierzchnikiem przez pierwsze lata, nie dali się koronować.

Kogo to wszystko nie przekonywa, niech rozważy, że w najdawniejszej naszej kronice, Galla, inni królowie nasi są *reges* tytułowani, a tylko do imienia *Kazimir* ani razu tu nie dodano żadnej nazwy jego godności (jakgdyby chodziło o wyminięcie tej kwestyi); nadewszystko zaś niechaj rozważy skazówkę, jakiej nam dostarcza jeden z naszych najdawniejszych roczników, tak zwany kapitulny krakowski, w którym przy wszystkich wzmiankach o Bolesławie I jako też i o Mieczysławie II towarzyszy im tytuł *rex*, podczas gdy Kazimierz I jest w nim tylko *dux* tytułowany. Bolesławowi Śmiałemu nazwa *rex* znowu w nim przywrócona! Ta

nawet po jego powrocie nie tylko nie chciała uznać za pana, lecz jeszcze się dopuszczała na resztę Polski najazdów, odzyskał berłu swojemu po wielkich wysileniach wojennych. Wspomagał go w nich (r. 1041)

wyjatkowa tytułatura Kazimierza I — miałaby to być w tym roczniku tylko przypadek?

Lecz w innych rocznikach, powie kto na to, i Kazimierzowi przecież nie odmawiają tytułu króla! To prawda; ale tamte roczniki, choć z nich niejeden sięga w odległą przeszłość, dochowały się tylko w późniejszych odpisach. Kapitulny tylko kodeks sam jeden jest ocalony w całości w prastarym autentyku! I zważmy jeszcze, co tu właśnie najwyższej jest wagi, że już i w tym kapitulnym wyraz *dux* dodany do imienia *Kazimir* przez nieznaną czyjąś rękę później był wskrobany, a *rex* natomiast napisano (w zapisce pod r. 1058). W drugim zaś miejscu (pod r. 1065) przeoczył ten późniejszy poprawiacz zapiskę *«Kazimiri ducis»* i zostawił te wyrazy, jak były.

Otóż naoczna skazówka, w jakito sposób postępowano sobie w rocznikach przy ich przepisywaniu, odmieniając na własną rękę, co się komu nie podobało.

Z tego wynika, że niemożna przeciw twierdzeniu mojemu w żaden sposób ani z tej okoliczności wydobywać zarzutu, że w kronikach naszych (późniejszych) pozytywne się znachodzą wzmianki o koronacji Kazimierza jako odbytej. Najdawniejsze między nimi ani słowem nie nadmieniają, czy tej koronacji dopełniono, czy nie dopełniono. Utarta tradycya narodowa, która Kazimierza za koronowanego króla każe uważać i która do dziś dnia powszechną znajduje wiarę, późno dopiero się pojawiła. Śledzić początków jej można nie rychlej, jak od końca XIII wieku począwszy, a zatem od takiej chwili, która przedziałem przeszło półtrzeciwiekowym była już oddalona od owych zdarzeń. Mianowicie obie Kroniki szląskie, jedna z końca XIII, druga, z niej głównie wypisująca, z końca XIV stulecia, prawią jakoby Kazimierz I w Niemczech (!) przez cesarza Henryka III koronowany był i zaraz potem razem z matką (?) do państwa swojego wrócił. Temu przecież już dla samych okoliczności ubocznych trudno uwierzyć. O zdarzeniu takim w Niemczech, nie byłoby przemilczało kronikarstwo tamtejsze. Zdarzenie to samo w sobie nazwać trzeba niepodobieństwem. Wiadomo także, że Ryksa z synem i w ogóle po wyjeździe swym z Polski, już do niej nigdy nie powróciła. Jak więc ten powrót Ryksy jest bajką, jak na dalszych kartach jest bajką, że Bolesław Krzywousty brał udział w jakiejś wyprawie

i to podobno osobiście Jarosław w. książę kijowski, z którym się dom nasz książęcy dwukrotnym skojarzył związkiem. Siostra Jarosława, Marya-Dobroniega, została r. 1039 małżonką Kazimierza; z drugiej strony

krzyżowej do Palestyny, jak jest bajką, że Mieczysław II nie był koronowanym, o czym wszystkim właśnie tylko w jednej z tych szląskich kronik czytamy: tak też do baśni oczywistych policzyć trzeba i tę niemiecką koronację Kazimierza... Długosz, ten ojciec tradycyjnej historii narodowej, miał dosyć zdrowego sensu, żeby tych podań nie tykać: daje więc od siebie inne natomiast szczegóły. Kazimierz miał otrzymać od Henryka III, kiedy dwór jego nawiedził jadąc do Polski, zwrócone sobie obie korony (ojca swego i matki), które według jednych Bezprym, według drugich Ryksa, kiedy z Polski do Niemiec uszła, miała być złożyć w ręce cesarza. Zaraz tedy za przybyciem do Gniezna odbyła się koronacja najuroczystsza, którą ten pragmatyczny dziejopis tak opisuje dokładnie, że chyba tylko tego jednego braknie, żeby dodał, ile beczek wina na niej wypito. Czy może miał Długosz jakie do tego źródła pod ręką? Bynajmniej! Długoszowi była wprawdzie prawda dziejowa święta, jeżeli mu pozytywnie była wiadoma; lecz w braku źródeł — co tylko zdawało się jego wyobraźni w danych okolicznościach prawdopodobnem, już mu uchodziło za pewne, za fakt, który wolno postawić i nawet z najdrobniejszymi szczegółami opisać. Takato już w ogólności była jego metoda, przynajmniej przez całą dawniejszą partję historii. Ze obok wielu innych znanych u niego zmyśleń, i ta koronacja Kazimierzowska należy do takich epizodów wyspanych z palca: o tem nas przekonują inna ciekawa próba jego swobody w tejsamej rzeczy, miałowicie drugi, także znowu tak szczegółowy opis najbliższej potem koronacji królewskiej, koronacji Bolesława Śmiałego. Wyprawia mu ją Długosz w swem dziele w roku 1058, natychmiast po wstąpieniu na tron! Otóż wiemy jak najdokładniej, nie tylko z postronnych źródeł, lecz już i z naszych nawet krajowych, z roczników, że koronacja Śmiałego zaszła dopiero w r. 1076. Wiedzieć o tem musiał i niezawodnie wiedział i Długosz — ale jego warunkom podobieństwa do prawdy się to sprzeciwiało. Dał nam natomiast to, co wedle niego było rzeczą, która się sama rozumie. Z niego przeszło to potem do całego szeregu dalszych historii polskich.

Tak chwytny na gorącym uczynku zaród bałamutnych podań dziejowych, które im więcej omszone starożytnością, tem bardziej utrudniają pogląd na czystą istotę rzeczy.

siostra Kazimierza, tegoż imienia co jej matka Ryksa, później wyszła za syna Jarosława, za Izasława ¹⁾).

To pokrewieństwo z Kijowem uchyliło na długą przyszłość odnowienie zatargów o Ruś Czerwoną. Zostawiono ją i nadal pod ruskimi rządami.

Natomiast udało się Kazimierzowi pod koniec panowania swojego (w r. 1054) przywrócić Polsce Szląsk, przez Brzetysława wydarty. Zwrot tej prowincyi jednakże przyszedł do skutku na razie połowicznie tylko i warunkowo — za przyrzeczeniem uiszczenia Czechom z tego tytułu znacznej daniny corocznie (30 grzywien złota i 500 grzywien srebra).

Takimto powolnym wprawdzie, lecz nieprzerwanym a stopniowym postępem wracała Polska przez lat kilkanaście ku stanowisku, z którego ją zepchnęły były błędy jej polityki. Niewątpić, że gdyby była i po roku 1058 (po zgonie Kazimierza) postępowała dalej tym torem, byłaby mogła dawne swoje znaczenie i zupełnie odzyskać przy okolicznościach pod każdym względem tak bezprzykładnie dla niej pomyślnych, jak nimi były czasy rządów Bolesława Śmiałego (1058—1079).

Na nieszczęście, wzięły znowu górę zapędy, które ten postęp wstrzymały w biegu, a nakoniec i skompromitowały koronę.

Sądzić o czynach Bolesława II (a właściwie III) — nader trudne to wprawdzie zadanie. Jeżeli w ogóle dzieje tych pierwszych Piastów słabo się wychylają z pomroki, to panowanie tego króla jest nawet w porównaniu z jego poprzednikami, prawdziwie *terra incognita*. O historii Bolesława Śmiałego ani mowy nigdy nie będzie. Tajemniczem się panowanie to okazuje od początku do końca, i w takim stanie rzecz ta

¹⁾ «Mon. Pol.» I 861.

warty z Rusinami trwał od r. 1074 do 1076. W r. 1077 się zrywa, z powodu wziętego powtórnie w opiekę polską Izasława. Jaki potem był stosunek między Polską a Rusią i jakie mianowicie położenie Rusi Czerwonej? tego znowu najzupełniej wiedzieć nie można. Że jednak Władysław Herman nie był prowincyi tej panem, to pewna; i że nie on dopiero ją stracił, to również niewątpliwe: gdyż w razie przeciwnym nie byłby tego przemilczał Gallus, który czasy Władysława I przecież znał dobrze i dość zasobnie opisał. Utrata tej prowincyi, odniesiona dopiero do ostatnich chwil panowania Bolesława Śmiałego, po zabiciu św. Stanisława, a przed wyrzuceniem tego króla z ojczyzny, jak to podaje Długosz, uważając w niej karę bożą — należy oczywiście do własnych jego wymysłów.

Co się tyczy daniny Czechom płaconej od Śląska — ani wątpić, że faktycznie nie uiszczal im jej wyniosły Bolesław. Pomimo szwagrostwa z księżciem Wratisławem, jako małżonkiem zaślubionej w r. 1063 Swatawy, siostry króla polskiego, zostawał Bolesław w przeciągu długiego czasu (od 1069 do 1076 co najmniej) w nieustannych z tym Czechem zatargach zbrojnych. Powodu do nich dostarczały z jednej strony mieszanina się Bolesława w dynastyczne sprawy węgierskie, które Wratisław podtrzymywał w przeciwnym kierunku — z drugiej strony niezawodnie i zalegające należytości od Śląska. Ponieważ wychodziliśmy z przebojów tych albo zwycięsko, albo przynajmniej obronną ręką: więc się mogło bardzo snadnie przez całe to panowanie ani grzywny Czechom nie płacić. Ale też na tem kończyło się już wszystko. Do zrzeczenia się bowiem z zasadniczego tych należytości od Polski — do tego nie dał się Wratisław przymusić Bolesławowi (pomimo nawet dostarczonych temuż w r. 1076 posiłków ze strony sprzymierzonej z nim Rusi). A twierdzić to można śmiało na tej podstawie, że za rządów Władysława Hermana musiała Polska i ten nieza-

szczytny dla siebie ciężar znowu dźwigać (począwszy od r. 1092).

Weźmy przed się nakoniec stosunek ówczesny nasz do zachodniego Pomorza. Wiadomo, z jakimi trudnościami i po jak długich i krwawych dopiero walkach poddał pod zwierzchnictwo Polski ową prowincję Bolesław Krzywousty. Wiadomo, że i za Władysława Hermana kilkakrotnie już trzeba było odpierać najazdy zbrojne Pomorzan na posiadłości polskie. Cóż więc mógł uczynić w tym kierunku Bolesław Śmiały? Ani wątpić, że w jednej lub drugiej jakiej dorywczej bitwie ukrócił on (jak podobno i jego już poprzednicy, Mieczysław II i Kazimierz) napastliwość i zuchwalstwo tego plemienia, lecz ani nad Pomorzem zachodniem i środkowem nie panował, ani nawet stałych nie musiał z niego pobierać danin. Wszakże Gallus (ks. I cap. 22) wręcz to stwierdza, że ów rodzaj zwierzchnictwa Polski nad Pomorzanami, które miał rozciągnąć nad nimi Kazimierz I po uśmierzeniu Mazowsza, ustał zaraz w pierwszych początkach panowania Śmiałego. O przepłoszeniu ich później, powiada wprawdzie kronikarz (cap. 25), ale mówi o niem jako tylko dorywczem i niezupełnem („*quamvis dampnose*“). Traci przeto wszelkie znaczenie, co Długosz (pod r. 1064) nie tylko o posiadaniu Pomorza, ale i o shoddowaniu nawet Prusaków przez tego króla napomyka (wbrew zwyczajowi swemu) półsłówkiem.

Jedyny dowód stałego władztwa Bolesława Śmiałego bodaj nad Pomorzem wschodniem, t. j. nad nadbrzeżem Wisły, od granicy kujawsko-mazowieckiej począwszy aż do uścia tej rzeki do Bałtyku, miałibyśmy w znanem nadaniu rzekomo dla Mogilnickiego Benedyktynów opactwa z r. 1065¹⁾. Obdarza w nim Bolesław jakoby klasztor rzeczony obok wielu innych rzeczy i mytami przewozowemi przez Wisłę, od miaste-

¹⁾ »Kod. dypl. WPolski«, tom IV N. 3.

czka Kamienia (na lewym brzegu rzeki położonego w pobliżu Czerwieńska i Wyszogrodu) poczawszy się do samego morza. Tędy z pewnością dyplomatyczną wskazywało więc na to, że uważał on tę część Pomorza za terytorjum swoje ¹⁾).

Ta jałowość rezultatów 20-letniego działania u steru państwa znajduje wprawdzie wymówkę w okoliczności, że Bolesław w zbyt młodocianym wieku do steru tego przystąpił (miał lat co najwyżej 19, kiedy panować zaczął ²⁾). Z drugiej strony jednakże niepodobna tego przemilczeć, że położenie jego jako naczelnego władcy w narodzie, przy takim z wrodzonego już charakteru zgodnym i potulnym bracie, jak nim był Władysław Herman (o drugim bracie Mieszku, niema powodu nawet wspominać, gdyż umarł w młodych latach i bezpotomnie), było szczęśliwym, jak żadnego drugiego z książąt naszych tamtej epoki. A kontrast ten staje się jeszcze jaskrawszym, jeżeli z nim porównamy oplakane położenie wszystkich w okół panujących, temu monarsze współczesnych — na Rusi, w Węgrzech, w Czechach i w cesarstwie nawet niemieckiem. Czego Bolesław w całej pełni używał na swoim tronie, tego brakło najzupełniej tym wszystkim jego sąsiadom, spychanym co chwila lub zachwiewanym na stanowiskach w skutek zatargów w obrębie własnej rodziny albo z innymi im podwładnymi książętami. W takich okolicznościach dawało się przeprowadzić niejedno, czemu

¹⁾ Dyplom ten Bolesława Śmiałego doszedł do nas tylko w przeróbce, która jako całość należy do liczby falsyfikatów, zawiera w sobie jednak i autentyczne ustępy. Pisałem o tym najdawniejszym zabytku polskiej dyplomatyki w traktacie moim o biskupstwach, a mianowicie w rozdziale o biskupstwie kruszwickiem. (Z dziejów i literatury , pisma pomniejsze, str. 225 i nast.). Powtarzać więc tego, com tam powiedział, tutaj nie będę.

²⁾ Czas urodzenia Bolesława II nie jest na pewne wiadomy. Długosz podaje r. 1042. Rocznik Krasieński 1039.

o pół wieku rychlej nie dopisywały nawet siły Bolesława Chrobrego. Lecz z tego nie umiano korzystać.

Stosuję to i do położenia Polski w obec Niemiec. Z Henrykiem III poszła do grobu (1056) na długie czasy i groza władzy cesarskiej. Pięcioletni Henryk IV taksamo nie był nikomu strasznym, jak regencya w jego imieniu rządząca, która nawet własnych książąt nie umiała utrzymać w karbach. Siły tych książąt wyrosły władzy centralnej nad głowę. Za przyjściem do pełnoletniości, trzeba było Henrykowi orężem tylko podtrzymać powagę a raczej pozór powagi cesarskiego imienia. Wojna domowa niezadługo zamieniła się w gorszą walkę, bo w bój dwóch najwyższych władz w chrześcijaństwie, w zapasy władzy świeckiej z Kościołem, kiedy na stolicy rzymskiej zasiadł potężny Grzegorz VII (r. 1073), który już w trzy lata później mógł święcić swój sławny tryumf w Kanosie... Nasz Bolesław nie widać, żeby był z tych przewrotów korzystał. Nie zaczepiany przez Niemców, i sam się też trzymał z dala od tych tak dokuczliwych dawniej dla jego kraju sąsiadów. Zdaje się, że jak z zachwianego stanowiska cesarza przed wybuchem jeszcze tej walki z Rzymem nie chciał przez długie lata żadnego ciągnąć pożytku dla siebie¹⁾, tak też i potem nawet nie wziął w niej zasadniczo udziału. Wprawdzie w ostatecznym skutku, mimo wiedzy i woli swojej, wysługiwał on się niepomale stronie walczącej pod sztandarami Grzegorza i temsamem utrudniał stanowisko Henryka. Ubijał się bowiem z wytrwałością przez owe lata z czeskim ksią-

¹⁾ Jest faktem, że jeszcze w r. 1071, w jesieni, stawił się Bolesław na wezwanie Henryka IV do Miśni razem z Wratysławem czeskim, którychto książąt zwaśnionych ten cesarz między sobą pojednać pragnął i boju im dalszego zakazał (Lambert Schaffnb. pod r. 1071). Posłuchu ten rozkaz cesarski nie znalazł wprawdzie; ale zawsze wiele znaczy, że król polski stawił się przed nim, a więc zasadniczo przyznawał mu jeszcze i wtedy jakieś prawo mieszania się do spraw takich.

żeniem, który stał po stronie Henryka, a począwszy od r. 1075 był nawet głównym filarem całej partii cesarskiej. Ale to też było już wszystko, co na szkodę tejże partii, a na korzyść drugiej uczynił. Ta polityka nie miała rozleglejszego zakresu, nie zajęła miejsca w samym sercu sporu, który był doniosłości europejskiej, nie dostrzegała, ile się kwestyi dotąd nierozwiązanych, a najwyższej wagi czy to dla własnego kraju, czy dla Słowian zachodnich w takiej chwili nastęrczało do załatwienia przy zręcznem postępowaniu w przeciwny sposób. Ta polityka zacieśniała się do zaściankowej nienawiści między szwagrem a szwagrem, do boju na własną rękę prowadzonego między Czechami a Polską. Niemców jako Niemców ona nie dotyczyła, a tak samo i stolicy apostolskiej świadomie i bezpośrednio wcale nie miała na oku.

To zachowanie się Bolesława tłumaczy nam też całą zagadkę, dlaczego przez cały czas jego rządów kronikarstwo niemieckie prawie już wcale nie uwzględniało zdarzeń i stosunków dotyczących naszego kraju: dlaczego ono tak wytrwale mileży o Polsce¹⁾.

¹⁾ Powyższe wnioski opieram na podstawie zachowanego listu Grzegorza VII z dnia 25 kwietnia 1075, pisanego do Bolesława naszego, który mamy zamieszczony i w „Mon. Pol.” T. I str. 367. List ten nie tylko nie dowodzi ścisłych i stałych porozumień króla tego z papieżem, których dowód chcieli w nim upatrywać niektórzy historycy; ale owszem jasno wskazuje, że ich pomiędzy nimi aż do tego czasu nie było. Cóż w liście tym bowiem czytamy? Wypowiada tu wprawdzie Grzegorz uznanie Bolesławowi — lecz nie za jakiegokolwiek polityczne na korzyść jego działanie, ale... za szczodrość dla kościołów i może za świętopietrze świeżo do Rzymu przysłane. (To się świadczyło papieżom ze strony Polski i przedtem). Zresztą jest to widocznie tylko wstęp grzeczny do interesu, ocukrzenie... bury, stanowiącej główną treść listu — i to bury za dwie rzeczy, za nieład panujący w świeckich i w hierarchicznych polskich stosunkach, i za rabunek popelniony na skarbach owego wygnaniec ruskiego, który wtedy durzył Grzegorza i został przezeń wzięty w opiekę. Tak się do sprzymierzeńców i stronników zdeklarowanych nie pisze! — Mimochodem jest

Porozumienie zasadnicze z stolicą apolstolską, jeżeli w ogóle do tego przyszło, mogło chyba nastąpić dopiero za przybyciem legatów rzymskich do Polski w r. 1075, wyprawionych do tego kraju w sprawach wprawdzie kościelnych, ale może i z zadaniem skłonięcia króla polskiego do wmieszania się w ruskie stosunki, celem przywrócenia na tron kijowski Izasława, aż dotąd nadaremnie domagającego się tej pomocy¹⁾.

O ile zostają ze sobą w związku wewnętrznym te trzy zdarzenia: bytność legatów w Polsce począwszy od maja albo czerwca 1075 r. przez czas zapewne dłuższy — koronacja Bolesława w sam dzień Bożego Narodzenia r. 1076 odbyta — i pomoc zbrojna Polaków dana Izasławowi w rychłej już wiosnie r. 1077, w skutek której tenże (d. 15 lipca owego roku) w Kijowie utraconą władzę odzyskał: tego nie powiadają nam dzieje. Prawdopodobnem jednakże jest, że ta koronacja przyszła do skutku właśnie z ramienia owych legatów; w takim zaś razie ani wątpić, że była to cena, za którą okupiono to nasze po raz drugi pod Bolesławem wkroczenie w ruskie sprawy.

Tak więc to «bliższe porozumienie się» Polski z papieżem byłoby począwszy od r. 1075 faktem, ale godnym pożałowania: bo wyrzuciło Bolesława do reszty z owego toru, na którym prędzej czy później mógł być trafić na drogę, samemi okolicznościami pań-

w liście także i wzmianka o wysłaniu równoczesnem do Polski legatów papieskich, którzy mieli nieład kościelny na miejscu uchylić.

¹⁾ Wprowadzony przez Polaków do Kijowa w r. 1069 Izasław, już w r. 1073 ustąpił przed własnymi braćmi z stolicy. W Polsce źle go przyjęto, doświadczywszy niewdzięczności tego księcia. W Niemczech także nie wskórał. Wtedy (w styczniu 1075 r.) przyobiecał on Grzegorzowi VII oddać państwo swoje, jeżeli je odzyszcze, pod protekcją św. Piotra. To powód kroków, które Rzym w sprawie jego uczynił. Obacz list Grzegorza do Izasława z d. 17 kwietnia 1075 r. w «Monum. Pol.» T. I str. 371.

stwu temu wskazaną. Rzecz wzięła obrót, który ani krajowi naszemu ani stolicy apostolskiej żadnych nie przyniósł korzyści. Izaśław bowiem obietnic danych Grzegorzowi nie dotrzymał, zresztą zginął wkrótce potem w jakichś krajowych zamieszkach (d. 3 października r. 1078¹⁾). Dla nas zaś polityka, na ruskich spekulacjach oparta, była przeciwną celowi przyrodzonemu narodowi i dlatego zawsze fatalną.

Koroną, w taki czy inny sposób otrzymaną, cieszył się Bolesław czas tylko krótki. Już w ciągu trzeciego roku dramat tej królewskiej jego wielkości się kończy.

Regiment niedogodny dla wszystkich, kosztowny, wojenny, a mimo uciążliwości powszechnej nie poparty świadectwem skutków — a takim okazuje się panowanie tego króla od początku do końca — prowadzi zazwyczaj albo do rewolucyi albo do despotyzmu. Tym razem nastąpiło po kolei jedno i drugie. Okoliczności upadku tego monarchy wprowadzie bliżej nie są wiadome. Jeżeli gdzie, to w tym punkcie zakrywa wszystko gęsta zasłona mitu: przez zbitą jego tkaninę przezierają jednak główne zarysy rzeczywistego przebiegu rzeczy.

Katastrofę sprowadziło odmówienie posług wojennych ze strony rycerstwa, do rozpaczki doprowadzonego tą ciągłą służbą. I w niższych warstwach społeczeństwa nagromadziły się palne żywioły. Po ostatniej wojnie ruskiej czuć się dawała w całej atmosferze pożywia woń zatęchła i złowroga z r. 1034.

Pospólstwo nie chciało dłużej znosić ciężaru wymagań — ciemiejącej je wyższej klasy. Rycerstwo nie chciało dłużej znosić ciężaru żądań — nadużywającego go tronu.

W r. 1079, wśród ponownej jakiejś wyprawy

¹⁾ Nestor pod r. 1077 i 1078. Monumenta Pol. T. I str. 748 i 750.

w strony dalekie, przyszło w kraju do powstania ludu polspolitego. Dało to hasło i do rokoszu w obozie. Bolesław został na ziemi nieprzyjacielskiej porzucony przez wojsko, które mu odmówiło posłuchu, by karcieć w domu, na własną rękę, wybryki zbuntowanego motłochu.

Ta dezercya, a po niej gwałty społeczne, które w narodzie powszechną sprowadziły anarchię, uprawniały Bolesława do nałożenia społeczeństwu kagańca, o jakim tu nie slyszano od wieków. Prawa monarsze przez koronacyę nabyte, właśnie że były nieokreślone, mogły mu poddać myśl niepytania się o obyczaj miejscowy, ani o tradycyę panowań które go poprzedziły, ani o prawa niezycje, ani o prądy wiekowe, już dość potężne, by żądać, ażeby się z nimi liczone — myśl rozpoczęcia rządów jako despota, który nie zna granic swej władzy. Było to może na czasie, ale pod jednym nieodzownym warunkiem. Bez rozwagi i wielce ostrożnej zmyślności nie wiedzie się nigdy despotom, a tych przymiotów nie posiadał Bolesław.

Starcie z prawami, które się nigdy nie dają gwałcić bezkarnie, stało się zatem nieuniknionem. Przypadek, a raczej sama logika faktów doprowadziła do tego, że jedną z ofiar onego starcia był człowiek, za którym stała cała potęga hierarchii i Kościoła katolickiego... którego osobę, gdyby nawet był zakres atrybucyi sobie nadanych rzeczywiście przekroczył, uważać należało za nietykalną.

Jeżeli nad ciałem biskupa Stanisława tryumfowała chwilowo wszechwładność panującego: to duch tego księcia Kościoła, i sprawa za którą tenże śmierć poniósł, miała na długie wieki tryumf nierównie większej doniosłości osiągnąć, bo nie tylko nad osobą królewską, lecz i nad ideą w tejże osobie wcieloną — nad władzą rządową i nad majestatem korony.

Aż do końca XVIII wieku uważano w biskupie Stanisławie męczennika świętego, który dał życie w obro-

nie praw, zdanych pod strażę Kościoła. Na początku tego wieku, w r. 1803 (w nocie pod r. 1079 danej w Historii Naruszewicza edycyi Mostowskiego), rzucił mimochodem T. Czacki uwagę, że w kronice Galla, wtedy jeszcze w autentycznej swojej redakcyi nie ogłoszonej, znajduje się powiedzenie, jakoby biskup Stanisław był się zapuścił w zmoży z Czechami przeciwko swemu królowi i że zato przezeń jako zdrajca został zabity. W dwadzieścia lat później (1824) pojawiła się w druku kronika Galla podług kodeksu, do którego to odwoływał się Czacki, i okazało się, że nazywa w niej autor biskupa wprawdzie *traditor*, lecz o zmożach jego z Czechami nie mówi wcale¹⁾. Zawiodła więc chyba pamięć Czackiego przy znanej jego żywości, skoro się mógł takiej pomyłki dopuścić. Pomimo takiego szwanku podejrzeń przez Czackiego rzuconych, nurtowały już jednak odtąd ciągle oskarżenia św. Stanisława o te zmoży z Czechami, jakkolwiek dowodu nato niema i rzecz już z tej przyczyny nie jest podobną do wiary, że przecież w owych latach księżę czeski Wratysław II jako najściślejszy sprzymierzeniec cesarza Henryka IV razem z nim przywalony był klątwą papieską — jakże zatem miałby być biskup krakowski wchodzić z takim rządem w kunszachty? Ostatnimi czasy chciano upatrywać m o ż n o ś ć przynajmniej poszlaków takiej winy biskupa krakowskiego w pewnym liście bez żadnej daty czasu, niezrozumiałym i co do pytania, kto go i d o k o g o pisał, ponieważ imię jednej i drugiej osoby jest w nim zastąpione literami tylko początkowemi, a i to nie bez pomyłki. Mamy ten list zamieszczony i w tomie I »Monum. Pol.« (str. 364). Dawniej jedni go uważali

¹⁾ »Illud enim multum sibi (Bolesławowi) nocuit, quum peccato peccatum adhibuit, quum pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit. Neque enim traditorem episcopum excusamus, neque regem vindicantem se sic turpiter commendamus, sed hoc in medio deferamus«. To jest wszystko, co Gallus w sposób tak tajemniczy napisał o tem zajściu. »Mon. Pol.« I 422.

za pisany przez Wratysława II czeskiego do Władysława Hermana w czasie, kiedy ten już nad Polską panował. Inni stawiali tę rzecz odwrotnie. Nie brakło i na wykładzie, że było to pismo Wratysława do Bolesława Śmiałego z czasu około r. 1074. Dzisiaj już wiemy, że to wszystko przypuszczenia mylne, ponieważ był to list Wezilona arcybiskupa mogunckiego do księcia czeskiego Wratysława II, a zatem pismo, które z Bolesławem Śmiałym i z naszymi rzeczami żadnego nie miało związku.

Pozostaje zatem z całego oskarżenia biskupa Stanisława tylko to jedno słowo *traditor*, wyrzeczone przez Galla. Wnosić należy, że nie było ono na wiatr rzucone. Biskup krakowski nie widząc, żeby broń jego duchowna skutkowała na Bolesławie, mógł się obejrzeć i za świeckimi środkami, któreby poparły to wkroczenie władzy kościelnej w rządową. (Może jakie zmywy z dygnitarzami państwa — może konflikt jakiś uroszczeń hierarchicznych świeckiej natury z absolutyzmem rządowym, traktowany przez biskupa jako gwałt przeciwko Kościołowi samemu — lub coś innego w tym rodzaju). To się mogło królowi — i rodzinie królewskiej później, za której czasów żył Gallus, cudzoziemiec przywykły do innych pojęć — wydawać zdradą, chociażby nawet nie było to miało na celu zaraz detronizacyi upartego monarchy. Takiej »zdrady« w dziejach polskich dopuszczały się nieraz najpopularniejsze w narodzie osobistości. A biorąc rzeczy ściśle, to prawdziwie nie umiałbym powiedzieć, kto się jej nie dopuszczał w tem społeczeństwie, w którym każda niemal sprawa prywatna uchodzić chciała za publiczną, a każda publiczna obracała się prędzej czy później w prywatną.

Skompromitowanie to monarchicznej idei było niepowetowanym nieszczęściem dla całego narodu. Odpowiedzialność zato spada wyłącznie na księżęcia, który przez całe życie rzetelnie na to pracował, żeby unie-

możliwie swoim następcom użycie jej w całej pełni. Odtąd już chyba tylko wyjątkowe osobistości rządzić mogły sprężycie. Nie mogły czerpać siły rozkazu z tradycyi, lecz tylko z siebie, z własnych osobistych przymiotów.

Zabicie Stanisława św. zaszło d. 11 kwietnia r. 1079¹⁾. Spowodowało stolicę apostolską, jak to zawsze w razach podobnych bywało, do obłożenia króla, a pośrednio i całej Polski, cenzurami kościelnemi. Doniosłości tych cenzur historia nie zna. W samym kraju gwałt popełniony na osobie biskupa, wyzyskany przez przeciwników królewskich, spotęgowany sztucznie innemi jeszcze plotkami do rozmiarów olbrzymich i w tej monstualnej postaci puszczony w obieg, dał hasło do jawnego buntu poddanych²⁾.

¹⁾ Ta data dnia i miesiąca jest pewną, podaje ją bowiem Kalendarz kapitulny krak. («Mon. Pol.» T. II str. 919), który w tych rzeczach zasługuje na wiarę, i niektóre także roczniki. Co do roku niema wątpliwości. Kanonizacya św. Stanisława zaszła d. 8 maja (r. 1253), jak to zapisano w tymże Kalendarzu krakowskim («Mon. T. I str. 921»). Dlatego też w tym dniu obchodzi się święto tego patrona Polski.

²⁾ Mówię spotęgowany sztucznie. Ciało biskupa miało być posiekane w sztuki. Potem się zrosło cudownie, przy współdziałaniu czworga orłów. Tłómacząc ten poetyczny język legendy na język zwyczajnych śmiertelników, znaczy to, że nad ciałem biskupa, zabitego w namiętnem uniesieniu, wcale się nie pastwił Bolesław i nie posiekał go w sztuki — ale rozpuszczono po kraju taką pogłoskę. W którą wszyscy uwierzywszy, kiedy w kilka lat potem (w r. 1088), przy przeniesieniu tego ciała ze Skalki do katedry, widzieli je całkowitem i «nawet bez blizn zrośnięcia», zagodzili sprzeczność pogłoski z tą widomą rzeczywistością — cudem. (W taki sam sposób w sześćdziesiąt kilka lat później Piotrowi Duńczykiem nazywanemu odrósł cudownie język, który mu z rozkazu Władysława II — syna Krzywoustego — został w niemilośmierny sposób ucięty). Znane to są manewra, którymi możnowładztwo i hierarchia w Polsce — a raczej niegodni obojga przedstawiciele, przy tradycyjnym braku odwagi cywilnej u reszty, lepiej myślącej — wojowali z władzą rządową... Co do mojej osoby przekonany równie jestem, że do mitycznej tylko ornamen-

Wobec tej ostateczności, wobec rokoszu podniesionego przez cały naród, popierany i przez władze duchowne, ustąpił Bolesław razem z synem 10-letnim, po nadaremnych przeboju z kraju (*ejectus est* u Galla). Usunął się na razie do Węgier. Czy zaś to nastąpiło zaraz w r. 1079, co najpodobniejsze do prawdy — czy (jak chce Długosz) dopiero w dwa lata później: to równie nie jest wiadomem, jak i cały koniec życia tego wygnańca ¹⁾.

Po królu zrzuconym z tronu wolą narodu, przyszedł do steru państwa brat jego, jedyny wtedy z rodu, Władysław Herman (1079—1102). Prawo dziedziczne i prawo inicjatywy z dołu (elekcji) działały tu razem. Jedno uzupełniało drugie. Ani Władysław ani ci co go okrzyknęli panem, nie byliby potra-

tyki opowiadania należą i ambaje o niemoralności króla, o grzechach przeciwko naturze i t. p. Kadłubek zarzuca mu tylko samowładne postępowanie i okrucieństwa, a nie życie i pod prywatnym względem gorszące, o które go według legendy miał głównie strofować i wyklinać biskup miejscowy. Wszystko to zatem wytworzyło się później dopiero. Czyż człowiek, po tyrańsku karzący ze psucie swoich poddanych, w którego usta Kadłubek kładzie słowa: „*extirpari oportere scortorum scandala, non foveri*“, czy mógł on sam popełniać uczynki, o jakie go w XIII wieku dopiero układane Żywoty św. Stanisława obwiniają?

Nie wątpić zatem, że publicznej to natury zatargi, a nie prywatnej, ani kościelnej, rzuciły kość niezgody między tymi dwoma mężami. Przejiera to nawet z Żywota („*conditor legum iniquarum*“, str. 337; „*jus terrae commune*“ za nie przez tego autora poczytywane, str. 338 i t. d.).

¹⁾ Śmierć Bolesława podług miejscowego tam gdzie grób jego podania zaszła r. 1089 w Ossyachu w Karyntyi, w tamtejszym klasztorze Benedyktynów, w którym nieznany nikomu i w pokucie bezprzykładnej przeżył lata ostatnie. W samej chwili zgonu dopiero miał wyznać, kim był. (O jego grobie i podaniach doń przywiązanych podał najwięcej wiadomości G. Smólski w „Kra-kowskim Przewodniku Powszechnym“ z r. 1896, zeszyt styczniowy).

fili sobie z tego zdoła sprawy, w imię której z tych dwóch zasad zajmuje tron nowy monarcha. W tamtoczesnem zamieszaniu nikt pewnie i o to nie pytał, czy to była intronizacya młodszej dynastycznej linii po usunięciu na zawsze starszej, czy coś w rodzaju czasowej regencyi. W kilka lat później (1057—89) będzie ta myśl nurtowała w umysłach, lecz w owej chwili i przez pierwsze lata swych rządów sam jeden chyba Władysław, człowiek dobrej, lecz wątpliwol, przyśniety i fizykiem jakimś kalectwem¹⁾, uważał siebie raczej za zawiadowcę, tylko królestwa. Powrót króla wypędzonego, lub syna jego Mieszka, który z nim poszedł dzielić wygnanie, mógł przy pomocy węgierskiej nastąpić prędzej czy później. Ani wątpić, że to przypuszczał Władysław i był daleki od tego, żeby im tych praw zaprzeczać, jeżeliby się o nie upomnieli z orężem w rękę.

To wystarcza najzupełniej, żeby zrozumieć, dlaczego książę ten pod tym tylko a nie pod królewskim tytułem na tronie braterskim zasiadł. Ale nie tłumaczy bynajmniej, dlaczego i później, kiedy w drugim lub trzecim rządów tych roku władza Władysława I się ustaliła, a oczekiwania powrotu tamtych upadły, przy roztrząsaniu nieuniknionego wtedy pytania co do koronacyi królewskiej na tem stało, że jej nie będzie²⁾.

¹⁾ „*Homo generis alyscano podibus*” (Gallus, lib. II cap. 1). Zresztą był on w sile wieku, kiedy do steru państwa przystąpił, nie licząc wtedy, jak lat najwyżej 38.

²⁾ Za chwilę taką możnaby uważać rok 1081. Rok ten w kilku rocznikach naszych (kapitulnym krakowskim, t. zw. krakowskim krótkim, Sędziwojowskim i Traskim) jest podany jako czas śmierci Bolesława Śmiałego. Kiedy właściwie król ten zszedł z świata, tego nikt nigdy w Polsce nie wiedział. Skoro o ostatnich jego losach panowały w kraju od najwcześniejszej już doby tak co do miejsca, jak co do innych okoliczności najrozmaitsze i nawet sprzeczne mniemania, temi mniej wiadomem było, kiedy on życie zakończył. Rzekomy tedy rok jego zgonu wskazuje chyba tylko datę,

Wiadomo, że od tegoto czasu począwszy aż do Przemysława w r. 1295, a właściwie aż do Władysława Łokietka w r. 1320, wszyscy nasi panujący zrzekali się tego zaszczytu. Ogłocenie Polski z blasku korony trwać odtąd miało przez lat 240 jako normalny stan rzeczy; i jeżeli na jaką okoliczność zewnętrzną (o wewnętrznych, istotnych przyczynach bowiem tu nie mówimy), to na tę właśnie bezkrólewskość i bezkoronność państwa polskiego w tym czasie, złożyć należy rozpadnięcie się już w 66 lat potem jednolitego królestwa na owe rozdrobnione rządziki, których plaga ciężyla nad tym narodem przez więcej jak półtora stulecia.

Nie będzie pono w całych dziejach naszych pytania, któreby było zawilszem od kwestyi, dlaczego Władysław Herman, dlaczego wielki syn jego nie dali się koronować.

Uprzytomnijmy sobie położenie państwa ówczesne, a rzecz nie będzie tak bardzo trudną do rozwiązania.

Przedewszystkiem skonstatujmy, że to odkładanie do coraz dalszej przyszłości, a nakoniec i zapomnienie o koronacyi, nie było ani zainauguowaniem jakiegoś nowego stanu rzeczy, ani odstępstwem od dotychczasowych tradycyi.

Poprzednie panowania w pewnych tylko, z rzadka rozrzuconych, a zatem i wyjątkowych jedynie chwilach poparte były tym urokiem władzy nieokreślonej, jakiego udzielały w tamtych wiekach namaszczenie i koronacya królewska. Było tak w r. 1025; potem od 1025 do 1034; nakoniec przez lata 1077, 1078 i roku 1079 początek. Wszystkiego zatem, razem zliczywszy, mało co nad lat 12 — na przeciąg czasu tak długi, jak nim już było wtedy historyczne (962—1081) istnienie Polski, święcącej obecnie 119 swoje rocznicę.

od kiedy Polska zaczęła go urzędownie uważać za wykreślonego z liczby żyjących.

Zauważmy oprócz tego, co wątpię żeby nie miało zwrócić na się uwagi i tamtoczesnych pokoleń, że ten koronny majestat, który sprawiał za granicą tyle zawsze nienawiści i zgrzytu, nie przynosił z sobą szczęścia naszemu krajowi... Wszystkie wielkie czyny Polski aż do owego czasu, były spełnione w tej części życia jej władców, kiedy im jeszcze nie złociła skroni korona. Bolesław Chrobry, po koronacji odbytej, zakończył życie już w kilkanaście tygodni, w pełnej sile jeszcze wieku swojego. Zawód Mieczysława II, który zaczął rządy swoje od tego aktu, był krótki i od początku do końca cierniem usłany. Bolesław Śmiały już w ciągu trzeciego roku po koronacji swojej upadł jak najfatalniej...

W naszych oczach niepowodzenia podobne nie miałyby oczywiście żadnego w tym kierunku znaczenia. My takie rzeczy nazywamy prostym przypadkiem. W tamtych czasach, ani wątpić o tem nie można, tłumaczono sobie ten zbieg okoliczności inaczej — upatrywano w związku z królewską apoteozą władzy nie-dobrą wróżbę i prawie niebłogosławieństwo jakieś.

Kiedy więc Władysław Herman ujrzał się postawionym wobec pytania, czy iść w ślady ojca swojego, którego przypominał w niejednym względzie, czy przeciwnie sięgnąć za przykładem brata po ten symbol świętego, lecz karkołomnego zawodu, po ten zaszczyt, którego osiągnięcie kościół co najmniej utrudniał, poddani z zabobonu i z własnych swoich politycznych pobudek nie doradzali, a i własny tego księcia program działania na długie lata uchylał: to rzecz należy, że postanowienie, które ostatecznie powzięto, wynikało z samej natury rzeczy.

Nadmieniłem tu o usposobieniu narodu koronacji przeciwnem, i zdaje mi się, że po wypędzeniu Bolesława Śmiałego, właśnie za samowładność królewską, było ono w Polsce rzeczą, która dowodzenia nie potrzebuje. Że kościół akt ten utrudniał, w sposób nie

rychlej wprowadzie, jak przez Długosza dopiero wyraźnie określony dowiedzionem to być nie może, ale jest podobnem do prawdy. Wedle tej wersji miał Grzegorz VII zakazać biskupom polskim następcę króla kłątwą obarczonego koronować inaczej, jak tylko za osobnem zezwoleniem stolicy apostolskiej. Otóż to właśnie odniesienie się do Grzegorza w tej sprawie, a program Władysława I, były to rzeczy, które się wykluczały wzajemnie.

Program ów na tem polegał, aby nikogo nie drażnić, wojen z sąsiadami nie wszczynać, grożących z ich strony zaczepek za wszelką cenę unikać, a mianowicie tych nieprzyjaciół, z którymi król poprzedni najwięcej miał do czynienia i którzy w dawniejszych jeszcze czasach szczególnie nam dokuczali, pozyskać i za przyjaciół uważać. Z tego wynikło, że książę ten dotąd bezżenny pojął sobie za małżonkę córkę Wratysława II czeskiego Judytę i aż do zgonu nie tylko tejże Judyty (w r. 1085 czy 86), ale i do śmierci teścia († 1092) najściślej z Czechami utrzymywał stosunki. Przyjaźń z Wratysławem utorowała mu drogę do dobrego porozumienia i z drugim dworem, którego kłamki ten król czeski całe życie się trzymał — z dworem cesarskim. Już w lat kilka po przedczesnym zgonie czeskiej Judyty, zawiązał nasz książę i na własną rękę z Henrykiem IV stosunki najserdeczniejsze, zaślubiwszy (w r. 1088) wdowę po królu Salomonie węgierskim, Judytę-Maryą, która była rodzoną siostrą tego cesarza. Od tego czasu te dwie panujące rodziny, jak się bliżskocześni wyrażali świadkowie, tworzyły też jedną nierozdzielną społeczność¹⁾.

¹⁾ Wyraża się tak autor Żywota św. Ottona biskupa bamberskiego, »Mon. Pol.« II str. 127.

Wspomnieć tutaj należy o bałamutnej opowieści, danej w Kronice Kosmasa, ks. II r. 37 (»Mon. Pol.« I 145), jakoby cesarz Henryk IV w r. 1086 na synodzie mogunckim był nadał Wratysławowi II czeskiemu tytuł »króla tak czeskiego, jak i polskiego«.

Powyższe okoliczności, razem ujęte wyjaśniają, dlaczego trudno było i myśleć o poczynaniu rokowań koronacyjnych z Grzegorzem VII. Władysław Herman, gdyby to było nie od hierarchii, ale od niego tylko zawisłem, byłby się prędzej przechylił na stronę tych antypapów, którzy już od r. 1083 począwszy z woli Henryka IV kwestyonowali prawowładność tamtego energicznego papieża. Z nim stosunków nie utrzymywał.

Teraz przejdźmy do określenia w ogólności znaczenia politycznego rządów Władysława I.

Było to jedno z liczby owych pokojowych, na organicznym tylko rozwoju cel swój cały zasadzających panowań; lecz tak się miało do prawdziwych okazów tej polityki, jak się w przeciwnym kierunku miał np. Bolesław Śmiały w przybliżeniu do Bolesława Chrobrego.

Pojmowano tylko odwrotną stronę medalu. Do-

Któratą wiadomość powtarza się u niego i w drugim miejscu, w rozdz. 38 teje II księgi. Na czem Kosmas to podanie opierał, tego nie wiemy. Było to jednak urojenie, o którym Palacký w swych dziejach nawet wspomnieć nie uważał za rzecz właściwą. U nas w czasach ostatnich chciano rehabilitować tę bajkę, przywiązywano do tego faktu zamiar dla nas nieprzyjacielski i broniono jej nie tylko powagą Kosmasa, ale i tą przypadkową okolicznością, że były znalezione dwa listy, nb. oba tylko w odpisie, pisane przez osobę tylko literą W oznaczoną, w których Wratysław nazwany „*rex Boloniorum*”. Mamy te listy i w *Monum. Pol.* I p. 364 i 374, najfalszywiej tu objaśniane i przypisane osobom, piszącego i odbiorey, które z tem nie miały nic do czynienia. Te listy bowiem pochodziły od Wezilona arcybiskupa mogunckiego, nazwany w nich zaś był Wratysław *rex Bohemorum*. To „*Bohemorum*” było w autentyku tych listów albo wyrażone przez *B* albo napisane niewyraźnie, tak iż kopista (biorąc *he* za *lo*, a *m* za *ni*) „*Boloniorum*” z tego utworzył. Mniejsza o zamianę *P* na *B*, ale przecież *Bolonorum*, a nie *Boloniorum* byłby chyba autor listów napisał, gdyby mówił o Polsce, i nie byłby też w nich obydwóch właściwego tytułu Wratysława pomiął, t. j. *rex Bohemorum* (przed *Polonorum*). A więc zaznaczam, że odmawiam temu faktowi wszelkiej wiarygodności.

datnie zalety wziętego za wzór systemu pozostawały ideałem, o który się nie kuszono.

Władysław Herman czuł swoją słabość. Jak w stosunkach państwa na zewnątrz szukał punktu oparcia w drugich, tak go też poszukiwał i w administracyi wewnętrznej. Cały ciężar tego trudu złożył na barki Sieciecha, który jako palatyn królestwa i wódz naczelny rządził krajem sprężyscie. Podpórki takie zastąpić jednak rzeczywistej siły nie mogły; to też nie dziw, że rządy tego księcia pożytku krajowi nie przynosiły.

Chociaż wojen unikano, trapiły one przecież Polskę z stron różnych. Brak programu z celem wytkniętym i bierność tego programu, oddziaływały szkodliwie.

Z Czechami trwał pokój zaledwie tylko do r. 1093. Aż do śmierci Wratisława II (1092) nie płacono Czechom daniny szląskiej; owszem od nich jeszcze pobierał książę polski dochody z Kłocka (Glatz) jako hrabstwa tytułem posagu Judyty sobie przydzielonego. Dochody z Kłocka były mu przez teścia pozostawione jeszcze i po śmierci tej księżnej. Następca jednak Wratisława, Brzetysław II, już w rok po objęciu rządów na siebie zażądał daniny szląskiej napowrót i spustoszywszy w latach następnych kilkakrotnie polskie przyległe powiaty, wymógł wszystko, czego żądał. Płacono odtąd regularnie tę należność. Kłocko tylko, jako lenno księstwa czeskiego, raczył nadać Brzetysław (1095) młodemu Bolesławowi Krzywoustemu z łaski swojej wujowskiej¹⁾.

Podobnego upokorzenia doznała Polska i z strony Węgier (zdobyty Kraków przez Władysława św., wiadomo w którym roku i z jakiego powodu).

Z Pomorzanami, którzy już teraz występowali

¹⁾ Brzetysław II nie zostawał względem Władysława Hermana w żadnym stopniu pokrewieństwa. Pochodził z Adelaidy węgierskiej, poprzedniej żony ojca swojego. Swatawa była mu tylko macochą, a Judyta, jego siostra rodzona, dawno nie żyła. Ale Bolesław Krzywousty był mu bliskim, jako syn tejże Judyty.

zaczepnie, przez całe to panowanie trzeba się było ubijać. Wyprawy wojska polskiego docierały niekiedy aż do najgłębszych zakątków owej prowincyi, lecz prowadzone z różnem szczęściem, a zawsze tylko dorywczo, nie wydały rezultatu politycznego.

Połowcy, to w połączeniu z Rusinami (1094), to sami (c. 1097), dawali się także w znaki mieszkańcom naszych wschodnio-południowych prowincyi. Dopiero pod koniec życia Władysława I dał tym pohańcom pamiętne młody bohaterski syn jego, tak iż już za jego rządów nie śmieli mu się przypomnieć.

Widać z tego wszystkiego, że Sieciech, ówczesny palatyn i wojewoda (*princeps militiae*), nie musiał grzeszyć zbytym talentem wojennym. W zarządzie państwa, choć czynny i silnej ręki, nie był także szczęśliwy. Że go oskarżano o niesprawiedliwość, tyranie, prywatę, chęć przewodzenia, nawet przekupność — mogłoby jeszcze nie dowodzić niczego. Zawisć i zawiedzione ambicje miotają na każdego takie zarzuty. Ale się działy pod rządem Sieciecha zbrodnie, które nie dlatego zgrozą przejmują, że je spełniono, ale że je bezkarnie spełniono. Młody królewicz, przybyły w r. 1086 z Węgier do Polski, Mieczysław, syn Bolesława Śmiałego, ginie już w trzy lata później w skutek podanej sobie zdradnie przy biesiadnym stole trucizny. Tak nieubłaganą była nienawiść i lęk odwetu w tej klice, która ojca jego z tronu zrzuciła! Poniższe warstwy narodu oplakiwały sierotę, bo w nim widziały przyszłego następcę tronu, a zapowiadał wielką przyszłość: lecz żeby dwór się oń był ujął, żeby był bodaj usiłował zbrodniarzy wykryć i skarcić -- o tem dzieje nie piszą¹⁾.

Domowe w ostatnim dziesiątku lat panowania tego księcia zamieszki zacieniają nawet klęski jego publiczne. Fakcya rządowi przeciwna ustępuje z ojczyzny, do-

¹⁾ Obacz Gallus I 29, Mon. Pol. I str. 423 i n.

puszcza się na ziemi czeskiej, pod sterem tamtejszej władzy, wrogiej naszemu krajowi, buntu jawnego przeciwników swemu monarsze. Przybiera sobie za wodza znajdę, przywołanego aż z saskiego gdzieś klasztoru gdzie się chował, wyrodka; wkracza z nim w granice Polski (do Wrocławia), aby władcy państwa prawa dyktować. Za to wszystko Władysław — dla miłej zgody — uznał Zbigniewa, naczelnika tej rotty, za syna prawowitego (c. 1093). Widząc później, że ten uznany za syna bękart nie chce żyć w zgodzie z prawym tronem dziedzicem i że rozporządzając silnym stronnictwem, może się stać niebezpiecznym nawet i jemu samemu — wydziela mu dział książe. Niedługo potem (około r. 1098) daje się zmusić do sromotniejszego jeszcze ustępstwa. Wicłchrzyciele zażądali zupełnego usunięcia Sieciecha od spraw publicznych. Ażeby celu dopiąć, potrafili i Bolesława (13to-letniego w tym czasie) przeciągnąć na swoją stronę pod tym pretekstem, że ten wszechwładny dostojnik nastaje na jego życie i tron pragnie dla siebie zagarnąć. Poczyna się formalna wojna synów obydwóch z ojcem, który będąc przekonany o bezpodstawnem oskarżeniu Sieciecha, wystąpił w jego obronę. Z całą świadomością, że ma do czynienia tylko z intrygą i zaślepieniem — przy postępowaniu w ciągu całego tego przeboju takim, że go to w oczach współczesnych czyniło oblakany, w naszych zaś tylko słabym, ale słabym aż do śmieszności — przystaje w końcu nawet na wyrok wygnania z kraju człowieka, który mimo wszystkich wad swoich sam jeden może wtedy w Polsce pojmował, do czego te wybryki prowadzą.

Ażeby do sponiewierania siły rządowej niczego nie brakło, nastąpił potem ów sławny podział królestwa na r ó w n e działy pomiędzy obydwóch synów¹⁾.

¹⁾ Na wypadek śmierci, przeznaczył wtedy Władysław Herman dla Zbigniewa prócz Wielkopolski, którą tenże wtedy już miał, i Mazowsze jeszcze, które sam miał jednak zatrzymać aż

Nie było to jeszcze wszystko! Dzieło zostało uwiecznionem dopiero przez sławniejszy jeszcze od tego podziału respons, dany na zapytanie panów otaczających księcia: któremu z synów ma się dostać po jego śmierci naczelny zarząd królestwa. »Dzielniejszy i sprawiedliwszy niech po mnie władzę odzierzy...« Dobrowolnie zatem wyzuł się ten bezmyślny regent z kardynalnego prawa, które mu jeszcze i wtedy przyznawano nieuszczupłone! Dawano mu je w takiej obszerności, że nawet nieprawy potomek panującego mógł w danym razie dziedziczyć prawo następstwa, bez współdziałania elekcyjnych z dołu czynników, jeżeli taka była wola ojcowska. I Władysław I nie rozumiał ważności tej największej swojej prerogatywy! Zostawił syna, na długoletnie skazanego zatargi z intruzem, wyposażonym takiemiż jak on prawami. Zostawił tron polski rzeczą, o posiadaniu której chyba łaska narodu lub prawo pięści miały stanowić. Odszedł z dziedzictwa swojego, nie tylko zostawiając je bez korony, ale jeszcze i przy zachwianiu w niem tego aż dotąd tradycyjnego poczucia, że to monarchia dziedziczna i własność bezwarunkowa swych książąt.

Kłęski jednak z tego wszystkiego wynikające miały się nie tak zaraz jeszcze pojawić. Przeciąg czasu od r. 1102 do 1138 zapełnia panowanie Bolesława III (właściwie IV) czyli Krzywoustego, który pomimo młodego wieku (miał zaledwie lat 17, kiedy szedł za trumną ojcowską), pomimo że przez pierwsze lat sześć czy siedm konwencyjnie chyba tylko za władcę Polski może uchodzić, boć rządził nią aż do r. 1108 jedynie

do zgonu pod własną ręką. Dział Bolesława miał stanowić oddany mu już poprzednio w zawiadowanie Szląsk, a na przyszłość i Małopolska t. j. krakowskie i sandomirskie dzierżawy.

w spółce z Zbigniewem, a ten wszystkie kroki jego krzyżował — stoi przed nami, przez cały ciąg swego zawodu, jako prawdziwy prototyp panującego w duchu tamtej epoki.

Potomność nie okazała się sprawiedliwą względem tego najrozumnieszego może monarchy z całej dynastyi Piastów. Historyografia nasza, od pierwszego jej wyobraziciela począwszy (Długosza) aż do jednego z ostatnich (Morawskiego), widzi w nim tylko »zwycięzcę w 47 bitwach« i winowajcę, który Polskę »niewiedziec na co« w sztuki poszarpał. Tamta zasługa i sława daje tym politykom wprawdzie zapomnieć, a raczej pobłażliwymi ich czyni, względem tego (jak się wyrażają) ciężkiego grzechu przeciw świetności narodu. Ale też na tem zrównoważeniu winy a sławy kończy się tutaj wszystko. Pamięć Krzywoustego stanęła tedy i stoi przez te wszystkie stulecia prawdziwie na punkcie zero, a sąd o jego trzydziestosześcioletniem, jak nić z jednego kłębka snującym się z niezaprzeczoną konsekwencyą i mądrością prowadzeniu spraw narodowych feruje się w taki sposób, że ani grzeje ni ziębi...¹⁾

My wielkość tego monarchy upatrujemy w tem, że co sobie zamierzył, tego i dokonać potrafił; że nie zamierzał, jak tylko to co było koniecznem, i z tej drogi nie dawał się zepchnąć ani trudnościom ani pokusom. Pod jegoto dopiero berłem podały sobie ręce owe dwa wzory sobie przeciwne kierowania losem Polski, które aż dotąd wyłączały się wzajemnie. Rozwaga, trzeźwy polityczny kalkul, zręczność dyplomatyczna, dar wyzyskania zdarzającej się sposobności, świadomość celu swojego na każdym kroku, umiejętność wyczekiwania, a gdzie potrzeba doraźność — wszystko to znalazło się w tym prawnuku Mieszka I i Kazimierza, obok dzielności ognistej, talentu strate-

¹⁾ Przypominam, że było to w r. 1875 pisane, nagana przeto historyków powyższa nie ściąga się do dzieł po r. 1875 wydanych.

gicznego i ducha nieugiętego Bolesławów obydwóch, lecz oczyszczonego z onych fantazyjnych przymieszek, które chwilowo mogą wprawdzie dzieje narodu i w epopeję zamienić, ale granitowej im podwaliny pod stopy na dalszą przyszłość nie kładą.

Upatrujemy wielkość Bolesława III w tem, że od czasu śmierci Chrobrego jegoto dopiero ramię wyprawadziło Polskę z ciasnego obrębu gospodarki tylko krajowej na szerokie pole słowiańskiej i nawet europejskiej polityki: wznawiając i szczęśliwie wznawiając nie tylko przerwany program Bolesława I co do Słowiańszczyzny zachodniej, ale i wątek tej solidarności kraju naszego z Zachodem, której zadanie i obowiązek wzięliśmy na się w dniu chrztu Mieszka I. Za dni tegoto właśnie księcia naszego porwaną została cała Europa zachodnia ową może awanturniczą, lecz zawsze wielką, rycersko-cywilizacyjną ideą, której wyrazem były krycyaty. Nasz Bolesław z tymi rycerzami do Palestyny nie chodził, ale zaszczebiał cześć i panowanie krzyża na ziemi, która tej interwencji krzyżowej więcej jeszcze potrzebowała niż Oryent, bo wszakże leży w samem sercu tutejszej części świata. Polska krucyata nad Odrą i na pobrzeżach Bałtyku stanowi jedną z niepoślednich kart w annałach dziejów powszechnych XII stulecia, a w tem jej chwala najwyższa, że myśl chrześcijańska i narodowa idea podały tu sobie ręce, i działały nie żeby naród podbity zgębić, ale żeby go podnieść i ocalić.

Widzimy wielkość Bolesława w tem wreszcie, że po takim przewrocie lepszych tradycyi, jak nim był upadek władzy królewskiej w osobie jego stryja, i jak nim było panowanie całkowite jego ojca niedołęznego, potrafił jeszcze takich czynów dokonać; co większa, że ich dokonał na czele nie tylko znarowionego temi zajściami narodu, ale i ciągle buntowanego w dodatku pod jego już własnymi rządami, przez narzuconego mu brata. Mimo tych wszystkich obalamuceń, umiał

się Krzywousty przez cały czas swoich rządów utrzymać na wysokości jedynowładztwa, równego potędze najdzielniejszych jego pradziadów. Knowania podziemne możnowładztwa nie miały powodzenia pod jego tronem. Synowie owych rycerzy, którzy Śmiałego porzucili w obozie, szli za tym wodzem swoim, choć koroną niewieńczonym, bez szemrania w ogień i do najdalszych twierdz nadbałtyckich — bez względu na to, że jak wtedy, tak i teraz ta krwawa wojaczka przedłużała się nieskończenie.

Szczegóły tego panowania, przynajmniej aż do r. 1113 (na którym urywa się wątek współczesnej kroniki), są dość dokładnie wyjaśnione w historii. Mniej w niem także, aniżeli gdzieindziej zdarzeń, któreby podlegały mylnemu pojmowaniu. Tę ułatwiała zadanie nasze: gdyby nie zachodziła konieczność zoryentowania się raz wreszcie w zamęcie faktów, które panowanie to tworzą — ukazania ich w ugrupowaniu i w perspektywie, na której dotąd najzupełniej im zbywa. Postaramy się to uczynić, stawiawszy przed sobą jasno główny cel wszystkich trudów Krzywoustego i uprzytomniając sobie stadya odrębne, przez które książę ten zbliżał się krok za krokiem i nareszcie osiągnął onego celu.

Tym celem było dla Bolesława Pomorza. Zaprzętały go wprawdzie i inne nieustające zatargi. Nie było państwa w pobliżu Polski, z któremby to przez czas dłuższy, to krótszy nie był wojny prowadził. Ale rozróżniać tu trzeba zawikłania, do których go zmuszały okoliczności nie od jego woli zawisłe, od wypraw, stanowiących właściwe jego zadanie. Na własnym jego programie zapisaną była tylko sprawa pomorska. Jakoż łamał się Bolesław z Pomorzanami przez 30 lat panowania swojego, wśród najtrudniejszych okoliczności, wśród zdrad w otoczeniu swoim najbliższem, wśród najzjadów na Polskę najpotężniejszych wrogów postronnych. I nie spoczął dopóty, aż pobratymcze, ale

zdziczałe to plemię złamał do szczętu, podbił, wcielił do państwa swojego i schrzęścijanił zupełnie.

Widzieliśmy już za panowań poprzednich, że kraina ta z dawien dawna zaprzętała oręż Polaków. Za Chrobrego, w r. 1000, otrzymał był Kołobrzeg własnego swego biskupa. W niedługich latach potem, kiedy fundacya owa upadła, stanęło biskupstwo dla Pomorza w Kruszwicy. Z tegoto punktu rozszerzyła się wiara chrześcijańska może w jednej części tego kraju, na Pomorzu kaszubskiem, naokół Gdańska, wzdłuż Wisły. Ten stosunkowo drobny kraik jednakże, jeżeli rzeczywiście jego nawrócenie wyprzedziło czasy Bolesława Krzywoustego — na pewne twierdzić tego nie można — stanowił tylko jedną trzecią rozległych dzierzaw pomorskich. Jego ogół obstawał przy bałwochwaltwie i poczynał sobie jako wróg tradycyjny względem Polski, która mu narzucała obowiązki dannicze wraz z chrześcijaństwem. Wojował z jakimś odłamem Pomorzan Mieczysław II w ostatnich latach swojego panowania, i podobno wymusił trybut. W rozruchach po r. 1034 ustało jego płacenie. Kazimierz I miał z tymże czy innym odłamem pomorskim stoczyć znowu jakąś bitwę wygraną. Powtórzyło się to raz czy dwa razy i za Bolesława Śmiałego. Wszystkie te jednak utarczki z bałwochwalcami nie miały innego celu, jak odeprzeć ich napaści, uprowadzić zdobycz jaką, w najlepszym razie ściągnąć jaki haracz dorywczy. Nie powiadają nam też tego kroniki, z którymi kiedy częściami Pomorza się ubijano. Cała ta kraina rozległa, aż do tej chwili dziejowej, stoi przed oczyma naszymi jak krajobraz mgłą owiany, daleki, nieprzenikniony dla oka... Pod Władysławem Hermanem mgła ta zwolna zaczyna opadać — skutek jedynie zuchwalstwa tych najezdników, którzy mieli teraz już udeptane ścieżki aż w wnętrze kraju naszego, żeby go łupić. Była chwila w ciągu panowania owego (r. 1091), gdzie zdawałoby się mogło, że podejmowano względem Pomorza jakieś

donioślejsze zamiary. Po zwycięstwie odniesionem (nie wiadomo w jakiej miejscowości) w samo święto Wniebowzięcia (d. 15 sierpnia), rozłożono załogi polskie w pewnym obrębie głębszego już nadbałtyckiego Pomorza i wydano rozkaz spalenia wszystkich twierdz warowniejszych tamecznych. To spowodowało jednak obrot rzeczy całkiem przeciwny — załogi polskie zostały wypędzone i nastąpiły zaraz potem nowe na pogranicza nasze najazdy, które trzeba było odtąd już rok rocznie prawie odpierać. Widownia tego działania odchyła się już teraz wyraźnie: Drdzeń nad Notecią, Nakło, Międzyrzecz jakiś, Santok i jego okolica najbliższa — oto punkta, gdzie r. 1092, i później, ubijano się z różnem szczęściem. Były to, jak wnosić trzeba, utarczki z Pomorzanami nadnoteckimi. O zaczepianiu głębiej położonych okolic owej prowincyi milczy w tych latach historia.

W ostatnich chwilach tego przeboju, kiedy Sieciech wojewoda, na wygnanie skazany już kraj opuścił, a schorzały pod koniec życia swojego Władysław Herman w sprawach publicznych głównie się synem swoim młodszym wyręczał: sprawa ta z Pomorzanami zdana była już w jegoto ręce. Od tego czasu (c. 1100) szczęście wojenne było też zawsze po naszej stronie.

Antecedencye powyższe ukazują nam Polskę względem Pomorza w stosunku właściwie zatem raczej odpornym. Bolesław I miał zamiar opanowania go stale, ale to nie miało skutku. Późniejsi — nie marzyli już o tem.

Przejście z stosunku obronnego w zaczepny miało nastąpić dopiero teraz. Zrozumienie potrzeby skupienia wszystkich sił narodowych ku temu, by ta prowincya, łącząca wewnątrz europejskiego kontynentu z Bałtykiem stała się naszą, by ta ziemia, już przez naturalną swoją granicę złączona z Polską, i silniej jeszcze przyłgnęła do tego państwa, by ta ludność, znarowiona wprawdzie długim bezładem politycznym, ale w boju waleczna,

potężnej siły liczebnej i jednego z nami narodu, nie stała się łupem obcego żywiołu na szkodę własną i naszą — myśl ta powstała dopiero w duchu Bolesława III i zajmować go też zaczęła zaraz od pierwszej chwili, kiedy (w r. 1102) po śmierci ojca objął w bezpośredni swój zarząd południową ojcowizny swojej połowę (Szląsk, Krakowskie i Sandomirskie), podczas gdy druga, północna połowa królestwa (Wielkopolska, Mazowsze, a może i Sieradz razem z Łęczycą) przeszła pod rozkazy Zbigniewa ¹⁾.

Pierwsze lat sześć panowania pospólnego tych obu książąt (aż do r. 1108) stanowi pod każdym względem osobną całość. Można ją nazwać pierwszym sprawy pomorskiej okresem. Akcja zaczęła się na razie jednak od załatwienia pewnej kwestyi ubocznej.

Ażeby skutecznie uderzyć na północ, trzeba było stanąć jasno z południem. Daleki był wprawdzie Bolesław od hołdowania i ze swojej strony fantasmatowi ruskich zdobyczy. Wypadalo jednak stwierdzić i jemu tę odwieczną prawdę dziejową, że chcąc mieć z niepewnym sąsiadem zgodę i poczesny stosunek, najlepszy sposób ku temu gruntownie odjąć nadzieję powodzenia jego zapędom.

Książęta Rusi Czerwonej, za rządów Władysława Hermana, niepokoiili Polskę. Obawiać się należało, że kiedy rycerstwo polskie pójdzie za Noteć, nastąpią z tej strony wypadki, które tam udaremnią postępy. Taką tylko była przyczyna wydanej zaraz w r. 1102 wojny tej części Rusi. Trwała krótko, powiodła się szczęśliwie i wydała skutek zupełny, dla którego była podjętą. Zawarto pokój, utrwalony nawet związkiem małżeńskim. Bolesław zaślubił (w r. 1102) Zbysławę, córkę

¹⁾ Co do Sieradza i Łęczycy niema wprawdzie pewności, do którego działu to należało; ale położenie geograficzne i wzmianka w kronice Baszka (Mon. Pol. T. II str. 493) przemawiają za przypuszczeniem powyższem.

Światopółka II, W. księcia kijowskiego ¹⁾). Miał już potem ze wszystkimi książętami Rusi pokój, trwający przez długie lata, a nawet pomoc ze strony teścia w chwili dla siebie najkrytyczniejszej.

Po tej dopiero epizodycznej rozprawie, lecz jeszcze w tym samym roku, przysłała do skutku pierwsza wstępna i walna na Pomorze wyprawa. W dalszych latach powtarzać się to już miało rok rocznie. Wypraw takich, w tym pierwszym wojny pomorskiej okresie (1102—1108) naliczyć można siedem. Z małym wyjątkiem odbyły się one pod osobistym przywództwem Krzywoustego. Ich celem — była najgłębsza okolica Pomorza — między kaszubską (około Gdańska) a nadodrzańską dzielnicą, między krawędzią Bałtyku a tym pasem kilkomilowym błót niezbrodzonych, jezior i lasów dziewiczych, który w wschodnio-zachodnim kierunku przez całą szerz tej prowincyi się ciągnąc jako pustynia w tamtych stuleciach jeszcze bezludna, nadnoteckie jej dzierżawy od nadmorskich przedzielał. Zdaje się, że zamierzano przez owładnięcie tych twierdz matecznych, uchodzących za główne grody całego kraju i za centralne ogniska życia politycznego, osiągnąć od razu i złamanie oporu bliższych Polsce, nadnoteckich Pomorzan. Zostawiano ich więc do czasu w pokoju, a docierano do Biełgrodu nad Persantą (dzisiejszy Belgardt), do Kołobrzega nad samym już brzegiem morskim, do Słupska (Stolpe) nad Słupią, do Bytomia o kilkanaście mil na zachód położonego od Gdańska (dzisiejszy Bütow) i do innych okolicznych punktów tejże krainy.

Przebój ten z Pomorzanami nadbałtyckimi, przez

¹⁾ O wojnie w tym czasie pomyślniej donosi Herbord w Żywiecie św. Ottona bisk. bambr. O czasie zaślubienia Zbysławy Nestor. *Mon. Pol.* I 810, II 74. Światopółk II był naszym Bolesławowi wujem jako syn zaślubionej Izasławowi Ryksy, siostry Kazimierza I.

to całe sześćościecie, postępował z wielkim oporem. Nagradzał on się wprawdzie zdobyczą, jeńcem u wadzonym, powaleniem czasem w gruzy to jednej drugiej warowni zdobytej, mórallnym nareszcie i tkiem, który kruszył coraz bardziej zuchwalstwo dziczy walecznej i zbliżał z wolna spodziewaną ch podboju. Widoczniejszych jednak skutków, jak te i czne i tylko przygotowawcze postępy, nie mógł tu nosić ani też spodziewać się nawet Bolesław, do go zaprzętały obok tego inne zajęcia, nierównie u źliwsze od tej całej wojny pomorskiej, która już i s przez się wyczerpywała zasoby, przez jedną tylko łowę państwa mu dostarczane.

Nie dość bowiem, że go Zbigniew ani osobi ani pośrednio w owych wysiłkach nie wspierał: ła on jeszcze w samym zarodzie, co tylko tamten prz sięwziął. Polityką tego warchoła było, nie mieć żad myśli przewodniej jak chyba tę jedną tylko: zg wać bratu upadek, a królestwo całe sobie zagari

O wszystkich krokach postanawianych prze Pomorzu uprzedzał on tych sojuszników swoich pr czasem. A kiedy nurtowania jego, i w własnym b terskim poczynane obozie, nie wydawały skutku, ś gnał mu na kark i wojnę czeską (1103).

Nie żył już wtedy Brzetysław II, który przez c czas swoich rządów był stale życzliwy naszemu B sławowi. W r. 1100 zajął miejsce jego na tronie b przyrodni B o r z y w o j II. Jako syn polskiej Swata drugiej Wratysława małżonki, był on książęciu i skiem bratem ciotecznym. Pomimo tego pokrewi stwa psulo się ciągle z mniej wyjaśnionych powod porozumienie między tymi dwoma panującymi; ła tedy udało się Zbigniewowi pobudzić Borzywoja kroków nieoczekiwanych. Najazd czeski na przyle szląskie powiaty, z wielkiem tychże spustoszeni spadł z nienaeka już w ciągu r. 1103. Wspomag

w nim księcia czeskiego i morawskie zastępy, pod Swatopługiem księciem na Ołomuńcu.

Zajęty właśnie przygotowaniami do drugiej swojej na Pomorze wyprawy Bolesław, ażeby sił nie rozrywać, załagodził wtedy nieprzyjaźń z Czechem pokojowymi środkami (darem a raczej zaliczką 1000 grzywien srebra posłaną Borzywojowi, prócz tego otrzymali też upominki i niektórzy panowie czescy). Pozostał jednak na placu, i przy wrogiem usposobieniu, pominięty przy rozdzieleniu tych darów, a obcy rodem Bolesławowi Swatopług. Trzeba go było spędzać z okolic, które plądrował, i odpłacać na własnych już jego śmieciach jego najazdy. Właśnie przeto i później jeszcze się one ponawiały (w r. 1104 i 1105). Brałci on ciągi od Polaków — to prawda: ale rozrywało to siły polskie.

Kiedy w r. 1107 zaszedł przewrót w wewnętrznych czeskich stosunkach i z podmuchu niemieckiego zajął tam tenże Swatopług miejsce po Borzywoju, z tronu zrzuconym: zawrzała wojna czesko-polska na dobre. Borzywoj z braćmi młodszymi schronił się wtedy do Polski. Zbigniew wyzyskał ten wypadek na swoją korzyść. Same okoliczności poprzednie czyniły przywłaszczyciela praskiego zaślepionym, zaciętym wrogiem Polaków. Nastąpiła wtedy chwila dla Krzywoustego tak ciężka, że pragnąc ująć sobie Zbigniewa, ofiarował mu zwierzchnictwo nad sobą i całą Polską. »Albo sam weź na się ciężar władzy nad tem królestwem, a ja wtedy wiernie będę polecenia twoje wypełniał — albo pozwól mi działać, jak działałem, ale przestań mi zdradzać«.

W odpowiedzi na te słowa dowiedział się Bolesław, że się burzyciel do otwartej z nim wojny gotuje, wojsko zbiera, z Czechami i Pomorzanami w jawnym zostaje przymierzu, ażeby obrócić w niwecz, co tylko dotąd on zdziałał, aby ojczyznę na klęskę domowej i postronnej wojny wystawić i za tę cenę, przy po-

mocy obcych wrogów i zdrady, pozbyć go się z kraju na zawsze.

W tym stanie rzeczy nie zostawało, jak złe stłumić w samym źródle. Z Czechami postarał się przeto książę polski o co najprędsze załatwienie niesnasek. Skłoniwszy Swatopluga do zerwania z tym wichrycielem (warunki -- zapewne uciążliwe — tego rozejmu nie są bliżej wiadome), postanowił przedewszystkiem i raz na zawsze położyć koniec zdradzie w własnym swym domu ¹⁾.

¹⁾ Ani wątpić, że zawarowanie regularnego uiszczania dany szląskiej stanowiło jeden z punktów tej zgody z Czechem r. 1108 zawartej. Historycy nasi wprawdzie są tu innego mniemania. Podnosząc z jednej strony waleczność Bolesława Krzywoustego dowiedzioną w tylu bitwach wygranych, wobec której nie mieli zdaniem ich śmieć książęta czesey domagać się tego trybutu od Polski, z drugiej strony odwołując się do powagi współczesnego Kosmasa praskiego, który pod r. 1100 wspomina po raz ostatni o tej należności jako uiszczonej: twierdzą, że od tegoto roku poszło owo zobowiązanie w niepamięć. Kosmas jednak nie wyrzekł tego, że splata dani w r. 1100 była w ogóle ostatnią. Jego milczenie o stanie rzeczy po roku 1100 nie dowodzi samo przez się, że sum tych nie płacono już potem. Twierdzenie to historyków naszych zdaje się przeto być mylnem i mogłoby mieć dostateczną podstawę dopiero chyba co do czasu od r. 1111 począwszy. Aż do owegoto bowiem roku zostawała Polska z Czechami ciągle w naprężonych stosunkach. Byłoby to rzeczywiście lekko-myślnością w położeniu ówczesnem Bolesława III, gdyby był drażnił sąsiada, już skąd inąd nieżyczliwego, odmawianiem mu należności tak błahych w porównaniu z celem, o którego dopięcie jemu chodziło, a który osiągnąć wśród wojen czeskich było prawie niepodobieństwem.

Mogły być jednak inne pretensye, o które w r. 1108, i także już za Borzywoja w r. 1103, rozchodziło się między tymi dwoma dworami, tak iż w tej mętnej wodzie ryby łowić na swą korzyść Zbigniewowi nie było trudno. Zatargi te mogły mieć taki początek: Jak się wyżej już nadmienilo, nadał był wuj Krzywoustego, Brzetysław II w r. 1095 (czy 1093) temu siostrzeńcowi swojemu powiat właściwie czeski, a tylko tytułem posagu Judyty przez Władysława Hermana nawet po jej zejściu trzymany, to jest hrabstwo Kłockie z przyległościami, jako lenność księstwa czeskiego.

Nastąpiła tedy wojna domowa, starcie zbrojne jednej połowy kraju polskiego z drugą.

Ponieważ chodziło o poskromienie człowieka liczącego na obcą pomoc, postarał się przeto i Bolesław o posiłki postronne. Użyteżył mu ich teść jego Światopolk wielki książę kijowski — również i sprzyjażniony z nim król węgierski Koloman. O takichto siłach, postronnych i własnych, musiał prawy potomek Piastów, stopa ziemi za stopą, w Wielkiej Polsce, w Łęczyckiem i w Mazowszu ojcowiznę swoją zdobywać.

Przeprowadził to zadanie w ciągu miesięcy latowych r. 1108 z najpomyślniejszym skutkiem. Zbigniew po nadaremnych opórce uznał się podwładnym (»miles«)

W kilka lat później, w r. 1099, a więc za życia jeszcze Władysława, wyniósł był tenże książę czeski siostrzeńca swego, przy osobistej tegoż bytności w Sadezu (Satz), w jego charakterze lennika czeskiego, na jedno z honorowych dostojęństw dworskich, zamianował go Miecznikiem swojego księstwa (*ensifer*). Z tego tytułu przyznał on mu i prawo pobierania dla siebie z skarbu czeskiego należności corocznej w kwocie 10 grzywien złota i 100 grz. srebra, którato suma w porównaniu z płaconą od Polski szląską daniną (30 grzywien złota i 500 srebra) stanowiła mniej więcej tejże część czwartą i od roku owego począwszy z takowej się potraçała. Otóż z tychto łask Brzetysławowskich wyrodzić się mogły po jego śmierci, zaszłej w r. 1100, wątpliwości, które były powodem obustronnych niesnasek, mianowicie od chwili, kiedy dotychczasowy hrabia na Klocku, lennik i miecznik czeski, został w r. 1102 suwerenem swego narodu. Czy miał on się jeszcze i teraz za Miecznika obcego księcia uważać? To oczywiście nie! Czy mimo tego pensya owa miała się i dalej strącać z daniny czeskiej? To już pytanie mniej jasne! A jeszcze zawikłańszem — zwłaszcza przy pokrewieństwie tych dworów — było pytanie, czy może książę polski i nadal zatrzymać Klocko, lennicze księstwu czeskiemu?

Nie podają nam wprawdzie źródła dziejowe przyczyn przedłużającej się w owych latach niezgody Polski z Czechami; ale jest podobnem do prawdy, że o teto wątpliwości, tłómaczone przez każdą stronę na swoją korzyść, rozbijało się dobre między tymi dworami porozumienie, psute w dodatku jeszcze przez intryganta Zbigniewa. Zapewne także był z temi wątpliwościami w związku i ów dar 1000 grzywien sr. w r. 1103 posłany Borzywojowi.

brata młodszego i zaprzysiął mu posłuszeństwo. Jego księstwa przeszły teraz pod rozkazy zwycięzcy — tylko Mazowsze pozostawiono mu z miłosierdzia i na prośbę przyjaciół (Baldwina krakowskiego biskupa) jako dzierżawę pośrednio podległą berłu polskiemu.

Teraz dopiero można było z całą pewnością skutku poprowadzić wojsko, od wszystkich już dostawione ziem polskich, do ostatecznej rozprawy z nadbałtyckim oporem. Jakoż pod koniec owego roku (1108) dokonano ostatecznego podboju dzielnic tamtejszych w powyżej określonym obrębie (środkowa część Pomorza). Po zdobyciu jednych, poddaniu się drugich pomorskich warowni, zabawił tam jeszcze przez 5 tygodni Bolesław, urządzając administracyjne stosunki owej prowincyi na sposób polski, choć zresztą jeszcze pod zarządem krajowych książątek.

To więc pierwszy okres sprawy pomorskiej.

W drugi okres przechodzi ona już w r. 1109. Widownią walk, które teraz miały nastąpić — nadnoteckie Pomorze. Ciągnął się ten przełom — z niejakimi przerwami — aż do r. 1113.

I tym razem towarzyszył działaniu wtór spotęgowanej wrzawy przebojów gdzieindziej prowadzonych, drugorzędnego znaczenia. Od nich nawet zaczął się okres obecny i oneto dały powód do buntu nadnoteckiej krainy.

Poczęło się od pożaru na ziemi węgierskiej, wzniesonego ręką niemieckiego cesarza. Henryk V, syn i (od r. 1106) następca niezdarnego pokutnika w Kanossie, wznawiał tradycje dawnej świetności cesarskiej. Świetność tę postanowiono stwierdzić i wpływem na losy przyległych królestw. Już w r. 1107 zasiadł na tronie czeskim, z ramienia tegoto władcy, Swatopluga, dawny książę morawski — a Borzywoja spędzon. W r. 1108, w miesiącu wrześniu, wkroczyły wojska niemieckie, a z nimi także i czeskie, pod osobistym przywództwem obydwóch tych panujących, do Węgier.

Postanowiono wyzuć tu z władzy królewskiej Kolomana, źle widzianego na dworze cesarskim, i obdarzyć nią brata Kolomanowego imieniem Almusa, który się oddał w opiekę niemieckiego mocarza.

Król węgierski zawarł był parę lat przedtem z Polską zaczepne i odporne przymierze; na mocy tego właśnie przymierza wspomógł też był Koloman przed kilku miesiącami Bolesława naszego w jego przebojach z Zbigniewem. Teraz przyszło mu zażądać od Polski podobnej i dla siebie usługi. Odmówić mu jej w żaden sposób nie mógł ten książę szlachetny, choć go wiązała rozejm czeski, drogo zapewne okupiony, choć go zaprzętały przygotowania do ostatniej owej na Pomorze nadbałtyckie wyprawy, której jaki był skutek, już wiemy.

Pomoc ta wszelako mogła być dana Kolomanowi w takich okolicznościach tylko dorywczo. W chwili zatem, kiedy Niemcy z Czechami już do stolicy węgierskiej szturm zaczęli przypuszczać: otrzymuje tam pod murami Preszburga Swatopług niespodziewane orędzie, że Polacy w jego kraju plądrują, że już aż do Królowy-grodu (Königingrätz) dotarli, że zapewne zechcą pójść na samą Pragę, że na domiar tego złego i stronnictwo Borzywojowe na dobre głowę podnosi...

Rzeczywiście dokonano wtedy ze strony naszej takiej na gruncie czeskim dywersyi. Po trzech dniach wielkiego spustoszenia w rozległości trzech około Królowygrodu powiatów, cofnęło się jednak wojsko polskie napowrót, przez nikogo nie zaczepione. Wystarczyło to zupełnie do zrobienia zamierzonego w obozie czesko-niemieckim popłochu. Swatopług bowiem natychmiast porzucił Henryka z całym swym wojskiem (już w październiku r. 1108). A cesarz, widząc że sam jeden już nie dokaże niczego, wrócił także wkrótce potem gniewny i zawstydzony do domu.

Ocalone zostały Węgry — ale nad Polską chmura zawisła, chmura pomsty niemieckiej i czeskiej.

Tymczasem jednak zdołał się uporać, jak się już powiedziało, Bolesław (w końcu owego roku) z swymi nowymi podwładnymi tam nad Bałtykiem. A w początkach roku 1109, kiedy jeszcze Henryk V dopiero przygotowania czynił do walnej na Polaków wyprawy, poszło rycerstwo polskie zajrzeć co najprędzej w oczy (a raczej w oko) Czechowi¹⁾, aby z nim skończyć rzecz pierwej, nim Niemiec swoją robotę zacznie.

Zawrzała zawzięta walka na pograniczu tych dwóch krajów sąsiednich, kiedy tym razem i do polskiego obozu niespodziewane wieści przychodzą. I Bolesławowi teraz wypłatano w domu dywersję. A jej sprawcą okazał się protegowaniec krakowskiego biskupa, lennik przysięgły mazowiecki, obrońca pomorskiej niepodległości — brat Zbigniew.

Puszczono po nadnoteckiem Pomorzu zmyśloną, ale znajdującą wszędzie wiarę pogłoskę, że książę polski w Czechach został pojmany w niewolę. To dało hasło do powstania wzdłuż całego tego łańcucha grodów, które (jak Drdzeń czyli Drezdenko, dzisiejsze Driesen, Wieleń, Czarnków, Uście, Łobżenica, Nakło, Wyszogród i t. d.) to z tej, to z drugiej strony Noteci, stanowiły linię graniczną, służąc mieszkańcom tej okolicy za główne punkta i do wymiany targowej i do obrony w razie potrzeby. Na czele buntu stanął kniazik na Czarnkowie, Pomorzanin Gniwomir, już raz przyciśnięty dawniej za podobne zuchwałstwo i tylko za cenę chrztu, który przyjął, wtedy ułaskawiony. Oddały się jemu w posłuch wszystkie grody wyżej wspomniane, polskie załogi wypłoszywszy. Przyszło nawet do napadu, z profanacją kościołów i z potyraniem duchowieństwa połączonego, zbrojnej jednej

¹⁾ Bo miał wtedy już tylko jedno, a drugie było wybite. Śmiertelna słabość Swatopluga z tego powodu, właśnie w miesiącach, w których Polacy nad Bałtykiem rzeczy swojej dokonywali, była dla Bolesława naszego bardzo na rękę.

hordy (od Nakła) aż na Śpicimirz nad Wartą w Sieradzkiem.

Zaszło to w poczynającym się lecie r. 1109. Przy wiszącej już nad głowami wojnie z cesarzem, zależało całe zbawienie państwa od obrotu, jaki sprawa ta weźmie, i od pośpiechu, żeby ją stłumić. Rozumiał to Krzywousty. Spadł jak piorun na karki buntowników czarnkowskich. Samem zjawieniem się swoim zadaje kłam puszczonej w obieg pogłosce. Na pierwszą wieść o tem, większa część miejscowości powraca w posłuszeństwo. Wieleń, w którym się Gniewomir zamknął, po długim oporze, zdaje się na łaskę zdobywcy. Załoga jego, choć ją chciał uchronić od zagłady Bolesław, w pień wycięta przez rozjuszone rycerstwo. Herszt buntu Gniewomir żywcem wzięty, dla przykładu skaranym śmiercią. Dopadnięty w jakimś innym grodzie drugi i winniejszy jeszcze sprawca tych nieporządków, Zbigniew, traci Mazowsze i ledwie życiem udarowany ucieka z kraju. Wtedy poczyna się oblężenie ostatniej twierdzy, w której się niedobitki bronić postanowiły — Nakła. Było sztuką i z natury położenia tak niedostępne, że przez całe dwa tygodnie nadaremnie się rozbijały polskie zapędy o jego okopy trzęsawiskami oblane. Utrudniały szturm do niego i ściągające się aż z Prus i z głębi Pomorza posiłki, których liczba dochodziła 40.000 mężów. Dopiero stoczona z nimi w sam dzień św. Wawrzyńca (d. 10 sierpnia) bitwa, jedna z najkrwawszych owego czasu, rozstrzygnęła o losie tego powstania. Z pobojojiska zdołało tylko 10.000 ludzi z życiem i wolnością umknąć. Bramy Nakła otwarły się teraz dobrowolnie polskim załogom.

Jeszcze Polacy byli zajęci grzebaniem trupów nakielskich, kiedy cesarz Henryk V z potężnem wojskiem, własnem i czeskiem, docierał już do granicy naszej zachodniej. Stanowiła ją Odra. Zbigniew towarzyszył mu w tej wyprawie. Poczynał sprawę tę Henryk z całym szykiem ówczesnej kurtoazji rycerskiej. Nim wtar-

gnął w dzierżawy polskie, chciał przyszłemu dannikowi swojemu, jak się wyrażał, łaskawość swoją okazać. Więc go uprzedza o swoim przyjsciu, dając do wyboru jedno z dwojga: wojnę albo zgodne układy. Warunki zaś układów takie: jedna połowa królestwa wróci pod panowanie Zbigniewa; z drugiej, zobowiąże się książę do dani Niemcom corocznej (300 grzywien srebra), a jeżeliby mu to było milsze, do przystawiania tyluż zbrojnych do każdej wyprawy cesarza do Rzymu...

Wiadomo, jak się skończyła ta walna wyprawa Henryka. Przewaliła się po zachodniej krawędzi Odry, zsuwając się coraz na dół, jakby po stopniach spadzistych, po grodach owych już za Chrobrego wslawionych podobnemi nawiedzinami — po Lubuszu, Bytomiu, Głogowie (pamiętnym z brzydkiego wiarołomstwa tego mocarza, które prócz sromoty dla niego żadnej mu nie przyniosło korzyści), wreszcie po przysiółkach tego Wrocławia, pod którego murami zaczął on nasamprzód spuszczać z targu (wypuścił z opieki swojej Zbigniewa) — potem Skarbek cierpkie »H a b d a n k« z ust cesarza usłyszał — potem zabiła mu ręka czyjaś bliżej nieznaną, ale z czeskiego pochodząca obozu, przyjaciela i wiernika bitnego, jednookiego wroga Polaków, w skutek czego porzucili obóz niemiecki niezwłocznie Czesi — nakoniec doczekał się tutaj biedny ten cesarz i »Psiego-pola«...

Dzisiejsza krytyka historyczna może słusznie powątpiewać o wiarygodności literalnej wersyi podania, przywiązanego do miejscowości tego nazwiska. Co pewna, to że wiadomy zamiar tej wyprawy na Polskę w przenośnym sensie zawiódł cesarza na prawdziwe psie pole. Stratami tylko się skończył cały ten zamach i wielkiem upokorzeniem dumy Henryka V.

Sprawa ta zajęła resztę sierpnia i wrzesień (r. 1109).

Dalsze owego roku miesiące zajęło zaprowadzenie wewnętrznego rządowego ustroju w pokonanej tuż

przed niemieckim najazdem nadnoteckiej dzielnicy — i wojna czeska.

Co się pierwszego zadania tyczy, którego dokonano zaraz po odparciu najazdu: zdaje się, że ta pomorska kraina otrzymała wtedy urządzenie na tych samych jeszcze warunkach, w jakim od r. 1108 została nadbałtycka część tego kraju. Głównym zwierzchnikiem wszystkich tutejszych powiatów został obecnie Świętopelk, jakiś krewny Bolesława naszego. Był to rodem Pomorzanin, zapewne już nawrócony; miał rezydencję swoją w Nakle.

Do wojny czeskiej przyszło już w grudniu (1109 r.), z następujących powodów.

Jedną z głównych przeciwności losu, jakie Henryka V w pobliżu Psiego-pola spotkały, było niespodziane sprzątnienie z świata Swatopluga księcia czeskiego. Zaszło to d. 21 września (1109). Mała garstka Czechów, która i wtedy nie opuściła cesarza, wymogła na nim za tę cenę przyrzeczenie, że się nie będzie sprzeciwiał przywróceniu Borzywoja II do dawnej władzy. Z tym bratem swoim ciotecznym zostawał nasz Bolesław od lat już kilku w przyjaźni, życzył go sobie widzieć na tronie, i może właśnie pod takim tylko warunkiem wypuścił z rąk swoich wtedy owo tak ze wszzech miar skołatane wojsko niemieckie. Za powrotem Czechów do Pragi wzięła rzecz jednak obrót całkiem niespodziewany. Książęciem panującym wykrzyknęty tam został, przez znaczną większość narodu, Władysław I, młodszy rodzony brat Borzywoja. (Pierwszy w dziejach czeskich przykład elekcyi). Władysław ten uczepił się natychmiast klamki cesarskiej: spowodowało to Henryka do złamania przyrzeczenia danego — zatwierdził tego księcia na tronie. A że się zjawił zaraz na dworze owego Władysława i Zbigniew: ujrzano się tedy Polska, już w kilka tygodni po odniesionem zwycięstwie, w temsamem położeniu wobec tej czesko-niemieckiej-wichrzycielskiej klikki, co dawniej.

Grób Swatopluga nadaremnie się nad nim zamknął. Śmierć jego nie odmieniła sytuacji.

Takie to zatem głębsze polityczne znaczenie miały podejmowane w sprawie Borzywoja w r. 1109, 1110 i początku r. 1111 wyprawy Krzywoustego przeciw Władysławowi. Wiadomo, że były one w poszczególnym przebiegu swoim pomyślne, mimo to jednak nie uwieńczone zupełnym skutkiem.

Celu głównego w zamierzonym kierunku dlatego tylko nie osiągnięto, ponieważ Borzywoj zawierzywszy słowom cesarza raz jeszcze, przyplacił tę łatwowierność smutnym zawodem. Tego się tylko doczekał, że został do Hammersteinu odprowadzony w kajdanach. Od tej chwili nie pozostawało Polsce, jak chyba zmusić Czechy do zgody nawet pod Władysława rządami. Jakoż koniec końcem zawarł ten książę z Bolesławem naszym przymierze w r. 1111, zrzekając się wszelkiej spółki z Zbigniewem.

To przymierze zostało umocnione jeszcze i powinowactwem, kiedy obydwaj książęta zostali sobie szwagrami, zaślubiając dwie siostry rodzone, hrabianki na Bergu -- Władysław Ryksę, a nasz Bolesław Salomę. (Śmierć pierwszej jego małżonki, Zbysławy ruskiej, zaszła była jeszcze około r. 1109).

Od tej chwili szczerą przyjaźń między Polską a Czechami trwała już stale (aż do roku 1132). W tymże czasie (około 1112 roku) i Zbigniew znika z widowni¹⁾. Natomiast wkracza na nią ponownie sprawa pomorska.

Przez cały czas tej wojny czeskiej zachowywało się Pomorze nadnoteckie tylko na pozór spokojnie. Właśnie że oręż polski był gdzieindziej zajęty, nurto-

¹⁾ Wiadomo, że wkrótce po zawarciu z Czechami przymierza otrzymał Zbigniew raz jeszcze przebaczenie braterskie. Wrócił do kraju, lecz już w trzy dni po powrocie ściągnął znowu karę na siebie. Pozbawiony wtedy wzroku, niewiadomo jak skończył. Czas wypadku tego nie jest dokładnie podany.

wały tam coraz śmielsze dążności odzyskania dawnej swobody. Prąd ten ogarnął i Świętopelka, owego księcia na Nakle. Liczył ten wielkorządca prowincyi zapewne na dłuższą trwałość i większą doniosłość owych z czeskim sąsiadem zawikłań, kiedy właśnie w r. 1111 odchylił, co się w duchu jego tało. Spowodowało to rząd polski do wysłania natychmiast silniejszych załóg w grody tamtejsze — te jednak znalazły bramy miast owych zatarasowane przed sobą. Poszedł w tropy za niemi sam już Bolesław, ale i to nie zwróciło rzeczy w karby należne. Świętopelk zamknął się w Nakle i zdobywanie tej silnej błotnistej twierdzy przeciągnęło się przy pluskach jesiennych od św. Michała aż do Bożego Narodzenia — nie wydając żadnego skutku. Na domiar złego, Bolesław ugodzony postrzałem, nie mógł osobiście kierować robotami oblężniczemi. Świętopelk wtedy, obludnie uderzywszy w pokorę i przyrzekając poprawę, potrafił tem łatwiej skłonić Polaków do odwrotu od Nakla. Już jednakże rok następny (1112) odsłonił, że obietnice oblężenca były tylko wybiegiem. To zmusiło księcia polskiego do podjęcia niezwłocznie z krewniakiem swoim przeboju z całym wysiłkiem — tym razem z zupełnym skutkiem. Wyszogród, po całotygodniowym oporze, szturmem zdobyty. Takiemuż losowi podległo następnie i Nakło.

Terazto dopiero zaszła ta stanowcza zmiana w losach owej prowincyi, że Nadnotecie, tworząc aż dotąd odrębną administracyjną całość, wcielone zostało już integralnie do obszarów państwa polskiego. Zachodnie jego powiaty (Drezdenko, Czarnków, Wieleń, Uście, Walcz, który wtedy był siólem tylko, gdyż miejskie urządzenie miał on dopiero w r. 1303 otrzymać) z przyległościami swemi weszły w kompleks poznański ziemskiej administracyi; nakielskie okolice i wyszogrodzkie, przyłączone do takiegoż gnieźnieńskiego, później kaliskiego zarządu. Granica tego, co się odtąd nazywać miało Pomorzem, cofnięta głębiej na północ,

tak iż dopiero Pirycz, Tuchola, Człuchów, Chojnice i inne tym podobne miejscowości tameczne, liczyły się do miast właściwych »pomorskich«.

Reorganizacya ta przeprowadzona być musiała w r. 1112 albo najpóźniej 1113: i na tem koniec drugiego okresu sprawy, której przebieg dać się tutaj staramy w głównych zarysach ¹⁾).

Trzeciego okresu początek, i dalszy przebieg, zakryty jest przed oczyma naszymi ²⁾. W przybliżeniu

¹⁾ Niektórzy historycy, mianowicie Naruszewicz, Lelewel i Röpell, odnoszą (w myśl chronologii Długosza) do r. 1119 to ostateczne zdobycie Nakła, w skutek którego dopiero mogło przyjść do skutku powyższe urządzenie tych nadnoteckich stosunków. Myśmy tu poszli za powagą najdawniejszych roczników, to jest dawnego Ś-to krzyskiego, kapitulnego krakowskiego i także Traski, które pod r. 1113 zapisały: *Boleslaus III Nachel et alia castra obtinuit*. Kierując się jednak i względem na wewnętrzną przynależność do siebie zdarzeń odnośnych, przystąpiliśmy do chronologii w »Mon. Pol.« za prawdziwą przyjętej (Tom I. str. 481 i 482), podług której sprawa z Nakłem odbyć się miała w r. 1111 i 1112. Możliwe rozminięcie się o rok jeden nie stanowi zresztą istotnej różnicy.

²⁾ Dlatego mało o nim wiemy, ponieważ główne źródło do dziejów Bolesława III, kronika Galla, urywa się jak się wyżej już powiedziało, z rokiem 1113. Przerwy tym sposobem powstałej nie zapelniają tak zaraz dalsze kroniki. Sprawia ta okoliczność po dziś dzień takie wrażenie, jakby się w Polsce od r. 1113 począwszy, przez długie lata, mało co tylko rzeczy większej doniosłości zdarzyło. I rzeczywiście dali się uwieść temu optycznemu złudzeniu niektórzy historycy, którzy twierdzili, że w tej części zawoda swego Bolesław kilkoletniego wycoczynku po trudach sobie dozwolił i tylko pokutą (za swój postęp z Zbigniewem), toż pielgrzymkami do różnych miejsc cudownych itp. czas swój zapelniał. Mnie się zdaje, że kto do czynnego życia nawykł, pozostaje zawsze czynnym. Co do Zbigniewa, pokutować lata całe nie było za ca. Kara która nań spadła, dawno mu się już należała.

W takisam sposób i Bolesławowi Chrobremu każą niektórzy po wyprawie jego kijowskiej (r. 1019) »wypoczywać« już aż do samej jego ostatniej godziny — nie mając czem dalszych lat pa-

tylko możemy granice okresu tego chronologicznie oznaczyć, nazywając go działaniem, początem w r. 1115 a dochodzącem do r. 1122 albo 1123. W ogólności także tylko powiedzieć można, co było przedmiotem tego działania, wskazując na ostateczne walki okresu tego wyniki.

Z postronnymi rządami w latach tych zdaje się, że mało tylko miała Polska zajęcia. Z Władysławem czeskim, bratem ciotecznym i szwagrem miał Krzywousty aż do samej tegoż śmierci (1125) dobre stosunki. Na drobnych zatargach z Rusinami — po zaszłej w r. 1113 śmierci Światopólka na Kijowie, życzliwego Polakom, wprawdzie nie brakło. Powtarzały się (w r. 1118 i następnych aż do 1123) napady od czasu do czasu, różnych czerwonoruskich książąt na pogranicza nasze i były im odpłacane i z naszej strony. Ale nie miało to doniosłości.

To powód, dla czego się nasz monarcha mógł odłączyć wyłącznie oddać głównemu swemu zadaniu. Dokończył też w tym przeciągu czasu resztę tego zadania.

Pozostawały aż dotąd dwie jeszcze dzielnice Pomorza niepodbite i po części wcale niezaczeplane. Około Gdańska — między Wisłą a Lebą — zagospodarzyła się ludność znana pod nazwą Kaszubów. Z drugiej znów strony pozyskanego w roku jeszcze 1108 (średniego) Pomorza — rozciągała się między rzeką Odrą a Regą dzielnica, w której Szczecin główną stanowił stolicę, a Pirycz, Grodziec (dziś Gartz), Klodzin (dziś Klötikau nad Regą?), Wolin, Kamień, Stargród (Stargardt) i Lubin jakiś nad samym położony Bałtykiem, do celniejszych się grodów liczyły. Nazwijmy sobie strony te nadodrzańskim Pomorzem.

nowania jego zapelnąć. To nie Chrobry wypoczywał, ale główny historyograf jego, Diethmar merseburski spoczął w r. 1018 snem wiecznym, i urwała się z nim razem nić wiedzy naszej dziejowej o owych czasach.

Otóż z tymi kraikami miało teraz przyjść do rozprawy.

Co do **K a s z u b ó w**, niema wprawdzie pozytywnej pewności. Lecz zdaje się niewątpliwem, że zwierzchnictwo Polski nad tem księstwem — udowodnione w czasach Chrobrego i potem znowu za **B. Śmiałego**, następnie przerwane, za rządów zaś książąt **po Krzywoustym** przynajmniej nominalnie istniejące, ale nie przez nich zaprowadzone — wznowiło się za dni tegoto monarchy, a było owocem trudów jego dopiero w r. 1115 i 1116 podjętych ¹⁾.

Podbój **n a d o d r z a ń s k i e j** dzielnicy — twierdzić to można już bezwarunkowo — nastąpił niedługo potem. Prawdopodobnie zaczął on się w r. 1119. Dosięgnął rozstrzygającego rzecz całą szczytu wysiłeni odnośnych w r. 1120. Przez rok 1121 miał już tylko do czynienia z niedobitkami. W r. 1122 lub najdalej 1123 przekroczył **Odrę**, a raczej jej morską zatokę (*grosse Haf*) i przeniósł walkę na terytoryum **lutyckie**, które aż do jeziora **Morycy** (*Müritzsee*), w obrębie miast **Szczecina**, **Kockowa** (dziś **Gutzkow**), **Bolegostu** (**Wolgast**), **Uznoimu** (**Usedom**), **Dymina** (**Demmin**)

¹⁾ Opieram to przypuszczenie na dwóch datach odszukanego przed kilkudziesięciu laty, najdawniejszego ze wszystkich które się dochowały, i w pierwotnej autentycznej postaci na dwóch kartkach ocalonego rocznika, to jest t. zw. dawnego **Śto-Krzyckiego** (*Mon. Pol.* T. II str. 774). Zapisala tam pod r. 1115 ręka współczesna: „*Boleslaus tertius Pruziam vastat*“; a zaraz potem pod r. 1116: „*Boleslaus III Pomeriam (sic) subjugavit et duo castra obtinuit*“. Niema wprawdzie niepodobieństwa, żeby się książę ten nie był zapędził i w Prusy. Ale podobniejsza do prawdy, że nasz rocznikarz przez *Pruziam* rozumiał tu część Pomorza bezpośrednio graniczącą z Prusami, która się jemu już pruskim krajem być wydawała; że zapiska druga o temsamem mówi, co pierwsza; że donosi nam o zaborze, w r. 1115 i 1116 przeprowadzonym, **kaszubskiej** części Pomorza. *Duo castra* byłby w takim razie **Gdańsk** i drugi gród tamtejszy jaki, którego nie można się domyślić.

rad Dolenicą (Tollensee), i Słupów czy Słupia (Stolpe) nad Pianą, padło teraz do stóp zwycięzcy ¹⁾).

W krótkich słowach zamknęliśmy cały wynik tej przeprawy oręża polskiego z nadodrzańskim z jednej drugiej strony owej rzeki Pomorzem. Nie idzie za tem, czy i rzecz sama była sprawą, która się podobnie dała załatwić jednym zamachem. Plemię Pomorzan, a cóż dopiero Lutyków, było waleczne i pewnie nie oddało niepodległości swojej inaczej, jak dopiero po wyczerpanięciu wszystkich środków obrony. Musiała to być długa, zacięta i prawdziwie rozpaczliwa obrona, kiedy jej ślady jeszcze i w r. 1124 były wszędzie widoczne. Naoczni z tego roku świadkowie, którzy z krzyżem w rękę i ewangelią przesunęli się po tych krwawych pobojuwiskach, oglądali na nich jeszcze leżące stopy kości mężów poległych — zgliszcza i ruiny miast całych, dawniej kwitnących — okolice przedtem ludne, ogolone z mieszkańców. Ci w chwilach ostatecznej rozpaczki pierzchając przed orężem zwycięzcy, unosili życie i wolność swoją aż do najgłębszych dzierzaw

¹⁾ Opierają się te twierdzenia na opowiadaniach Żywociarzów św. Ottona biskupa bamberskiego, apostoła Pomorzan, którzy stan rzeczy już dokonany, jakim był w r. 1124 malują. Niemniej polega to także na zapiskach naszych roczników, mianowicie dawnego Śto-krzyskiego, kapitulnego krakowskiego i Traski, a to pod r. 1119, 1121, 1122 i 1123 (Mon. Pol. T. II str. 774, 797 i 832).

Przez „*utramque terram*“ (w kapitulnym i Traski) rozumiem część z tej strony Odry położoną i z tamtej, tego nadodrzańskiego kraiku. Do wyrazów zaś „*mare transivit*“ nie przywiązuję znaczenia morza w ścisłym sensie, t. j. Bałtyku (i w takim razie zajęcia wyspy Rugii, z powodów które niżej przytoczę), ale tylko znaczenie zatoki morskiej, prowadzącej korabie polskie do posiadłości lutyckich. — Czy zaś wspomniany w dawnym Śto-krzyskim roczniku pod r. 1122 jako zabity *Zuetepolk dux Odrensis* był znaną nam już z lat 1109—1112 i z nakielskich buntów osobistością, spokrewnioną z Krzywoustym i w takim razie może tutaj nad zdobytym przezeń krajem w jego imieniu wtedy rządząca — czy innym w tych okolicach księciem tegosamego tylko imienia, tego nie śmiem rozstrzygać.

nomiczne znamiona. Okazywało się jednak w dalszych skutkach, że były to tylko obietnice wymuszone postrachem — albo wybiegi, ażeby wyłudzić ustępstwa. Wprawdzie nadnoteckie powiaty, do ziem wielkopolskich od chwili ostatecznego swego podboju (r. 1112) wcielone, porzuciły od tego czasu już na łono Kościoła, przyjmując wiarę z rąk misjonarzy poznańskiej, gnieźnieńskiej i kruszwickiej diecezji. Wprawdzie przypuszczać to samo można i o gdańskich Kaszubach, o których mileży przynajmniej historia, żeby dopiero w tej porze (około 1124) nawróceni być mieli. Ale reszta nadbałtyckiego pogaństwa, tak dawniejszego (z r. 1108) zaboru, jak i ta teraz świeżo nabyta, brnęła po szyję w przesądach swojej tradycyjnej religii. Zaciekłość fanatyzmu dochodziła tu do takich rozmiarów, że duchowieństwo, które się zapuściło w tę dzicz pogańską, przyplacało nieraz gorliwość swoją męczeństwem, jeden z nich nawet do krzyża został przybitym...

Stało też wkrótce na tem, że żaden z polskich biskupów nie chciał już ani poczynać tej sprawy.

Trzeba tedy znowu było inicjatywy ze strony tego górującego nad wiekiem swoim monarchy, aby bez gwałtów i bez nowego krwi przelewu uwieńczyć dzieło już dokonane, uzupełnić podbój ciała podbojem ducha.

Otto św. przemieszkiwał już wtedy od lat kilkadziesiąt w ojczyźnie swojej, jako (od r. 1102) biskup bamberski. Choć rodem Niemiec, znał on obyczaj słowiański, władał kiedyś językiem polskim i lubił nasz naród: spędził bowiem młode, najlepsze swe lata (c. 1080--1096) w stolicy Polski, w której też najpierw znalazł sposobność rozwinąć i okazać światu swoje prawdziwie niepospolite jako kapłan i jako mąż rozumny przymioty. Temuto (jak powszechnie wnoszą) mistrzowi niegdyś swojemu powierzył księżę polski teraz sprawę nawrócenia Pomorza.

Ledwie dotknąć tu tylko możemy znanych, jak

najdokładniej już przez współczesność wyjaśnionych szczegółów wiekopomnej i jak powieść zajmującej misji tego apostoła w kraju Pomorzan. Wiadomo, że odbyła się ona w dwóch odrębnych zawodach.

Pierwsze przybycie Ottona na ziemię pomorską — przez Gniezno — zaszło w r. 1124. Trwała wtedy bytność tu jego od maja aż do końca lutego w roku następnym. Przez te blisko 10 miesięcy obszedł biskup z przydanymi sobie towarzyszami wyprawy, po większej części ludźmi naszego rodu, okolice Pomorza po prawej stronie rzeki Odry położonego aż ku granicy kaszubskiej i zaszczepił posiew słowa bożego w Pirycku, Grodzie, Stargrodzie, Białogrodzie, Kamieniu, Wolinie, Lubinie, Kłodzinie i Kołobrzegu.

Druga jego wyprawa przyszła do skutku — tym razem nie przez Polskę, ale od strony Niemiec — w trzy lata później, w r. 1128 zaraz po Wielkiej nocy: zajęła 7 miesięcy czasu, przeciągając się aż do grudnia. Główną widownią drugiego tego działania Ottona św. było Pomorze po tamtej (lewej) stronie tej rzeki, a zatem już lutyckie dzierżawy. Przyszło w skutek tego, teraz dopiero, do nawrócenia ludu w Dyminie, Uznoimie, Bolegoście, Szczecinie, Kockowie — i do ponownego umocnienia w wierze, odpadłego tymczasem znowu w pogaństwo, po drugiej stronie Odry Wolina.

Zasługa i wdzięczna pamięć za to schrześcianienie Pomorza przynależy oczywiście temu biskupowi cudzoziemskiemu, ale uczestniczy w niej i Bolesław. Ono bowiem zrobił wybór osoby tak odpowiedniej zadaniu, wytknął jej wszystkie ścieżki do celu, zao patrolował ją po królewsku we wszystkie potrzebne do tego przybory, przydał jej świeckich i duchownych pomocników w tym trudzie. Towarzyszył myślą i wiedzą o każdym kroku tej prawdziwie ewangelicznej krucyaty. Wkraczał wreszcie i osobiście w sprawę, ilekroć tego zaszła potrzeba, usuwając z drogi zawady świeckiem swoim ramieniem. Na pierwszym planie tego

obrazu stoi więc biskup — ale w jego głębi widzimy nieodstępną, w zbroję żelazną zakutą postać tego rycerskiego księcia, któremu takasama chwała za to uspołecznienie Pomorzan!

Możnowładztwo nasze duchowne niestety nie wzięło w tem żadnego, ani nawet moralnego udziału ¹⁾.

Na samem tylko nawróceniu Pomorza nie poprzestał jednak Bolesław. Ażeby dziełu Ottona zapewnić trwałość, ażeby religijny związek Polski z Nadbałtykiem oprzeć i na urzędowej sankcji Kościoła: projektuje on r. 1124 nowe Pomorskie biskupstwo i otrzymuje jego potwierdzenie c. 1131. Biskupstwo to nazwane Wolińskiem (od swej katedry w Wolinie), miało tedy i pod politycznym względem być aktem doniosłości dalekiej i było nim rzeczywiście, wchodząc w życie jako sufragania gnieźnieńska.

Granicę między tem nowem pomorskiem a dawnem (czyli kujawskiem) biskupstwem odtąd stanowiła tam na Pomorzu rzeka Leba. — Nadnoteckie,

¹⁾ Rzecz to zaiste trudna do uwierzenia, a jednak prawdziwa, że w historyografii naszej, aż do środka przeszłego wieku, o nawróceniu Pomorza, o Ottonie św., o założeniu biskupstwa wolińskiego i o wszystkim, co się z tem łączy, nie znaleźć ani jednej sylaby! Ani Długoszowi i tym wszystkim, co go potem wypisywali, ani rychlejszym kronikarzom, ani nareszcie rocznikom, nie zgoła nie było o tem wiadomo! Dopiero od czasów Naruszewicza sprawa stanęła inaczej. Dowodzi to w każdym razie jednego z dwojga: Albo hierarchia nasza XII i XIII stulecia nie chciała o tem wspominać, bo jej to nie było na rękę — albo tak dalece nie przywiązywała współcześnie do tego wagi, że ta rzecz cała już w drugiej generacyi poszła w niepamięć. Milejby mi zaprawdę było uwierzyć w tę drugą alternatywę, ale zaledwie ją można przypuścić, kiedy się zważy, że i Kadłubek już nawet milczy o tych zdarzeniach, ów autor piszący kronikę swoją właśnie w latach, kiedy pamięć Ottona św., kanonizowanego w r. 1189, na nowo odświeżoną została i słynęły już czyny jego w całym chrześcijaństwie zachodnim. Miałaby tedy rzeczywiście nie nie słyszeć o nich erudyt ten, tak wtajemniczony nawet w dzieje zamierzchle bajecznych Amazonek i Scytów? Trudno temu uwierzyć.

r. 1112 do W. Polski wcielone Pomorze, zostało teraz (1124) kościelnie przydzielone przyległym dawnym biskupstwom. T. zw. Kraina (od Uścia aż do Nakła, od Noteci aż do Kamienia nad rzeką Kamionką), weszła w skład dyecezyi gnieźnieńskiej. Zachodnie Zanotecie, od dziś. Landsberga do Uścia, na północ aż do Drahimia i Szczecinka, przypadło dyecezyi poznańskiej. Strony jeszcze dalej położone na zachód: ziemia Kościerzyńska i Kiniecka (Küstrin i Kienitz), między Landsbergiem a Odrą — dyec. lubuskiej. — Tych wszystkich rozgraniczeń dokonał niewątpliwie przebywający w Polsce w r. 1124 kardynał Idzi, legat papieża Kalixta II.

W takito sposób wszystkie pomorskie obszary, w r. 1112, następnie 1124 i 1128 pozyskane chrześcijaństwu, zostały pod rękojemstwem papieskiem wcielone do tej jednoty polskiej narodowo-kościelnej, której wyobrazicielem był Arcybiskup gnieźnieński.

Niedość na tem. Ażeby podrywom Pomorzan odzyskania niepodległości odjąć do reszty nadzieję powodzenia, postarał się Krzywousty i o rękojmie politycznej natury. Zawarł (zapewne jeszcze w r. 1129) zaczepno-odporne przymierze z Danią i umocnił tę umowę zaślubieniem jednej z swych córek, Ryksy, za duńskiego króla Magnusa (w r. 1130): który też już w tymże roku wyświadczył teściowi swemu ważne przysługi przy ponownym i (o ile wiedzieć możemy) ostatnim buncie tej okolicy, podniesionym w Wolinie ¹⁾). Na samo zjawienie się z jednej strony okrętów duńskich, z drugiej rycerstwa polskiego, uderzył gród ten przed Bolesławem w pokorę i rozstał się raz na zawsze z marzeniami odzyskania — za jego życia — niepodległości.

Księciem Pomorza, pomimo częstokrotnych z Pol-

¹⁾ Nasz Długosz słyszał coś o tem, ale źle i stosunek odwrócił. Wspomina on pod r. 1128 o zaślubieniu królowny duńskiej z synem Bolesława Krzywoustego, ani jej ani jego imienia zresztą nie wymieniając.

ską nieporozumień, pozostał aż do śmierci swojej Warcisław († 1136). Brat tegoż Warcisława, Racibor I, mąż Przybysławy, która podobno także była jedną z córek monarchy naszego, otrzymał po nim w zarząd to księstwo i dzierżył je aż do śmierci, przypadłej r. 1151 ¹⁾).

Pozostaje tu jeszcze do wyjaśnienia pytanie, jak się względem tych podbojów zachowywało cesarstwo niemieckie. Rościło ono sobie zawsze prawa zwierzchnictwa do wszelkich ziem przyległych swoim granicom. Pomorze niewątpliwie wchodziło w ten program uroszczeń, faktycznie jednak nigdy ono dotąd nie podlegało cesarstwu. Inaczej zato miała się rzecz z zabarami po tamtej stronie Odry ²⁾. Te powiaty, jakkolwiek aż do owej pory taksamo były pogańskie jak Pomorze,

¹⁾ Helmold ks. I rozdz. 51. Monum. Pol. Tom II str. 20, 100, 101 i 507 w notach.

²⁾ Jak daleko na zachód sięgały te zabory, o tem jedynie wnosić możemy ze stosunków założonego około r. 1131 biskupstwa wolińskiego. Nazywało się ono pomorskiem, ponieważ niemal cała jego rozciągłość zamykała się w kraju książąt (zachodnio) pomorskich aż do rz. Leby; oprócz tego zaliczało się jednak i po drugiej stronie Odry kilka grodów i żup do tejże dyccezyi, które z tego tylko powodu zostały jej przydzielone, że nad nimi panowali już wtedy książęta pomorscy, pod zwierzchnictwem Bolesława Krzywoustego. Za jego sprawą i pod jego przywódem musiały te strony przejść pod władzę tych książąt około r. 1128 i w następnych latach. Były to zaś następujące powiaty: Dymin, Treboses (dziś Tribses, kiedyś pewnie Tryboż), Chocko, Wolgast, Uznoim, Groźwin (wyspa Usedom), Sithen (dziś Ziethen, kiedyś Szczytno) i Szczecin, co wszystko bulla protekcyjna Innocentego II, w r. 1140 dla biskupstwa wolińskiego wydana, wymienia jako grody w skład tej dyccezyi wchodzące (Hasselbach, Kodeks dypl. Pomorski, N. 16). Jest to szmat ziemi odpowiadający dzisiejszemu pruskiemu Vorpommern; właściwie już nie Pomorze, lecz część kraju Lutyków. Jakoż tamtoceśni książęta pomorscy zwali siebie w dokumentach „*duces Pomoraniae et Leuticiae*“ z tytułu tych powiatów już w granicach szczezu Lutyków.

a i pod politycznym względem taksamo nie uznawały żadnej władzy zachodniej, stanowiły wszelako pod obydwoma tymi względami nominalnie już przedmiot, nie będący bez właściciela. Politycznie wchodziły w skład marchii północnej, kościelnie w skład jednej z dyecezyi niemieckich, hawelberskiej.

Ich odwieczna tytułarna przynależność do biskupstwa hawelberskiego¹⁾ główną też pewnie była tego przyczyną, że biskupstwo wolińskie, już w latach 1124 i 1125 postanowione, a nawet biskupa dezygnowanego mające²⁾, dopiero w r. 1131 lub 1132 weszło w życie³⁾. Przynależność zaś świecka, polityczna tego kraiku do cesarstwa, przyszła na stół jako kwestya otwarta, długo nie tykana, ale przeto nie puszczona w niepamięć, w r. 1135. Stało się to za panowania Lotara, który po Henryku V w r. 1125 na tron cesarski wstąpił, a dały bezpośredni do tego powód następujące okoliczności.

Niewiadomo, z jakich właściwie przyczyn wdał się w tych czasach Bolesław w zawikłania z królestwem węgierskiem. Z tym narodem za rządów Kolomana († 1114) i syna jego Stefana II (1114—1131) żyła Polska w zgodzie. Stefan zszedł z świata bezdzietnie. Nie żył już wtedy żaden z braci tego króla, a synów Kolomanowych, prócz jednego chyba Borysa; ten wszelako, już przez Kolomana samego ogłoszony za plód

¹⁾ Dokument fundacyjny biskupstwa hawelberskiego z r. 946, Hasselb. N. 6.

²⁾ »Monum. Pol.« II str. 100.

³⁾ Bulla Inocentego II z r. 1133 dla arcybiskupa magdeburskiego Norberta stwierdza w tym roku już istnienie tego biskupstwa (Hasselb. N. 12). Pierwszy biskup Wojciech w dokumencie swym dla klasztoru słupskiego (Hasselb. N. 21) nadmienia, że jest biskupem przez papieża Inocentego II konsekrowanym. Ten rządził Kościołem od r. 1130 począwszy. Więc rzeczywiste istnienie biskupstwa wolińskiego poczęło się dopiero między r. 1130 a 1133.

nieprawego łoża, od dzieciństwa żył za granicą i nie mógł żadnego sobie rościć prawa do korony węgierskiej. To też następcą Stefana został stryjeczny tegoż brat, Bela II.

Rządy Beli jednakże nieroztropnem okrucieństwem (już w pierwszym roku władzy) wywołały przeciw niemu nienawiść i rozdwojenie w narodzie. Stronnictwo znaczne postanowiło strącić go z tronu. Dokazać zaś tego spodziewano się, przywołując na jego miejsce owego Borysa, którego rzekome nieprawo pochodzenie obwoływać teraz zaczęto za fałsz, za krzywdę mu wyrządzoną; w nim widzieć chciano jedyne go po ojcu i po starszym bracie Stefanie uprawnionego dziedzica. Borys po różnych przygodach bawił w owym czasie w Polsce, na dworze Bolesława naszego. Tu zatem przybyli posłowie tego stronnictwa, aby wygnać na tron węgierski zaprosić, a księcia polskiego skłonić do użyczenia mu swej pomocy, której on im też nie odmówił. Taka miała być przyczyna rozpoczynającej się w jesieni r. 1132 wojny z Węgrami, która się przeciągnęła aż w rok 1135. -- Według innej wersji miała być właściwym tej wojny powodem ta okoliczność, że książę polski zamierzył przy tej sposobności odebrać Węgom ziemię Spiską, a sprawa Borysa miała w tej wojnie drugorzędną tylko rolę odgrywać. Śpiż bowiem miał się dostać w ręce węgierskie tytułem posagu najstarszej z córek Bolesława Krzywoustego, zrodzonej z pierwszej jego żony Zbysławy, imieniem Judyty, która w r. 1123 miała być wydaną za męża za królewicza Kolomana, syna króla węgierskiego tegoż imienia (w r. 1114 zmarłego). Ten posąg miał mu być przydzielony tylko w dożywocie. Jeżeli w całym podaniu o tem małżeństwie jest jaka prawda, i jeżeli ten w dziejach węgierskich zresztą nieznanym zięciem księcia polskiego, a synem króla Kolomana zakończył życie w tych czasach (przed r. 1131), w takim razie powinna była

ta spiska kasztelania wrócić do Polski; a że Bela nie chciał się na to zgodzić, więc stąd ta nieprzyjaźń¹⁾.

Bądź jak bądź, jakiekolwiek były tej wojny przyczyny, tyle pewnem, że nasz Bolesław w r. 1132 oświadczył się za tym pretendentem węgierskim, którego wspomagały obok stronnictwa z jego narodu także i jakieś posiłki z Rusi. Ten obrót rzeczy skłonił wszelako i Bełę do poszukania sobie sprzymierzeńców postronnych. Znalazł ich w dwóch sąsiadach swoich najbliższych, w Sobiesławie I (od r. 1125) księciu czeskim, cioteczynym Krzywoustego bracie, i w Albercie raku skim, synu żyjącego jeszcze wtedy margrabi austrya-

¹⁾ Taki powód powaśnienia Polski z Węgrami podaje Baszko («Mon. Pol.» II 508). Łączy on jednak z tą może prawdziwą wiadomością różne dalsze inne jeszcze szczegóły, które widocznie są balamutne. Cała ta sprawa zatem jest bardzo ciemna i twierdzeń bezwarunkowych pozwalać tu sobie nie można; ale tyle będzie pewne, że Spiż, który jak wiadomo dopiero za Władysława Jagielly w r. 1412 odzyskany został dla Polski, od czasów zaś Bolesława Krzywoustego aż do r. 1412 w większej swej części do Węgier należał, liczył się przedtem, od niepamiętnych czasów, do posiadłości polskiego królestwa. Przeczą temu wprawdzie niektórzy historycy węgierscy, ale ich wywody nie wytrzymują ścisłej krytyki. Coś prawdy zatem w podaniu Baszka musi być. — Oprócz Baszka jest ślad i w jednym naszym Roczniku, t. zw. Małopolskim («Mon. Pol.» III 152 i 153) wydania za mąż najstarszej córki Krzywoustego, Judyty, »za królewicza węgierskiego«. Zapiska ta, stawiona w jednej kopii tego rocznika pod r. 1123, w drugich pod 1122, opiewa: *„Boleslaus intravit Ungariam preliando. Tandem dat filiam nomine Juditham filio regis Ungarorum“*. Prof. Balzer w nader cennej swej »Genealogii Piastów« (str. 172) nie przywiązuje żadnej wagi do tej zapiski, a to dlatego, że w tymże roczniku mieści się już pod r. 1136 inna podobna: *„Boleslaus dat filiam filio regis Ungarorum“*, która to zapiska jest i w roczniku Traski. Tę tylko poczytuje autor za godną uwagi i wyklada ją w sposób mojem zdaniem trudny do przyjęcia, bo nadto sztuczny. — Nie wehodzą tu w rozbiór tego wykładu, tyle jedynie nadmienię, że nie sędzę, żeby się dwie te zapiski koniecznie wykluczały. Zapiska pod r. 1122 czy 1123 bynajmniej nie daje niemożliwych rzeczy. Król węgierski Koloman (1095—1114) z pierwszej swej żony Bu-

ckiego Leopolda III. Łączyło tych obydwóch książąt (Sobiesława i Alberta) z Węgrem krewieństwo: mieli oni za sobą siostry rodzone Beli II, Albert Jadwigę, a Sobiesław Adelaidę. Warto dodać, że połączenie się pierwszej pary zaszło dopiero r. 1132, a zatem albo mało co przed rozpoczęciem tej wojny, albo w jej dopiero ciągu — w każdym razie niespodzianie dla naszego księcia¹⁾.

Ta wojna nieprzewidziana z trzema naraz sprzymierzonymi państwami, przy coraz bardziej topniejącym Borysowem stronnictwie, okazała się trudnem dla Polski zadaniem. Wiodła się też z różnem szczęściem,

zyli, zaślubionej r. 1097, a przed 1112 zmarłej, mógł prócz bliźniaków Stefana i Władysława, którzy mu się urodzili r. 1101, mieć i trzeciego syna (mniejsza o to czy się Koloman czy inaczej nazywał), choć o nim ubogie źródła węgierskie nie zapisały wzmianki. Ten, jeśli się w rok albo we dwa po owych bliźniakach, więc r. 1102 albo 1103 urodził, miałby w r. 1122 około 19 lat; a najstarsza Zbysławy i Bolesława Krzywoustego córka, urodzona między r. 1105 a 1109, inne bowiem lata są pokryte innymi urodzinami, miałaby wtedy lat najwyżej 16. Mogła się tedy ta para snadnie pobrać w tym czasie, a następnie mąż tej księżniczki mógł za panowania jeszcze Stefana II, przed r. 1131, zejść z świata. — Druga, późniejsza córka Krzywoustego, także imieniem Judyta, w r. 1148 wydana za Ottona brandeburskiego, zrodzona 1130—34, mogła to imię mieć, pomimo że je nosiła już i przyrodnia jej siostra, zwłaszcza jeżeli ta wtedy może już nie żyła. Wszakże i między jej braćmi było dwóch Kazimierzów, z tej samej przyczyny.

¹⁾ Zaczęło się w czasach niedawnych upowszechniać coraz więcej mniemanie, jakoby tento pretendent węgierski Borys, syn Kolomana z drugiego jego małżeństwa, był zięciem naszego Bolesława Krzywoustego, i jakoby zatem tylko sam familijny interes, t. j. chęćka posadzenia zięcia na tronie, popchnęła tego monarchę w przeboje z państwem dotąd z Polską stale zaprzyjaźnionem. Mniemanie to uważam za przeciwnie wszelkim warunkom prawdopodobieństwa. Przedewszystkiem zdaje mi się, że Bolesławowi III nie należałoby podsuwać tak błahych pobudek do rozpoczęcia wojen. Krom tego sprzeciwiają się przypuszczeniu owemu i dwie pozytywne już rzeczy. Współczesny kronikarz niemiecki, Otto biskup Frisingeński, który jako szwagier Władysława.

w ogóle niepomyślnie dla kraju naszego, ile że napady wojsk czeskich na Szląsk, które (by już o innych latach nie mówić) w samym r. 1133 trzy czy cztery razy się powtórzyły, roznosiły straszne spustoszenie po całej tej okolicy.

Pomimo zadanej w dniu 22 lipca (1133) w Węgrzech pod Wyszegradem klęski naszemu Bolesławowi, którą na niego ściągnęła tylko zdrada i odstępstwo w ciągu walki rzekomych Borysowych stronników — nie czuła się snąć jednak cała ta trójka wrogów jego na siłach do stawiania mu i dłużej skutecznego oporu, skoro powzięła postanowienie, wciągnąć w tę zwadę i cesarstwo niemieckie.

najstarszego z synów Krzywoustego, rodzony brat jego małżonki, dokładnie przecieć być musiał powiadomiony o stosunkach rodzinnych tej panującej rodziny, powiada (Chronicon lib. VII c. 21), że Borys, zanim się jeszcze do Polski schronił, zaślubił był w Konstantynopolu jakąś krewnę cesarza greckiego Jana Komnena. Mając tamtą osobę za żonę, nie mógł być zatem zięciem polskiego księcia. Drugiem, co tu zawadza, to wiek tego Borysa, porównany z wiekiem jego mniemanej małżonki, t. j. najstarszej i z pierwszego małżeństwa pochodzącej córki Bolesława Krzywoustego. Czy tej księżniczce rzeczywiście było na imię Judyta czy nie — tego wprawdzie nie można wiedzieć na pewne, i mniejsza też o to. Ale co niewątpliwe, to że Borys był w porównaniu z tą księżniczką dzieciuchem. Zbysława, pierwsza żona Bolesława III, została zaślubiona r. 1102, a zesza z świata około r. 1109. Jeżeli tak, to jej córka rodzić się mogła tylko między r. 1105 a 1109; miała tedy w r. 1132 (kiedy się wojna ta zaczynała) lat już co najmniej 23, prawdopodobnie zaś miała ich wtedy nawet i więcej. Borys zaś liczył sobie w tym czasie co najwyżej lat 19: wiadomo bowiem, że jego rodzice, Koloman i księżniczka kijowska Eufemia pobrali się dopiero w r. 1112 (Nestor, „Mon. Pol.“ T. I, str. 831). Głowy koronowane zaślubiają się nieraz wprawdzie bez względu na takie drobnostki — to prawda. Wszelako zdawałoby się to rzeczą dziwną, gdyby nasz dzielny monarcha za takiego konkurenta córkę wydawał i to jeszcze tę najstarszą, mając do dyspozycyi kilka dziewczynek młodszych, z drugiego swego małżeństwa, któreby z mniejszą przynajmniej śmiesznością zawierać mogły podobne stadło.

Z cesarstwem zażywała ojczyzna nasza od r. 1109 (Psie-pole) statecznego pokoju. Nie zaczepiał jej już odtąd ni Henryk V († 1125), ni jego następcą Lotar. Przewodnią myślą tego zabiegliwego cesarza to było, żeby przez wyrównanie dawnych sporów z stolicą apostołską i przez podporządkowanie swej władzy świeckiej pod papieski majestat (skoro tak już być musiało), wzmocnić zachwianą powagę Niemiec i właśnie przy pomocy papieża odzyskać wpływ swego berła przynajmniej na te sąsiednie państwa, które za czasów Ottona I uznawały zwierzchnictwo władzy cesarskiej. Zdaje się, że musiał Lotar mieć w tej mierze głównie na oku Danię i Polskę. Zatargi niemieckie z Danią poczęły się już r. 1131, na razie bez widocznego skutku. Z Polską aż do tego czasu, jak się już powiedziało, trwał pokój, pomimo nawet podbojów oręża polskiego na lewym nadbrzeżu Odry, już w tytularnym obrębie Północnej marchii. Powodem tej tak cierplivej zgody niemieckiej to tylko było, że cesarz ten z roku na rok, i przez całe swe panowanie, miał aż nadto do czynienia z własnymi swymi książętami, którzy prawowitości jego rządów nie chcieli uznać (Hohenstaufowie).

Dzięki zręcznej polityce, doprowadził Lotar powoli układy swoje z kuryą rzymską do tego punktu, że narreszcie w r. 1133 d. 4 czerwca otrzymał z rąk Inocentego II na Lateranie w najuroczystszy sposób koronę cesarsko-rzymską. Za wielkie ustępstwa, tam poczynione tyarze, pozyskała i korona od tyary przyznania, jakich jej było potrzeba. Zajmowały między niemi niepoślednie miejsce dwa, wtedy właśnie i na żądanie Lotara wydane rozporządzenia Inocentego tej treści: Wszystkie polskie dyecezye, nie wyłączając nawet gnieźnieńskiej, liczyć się będą od tej chwili do jurysdykcji arcybiskupa Magdeburskiego. Wszystkie skandyńskie biskupstwa, nie wyłączając nawet arcybiskupiej katedry w Lundzie, liczyć się

nają do juryzdykeyi niemieckiego arcybiskupstwa w Bremen¹⁾.

Państwa, których to tyczyło, pojęły pewnie od razu, co to miało za znaczenie i w politycznym kierunku²⁾.

Za powrotem z Rzymu do swego państwa (sierpień 1133), znalazł Lotar niezadługo sposobność wmięszania się zbrojną ręką w wewnętrzne stosunki Danii, dynastycznymi zatargami ciągle wtedy wstrząsanej. To wydało taki skutek, że już w kwietniu r. 1134 (zjazd Halberstadzki) król duński Magnus, zięć naszego Krzywoustego, na tym zjeździe dobrowolnie się uznał wasalem niemieckiego cesarstwa i za złożeniem Lotarowi sum znacznych koronę duńską z rąk jego jako lenniczą otrzymał.

Na kilka tylko tygodni przed tem zdarzeniem — pod koniec stycznia r. 1134 — stawili się przed Lotarem i dwaj owi zwaśnieni z Polską szwagrowie — czeski Sobiesław osobiście, a Bela węgierski przez posłów swoich. Składając u stóp majestatu tego mocarza dary bogate, zażądali od niego pomocy przeciw księżciu, z którym już rok trzeci bój prowadzić musieli.

Z miłą chęcią przyrzekł cesarz wziąć sprawę tę w swoje ręce, skoro tylko będzie pora po temu.

Tak zaraz jednak przyjść do tego nie mogło, gdyż stronnictwo Hohenstaufów stało i wtedy jeszcze na silnych nogach. Przeboje z tymi książęty wszelako

¹⁾ Bliższe o tem szczegóły obacz w Giesebrechta „*Geschichte des Kaisers Lothar*“. Rozporządzenie polskiego dotyczące Kościoła z r. 1133 mamy w Kod. dypl. WPol. pod N. 6.

²⁾ Tylko śmierć wkrótce potem przypadająca arcybiskupa magdeburckiego Norberta i innych osób, na korzyść których i przez które zostało wyjednanie to papieskie rozporządzenie, sprawiła, że pozostało ono martwą literą. W danej chwili znaczenie jego przedstawiać się musiało inaczej i pociągało za sobą obalenie całego porządku kościelnego w północnej Europie, wraz z odpowiednimi przewrotami i politycznych stosunków.

brały już teraz coraz pomyślniejszy dla niego obrót. Pod koniec października (1134) jeden z tych książęcych braci, Fryderyk, upokorzył się przed Lotarem i z łatwością przebaczenie jego otrzymał. Załatwienie niesnasek z drugim Hohenstaufem (Konradem) było odtąd już tylko kwestyą czasu; jakoż już w niespełna rok potem (po św. Michale r. 1135) miało rzeczywiście i to nastąpić.

Zbliżała się zatem przyspieszonym krokiem chwila wielkich i groźnych dla Polski zawiślań...

Nasz monarcha zwyczajem swoim postanowił nie czekać, aż ta bieda sama nań spadnie. Wolał jej zarzęć w oczy zawczasu. Aby intrydze węgiersko-czeskiej odjąć doniosłość, a zachłanności niemieckiej żywiol: sam pierwszy odezwał się do Lotara. Wyprawił doń (w maju r. 1135) poselstwo, prosząc o sposobność pomówienia osobiście z cesarzem. W kilkanaście tygodni potem (w miesiącu sierpniu) przyszło do zjazdu w Merseburgu obydwóch tych panujących, w którym wziął udział i książę czeski, od Beli zaś jako kaleki (był ciemny) przybyli tylko posłowie.

Samo się rozumie, że dla Lotara spór tych książąt między sobą był obojętny (załatwiono go tu rozjemem, na dwa lata przyjętym). Cesarza niepokoiły jedynie zabory polskie w Słowiańszczyźnie zachodniej, do której liczył on i Pomorze, choć ono nigdy przedtem ani nawet z imienia pod tą władzą nie zostawało. Spędzać Polaków z zajętego już stanowiska — było co najmniej zapóźno. Ale niechżeby bodaj trybut z niego płacili! Z takimto żądaniem przyjął dwór cesarski w Merseburgu księcia naszego, oświadczając, że się cesarz ani nawet widzieć z nim nie zechce, dopóki mu wszystkich, od tak dawna zaległych danin nie złożył. A ponieważ wysokość corocznej dani oznaczono kwotą 500 grzywien sr., a lat ubiegłych od czasu owładnięcia Nadodrza naliczono dwanaście: więc 12 razy

500 grz. sr. miał teraz Bolesław cesarzowi na jednym stole wyliczyć.

Co tam wtedy nastąpiło? i jakimi argumentami uchylił książę polski owe żądania, jeżeli (jak przypuszczają musimy) nie przystał na te pretensye — tego nam nie powiada historia ¹⁾. Co pewna, to że porozu-

¹⁾ Historycy niemieccy, a nawet i niektórzy nasi krajowi, utrzymują że Krzywousty złożył Lotarowi rzeczony trybut. Ma tego dowodzić znane miejsce u Ottona Frisingeńskiego (Chronic. lib. VII, 19). Ale ten kronikarz powiada tylko, że się cesarz dopóty nie chciał widzieć z księżciem polskim, dopóki mu tenże nie zapłacił trybutu (*non ante..., quam tributum 12 annorum persolveret* etc.). Zwrot ten łaciński dowodzi tylko żądania, ale bynajmniej nie dowodzi zapłacenia (musiałby się bowiem być wyrazić kronikarz: *non antea..., quam persolvit*). Ponieważ zaś ani ten ani żaden inny kronikarz nie podał ani słowa o rzeczywistem zadość uczynieniu onym żądaniom Lotara, niema przeto dowodu, żeby trybut był zapłacony. Ważne natomiast zachodzą okoliczności, z których wprost dowieść nietrudno, że nie mógł go zapłacić Bolesław i nie zapłacił. Pomorskie i zaodrzańskie dziedziny Warcisława, o które się tu rozchodziło, wiemy (z Herboldowego Życia Ottona św. lib. II cap. 30), że płaciły razem Polakom trybutu tylko 300 grzywien rocznie. Jakże miał z tegosamego tytułu płacić Bolesław cesarzowi rocznie po 500 grzywien? Chybaby z własnego skarbu dopłacał 200! Zaszczyt zwierzchnictwa byłby go zaprawdę drogo kosztował, że już nie wspomnę o poniesionych kosztach wojen i zbrojnego dozoru nad tym tak skłonnym do oporu narodem. Gdyby nawet był uznawał Bolesław słuszność żądania cesarskiego, nie wiem skądby wziął naraz tyle pieniędzy, bo zaprawdę niemała to była suma na owe czasy, 6.000 grzywien srebra! Równało się to 84 tysiącom dzisiejszych naszych florenów — có do wagi, abstrachując od tamtoczesnego znaczenia pieniędzy. Byłby w takim razie przecież choć targował się o zmniejszenie żądania. Toć przecież w r. 1109 Henryk V za całą Polskę żądał rocznie tylko 300 grzywien, a i tych nie dostał. Jakżeby miał być wtedy za jedną prowincję płacić Bolesław temu cesarzowi 500?! Że był już złamany wiekiem i niepowodzeniem w wojnie węgierskiej i dlatego wyliczył sumy: i to nie jest żaden argument! Tak bardzo stary przecież nie był, liczył lat dopiero 50. A niepowodzenia nie były tak znowu ciężkie, zważywszy że przegrana pod Wyszegradem bitwa była tylko zdrady następstwem. Takie klęski spotykać mogą każdego i nie było czego rozpaczać. Chwila

mienie jego z Lotarem o ten szkopał się nie rozbiło. Przypuścił on Bolesława bardzo uprzejmie przed swe cesarskie oblicze i skończyło się wszystko na sutych darach cesarzowi ofiarowanych i — ceremonii.

Wytargowano od Bolesława jedynie formę i pozor rzeczy, o jaką Niemcom chodziło, to jest uznanie zasady, że prawo najwyższego zwierzchnictwa nad krajami tymi zawojowanymi właściwie przynależy cesarstwu. Ale też i książę polski otrzymał za to ustępstwo rzecz wagi nieobliczonej: poręczenie tego, co w rękę już trzymał, a prócz tego i przyznanie sobie ze strony niemieckiej prawa do dalszego podboju, mianowicie do zajęcia wyspy Rugii, a może jeszcze i innych jakich obszarów lutyckiego Pomorza ¹⁾.

Takięto bowiem miało znaczenie, dokonane wtedy

najazdu Polski przez Henryka V w r. 1109 przypadła w daleko gorszych okolicznościach, a przecież Bolesław stawiał mu czoło. Zresztą przypomnieć też sobie należy, że Lotar wtedy tak bardzo skłonny do wydania mu wojny nie był. Pojednanie jego z Konradem Hohenstaufem jeszcze nie było przyszło do skutku, a nowa wyprawa włoska, w r. 1136 mająca nastąpić, przedewszystkiem zaprzętała mu głowę.

¹⁾ Mniemanie już po dziś dzień powszechne, że Bolesław Krzywousty jeszcze w trzecim okresie swoich pomorskich podbojów (przed r. 1124) podbił Rugię i obecnie nad nią panował — nie ma zdaniem mojem pewnej podstawy. Teraz dopiero (w r. 1135) przyszła po raz pierwszy kwestya ta na stół i omawiane były zamiary księcia polskiego, żeby ją zająć. Dowód na to, że podboju tej wyspy przed rokiem 1124 ani 1128 ze strony naszej nie dokonano, mamy najprzód u Żywociarzy Ottona św., którzy wszyscy z naoznego przekonania się o tem znają Rugię jako księstwo politycznie nie podległe nikomu, kościelnie zaś (pomimo swego jeszcze pogaństwa) uważane za przydzielone do dyecezyi arcybiskupów duńskich. Helmold, pisarz także prawie współczesny, znający stosunki rujskie jak najdokładniej, nie tylko ani słowem nie wspomniał o podbiciu tej wyspy przez oręż polski, ale owszem poświadcza, że dopiero r. 1168 stała się Rugia — przy pomocy ówczesnych pomorskich książąt — łupem Duńczyków, jako też że nie podlegała aż do tej ostatniej chwili żadnemu postronnemu rządowi.

przez cesarza Lotara w najuroczystszy sposób nadanie Bolesławowi Pomorza i Rugii jako lenności cesarskich — a z drugiej strony złożony przez tego księcia, jako pana (nie Polski, ale) tych krain, hołd Lotarowi, połączony z ceremonią niesienia przed nim do kościoła w procesyi miecza obnażonego ¹⁾).

Owoż tymto jednym zwrotem zamatował ten rozumny monarcha roboty, od kilku miesięcy przeciwko sobie tak przebiegle poczęte. Uchylił wiszącą nad jego narodem wojnę z potężną ligą niemiecko-czesko-węgierską. Zawarował sobie i następcom swoim na dyplomatycznej już drodze prawo do dalszych nad Bałtykiem aneksyi. Zbliżył nakoniec Polskę do Niemiec na owych dla obydwóch stron równie pożądaných, a Polsce niewłaczających warunkach, których ideał przelotny raz już kiedyś, niespełna półtora wieku temu, przesunął się był ponad tymi dwoma krajami w wyobraźni Ottona III i sprzyjaźnionego z nim Bolesława Chrobrego. — Historycy nasi nie pojęli tego nigdy, że to było Polski zadaniem, i nie zrozumieli też znaczenia tej merseburskiej umowy. Albo istotę jej przekształcają wedle przypadkowego mniemania swojego, albo też upatrują w tym akcie upokorzenie i prawie abdykację z przeszłej wielkości Bolesława III, spowodowaną wiekiem jego podeszłym i przeciwnościami losu doznanemi pod Wyszegradem... Ktoby przy takim wykładzie hołdu merseburskiego obstawał, niech na rzecz spojrzy ze stanowiska tamtego wieku. Wszakże tensam

¹⁾ Annalista Saxo pod r. 1135: „*Dux Poloniae Boleslaus in die sancto, manibus applicatis, miles ejus (Lotharis) efficitur et ad ecclesiam processuro gladium ejus ante ipsum portavit*“. Otto Frisingeński (Chronicon lib. VII cap. 19)... „*de Pomeranis et Rugis homagium sibi (Lotarowi) faceret*“. Naruszewicz, Lelewel i wielu innych za nimi, powodowani chyba płonną narodową próżnością orzekli, że to było pasowanie rycerskie! Jak gdyby 50-letni wojownik, jeszcze około r. 1100 przez ojca swego pasowany rycerzem, potrzebował na swoje stare lata tego honoru!

zmyślny i wyniosły cesarz nie wahał się w r. 1131 przyjmować Inocentego II w Leodyum w roli honorowego Masztalerza ojca św., kiedy za uzdę prowadził konia, na którym ten gość jego dostojny wjeżdżał do miasta, i kiedy trzymał mu strzemię przy zsiadaniu u bramy katedralnego kościoła. W roku 1133, bezpośrednio przed koronacją swoją w stolicy chrześcijaństwa, skłonił się cesarz ten do form takich wobec Inocentego, że to dało później powód nawet do odmalowania całej tej sceny w audyencyjonalnej sali pałacu laterańskiego, z napisem łacińskim pod nią w tym sensie, że »tako najpierw królowie niemieccy, przed bramą miasta wiecznego, zaprzysięgają zaszczyty Rzymu i prawa — potem stają się wasalami ojca św. — i wtedy dopiero z jego ręki biorą koronę cesarską«. W kilka dni po tej koronacji przyjął Lotar od papieża nawet i formalne feudum rzymskie (tak zw. posiadłości Matyldy, Bolonie, Reggio i t. d.), od których się zobowiązał płacić kuryi tytułem danii po 100 funtów sr. corocznie.

Jak Lotarowi nie spadła dlatego korona z głowy, tak też i władca polski nie doznał przez to złożenie holdu żadnego w oczach cesarza uszczerbku. Dowodzą tego najlepiej owe najwyższe nigdy przedtem nie widziane honory, jakie mu na wyraźny rozkaz Lotara czyniono w Magdeburgu, gdy przez to miasto, wesół i o przyszłość spokojny, do kraju swojego wracał. Procesy tryumfalne, bicie w dzwony wszystkich kościołów itp. na cześć tego słowiańskiego księcia, zdumiewały wtedy w Niemczech do tego nieprzyzwyczajone umysły, czego odgłos i w ich współczesnych kronikach ¹⁾.

¹⁾ Długosz bytność Bolesława w Merseburgu w r. 1135 przedstawił w duchu zupełnie nieodpowiednim dziejowej rzeczywistości; zdaje się jednak, że musiał i on mieć przed sobą odgłos jakiś tego, jak to spotkanie się z cesarzem czasu swego wykładane bywało, tylko że on to przez nieporozumienie odniósł do r. 1110, do Henryka V i do zjazdu Bamberskiego, w owym jakoby roku odby-

Tak urządziwszy stosunki swoje z Lotarem, poszedł Bolesław na tejże drodze i dalej jeszcze: pozatwiał w przeciągu objętego rozejmem merseburskim dwulecia równie korzystnie zatargi swoje i z resztą owej ligi przeciw Polsce spikniętej.

Właściwie przed tym jeszcze okresem czasu wszedł w jak najściślejsze porozumienie z domem r a k u s k i m, żeniąc najstarszego syna swojego Władysława (II) z jedną z córek Leopolda III, margrabi austriackiego, imieniem A g n i e s z k ą. Ślub ten, do skutku doprowadzony w latach 1133 lub 1134, mógł wróżyć z tej przyczyny korzyści wielkiego politycznego znaczenia, ponieważ ta księżniczka przez matkę swoją była siostrą przyrodną owych obu Hohenstaufów, Fryderyka i Konrada, którzy przez tak długie lata na czele potężnej w Rzeszy niemieckiej partyi trzymali w szachu całą potęgę Lotara, a na przyszłość, przy bezpotomności tego już wtedy sędziwego cesarza, mieli wszelkie widoki zajęcia miejsca na tronie niemieckim. Jakoż przyszło niezadługo rzeczywiście do tego — już w r. 1138 został Konrad III cesarzem ¹⁾).

tego przy współudziale naszego Bolesława. Najświeższe badania niemieckich uczonych wyjaśniły, że zjazdu w r. 1110 i w ogóle za Henryka V w Bambergu takiego nie było wcale. Do tegoż chyba zatem merseburskiego zjazdu (w r. 1135) odnieść należy słowa cesarskie, powiedziane wtedy polskiemu władcy według Długosza: *se eum »justo honore inter principes catholicos velut suum et imperio amicum habiturum«*, jeżeli takowe są historyczne. (Obacz Dług. Hist. T. I str. 489 krak. wydania).

¹⁾ Twierdzenie moje, że ślub Władysława z Agnieszką zająć musiał w latach 1133—1134, jest tylko wynikiem kombinacji. Tradycyjna historyografia stawia tu inne daty, ale nie wytrzymujące krytyki. Długosz, od którego one pochodzą, był w ogóle najfatalniej powiadomiony o wszystkim, co tylko rodziny Bolesława Erzywoustego tyczyło. Według niego nazywać się miała małżonka Władysława II Krystyna; miała być córką Henryka V cesarza; miała być zaręczoną z Władysławem na owym zjeździe w r. 1110 w Bambergu; miała zaraz od owego czasu począwszy, niedorożkami jeszcze będąc, chować się przez lat 10 na dworze swego

Z Węgry zdaje się, że przyszło do pojednania ostatecznego w r. 1136. W tymto zapewne bowiem już roku narzeczeni sobie zostali 14-letni mniej więcej wtedy Mieczysław, trzeci syn Bolesława Krzywoustego, z córką Beli II imieniem Elżbietą, o lat może 7

przyszłego teścia, ażeby do obyczajów polskich przywyknąć; jej ślub miał się odbyć r. 1121 i jest przez tego historyka tak znowu opisany dokładnie, że nie braknie ani listy gości na wesele sproszonych ani nawet wiadomości, w co się ci goście bawili... Dopiero późniejsze (Naruszewicza) badania wykazały, że ta księżna nazywała się nie Krystyna, ale Agnieszka, i że nie była córką Henryka V, który zszedł z świata bezdzietnie. Co do czasu zaręczyn bamberskich, 10-letniego pobytu w Polsce Agnieszki w stanie przedślubnym, i ślubu odbytego w r. 1121: rzecz aż do dziś dnia (r. 1876) ciągle wprawdzie tak stoi, jak ją Długosz postawił; trzeba będzie jednakże i to także uprzętnąć. Co się tyczy tedy zaręczyn — tych w r. 1110, w Bambergu, już dlatego być w żaden sposób nie mogło, ponieważ ani owego zjazdu, ani też księżniczki tej nie było wtedy na świecie. Z tem upada i jej 10-letni w Polsce nowicyat. Aby ocenić zaś wiarogodność weselnej pod r. 1121 daty, wdajmy się w rozgląd metryki księżnej Agnieszki. Jej rodzice, margrabia austriacki Leopold i wdowa po Fryderyku Hohenstaufie, księżęciu szwabskim, córka cesarza Henryka IV, imieniem (taksamo jak ta jej córka) Agnieszka, połączyli się ze sobą związkiem małżeńskim dopiero między r. 1106 a 1108. Podaje to syn ich własny, Otto biskup Frisingeński, w swoich „*Gesta Friderici*” (lib. I cap. 10). Jeżeli do tego niewątpliwego faktu dodamy tę okoliczność, że mieli oni ze sobą 18 dzieci, między którymi nasza Agnieszka, w dowiedziony sposób, przynajmniej z liczby córek, wcale nie była najstarszą: to przychodzimy do rezultatu, że w r. 1110 najpewniej nie oglądała ona jeszcze światła dziennego, a w r. 1121 do *matri-monium consummandum* jeszcze nie mogła być sposobną. Natomiast zważmy, czyby rozumny Leopold św. był mógł w r. 1132 i 1133 posyłać wojska swoje i syna swojego Alberta na pomoc Węgrom, przeciwko Polsce, gdyby najstarszy tu syn książęcy, a więc następca tronu w tem państwie, był miał już wtedy za żonę jego córkę rodzoną? Prawda, że Albert miał za sobą siostrę Beli II, a zatem i doła Węgier obchodzić Leopolda musiała. Ale takie powinowactwo jest niczem w porównaniu z interesem, jaki dom raskusi z Polską wiązał po wydaniu za Władysława Agnieszki. Stać się to zatem mogło dopiero w końcu albo po roku 1133.

lub 8 od swego narzeczonego młodszą ¹⁾). Przy sposobności tejto familijnej ugody mógł się spór między tymi dwoma rządami o ziemię spiską (jeżeli to rzeczywiście było przyczyną dotychczasowych zatargów) załatwić w sposób bliżej nam wprawdzie nieznanym, lecz z takim skutkiem, iż kraik ów i nadal w większej polowie przy Węgrach pozostawiono. W każdym razie tyle pewne, że Borys z uroszczeniami swemi musiał się już gdzieindziej potem awanturować, przez Polskę wypuszczony z opieki. (Zginął on w kilkadzie-

¹⁾ Naprowadza mię na ten wniosek dana w kilku rocznikach naszych pod r. 1136 zapiska, jakoby był w tym roku wydał Bolesław III córkę swoją za syna króla węgierskiego (Mon. Pol. T. II str. 832, III 152). Imion odnośnych osób nie podają roczniki. — Żaden z synów Beli II, o ile wiadomo, nie miał za sobą polskiej księżniczki, lecz zachodził zato odwrotny stosunek; byéby zatem snadnie mogło, że dana tu data chronologiczna (r. 1136) jest trafną, a nieporozumienie zachodzi jedynie co do płci tej ślubnej pary. (Podobne *qui-pro-quo* znachodzimy u Długosza i co do małżeństwa w r. 1129 umówionego między duńskim królem Magnusem a córką Krzywoustego Ryksą, której ten historyk każe być małżonkiem, a jemu żoną). — Prawdopodobieństwo czasu zaręczyn Mieszka z Elżbietą w r. 1136 tem się stwierdza, że jak się to niżej powie, już w r. 1140/41 była ta para z sobą po ślubie.

Prof. Balzer w *Genealogii Piastów* nie przyjmuje powyższego mego wykładu. Bierze tę pod r. 1136 daną w rocznikach zapiskę w sensie dosłownym co do płci odnośnej pary; co do osób — podkłada zapisce takie znaczenie, że ma tu być mowa o najstarszym synu Beli II Gejzie, w owym roku 6 lub 7-letnim, i o jeszcze mniej lat wtedy mającej księżniczce polskiej, jednej z najmłodszych, o zrodzonej z drugiej żony Bolesława III córce, imieniem Judycie. Te zaręczyny wszelako miały się później rozchwiać, a to z przyczyny że Mieszko w r. 1140 zaślubił Elżbietę, zdaniem Balzera siostrę (a nie córkę) Beli II. Z powodu tegoż zatem związku miała później upaść powzięta w r. 1136 myśl połączenia tamtej pary, tak iż Gejza w r. 1147 pojmuje za żonę inną osobę, Eufrozinę ruską, jak to z dziejów wiadomo, a i Judyta w rok potem wychodzi za innego męża, za Ottona I brandenburskiego (*Genealogia Piastów*, str. 164 i 172-176). — Nie podzielałam tego zapatrywania dla następujących przyczyn: 1. dlatego, że o zaręczynach Gejzy z Judytą, drugą tego imienia Bolesławówną,

(*Seniorat*). Tytuł jego — wielki książę (*maximus dux*) i monarcha Polski. Zakres jego władzy w stosunku do książąt na poszczególnych dzielnicach, jak został przez Krzywoustego opisany? w szczegółach nie jest wiadomo (jak i to, co nam wiadomo, w znacznej części tylko wywnioskowane dopiero być musi z analogii postronnego przykładu, który w tej mierze za wzór mu posłużył). Lecz w każdym razie winni ci książęta być mieli najstarszemu posłuszeństwo, jako głowie rodziny i wyobrazicielowi całości królestwa. Bezpośredniem jego władztwem — Krakowskie łącznie z Łęczycko-Sieradzkim, a prócz tego niewątpliwie, jak to Baszko podaje ¹⁾, i daniny pomorskie, wraz z innymi służebnościami zawarowanemi Polsce z tej świeżo nabytej prowincyi.

Ponieważ najstarszym z synów Bolesława był Władysław: jemu się przeto dostały wszystkie owe wielkoksiążęce zaszczyty. Przydzielonym do nich został Śląsk jeszcze, może łącznie z ziemią Lubuską, a to jako dziedziczna dzielnica, na niego i potomstwo jego przypadająca. Inni bracia otrzymali działy mniej więcej równe tej ostatniej Władysławowej dzielnicy. Bolesław Mazowsze, Kujawy, Dobrzyń, ziemię Chełmińską i Michałowską. Mieczysław (tak zwaną później) Wielkopolskę t. j. Gniezno, Kalisz i Poznań z przyległościami, w które wchodziło i nadnoteckie Pomorze-Henryk Sandomirskie łącznie z obszarem lubelskim. Dział Kazimierza, wtedy jeszcze małoletniego, miał pozostać do czasu w rękach Władysława jako jego opiekuna i głowy całej rodziny; bliżej jednak tego działu nie określił wtedy Bolesław (może Łęczycko-Sieradzkie ²⁾).

¹⁾ Mon. Pol. II str. 518.

²⁾ Tak tę rzecz co do Kazimierza Sprawiedliwego stawia tradycyjna historia. Nie jest jednak wykluczonem i to przypuszczenie, że Kazimierz narodził się dopiero po śmierci ojca. Rocznik

ezej wszystko, co tylko było w jego mocy, aby do tego nie przyszło. Ze stanowiska wieku swojego na rzeczy patrząc, mógł on widzieć piekącą konieczność reformy w Polsce tylko w tym punkcie, w którym jej najbardziej było potrzeba, to jest w zakresie prawa co do następstwa na tron. Aż do dni jego wszystko tu było nieokreślone. Tron wprawdzie uchodził za dziedziczny w rodzinie Piastów; ale który z tej rodziny każdorazem miał na nim w danych razach zasięść, o tem stanowiła dowolność. Zwykle wprawdzie orzekał schodzący z pola poprzednik, kto będzie jego następcą. Ponieważ jednak i to niezawsze się działo, a w tych najczęstszych razach w których tak było, ani starszeństwo w rodzeństwie ani żadna inna stała zasada nie kierowała wyborem: zostawiała przeto ta patryarchalna z wyżyn tronu dezygnacya otwarte zawsze pole do wicherzeń tym wszystkim, którzy się wydanem ojcowskim rozporządzeniem w nadziejach swoich widzieli zawiedzionymi. Zgubne następstwa takiego stanu rzeczy miał Bolesław III w licznych już przed sobą przykładach, a i sam osobiście przez te doświadczenia przechodził.

W teju zatem głównie mierze poczytywał on sobie za obowiązek uzupełnić prawo publiczne, a znie-
walała go do tego i sama już ilość synów, których zostawiał, tak różnych i wiekiem i pochodzeniem. Najstarszy syn jego Władysław, zrodzony z Zbysławy ruskiej, miał w r. 1138 już 33 lata skończone¹⁾. Inni jego synowie byli wszyscy z drugiego małżeństwa i już to jedno czyniło z nich w obec tamtego brata odosobnioną zwartą drużynę. Jeżeli zaś co, to właśnie wiek ich mógł głównie wzniecać obawy o przyszłość w sercu

¹⁾ Urodził on się r. 1105 (rocznik dawny Śto-krzyski i kapitulny krak.). Długosz i t. zw. rocznik Traski podają r. 1104; Sędziwojowski rocznik r. 1106. Prawdziwą datą będzie więc najpóźniej pośrednia.

ojcowskiem: albowiem (z wyjątkiem Kazimierza) byli ci wszyscy książęta dość już dorośli, żeby Władysławowi kłopoty sprawiać, ale dalecy jeszcze od takiej dojrzałości, żeby się nie dać na jego i swoją szkodę wyzyskiwać warcholstwu możnowładztwa, biorącego pod swe skrzydła, i żeby nie podkopywać, lecz wspierać starszego brata na jego już i tak aż nadto trudnym stanowisku monarszem¹⁾.

¹⁾ Roztrząśnięcie pytania co do wieku tych młodszych książąt, na pozór zdaje się wprawdzie może niepotrzebną i bliłą dokawością. Zważywszy jednak, że i z tego ukuli kronikarze błąd przeciwko Władysławowi, w ten sposób że biorąc po sekciarskiej stronie tych jego wrogów, ukazują w nich niewinne ofiary jego zakamieniałej ambicji, dla samego już pacholęcego wieku swego jego bezbronni: przychodzi się do uznania potrzeby zdemaskowania i tej sztuczki prawdziwie charakterystycznej. Wiadomo zresztą, że utarta historyografia nasza i przy tym fałszu do dnia (t. j. do r. 1876) stoi.

Czas urodzenia synów Bolesławowych podaje w całym prawie komplecie Długosz, niewątpliwie nie w całości wymyślony przez siebie, lecz na podstawie rocznikarskich zapisek, z których jednak tylko kilka dat takich doszło do czasów naszych, a to głównie w Roczniku kapitulnym krakowskim, pochodzącym z XIII stulecia. Otóż wiadomości Długosza, z źródeł tego rodzaju czepane, przedstawiają się tak: Wie ten historyk, że powtórne obalenie się Krzywoustego zaszło r. 1110, czy jak się dalej powprawia, około r. 1112, co zgodniejsze z prawdą. Ale daje mu za małżonkę Adelaidę siostrę Henryka V cesarza, podczas gdy rzeczywiście była nią Salomea hrabianka von Bergen. Z tego małżeństwa zrodziło się sześciu synów i co najmniej tyleż córek. O córkach źródła polskie zaledwie coś mimochodem przy danej sposobności podają. Synów uwzględniają więcej. Jako najstarszy, o ile wnosić można, zapisany jest w roczniku kapit. krak. (Mon. Pol. II 797) Lestek; miał się narodzić r. 1115. Nie wiem dlaczego Długosz zapiski tej nie przyjął, o Lestka istnieniu wcale nie wspomniał, i co większa, każe być Adelaidzie (Salomei) przez pierwsze lat 10 bezpłodną, gdyż dopiero r. 1122 (zatem właściwie po 12-letniej, a nie 10-letniej bezpłodności) miała urodzić pierwsze swoje dziecię, syna Kazimierza (Hist. I 524). Ci dwaj, Lestek i Kazimierz, zmarli w latach młodocianych. Kiedy? — O śmierci Lestka nic nie zapisały roczniki. Długosz, jak się już powiedziało

Ażeby takim ewentualnościom zapobiec, skorzystał Bolesław z przykładu, jakiego mu dostarczyły dzieje czeskiego narodu. Tamtejszy książę Brzetysław I, podobnie jak ten nasz panujący, ojciec pięciu synów, zaprowadził był w państwie swoim w r. 1054 t. zw. pragmatyczną ustawę *Senioratu*. Ta rozporządzała prawie to samo, co teraz dla Polski przepisane zostało. Była w Czechach praktykowaną przez lat 45, z naj-

wcale go nie zna. O narodzeniu Kazimierza także nic nie podają roczniki. Zapisują tylko rok jego śmierci, 1131, który przyjmuje i Długosz (str. 543). Skąd zaś on wziął wiadomość o czasie jego urodzenia w r. 1122 (co niewątpliwie nie do przyjęcia), niewiadomo. Bądź jak bądź, byli to pewnie najstarsi Krzywoustego synowie. — Przejdźmy teraz do młodszych, którzy jedynie nas tu obchodzą. Bolesław Kędzierzawy miał się narodzić r. 1127 (Hist. I str. 535; to samo i w roczniku, „Mon. Pol.” II 797). Że to wiadomość niepewna, tego dowodzi już to, że rocznik pod tym r. 1127 stawia trzy fakta: zgon cesarza Heryka V, następstwo po nim Lotara (zdarzenia z r. 1125!) i urodziny Kędzierzawego: Długosz to o tyle tylko zmienia, że te fakta niemieckie z r. 1127 na rok 1126 przesuwa (str. 534), urodzenie Kędzierzawego zaś jakoby w r. 1127 zostawia. — Mieczysław (Stary) miał się rodzić r. 1131 (tak Długosz, str. 543; skąd ta wiadomość, niewiadomo). — Henryk (sandomirski) miał przyjść na świat r. 1132 (tak Długosz, str. 545; i tej daty źródła nie znamy). — Kazimierz (Sprawiedliwy) rodził się r. 1138, zgodnie z prawdą. (Dług. Hist. str. 561, rocznik „Mon. Pol.” II 797).

Tak więc czas urodzenia tych 4 synów z owego niezwykle płodnego małżeństwa przypadałby dopiero na lata od 1127—1138. W roku śmierci ojcowskiej miałby Bolesław lat 11; o 4 lata od niego młodszy Mieczysław miałby ich wtedy 7; Henryk rokiem od tego młodszy, miałby ich 6. Rzeczywiście byłyby to zatem same niedorostki, pacholeta, „*pupilli*“, jak ich Kadłubek nazywa. I nie dziw, że kiedy brat najstarszy, Władysław II chciał ich pokrzywdzić, ujęli się panowie i biskupi za nimi i wygnali „tyrana” z ojczyzny.

Patrzymy teraz, jak się sprawa wieku tych książąt przedstawia w świetle prawdziwej, t. j. współczesnej i niepowodującej się stronniczymi uprzedzeniami historyi. Co do Bolesława Kędzierzawego i Mieczysława (Starego) posiadamy współczesną taką wiadomość w pewnym źródle postronnem, w t. zw. *Zwifalten*skiej

pomyślniejszym skutkiem, i uchroniła ten naród przy czterech po sobie idących wstąpieniach na tron od zawieruchy społecznej. W r. 1099 (a więc w oczach naszego już Bolesława) obalił jej nietykalność Brzysław II, a obalenie to odpokutował na własnej swojej osobie już tensam Borzywoj II, na którego korzyść tamten książę testament przodka swojego zdeptał. I nie dość na tem, że z tego tronu już w r. 1107 Borzywoj

kronice, przez Ortlieba rozpoczętej, a przez Bezimiennego dokonzonej, któryto ostatni autor, zakonnik jakiś z Zwifalten, bawił w Polsce na dworze owdowiałej księżnej Salomy, od adwentu r. 1140 aż do początku marca 1141, i osobiście był przytomny na zjeździe Łęczyckim, w końcu 1140 albo początku 1141 r. odbytym. Otóż powiada ten naoczny świadek zjazdu owego, że znajdowali się na nim i dwaj najstarsi synowie Salomy z żonami swemi, Bolesław Kędzierzawy zaślubiony z córką w. ks. ruskiego, i Mieczysław małżonek węgierskiej królowny (*Mon. Pol.* T. II str. 4). Skoro Mieczysław w owym czasie (w r. 1140) już był żonaty: toć musiał mieć przynajmniej lat już 18 lub 17 koniecznie, a Bolesław jako starszy miał ich i więcej. Rok urodzenia Mieczysława przypadałby zatem na 1122 albo 1123 co najpóźniej. Byćby mogło, że ów przez Długosza podany rok 1122 jako czas narodzenia Kazimierza (w r. 1131 zmarłego), był rokiem nie jego narodzenia, ale Mieczysława. Bolesława zaś metryka sięgałaby w lata jeszcze wcześniejsze, niż r. 1122. — Drugim punktem oparcia do obliczenia w przybliżeniu wieku tych książąt jest wzmianka. rzucona w pisany także współcześnie Ebbonowym *Żywocie* Ottona biskupa bamberskiego. Czytamy tu, że kiedy Otto św. w r. 1124 w miesiącu maju zbliżał się do miasta Gniezna, ażeby stamtąd po wypoczynku na Pomorze się udać: wyszedł na jego przywitanie przed miasto Bolesław Krzywousty w licznej procesyi i rozkazał synów swoich niemowlęcych (*filios lactantes*) nieść naprzeciwko niego, aby ich pobłogosławił (*Mon. Pol.* T. II str. 39). To nam dowodzi, że dwóch, a może i trzech nawet synów jego było wtedy w tym wieku. Do którychże może się to stosować? Do Władysława oczywiście nie, gdyż ten w r. 1124 miał już lat 19. Do Leszka (jeżeli wtedy żył jeszcze) także nie, bo miałby wtedy lat 9, skoro się r. 1115 urodził. Do Kazimierza (zmarłego w r. 1131) mogłoby się ściągać tylko wtedy, jeżeli był młodszy od Bolesława Kędzierzawego, co jednak niemożliwe. Najprędzej odnosi się to do Bolesława, do rokiem od niego młodszego Mieszka i do Henryka,

został przez morawskiego Swatopluga na mocy tylko prawa pięści i niemieckiego poddmuchu strącony, a później w Hammersteinie nad zmiennością losów ludzkich w okowach musiał rozmyślać. Ale poczęły się odtąd i dla całego tego państwa czasy wielkiego nieładu i poniżenia na zewnątrz. Już w r. 1109 pojawia się tam pierwszy wypadek faktycznej elekcji, a w r. 1125 zmuszony został Sobiesław I elekcyjność tronu czeskiego i jako już zasadę prawną postawić. Poszły za tem, jak wiadomo, najgorsze następstwa.

Takito przykład i przebieg rzeczy mając przed oczyma Bolesław, zaprowadził w kraju swoim Seniorat. Nie można temu zapewne przeczyć, że byłby

których narodzenie przypadaloby na r. 1121, 1122 i 1124. — Okazuje się zatem, że tendencyjna historia nasza zepchnęła wymiar wieku braci Władysława II o jakie 6–9 lat na dół. Rzeczywiście miały się rzeczy tak, że w roku śmierci Krzywoustego (1138) liczył Mieczysław co najmniej lat 15 albo 16, starszy od niego Bolesław 17, a Henryk może 14, w każdym razie 12, skoro mu ojciec już dział dziedziczny wyznaczył.

Genealogia Piastów prof. Balzera stawia czas urodzenia tych trzech książąt inaczej, Bolesława na r. 1125, Mieszka na 1126 lub 1127, a Henryka między 1127 a 1136. Opiera się to na tej dacie Rocznika kap. krak., że Bolesław przyszedł na świat w tym samym roku, w którym cesarz Henryk V życie zakończył, a Lotar na jego miejsce nastąpił. Patrzmy jednak, jaki z tego wynik. Bolesław Kędzierzawy zaślubia Wierzehostawę księżniczkę ruską w r. 1137, w roku zatem wieku swego 12-tym (nie 13-tym! jak to w Genealogii). I usprawiedliwione to jest uwagą (str. 156), że taka była utarta podówczas praktyka wczesnych małżeństw. A przecież sam nasz uczony autor w przedmowie do tego dzieła (str. XIII) skonstatował, że „ukończony rok cztertnasty był najniższym wiekiem, potrzebnym do zawarcia związków małżeńskich, dla mężczyzn, jak i kobiet». Skoro dla kobiet tak, to mężczyźni (choć się w zasadzie mogli i w tym już wieku żenić) zazwyczaj bywali przecież o parę albo o kilka lat starszymi od żon swoich. Na str. 142 nie dowierza też temu autor, żeby Ernest rakuski mógł być w ogóle być żonatym, ponieważ (urodzony r. 1124) zszedł z świata już 1142, w ośmnastym swym roku. Jeżeli tu tak, to co z tego wynika dla tamtego pytania?

lepiej uczynił, gdyby był w swojej reformie poszedł krok dalej jeszcze, stanowiąc niepodzielność królestwa i primogeniturę monarchiczną w tym sensie, jak ją we wszystkich dzisiejszych regularnych monarchiach ustaloną widzimy. Zauważyć jednak należy, że o tej, tak dziś niby prostej politycznej teorii, w wieku tego księcia ani w Polsce ani w Słowiańszczyźnie ani w Europie nawet całej nie śniło się jeszcze nikomu. Pomyśl, że państwo jest majoratem, byłby wtedy poczytany za wydziedziczenie, tem bardziej niesprawiedliwe, że synowie młodsi Krzywostego nie dali ojcu powodu do zaprzeczania sobie tych nawet przynależności, które prawnie i najlichszemu z jego poddanych służyły. Taka reforma nie byłaby się w ówczesnej Polsce utrzymała ani 24 godzin. (Zrobiła później to doświadczenie Norwegia, w wieku XIII i XIV Magnus VII (1262--1280) orzekł niepodzielność kraju i stały porządek sukcesyjny. Rozporządzenia jego upadły r. 1319).

Wszystkie tamtoczesne państwa, pod względem dziedziczności tronu, prawie się nie różniły od Polski. Wszędzie tam spotykamy dynastye, które władzę pochwyciwszy, nie puszcza ją już (o ile mogą) z ręki. Tak powstaje dziedziczność faktyczna -- z faktycznej wyrabia się z ciągiem czasu i zasadnicza. W myśl takowej, jeden z rodziny, jako król, siedzi na tronie -- reszta członków tej rodziny otacza tron królewski w charakterze książąt na pewnych dzielnicach. Ich stosunek do panującej jednostki jest normowany miarą obowiązków feudalnych, jaka każdorazem przepisana była wielkim wasalom względem suzerena swojego. W razie opróżnienia tronu, osiągał władzę zazwyczaj syn i to najstarszy syn panującego poprzednio; lecz ją osiągał do bardzo późna tylko faktycznie, a bynajmniej nie dla pierworodztwa swojego, t. j. brał prądek albo w skutek dezygnacyi ze strony poprzednika, albo dzięki elekcyi z dołu, albo nakoniec dlatego tylko,

że jako syn królewski, najstarszy, nie miał ani w ro-
dzeństwie ani w społeczeństwie całym drugiego, coby
fizycznie i moralnie tyłu rozporządzał środkami do za-
jęcia tego miejsca i utrzymania się na niem. Tato też
właśnie tylko przyczyna sprawiała, że zazwyczaj pier-
worodzone osobistości dla miłego spokoju bywały de-
zygnowane. Ilekroć zaszły takie wypadki, że pomimo
wszystkich szans, z samej już natury rzeczy służących
pierworodzonym, udało się pochwycić władzę nie im,
lecz innym, wcale nawet nie będącym niekiedy dziećmi
ostatniego panującego: to ci szczęśliwsi albo zmyślniejsi
uważani byli w narodzie za równie prawowitych mo-
narchów, jak każdy z ich poprzedników. Brak primo-
genitury nie czynił tedy żadnej ujmy ich powadze kró-
lewskiej — byleby tylko pochodzili z dynastji.

W takim to stanie rzeczy żył nasz Bolesław. Po-
jęć dzisiejszych o naturze władzy monarszej nie było
mu skąd zaczerpnąć. Nie dostarczała ich ani staroży-
tność ani współczesność — ani prawo świeckie ani ko-
ścielne. W starym testamencie i opartej na jego du-
chu Judei starożytnej, górował ponad wszystkim pier-
wiastek teokratyczny. Tam sama już zasada monar-
chizmu zaledwie potrafiła zdobyć sobie uznanie, a star-
szeństwo jako podstawa teoryi rządowej, zostawało
prawie systematycznie w upośledzeniu. Predylekcy-
niebios skłaniała się tam najczęściej ku młodszym: już
Abel gorszy był od Kaima, a i później myśl ta nie
przestaje nurtować; boć ani Izaak, ani Jakób, ani Juda,
ani Dawid, ani nawet Salomon nie byli ojców swoich
najstarszymi synami. Z tego więc wzoru nie można
było Bolesławowi korzystać. Imperatorowie rzymscy
nie nadawali się także. Ich władza, w rzeczy wynika-
jąca z gwałtu, rzekomo opierała się na zamianowaniu
przez senat i tylko ta sankcya senatu stanowiła doty-
kalne prawowładności ich znamię. Prawowitości tej nie
odmówił im ani Chrystus, a zatem wystarczała ona
w czasach swoich zupełnie. Panował wprawdzie i w tem

cesarstwie nieraz syn po ojcu, lecz nie w skutek dziedzicności tronu rzymskiego jako zasady — o pierworodztwie zaś i jego prerogatywach ani tu mówić nie można. W średnich wiekach — obydwie najwyższe władze wynikały z elekcji. Ani papieże przeto ani cesarzowie niemieccy nie mogli poddać idei, której tu wzoru poszukujemy, nikomu w wieku XII. W innych państwach, jak się wyżej już powiedziało, nawet zarody tej idei podlegały zagmatwaniu chaotycznemu. W jednej Francji tylko zaczynała się dopiero zasada primogenitury zwolna przecierać, a to w tej formie, że królowie tego narodu dla uniknięcia zaburzeń, często króć jeszcze za życia swego synów swoich najstarszych kazali na następców swoich obierać. Ale z tym krajem nie miała Polska ówczesna żadnych bliższych styczności, a gdzieindziej tego nie było. Dość np. rzucić okiem na szereg królów węgierskich z owej epoki, by się przeświadczyć, że daleko częściej tam następowali bracia po braciach, niż synowie po ojcach. W domu książąt austriackich, Habsburgów, jeszcze w wieku XIV i XV były wydawane ustawy domowe (*Hausgesetz*), które się takiejże zasady Senioratu trzymały, jak ją Bolesław III Polsce zalecił. A w Anglii, tym narodzie tak dzisiaj na wskrós przesiąkłym ideami monarchiczności w jej najnormalniejszym okazy, panował aż do XV wieku stan rzeczy taki, że na dziewiętnastu w ogóle panujących począwszy od Wilhelma Zdobywcy w w. XI aż do Tudorów, dziesięciu królów, a zatem większa połowa, przyszła do władzy z zdeptaniem zasady pierworodztwa monarchicznego. Wilhelm I, Wilhelm II, Henryk I, Stefan, Jan, Henryk IV, Henryk V, Henryk VI, Ryszard III i Henryk VII byli to albo młodsi bracia niedopuszczonych do tronu (lub też z niego strąconych) braci starszych, albo ich jeszcze dalsi krewniacy, albo zgoła dopiero założyciele (i to tylko na moey oręża) nowej dynastji. Pomimo tego rządili oni przecież w oczach swojego narodu tak pra-

wowicie, jak owi dziewięciu, których tu nie wymieniam. Teorya primogenitury pojawiła się w Anglii jako zasada, i to jako zrazu zbijana i wyśmiewana zasada, dopiero za Stuartów w wieku XVII. A otrzymała urzędowe uznanie nie prędzej, jak w r. 1689.

W naszym kraju do bezwarunkowego uznania tej zasady jak wiadomo nawet później nigdy nie przyszło.

Krótkie a nieszczęśliwe panowanie Władysława II (1138—1146) zamyka ten okres dziejowy.

Idea antymonarchiczna z dawien dawna nurtowała w tem społeczeństwie. Już przy upadku Bolesława Śmiałego poznała ona swoją siłę. Pod rządami jego brata nieraz dyktowała prawa rządowi. Krzywousty trzymał ją ręką potężną w karchach, przez lat bez mała 40. Właśnie sama ta tak przeciągła już długość czasu, przez który pozostawała idea owa bezczynną, pod jednym i tynsamym ciągle rozkazem, pokonywana prądami, zbawczymi dla dobra państwa, lecz niedogodnymi dla jednostek i nie rymującymi ze słowiańską tradycją, spotęgowała prężność tej tak żywotnej dążności. Natura ludzka lubi zmiany i chętnie porzuca tory, które jej już spowszedniały. Składając zwłoki wielkiego władcy do grobu, zroszono grób ten może łzami wdzięczności i przywiązania, ale zapragnięto odświeżonego powietrza, nowych hasel i »lepszych czasów«.

Władysław II nie podzielał tego usposobienia. Chciał rządzić na warunkach, jakie mu przekazano. W takito sposób mogło przyjść ostatecznie już w ósmym najdalej roku po zgonie Bolesława III do przewrotu, trzeciego z kolei w dziejach tego narodu, z tychsamyh pobudek, co za pierwszym (1037) i drugim razem (1079)—tylko że ten trzeci przewrot był niestety fatalniejszy w następstwach.

Jakie były najbliższe powody i jaki w szczególności przebieg tego ruchu, który potężne aż dotąd państwo w zlepi ziem i województw przemienił? to pozostanie tajemnicą dziejową. Nawet nad chronologią tego wypadku trzeba sobie głowę dopiero łamać. Możliwość władztwa polskie, tak wymowne w innych razach, nie lubiło się spowiadać z uczynków, przy obronie których choć stało murem nawet i po ich spełnieniu, to widocznie jednak z poczuciem, że nie miało się z czem chwalić przed potomnością. Historyografia z dziwną solidarnością hołdowała w takich razach niewolniczo opinii publicznej. Tylko chyba niedyskrecyi pojedynczych nieostrożnych, zresztą oddanych im głosów, i ostatnim ocalonym strzępom kancelaryjnej działalności dworów postronnych, zawdzięczamy te szczupłe wiadomości o tem, w których posiadaniu jesteśmy.

Zdaje się, że zamęt w głowach od tego się zaczął, że się Władysław podatków i z tych dzielnic domagał, które przeszły w zawiadowanie bezpośrednie jego braci¹⁾. Może chodziło o jakąś tylko część danin tym książętom świadczonych, może Władysław nałożył na te ziemie dla siebie nowe jakieś ciężary. Jeżeli Polska miała i nadal pozostać państwem europejskiego znaczenia; jeżeli mianowicie miał się dokonać plan zakreślony i rozpoczęty przez jego ojca co do zaodrzańskich plemion, o których losie już w lat dwadzieścia i kilka potem rozstrzygnąć miały obce polityczne potęgi²⁾: to rozumie się samo przez się, że zadania tego nie mógł spełnić ani sam postawiony nad ościenną Słowianom tym Wielkopolską Mieczysław, ani nawet i najstarszy brat jego, gdyby miał być pozostawiony

¹⁾ Ten szczegół pozytywnie podaje Baszko (*Mon. Pol.* T. II str. 519). Kadłubek bardzo dyplomatycznie trzyma się w ogólnikach samych, by nie wypuścić z ust czego niepotrzebnego.

²⁾ Upadek narodowy plemion słowiańskich między Elbą a Odrą jak wiadomo zaszedł między r. 1164 a 1168. Przeszły pod panowanie Niemiec i Danii.

przy własnych tylko swoich szląsko-krakowskich zasobach. Sprawę tę mógł przeprowadzić jedynie cały naród, zbiorowemi siłami. Z tego punktu widzenia na rzeczy patrząc, trudno zaprzeczyć Władysławowi słusznego prawa do owych należytości monarszych, jakich wtedy od całego polskiego kraju zażądał. Tych danin odmówiono mu w Henrykowej i Bolesławowej dzielnicy, t. j. w Sandomirskim, w Mazowszu i Kujawach (r. 1140). Poszły za tem represalia: zajęcie stolic księstw owych przez załogi «wielkiego księcia». Za plecami książąt swoich jednak stała w tym wypadku, jak się samo rozumie, cała (że tu użyję tego późniejszego wyrazu) szlachta i nieszlachta tych dzielnic: płacić podatki dwom panom — rzecz to nie zbyt ponętna. Łączył więc z nimi każdego jego własny materialny interes. Tak wszczął się rozruch, szal, opór przeciw centralnemu rządowi, a wreszcie wojna domowa w tej części państwa. Zgniecenie tej opozycji zależało ostatecznie od zachowania się dostojników, otaczających tron. Otóż ci nie widzieli w tem żadnej dla siebie korzyści, żeby i tym jeszcze razem tryumfowała wola górująca nad ich głowami. Najwyższy urzędnik państwa, *princeps militiae* i palatyn Wszebór, oświadczył się za stronę słabszą — odpadł do przeciwnego obozu. W tymże zapewne już czasie, albo mało co później porzucił stronę Władysława i ów największy z magnatów całego państwa, krewniak przez żonę, ruską księżniczkę, domu panującego, Piotr Włostowicz, pod niewłaściwą nazwą Duńczyka w kronikach naszych słynący, którego główne majątności leżały właśnie na Szląsku, a zatem w bezpośredniej Władysławowej dzielnicy. Łatwo sobie wyobrazić, jaki wyłom w rządowych zastępach sprawić musiał ten krok tak wpływowych i potężnych osobistości. Walna bitwa nad Pilicą przechyliła szale zwycięstwa — na korzyść anarchii. Władysław ujrzał się w konieczności zaciągnięcia posiłków postronnych, gdzie je mógł zna-

leść. Smutna to zapewne ostateczność dla panujących, tłumić ruch narodowy zagranicznem żołnierstwem: bywają wszelako chwile, gdzie i tego sprawa dobra popolitego wymaga. I Bolesław Krzywousty w r. 1108 przy pomocy dopiero ruskich i węgierskich posilków zgnieść potrafił Zbigniewa wraz z całym jego — także »narodowym« zastępem... Skąd wziął Władysław wtedy te siły zaciężne? powiedzieć niełatwo. Historia mówi o ruskiej pomocy i jakichś »Saracenach«. Przez ostatnich chyba Jadźwingów albo Połowców rozumieć musimy, boć innych pogan (takie tylko tu miał znaczenie ten wyraz) nie było wtedy pod ręką, a i tej dziczy ościennej garstka nie mogła zbyt wiele znaczyć. Rusini kijowscy, może rzeczywiście go wspomagali (Wsewołod Olegowic, wielki książę kijowski, przyrzekł córkę Zwinisławę w r. 1142 synowi naszego Władysława, Bolesławowi Wysokiemu w małżeństwo ¹⁾). O zaciągach węgierskich myśleć tu nie można (Mieczysław miał węgierkę, siostrę panującego od 1141—1161 Gejzy).

Przy tych zasobach, poprawiło się powodzenie rządowe — wszystkie znaczniejsze grody dostały się w moc książęcą: wtedy przystępuje do sprawy prawie zachwianej — zmyślny, przezorny, dotąd biernie się zachowujący Mieczysław. Rebelanci gromadzą się do Wielkiej Polski, zamykają w Poznaniu — poczyną się oblężenie tego miasta. Wśród tegoto oblężenia wyrzekła nareszcie słowo swoje, rozstrzygające u nas od tej już pory o wszystkim — hierarchia. Jej głowa, Jakób z Żnina, arcybiskup gnieźnieński, choć człowiek popolitego rodu i już nad grobem stojący starzec († 1145), osobiście do namiotu Władysława przybywszy, kiedy go nie mógł prośbą ni groźbą nakłonić do ustępstwa na rzecz sprzysiężonej tej przeciwko tronowi roty: jak

¹⁾ Kronika kijowska w Hipatyjskim kodeksie mówi pod r. 1142 o posilkach, Władysławowi przeciw braciom jego dostarczonych przez tego kijowskiego księcia.

drugi Stanisław św. rzuca klątwę kościelną na księcia i na jego małżonkę (1145). Pretekstem do klątwy — ta okoliczność, że Władysław na kraj swój chrześcijański naprowadził »saraceńską« chałastwę. W tym sensie poszły na niego skargi i przed papieża... Łatwiej im było zaiste miotać te gromy kościelne na bezbronnego wobec takiej broni człowieka, niż iść czasu swego nawrócić bałwochwalcze Pomorze albo właśnie i tych barbarzyńców ościennych, których pogaństwo, chrztem głównie z ich winy dotąd nie zmyte, tak im teraz wadzilo!... Wkrótce po wyrzeczeniu tej klątwy przypadła krwawa porażka pod Poznaniem, zrządzona w skutek niespodzianej z tej warowni wycieczki. A potem... nastąpił zwrot już powszechny opinii w kraju przeciwko władzy centralnej — nawet w Śląsku i krakowskich obszarach ¹⁾).

Do tego zwrotu w usposobieniu całego społeczeństwa — prócz klątwy i porażki poznańskiej — przyczyniły się na dobitkę i tradycyjne sztuczne sposoby tumanienia umysłów.

Dostarczało wątku do tych plotek i potwarzy w kurs po całym kraju puszcanych, najprzód »niesłychane barbarzyństwo« chlepcących krew ludzką »Sa-

¹⁾ Chronologia tych wszystkich zdarzeń, jak się już powiedziało, niepewna i różnie przez różnych podawana. Nieukontentowanie w kraju z dążności naczelnej władzy i podejrzywanie, że się ona do ostateczności posunie, rozwinęło się było jeszcze r. 1140 i zjazd łęczycki, w końcu tego roku albo w początku następnego odbyty, właśnie z tejtto przyczyny pewnie przyszedł do skutku. Byli na nim »*primates regni*«, tłum rycerstwa, Bolesław Kędzierzawy i Mieczysław, z żonami swemi, i matka ich Salome. Wielki książę nie był obecny wtedy w Łęczycy; lecz wspomnian tam już o nim jako nieżyjącym młodszemu rodzeństwu. (Ortlieba Zwifalt. kronika, »Mon. Pol.« T. II str. 4). — Oblężenie miasta Poznania przypada niezawodnie na rok 1145. Dowodzi tego to, że arcybiskup gnieźnieński Jakób z Żnina zakończył życie już w tym roku lub samym początku 1146; a zatem później, jak roku owego, być to nie mogło.

racenów« do Polski ściągniętych. Potem niegodziwość żony książęcej, która poczciwego zresztą męża swojego (*princeps humanissimus*) na wszystko złe namówiła¹⁾. Nakoniec już bezprzykładne okrucieństwo, z jakim się książę i księżna obeszlą z Piotrem »Duńczykiem«. Na ichto rozkaz, podstępnie w Wrocławiu dopadnięty (1145?) fundator ten »70 kościołów«, nie tylko został niewinnie pozbawion wzroku, ale nawet język mu wykrojono! Miało to wszystko być popełnione tylko w skutek prywatnej osobistej zemsty i nienawiści tej z piekła rodem kobiety²⁾.

¹⁾ Reputacya księżnej Agnieszki w r. 1145 (na któryto rok podług roczników przypadają przypisywane jej zbrodnie) okazuje się jednak jeszcze bardzo korzystną w porównaniu z tem, co w XV wieku Długosz o niej popisał. I tutaj śledzić można stopniowy w ciągu wieków rozwój tego zniesławienia niewinnej i szlachetnej kobiety. U Kadłubka figuruje ta księżna tylko jako chciwa władzy i potęgi »tygryśca«, która umysłem przywiązanego do niej męża oswładła. U Baszka (więc w sto lat później) zaczyna ona już i nienawidzić wszystkiego, co polskie... Długosz, który ani jej rzeczywistego imienia, ni pochodzenia familijnego, ni wieku nie zna, który o czasie jej przybycia do Polski i ślubie właśnie tyle baśni popełnił, ile szczegółów o tem udzielił: skreślił jej charakterystykę z takimi malowniczymi już dokładnościami, a tak złośliwie, że widać z tego, jak w tej mierze w ciągu tych kilku wieków nie próżnowała wyobraźnia pokoleń, spychająca winę ko-wała — na ślusarza.

²⁾ Bajka o osłepieniu i urznięciu języka Piotrowi Włostowi, po całej Polsce w r. 1145 tak rozszerzona, że i polskie roczniki i nawet zagraniczne źródła dziejowe pod tym rokiem to zapisały (np. Hypatyjski zwód kronik), należy znowu do jedynych w swoim rodzaju sztuczek. Dziwić się prawdziwie należy, że i tak metodyczny historyk, jak Dr. Grünhagen (w artykule *Die Vertreibung Wladislaws II und die Blendung Peter Wlasts*, zamieszczonym w T. XII Czasopisma Towarzystwa wrocł. *für Geschichte und Alterthum Schlesiens*) w baśń tę uwierzył, gmatwa nią przebieg dziejowy i silił się na domysły, kiedy i dlaczego się to okrucieństwo stało. Niezawodnie były wprawdzie jakieś zajścia między tym matnem a Władysławem; może go nawet książę i uwięzić rozkażał. Lecz że mu przy tem włos z głowy nie spadł, to pewna. Jest

Pod brzemieniem takich zarzutów potrafił znienawidzony monarcha dociągnąć pobyt swój w kraju tylko do r. 1146. W pierwszym lub drugim już tego roku miesiącu ujrzał się w konieczności ustąpić z Polski. Opuszczał ją w przekonaniu, że pomoc krewnych przywiedzie go wkrótce do niej napowrót: miał bowiem jednego szwagra na czeskim tronie (Władysław II od

do dziś dnia zachowany list biskupa krakowskiego Mateusza i tego właśnie komesa Piotra, około r. 1150 pisany do św. Bernarda (Mon. Pol. T. II str. 15), w którym go — z kościelnych pobudek — obydwaj proszą, aby przybył do Polski. — Czyż człowiek niemy i ślepy, a zatem co się zowie *caput mortuum*, byłby stosownym towarzyszem dla tego biskupa do pisania podobnych listów i do wysyłania takich zaprosin? Zresztą wszakże już tesame kroniki, które o tem okaleczeniu Piotra donoszą (Baszko w końcu XIII wieku, Długosz i t. d.), same dodają, że przez szczególną łaskę Pana Boga odzyskał ten pobożny człowiek później cudownie i wzrok i mowę. (Mon. Pol. T. II str. 520. Długosza Hist. T. II str. 14). Oczywiście jeżeli kto, to taki wichrzyciel na tę łaskę nie zasługiwał. Cud zrobili dopiero ci, co tego potrzebowali! Pogłoska takiego kalectwa niezawodnie w r. 1145 musiała być w obieg puszczona. Później jednak żył zdrów i broił językiem ten możnowładca aż do samej śmierci swojej († 1153). Więc trzeba było tę sprzeczność jakoś załatać...

Kiedy weszła ta cała bajka w dziejowość? Kadłubek, o lat tylko kilkadziesiąt późniejszy od tego Piotra, rozumnie mileczy jeszcze o wszystkim. Ten historyk przecież lepiej, niż późniejsi, musiał być powiadomiony o tych potwarzach; a skoro nie zrobił z nich użytku, więc wiedział, że to bezsensa niegodne powtórzenia. Dopiero pod sam koniec XII w. wylął się, prawdopodobnie w wrocławskim klasztorze św. Wincentego, założonym przez tego Piotra Włosta, jakiś utwór łaciński, podobno poemat („*carmen Mauri*“, „*rithmico contextu descripta tragoedia*“), o przygodach i cierpieniach tego magnata. Musiało to być zlatynizowanie obnoszonej i wtedy jeszcze po jarmarkach i odpustach klechdy dziadowskiej, zapoczątkowanej w latach 1145 i nast. Bo inaczej trudno pojąć, żeby ktoś z ludzi uczynych, duchowny, niewciążnięty w wir stronnictw, żyjący pod władzą syna potwarzanego tu księcia i księżnej, któryto syn ich najstarszy (Bolesław Wysoki), równie jak i tegoż syn Henryk, miał mir powszechny w swoim kraju — żeby mówię ktoś taki z własnej inwencji komponował robotę, tak namiętnie

r. 1140 księżę czeski miał za sobą rodzoną Agnieszki siostrę Giertrudę), a drugi był cesarzem niemieckim. Dlatego sam tylko z domu ujechał, zostawiając młodą żonę z drobnymi dziećmi w Krakowie, warownie zamkniętym. Zaraz jednak po jego wyjeździe uderzono na tę stolicę, zdobyto ją i splądrowano. Rodzina księżęca musiała pójść w tropy wygnańca¹⁾.

a kłamliwie zniesławiającą rodziców tego księcia, dla zwykłego tylko celu i popisu literackiego. W jakiś czas potem zjawila się w Polsce i druga łacińska przeróbka owej bajdy („*Gesta Piotrkonis*“). Obydwa te piśmidła nie przeszły do czasów naszych, lecz zostały spożytkowane przez dalsze kroniki. Mianowicie „*Carmen Mauri*“ dostarczyło materyi Kronice szląskiej (starszej) w kilku też ustępach odnośnych, a „*Gesta Piotrkonis*“ Kronice Baszka. Obie te wersje w głównej rzeczy widać że były z sobą zgodne, nie brakło im jednak i na znamiennej różnicach w szczegółowym przeprowadzeniu. — Baszko kończąc swą dygresyę o komesie Piotrze (Mon. Pol. II 521), odsyła czytelnika do źródła, z którego czerpał; wyraża się tu „*Piotrkonis gesta, quae per se scripta habentur*“. Chciał on przez to „*per se scripta*“ wyrazić, że pismo to tworzyło utwór odrębny, całość dla siebie. Do niedawna niektórzy wszelako inaczej to rozumieli, mianowicie że to była autobiografia tego magnata, pamiętnik przez niego (*per se*) pisany. A w takim razie wszystkie ambaje zawarte w tych *Gesta* miały tem bardziej zasługiwać na wiarę, że pochodziły z pióra samego bohatera tych przygód. Ja na to tylko tyle odpowiadam, że Piotr Włostowicz albo rzeczywiście wzrok i język postradał — albo ich nie postradał. W pierwszym razie, nie byłby on wcale w stanie pamiętników ani pisać ani dyktować — w drugim razie, nie byłby przecież znowu śmiał sam tak wierutnie o sobie kłamać. (O odprawie danej mi na to powiedzenie moje, mianowicie że może mu tylko kawałek języka ucięto, więc mógł dyktować — najlepiej będzie sąd pozostawić czytelnikowi).

¹⁾ Odnosimy ucieczkę Władysława, a potem i jego rodziny z Polski, jako też to spustoszenie Krakowa, do roku 1146, najprzód na podstawie zapisanych pod tymto rokiem wypadków tych w kapitulnym krak. i drugim „*krakowskiem*“ roczniku, danym w „*Monum. Pol.*“ II 833 obok t. zw. rocznika Traski; powtóre przyjmujemy tę chronologię z tego powodu, że Otto Frisingeński, szwagier Władysława naszego, wspomina pod koniec swojej kroniki o trwającej i nierozstrzygniętej jeszcze „*miserabilis*

Ujęcie się władzy kościelnej za młodszą bracią wygnańca nie pozostało bez natychmiastowej nagrody. Poznańskiej katedrze przypadł Lusów zaraz po odniesieniu zwycięstwa pod Poznaniem. W kilkadziesiąt tygodni później powstaje opactwo Cystersów w Lędzie: jedno i drugie akt Mieszka. Na klasztor Trzemeszyński zlewa się w tymże r. 1146 cała powódź ziemskich nadań. (Kwieciszewo, Waśniów, Zbar itd. z daru książęcej rodziny — długi szereg innych włości od panów, którzy sprawili ten przewrót i uwiecznili swoje imiona w aktach klasztoru ¹⁾). O podobnych dobrodziejstwach, poza WPolską wyświadczonych wtedy kościołom, nie zachowała się pamięć. Bawiący w Polsce w lutym i marcu tego r. 1146 legat papieski kardynał Humbald, ujęty tym tak powszechnym religijnym zapalem, widocznie stoi po stronie sprawy zwycięskiej ²⁾. Hierarchia nasza, w przekonaniu że byleby tylko kuć żelazo, póki gorące, to i sam papież pochwali to co się w Polsce stało: posyła do Rzymu skargę na sprawcę wojny domowej wraz z prośbą o zatwierdzenie klątwy na niego rzuconej ³⁾.

Gdy się to działo, Władysław przez Czechy i Pragę, gdzie był życzliwie wprawdzie, ale bez praktycznego

tumultuatio“ między polskimi książętami, i mówi o tem wśród wypadków na rok 1145 przed miesiącem wrześniem przypadających.

¹⁾ Kod. dypl. WPol. N. 8, 12 i 11.

²⁾ Widać to z jego dokumentu, co tylko wspomnianego N. 12 z d. 2 marca 1146.

³⁾ Arcybiskup Jakób z Żnina już wtedy nie żył. Następcy po nim nie było jeszcze. Ster kościelny zostawał więc w rękach biskupów. Rej między nimi wiodli Mateusz z rodu Cholewa w Krakowie i Jan Świebodzie wrocławski biskup, późniejszy (od r. 1148) arcybiskup gnieźnieński. Rzecz godna zaważenia, że cito dwaj właśnie biskupi są wprowadzeni przez Kadlubka do jego kroniki, gdzie jeden drugiemu opowiada dzieje narodu. Mogliż oni wypadki, w głównej części pod ich wykonanie wpływem, inaczej w tej kronice przedstawiać, jak w tem świetle, w którym je tu ukazane widzimy?

skutku przyjęty, podążył na dwór cesarza. Konrad III, choć zatrudniony własnymi kłopotami, postanowił spróbować, coby się dało uczynić dla niego. W wrześniu r. 1146 przyszło do wyprawy zbrojnej na Polskę, skończyła się jednak na niczem. Wojsko niemieckie dotarło tylko do Odry. Kiedy widziano, że ta groźba nie sprawiła w Polsce oczekiwanego wrażenia, zaniechano dalszych kroków wojennych. Rzecz wtedy poszła na drogę dyplomatyczną. Życzono sobie, żeby papież tę sprawę wziął w swoje ręce. Na wysłane doń przez cesarza w tym kierunku orędzie, przyszła w początku roku już 1147 od Eugeniusza III odpowiedź, że kurya oczekuje od księcia polskiego w ciągu wielkiego postu poselstwa, któreby odpowiedziało na zanesione na niego uzalenia; a wtedy zapadnie wyrok odpowiedni sprawiedliwości¹⁾. — Tymczasem jednak wzięły rzeczy zaraz potem całkiem inny obrót. Cesarz powziął zamiar wziąć udział w wojnie krzyżowej, drugiej z porządku, która przypadła na lata 1147—1149. Około Zielonych świąt wyruszył z kraju. Władysław, który o ile wnosić należy, zaniechał wysłać swych przedstawicieli do Rzymu w czasie oznaczonym, towarzyszył mu w tej wyprawie. Tak się stało, że w ciągu tego r. 1147, zaocznie stolica apostolska zatwierdziła wiadomą klątwę²⁾. Na remonstrancje przeciw temu ze strony kurji cesarskiej, przychylił się papież w roku następnym do życzenia, żeby tę sprawę wziąć ponownie pod rozpoznanie. Oznajmia w kwietniu (1148), że

¹⁾ Ten list Eugeniusza z d. 31 grudnia (1146) do Konrada III mamy zamieszczony w całości w tomie II »Mon. Pol.« str. 8. Data tu dana (r. 1144) jednak, dołożona z domysłu, jest mylna.

²⁾ Wynika to z listu pod koniec r. 1147 do papieża pisanego przez syna i zastępcę cesarza, przez młodego Henryka, w którym prosi o sprawiedliwość dla swej ciotki, z państwa swego wydalonej i przyciśniętej papieską exkomuniką. Mamy ten list w Jaffego »Biblioth. rerum Germ.« I N. 68, i w »Monum. Pol.« II str. 11.

wyśle specjalnie w tym celu na miejsce do Polski swego legata. Spełnienie tej obietnicy nastąpiło dopiero w wrześniu. Godność przedstawiciela stolicy Kościoła w tej kwestyi otrzymał kardynał Gwido, a był mu do pomocy dodany i biskup morawski Henryk. Spędzili w kraju naszym kilka miesięcy zimowych (1148/49), i tym razem ściśle zbadanie zatargów taki wydało wynik, że całe to przeciwne Władysławowi stronnictwo, książęta, biskupi i panowie, uroczyście zawezwani zostali do posłuszeństwa i pojednania się z prawowitym monarchą. Lecz ten wyrok trafił na niewzruszony opór. Odpowiedziano, że mu się nie poddają, gdyż orzeczenie legata, to nie papieski dekret! Oznajmienie, że ten wyrok właśnie z ramienia stolicy apostolskiej zapadł, nic nie pomogło. Wtedy Gwido na rząd, kler i kraj polski rzucił klątwę w imieniu Eugeniusza III, który niezwłocznie (1149) onę potwierdził, a Władysława od wydanego nań interdyktu poznańskiego uwolnił¹⁾.

Wszystko to jednak nie wydało żadnego skutku. Nadaremnie ojciec św. jeszcze raz i to w własnej już swojej osobie, biskupów polskich surowym listem (z dnia 23 stycznia 1150) skarcił za te wybiegi i czyniąc arcybiskupa odpowiedzialnym za wszystko, do posłuszeństwa wydanemu nakazowi zawezwał²⁾. Nadaremnie przypominał cesarzowi legat papieski, że tu pora i konieczność, żeby się świecka siła upomniała o to lekceważenie woli najwyższej władzy Kościoła. Konrad III

¹⁾ Cały ten przebieg zdarzeń wynika z źródeł, danych u Jaffe'go pod Nr. 80, 184, 225. Te i inne jeszcze tu należne listy zawiera tom II »Mon. Pol.« str. 12, 9 (z mylną datą r. 1146 zamiast 1149 i 1148), dalej str. 10 w nocie ustęp II, i str. 17. Kod. dypl. WPol. Nr. 14 i 13 (oba z datą mylną), i N. 17.

²⁾ »Mon. Pol.« II str. 17. »Kod. dypl. WPol.« N. 16.— Warto tu zauważyć, że o tych wszystkich wkroczeniach stolicy apostolskiej w zająścia powyższe zachowuje nasza dawniejsza historyografia za przykładem Kadłubka jak najgłębsze znowu milczenie. Tak to wszędzie tu jeden i tensam system.

nosił się wprawdzie i w r. 1149 i w następnym z myślą wykonania tego mandatu, ale — »jeżeli okoliczności na to pozwolą«, jeżeli da się to przeprzeć *absque armis*. bez wyruszenia w pole¹⁾. I wyczekiwał tej sposobności aż do r. 1152, w którym życie zakończył. — W 7 lat później (1159) umarł Władysław, na wygnaniu.

Tak więc młodsi synowie Krzywoustego, a raczej stojące za nimi możnowładztwo, świeckie i duchowne, ostatecznie postawiło na swoim. Dali dowód wielkiej odwagi, poświęcili sumienia swoje »dla miłości ojczyzny«. Ale to nie była miłość ojczyzny. Był to ich własny polityczny interes, ubrany w pozory dobra państwa. Ściągnął na kraj poniżenie władzy — i klęski, których po 174 latach nieładu ani koronacya Łokietka powetować nie potrafiła. Utrata Szląska, ziemi Lubuskiej, wszystkich tych dalszych okolic kresowych, z których sąsiad brandeburski sobie t. zw. Nową - marchię utworzył, odpadek zachodniego a nawet i gdańskiego Pomorza, ofiara ziemi Chełmińskiej, i na dobitek wpust Krzyżaków do kraju — niemieckość miast, upadek rodowitego ludu: oto cena zapłacona za owę wszystkie wolności, w posiadanie których klasy uprzywilejowane ko-
sztem władzy monarszej weszły w ciągu tych bez mała dwóch wieków, dzięki przewrotowi owemu.

¹⁾ Mon. Pol. II str. 14, na str. 10 w nocie punkt III, i str. 18. U Jaffego N. 182, 186 i 226.





JESZCZE W SPRAWIE TESTAMENTU
BOLESŁAWA KRZYWoustego.



W pięć lat po ogłoszeniu powyższych moich uwag o znaczeniu przedśmiertnego postanowienia czyli jakem je nazwał, Testamentu Bolesława III w przedmiocie podziału kraju między synów, pojawiła się rozprawa Dra Maksymiliana Kanteckiego p. t. „*Das Testament des Boleslaus Schiefmund. Seniorat und Primogenitur in Polen*“. Posen 1880. Przedstawił w niej autor całkiem inne na rzecz zapatrywanie, w obec którego upadało to wszystko, com ja o tem napisał. Nie byłbym wtedy jednak na nowo podejmował tej sprawy, gdyby ta publikacya młodego uczonego nie była z pewnej poważnej strony w ogłoszonej recenzji doznała zupełnej aprobaty. To tylko mnie wtedy skłoniło do odpowiedzi. Ponieważ są w niej rzeczy, które uzupełniają wywód mój z r. 1875 i nie są może i dziś jeszcze obojętne dla kwestyi, przeto zamieszczam tu tę moją replikę tak jak była drukowana w »Przewodniku literacko-naukowym« z r. 1881, zeszyt styczniowy.

Do napisania swej rozprawy »O testamencie Bolesława Krzywoustego« nie byłby autor zapewne wcale przystąpił, gdyby był pewne miejsce w kronice Kadłubka należycie, to jest w duchu tego kronikarza rozumiał. Niejasność, a może raczej tylko krótkość zbyteczna owego miejsca, spowodowała pana Kanteckiego do podłożenia mu znaczenia, o jakim Kadłubek wcale

nie myślał. Z tego wynika cała prawno-polityczna teoria, z jaką autor tu występuje jako nową a jedynie trafną, i ze stanowiska której chce tłómaczyć nie tylko to wszystko, co w Polsce zaszło po zgonie Bolesława Krzywoustego, ale i co się w niej działo przed jego na tron wstąpieniem. Teoria ta rzeczywiście jest nową, lecz zdaniem mojem nie wytrzymuje krytyki.

Miejscem, o którym mówimy, jest kilka zdań danych w „*Monumentach Poloniae*“ na str. 363, t. II. Opowiada tam kronikarz, że Krzywousty widząc przed sobą śmierć bliską, kazał pisać testament. »W którymto akcie i cnoty dziadów kolejne i królestwa swego spadek czterem synom przekazuje, określając czterech księstw poszczególnych (nadanych owym synom) granice, w ten sposób, ażeby przy starszym i rząd nad prowincją krakowską zostawał i zwierzchnictwo wielkoksiążęce (nad całą resztą kraju i braćmi). A jakby się temu synowi wydarzyło co ludzkiego (czyli: a po zgonie tego najstarszego z synów), ma zawsze spory o następstwo na tron rozstrzygać starszeństwo i wzgląd na primogeniturę«. (*De quo si quid humanitus obligisset, semper aetatis maioritas et primogeniturae ratio litem successionis decideret*). A więc: każdy z czterech synów Krzywoustego otrzymuje tu pewną przydzieloną sobie część kraju jako księstwo cząstkowe. Najstarszemu między nimi, t. j. Władysławowi, przypada oprócz tego jeszcze i księstwo krakowskie, z przywiązaniem raz na zawsze do tego krakowskiego księstwa zwierzchnictwem monarszem nad całą Polską. Po śmierci zaś Władysława, a taksamo i po zgonie każdego dalszego jego następcy, ma jego miejsce, t. j. rząd nad Krakowem wraz z monarszem zwierzchnictwem nad drugimi braćmi i wszystkimi krewnymi, otrzymywać zawsze ten, który będzie miał w owej chwili po swojej stronie te dwa tytuły do władzy: 1. starszeństwo i 2. pierwszeństwo na mocy primogenitury. — Otóż właśnie te ostatnie wyrazy są ciemne: bo jedno

obok drugiego albo jest (a raczej zdaje się być) zbyt-
tecznym i niepotrzebnym, albo wręcz jedno drugie wy-
klucza. Jeżeli bowiem miał następować zawsze na tron
primogenitus, to na cóż było dodawać „starszy” (*major
natu*)? *Primogenitus* zawsze jest *eo ipso* i starszy!
A jeżeli przeciwnie stanowić o tem miało względne
starszeństwo (w obrębie całej rodziny): to najczęściej
mogło być tak, że ten lub ów, choć starszy od wszy-
stkich innych krewnych, będących w owej chwili przy
życiu, nie był jednak ojca swego synem pierworodzo-
nym. Brak w nim tedy *primogenitury* mógł go praw-
do tronu pozbawiać, pomimo jego starszeństwa wiekiem.
W takim zaś razie niewiadomo, kogoby ten testament
Krzywoustego chciał mieć w przyszłości panem Kra-
kowa i zwierzchnikiem nad drugimi książętami.

Dotychczas miejsce powyższe w Kadlubku tak
zawsze pojmowano, że Krzywousty przekazał go-
dność naczelną w narodzie każdoczesnemu najstar-
szemu wiekiem w całej rodzinie książęcej (bez względu
na to, czy tenże był bratem, czy synem, czy jakim
innym krewnym ostatniego panującego). Tem orze-
czeniem podniesiony zatem został na wysokość zasady,
jedynie decydować odtąd mającej o sukcesyi tronu,
tak zwany *Seniorat*. Ta zasada senioratu nie była wpra-
wdzie bynajmniej dopiero Krzywoustego pomysłem.
Praktykowała się ona bowiem i w Polsce i w innych
słowiańskich krajach i w dalszym świecie bardzo czę-
sto i przedtem, i to od niepamiętnych już czasów.
Jednakże w tamtoczesnych niepewnych, to jest nie uję-
tych w stałe prawne formy okolicznościach, przycho-
dziły do zastosowania w państwach rzeczonych nieraz
i inne zasady, n. p. pierwszeństwo syna ostatniego
panującego (jeżeli tenże go pozostawiał w sile już wieku)
przed jego stryjami, choć ci byli starsi wiekiem od niego —
zatem właśnie zasada *primogenitury*; albo względ na
czyją największą dzielność z pomiędzy wszystkich
członków dynastji, bez względu na jego wiek i stopień

krwieństwa, o którejto dzielności orzekał znowu all schodzący z świata poprzedni monarcha (a zatem d z y g n a c y a z góry), albo niekiedy podwładni, dost nicy itp. (więc wybór z dołu, choć to zrazu m często się zdarzało). Primogenitura, seniorat, dezy cya, elekcyja, dodajmy do tego nareszcie i uzurpacy wszystko to były zatem zasady, praktykowane j obok drugiej wedle chwilowych okoliczności w wotnej epoce słowiańskich i niesłowiańskich pa a także i w Polsce. A Krzywoustego zasługą ściwą innowacją w jego testamencie to tylko b l. usuwając ów zamęt, raz na zawsze postawił jedynie odtąd rozstrzygać mającą, zasadę wzgl starszeństwa czyli t. zw. seniorat (*majoritas na wtóre, że przysądził naczelnemu w Polsce m czyli takiemu najstarszemu wiekiem, jako sta bucyę jego monarszego zwierzchnictwa, bezp władzę nad księstwem krakowskim, któreto w połączeniu z tegoż drugą, t. j. dziedziczną (np. co do Władysława w połączeniu ze b zdawało się dostarczać mu dosyć siły, aby moralnie, ale także i fizycznie dzierzył prze każdym drugim, na swojej spadkowej sched cym bratem albo krewniakiem.*

Rozumiejąc w powyższy zatem spos wolę Bolesława Krzywoustego i odnośne (po toczone) miejsce w Kadłubku ci wszyscy, k o tem pisali, opierali się jak widzimy, przed na owych na pierwszym miejscu położony kronikarza *aetatis majoritas*, a dodane dop słowa *et primogeniturae ratio* zostawiali wykładu. Snać mało do tych ostatnich s zywno znaczenia — czy to z tego po widząc między jednym a drugim żadnej te wyrazy z sobą (jak należy) godzić un nie chcieli się o tej sprawie rozpisywać w szych szczegółach — czy też może, że u

zornej między jednym a drugim sprzeczności, puszczali to „*et primogeniturae ratio*“, jak się to mówi, *per non sunt*, i nie widzieli w tym dodatku nic więcej, jak niezręczny tylko pleonazm, oratorską tautologię pisarza, czy jakąś wreszcie bałamutną konfuzję, której niewarto podnosić. Ten drugi sposób pojmowania tego miejsca jednakże byłby w każdym razie mylnym. Zauważyć bowiem należy, że wyraził się Kadłubek zupełnie w takim samym sposób i w drugim jeszcze, i to od tamtego dosyć odległym miejscu, t. j. na str. 401 „Monumentów“. Opowiadając tam o uchwałach na synodzie Łęczyckim za Kazimierza Sprawiedliwego zapadłych, a następnie zatwierdzonych przez papieża Aleksandra III, dodaje: że otrzymał przy owej sposobności Kazimierz od rzezonego papieża potwierdzenie swej władzy nad krakowskim księstwem, jakkolwiek wobec testamentu Krzywoustego i wobec żyjącego jeszcze wtedy Miecysława III, starszego brata aniżeli Kazimierz, najzupełniej była nieprawna. Przytaczam tu własne słowa Kadłubka z tego miejsca jego kroniki: „*Cujus (papae) divino oraculo principatus Casimiri confirmatur: ne paterna illi voluntas ullum pariat praejudicium, qua cautum fuerat, ut penes majorem natu principandi resideret auctoritas, et in principatu litem successionis ratio primogeniturae dirimeret*“. Ani więc wątpić, że te dwie, tak od siebie odległe wzmianki, i te dwie w nich obydwóch zawarte klauzule o *majoritas natu* i o *primogeniturae ratio*, musiały rzeczywiście być przez Kadłubka wzięte z jakiegoś aktu urzędowego i nie mogą w żaden sposób być poczytywane za coś tylko przypadkowego, naprzykład za jego tylko floskuły stylu i t. p.

Zdaniem mojem rzecz tę pojmować należy, jak następuje: Testament Krzywoustego zrobiony być musiał piśmiennie, tak iż wyrazy Kadłubka *testamentales mandat conscribi codicillos* (p. 363), brać nam należy w dosłownym sensie. Na wniosek ten naprowadza ta okoliczność, że to jego rozporządzenie zostało zatwier-

dzone przez papieża za jego (Krzywoustego) jeszcze życia, o czym nas powiadamia pismo Innocentego III z r. 1210 do biskupów polskich, orzekające ten fakt jako rzecz wiadomą (Kod. dypl. MPolski N. 6). Ten testament z r. 1138 posłużył następnie kancelaryi Kazimierzowej i w r. 1180 po synodzie łęczyckim do ułożenia stylizacyjnego osnowy owego przywileju, jakiego się ten książę od papieża Aleksandra III wtedy dopraszał, w skutek czego przyszedł też w tychsamych znowu wyrazach i sam ów przywilej z Rzymu, przyznany Kazimierzowi. Kadłubek jeden z tych aktów publicznych, najpewniej ten późniejszy, lecz być może że i obydwaj, musiał znać z naocznego widzenia i spożytkował je w swej kronice mniej więcej dosłownie w obydwóch miejscach. Co więc tam daje, ma wszelką wagę nie tylko co do *majoritas natu*, ale i co do *primogeniturae ratio*. Myślą zaś Krzywoustego było pokrótce to: Panującym monarchą Polski ma być każdoczesny właśnie najstarszy w całej rodzinie. Gdyby się jednak kiedy przypadkiem tak rzeczy złożyły, iżby dwaj najstarsi właśnie w całej rodzinie książęta, dajmy na to np. syn zmarłego już wtedy Władysława, i syn którego z jego młodszych braci, także wszystkich już zmarłych, byli między sobą jednego obydwaj wieku: w takim razie ma tę wątpliwość i trudność, tę *lis successionis, dirimerae primogeniturae ratio*, t. j. ten z tych dwóch wtedy rówienników wiekiem do naczelnej przychodzi władzy, za którym przemawia wzgląd na rychlejsze urodzenie czyli na pierworództwo jego ojca, więc wzgląd na primogeniturę linii i, z której on idzie. — Ten wykład tego miejsca w Kadłubku zdaje mi się tak prostym, że prawdziwie nie pojmuję, jak w niem kto może upatrywać trudności. Krzywousty postawił w pierwszej linii jako sukcesyjną zasadę: Seniorat. Że zaś ten sprawiać czasem mógłby zawilość, więc na rozstrzygnięcie możliwych w takim wypadku zatargów.

postawił obok tamtej i drugą jeszcze zasadę — seniorat całej linii czyli »Primogeniturę«.

Przystąpmy teraz do dySSERTACJI pana Kanteckiego i zobaczymy do jakich on rezultatów na mocy owego w Kadłubku miejsca przychodzi. Zdaniem szanownego autora *aetatis majoritas* i *primogeniturae ratio* mają to być pojęcia wykluczające się wzajemnie, mianowicie „*kann mit dem Ausdruck primogenitura der Begriff der Senioratserbfolge absolut nicht in Verbindung gebracht werden*“ (str. 88). Trzeba się tedy za pierwszym albo za drugim oświadczyć. Z powodów o których niżej pomówimy osobno, oświadcza się autor nasz jedynie za drugim. Cały przycisk kładzie zatem na primogeniturze; w położonej zaś u Kadłubka przed tym wyrazem *majoritas natu* widzi wyrażone innemi tylko słowami powtórnie a mniej potrzebnie to samo pojęcie — boć *primogenitus* (powiada) jest zawsze i *major natu*. I wyprowadza z tego ten wniosek, że owo rozporządzenie Bolesława Krzywoustego usunęło więc seniorat dotąd w Polsce praktykowany, a na jego miejsce stawilo primogeniturę jako jedyną zasadę, na mocy której miała odtąd godność monarsza czyli wielkoksiążęca być nabywaną. Tak więc przydzielone zostało to prawo wtedy Władysławowi i jego linii, jako pierworodzonemu synowi Krzywoustego; po Władysławie znowuż jego najstarszemu synowi itd. W skutek czego wszyscy inni Krzywoustego synowie, nie tylko co do swej własnej osoby, ale i co do dalszego potomstwa swego, zostali raz na zawsze wykluczeni od widoków przyścia kiedy do władzy zwierzchniczej, a sama tylko linia Władysławowa otrzymała uznanie panującej dynastji.

To założenie stara się p. Kantecki udowodnić różnymi sposobami mianowicie: anteriorami w dziejach naszych, i innemi miejscami z kronik. Dowody jego tej drugiej kategorii polegają znowu tylko na nierozumieniu świadectw dziejowych, na nieprzytoczeniu ich

w całości i w skutek tego na przekręceniu ich sensu, na podkładaniu im takich znaczeń, jakich one nie znoszą. Trudno mi tutaj zbijać wszystkie te jego dowody, urośby bowiem musiało wtedy to sprawozdanie do rozmiarów prawie równych z jego broszurą; wreszcie po obaleniu głównej rzeczy, to jest wykładu, jaki podłożył p. K. rozebranemu powyżej miejscu w Kadłubkowej kronice, upada w gruncie i cała jego wysnuta z tego źródła teoria. Z obowiązku mego jednak jako krytyka, dotknę tu niektórych przynajmniej takich punktów, oczywiście najważniejszych w tej książce.

I tak na str. 90 powołuje się autor na miejsce pewne w starszej kronice szląskiej, t. zw. *Chronicon Polonorum* (mamy to w t. III »Monumentów« na str. 629) i upatruje w niem wymowne stwierdzenie swego domysłu. Miejsce to brzmi: „*Iste Boleslaus (Krzywousty) 5 filios habuit, Wladislaum, Boleslaum itd. Quatuor ergo primis terram divisit: seniores Slesiam et ad praesens dum aliis Cracoviam disponit, et post illum seniores semper ducum Cracoviae gubernacula consignat*“ itd. Każdy nieuprzedzony czytelnik tego opowiadania będzie wyrazy rozstrzelonemi tutaj dane czcionkami rozumiał tak, że *seniores semper ducum consignat Cracoviae gubernacula* (dla każdego najstarszego z pomiędzy książąt przeznaczają rząd nad Krakowem). Samo to bowiem *gubernacula* bez *Cracoviae* (w razie gdyby to *Cracoviae* miało należeć do *ducum*) byłoby po pierwsze niezwykajne w łacinie, powtóre i niejasne w tem miejscu; nie byłoby wtedy wiadomem, o jakim sterze jest mowa? nad czem takim najstarszemu z książąt krakowskich rząd zostaje przyznany? Tymczasem autor nasz wręcz przeciwnie obstaje właśnie przy tym drugim wykładzie, łącząc wyraz *Cracoviae* nie ze słowem *gubernacula*, lecz *ducum*, i wyciągając z tego sens taki, że rząd najwyższy nad Polską samej tylko linii Władysławowej, t. j. krakowskiej przyznano. Za taką wersją, za tem mówię łąčeniem słów *ducum* i *Cracoviae* z sobą, ma

ta okoliczność przemawiać, ponieważ to jest *constante Schreibweise des Autors des „Chronicon Polonorum“*, *der niemals (!) die Worte umstellt, sondern immer einfach sich ausdrückt und z. B. nicht „regni patronus“, sondern „patronus regni“, „tutor filiorum“ und nicht umgekehrt, „filia regis Ruthenorum“ und nicht „Ruthenorum regis filia“ schreibt* (str. 91). Dziwić się prawdziwie można, jak pan K. mógł postawić takie lekkomyślne twierdzenie. Autor kroniki tej szląskiej, tak samo jak i każdy inny po łacinie piszący, ustawia wyrazy i tak i owak. Na samym np. zaraz początku tej swej kroniki (»Monum.« t. III p. 604) położył on w obrębie nie więcej jak sześciu wierszy (!) genitivus przed głównym rzeczownikiem 5 razy (*cronicarum conscriptores — propriae gentis commendationem — gentium sive terrarum detestationem — suorum memoriam — dictorum utilitatem*), podczas gdy po głównym rzeczowniku genitivus użyty tu jest tylko trzy razy. Podobnie i na dalszych kartach bezlik jest takich konstrukcyi, zdaniem pana K. obcych temu kronikarzowi.

»Dalszy dowód (powiada nasz autor na str. 91) zaprowadzenia primogenitury przez Bolesława Krzywoustego mamy w następującem miejscu kroniki Kadłubka, traktującem o uroszczeniach synów Władysława II, kiedy ich już przywrócono do władzy nad dziedzicznym Szląskiem«. Zanim przytoczę to miejsce, nadmieniam tu nawiasowo, aby czytelnik odnośną sytuację rozumiał, że rzeczy miały się wtedy tak: Wypędzony przez braci Władysław II schodzi z świata w roku 1159. Zajmujący jego miejsce w Polsce Bolesław Kędzierzawy, już to z litości nad synowcami, już ulegając moralnej presyi cesarza, który się za nimi ujmował, skłania się wtedy do zwrócenia synom Władysławowym, aż do tej pory także na wygnaniu żyjącym, dziedzicznego ich działu po ojcu, to jest szląskiej dzielnicy. Przyzywa ich tedy do kraju w r. 1163, zawiera z nimi umowę, że poprzestaną na tem, co im

przydzielili, i oddaje im Szląsk uszczuplony o kilka miast i powiatów, które Kędzierzawy dla siebie zatrzymał i zastrzegł, powodując się ostrożnością, by mu ci synowcy nie byli zanadto silni. To zatrzymanie miast dla siebie jak najdobitniej wypowiada Kadłubek na początku zacytowanego tu przez pana Kanteckiego ustępu (*»Monumenta«* t. II p. 372): *Quia vero quasdam illius provinciae urbes ad abundantio rem cautelam donationi exceperat, multorum ea res malorum peperit occasionem* itd. Otóż o tej całej okoliczności co do zatrzymania niektórych okolic i grodów szląskich i wynikłych z tego zatargów, podanej tak dobitnie przez kronikarza w tem miejscu, milczy (na str. 91) nie wiem dlaczego nasz autor, i przytacza to jedynie z Kadłubka, co dopiero idzie u niego potem, a co oderwane od początku tamtego, oczywiście nikomu, a więc i panu K. w żaden sposób nie może być zrozumiałem. Słowa te dalsze Kadłubka zaś dają, co oto następuje: »Synowie Władysławowi, ledwie stanęli na progu ziemi rodzinnej, już utrzymywać zaczynają, że otrzymali tę prowincję nie z daru, nie z łaski, lecz jako przynależny sobie i dziedziczny swój spadek. Co większa, na podobieństwo brańców wracających do ojczyzny z niewoli, reklamują zupełny zwrot praw swoich« (co stosować oczywiście należy do całości Szląska a nie części tylko jego, jaką im dano, okrojonej z miast, które Kędzierzawy zatrzymał). Temu żądaniu synowców, są dalsze słowa Kadłubka, przeciwstawia Kędzierzawy uwagę: Wszak wy się rzekliście pod tym względem prawa waszego! A oni na to: To prawda, żeśmy się rzekli; ale byliśmy zrabowani, ogołoceni, zmuszeni: dlatego prawo rystytucyi (całej ojcowizny) niewzruszenie nam służy, jakkolwiek pod przymusem zostając, rzekliśmy się tejże.

Zdaje mi się, że kiedy się cały ten ustęp, tak jak go w kronice mamy, bez uprzedzenia odczyta: trudno mu zarzucać niejasność, a istne już chyba niepodobieństwo.

stwo, chcieć w nim widzieć dowód na rzecz przedstawionej przez pana K. teorii. Jeżeli nasz autor zaś sądzi przeciwnie, jeżeli miejsce to *ein wenig dunkel*, a język Kadłubka w tem miejscu *orakelartig* nazywa i podejrzewa kronikarza, że on coś więcej wie, a tylko się boi czy nie chce tego powiedzieć, mianowicie że ów zwrot praw wtedy reklamowanych miał dotyczyć *Ansprüche der Söhne Władysław's auf Krakau* (str. 92), a to na mocy zaprowadzonej przez ich dziada (Krzywoustego) primogenitury: to mogłoby to wszystko mieć pozór czegoś możliwego tylko dopóty, dopóki komu niewiadomo, co kronikarz na samem czele tego ustępu powiedział, mianowicie że nie cały Szląsk zwrócił wtedy Kędzierzawy swoim synowcom i że to potem *multorum malorum peperit occasionem et fovit incendium*.

Podajmy teraz inny taki mniemany dowód w samych kronikach zawarty i to dowód, najwięcej ze wszystkich pozorów mający świadectwa, przemawiającego za hipotezą pana K., to jest sprawę, do której on przystępuje w swej dysertacji na str. 93. *Dass aber die Ansprüche der Wladislaiden wirklich auf Krakau und die Grossfürstenwürde abzielen, das können wir wieder aus dem „Chronicon Polonorum“ ersehen, dessen Verfasser einerseits kein Interesse daran hatte, die Verhältnisse absichtlich, wie Kadłubek (?!) in Dunkel einzuhüllen (!), andererseits gerade über diesen Gegenstand gut informirt sein konnte* itd. Otóż owym ostatecznym dowodem ma być następujące miejsce w „*Chronicon Polonorum*“ (= *Monumenta* t. III p. 634): *Tandem hi duo fratres, Boleslaus et Mesico* (synowie Władysława II) *municipia prae-parantes, a patruo* (od Bolesława Kędzierzawego) *monarchiam* (wielkorządztwo nad całą Polską) *repetunt. Quos cum juri primogeniturae abrenunciassse allegaret, multociens cum illis pugnavit, sed minus valuit.* Że miejsce to rzeczywiście wiele daje do myślenia, to chętnie panu Kanteckiemu przyznaję. Zgodzić się jednak z nim na konkluzję jaką z tego wyciąga, nie mogę. Rozu-

miem o tej zapisce kronikarskiej jedno z dwojga. Albo autor tej kroniki (w końcu XIII lub na początku XIV wieku żyjący) podając ten szczegół, zaczerpnął go z Kadłubka i osnowę jego opowiadania po swojemu a źle przedstawił, to jest pojmował cały ten stosunek zatargów i uroszczeń między Kędzierzawym a synami Władysława i samym już Władysławem II mniej więcej w takisam sposób, jak pan K. przywiedzone wyżej miejsca z Kadłubka sobie tłómaczy — bo przecież nie jest to żadnem niepodobieństwem, żeby stylizacyi nieco zawilej, dla światłego autora w wieku XIX niejasnej, nie miał równie mylnie sobie wyklądać już i jaki średniowieczny erudyta. (W takim razie cały ten ustęp w „*Chronicon Polonorum*“ nie miałby oczywiście żadnej wagi, jako rzecz na nieporozumieniu tylko oparta). Albo też przeciwnie autor tej szląskiej kroniki miał przed sobą co do tego ustępu jakieś źródła osobne, i to co daje, miało swoją dobrą podstawę, chociaż w Kadłubku niczego o tem nie znalazł. W takim razie jednakże naszą jest rzeczą uprzytomnić sobie całą tę sytuację i w duchu wszystkich okoliczności chwilowych tak pojąć kronikarza opowiadanie, w jakim sensie on je daje, choć co prawda bardzo krótkimi słowami. Ja sobie owę sytuację przedstawiam w następujący sposób. Zanim Kędzierzawy w roku 1163 synowców do Szląska przywrócił, były między nimi poprzednio jakieś układy, o których wiadomo i Kadłubkowi. Wynikiem tychże było: 1) zrzeczenie się przez synowców owych kilku miast szląskich, których im zrazu nie oddano, a które oni później reklamowali (co i Kadłubek podaje); 2) zrzeczenie się przez tychże Władysława II synów także i prawa, jakie im służyło na mocy testamentu ich dziada, to jest prawa wyrażonego owemi słowami *majoritas natu et primogeniturae ratio*, a które stawiało i przed nimi w oddali widok przyjscia kiedyś do naczelnej w Polsce władzy i do rządów w księstwie krakowskiem. Wszystkie szanse składały się w r. 1163

na to, że po najdłuższem życiu wszystkich stryjów, najstarszy z tych synów Władysławowych, to jest Bolesław Wysoki, lub gdyby ten nie żył już wtedy, jeden z młodszych tegoż braci, będzie jedynym do tronu wielkoksiążęcego prawowitym pretendentem, jako i starszy wiekiem od wszystkich stryjecznych braci i idący z najstarszej linii. W takim wypadku jednakże los tych wszystkich młodszych Piastów byłby nader krytyczny. Bo gdyby nawet ów do rządów dopuszczony wtedy Władysławowicz postępował sobie szlachetnie i nie mścił się na nich za krzywdy ojcu swemu wyrządzone: to i tak miłem to być nie mogło Bolesławowi Kędzierzawemu w roku 1163, że umożliwiał taką przyszłość dla przyrodnich i nielubionych synowców, na niekorzyść potomstwa własnego i rodzonych swych braci — i to wszystko po katastrofie raz już przebytej, dzięki której cała ta znieawidzona linia starsza wyrzucona została z kraju, tak iż już w nim zawadzać drugim nigdy nie miała. Otóż z tych wszystkich powodów mógł bardzo snadnie Kędzierzawy, przed zwróceniem synowcom Szląska, wymóc na nich nie tylko zrzeczenie się owych miast kilku, lecz i pretensyi kiedykolwiek zmierzających do osiągnięcia w Polsce naczelnej władzy (*monarchiam*). Młodzi książęta ci, pod przymusem i na razie, przystali niby wtedy na te warunki; ale potem reklamowali jedno i drugie — tak miasta, jak i prawo do owego pojęcia „*monarchia*“, rozumianego w sensie powyższym.

Ja nie twierdę oczywiście bynajmniej, żeby to wszystko było faktem, com tu rozwinął. Ale rozumiem, że to jest chyba jedyny możliwy i prawdopodobny sens tego miejsca w kronice, jeżeli autor jej rzeczywiście mówi na podstawie jakich osobnych źródeł, a nie za Kadłubkiem źle pojętym i bałamutnie parafrazowanym.

Pan Kantecki zaś tak to miejsce przedstawia: Krzywousty zaprowadził primogeniturę. Więc Włady-

ślaw II, a po jego śmierci Bolesław Wysoki, jako syn jego pierworodzony, był sam jeden prawowitym dziedzicem władzy w Polsce wielkoksiążęcej. W ciągu targów o przywrócenie Szląska, wymógł wprawdzie Bolesław Kędzierzawy na Bolesławie Wysokim zrzeczenie się tego prawa do tronu jako *primogenitus*; ale później reklamował jednak Bolesław Wysoki to prawo, to jest zażądał od Kędzierzawego, aby mu (za życia jeszcze swego, natychmiast) władzę naczelną wraz z księstwem krakowskiem zwrócił. Takiego znaczenia mają mieć owe w tej kronice słowa *monarchiam repetunt*.

Mnie się zdaje, że w razie gdyby w samej istocie tak było, to po pierwsze nie byłby Kędzierzawy synowca z takimi prawami pod żadnym warunkiem do kraju wpuszczał; powtóre, byłoby to po prostu śmiesznością lub szaleństwem Bolesława Wysokiego i jego braci, gdyby siedząc na Szląsku niecałym, byli sobie uroili, że potrafią stryja zmusić do natychmiastowego wyrzeczenia się władzy monarszej i księstwa krakowskiego, które dzierżył jak najsilniej, mając za sobą cały naród i siły wszystkich swych braci. Powiedzieć mu w takich okolicznościach: idź precz, wynoś się z Krakowa, zwróć mi monarchię, bo to wszystko jest moje — byłoby naiwnością bez granic, gdyby nawet miał być Bolesław Wysoki rzeczywiście jakie prawo do tego. Po trzecie: wszakże kronika powiada, że Bolesław Kędzierzawy, który tego czego synowcowie chcieli zaprzeczał, *pugnavit cum illis multociens, sed minus valuit*. Jeżeli *minus valuit*, więc przegrywał i nie mógł zabrać im, żeby sobie odebrali, co im się należało. Jakoż istotnie odebrali oni sobie owe miasta szląskie, na razie wstrzymane. Ale czy mu odebrali i Kraków? albo władzę monarszą? Bynajmniej. Więc z tego wynika, że to też wcale nie wchodziło w zakres sporów.

Druga kronika szląska, późniejsza, t. zw. „*Chronicon Principum Pol.*“, mniej więcej to samo co i tamta o tych rzeczach podaje (Monumenta t. III p. 479).

Pan Kantecki skwapliwie z tego korzysta jako z nowego niby świadectwa. Nie jest ono jednak wcale nowem, lecz tylko wypisem z tamtej kroniki, wskutek mylnego rozumienia opacznie stylizowanym.

Otóż takięto są owe pozytywne dowody, owe miejsca z różnych kronik, któremi autor hipotezy swej dowieść spodziewał się. Przy trzeźwym rozpatrzeniu wszystkiego, nie widzę, coby w nich mogło przemawiać za tem. A ileżto napomknąć, nawet najwyraźniejszych wywodów mamy w naszych najdawniejszych kronikach, które się wręcz sprzeciwiają twierdzeniom rozwiniętem w tej dysertacyi. Nie mogę tu przemilczeć o dziwnej metodzie, z jaką p. K. jedno z takich właśnie miejsc z pola uprzęta. W pewnym ustępie Kadlubkowego dzieła (*Monumenta* II p. 430) jest mowa o rozporządzeniu Krzywoustego w taki już sposób, że seniorat, jako wyłączna sukcesyjna tego księcia zasada, leży jakby na dłoni. Cóż o tym ustępie mówi nasz autor? — Oto to, że *aus gewichtigen Gründen dieser ganze Passus höchst verdächtig ist und vielmehr als eine spätere Interpolation erscheint; es ist jedoch hier nicht der geeignete Ort dies näher nachzuweisen* (str. 97). Prawdziwie wielka szkoda, gdyż byłoby to ze wszech miar nader ciekawe dowodzenie.

W pierwszej połowie swej dysertacyi rozwija p. K. różne materye przedwstępne, których ogół ma być drugim, niejako wewnętrznym i pośrednim dowodem hipotezy, że Krzywousty w r. 1138 seniorat uchylił, a primogeniturę na jego miejscu postawił. Rozumowanie bowiem szanownego autora jest mniej więcej następujące: Że ten monarcha nasz przede śmiercią jakieś nowe rozporządzenia co do następstwa na tron zalecił, jest rzeczą wiadomą. Powszechnie zdanie dzisiejszych historyków jest takie, że na te rozporządzenia złożyły się różne (powyżej określone) zasady, a główną ich podstawą był seniorat. Otóż to jest mylne zapatrywanie, bo ja okażę (mówię tu w myśl autora dysertacyi),

że Seniorat w całej Słowiańszczyźnie, a zatem i w Polsce, stanowił stałą, jedyną i od niepamiętnych już czasów niewzruszenie obserwowaną zasadę sukcesyi tronu. Jeżeli mi się zaś uda przeprowadzić ten dowód, natenczas wyniknie z tego, że np. takie zdanie: »Aż do dni Bolesława Krzywoustego wszystko w Polsce w zakresie prawa co do następstwa na tron było nieokreślone«, jest mniemaniem, które *jeder Grundlage entbehrt i ohne wissenschaftliche Belege angeführt wird* (str. 73); powtóre wyniknie z tego i ten jeszcze wniosek, że Krzywousty musiał więc coś innego zalecić, jak seniorat — a tą nowością była primogenitura.

Jakże tedy pan K. dowodzi owego zdania, że cała sukcesya tronu w Polsce i w dalszej Słowiańszczyźnie wyłącznie i od najdawniejszych już czasów polegała na senioracie? — Na pozór bardzo gruntownie, bo towarzysząc krok w krok wszystkim wstąpieniom na tron przez nowych panujących na Rusi (zaraz od zgonu Ruryka w r. 882) i w Czechach (od śmierci Borzywoja w r. 895). Ale ten wywód przeprowadza nasz uczoney z taką dowolnością, i tak z jednej strony posługując się domysłami, których ani zbić ani też stwierdzić nie można, a z drugiej znowu biorąc w pomoc t. zw. *argumentum a silentio*, które jak wiadomo *non valet*, że w oczach uważnego czytelnika wyniki tej procedury albo zgoła nie dowodzą niczego albo nawet tu i owdzie wręcz przeciw autorowi się obracają.

Na próbkę przytoczę tu tylko jedną taką argumentację, to jest owę wziętą z relacji dotyczącej Lutyków, podanej przez Einhardta (»Mon. Germ.« SS. I 210). Mówiąc pisarz ten o książętach lutyckich Milegaście i Cealadragu, powiada, że byli oni sobie bracią, a synami Luba, króla Lutyków, *qui (Lub) licet cum fratribus suis regnum divisum teneret, tamen propterea, quod major natu erat, ad eum totius regni summa pertinebat*. Więc był Lub naczelnym między braćmi swymi księciem dlatego, że był od nich starszy. To rzeczywiście

byłby dowód, jak to pan K. na str. 27 swej dysertacji postawił, że u Lutyków zasada starszeństwa więc popłacała. Ale cóż dalej? Dalej tak zaraz potem mówi Einhardt: *Qui Lub quum commisso cum Abotritis proelio interisset, populus Wiltzorū (czyli Lutyków) filium ejus Milegastum, quia major natu erat, regem sibi constituit.* Więc następuje po Lubie — nie brat jego, których miał kilku, a którzy przecież byli starsi wiekiem od Milegasta — lecz syn Luba Milegast i to jeszcze na mocy wyboru przez *populus*. To przecie już nie przykład senioratu, ale okaz uwzględnionej w owym wypadku raczej primogenitury i w części także elekcyi — wbrew zasadzie senioratu, któryby był przemawiał za najstarszym z braci Luba, a stryjów Milegasta! A jeszcze dalej następują u Einhardta te słowa: *Sed quum is (Milegastus) secundum ritum gentis commissum sibi regnum parum digne administraret, illo abjecto, juniore fratri regnum honorem deferunt.* Otóż okaz i trzeciej zasady sukcesyjnej — elekcyi, wykonanej tak wbrew senioratowi, jak i primogeniturze! — Z całego tego ustępu wynika, że Lutyki nie mieli tedy żadnej stałej zasady u siebie co do następstwa na tron, choć znali wszystkie. Dając raz tej, drugi raz owej, a potem znowu jeszcze innej zasadzie przewagę nad drugimi, postępowali w ogólności w ten sposób, że nie szanowali żadnej z nich jako jedynie uświęconej i nietykalnej. Tosamo było na Rusi, tosamo w Czechach aż do Brzetysława I, tosamo wreszcie i u nas aż do r. 1138. Seniorat był tutaj znany, lecz nie tworzył jedynej normy. Wszakże Mieczysław II był młodszym od Bezbrajma, a został przeniesiony nad niego. I sam nawet Krzywousty był młodszym od Zbigniewa. Bo okoliczność, iż to był naturalny syn Władysława Hermana, nie może być pożywaną za właściwy powód jego upośledzenia w porównaniu z Bolesławem, lecz były tego raczej przyczyną osobiste tych dwóch książąt przymioty. (Porównaj Galla dwa miejsca: »Monumenta« t. I p. 434, cap. 8;

i p. 452). A z tego wszystkiego wynika, że w rozporządzeniach Krzywoustego w r. 1138 to więc najglówniej było nowem, że seniorat miał odtąd jedyną tutaj i stałą stanowić zasadę sukcesyjną, jaką aż dotąd nie był, choć się faktycznie (z przyczyn w samej naturze rzeczy leżących) najzwyczajniej praktykował.



WOLNA LUDNOŚĆ WŁÓSCIAŃSKA

w pierwszej dziejów polskich epoce.



Rzecz pisana w r. 1894. Była publikowana w Kwartalniku historycznym z tegoż roku.

Ani o historii szlachty w Polsce ani o historii ludu polskiego, trafnie przeprowadzonej, tak długo i nas myśleć nie można, dopóki nie stanie nam przed oczyma jasny obraz położenia prostej wieśniaczej ludności w pierwszych wiekach naszej historycznej doby. Tak jak bowiem w każdym innym narodzie, tak też w naszym tato ludność musiała stanowić początkowy pień społeczności, owę rdzeń najpierwotniejszą, z której wszystkie inne stany wynikły i potem w kolei czasów, odpowiednio okolicznościom, odrębne swoje formy przybierały i rozwinęły. Problem ten jednakże u nas należy do najzawilszych i jak żadne drugie historyczne pytanie, do najsporniejszych, pomimo że od siedm-dziesięciu lat z górą umysły nasze zaprzęta. Cała skala możliwych o tym przedmiocie pojęć — od najskrajniejszej ostateczności w kierunku sielankowej równości i swobody, do drugiej takiejże ostateczności w duchu niewoli i pogńębienia — cała ta skala przez wszystkie swoje gammy i tony ma lub miała swoich w literaturze z tych lat wyobrazicieli.

Materyałem, zapomocą którego pytanie to może i musi być rozstrzygnięte, są nadewszystko źródła nasze dziejowe z XII stulecia. Dawniejszych nie posiadamy. A zatem dwie kroniki: Galla i Kadłubka; prócz nich archiwalne zabytki z tego wieku: dokumenta. Kroniki, znane są od dawna, lecz stosunkowo mało w nich miejsc, rzucających jasne światło na wewnętrzne sto-

O każdej wiosce, o każdym łanie pola lub lasu rozpisuje się najdokładniej, kiedy i w jaki sposób nabyło go zgromadzenie zakonne, kto go dawniej posiadał, jak się nazywał, co to był za człowiek, za jaką kwotę sprzedał go kościołowi, jeżeli to był kupny nabytek, a w jakich okolicznościach go podarował, jeśli to była ofiara. Wszystkie dalsze potem o te kupna lub dary zatargi, reklamacye, procesy, bądź to z dobrym skutkiem przeprowadzone, bądź z stratą, odprzedaże, zamiany dobrowolne i przymusowe — słowem dzieje całe tych wszystkich, mniej więcej w obrębie jednej mili kwadratowej w okół Henrykowa leżących osad, posiadanych przez konwent, wszystko to z najdrobniejszymi szczegółami nie tylko tu opisane, ale po największej części i obłożone dokumentami. A cel tej całej pracy ten, ażeby bracia zakonni i w przyszłych generacyach dokładnie znali te wszystkie antecedyencye i mieli w rękę każdej chwili gotowe środki obrony swego majątku, ilekroć zajdzie jaka tego potrzeba. Opowiadanie sięga nieraz aż w czasy rządów Bolesława Wysokiego, a nawet przed nim, więc głęboko w wiek XII, a opiera się na tradycyi, wziętej z ust ludzi, którzy pamiętali te czasy i w wieku już swoim sędziwym należeli do codziennych gości refektarza henrykowskiego. Dalsze koleje opowiada nam nasz opat na podstawie własnej osobistej już znajomości stosunków i zdarzeń, z dyplomatyczną ścisłością, a jak ze wszystkiego widać, i z rzadką w takich pismach miłością prawdy. Chodziło bo też autorowi nie o wprowadzanie w błąd swoich braci, ale o praktyczne cele.

Przewijają się w tym całym wątku egzystencye najrozmaitszego stanu. Panujący książęta, biskupi, księża, komesowie, *milites*, *militelli* (jak ich nazywa), a i na takich nie zbywa, którym się zdawało, że są milesami; dalej sołtysi — i zwykłego potulnego usposobienia i tacy, co się już wdzierali w atrybucye rycerskie; niemniej *rustici* wszelakiego odcienia, więc

rustici na całej wiosce, na żrebiu, na niewielu morgach; *heredes*, to żyjący we wspólności majątku, to wydzieleni; *coloni*, *camerarii* i wszystka niższa hołota. Ludzie rządni i utracysze. Tych niestety między Polakami już i wtedy było najwięcej. Dobre słowo daje autor mało której z tych wszystkich osób. Nie czyni tego jednak dlatego, że sam jest Niemiec. Mówi nieraz i o osadnikach niemieckich, wszelako ci w pewnych razach jeszcze gorzej niż Polacy na tem wychodzą. W ogólności widać z wszystkiego, że jeżeli chodzi o poziom obyczajowy, to niewesołe to były czasy...

Otóż sądzę, że nie będzie bez interesu naukowego, jeżeli niektórym z tych tak różnych figur nieco uważniej się przypatrzymy. Wyższe stany tu pominię — zajmę się tylko okazami z tej klasy, o którą jedynie mi dzisiaj chodzi.

Kwiatek. Zacznijmy rzecz od samej rezydencji klasztoru, od Henrykowa — i od człowieka, z którego opowiadań większa część tego wszystkiego pochodziła, co tu o najdawniejszych czasach tej okolicy czytamy.

Miejscowość Henrykovo istniała jeszcze przed sprowadzeniem konwentu w to miejsce, obejmowała jednakże z razu mały tylko działek (*sors*) niejakiego Henryka, zapewne włodyki, a może czleka dopiero wchodzącego w ten zawód; raz go bowiem księga nasza zowie *militellus*, drugi raz »takim, co się miał za rycerza«¹⁾, któremu się zdało, że jest rycerzem. Między r. 1210 a 1220 kupił od niego te grunta tamtoczesny kanclerz księcia Henryka Brodatego, imieniem Mikołaj, człowiek stanu duchownego, wtedy jeszcze bardzo małej fortuny, i następnie poprzyłączał do tej parceli, od owego Henryka nabytej, różne inne posiadłości sąsiednie, stojące wtedy po największej części pustką lub też pomimo znacznego nieraz obszaru zostające w rękę rodzin tak podupadłych, że te grunta można było star-

¹⁾ Qui se pro milite habebat. Liber fundat. str. 16.

gować za bezcen. Od tego czasu cały kompleks tych parcel, skomasowanych w jedną wieś z parafialnym kościołkiem (*Lib. fund.* str. 27), otrzymał nazwę Henrykowo, od owej pierwotnej szczupłej posiadłości przybraną. W r. 1227 stanie tu klasztor, założony przez właśnie tego Mikołaja kancelerza.

Jedną z owych przedtem osobnych, a teraz do terytoryum henrykowskiego wcielonych ziem, była pustka, a kiedyś osada, która się zwała Głąbowice. Należała do rodziny z stanu t. zw. dziedziców (*heredes*), t. j. do wnuków i prawnuków niejakiego «włościanina książęcego» (*rusticus ducis*, str. 40) imieniem Głąba. Pod koniec wieku XII rej wodził i ton nadawał w tych Głąbowicach *quidam rusticus ceteris potentia eminentior* (str. 41), który był w prostej linii wnukiem owego Głąba, a zwał się Kwiatek. Ten z powodów, o których niżej, porzucił wraz z całą rodziną ową osadę i przeniósł ją w inne miejsce głąbowickiego obszaru, t. j. założył nową wioskę, która w mowie okolicznej ludności, a i w księdze niniejszej miewa nazwę dwojaką: po dawnemu Głąbowice (bo w niej potomki Głąba osiadły) i Kwiatkowice, gdyż pod przewodem owego Kwiatka powstała. Otóż postać tego Kwiatka warta bliższej znajomości. W młodszych latach działał mu się niezgorzej. Musiał to być człowiek, który nie z jednego pieca chleb jadał i (choć *rusticus*) nie samym tylko pługiem się parzył, skoro na starość nie tylko u niemieckich księży w klasztorze henrykowskim, ale i na dworze książęcym był zawsze mile widziany, a facecyami swojemi i sowizdrzalstwem rozweselał Henryka Brodatego: w skutek też czego był przez dwór cały książęcy «nade wszystkich krewnych swoich lubiony» (*diligebatur*). Nazywano go wtedy już Kika; był bo też istnym kikutem: jedną rękę miał do szczytu odciętą, a drugą tak mieczem skierowaną, że całkiem władzę straciła. To też nie dziw, że ten za cza-

sów jeszcze pierwszego henrykowskiego opata¹⁾ już »bardzo stary« człowiek, spędzał ostatnie dni swego życia w wielkim niedostatku. Żył prawie tylko z miłosierdzia klasztoru. Animuszu mu jednak ani wiek ani bieda nie umniejszała. Za gościnność doznawaną odwdzięczał się Cystersom niewyczerpanem opowiadaniem o najdawniejszych stosunkach całej tej okolicy, której każdy punkt i to co się na nim działo, było mu wiadome i w pamięci przytomne. Ale i czemś innym jeszcze zostawił on po sobie wdzięczne i trwałe w klasztorze wspomnienie. »Módlcie się następcy nasi za tego rustika Kwiatka« — pisze Piotr opat w tej swej księdze, a pisze to miejsce pismem wybitnem, czerwonym (p. 42). »Albowiem wiedzieć wam należy, że ta część Głabowic, gdzie teraz nasz dworzec stoi, i cały las Bukowiną zwany, przez niego (per eum) po napadzie pogan dostały się w posiadanie klasztoru«. — A więc po roku już 1241 a przed 1245, w którym ten Kwiatek zszedł z świata (str. 41), musiały Kwiatkowice z jego ręki albo pośrednio za jego sprawą przejść na własność zakonu. Bo że przez »częstkę Głabowic« nie co innego tu rozumiano, jak Kwiatkowice, to nie podlega wątpliwości. O jedną stronicę wyżej (p. 41) dokładnie powiedziano, że właśnie na miejscu Kwiatkowieckiej osady stała *curia claustris*. Szkoda wielka, że się nie dowiadujemy, w jakiej formie się dokonało to zaokrąglenie posiadłości klasztornych i jaki w tem osobisty udział miał Kwiatek. Miało to być w innym miejscu osobno opowiedziane w tej księdze, ale do tego nie przyszło²⁾. Tyle jednak będzie pewnem,

¹⁾ Nazywał się ten pierwszy opat Henryk; zszedł z świata około r. 1238.

²⁾ Na str. 46, poczynając nowy rozdział nasz autor, zapowiada, że będzie w nim mówił o trzech nabytkach. *De particula Glambowicz, quae data est post paganos*, miało stanowić przedmiot z kolei drugi w tej trójce nowych akwizycyi. Po wyczerpnięciu rzeczy o pierwszym nabytku (p. 59) pozostawiono więcej niż całą

że Kwiatek co najmniej był darodawcą swej własnej tam części gruntów i że więc miał pełne prawo nią rozporządzać. A jeśli z tem porównamy tę jego sowi-zdrzalską swobodę w obec samego księcia Henryka i tę pewną oglądę i względną intelligencyę, niemniej jego okaleczenie z pewnością nie z bójką w karczmie wynikłe, skoro ręka mieczem była zrąbana (*gladio laesa*), nakoniec i owę *potentia*, jaką za lepszych swych czasów nad drugimi wywierał w całej osadzie: to się zapewne niejednym z mych czytelników na to zgodzi, że ten *rusticus*, ten wieśniak, jakoś bynajmniej na chłopa będącego czyjaś własnością, przywiązanego do gleby, pozbawionego pełnej wolności, skazanego tylko na rolną pracę na obcym gruncie, nie patrzy.

Głębownicowie. Lecz idźmy dalej. Powiedziałem wyżej, że osada czasem Głębownicami, zwykłej Kwiatkowice zwana, na miejscu której później (po roku 1241) stanął dworzec klasztorny, została tu założona dopiero przez Kwiatka, poprzód zaś leżały Głębownice gdzieindziej. I ta rzecz warta, żeby jej się bliżej przypatrzeć. Właściwie zwano z dawien dawna Głębownicami nieokreślony dokładnie, ale bardzo rozległy obszar bukowego lasu w tej okolicy¹⁾, nadany, jak ta księga powiada, przez Bolesława Wysokiego *rustico suo proprio*, więc włościaninowi książęcemu, Głębowi (str. 40). Od imienia tego Głęba otrzymał ów las tę nazwę. Szląsk bowiem w owych czasach, przynajmniej w tych tu nad czeską granicą położonych powiatach, miał tworzyć jedną ciągłą puszcę lesistą, zaledwie tu i owdzie oży-

jedną stronicę w księdze próżną, oczywiście dla opisu, w jaki sposób klasztor dostał Kwiatkowice. Na dalszej zaś poczyna się już wykład o trzeciej materii. Dlaczego tamtej karty już nigdy później nie zapisano — nie wiedzieć.

¹⁾ Zliczywszy wszystkie, później wykrojone z tego lasu posiadłości i jako takie wspomniane w niniejszej księdze, śmiało oszacować można cały obszar posiadanego przez Głęba gruntu na jakie 20 włók czyli lanów.

wioną siedzibami mieszkańców. Więc książęta w owych latach hojną ręką wydzielali na folwarkij (*praedia*) i na dziedziny (*hereditales*) przestrzenie całe, a to tak znaczniejszym osobom, jak i ludziom pośredniego staniku (*mediocribus*, str. 60). — Nie od rzeczy będzie zrobić tutaj uwagę, że występujący tu Głęb, jeżeli rzeczywiście jemu to dopiero była nadana własność owego lasu, to go musiał chyba dostać od którego z poprzednich panujących, a nie dopiero »od Bolesława Wysokiego«, był bowiem o całą jedną generację dawniejszym od tego książęcia ¹⁾. Lecz to uwaga uboczna, która głównej rzeczy nie zmienia. — O ile wnosić, prowadził Głęb w tym swym lesie gospodarstwo przewa-

¹⁾ Dla autora tej książki najdawniejszą, do jakiej zdołał się cofnąć, epoką wstecz, było panowanie Bolesława Wysokiego (1163—1201 r.). Poprzednie czasy leżą dla niego już poza widnokreśmieniem pamięci i wiedzy. Taki też powód i tego odniesienia Głęba do rzezczonego książęcia. Czas życia tego wieśniaka przypada niewątpliwie na rządy jeszcze Bolesława Krzywoustego i nietrudno tego dowieść. Wiemy na pewno o Kwiatku, że był wnukiem Głęba i że umarł w czwartym roku po napadzie Mongołów, a więc w r. 1245 — w bardzo już późnym wieku (*valde antiquus*). Powiada to opat Piotr, który i sam wtedy, kiedy to pisał, miał już jakie 60 lat. Skoro bowiem w roku fundacyi klasztoru t. j. 1227, był już księdzem, z lubiąskiego konwentu Cystersów przysłanym z kilku innymi do objęcia zarządu nad tym świeżo powstałym klasztorem, więc rok jego urodzenia przypaść musiał co najmniej na sam początek XIII stulecia. A pisał ten swój pamiętnik między r. 1266 a 1269, w którym umarł. Ludziom młodym wydaje się nieraz i człowiek np. 60-letni już bardzo podeszłym starcem. Jeżeli jednak nasz autor, sam tak sędziwy, w taki się sposób o Kwiatku wyraził, to musiał tenże umierając liczyć około siedmdziesiątki. Jeżeli tak, to się urodził Kwiatek około r. 1175. Jego ojciec, nieznanany nam z imienia, być może że się nazywał Konkoder, niechby w czasie narodzenia Kwiatka był miał lat około 30, to się urodził w roku w przybliżeniu biorąc 1145. Tego zaś ojciec (Głęb), jeżelibyśmy nawet przypuścili, że już w swym 25 roku chrzciny synowi swemu wyprawiał, rodzić się musiał co najpóźniej około r. 1120. Tak więc najlepszą część życia było dano Głębowi spędzić za rządów jeszcze Bolesława Krzywoustego. I jeżeli Głęb dopiero, a nie jaki

źnie pasterskie. Wykarczował sobie spory w nim kawał gruntu, jednakże nie na pole pod siew, ale na łąkę, i nazywała się ta parcela wtedy Wielaląka (p. 40). Przy tej zatem Wielejłace musiała leżeć gdzieś siedziba ówczesna Głaba i jego rodziny — Głabowice w ścisłym znaczeniu. — Po zgonie ojca gospodarzyli na temże miejscu czas jakiś jego synowie, a po nich wnuki; potem jednak nastąpiły przykre dla nas okoliczności. Dokuczał im niepomiernie jakiś możnowładny sąsiad. Kwiatek tego już nie pamiętał, jak on się zwał — miał to być »dziad niejakiego Mojka« (str. 41). Opresy tego napastnika nie chcąc znosić dłużej ci ludzie, wynieśli się z ruchomościami swemi, a pewnie i z budynkami z tej okolicy¹⁾, i pod przewodnictwem Kwiatka poszukali sobie siedziby w pobliżu gdzieindziej, założyli ową osadę, której położenie i nazwa już nam są znane. To przesiedlenie, o ile z opowiadania wnosić możemy, odbyło się zupełnie samowolnie, a bez niczyjego zaprzeczenia im prawa do tego. Przynajmniej nie wzmiankuje nic o tem księga, żeby czy to na porzucenie dawnej siedziby, czy na założenie nowej, było od księcia lub od kogokolwiek innego zezwolenie potrzebne i otrzymane²⁾. — Opustoszałe w ten sposób miejsce (fakt ten

już przodek jego tegosamego imienia był pierwszym posiadaczem owego lasu, to go chyba dostał od tego monarchy albo od jego syna Władysława Wygnańca (więc przed 1146), a nie od Bolesława Wysokiego, który dopiero r. 1163 wstąpił na tron.

¹⁾ Że w owym czasie było zwyczajem skutecznie takie przenosiny wraz z budynkami, opowiada nasza księga z okazji innego zajścia, zdarzonego w r. 1305, na str. 102.

²⁾ Ostrzec tu muszę jednakże czytelnika, że jeżeli powiadam, iż to »sąsiad« Głabowiców ciemniżył, to tylko z mego domysłu. Księga bardzo lakonicznie się o tem wyraża. *Postmodum vero heredes ejusdem rustici, ab avo cujusdam Moykonis in illo loco oppressi, transtulerunt se ad montem, ubi nunc pomerium juxta curiam claustrum consistit.* To już wszystko. Byćby więc mogło, że stosunek Głabowiców do tego ciemniżcy był całkiem inny, że to był *comes* nad owym powiatem: a w takim razie wzmianka niniejsza pod wzglę-

mógł zająć w ostatnich 10 lub 20 latach XII stulecia) stało przez czas długi pustkowiem. Między rokiem 1215 a 1220 zajął je za zezwoleniem Henryka Brodatego jako niczyją własność kanclerz książęcy Mikołaj i wcielił je do swojej, już wtedy skommasowanej wsi, w której w r. 1227 osadził Cystersów. — Dopóki żył ten fundator klasztoru, nikt nie śmiał ani jemu ani zakonnikom zaprzeczać prawa do Głębowa, bo to był człowiek potężny. Ale już w kilka miesięcy po dokonanej fundacyi zakończył kanclerz Mikołaj życie. — Mieszkał wtedy w pobliżu, o dobrą milę od Henrykowa, pewien rycerz (*miles*), Stefan zwany Kobyla-głowa, a to od wsi tego nazwiska, którą posiadał. Pożądliwym on okiem nie od dzisiaj spoglądał na ten las, posiadany przez mnichów, i tylko czyhał na sposobność, żeby go sobie przywłaszczyć. Ta sposobność się nadarzyła z śmiercią kanclerza. Cóż tedy robi nasz Stefan? Podbechtuje osiadłych tuż przy jego Kobylej-głowie »dziedziców« cienkowickich (*heredes de Cenkowitz*), którzy się zwali Piro-szewice, a to od dziada swego Piro-sza, a żeby ten las jako dziedziczną swoją własność odebrali Cystersom. Jakoż już w roku następnym (1228) występuje przed księciem Henrykiem Brodatym cała ta rodzina gromadnie, i »jako własni książęcy *rustici*, a i bogaci i dziedzicami cienkowickimi będący«, zagadują go temi słowy: »Książę panie (*domine duax*)! Ten las został nam wy-darty przez prepotencyą księdza Mikołaja, twego pi-sarza! Myto jesteśmy, którzy dziedzicznym prawem powinniśmy, *si est gratia tua*, odzyskać tę naszą własność! Bo stary Głęb był brat rodzony Piro-sza, a Piro-sz był naszym dziadem«. — Twierdzenie to albo musiało być (co do braterstwa Piro-sza z Głębem) kłamliwe, albo

dem społeczno-historycznym miałyby nierównie więcej znaczenia. — Kto zaś był ten „*quidam Moyko*“? — Za Henryka Brodatego piastował jakiś „*comes Moyco*“ kasztelanię głogowską (»Lib. fund. dokum. z r. 1239, nr. VI). Może to ten?

nieuzasadnione — nieuzasadnione o tyle, że skoro Głęb, a nie brat jego Pirosz, został obdarzony tym lasem, zatem nie Piroszewicowie mogli uchodzić za spadkobierców po Głębie, lecz Głębowicowie kwiatkowiccy tuż przy Henrykowie osiadli, którzy wszelako weale wtedy nie dbali o ten swój spadek. — Książę jednak, jak sam później rzecz tę przedstawia w dokumencie odnośnym (*L. f.*, nr. III na str. 150), dał się otumanić obcesową tą reklamacją. Uwierzył Piroszewicom »jako swoim własnym rustikom¹⁾, i oświadczył, że las ów jako nieprawnie posiadany klasztorowi odbiera i przyznaje go prawym Głęba potomkom. — Na to tylko czekał Kobyla-głowa. Staje przed księciem i przyprowadza mu cudnego rumaka, wartującego dobrze jakie 28 grzywien srebra. Książę uradowany tym darem, »żąda odemnie, zawołał, czego chcesz, a niczego ci nie odmówię«. Na to Stefan: »O panie! Ty wiesz, że ci zawsze chętnie służę, ale mam posiadłość szczupłą! Gdybyś ten las, który teraz przeszedł w twoje ręce, mnie podarował, toż dopiero zacząłbym ci wybornie służyć!« (Zdaje się, że równocześnie otworzył też oczy księciu na to, że uroszczenia Piroszewiców nie miały żadnej prawnej podstawy). Zaczem książę przyzwał przed siebie owych wieśniaków i oświadczył im bez ogródek, że las nie im, ale Kobylej-głowie daje. — Pomijam dalsze dość szczegółowe opowiadanie o kolejach, jakie przechodziła ta sprawa. Poprzestaną na naznaczeniu, że ostatecznie zakończyła się po słusności. Z jednej bowiem strony klasztor nie mógł przeboleć swej krzy-

¹⁾ Zwracam tu czytelnika uwagę na to dwa razy na str. 42 powtarzające się, z widocznym przyciskiem powiedziane *rustici proprii ducis*. Ten ich do księcia stosunek ośmielał ich do reklamacji, w tak śmiałych słowach wyrzeczonej. Ten stosunek zjednał im u księcia wiarę... Autor niezaprzeczenie podnosi przez ten epitet *proprii*, położenie społeczne tych ludzi, a nie żeby ich zniżał na coś gorszego, na poddańców książęcych, jakby się to zdawać dziś mogło ze znaczenia tego wyrazu *proprius*.

wdy. Z drugiej strony nie miał i Stefan pożytku z tej darowizny. Jeżeli ów las miał przynosić jakie korzyści, to trzeba się było w nim rozgospodarzyć, zaludnić go siłą roboczą, a nasz *miles* nie miał na to potrzebnych środków, »bo biedny był«. Stał więc ów obszar przez lat kilka pustkowiec — szukano na niego kupca, lecz w owych czasach o takie rozlegi bezludne nikt nie dbał (p. 42). Skończyło się ostatecznie więc na tem, że za przyzwoleniem księcia w r. 1234 klasztor zwrócił Kobylej-głowie owe 28 grzywien za konia darowanego księciu i powrócił w posiadanie swej prawowitej własności, zwaną odtąd Bukowiną (str. 44). — Ale i na tem nie koniec! W przeszło 60 lat później, w r. 1296, pojawił się pewien tym razem już rzeczywisty potomek starego Głęba, jego praprawnuk w prostej linii, imieniem Mikołaj. Albowiem pradziadem tego Mikołaja, a synem Głęba był Konkoder, a Konkodra syn zwał się Michał, a ten był dziadem tegoto Mikołaja. Ten tedy człek, pomimo że był (jak to księga podnosi) ubogi i bez żadnych środków na prowadzenie procesu, i nie zważając ni na to, że w posiadaniu Bukowiny przez klasztor dawno zaszło przedawnienie, zaczął się przed urzędami odgrażać, że będzie przeciw klasztorowi dochodził praw do tej swej ojcowizny. Dla świętego spokoju i z uwagi, że lepsza słomiana zgoda, niż złoty proces, wypłacono reklamantowi tytułem odczepnego 2 grzywiny srebra i tą kwotą umorzono jego pretensye. Zezwolił wtedy dopiero ów wieśniak na wystawienie publicznego w kuryi książęcej dokumentu, mocą którego w swoim własnym i spadkobierców swoich imieniu zrzekł się praw wszelkich na przyszłość do niepokojenia Cystersów o tę posiadłość. (*Lib. fund.* str. 192, dyplom z r. 1296 nr. 42).

Po tem wszystkim niech mi się godzi zapytać, czy to może uchodzić za prawdę, że t. zw. *rustici ducis*, inaczej nazywani »dziedzicami«, nie byli niczem więcej, jak tylko dziedzicznymi ze swych gruntów czynnysz-

wnikami, a rzeczywistego prawa własności do swych dziedzictw nie posiadali? A cóż dopiero powiedzieć o owych innych w obiegu będących teoryach i hipotezach co do położenia społecznego ludzi tej klasy.

Żukowicowie. Do tychsamych dochodzimy wyników i wobec wszystkich innych, tej klasy ludzi dotyczących miejsce w tym pamiętniku klasztornym. Nie wszystkie wprawdzie mają tyle dla nas interesu, co tamten wywód, warto jednak i mniej ważne omówić choćby pokrótce.

Tak np. osada *Sucowiz* (Żukowice?), wspomniana tu na str. 16. Dziś ona już nie istnieje i niewiadomo, jak się zwała: Żukowice, Zuchowice czy Suchowice. Leżała właśnie w miejscu, gdzie zbudowano sam gmach klasztorny, kościół. W owych czasach, kiedy znany nam już kanclerz Mikołaj zaokrąglął swoje Henrykowo, stały Żukowice już pustką i to był powód, że przyłączył on za przyzwoleniem książęcem i tę miejscowość do swej wsi. Kiedyś dawno jednakże roila się i ta dziedzina ludnością. Siedzieli w niej wieśniacy, znówuż nazwani *rustici ducis*, i posiadali sporą przestrzeń ziemi (*bonam terrae quantitate*), a dwaj z nich, Krzepisz i »Such« (może Żuk? Zuch?), »górowali nad drugimi potencją«. Trzeba było, że właśnie ci dwaj przewodyrowie osady pokłócili się ze sobą. W bójce zabił jeden drugiego, tak iż zginęli obydwu. Po tem zajściu cała reszta osady rozpiezchła się (*dispersi sunt*) w różne strony. Zostało tylko niebo i ziemia. — A zatem, choć *rustici ducis*, nie byli to poddańcy przytwierdzeni do gleby. Poszli, gdzie im się podobało i nikt im tego nie bronil. Księga nie użyła tu wyrazu »zbiegli, uciekli«, owszem mówi o tem zdarzeniu jako o rzeczy powszedniej, codziennie praktykowanej.

Kończowicowie. Wspomnę jeszcze o Kończowie (str. 17). I tej osady niema już z dawien dawna. Nazywano tak »w starych czasach«, powiada nasz opat,

rozległy obszar leśny, w obrębie którego później (jeszcze w wieku pewnie XII) powstały aż 4 wsi: Skalica, Radzice, Witostowice i Jaworowo — wszystkie nie bardzo od Henrykowa odległe. Otóż nad tym całym kompleksem, *per multa nemora in circuitu et silvas*, panował (*dominabatur*) czasu swego stary *rusticus ducis* nazwiskiem Kolacz, i siedział w grodzie (*castellum*) po za rzeką Olawą. (Pytam się, czy ten Kolacz, rezydujący w grodzie i dominujący nad takim obszarem, wygląda na książęcego poddańca, na niewolnego człowieka). Zszedł z świata w bardzo późnej starości. — Za czasów kanclerstwa Mikołaja, późniejszego fundatora Cystersów, mieszkało jeszcze potomstwo Kolacza, oczywiście nie synowie jego, lecz generacye już dalsze, w rzeczonym grodzie, lecz wiodło im się już wtedy źle: zubożeli, podupadli, z dawnej własności też ziemskiej niewielka już wtedy ilość zostawała w ich rękach. A że kanclerz i tej części dawnej Kolaczowszczyzny potrzebował do zaokrąglenia swego majątku, więc bez wielkiego trudu, z ich dobrą wolą, dawszy im odpowiednie wynagrodzenie, eliminował ich z tego miejsca i przyłączył te grunta do Henrykowa¹⁾.

Bobolice. Do tejsamej klasy ludzi należeli i boboliccy dziedzice (*heredes de Bobolic*, str. 24). Wieś Bobolice leżała także gdzieś w pobliżu Henrykowa, obecnie ani śladu po niej. Siedziała tam cała gromada rodzin, złączonych z sobą rodowym węzłem (*cognatio*). W pierwszym roku panowania Henryka Pobożnego (1239—41) dopuściło się czterech z pomiędzy

¹⁾ Eliminacją zwie nasza księga to, co ten wyraz właściwie znaczy: spowodowanie kogo, żeby się przeniósł gdzieindziej, ale bez krzywdy, bez gwałtu i za odpowiednim wynagrodzeniem. Porównaj np. str. 37 i nast., fakt z r. 1254. Nazywają jednak źródła późniejsze eliminacją niekiedy i brutalne, nieprawe wywłaszczanie włościan. Jest to w takich razach eufemizm i tylko upomórzenie bezprawia, którego przykładów w wieku zwłaszcza XV nie brak.

tych krewnych: Przybysław, Wojsław, Boguchwał i Gostach — rozboju. Oskarżeni i przekonani o zbrodnię, zostali skazani na szubienicę. Na mocy prawa polskiego mogli się oni wprawdzie wykupić od śmierci karą pieniężną, ale cóż, kiedy nie mieli pieniędzy. Zatem zadecydował książę Henryk, żeby ich dziedzictwa wystawić na sprzedaż i ceną kupną tę karę pokryć. Najbliższe prawo do nabycia tych gruntów służyło krewnym skazańców; ci atoli oświadczyli, że nie mają ich za co kupić i że niech je sobie kupi, kto zechce. (Więc zrzekli się swego prawa). Wtedy sam książę namówił zwierzchność klasztorną, by te ziemie, tak blizkie Henrykowa nabyła. Tak się też stało, kupił klasztor tę część Bobolic za 19 grzywien sr.¹⁾ Tą kwotą zostali wykupieni owi zbrodniarze od śmierci. Dokument z roku 1239, wystawiony z okazji tego zdarzenia, dołączył autor księgi w autentycznym i całkowitem brzmieniu do niniejszego wywodu (str. 24 i nast.). — W niewielej jak 8 lat później, żal się zrobiło pozostałym dziedzicom bobolicckim, że taki ta rzecz wzięła obrót, i zapozwali Cystersów przed sądy o ten nabytek jakoby posiadany nieprawnie, albowiem oni mają bliższe prawo do niego, będąc braćmi owych skazańców. Rzecz przyszła przed sąd baronów — obronę zaczepionego zakonu wziął na siebie sam książę już wtedy panujący, Bolesław Łysy, zdawszy rezydencyę sądu przez tę chwilę komu innemu. Wygrał proces, ale tylko z tego tytułu, że wtedy, kiedy te grunta były wystawione na sprzedaż, boboliccy heresowie nie chcieli ich kupić, zatem za ich przyzwoleniem wszedł klasztor w ich po-

¹⁾ W owym czasie wartość lanu w tej okolicy, jak z różnych miejsc *Libri fundationis* wynika, wynosiła odpowiednio do dobroci gleby od 7 do 12 grzywien srebra. W najlepszym zatem razie część ta Bobolic kupiona wtedy za 19 grz. mogła trzymać dwa a najwięcej trzy lany.

siadanie. Dyplomata urzędowy na to wystawiony z r. 1247 także tu jest dołożony do tekstu (str. 26).

Następują tu następujące uwagi. 1. Gdyby owi czterej *heredes de Bobolic* byli mieli na swych gruntach (rzekomo prawno-prywatnie książęcych) tylko czynszową »osiadłość«, a nie istotnie dziedziczne prawo własności, a cóż dopiero, gdyby to byli niewolni poddańcy książęcy: w takim razie byłby książę zrobił krótki z nimi proceder i nie byłby potrzebował sam szukać kupca na grunta swoje, lecz byłby je skonfiskował i osadził kim innym. 2. Gdybyśmy sobie wystawiali, że to były grunta właściwie książęce i czynszowe, to klasztor nabywając takowe, byłby co do nich zajął takiesamo położenie względem księcia Henryka, w jakim aż dotąd zostawali dawniejsi posiadziciele. Tak się wszelako nie stało. Ta część Bobolic stanowiła w rękach klasztoru równie dobrą jego własność, jak wszystkie inne wsi do Henrykowa należne. A zatem i owi skazańcy byli prawdziwymi onych właścicielami. Żeby zaś było to skutkiem jakiejś może prerogatywy pozyskanej przy kupnie, o tem nie mówi dokument, a z pewnością nie pominięto by tego milczeniem. 3. Reklamacya podniesiona później przez »braci« owych szubieniczników nie byłaby mogła być przedmiotem rozpatrywania przed sądem baronów i to tak, że aż sam monarcha w roli tu adwokata wystąpił, gdyby strona pozywająca była należała do klasy ludzi w prywatno-prawnym sensie księciu podwładnych, a nieposiadających właściwego w pełnym sensie prawa własności. — Te wszystkie okoliczności tak biją w oczy, tak obalają całą teorię obiegową co do znaczenia »heresów«, że ażeby trudność obejść, chciano w tych bobolickich zbójach upatrywać szlachtę, a już co najmniej włódyków¹⁾. Na to jednak nie dostarcza nasza księga ani cienia dowodu. A to, że ich do klasy *heredes* zwanej zalicza, i cały przebieg

¹⁾ Dr. Piekosiński, Obrona hipotezy najazdu, str. 125.

wypadku, niemniej i ton w jakim to opowiedziane — dowodzi rzeczy przeciwnej. »Prawo bliższosci« w sprawach spadkowych, do którego się tu odwoływano, niczego nie dowodzi na korzyść tego wybiegu. Prawo bliższosci było tak dobrze prawem szlachcica albo wło- dyki, jak i prostego człowieka, jeżeli tylko był wol- nym i od nikogo w prywatno-prawnym sensie niezawisłym krajowcem. Widzieliśmy to na Piroszewicach, widzieliśmy na owym Mikołaju, potomku Głaba, który w r. 1296 niepokoił Cystersów o część Głabowic, a ni- żej ujrzymy i więcej takich przykładów.

Skalice. Ażeby na nie długo nie czekać, zróbmy już tutaj znajomość z dziedzicami skalickimi (*heredes de Skaliz*, str. 27 i nast.). — Nadmienilem gdzieś wyżej, że w obrębie owych borów i lasów, nad któ- rymi stary Kołacz niegdyś »panował«, a zwały się Kołaczowo, stanęły w dalszych po nich pokoleniach aż cztery osobne wioski: Witostowice, Jaworowo, Skalica (może raczej Skalice) i Radzice (sr. 17). Co do Wito- stowic tyle tylko wynika z tej księgi, że tę nazwę pó- źniej zmieniono na Jansdorf (str. 145). Jaworowo, miej- scami zwane Jaworowice, dziś podobno Jaurowitz, było w środku XIII w. książęcym folwarkiem (*praedium*) i obejmowało 16 małych łąnów gruntu (str. 32 i 36). Wieś Radzice była ojcowizną »dziedziców« i poznamy się z nimi niżej. Do tejże kategorii »dziedzin« nale- żały i Skalice, o których tu mówić mamy, nazy- wane w księdze Skaliz, w dokumentach z środka XIV w. już przechrzczone na Stein, a później nie wiem dlaczego na Reumen (pod Münsterbergiem). W owych latach, kiedy Henrykowo było jeszcze zwy- kłą wioską z prostym parafialnym kościołem, żył przy tym kościele jako pleban ksiądz — i ten imieniem Mi- kołaj, rodem ze Skalic. Posiadał on tam w Skalicach wespół z bratem swoim rodzonym Stefanem dziedzic- znym prawem spory kawał ($\frac{1}{3}$) skalickiego obszaru, podczas gdy reszta gruntów należała do jakiej może

piętnastki osobnych rodzin, które i pomiędzy sobą i z tymi dwoma braćmi były rodowo spokrewnione (str. 30). Na pytanie, które się tu samo nastęrcza: czy te rodziny pochodziły z pokolenia pierwotnego właściciela tych dóbr, t. j. Kołacza? księga nasza nie daje odpowiedzi. — Całe terytoryum skalickie, jak się to niżej okaże, mogło trzymać około 25 łanów. Trzecia część tej przestrzeni, a więc jakie 8 włók, należała do rzeczonych dwóch braci; pomimo tego powodzenie ich majątkowe niedomagało. Pleban Mikołaj wprawdzie miał się jako tako, bo pobierał dziesięcinę z całej niegdyś Kołaczowszczyzny i z Henrykowa; ale Stefan, człowiek świecki, żył w biedzie (*rebus temporalibus valde modicus fuit*). Stan społeczny naszych braci określa dostatecznie stały im tu nadawany tytuł *heredes*. Żeby zaś komu nie przychodziło na myśl upatrywać w nich przecie szlachciców albo włodyków, nadmieniam już tu, choć to do późniejszych czasów należy, że potomkom tych ludzi ze Skalic służył w początku XIV wieku (wtedy dopiero zdarzają się częściej takie przy imionach osób dodatki) — tylko epitet *sławetny i roztropny* (*discretus, providus*), nie przystający jak wiadomo do innej klasy, jak do mieszczańskiej, a po za obrębem mieszczaństwa do tej właśnie warstwy, pomierny środek w społeczeństwie zajmującej. — Powstającą w r. 1227 w Henrykowie fundacyę kanclerza Mikołaja powitał nasz ksiądz Mikołaj z radością. Dziesięcina od wszystkich gruntów klasztornych spływała do jego stodoły. A ponieważż ziemski majątek tych zakonników, szczególnie w pierwszych czasach, rósł jak na drożdżach, więc i co do dziesięciny otwierały się przed naszym plebanem jak najpomyślniejsze widoki. Rzecz on tedy pewnego razu do brata Stefana: Prebenda moja od czasu przybycia tu mnichów tak tłuścieje, że zbiera mnie ochota darować moję schedę w Skalicach temu zakonowi na wieczną własność. Stefan częścią z nabożeństwa, częścią z rachuby, przystał na to po-

stanowienie brata, a nawet dodał do tej ofiary i coś ze swego. W takichto okolicznościach stały się własnością Cystersów dwie trzecie części gruntów posiadanych przez tych dwóch braci w Skalicach, mniej więcej 5½ łanów, a reszta tego dziedzictwa została przy Stefanie. Ofiara ta, po dokonaniu już rzeczy, została notyfikowana w r. 1233 księciu panującemu Henrykowi Brodatemu, bawiącemu podówczas w Niemczech; dokumentu na to jednak nie wystawiono, gdyż go klasztor wtedy nie żądał (str. 28). — Już w kilka dni po tem zdarzeniu spotkał naszych dobrodziejów klasztoru nieprzewidziany zawód i kłopot. Tak się bowiem rzeczy złożyły, że wizytujący właśnie swą dyecezyę biskup wrocławski Tomasz I, świeżo wtedy wyniesiony na tę katedrę i niebardzo obeznany ze stosunkami prowincyi (pono pochodził z Wielkopolski, z rodu Jelitów), zajrzał po drodze i do Henrykowa. A kiedy zakonnicy, jak to zawsze u nich było zwyczajem, zaczęli przed nim na swój wielki niedostatek wyrzekać i wygadali się z tem, że z swej chudoby uiszczają dziesięcinę swemu kapelanowi, przyzwał biskup księdza Mikołaja przed siebie, zgromił go zato, że śmie tak ubogi konwent obdzierać, i oświadczył, że od tej chwili musi to ustać. Biedny pleban zapomniał języka w gębie — nie odpowiedział na to nic. Ogołocony z dochodów, biedował tam tylko jeszcze dwa lata. Wreszcie zaniósł opatowi klucze od swej kaplicy, zrezygnował ze wszystkiego i poszedł w świat. Znalazł ostoję w Kamieńcu (dzisiejszy Camenz), gdzie wstąpił do zgromadzenia Kanoników reguły świętego Augustyna. — Ten obrót rzeczy oddziałał oczywiście niedobrze i na dolę siedzącego na swoich 2½ łankach w Skalicach brata plebanowego Stefana. Wyżyć mu z tej dziedzicznej parceli już było ciężko, walczył z losem przez parę lat — wreszcie zdecydował się sprzedać tę ziemię. Nabywcą — był znowu klasztor: dano mu za to 27 grzywien. To zaszło w r. 1239. Ale rządzący już wtedy konwentem

drugi z kolei opat, imieniem Bodo, uznał tym razem za potrzebne, postarać się tak na to kupno, jak i na dawniejszą darowiznę o urzędowy akt. Wyprawił więc do Oleśnicy, gdzie wtedy młody władca tej części Szląska, Henryk II, właśnie przebywał, zakonnika swego Piotra (późniejszy opat i autor naszego źródła), wraz z owym Stefanem do księcia, by tam wszystko, jak się odbyło, po formie i zwyczaju zeznali i »notyfikując« rzecz urzędownie, zatwierdzenie na to dostali. Relator nasz, jako świadek naoczny i główna działająca osoba, opowiada przebieg tej audyencji nie tylko z wszelkimi szczegółami, ale i dosłownie przytacza, co i jak tam przemawiali do księcia. Wynika z tego najniewątpliwiej, że nie chodziło im bynajmniej o to, by monarcha udzielił pozwolenie na tę alienację własności, ale żeby kupno już zapłacone i darowiznę od lat już w posiadanie klasztoru wziętą do wiadomości przyjął, w sensie publiczno-prawnym zatwierdził i dokumentem urzędowym na wieki wieków umocnił. Do czego się też Henryk bez żadnej trudności przychylił i »teżę godziny« kazał wystawić dyplom, włożony w to opowiadanie w całej swojej osnowie (str. 30).

Jeżeli z tem porównamy, jakiego zabiegów, jakich forteli, jakich protekcyi wysokich czasu swego trzeba było zażyć kanclerzowi Mikołajowi, kiedy się nosił z zamiarem swojej fundacyi, żeby w szczęśliwej godzinie, przy dobrym humorze i po sutej biesiadzie skłonić księcia i pana swego do zezwolenia na tę fundacyę i na wyposażenie jej dobrami, które posiadał, co wszystko jak najdokładniej w odnośnem miejscu opowiada nasza księga (str. 5 i nast.): to przyjdziemy do przeświadczenia, że prawo tych »sławetnych«, jak ich później tytułowano, dziedziców do swych drobnych »dziedzictw« chyba jeszcze było warowniejsze, aniżeli prawo do dóbr sobie nadanych takiego dostojnika i potentata i ulubieńca książęcego, jakim był pod ko-

niec życia fundator henrykowski. Lecz wróćmy do głównej materyi.

Pomimo że w przywileju co tylko tu wspomnianym z roku 1239 nie pominięto klauzuli, że alienacya tych gruntów w takich się dokonała okolicznościach, że raz na zawsze odjęte jest prawo krewnym pozbywców do odkupienia napowrót tej posiadłości: stało się jednak, że w 20 lat później, w r. 1259, syn jedynak owego Stefana, imieniem Jan, pokusił się o obalenie tego wszystkiego, co nieboszczyk ojciec i stryj jego zrobili. Tę reklamacyę swoją uzasadniał ten syn Stefana tym argumentem, że kiedy ojciec jego odprzedawał swój grunt Cystersom, on był maleńki (*parculus*), więc nie dał i nie mógł dać na tę sprzedaż przyzwolenia swego (str. 31). Zamiaru odebrania ojcowizny wprawdzie nie dopiął, albowiem, jak sama ta księga nadmienia, był to niezasobny i mały człowieczek (*exiguus et rebus modicus fuit*). Opat jednak, pomimo tego stanu rzeczy, uznał za rzecz najmędrszą, nie wywoływać wilka z lasu i bez wrzawy zgodnie sprawę zakończyć. Przydzielił rzeczonemu Janowi na wieczną dziedziczną własność dwie małe włoki k miece w innej wsi swego klasztoru, w lokowanym na prawie niemieckiem Schönwalde, jednakże zastrzegając w dokumencie odnośnym, że to są włoki wolne od czynszu i od wszelkich innych na rzecz klasztoru prestacyi¹⁾. Po takiej dopiero odprawie przyzwolił ów syn Stefana na umieszczenie w tym akcie klauzuli, że »w obec księcia i jego baronów, w swoim własnem i dziedziców swoich i współrodowych (*cognati*) swoich imieniu, zrzeka się wszelkiego prawa, jakie na dziedzictwie tem w Skalicach miał i mieć mógł« — formuła dosłownie tasama, jakiej szlachta używała alienując swe dobra. — Inne działki wsi Skalic, ale nie wszystkie, ponabywał

¹⁾ Dokument z r. 1259 p. 31 i nr. 14 na str. 101. Porówn. dokument z r. 1272 nr. 24 na str. 172.

klasztor od innych »dziedziców« z tej wsi przed rokiem i w roku 1250: dotyczący tego dyplom z tegosamego roku (nr. 9 na str. 156) podaje imiona tych pozbywców — było ich wszystkich dziewięciu. Ostatnie reszty skalickich gruntów zostawały w posiadaniu pierwotnych właścicieli jeszcze w początku XIV stulecia. Tak np. opiewa przywilej z r. 1310, oddrukowany tu pod nr. 59 na str. 210, że *vir discretus* Jaśko ze Skalic odprzedaje *provido viro* Raclawowi ze Skalic półtrzecia łąnu, z którychto łąnów jeden leży w Skalicach, a półtora w sąsiedztwie. W lat 11 później wyszła jednak i ta cząstka z posiadania Raclawa, co do której akt odnośny i o tem jeszcze nas powiadamia, że był to wolny łąn (str. 211, nota).

Radzice. Szczególnie pouczający jest rozdział, który traktuje o osadzie Radzice (pag. 97 i nast.) i o »dziedzicach radzickich«, nazwanych w dyplomie urzędowym i dziedzicznymi właścicielami (*hereditarii possessores praedictae villae*, str. 101), więc tak, jak tę klasę ludzi zowie bulla papieska dla Gniezna z r. 1136. Nadmieniałem o Radzicach już wyżej, że była to jedna z owych czterech wsi, które stanęły na pniu dawnej Kołaczowszczyzny. Wioska drobna (*villula*, str. 106 i n.) z arealem co najwyżej 13 łąnów. Dziś zwie się Rättsch, ćwierć mili od Henrykowa — kiedyś zapewne Radzice, w księdze bowiem przeróżnie tę nazwę kaleczą: Ratiz, Ratschitz, Rathschitz, nawet Raschici. Pierwotny posiadacz tej dziedziny, nienazwany z imienia (zapewne Rad), przypada życiem swoim jeszcze na wiek XII. Czy szedł z pokolenia Kołacza, czy z innego jakiego rodu, tego pytania źródło nasze nie wyjaśnia. Czterej jego synowie zwali się Gniewko Woda, Jan Rzeźnik, Czesko (Czesław) i »Supzi«, który pewnie najstarszy był między nimi (w dokumencie pewnym późniejszym wspomniano go pod imieniem Zupitus, str. 181); a żyli oni za panowania Henryka Brodatego i posiadali urządзик t. zw. komorników, t. j.

woźnych i poborców podatkowych, z którego to powodu uchodzili za dręczycieli ludzi biednych, którym się dawali w znaki¹⁾). Tak jak wszyscy razem wykonywali tę funkcję, tak też i w domu żyli w wspólności. Wszelako po jakimś czasie zażądał Supcy dla siebie osobnego działu i osobnego mieszkania. Więc wystąpił ze spółki z swoją jedną czwartą dziedzictwa, podczas gdy trzej inni bracia i nadal do samej śmierci zostali ze sobą w jednym domu, na jednym chlebie. Czas okazał, że te działy nie miały wyjść Supcemu na dobre. Kiedy bowiem niedługo potem zaszła ta okoliczność nieprzewidziana, że dwóch z owej trójki niepodzielnie żyjących braci zeszło bezdzietnie: zagarnął trzeci (Gniewko) całe trzy czwarte części dla siebie, a Supcy musiał poprzestawać na jednej czwartej. Takie bowiem było ustanowienie i prawo wspólności majątkowej. — Pod względem położenia towarzyskiego, wątpliwości nie podlega, że to byli tacy sami *rustici*, jak reszta omawianych powyżej osób. Wskazuje na to dawana im nie tylko w tekście księgi, ale i w dokumentach nazwa *heredes*. A stwierdzają to i uboczne okoliczności, np. sposób życia i jaką śmiercią pomarli. Tylko Supcy skończył zgonem odpowiednim swej urzędowej godności. Występując jako woźny przed sądem w Niemczy przy jakimś procesie, padł paraliżem ruszony. Inni poginęli marnie. Jan Rzeźnik z przeiębienia, którego się nabawił leżąc na przemokłej murawie, na pastwisku za dworzyszczem swoim, gdzie pasał konie. Czesko zginął na trąd. A i Gniewko Woda, który ich wszystkich przeżył, zakończył życie nagłą śmiercią w kuchni klasztoru henrykowskiego, gdy raz tam zaszedł i razem z czeladzią obiad w tej kuchni

¹⁾ L. f. p. 98: *Habebant officium in curia principis, quod erant camerarii et suis calumniis pauperes crebrius molestabant.*

spożywał (str. 98). Włodykę byliby przecie pewnie zaprosili zakonnicy do refektarza ¹⁾.

Już w następnej generacyi familia tych radziekich dziedziców niepomiernie była rozrodna. Po Supcym zostało pięciu synów; tyłuż ich splodził i Gniewko: pomijam ich imiona, lecz są w księdze podane. Do tej dziesiątki głów męskich doliczyć pewnie trzeba i jakąś gromadkę sióstr: więc wyżywienie tych ludzi, ile że niemal każdy z nich i sam był ożeniony i dietny, na szczupłej 13-ianowej wiosce, nie byłoby należało do łatwych zadań, gdyby im nie był przychodził w pomoc ów komornicki dochodzik.

W takich stosunkach dożyła ta rodzina roku 1290, w którym nastaly jeszcze gorsze czasy. Dnia 23 czerwea rzonego roku zszedł ze świata książę wrocławski Henryk IV Probus. Umarł nagle i bezpotomnie. Dobięło się spadku po nim trzech książąt: dwaj synowie Bolesława Łysego, Henryk V Tłusty i Bolko, jakkolwiek bracia rodzeni, jeden drugiemu wróg; oprócz tego i brat tychże stryjeczny, Henryk głogowski. Udało się wprawdzie Tłustemu zająć Wrocław już w sierpniu, ale bój dalej wrzał i dawało się przewidywać, że te rządy Henryka V nie będą trwałe, i że nieprzebierający w środkach brat jego Bolko, człowiek twardy dla podwładnych, dotąd pan tylko na Fürstenbergu, jeżeli nie całem księstwem wrocławskim, to jakąś jego częścią zawładnie. Jakoż już w październiku (1290) dobył się Bolko władzy nad tą właśnie dzielnicą Szląska, w której Henrykowo i Radzice są położone. Otóż w przewidywaniu zapewne takiego obrotu rzeczy, uznali ci dziedzice radzicy za rzecz potrzebną zabezpieczyć na

¹⁾ Że do funkcyi komorników i woźnych sądowych w dawnych wiekach przypuszczano pospolitych włościan (*rusticos*), jest rzeczą powszechnie wiadomą. Między innymi dostarcza na to dowodu nr. 33 Kod. WPol., odnoszący się do r. 1176 albo do najbliższych lat po nim.

każdy wypadek swą przyszłość, dopóki była pora po temu. Wyprawili jeszcze w sierpniu czterech członków rodziny, dwóch synów Supcego i dwóch Gniewkowych, do Henryka V z prośbą o dokument, któryby stwierdzał ich dziedziczne prawo do Radzie. Krok ten uwieczony został pomyślnym skutkiem. Z uwagi, jak opiewa przywilej, że *nihil firmum nec stabile* na świecie, czego nie zawaruje *littera scripta*, na zeznaniu świadków oparta — wydano petentom stwierdzone powagą księcia i rycerstwa przytomnego na sądach świadectwo, że Radzie na mocy prawa dziedzicznego do nich należą. Odnośny dokument z dnia 25 sierpnia 1290 r. zachował się w autentyku i z nienaruszoną pieczęcią, i mamy go w księdze jako nr. 34 na str. 181.

W niewiele tygodni potem przeszły rządy nad tą okolicą w ręce Bolka. Od tego je zaczął, że nakazał przeprowadzić rozgraniczenie między takimi posiadłościami, które miały uchodzić za jego stołowe dobra, a resztą wsi stanowiących jego *dominium* (w publiczno-prawnym znaczeniu). Przy tej regulacji stosunków okazała się istotna czy rzekoma »konieczność« zaliczenia Radzie do dóbr stołowych. W następstwie tego oświadczone naszym dziedzicom, że ich »eliminuje« książe z tej wsi¹⁾. Rozporządzenie to wprawdzie nie weszło w wykonanie w tej formie. Może w części zapobiegł temu ów świeżo otrzymany przywilej — może w większej jeszcze mierze uchroniło ich od tej krzywdy usilne ujęcie się za biedakami »wielu z pomiędzy rycerstwa«, którąto okoliczność księga jako główny powód podnosi; dość że o tyle złagodzone owo postanowienie, iż je zastąpiono żądaniem, »ażeby się nasi ludzie zobowiązali służyć księciu jednym koniem bo-

¹⁾ Co znaczyła eliminacya, objaśniłem wyżej na str. 211. Żadną miarą przeto nie można i tu rozumieć przez to prostego wywłaszczenia. Zawsze jednak niemila rzecz.

jowym i żeby na tych warunkach dziedzictwo swoje przyjęli z rąk jego jako *feudum*¹⁾.

Sens tego miejsca, sam przez się jak dla nas nie dość jasny, tłómaczę sobie tak: Zamiast tego, że aż dotąd rodzina ta wypełniała obowiązki około grodu książęcego służebne, komornicze, i w tej formie czy to w części czy może w całości wywieżywała się z tego, co inne wsi tej klasy ludzi rządowi świadczyły w zwykłych podatkowych protestacjach — zamiast tego nakazano im obecnie uiszczać natomiast służbę wojenną. Wszyscy razem, wspólnym kosztem, jednego zbrojnego jeźdźca na każde zawezwanie do boju mieli dostawiać, i pod tym tylko warunkiem zostawiono ich w posiadaniu swego dziedzictwa.

Było to zatem przymusowe przesunięcie tej wioski z szeregu wsi prestacyjnych do kategorii rycerskich, które książę Bolko, jak z tego miejsca wynika, nazywał »posiadanemi *in feudo*« czyli feudalnemi. Tu uprzedzić mi jednak czytelnika należy, że ten wyraz *feudum* ma w henrykowskiej księdze i drugie jeszcze znaczenie. W powyższem miejscu znaczy wieś obciążoną obowiązkiem służby wojennej. W dalszych ustępach niniejszego opowiadania, a nawet w dokumentach odnośnych, rozumieć trzeba przez *feudum* nie już grunt, ale i sam w sobie wojenny ten obowiązek. W tym drugim sensie znaczyło *feudum* zarówno *passivum* na pewnej wsi (więc obciążenie własności w odniesieniu do jej dziedzica), jak i prawo, więc *activum* na niej publiczne (w odniesieniu do panującego). I w biernem i w czynnem znaczeniu przedstawia w takim razie *feudum* pewną wartość, którą, jak to zaraz zobaczymy, można było przenieść (odce-

¹⁾ Lib. fund. p. 99: Tandem (res) ad hoc devenit, quod ipsi de praedicta hereditate obligaverunt se ad serviendum duci in uno dextrario et sic hereditatem praedictam in feudo de manu principis receperunt.

dować) i na trzecią osobę, jeśli tego wymagały okoliczności. Ale wróćmy do rzeczy.

Powyższe zarządzenie Bolka co do radzickich dziedziców wkładało na nich wprawdzie na razie może większy i kłopotliwszy niż dawniej ciężar; byłoby im jednak mogło z czasem i na korzyść posłużyć. Niewątpliwie wynikało bowiem z niego uprawnienie tej rodziny do przejścia po jakimś czasie w stan z zawodu rycerski, w stan włódyków. Do tego jednakże nie przyszło, a to z następujących powodów.

W orszaku Bolka znajdował się pewien rycerz, imieniem Rudger z Hugowie, względem którego od dość już dawnego czasu znajdował się książę w położeniu dłużnika. Chodziło o wynagrodzenie strat, poniesionych przez tego rycerza na pewnej postronnej wojnie ¹⁾, w którą się Bolko niefortunnie był wmięszał. Syn Rudgera dostał się tam w niewolę, postradał różne cenne przybory wojenne, a co z wszystkiego najgorsze, ubito pod nim konia takiej wartości, że sam książę Bolko przed wyruszeniem na tę wyprawę dawał mu za tego rumaka 80 grzywien srebra, lecz nie chciano go sprzedać. Te wszystkie dłużne pretensje zostały oszacowane na 100 grzywien srebra. Książę tę należność przyznawał, ale się z jej wypłaceniem nie kwapił. Obecnie przypominał mu to znowu Rudger. Otóż Bolko spłaca mu teraz ten dług, a spłaca go w taki sposób, że przelewa na tego rycerza owo swoje na Radzicach *activum* i jako ekwiwalent kwoty 100 grz. konferuje Rudgerowi i jego potomkom dziedzicznym prawem owo *feudum et servitium dextrarii* z tej wsi ¹⁾.

¹⁾ Podkreślam to słowo postronnej. Gdyby był te straty poniósł na wojnie w granicach kraju, nie byłby miał żadnego prawa do ich odszkodowania. Tamta wojna była prowadzona w Brandeburskiem.

²⁾ Lib. fund. str. 100: Dux feudum et servitium dextrarii de Radzie eidem Rudgero et omnibus suis posteris pro dam-

W następstwie tego wytworzył się teraz taki co do dziedziców radzickich stosunek, że wprawdzie właścicielami swej wsi pozostaną oni i nadal; nawet i dokumenta urzędowe, po tem już z ajściu spisane, nie szczędzą im nazwy *heredes*: ale *servitium dextrarii* będzie miał z nich już nie książę, lecz Rudger, który się właśnie przeto staje odtąd bezpośrednim onych zwierzchnikiem. Nazywa on siebie odtąd *hereditarius patronus* owej osady (str. 109, dokument); powiada przy innej sposobności, że *feudum villae Radzie* prawem kupna od księcia na niego i na jego *posteròs est devolutum* (str. 101, dokument). *Servitium dextrarii* w odniesieniu do tych włościan straciło też pewnie odtąd swoje dosłowne znaczenie; gdyż nie wątpić, że zaczęto je Rudgerowi uiszczać w pewnej stałej corocznej relucyi pieniężnej lub w naturaliach zbożowych, tak na wszystkie te jednostki odpowiednio do gruntów każdego wymierzonej i rozłożonej, że suma tej rocznej prestacyi, razem wzięta, równała się procentowi od kapitału 100 grzywien (jeżeli się obywało bez wyższych może jeszcze, nieprawych od nich z tego tytułu wymuszeń). Nie wątpić także, że i juryzdykcyja nad tymi ludźmi przeszła w ręce Rudgera; nie zapominajmy bowiem, że dzieje się to już w końcu XIII stulecia, między rokiem 1291 a 1293, gdzie sądy patrymonialne nawet i nad wolnymi włościanami w takich okolicznościach stawały się w Polsce i na Szląsku już panującą zasadą.

To nowe położenie oczywiście nie szło w smak naszym dziedzicom. Około r. 1305 było członków tej rodziny już całe mnóstwo. Z linii Supcego miał tam grunt, oprócz dwóch jego synów, jeszcze żyjących, i jeden wnuk tego dziada, imieniem Mikołaj. Obok pięciu synów Gniewka Wody, którzy także jeszcze wszyscy czerstwem się zdrowiem cieszyli, siedziało na gruncie

nis praedictis dedit jure proprietario et sic damna Rudgero, quae perceperat, resarcivit.

Nawet t. zw. prawo bliższosci w sprawach spadkowych służyło obydwom stanom zarówno, jakeśmy to wyżej widzieli. A zatem cała istotna różnica—w naturze obowiązków, przywiązanych do tego kawałka ziemi, jaki kto posiadał. Ci słacali te ciężary osobistym na każde zawołanie trudem i krwią — tamci pracą w pocie czoła na ojcowiznach swoich, t. j. częścią pewną owoców tej pracy i innemi usługami na rzecz sprawy publicznej. Osobą, której się to wszystko świadczyło, był książę, ale był nią jako monarcha kraju, a nie jako pan w prywatno-prawnem tego słowa znaczeniu. Zna wprowadzie księga nasza i takich ludzi, dla których panujący był panem w tem znaczeniu. Przy sposobności darowizny Cystersom henrykowskim folwarku Jaworowa w r. 1243, darował Bolesław Łysy i dwóch kołodziejów w tej wsi książęcej klasztorowi w dodatku¹⁾. W tych trzeba widzieć oczywiście niewolnych ludzi. Ale o tamtych nigdy się tak nie wyraża ta księga. A że ich w granicach okolicy stosunkowo tak szczupłej, i że ich tylu przywodzi, i tak gęsto osiadłych: w tem dowód, że stanowiła ta klasa nawet i wtedy jeszcze rdzeń zaludnienia, najliczniejszy żywioł w składzie społeczeństwa szląskiego. To że tu mowa jedynie o Szląsku, to że *Liber foundationis* układano dopiero w połowie XIII stulecia, nie może osłabiać znaczenia tego świadectwa. Szląsk wtedy nie różnił się jeszcze od reszty Polski. Stosunki opisane w tej księdze w znacznej części sięgają aż w wiek XII. A jeżeli oprócz tego zważymy, że dola naszej wolnej ludności krok za krokiem pogorszała się w całym kraju w owych czasach, kiedy tę księgę pisano; jeżeli uwzględnimy, że pod koniec tego właśnie XIII wieku zaczęła znikać z widowni ta klasa jako odrębna: to z całym spokojem

¹⁾ *Dedimus etiam eidem clastro duos charpentarios ejusdem villae, Dobrossam cum suo fratre* — słowa księcia Bolesława w dokumencie z r. 1243 na str. 34.

godzi się twierdzić, że stan rzeczy tu przedstawiony nie tylko i dawniej istniał, ale nawet miał w wiekach poprzednich silniejszą konsystencyę, niż teraz, gdzie w nim tacy Łykowie z Ciepłej-wody i Rudgerowie z Hugowic nieobojętne wyłamywali już szczyby.

Chodzi mi teraz o wydobyć na jaw właściwej nazwy tej klasy. Nasza księga ma na to kilka określeń, które choć różne, w danych miejscach jednak to samo znaczą: *heredes, possessores hereditarii, mediocres, rustici ducis, proprii rustici ducis*. W innych źródłach przybywa do tego jeszcze cały szereg innych nomenklatur: *agricolae, homines, simplices, pauperes, ingenui, incolae, terrigenae, liberi* i t. d. Każdy z wyrazów tych miewa jednak tak w henrykowskiej księdze, jak i gdzieindziej, niejednostajne znaczenia. A z tego zamętu nazwań, zdaniem mojem, to jedno tylko wynika, że co najmniej aż do końca XII stulecia żadnej stałej nazwy odrębnej dla tej warstwy ludu nie było. I rzecz to całkiem naturalna. Ta klasa wolnych stanowiła rdzeń społeczeństwa. Z niej się składał cały ogół pierwotnych mieszkańców kraju. Obok niej, w swoim czasie, nie istniały żadne inne prawnie odosobnione odcienie ludu. W ogólności, wszędzie i po wszystkie czasy, nadają się nazwy rzeczom wtedy dopiero, kiedy z konieczności chodzi o odróżnienie ich od czegoś drugiego. Pierwotna tubylecza ludność miała wprawdzie świadomość swej odrębności od cudzoziemców, których zwała niemymi, a siebie ludźmi, ludem, narodem. Określała też swą osobność w ten lub ów sposób wobec pobratymczych sąsiadów. Ale wewnętrzny społeczny ustrój nie dawał jej do tego powodu, żeby sobie nadawała jakie nazwisko. Jej położenie, jedno i równe dla wszystkich (choć przez to nie rozumiem równości w sensie np. Lelewela albo Maciejowskiego), nie potrzebowało nazwiska. Dopiero w dalszym rozroku stosunków zaczęły się w łonie tej jednoty wyosobniać prawne różnice. Od tej chwili, te egzystencye nowe,

każda od razu z swą nazwą, pociągały za sobą potrzebę odrębnej nazwy i dla owego tła społeczeństwa, na którym tamte się pojawiały. A że te nazwy dla narodowego ogółu dobierano każdorazowo wedle tego jedynie, co właśnie wyrażało miano owej świeżo zjawionej odrębności, więc stądto taka ich mnogość i różność. Tak np. w przeciwstawieniu do świeżo wytwarzającego się stanu *militum* — nie wchodzę w to, czy ich na razie zwano rycerstwem, włódkami, wojami czy jak: przedstawiali się tamci jako rolnicy (*agricolae aratores* i t. p.). Wojowie w swym domu byli gościem przebywali w obozach — tamci tworzyli zwartą, stałą ludność sielską: więc byli to wieśniacy (*rustici*), włościanie. Wojowie tworzyli przednią i zamężniejszą w narodzie warstwę: więc się mówiło o tamtych jako o średnich, o prostych (*mediocres, simplices*). Od czasu napływu do kraju „łazęgów” czyli hospitów, którzy także osiadali na gruntach, lecz nie na własnych, ani na dziedzicznych: było w oczy jako znamię tamtych, odwieczne posiadanie swych dziedzin, i stąd nazwa *heredes, possessores hereditarii, terrigenae*. Kiedy nakoniec do tego przyszło, że powstał w społeczeństwie naszym ów prąd ku temu dążący, by różnice egzystencyjne nie dość wybitne, a dla wielu niedogodne zacierać: kiedy się zaczął, powtarzam, prąd nieuznawania w narodzie innych różnic, jak tylko z jednej strony rycerstwa (i duchowieństwa), a z drugiej ludu, i zaczęto w to pojęcie „ludu” wtlaczać tak dotychczasową niewolną ludność wraz z hospitantami, jak i tych z pomiędzy „dziedziców”, którzy czyto z braku chęci, czy z braku środków na to potrzebnych a niełatwych do nabycia, nie przyjęli na się, dopóki była pora po temu, zobowiązań rycerskich, i woleli po dawnemu, w miłym spokoju, bez krwi rozlewu *paterna rura colere* — od tej pory nastaje u nas dla tych ostatnich nazwa wolni, *liberi*. Przypada prądowi tego początek na wiek XIII i w tym też czasie dopiero spo-

tykamy się w dokumentach z tą nazwą *liberi*. Właśnie walka o zachowanie im tej wolności — nie z ich strony walka, bo nie mieli oni wtedy już siły po temu, lecz walka o nich, ze strony panujących książąt, ku temu zmierzająca, żeby im prerogatywę osobistej niezawisłości nawet w takich włościach zachować, które kościołowi lub rycerstwu były nadane — przeciwnie zaś ze strony hierarchii i rycerstwa walka z wytrwałością, godną lepszego celu, ku temu wyciężona, żeby i ten odcień włościństwa porówno z innymi pod własną ręką wziąć juryzdykcyę, a potem i dalsze z tego następowania krok za krokiem na swoją wyzyskać korzyść, — właśnie ta walka powtarzam wydobyła na jaw tę ich znamiennej od askryptów i od hospitów różnicę: wolność. Napór ten lat kilkadziesiąt trwający zakończył się niestety, jak wszystkie inne w naszym kraju między uprzywilejowanymi stanami a naczelną władzą prowadzone zatargi, zwycięstwem pierwszych. Wynikiem jego to było, że z wolnych dotąd »dziedziców« wytwarza się w dobrach kościoła i szlachty stan kmieci, więc już p o d d a n i (*subditi*) panów swoich, choć na razie z pewnemi jeszcze atrybucyami, które im wśród reszty gminu wiejskiego nadawały pewne piętno odrębne. Upadek ten wolnych włości w dobrach prywatnych nie mógł nie oddziaływać z czasem i na dolę tejże warstwy w dobrach rządowych. Zarząd domen książęcych spoczywał w rękach starostów, z tejsamej wybieranych klasy, która u siebie tamtę przeparała reformę. Postarali się oni o to, żeby kontrast położenia tych ludzi w obrębie starostw nie odbijał zbyt jaskrawie od doli kmieci gdzieindziej.

Teorye upatrujące w ludzkie wolnym już od najpierwszej doby dziejowej coś tylko względnie lepszego nad pospolitych niewolników rządowych, głównie na tem się opierają, że ich źródła zowią *homines ducales*, *rustici ducis* i t. p., a panującemu względnie do jednostek tej klasy dają miano pana, *dominus*.

Nie przeczę, że z dzisiejszego stanowiska rzecz biorąc, można takie wyrażenia w tym sensie rozumieć. Lecz czy miały one i wtedy takie znaczenie? W kronice Galla (*Monum. Pol.* I str. 396 i nast.) występuje Piast pod nazwą rolnika książęcego (*arator ducis*), a Popiel figuruje jako *suus dominus*. I ten *dominus*, ten pan wyniosły, zaproszony przez swojego rataja na ucztę, zstępuje do jego przedmiejskiej chaty wraz z całym orszakiem swych dostojników. Daje się gościć i raczyć, czem ta chata bogata. A po upadku tego tyrana sady wola całego narodu syna owego rzekomo poddańca książęcego na tronie! Pytam się, czy autor kroniki, dla tego że Piasta nazwał *arator ducis*, mógł w nim upatrywać niewolnego człowieka? Widział w nim wprawdzie w porównaniu z dworem książęcym biedaka (*pauperculus*), rolnika (*agricola*), ubogiego gazdę (*rusticus pauper*). Ale za książęcą własność ani Gallus ani odwieczna tradycya nie poczytywała go nigdy. W innym miejscu (str. 408) sławi też kronika Bolesława Chrobrego zato, że się z swymi wieśniakami nie jak pan, lecz jak ojciec obchodził. *Suos quoque rusticos non ut dominus in angariam coërcebat, sed ut pius pater quiete eos vivere permillebat*. Ani to *suos* przy wyrazie *rusticos*, ani też słowo *dominus* zdaniem mojem niczego nie dowodzi na korzyść wniosków, jakie stąd wyciągano. Kilka tylko wierszy dalej, na tejże stronicy, znajduje się takie oto miejsce: *Duces vero suosque comites ac principes acsi fratres vel filios diligebat eosque salca reverentia sicut sapiens dominus honorabat*. Jeżeli tu samo czoło społeczeństwa, *comites* i *principes*, nazwani *sui*, bez żadnej ujmy dla siebie: toć i tamtych tensam zaimek nie piętnuje na niewolników. A to słowo *dominus* widzimy zarówno tu użyte w odniesieniu do jednych i do drugich. Co tu wypisuję z Galla, znajdujemy w niezliczonych miejscach i w archiwalnych za- bytkach, tak bliskoczesnych temu kronikarzowi, jak dalszych. Gdzie tylko spojrzeć, spostrzeżemy przy wy-

razach *comites, barones, milites, nobiles* i t. d. določone *mei, nostri*, a *ejus* albo *sui*, gdzie mowa o księciu w trzeciej osobie: a więc *mei comites, barones mei* lub *nostri, coram nobis et nostris nobilibus, coram duce et nobilibus suis* i t. d. Fundator klasztoru miechowskiego, pan z panów i jeden z pierwszych magnatów za panowania synów Bol. Krzywoustego, słowem ów Jaksa, w którym niektórzy chcą upatrywać jakiegoś księcia z za Odry, chociaż to bajka — kiedy stanie w obec Bol. Kędzierzawego, to przemawia do niego nie tylko jako do »pana«, ale do »swojego pana« (*ducem Boleslaum dominum suum familiariter adiit* i t. d. w dokumencie z r. 1198, *Kod. MPol.* nr. 375). Takiesame określenia książąt i w stosunku do duchowieństwa, do opatów i do biskupów. Ów opat polski, międzyrzecki czy trzemeszyński, imieniem Tuni za Bolesława Chrobrego, którego ten król nieraz w poselstwie do cesarza wyprawiał w czasie swej wojny z Niemcami, nie występuje we współczesnej Dithmarowskiej kronice prawie nigdy inaczej, jak z tymże zaimkiem: *abbatem suum Tuni nomine ad caesarem mittit...*, *post hoc abbatem suum Tuni ad nostrum imperatorem mittit...*, a Chrobry względem niego jest *eius dominus*. (*Monum. Pol.* I. 300, 318 i t. d.). Zaszczytną dla tych wszystkich dostojników duchownych w ustach książąt intytulacją było *capellanus*, choć w dosłownym sensie brać tego nie należy, boć z nich żaden kapelanem książęcym nie był; zaimka *meus, noster* i t. p. nigdy im przy tym tytule nie braknie i to przez ciąg całej Piastowskiej epoki. *Capellani mei de Sulejów*, mówi w r. 1178 Kazimierz Sprawiedliwy o Cystersach tego klasztoru (*Kod. MPol.* nr. 1). *Religiosus et discretus dominus Petrus, abbas de Wąchocko, noster specialis capellanus*, wyraża się Władysław Łokietek w r. 1318 o tym przełożonym zakonu (*Kod. kat. kr.* nr. 120). O biskupie krakowskim powiada tenże Władysław w r. 1320, jeszcze przed swoją koronacją: *sedebat circa me* (na wiecu) *episcopus capellanus meus Johannes Mu-*

scata (*ibid.* nr. 121). Biskupa poznańskiego Jana V obdarza regentka państwa Elżbieta w r. 1372 tym samym tytułem (*capellanus noster specialis*), a kilkanaście lat rychlej, w r. 1358, brat jej Kazimierz W. nazwał sam siebie panem (*dominus feudali ratione*) tegoż biskupa (*Kod. W. Pol.* nr. 1663 i 1369). Podobne wyrażenia nawet i w stosunku do instytucyi, do kościołów, biskupstw i opactw. Tynieckie, w przywileju Bolesława Wstydl. z r. 1234, aż 3 razy nazwane *nostrum monasterium*, a Leszek Czarny w r. 1288 mieni siebie *heres verus et dominus specialis* tejże fundacyi (*Kod. Tyn.* nr. 17 i 36). Jego brat Władysław Łokietek, książę wtedy sieradzki, użył o sobie tejże nazwy odnośnie do kościoła w Pajęcznie (*dominus et patronus ecclesiae*, *Kod. Rzyszcz.* II nr. 154 z r. 1295). Klasztor lubiąskich Cystersów poczytuje w r. 1201 książę szląski Bolesław za swoje *coenobium* (Büsching p. 27). A i Mieszko Stary w takiż sposób swój stosunek pojmuje względem opactwa w Mogilnie (zawezwałem przed siebie opata tego mego klasztoru, zapytując itd. nr. 33 *Kod. W. Pol.*). O księciu Bolesławie Wysokim możnaby wprawdzie rozumieć, że ponieważ był założycielem lubiąskiego opactwa, z tego tedy tytułu mógł je za swoje uważać. Lecz ani Mieszko Stary nie fundował mogilnickich Benedyktynów, ani Bolesław Wstydl., a tem mniej Leszek Czarny, nie położyli zasługi tej względem Tyńca, ani wreszcie kościół w Pajęcznie nie zawdzięczał Łokietkowi swego początku, bo istniał on tam jakie dwa wieki już przed nim. Cały przeto powód tego niby-właścicielstwa na tem polegał, że te instytucye kościelne leżały w obrębie kraju tych książąt. Jeżeli rozbierane tu powiedzenia nie ubliżały ni fundacyom ni osobom, których to dotyczyło: to w tymże sensie brać należy te wyrażenia i w stosunku do klasy ludu, którą się zajmujemy.

Ale pójść możemy i dalej jeszcze. W jednym z nadań księżnej Kunegundy sandeckich, w dokumencie

z r. 1268, wystawionym dla niejakiego Pysza, sołtysa dwóch mających prawo niemieckie otrzymać wiosek, czytamy następujący ustęp (*Kod. M. Pol.* nr. 475): *Item scollatus de quolibet laneo suorum hominum marcam argenti (mihi) solvere non obmittat.* Z całego kontekstu wynika najniewątpliwiej, że stosuje to owa księżna nie do sołeckich łąnów, ale do łąnów swoich, do gruntów po za sołectwem, i do osadników, którzy na całym wsi owych areale osiedlą. Od każdego z tych osadników będzie sołtys ściągał po grzywnie czynszu — dla księżnej. Ona więc panią wsi i ludzi, a nie ów sołtys. I skądinąd także wiadomo, że osadnicy po wsiach takich zatrzymywali samoistność gospodarską, a cóż dopiero osobistą swoją wolność nawet w obec pana osady, a cóż dopiero sołtysa. I mimo tego wszystkiego widzimy tych ludzi tutaj, w dokumencie regulującym na całą dalszą przyszłość ich stosunek do rzeczonoego Pysza, nazwanymi sołtysimi, *sui homines*. Otóż przykład, jak giętkie i jak od dosłowności dalekie bywało wtedy znaczenie takich wyrażzeń.

Nie wiemy wprawdzie, od jak dawnego czasu, lecz w każdym razie już za pierwszych naszych chrześcijańskich książąt zdarzały się takie wypadki, że monarcha darząc kogo posiadłościami ziemskimi, przydzielał mu nie same tylko czynszowe albo niewolnikami osadzone grunta, lecz i włości dziedziczne wolnej ludności. W początkach mogły zdarzenia takie być wyjątkowe: z czasem coraz bardziej w zwyczaj wchodziły. W razach takich nie była to oczywiście darowizna ludzi ani donacya ich dziedzictw, ale jedynie przelew, cesya pożytku, jaki aż dotąd miał z tych gruntów skarb publiczny, na tę trzecią osobę. Czy i prywatne osoby, rycerstwo, tak już wcześniej otrzymywało nadania tego rodzaju — na to źródła żadnej odpowiedzi nie dają ¹⁾.

¹⁾ Nie posiadamy z tej epoki ani jednego dokumentu, któryby dotyczył świeckiej osoby. Wszystkie tylko dla fundacyi kościelnych.

Ale że biskupstwa i w ogólności duchowne fundacye zaliczały od niepamiętnych czasów do swego uposażenia i takie źródła dochodu, uważam za rzecz udowodnioną. Dostarcza takich przykładów już protekeyjna bulla papieska dla kościoła gnieźnieńskiego z r. 1136, przedstawiająca stosunki sięgające aż w czasy założenia tego arcybiskupstwa. Otóż: od chwili takiego przejścia dziedziny wolnego dziedzica z pod książęcej kamery w stosunek do instytucyi kościelnej, zaczęto onę dziedzinę za kościelną uważać. Tak jak owi mieszkańcy wiosek pod Sączem w dokumencie co tylko wspomnianym występują pod nazwą »ludzi sołtysa« (*sui homines*): w tym samym sensie, a z pewnością z jeszcze lepszym do tego prawem, nazywa gnieźnieńska bulla z r. 1136 wszystkich dziedziców wsi opola żnińskiego »arcybiskupimi« (*hi omnes possessores... archiepiscopales sunt*), albo jak dalej, »do arcybiskupa należącymi« (*archiepiscopo pertinent*). Taksamo rzecz ta się miała i z dziedzictwami konferowanemi klasztorom, a następnie — prędzej czy później — i świeckim panom. Z tego wynikał w najprostszej konsekwencyi taki stan rzeczy, że cała reszta, cały ogół włościan, którzy w stosunek taki nie weszli, którzy po dawnemu bezpośrednio podlegali monarsze i jego grodowi, zwali się ludźmi książęcymi, *rustici ducis*.

Człowiek mówiący o sobie: »jestem *rusticus ducis*«, a z naciskiem »jestem *proprius rusticus ducis*«, nie tylko nie wygłaszał przez to swego poddaństwa, ale przeciwnie z chlubą o sobie to wypowiadał¹⁾. Dawał przez

¹⁾ Przypominam owo miejsce z henrykowskiej księgi, dotyczącej Piroszewiców (p. 42). »*Sed quia hi rustici erant proprii ducis et erant divites et erant heredes de Cienkowie, dixerunt ad ducem: Domine dux, haec silva est nobis per potentiam notarii tui violenter ablata! Nos tenemur eam possidere!*«. A kilka wierszy niżej: »*Quibus dux ut suis propriis rusticis credidit et dedit silvam eisdem rusticis*«. Otóż takie prawie zuchwale wystąpienie przed księciem owych włościan i tak skore uwierzenie ze strony księcia w pra-

to do rozumienia, że nikogo nie ma nad sobą, jak tylko wyobraziciela władzy publicznej, którego własnością w myśl pojęć tamtoczesnych był cały kraj, z wszystkimi wsiami bezpośrednio czy pośrednio do niego należącemi, gdyż miał swoją rękę na wszystkich. W tymsamym sensie mawiał od czasu zniesienia pańszczyzny, a miejscami i jeszcze mawia o sobie kmieć galicyjski, że jest człowiekiem cesarskim, cisarskij człowiek. Przez co nie wyraża nic więcej, jak tylko, że nie podlega żadnej władzy patrymonialnej, że zna nad sobą jedną tylko władzę rządową. W oczach jego jest to dogmat, co lat temu kilka młody sąsiedniego państwa monarcha w przemówieniu w Düsseldorfie wyrzekł o sobie: »Jeden tylko jest pan w kraju, a tym panem jestem ja« — słowa dumne, w ustach konstytucyjnego władcy, nie rozstrzygam czy słuszne, ale w kraju patryarchalnie rządonym, jakim wtedy była Polska, dosłownie prawdziwe.

wną słusność tego, co mu oni mówili, tłumaczy autor i usprawiedliwia jedynie tą właśnie okolicznością, że to byli *proprii ducales homines*. Widocznie chce temi słowami podnieść ich znaczenie, a nie poniżyć.





RUNY SŁOWIAŃSKIE I MIKORZYŃSKIE KAMIENIE.

drzewo, kruszec itp. nazwano je u Skandynawców runami; *runnen* bowiem w tamtych językach tyle znaczyło, co *ritzen* (ryć, dlubać). Razem z tą nazwą przejęły później o nich wiadomość i inne języki.

Mniemane runy *słowiańskie* kształtem swoim za ledwie się w pewnych literach różnią od skandynawskich¹⁾. Gdybyśmy tedy nawet przypuścili, że pismo to znane było Słowianom, to i w takim nawet razie uważaćbyśmy je musieli za osobliwość zagraniczną, żywcem przez nich zapożyczoną, i właśnie przeto za nadzwyczajność tylko wyjątkowo chyba tu i owdzie w Słowiańszczyźnie praktykowaną. Pojmowanie zaś rzeczy owej odwrotne, t. j. że Słowianie byli pierwotnymi run wynalazcami, Skandynawcy zaś od Słowian dopiero je otrzymali, widzi mi się wręcz niedorzecznem.

Wszystko, co dało powód do wiary w runy słowiańskie, daje się sprowadzić do następujących punktów. Odkryto w ciągu 150 lat ostatnich bardzo wiele przedmiotów starożytnych, opatrzonych runami, a jak mniemano, niewątpliwie słowiańskich i autentycznych. Oprócz tego dwaj dawni godni wszelkiej wiary pisarze, Diethmar i Chrabr, pozostawili świadectwa, z których to niby wynika.

Chrabr, zakonnik bułgarski, w pierwszej ćwiartce X wieku żyjący, w rozprawie swej „*O pismenech*“ (o literach), po starosłowiańsku pisanej, tak się w tym przedmiocie wyraził:

¹⁾ Można się o tem przekonać z zestawienia obydwóch rodzajów run, jakie dano w różnych pismach dotyczących tego przedmiotu, a najlepiej w rozprawie *Wawrz. Surowieckiego* „O charakterach pisma runicznego“, jako też w artykule *Wojciecha Cybulskiego* p. t. „Obecny stan nauki o Runach słowiańskich“, zamieszczonym w I tomie *Roczników Tow. Przyj. Nauk poznańskiego* (1860). Cybulski i Surowiecki pocztywali bowiem runy słowiańskie za własne pismo tego plemienia i różne od skandynawskich.

Przed wynalezieniem liter słowiańskich przez św. Cyrylla, »Słowianie ksiąg nie mieli, lecz kreskami i karbami («szrtami i rêzkami») *czytali* i wróżyli, dopóki byli w pogaństwie. Kiedy zostali ochrzczeni, próbowali pisać słowiańskie wyrazy literami rzymskimi i greckimi, co ich jednak tylko w błąd wprowadzało. Bo czyż to można wyrazić owem pismem nasze słowa dokładnie? Czyż np. następujące wyrazy: *bóg* (greckie β znaczyło w owym czasie już *w*), *żywot*, *dżêło* (= bardzo), *crkow*, *czajanie* (spodziewanie się), *szyrota* (szerokość), *jad*, *gdu* (skąd), *junost*, *język* i t. d. czyż to można należycie wyrazić literami greckimi? Przecież oświecił ich w tem sam Pan Bóg, skoro im zesłał Konstantyna »filozofa« (Cyrylla) i t. d.¹⁾

Mnie się wydaje, że to świadectwo Chrabra obraca się właśnie przeciwko wierze w runy u Słowian. Nie mieli ksiąg żadnych przed nawróceniem! Po nawróceniu uciekali się do liter łacińskich albo greckich, choć im się to wcale nie wiodło. — Byłoby to potrzebne, gdyby były znane i w używaniu tu runy słowiańskie? — Ale „*czytali*“ (czteachą) mówi nasz świadek, i to »rêzkami!« Otóż słowo *czisti* (czyść, czytać) znaczyło w ówczesnej mowie nie tylko *czytać*, ale i *liczyć* (stąd *czysło* = liczba). Więc po prostu rozumieć to należy tylko o karbach i kreskach jako o znakach, którymi sobie niepiśmienne te pokolenia ułatwiały liczenie, jak to i dziś jeszcze czynią gumienni nasi i owczarze czytać nie umiejący. O czytaniu i runach niema tu mowy. Z tego miejsca przeto na korzyść run nie wynika!

Drugi autor, znany niemiecki kronikarz, współczesny naszego Bolesława Chrobrego *Diethmar*, mówi

¹⁾ Zachowany fragment tego pisma Chrabra był kilka razy już drukowany; zamieszczony jest na samym końcu i w dziele *Památky drevního písemnictví Jihošlovanův*, wydanem przez *Szafarzyka* w Pradze r. 1851.

w pewnym miejscu swojej kroniki o bałwanach ustawionych w sławnej słowiańskiej świątyni w Retrze i powiada, że było na każdym z nich wyrzeźbione imię bożyszczu ¹⁾. To świadectwo na razie zdaje się, że wiele znaczy. Godzi się jednak zapytać, czy była to tak bardzo pewna wiadomość? Czy Diethmar, biskup niemiecki, był sam w wnętrzu owej świątyni i oglądał naocznie owe napisy? A jeżeli rzeczywiście je widział, skąd taka pewność, że te napisy były runiczne? Przecież tego on nie powiada. Wszakże działo się to już w XI wieku. W tych stosunkowo tak późnych czasach i zwykle litery mogły już być na posągach wyrte, zwłaszcza jeżeli je zdziałał jaki niesłowiański, bieglejszy w swej sztuce rzeźbiarz, któremu przypuszczenie wcale nie widzi mi się niepodobnym do prawdy. Diethmar Słowianom przecież skądinąd wcale nie przyznawał znajomości sztuki pisania. Wszakże w innem miejscu te same swojej kroniki, gdzie z rubaszością sobie właściwą prawi o nieśmiertelności duszy, wyraźnie dodał, że to mówi dla niepiśmiennych nieuków, a zwłaszcza Słowian („*illiteratis et maxime Sclavis*“, ks. I, rozdział 7).

A więc z Diethmarowego świadectwa taksamo nie wynika takiego, coby tę sprawę podnosiło ponad wszelką wątpliwość.

Gorzej daleko rzecz się przedstawi, jeżeli weźmiemy pod rozbiór odszukane dotąd pozytywne, naocznie niby rzeczy dowodząc mające zabytki owego pisma. Żaden z nich nie może być uważany za słowiański i zarazem za autentyczny, t. j. za nie sfałszowany.

Tu należą przedewszystkiem sławne owe wykopaliska *prylwickie* czyli t. zw. obotryckie bożyszczu, w których starożytność wierzą ciągle jeszcze wszyscy

¹⁾ *Mon. Pol.* I 278, księga VI, roz. 17: „*Stant dii manu facti, singulis nominibus insculptis*“.

nasi bez wyjątku badacze¹⁾. — Prócz tego należą tu runiczne napisy na *monetach i pieczętkach litewskich*, poczytane za słowiańskie przez Teodora Narbuta, który też pierwszy dał o nich wiedzieć. Choć nie pojmuję, dlaczego by były one miały słowiańskie, kiedy się znajdują na zabytkach znalezionych w obrębie innego ludu i kraju. — Następnie odgrywa tu wielką rolę napis runiczny „*Czernobog*“, odczytany na *lwie kamiennym*, postawionym przed katedralnym kościołem w mieście Bambergu w Bawaryi. Odkrycie to zrobił w r. 1835 poeta czeski Kollar, jedna z najbałamutniejszych głów, jakie tylko się kiedykolwiek archeologią trudniły. Rozgłosił je z taką wrzawą, że i Szafarzyk temu uwierzył. Przez kilkadziesiąt lat figurował odtąd ten napis, jako rzeczy dowodzący, we wszystkich dziełach o literaturach słowiańskich. Dopiero w r. 1852 przekonał się Cybulski, oglądając rzecz na miejscu, że żadnego zgoła napisu na lwie tym kamiennym niema. Okazało się bowiem wtedy, że to co Kollar poczytał za runy, były to szpary przypadkowe, szczyrby i napęknięcia powierzchni tego wyrobu, spowodowane częścią zębem czasu, częścią swywołą ulicznika może jakiego. — Podobnie na urojeniu jedynie polegało i to, co Andrzej Kucharski w r. 1829 popisał po gazetach o napisach przez siebie odczytanych na dwóch *hełmach styryjskich*, znajdujących się w cesarskim gabinecie starożytności w Wiedniu. Hełmy te od roku już 1812, w którym zostały wykopane z ziemi, przy karczowaniu lasu jakiegoś, między miastem Pettau a Radkersburg w Styrii, zajmowały archeologów niemieckich dla napisów, jakie miały na sobie. Różni różnie je czytali — sensu nikt dorozumieć się nie mógł. Wtem przybył do Wiednia odbywający właśnie naukową swoją podróż po Słowiańszczyźnie Kucharski, którego archeologiczna fantazja śmiało współubiegać się mogła z poetyczną do-

¹⁾ Mowa tu o stanie rzeczy w r. 1872.

myślnością Kollara. Zdecydował po niedługim namyśle, że to są runy słowiańskie. Odczytał je zaś w sposób następujący:

Sidaku, tu dli Jarmeisel, żupni pan Wapi

To miało znaczyć: Mularzu, tu leży Jaromyśl, żupny pan Wapi¹⁾.

Przypuszczał bowiem Kucharski, że napis ten wyryto na hełmie owym dopiero po śmierci jego właściciela, kiedy go już złożyć miano do grobu(!) A że (według wyobrażenia tych, którzy ten napis ryli) miał kiedyś w przyszłości chyba mularz jaki dobrać się do onego w głębi ziemi grobowca, więc dla tego tu zwrócona do mularza przemowa...

Napis drugiego hełmu połączył Kucharski z pierwszym, jako bezpośrednią kontynuację tej notaty o Jaromyślu(!) i czytał go tak:

Ejarifas i eie abil.

to jest: Ejaryfas go tu ubił...

Pomimo całej nedorzeczności tego pomysłu, jak skrawo tryskającej z każdej litery; pomimo tego, że pod językowym względem niemiłosiernie wszystko to było naciągnięte: i ta jednak nowa wiadomość o słowiańskiej piśmienności runicznej przeszła jako pewnik do wszystkich dzieł naukowych, nie wyjmując nawet dzieł skądinąd tak znakomitych, jak Lelewela i Wiszniewskiego. Wyśmiał ją dopiero Łepkowski w Bibliotece Warszawskiej około r. 1851, a jeszcze lepiej wykazał jej bezzasadność w r. 1860 w przytoczonym powyżej artykule swoim Cybulski²⁾.

Podobnej wartości było i inne jeszcze odkrycie

²⁾ Inni później inaczej odczytywali ten napis, np. zamiast *Sidaku, Zri Daku*, a zamiast *Wapi, w Api*.

¹⁾ Dowodniejsze badania późniejszych stwierdziły co do tych hełmów, że litery na nich etruskiego były pochodzenia. Znaczenie jednak napisów do dziś dnia niedocieczone.

Kucharskiego. W Toruniu w kościele św. Jana znajduje się *chrzcielnica z starożytnym napisem*.

I to także miały być runy słowiańskie, które nasz starożytnik tak odcyfrował.

Z dyaboly w lewo (?) Jesus Gospod chce zlewać ciebie wodą tą i żywot woda ta zdrowy podaje ludowi.

Ogłosił odczytanie to swoje w r. 1850 w Bibl. Warsz. jako »najdawniejszy zabytek polszczyzny«, bo z XI pochodzić mający wieku. Tymczasem chyba niewiadomo mu było, że jeszcze 1844 r. w Przyjacielu Ludu Dr. Ney udowodnił, że to zabytek znacznie późniejszy, z końca XIV najwcześniej datować mogący wieku, a zatem już chrześcijański; napis zaś bynajmniej nie jest runiczny, ale literami łacińskimi, charakterem swoim odpowiedniemi wiekowi.

W roku 1855 i 1856 nakoniec przybyły do tego wszystkiego jeszcze i *Mikorzyńskie kamienie*, wydobyte z ziemi w Mikorzynie w ostrzeszowskim powiecie w W. Ks. Poznańskim. I one także są pokryte pismem runicznym. — Sprawily wiele wrzawy w całym naszym świecie uczonym. Wywołały komentarze i roztrząsania, które przez długi czas zapełniały różne nasze pisma czasowe i spowodowały do zabierania głosu w tej sprawie nawet pierwsze powagi na tem polu literatury, między innymi także i Lelewela. Z ichto powodu zabrał się profesor Cybulski do napisania swojej rozprawy o runach. Wykazał w niej bardzo trafnie nieautentyczność wszystkich wprawdzie aż dotąd tu wymienionych, mniemanych i urojonych zabytków runicznej piśmienności. Co do mikorzyńskich jednak kamieni stanął silnie za ich autentycznością, w czem zresztą powtórzył tylko panujące o tem przekonanie powszechne. Właśnie zaś przeto oświadczył się stanowczo i za autentycznością owych prylwickich obotryckich bałwanków, które niektórzy od pierwszej chwili posądzali o podrobienie. Wykopaliska te bowiem w skutek podobieństwa napisów na nich się znajdujących do napisów na

mikorzyńskich kamieniach, razem z nimi albo musiały być poczytane za sfalszowane, albo za rzeczywiście z najodleglejszej datujące starożytności.

Takie więc jest ostatnie słowo aż do chwili obecnej w kwestyi i mikorzyńskich zabytków i pryłwickich. Mnie dochodzenia moje doprowadziły co do tych ostatnich, t. j. pryłwickich bałwanków, do wręcz przeciwnego wyniku. A ponieważ rzecz tę uważam za nader ważną, gdyż wiara w autentyczność tych odkryć dopóki nie będzie obaloną, będzie dawała szperaczom naszym powód do coraz nowych urojeń w zakresie archeologii: przeto niechaj mi będzie wolno zająć tu czytelnika uwagę dokładniejszym nieco opowiedzeniem przebiegu sprawy tu poruszonej, z wyłożeniem powodów, dlaczego uważam i jedne i w konsekwencyi drugie także zabytki za sfalszowane.

Fabrykat zwany wykopaliskiem pryłwickiem wcale nie pochodzi z Prillwitz. Był on robiony rzeczywiście w mieście Neubrandenburg w Meklemburgii, i to nie naraz, ale po trosze, w różnych czasach drugiej połowy przeszłego wieku.

Pierwsza jego partya powstała między rokiem 1757 a 1768.

W roku 1757 pojawiło się wydane w Hamburgu dzieło Clüvera *Beschreibung des Herzogthums Meklemburg*. Dano w niem między innemi (na str. 264 części I) wzorzec run tak zwanych północnych czyli skandynawskich, który zwrócił w szerszych kołach uwagę na zdarzające się czasem i w północnych także Niemczech takie runiczne napisy, jako też na archeologiczną wartość zabytków tego rodzaju. Mało ce przedtem pojawiły się *Monumenta inedita rerum german.* Westphala (Lipsk 1739), w których (w tomie I) sprawa ta także poruszona została. Oprócz tego znane było w całych Niemczech, a więc i w tamtych stronach, dzieło naszego Hartknocha, wydane jeszcze roku 1684 w Frankfurcie p. t. *Alt und neues Preussen*.

Mówi w niem autor o różnych rzeczach dotyczących Prus starożytnych, między innymi także i o czci bałwochwalczej prusko-litewskiej. Jeżeli do tego dodamy jeszcze owę wzmiankę w Diethmara kronice, o świątyni pełnej bogów najrozmaitszych w Retrze i o napisach imion tychże bożków na ich bałwanach, która często była przytaczana w różnych dziełach ówczesnych (nb. w fałszywym najczęściej tłumaczeniu :¹⁾) to będziemy mieli całą podręczną bibliotekę fabrykanta owych starożytności.

Starożytności te w r. 1768 były już w pewnej części swojej gotowe. W tymto czasie niejaki Dr. Hempel, lekarz w Neubrandenburgu, zakupił od braci Sponholtzów, także tam mieszkających, 46 sztuk rozmaitych przedmiotów starożytniczych. Mocno śniedzią zielonąwą pokryte, zniszczone jakby w jakimś pożarze, bardzo niezdarnie wykonane — były to po największej części posążki bóstw rozmaitych słowiańskich; przedstawiały jednak także i inne rzeczy, np. laski kapłańskie, czary świątynne, tace ofiarne, ostrza od włóczni, noże, kraty jakieś i t. p. Posążki były fantastycznej postaci, rozmaitej wagi i miary. Ważyły po 4, 10, 30 i więcej łutów, ale niektóre dochodziły i do 6 lub 7 funtów. Były

¹⁾ Autentyczny tekst Diethmara czytać należy tak: „*Interius (w świątyni) autem dii stant manu facti, singulis nominibus insculptis, galeis atque loriceis terribiliter vestiti*.. (Bogowie, groźnie odziani w hełmy i zbroje, z wrytymi imionami na każdym posągu). Otóż to miejsce dawniej powszechnie źle rozumiano, jak to i z dzieła Mascha, o którym zaraz więcej powiemy, i z samego Naruszewicza widzimy (Hist. Nar. Pol. Tom I część II). I łącząc *insculptis* z wyrazami *galeis atque loriceis* w jedno, przekładano wzmiankę tę tak: „Stoją tam w wnętrzu ręką zdziałani bogowie, z wyrzeźbionymi każdego boga imionami na hełmach i na pancerzach, straszliwie uzbrojeni”. Tak więc tento mylny przekład przywiedzionego ustępu naprowadził fałszerza na myśl dawania napisów runicznych nie tylko na posążkach, ale i na różnych najmniejszych nawet przedmiotach, stanowiących ich ubiory i przybory ofiarne.

i wydrażone wewnątrz i pełne (massiv); z postumentami i bez postumentów. Rozmiary ich wzdłuż dochodziły u niektórych aż do 10 cali; były jednakże i mniejsze, tak iż najmniejszy ze wszystkich tylko półtrzecia cala wynosił. Ulane były z kruszcu — i to najrozmaitszego: czasem z jakiejś mieszaniny, czasem z żółtej jakiejś masy, czasem z ołowiu (który niepojętym dla mnie sposobem nie stopił się w mniemanym owym pożarze!). Niektóre sztuki tak były wykonane, że np. głowa i tułów były zrobione z kruszcu żółtego, nogi z ołowiu, a postument znowu był żółty. Wszystkie zaś te przedmioty, nie tylko bożki, ale i najlichsze nawet sprzączki, miały na sobie runiczne napisy. Te napisy po największej części były na nich wyryte, ale zdarały się i wypukłymi oddane charakterami.

Według opowiadania Sponholtzów, pierwotnych właścicieli owego skarbu, i innych także osób z ich rodziny i otoczenia, miało to być wykopalisko bardzo dawno przedtem odkryte. Przed 70 lub 80 latami miał je przypadkiem w ziemi w ogrodzie swoim wydobyć jakiś ich krewny, który się nazywał Fryderyk Sponholtz i był pastorem w Prylwicach. Śmierć jego zaszła w r. 1697. Znalezione były w ziemi wszystkie te przedmioty razem, i to w dużym kotle ofiarnym, spiżowym, nakrytym drugim takimże kotłem. Na tych obydwóch kotłach miały się znajdować także runiczne napisy. Pastor z obawy, ażeby rząd albo właściciel Prylwic nie odebrał mu tego skarbu, którego wartość wyobrażał sobie tem większą, że przypuszczał, iż się i srebro mieści w kruszcu, z którego te rzeczy były ulane — miał zataić przed światem to odkrycie swoje aż do samego zgonu. Później, po jego już śmierci, gdy stopiwszy jeden posążek przekonano się, że srebra w tej mieszaninie nie było: miała sprzedać Sponholtzowa, wdowa owego pastora, ten zbiór cały krewnemu swemu Pälkemu, złotnikowi w Neubrandeburgu, który wszelako nie zrobił także żadnego z niego użytku i tylko

dal owe kotły obydwu przelać na dzwon do jednego z kościołów owego miasta. (Poszukiwania późniejsze jednak udowodniły, że w ciągu całego owego czasu nie lano tam żadnego zgoła dzwonu, dla żadnego w Neubrandenburgu kościoła!) Od Pälkego, który także niedługo potem umarł, miała ta własność, ciągle w najściślejszej utrzymywana tajemnicy, przejść spadkiem na jego zięcia; a tego zięcia synami byli właśnie ostatni dwaj właściciele onego zbioru, t. j. Jakób i Gideon Sponholtzowie, którzy go w r. 1768 odprzedali Drowi Hemplowi. Jakób, równie jak już i ojciec jego, i także Pälke, byli z rzemiosła złotnikami. Uchodził w mieście ów Jakób za poczciwego i porządnego człowieka, równie jak i całe grono osób wmieszanych do tej historii, po największej części wtedy już zmarłych. Brat jego Gideon przeciwnie mniej korzystnej używał reputacyi, choć i jemu nie zarzucano nie tak dalece zdrożnego. Był to sobie za młodu próżniak, który się w szkole niczego nie nauczył, tak iż ledwie umiał pisać. Żył później w domu braterskim jako bezzenny współmieszkaniec, który się niczem nie zajmował na seryo. Znał się trochę na złotnictwie, jako syn i brat ludzi tego rzemiosła, i partaczył niekiedy dla własnej przyjemności, posługując się w takich razach przyrządami i czeladzią brata swojego. Miał się dobrze, więc nie mu nie przeszkadzało puszczać się swobodnie za popędami swojej fantazyi; ta zaś szczególnie go ciągnęła do zbierania starożytności. Wprawdzie nie znalazł on na tem, nie szukał też w tem i zysku; ale miał namiętność posiadania takich osobliwości. Pochlebiali mu, że go ludzie uważali za wielkiego archeologa, że go uczeni zachęcali do poszukiwań, że mu rząd później nawet udzielił upoważnienia do podejmowania rozkopywań po całym kraju. To też się włóczył po całym jego obszarze — wynajdywał, zbierał... a przy sposobności (jak to wprawdzie po jego dopiero śmierci

wyśpiewali ci, co z nim w domowych żyli stosunkach) podrabiał i fałszował niejedno.

Według objaśnień Sponholtzów, udzielonych nowemu wykopaliska tego nabywcy Hemplowi, miała wieś Prylwice leżeć na gruncie głośnego w starożytności, zburzonego w XII wieku, miasta słowiańskiego Retry. Twierdzenie to znalazło powszechną wiarę, a znalazło ją tem łatwiej, że ani go stwierdzić ani mu też zaprzeczyć nie było można. Wzmianki kronikarskie o położeniu Retry są jak wiadomo tak sprzeczne pomiędzy sobą, iż i dziś jeszcze nie z nich pewnego nie daje się wyrozumieć. Owoż wyobrażono sobie, że zabytki, w głębi ziemi na tym gruncie znalezione, były czasu swego pomieszczane w sławnej świątyni słowiańskiej owego miasta. Doczekały się pożaru tejże świątyni. Po jej spaleniu miała jakaś pobożna ręka pozbierać z zgliszczów, co tylko nie było jeszcze zupełnie ogniem zniszczone, i zakopać w głębi ziemi, aby świętości te ocalały do lepszych czasów...

Na zapytanie wyraźne Hempla, czy te 46 sztuk, które wtedy od złotników owych nabywał, stanowią cały zasób rzeczy pochodzących z tego wykopaliska? odpowiedział Jakób Sponholtz, który mu je sprzedawał i był uważany za rzetelnego człowieka, że to jest wszystko. Obstawał (lecz tylko w obec Hempla) i później przy tem twierdzeniu.

Kiedy się wieść o tym nabytku Hempla w świecie uczonym rozniosła przez różne pisma czasowe, z których niektóre jednakże już w owych latach podejrzewały całe to odkrycie o oszustwo, zajął się malarz miejscowy nazwiskiem Woge zrobieniem ze wszystkich tych starożytności jak najdokładniejszego rysunku. A że to miało być ogłoszone drukiem, więc się postarał i o tekst archeologiczno-explikacyjny tych wizerunków, którego dokonał z erudycją, na jaką go tylko stało, choć bez krytyki, superintendent z Neustrelitz Masch. W taki sposób powstało dzieło, w r. 1771

lub 1772 wydane, p. t. następującym: „*Die Gottedienstlichen Alterthümer der Obotrüten aus dem Tempel zu Rhetra in Kupferstichen, nebst Hrn. A. G. Maschens Erläuterungen*“. (Berlin, bez oznaczenia roku, 4to). Dano w niem wierne kopie wszystkich przedmiotów owego świeżo zakupionego zbioru, razem z runami, któremi one były pokryte; dołączono także i odczytanie tychże run (podług wzoru Clüvera), wraz z wyjaśnieniem prawdopodobnego znaczenia każdego bożka. Dołączono wreszcie opis całego przebiegu rzeczy, od czasu mniemanego w XVII jeszcze wieku wykopania z ziemi owych osobliwości aż do chwili ostatniej.

Kiedy ta publikacya była w rękopisie już prawie na ukończeniu, przyszło Maschowi na myśl, że należałoby się jednak dobrze przekonać, czy też u Sponholtzów nie znajduje się jeszcze więcej takich starożytności? Udał się tedy z tem zapytaniem do Jakóba Sp. (złotnika zatem i statecznego człowieka, który przed 2 lub 3 laty dał był zapewnienie Dr. Hemplowi, że to już jest wszystko, co posiadali), i cóż od niego usłyszał? Wydobył z niego po niejakich wstrętach i korowodach przyznanie, w największem jednakże zaufaniu, że jest u nich takich rzeczy, z tegoż pochodzących źródła, i więcej jeszcze! Znalazło się tam tego jeszcze nawet sztuk kilkadziesiąt, które mu też i odprzedano nareszcie na nalegliwe jego żądanie.

Wynurzyły się wtedy z ukrycia nowe 22 posążki, zupełnie takiej samej roboty, jak owe pierwsze, choć zresztą prawie wszystkie wyobrażały inne bożyszcza, jak tamte. Dwa tylko między nimi nie różniły się zgoła niczem od podobnych bałwanków, kupionych już w pierwszej partyi. Były to zatem proste kopie tamtych (!)

Ponieważ drukujące się dzieło było wtedy jeszcze nieukończone, wcielono przeto teraz do niego i rysunki tych nowonabytych bałwanków wraz z komentarzem. Mamy w niem tedy cały wyczerpnięty materiał tak

owej partyi, którą zakupił był Hempel, jak i tej, która dopiero na jaw wyprowadzić Maschowi się udało.

Rozumie się samo przez się, że dzieło to napisane zostało w najlepszej wierze. Masch wtedy jeszcze najmocniej był przekonany o autentyczności rzeczy, które opisywał z takim zapalem. Cały sposób zachowania się Sponholtza w tej sprawie nie wzbudzał w nim podejrzenia. Przeciwnie co do Hempla przypuszczać trzeba, że — po tem wszystkiem co zaszło — zaczynał on już wątpić po trosze o autentyczności nabytego przez siebie skarbu. Przynajmniej dał się już wtedy bardzo łatwo namówić do odstąpienia Maschowi na własność wszystkiego, co był od Sponholtzów zakupił. Nowy właściciel, połączywszy obydwie części zbioru bałwanków owych w jeden, szczęśliwy z tego, że posiadał wszystko co niegdyś wykopano w Prylwicach, wystawił ten zabytek czci bałwochwalczej Słowian na widok i na pożytek publiczny w bibliotece katedralnej w Ratzeburgu, w której też tenże aż do końca wieku przeszłego, zostawał. Tutaj właśnie oglądał go w r. 1794 i nasz znakomity badacz — Jan hr. Potocki.

Uczony ten znawca dziejów i pomników słowiańskich, odbywając w roku rzeczonym naukową podróż po całych północnych Niemczech, jako przestrzeni zajmowanej przez słowiańskie niegdyś ludy i z tego powodu godnej badań jak najtroskliwszych na miejscu, nie omieszkał oczywiście zwrócić uwagi swojej i na te wykopaliska, tyle wrzawy wtedy sprawiające w świecie uczonym. Zwiedził zbiór bożków prylwickich, wystawiony w Ratzeburgu. Poznał się z Maschem w Neustrelitz. Odwiedził także i dom Sponholtzów w Neubrandenburgu, do czego go spowodowała świeżo znowu obiegająca pogłoska o nowych zbiorach starożytności, znajdując się i teraz jeszcze mających w posiadaniu Gideona, brata złotnika. Jakoż rzeczywiście pokazano tu Potockiemu kolekcję złożoną z 104 bożków i innych tego rodzaju pomników czci bałwochwalczej

Słowian. Z pomiędzy tychże miało 36 sztuk być znalezionych w ostatnich dopiero latach na jakimś polu należącym do rodziny onych złotników; sztuk 17 podawał Gideon za nabyte przez siebie z obcej ręki; najważniejsza zaś część zbioru, bo cała reszta, sztuk 51 obejmująca, pochodzić miała (pomimo danego poprzednio dwukrotnie twierdzenia w przeciwnym sensie) z tego samego znowu kotła w Prylwicach przed 100 laty wykopanego, z którego obie partye poprzednie wykopalisk swój wywodziły początek!!

Dziwiło to Potockiego niemało, że Masch wtedy widocznie przestał już być interesować się tymi skarżkami... Kiedy mu wtedy wspominał P., iż jedzie oglądać zbiór starożytności Sponholtza, Masch zdawał się nie wiedzieć wcale o egzystencji owego zbioru. Potockiemu nie przyszło bynajmniej na myśl, że jeżeli kto, to właśnie Masch powinienby o tem wiedzieć koniecznie; a jeżeli udaje, że nie wie, to chyba dlatego, że już i sam nie wierzył w autentyczność tego wszystkiego i tylko wstydził się przyznać, że go potrafiono oszukać.

Przyjęty w domu złotnika bardzo gościnnie, bawił hr. Potocki przez 3 czy 4 dni na miejscu i przerysował sobie wszystkie przedmioty ówczesne zbioru Sponholtzów. Były one po największej części takiej samej roboty, jak to, o czem dał był Masch w dziele swoim wiadomość. Runiczne napisy pokrywały i tutaj największą część artykułów; znachodziły się między nimi jednak i rzeczy bez napisów. Z rysunków wtedy zrobionych i dodanego do nich tekstu, ułożonego w formie dziennika podróży, powstało dzieło: *„Voyage dans quelques parties de la Basse-Saxe... fait en 1794 par le Comte Jean Potocki“*. Hambourg, 1795. 4°. Napisane jest z niezachwianą wiarą we wszystko, co tylko tam mówiono Potockiemu. Obejmuje w sobie wizerunki samych tylko rzeczy w posiadaniu Sponholtza wtedy będących. (Te

partye wykopaliska, które były już opisane przez Mascha, nie wchodzą więc w jego zakres).

Publikacya Potockiego podniosła znaczenie owych starożytności w opinii ludzi uczonych. Dlatego też w kilka lat potem książę meklemburski nabył je wszystkie na własność — tak to, co Masch w Ratzeburgu wystawił, jak i co Gideon Sponholtz posiadał. Ostateczne umieszczenie otrzymał cały ten gabinet starożytniczy w r. 1804 w Neustrelitz, w bibliotece książęcej, i tam się też pewnie i obecnie jeszcze znajduje.

W następnych latach, to jest w ciągu już bieżącego stulecia, wiele bardzo pisano o tych, jak je nazywano prylwickich bożkach. Najpoważniejsze umysły mówiły o nich albo z niedowierzaniem albo nawet wręcz z przekonaniem, że to wszystko fałszerstwo (Rühs 1805, Jakób Grimm 1815, Dobrowsky 1815, Wilhelm Grimm 1821 i t. d.). Nie brakło jednak i takich, którzy je to z tej, to z owej przyczyny brali w obronę (Rumohr 1816, Surowiecki i Lelewel, którzy nie znali jednak wszystkiego co znać należy, ażeby o tem sądzić; później nawet i Jakób Grimm 1836, Cybulski 1860 i t. d.).

Do stanowczego zachwiania wiary w starożytność wykopaliska przyczynił się przedewszystkiem Lewezow, uczony archeolog z Pomorza, który je w r. 1825 badał na miejscu przez całe 4 tygodnie i w ostatecznym rezultacie, na podstawie i archeologicznych i chemicznych nawet dochodzeń, wyrzekł stanowczo, że to fałszerstwo — co do run bezwarunkowe, co do samych zaś posążków, z małym chyba może wyjątkiem.

To orzeczenie spowodowało wdanie się samego rządu w tę sprawę. Zamianowana urzędowa komisya do sądowego rozpoznania tej rzeczy, badała ludzi do niej wmieszanych po kilka razy przez ciąg czasu od września 1827 do sierpnia 1829. Sponholtzowie już nie żyli; nie żyli także już Masch i Hempel. Ale byli jeszcze przy życiu niektórzy czeladnicy Sponholtza

i inni znajomi owego domu. Na podstawie zeznań tych świadków, zaprzysiężonych! okazało się, że to wszystko, co posiadał w r. 1794 Gideon Sponholtz, a Potocki w dziele swoim opisał i przerysował, było fabrykatem udowodnionym. Mianowicie stwierdzone teraz zostało, że znajdował wprawdzie Gideon Sponholtz czasem istotnie jaką starożytność pod ziemią: na takich jednak nigdy napisy żadne nie znachodziły się! Dawał on sobie robić garniearzowi nazwiskiem Pohlowi formy z gliny różnych bałwanków, które potem odlewał z mieszaniny mosiądzu z miedzią i innymi kruszcami. Prowadził robotę tę w tajemnicy! Niektóre bożki pomiędzy wystawionymi przedmiotami w gabinecie księżym zostały teraz przez tych świadków, użytych do pomocy, kiedy one były robione, pozytywnie uznane za tesame. Na takich odlewach, równie jak i na przedmiotach rzeczywiście gdzie znalezionych, ryto lub wykowano potem napisy runiczne w domu Sponholtza i podług jego wskazówek. Zapomocą boraksu i różnych kwasów wytwarzano na nich sztucznie rdzę i śniedz owę zielonkowatą, ażeby tak wyglądały, jak gdyby były rzeczywiście wydobyte z wilgoci i starożytne. Głównem mądrości archeologicznej źródłem dla Gideona, którem się posługiwał, była wtedy owa książka Mascha w r. 1771 wydana, do której on też prawie jedynie zazierał w owej życia swego epoce. Nie dopuszczał się zaś owej mistyfikacji, aby ludzi oszukiwać albo też zysk z tego ciągnąć. Przeciwnie, gniewał się nawet, kiedy jego brat Jakób pierwsze owe bałwanki pod niebytność jego w domu sprzedał Hempłowi. A nawet i ostatnią część nagromadzonych zbiorów swoich wtedy dopiero odstąpił na rzecz gabinetu księcia Meklemburskiego, kiedy już stary był i schorzały. Czynił to wszystko zatem jedynie dla własnej przyjemności i z żądzy posuniętej do manii, żeby takie przez nikogo niewidziane nadzwyczajności posiadać...

Co się tyczy owych bożków, które o kilkadziesiąt lat pierwiej dostały się w posiadanie Hempla i Mascha, o tych świadkowie nie umieli nic pewnego powiedzieć. Rzecz to bowiem była zbyt dawna. Przypuszczali jednak, że wpływu na ich sfabrykowanie, jeżeli były i one fabrykatami, Gideon Sponholtz mieć nie mógł. Chyba kto inny...

Lewezow w rozprawie swojej, na podstawie własnych spostrzeżeń i tych zeznań wypracowanej, a pod tyt. „Über die Ächtheit der so genannten Obotritischen Runendenkmäler zu Neu-Strelitz“ zamieszczonej w *Abhandlungen der historisch-philosophischen Klasse der kön. Akademie der Wissenschaften zu Berlin aus dem Jahre 1834* (wyszło to dopiero r. 1836 w Berlinie), dowodzi jednak, że i ta część starożytności prylwickich również była sfalszowana, jak późniejsza. Opiera dowody swoje na różnych uderzających poszlakach, dotyczących ich zewnętrznej powierzchowności: więc np. rdzy sztucznej, która kruszec powleka; kształtów bałwanków, pod artystyczno-technicznym względem widocznie nieodpowiednich wszelkim warunkom autentyczności; opiera je na widocznym usiłowaniu owego partacza, który je robił, aby im nadać pozór szczątków niedoniszczonych w ogniu, gdy tymczasem oko znawcy z łatwością widzi, że takiej próby ogniowej one wcale nie przechodziły — wreszcie na innych tego rodzaju porównawczo-archeologicznych okolicznościach. I tak przychodzi do wniosku, że może wprawdzie rzeczywiście za czasu jeszcze życia owego pastora Fryderyka Sponholtza w Prylwicach zostało co wydobyte z ziemi, co dało powód do utrzymującej się o tem przez czas tak długi w całej rodzinie tradycyi; że jednak w następnym czasie dołączyły się do tego i oczywiste falsyfikaty, a nawet to, co między nimi pierwotnie autentycznym być mogło, ręka oszusta jakiegoś ozdobiła dopiero owymi napisami. Te bowiem wszystkie, bez wyjątku, Lewezow uznał za podrobione.

Wystąpienie to Lewezowa nie przekonało jednakże wszystkich, mianowicie nie przekonało n a s z y c h uczonych, którzy do dziś dnia (1872) przy raz o tem powziętem wyobrażeniu stoją, choć z nich żaden nie usiłował nawet odeprzeć zarzutów tego archeologa, mało który je pewnie nawet czytał z uwagą. (Lelewel np. rozprawy Lewezowa wcale nie znał, jak sam o tem wspomina; bo choć o niej wiele dobrego słyszał, to jej znikąd dostać nie mógł na emigracyi). Zresztą przyznać należy, że wywody Lewezowa, lubo tak gruntownie przeprowadzone w pewnym kierunku, nie wyczerpują też jeszcze całego materiału dowodów, jakie tu mogły być poruszone; w skutek czego pozostają na uboczu sposoby dojścia do prawdy, które właśnie może do najpewniejszych należą. Za taki właśnie przeważny sposób uważam zbadanie j ę z y k o w e j strony obotryckich bałwanków, to jest rozpatrzenie się w treści, znaczeniu i starożytniczej wartości owych napisów runicznych, którymi są okryte.

Kiedy się bierze pod ścisły a trzeźwy rozbiór wszystkie owe bazgraniny na bałwankach prylwickich, to pierwszym wrażeniem, którego się doznaje przy tej czynności, jest zdziwienie zdumiewające nad tą mnogością, nad tym nawałem, nad tą prawdziwą ciżbą napisów. Mamy je tu na każdym, by też najlichszym i najobojetniejszym sprzęciku. Widzimy na figurkach niektórych bożków runy te pelzające po ciele i po sukni, z tyłu i z przodu, u stóp i na wierzchołku głowy, na plecach, piersiach, bokach, udach, ramionach. Byłoby to wszystko zapewne wcale niedziwnem, a nawet może i naturalnem, gdyby pogańscy Słowianie byli mieli tyle przynajmniej gorączki do ryłca i dłubania nim w kruszcu, ile jej mają dzisiejsi Niemcy do pióra i kałamarza. Cały kraj nasz w takim razie musiałby być zasypany zabytkami tej piśmienności.

Drugie, co niemniej zadziwia, to że prawie w każdym napisie spotyka się między innymi wyrazami

nieuniknione to słowo *Retra*. Prawda, że przedmioty te mają nibyto pochodzić z świątyni w Retrze. Ale przecież przyzna mi każdy, że choćby one rzeczywiście już odlewane były z tem przeznaczeniem, t. j. dla świątyni rzeczonyj, to nie było dlatego jeszcze tak koniecznej potrzeby wybijania na nich tak nieodzownie nazwy owego miasta. Wygląda to jakby cyfra prawego właściciela na bieliźnie albo srebrze stolowem. Na tych przedmiotach, w dzisiejszym zwłaszcza złodziejskim czasie, znaki te mają swoje słuszne utylitarne przyczyny. Ale jakież cel mógłby być takiej cechy na rzeczach świętych, na przedmiotach czci lub też na narzędziach do nabożeństwa, i to jeszcze w wieku XI lub X? Czyż samo pomieszczenie rzeczy owych w świątyni Retry nie wystarczało na okazanie, że one do niej należą?

Dalsze wrażenie, które w ciągu tych rozpatrywań każdego z podziwieniem ogarnia, to że się też ani jeden z owych napisów w jakiś sens zrozumiały nie składa. Same to tylko pourywane wyrazy bez żadnego znaczenia, sylaby jakieś nie wiążące się w słowa, głosy nieartykułowane i prawdziwe belkoty! Przecież język słowiański Xgo, a choćby IXgo nawet stulecia nie jest dla nas bynajmniej tak znowu niezrozumiałym, żeby bezmyślność i cudactwo owych napisów było tylko skutkiem ich wieku i żebyśmy je kłaść mogli na karb naszej jedynie niedomyślności, a raczej nieznajomości języka. Rozrzucone między nimi nazwy bóstw i miejscowości słowiańskich, dobrze znanych skądinąd, ułatwiałyby nam tem bardziej odgadywanie myśli ukrytej w tych słowach, gdyby się tylko w nich ukrywała myśl jaka.

Aby czytelnik sam mógł sądzić o rzeczy, przywiodę tu właśnie najcharakterystyczniejsze z owych napisów. Kładę w jednym zawsze rządku to wszystko, co się mieści na jednej sztuce.

Bel. z. Belbog. Ridigast. Rhetra.

Doi. Ridigast. Rhetra.

Rhaz. Ridigast.

Zern. Dlai. Vena. Radegast. Belboeg. Rhetra.

Zir. Vodha. Rhetra.

Pif.daz. Rhetra. Podaga. Asiub. sal. Gül. z. h. t. Pod. Bill. Lun.

Rhetra. Szuaitix. Belboeg.

Zu. l. Berstuce. Crive. Veidelot. s. u.

Nemisa. z. rab. Arcon.

i t. d.

Czyż nie dość i tych kilku przykładów, żeby sobie uprzytomnić cały sposób, jak te napisy były tworzone? Brało się z Hartknocha i podręcznych kronik niemieckich nazwiska znanych bogów słowiańskich lub miejscowości mitologicznych, jak Arkona, Retra, Romowe, i przeplatało się te imiona własne wyrazami urojonymi, belkotami skleconymi na chybi-trafi, które im brzmiały cudaczniej, tem bardziej i tem pozorniej miały wyobrażać wyrażenia językowi słowiańskiemu właściwe. Dobrze to wszystko dla takich głów niedowarzonych, jak Gideona Sponholtza; ale czyż i my będziemy temu wierzyli, że nasi przodkowie takim mówili językiem?

A cóż też znowu powiedzieć o pisowni tych nazwisk mitologicznych? Jeżeli *Rhetra* pisana tu zawsze przez *rh*, *Arcona* przez *c*, *Crive* przez *c*, *Zern* (t. j. *cern*, *czerny* czyli *czarny*) przez *z*, *belboeg* przez *oe* i t. d. to czyż mi jeszcze dowodzić trzeba, że to pisał chyba Niemiec, a nie żaden Słowianin?

Lecz choćby to wszystko nie dowodziło jeszcze fałszerstwa: to cóż będziemy o tem sądzili, że tu w najbezmyślniejszy sposób, w sposób prawdziwie partacki, pomieszano bóstwa słowiańskie z Sz wajxtyxem, z Berstucą, z Wajdelotami, z Krywekrywejtami, z Perkunem, z Romowem i tym podobnemi rzeczami, znanemi i właściwemi samej tylko Litwie pogańskiej? Czyż Obotrycey Słowianie mieli w tamtych wiekach jakie religijne

kapłańskie lub jakiegokolwiek wreszcie inne stałe stosunki z mieszkańcami Prus albo Żmudzi? Czy na jednym i tym samym posądku mogły się znaleźć obok siebie wyrazy: *Retra. Szwajrtyx* i *Belbóg*? Że fabrykant tych starożytności, jako człowiek niewykształcony, słowiańszczyznę i litewszczyznę za jedno i to samo uważał, temu się wcale dziwić nie można. Owszem byłoby raczej dziwnem, gdyby się tej niedorzeczności nie był dopuścił. Ale czyż dla nas nie dowodzi to namacalnie, że mamy do czynienia z oszustem?

Na jednym bożku, danym u Mascha jako figura 6, pochodzącym przeto z partyi pierwotnie zakupionej, t. j. owej, o której nie potrafiono dowieść tego sądowo, czy była podrobioną czy autentyczną, położono napis z tyłu na głowie *Percunust*: na szacie jego *en Romau*: z przodu następujące wyrazy: *Percun deuuait nemusea und man*. Tym razem jesteśmy w tem szczęśliwym położeniu, że możemy oszusta schwycić na gorącym uczynku, wykazując całą proweniencyę tego napisu — co tem ciekawsze, że się to ściąga właśnie do sztuki stanowiącej jeden z numerów owego pierwszego działu ¹⁾).

Lasicki, szlachcic polski w XVI wieku żyjący, zabrał się do studyów nad religią pogańską Żmudzi i czerpiąc głównie z opowiadań niejakiego Laskowskiego, Kaliszana, który jako lustrator ziemi żmudzkiej przeżył lat kilka w owym kraju, napisał dzieło „*De diis Samogitarum*”. W tem piśmie udzielił między innymi i tej potocznej o zwyczajach i przesądach litewskich anegdoty, że kiedy tam grzmi na niebie, to za bobonny a lekliwy wieśniak tamtejszy wychodzi z chaty

¹⁾ Wiedzieć bowiem należy, że niektórzy, między niemieckimi nawet archeologami, obstają do dziś dnia nawet przy autentyczności działu tego przez Mascha opisanego, a tylko na Potockiego partyę spozierają jako na podrobioną. W tym sensie napisane jest dzieło F. Bolla „*Kritische Geschichte der s. g. Prillwitzer-idole*“, 1855.

na dwór z kawałem słoniny w rękę, zdejmując czapkę z głowy i patrząc w niebo, takie słowa w języku swoim podniesionym głosem wymawia: *Perkune diėvaiti, ne muszki unt mana diėwu melsu, tavi palti miesu!* Co znaczy: »Perkunie bożeczku, nie uderzaj w moje! Dam ci za to poleć słoniny«. — Wyrazy te, napisane u Łasickiego z błędami, gdyż autorowi temu nie był wcale znany język litewski, powtórzył Hartknoch w dziele swoim „*Alt und Neues Preussen*“ dosłownie, zatem z tymi samymi znowu błędami, gdyż i Hartknoch po litewsku nie umiał. Otóż właśnie tę potoczną — nie powiem modlitewkę, ale dykteryjkę Łasickiego o litewskim wieśniaku, prznosi nasz fałszerz z dzieła Hartknocha dosłownie na swój posążek, prznosi ją nie tylko z tymi samymi błędami w pisowni i układzie, które popełnili Hartknoch z Łasickim, ale je pomnaża i swemi jeszcze własnymi przekręceniami — i pomimo tego wszystkiego znajduje wiarę u tylu ludzi uczonych, którzy to wprawdzie z podziwieniem podnoszą, że ta święta formuła wieśniaczej modlitwy do Perkuna mogła być tak rozpowszechnioną od najdawniejszych już czasów na całej tej przestrzeni krajów litewsko-słowiańskich, wszelako wierzą temu i żadnego nie widzą w tem niepodobieństwa.

Na taką łatwowierność, na takie dobrowolne duczenie się tumanami, niema prawdziwie lekarstwa! Jeżeli ani to nawet nie potrafi otworzyć oczu na prawdziwe znaczenie całej tej mistyfikacyi, to już chyba chcemy się koniecznie ludzić urojeniami ¹⁾).

¹⁾ Za takiesamo uważać trzeba szalbierstwo i owe wreszcie częścią kamienie, częścią płyty z gliny wypalanej, pokryte runicznymi napisami i rysunkami, o których z silną wiarą w ich autentyczność podał wiadomość Hagenow w dziele „*Beschreibung der zu Neu-Strelitz befindlichen Runensteine*“. Greifswalde, 1826. I te kamienie dostały się do owego gabinetu od Sponholtza, który miał je po odjeździe już hr. J. Potockiego poznajdować w tamtych okolicach, po roku już 1794. Kto tyle rzeczy sfalszował, ten popodra-

Po tem wyjaśnieniu co do obotryckich starożytności czyli wykopalisk pryłwickich, przejdźmy wręszcie do Mikorzyńskich kamieni, ażeby i tych także autentyczność ocenić.

Kamienie te, obecnie własność krakowskiej Akademii Umiej. znajdują się już od lat kilkudziesięciu w Krakowie. Wierne ich kopie, odlewy z gipsu zrobione, w naturalnych i także w małych rozmiarach, rozrzucone są po wszystkich znaczniejszych zbiorach muzealnych naszego kraju. Jest ich dwa. Zostały znalezione w krótkim czasie jeden po drugim, na gruncie tejsamej wprawdzie wsi i przez jedną i tęsamą osobę, ale na różnych miejscach¹⁾. Są to płyty z twardego, szaro-czerwonawego granitu, który mineralogowie nazywają *syenit*, średniej wielkości, surowo ociosane, po jednej tylko stronie ogładzone nieco staranniej. Jedna z nich, kształtu podłużnie okrągławego, przedstawia po tej właśnie ogładzonej stronie wklęsłość jakoby nieckowatą, zajmującą całą przestrzeń tego kamienia, wyźłobioną widocznie ręką ludzką. Drugi kamień, nieco większy, ale bez żadnej wklęsłości, ma formę nieregularnego czworokąta. Były to niewątpliwie zwierzchnie płyty czyli wicki pogańskich grobowców, użyte do położenia ponad urnami w taki sposób, że podczas gdy urna wstawiona była w wnętrze jamy grobowej, kamienie te, wsparte na innych kamieniach sztorcem do koła poustawianych, stanowiły ponad urną ochronę od

biał niewątpliwie i te napisy. Jemu tylko udawało się znajdować runy słowiańskie pod ziemią. Oprócz niego — nikomu więcej! Dotąd przynajmniej przykładu drugiego rzeczy takowych nigdzie tam nie znaleziono.

¹⁾ Bliższe szczegóły o znalezieniu obydwóch tych kamieni w wsi Mikorzynie i o innych okolicznościach z tem połączonych, podał dokładnie Wojciech Cybulski w swojej rozprawie o runach, zamieszczonej w Rocznikach poznańskiego Tow. Przyj. Nauk. Do tej tedy rozprawy odsyłam czytelnika ciekawego dowiedzieć się całego przebiegu rzeczy.

ciężaru ziemi grobowiec pokrywającej. Takiego kształtu głazy znachodzą się dość często tu i owdzie w Wielkiej Polsce — zawsze na miejscach, które tam żalnikami, to jest ementarzyskami pogańskimi nazywają, i w pobliżu urn z pod ziemi wydobywanych. Jakoż i z tych mikorzyńskich kamieni jeden, to jest ten okrągławy, mniejszy, z nieckowatą wklęsłością, został znaleziony tuż obok czerepów urny stłuczonej.

Co się tyczy samych kamieni, niema do tego oczywiście żadnego powodu, ażeby wątpić o ich odwiecznej autentyczności. Były to niezawodnie płyty, w pogańskich jeszcze wiekach przyrządzone na użytek, jak go oznaczyłem powyżej. Nie przypuszczam tego bowiem, żeby się dziś komu chciało, dla zażartowania sobie z łatwowierności sąsiada albo uczonych w mieście, podejmować ciężką pracę połączoną z ociosywaniem, oglądaniem i nawet wyśląbianiem materiału tak twardego, jak granit albo syenit.

Innego zato przekonania jestem co do rysunków i runicznych napisów, jakie się dziś widzieć dają na tych obydwóch kamieniach. Nie stosuję tego, co powiem, do żadnej wskazanej osoby. Historia rzeczywista znalezienia ich na mikorzyńskim gruncie bynajmniej nie jest dobrze wiadoma. Kto tu był oszukanym, a kto oszukującym, i z jakich powodów i wśród jakich okoliczności? to wcale nie wyjaśnione. Nie czyniąc tedy nikomu w szczególności zarzutu zato, co zaszło — biorąc rzeczy zupełnie przedmiotowo: oświadczam że daleki jestem od zamiaru i od możności ubliżenia komukolwiek bądź w szczególności, jeżeli utrzymuję, że runy i rysunki rzecz one są sfałszowane. Powstały one na tych kamieniach dopiero między rokiem 1853 a 1856, najpewniej roku 1856. Utrzymuję nadto, że dopuściła się tej mistyfikacji osoba jakaś, mało albo wcale z archeologią nieobeznana; i że całym źródłem jej starożytnicznych natchnień, jedyną studnią jej erudyty, były dwie rozprawy Lelewela: „Bałwochwalstwo

słowiańskie i «Cześć bałwochwalcza Słowian i Polski, z których pierwsza pojawiła się po raz pierwszy w r. 1853 w tak zwanym Tomie Wstępnym «Polski wieków średnich» (Poznań 1853), druga zaś w pierwszym tomie tegoż dzieła, którego edycya druga, najwięcej rozposzechniona, wyszła w Poznaniu 1855. Z tych tedy dwóch książek niezawodnie zaczerpnął autor mikorzyskich starożytności wszystko, czego mu było potrzeba, ażeby tego runicznego dzieła dokonać; i na latach publikacyi obydwóch tych jego źródeł opierając się, i ja także miałem możność oznaczyć czas, kiedy to mniej więcej było zrobione.

Zostało więc dokonane to lapidarne dzieło dopiero w roku 1855 lub 1856. W tymże 1856 też roku pojawiła się w *Gazecie Poznańskiej* pierwsza wiadomość o niem. Zrazu doniesiono o znalezieniu jednego tylko kamienia, lecz z dodatkiem, że ludzie miejscowi powiadają, iż przed kilkunastu laty znajdowano w Mikorzynie więcej podobnych rzeczy — tylko inakszych, bo z ptakami, końmi (!) i różnymi dyablami. We dwa miesiące później rzeczywiście przyszła do Poznania wiadomość o odkryciu, przez tęsamą osobę, drugiego podobnego kamienia — właśnie z zapowiedzianym już naprzód końmi! — Gdy wysłannik poznańskiego Towarzystwa Przyj. Nauk, zainteresowanego owem odkryciem (p. Białecki), umyślnie dla sprawdzenia rzeczy samej na miejscu zjechał do Mikorzyna i rozpytywał się ludzi miejscowych, gdzie te kamienie zostały znalezione i gdzie widziano owe inaksze: okazało się, że ci ludzie ani o jednych ani o drugich nie wiedzieli. Właściciel Mikorzyna, nieobecny natenczas w domu, niekontent czegoś był z całej tej roztrąbionej sławy jego majątku. Najbliżej interesowana osoba... jego synowiec Piotr Droszewski, podobno emigrant, trochę miłośnik archeologii i zbieracz starożytności, który niewiadomo mi dokładnie, czy zupełnie czystą rolę w owych odkryciach odgrywał — także był

gdzieś wtedy wyjechał z Księstwa. Wieśniak, który miał być obecny przy wydobyćiu ze ziemi pierwszego z tych dwóch kamieni, nie żył już wtedy! Może dlatego też już potem trzeciego kamienia runicznego w Mikorzynie (z ptakami i dyablami) nie znaleziono, choć bez run leży ich tam w okolicy kilka podobno jeszcze...

W niepojęty dla mnie sposób, mistyfikacya owa, tak podejrzana już na pierwszy rzut oka, znalazła jednak w świecie literackim powszechną wiarę. Lelewel tak się do niej zapalił, że nawet z urąganiem rzucił w przyszłość z góry zapowiedź, że znajdzie się kiedy Niemiec jaki, który (jak Lewezow co do pryłwickich bożków) i tu także podrobienia i oszustwa będzie dowodził. Tak niezachwianie wierzył ten nasz starożytnik w autentyczność owych napisów!

Zobaczmy, jakie to są napisy.

Na kamieniu wpierw znalezionym, okrągłym, wyrzezany jest w samym środku jego wklęsłości rysunek, przedstawiający w popiersiu bożka Prowego. Resztę miejsca, poniżej tego rysunku (niezmiernie niezdarne), zapelniają bazgraniny runiczne, także w tym kamieniu wykute. Ich odczytanie może być dla nas zupełnie obojętne. Czy je tam kto czytać będzie, jak chciał Cybulski:

Smir. Kmet. Prowe.

czy jak drudzy decyfrowali:

Sbir. Prowe. Kbel.

albo też:

Smir. Prowe. cezt.

sensu zdrowego bełkoty te mieć nie będą, i nie chodziło też wcale o to ich dowcipnemu autorowi. Runy co do kształtu swojego są zgoła takiesame, jak na bałwankach pryłwickich. Podał cały ich alfabet we wspomnianych wyżej dziełach swoich Lelewel, i z tych też dzieł one tutaj żywcem przeniesione zostały. Co się tyczy rysunku bożka, to widocznie i niezaprzecze-

nie wzięty on jest z tablicy Lelewela, dołączonej do jego Czci bałwochwalczej, na której bożyszcze to figuruje pod Nr. 8, w tejże samej zgoła postaci, nawet z tymże napisem Prowe. A ponieważ wszystko, co się znajduje na tej lelewelowskiej tablicy, było wzięte z dzieła Potockiego (nie Mascha), i obejmuje same tylko wizerunki bożyszczy tej partyi, którą Sponholtz w końcu życia swego posiadał i o której później przedewszystkiem sądownie dowiedzionem zostało, że to roboty własnej tego oszusta industrii: więc i ten Prowe do tejże kategorii należy. (Dany on jest u Potockiego jako fig. 12). Skoro zaś taki jego początek, więc oczywiście nie dostał on się i na mikorzyński kamień w pogańskiej jeszcze epoce. Skądinąd wiadomo też przecież każdemu, kto tylko czytał Helmolda albo jaką mitologię słowiańską, że wizerunków żadnych zmysłowych Słowianie bogu Prowemu nie dawali, ale go czcili jedynie w wyobraźni: o czem śnać nie wiedział ani Sponholtz ani archeolog nasz mikorzyński. Gdyby mu to było wiadome, nie wiem, jakby sobie w takim razie był począł. Wiedzieć bowiem należy, że na całej tej Lelewela tablicy ta jedna tylko figura, pod Nr. 8 dana, tak jest prosta i łatwa do przerysowania, że ją i nie będąc artystą, można było dłótkiem na kamieniu jako tako wypukać. Inne rysunki, nierównie więcej skomplikowane, byłyby znacznie do odrysowania trudniejsze. To zatem jest jedyny powód, dlaczego właśnie Prowego, a nie innego bożka rysunek mamy na owym kamieniu.

Drugi kamień, jako pochodzący z tejsamej ręki, już przez to samo podlega podejrzeniu. Można sobie krom tego jednak i tutaj dokładnie uprzytomnić, jak powstał wizerunek na nim, w takiż sposób wyryty, co na pierwszym kamieniu. Jest to niezdarne wizerunek konia. Ale i ten koń ani nie jest zabytkiem czasów pogańskich, ani nawet własnym pomysłem mikorzyńskiego rytownika. Jest to rodzeniuteńki braciszek, jak

najwierniejsza kopia owego konika, którego w zbiorach krakowskich może każdy oglądać na posągu Swantewita, wydobytego przed kilkudziesięciu laty ze rzeki Zbrucza, a o którego istnieniu i postaci dowiedział się nasz archeolog nie skądinąd, jak z drugiej rozprawy Lelewela, wyżej wspomnianej. Dany jest bowiem w tej rozprawie rysunek tego zbruckiego posągu ze wszystkimi jego ornamentami zamieszczonemi u stóp Swantewita, a zatem i z konikiem tam wyrzeźbionym.

Naokoło tego konia czytamy na tym drugim mikorzyńskim kamieniu znowu kilka runicznych bełkotów, które, jak się samo rozumie, nie mają żadnego sensu. Czytali je różni różnie.

Zbir. woin. boh. dan. sl. na. woi (Lelewel).

Smir. woin. s. l. na. woi. bohdan (Cybulski).

Swir. bog. odin. woin. Lutuoi (Wocel, czeski uczoney).


Smir. bohodan. woin. s. Upawoi (X. Petruszewicz, ruski badacz).

Smir. bohdan. woin. s. Ludiwoi (Rogawski) i t. d.

Komentarze, jakie ci uczeni dołączali do tego odczytania, zwłaszcza Lelewel¹⁾ i Cybulski, mogą iść śmiało o lepszą z bujnością starożytniczej fantazyi ś. p. Tadeusza Wolańskiego, o którego inskrypcyjnych odkryciach całe W. X. Poznańskie zapewne jeszcze pamięta.

Do odkrycia mikorzyńskich kamieni przywiązywali uczeni słowiańscy zaraz po ich znalezieniu tem więcej wagi, że zdawało im się, iż przez nie usuwają się tedy nakoniec wiekowe wątpliwości i co do owych wykopalisk prylwickich, takimi samemi opatrzonych runami, co te właśnie kamienie. Zdawało im się, że od

¹⁾ Lelewela uwagi o mikorzyńskich kamieniach znajdują się w ostatniej (z roku 1857) edycyi jego pism dotyczących mitologii słowiańskiej, które wyszły wszystkie razem p. t. Cześć bałwochwalcza Słowian i Polski w Poznaniu u Żupańskiego, jako tomik osobny.



ANTONI MAŁECKI

Z PRZESZŁOŚCI DZIEJOWEJ

POMNIEJSZE PISMA

TOM II.



KRAKÓW
NAKLAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI
WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
1897

Rzecz o grzywnach pochodzi z r. 1893 i była ogłoszona
w «Kwartalniku Historycznym» z tego roku.

Zamierzam w rozprawie niniejszej poruszyć kwestyę i dla badaczy prawa polskiego i dla numizmatyków nieobojętną, mianowicie pytanie, dotyczące owych stałych kar pieniężnych, w starodawnych ustawodawstwa polskiego pomnikach, w księgach sądowych i w dokumentach tak często wspominanych, których tradycyjne nazwy, jak *siedmdziesiąt*, *piętnaście* i t. d., a rzeczywiste znaczenie wartościowe, o ile tylko pamięć dziejowa zasięga, najzupełniej się rozmięły. Jeszcze Czacki w głównem swem dziele nie dostrzegał tej między nominalną a istotną ich wartością zachodzącej różnicy. Pierwszym, który zwrócił na to uwagę i starał się wytłómaczyć tę sprzeczność, był Lelewel. Po tym początku, niemal wszyscy uczeni nasi, którzy czy to z wydawnictwem źródeł dziejowych, czy z prawem polskiem, czy z historią narodu naszego, rozważaną pod wewnętrznym, społeczno-dziejowym względem mieli do czynienia, podejmowali ponownie to pytanie. Nikomu jednak dotąd nie udało się rozwiązać zagadki. Co do niektórych tylko z pomiędzy tych kar jest obecnie wiadomem, jakie kwoty rzeczywiście one znaczyły. Waler innych jednak nie odgadniony. A powód, dlaczego tamte tak nieodpowiednie znaczeniu swemu nosiły nazwy, jak i związek i stosunek jednych do drugich, stanowi przedmiot dociekania najzupełniej do tej pory nadaremneho.

groszy, a drugie 5 k o p stronie pokrzywdzonej. Otóż widzę w tych dwóch okupach dwie *quinguinty*; albowiem kopa czyli 60 groszy razy 5 czyni 300, a 300 groszy tworzyło w owym czasie tam na Mazowszu 10 grzywien, licząc po 30 groszy na grzywnę w myśl ustawy zakroczymskiej z r. 1412 (*Ius Pol.* Bandtkie, p. 430). Spyta kto może: dlaczego tu nie nazwano tej kary wręcz »pięćdziesiąt«, ale ją przeliczono na kopy? Dlatego, że tam na Mazowszu, od niejakiego już czasu w t e d y, t. j. w r. 1478, *quinguinta* miała różne i inne, niższe znaczenia, jak to niżej opowiem; do wyroku na mężobójców niższenia te jednak nie miały mieć żadnego zastosowania i właśnie przeto dawny właściwy walor tej kary został tu na inną przeliczony rachubę, na kopy groszy.

W r. 1255 Kazimierz ks. kujawski wystawia dla wsi Warty przywilej przeniesienia tejże na prawo niemieckie (Rzyszc. II. nr. 64). Przyznaje w nim dla wszystkich tej osady mieszkańców wolność, sądy i zwyczajne prawa średzkiego: „*sed hoc excipimus* (a zatem te dalsze słowa są tu wyrazem woli tego księcia, a nie wynikiem prawa niemieckiego), że jeżeli Polak Niemca zabije albo Niemiec Polaka, to podlegnie sądowej karze trzech grzywien (= XV); a jeżeli Niemiec zabije Niemca, to kara zato podług prawa niemieckiego ma być wymierzana — z czego mnie będzie się należało 10 grzywien, z których jednak coś (podług drugiej kopii, 5 grzywien) opuszczę«. Otóż i w tym razie wynikały te 10 grzywien z tytułu pewnie *quinguinty*, z którejto kwoty w niniejszym razie jedynie z łaski i na mocy specjalnego przywileju rozkazuje książę od pierwszych ściągać tylko 3, od drugich 10 grzywien, a i te także nie całkowicie, a może tylko w połowie pobierane być miały. — Tensam widok wyjątkowo niżającego się w oczach naszych waloru kary »pięćdziesiąt« mamy i w innych dokumentach z XIII stulecia. W r. 1254 Bolesław Wstydlivy, a w r. 1284

Leszek Czarny nadają przywileje, pierwszy dla krakowskiego, drugi dla sandomirskiego kościoła ¹⁾, w których tak: Askryptów swoich za popełnione zbrodnie sądzi sam kościół i kary na nich nałożone bierze dla siebie. A jeżeli poddany kościoła zabije obcego (t. j. nie z dóbr kościelnych) człowieka, to będzie winowajcą karę zagłówną składał świeckiemu sądowi, „*ita tamen, quod tantum tres marcas solvat argenti*“. Każdy widzi, że te 3 grzywny przedstawiają tu już zníženie jakiejś dawniej większej kary, zapewne *quinguaginty*. I dowodzić też tego niema tu pewnie żadnej potrzeby, że było to jedynie wyjątkowe, tylko przez wzgląd na kościół dla niego zníženie, a nie dla wszystkich.

Otóż na podstawie powyższych dat, których szereg możnaby jeszcze, gdyby koniecznie o to chodziło, nieco przedłużyć, opieram przypuszczenie moje, że normalny walor kary *L* w XIII wieku wynosił 10 grzywien.

Później, a po części już w rzezonem stuleciu, podlegała ta kwota dla sfer pewnych wprawdzie różnym zníženiom, te jednak jako wyjątkowe i tylko udzielane przywilejami, tego wniosku nie obalają i mają w kwestyi naszej tylko drugorzędne znaczenie. Nie przywiązuje także wielkiej wagi i do tego, co powiada o tych wszystkich grzywnach karnych Ms. Elbląski, mianowicie, jakoby w ogólności trzy takie nominalne grzywny szły na jedną rzeczywistą. Sam ten Ms. w konkretnych razach popada często w sprzeczność z tem swoim powiedzeniem, widocznie bałamuci i zdradza albo mylną informacyę albo chyba jakiś zamęt w tamtejszych stosunkach sądowych ²⁾.

¹⁾ Kod. kat. krak. nr. 41. Kod. MPol. nr. 104.

²⁾ Tak n. p. powiada w art. XX, że kara 6 grzywien znaczy 9 skojców; dodaje jednak, że pobłażliwy sędzia poprzestaje i na 5 albo 3 skojcach. O karze Trzystu poucza nas, że to znaczy 1 skot, albo kilka kur; a w art. XV prawi znowu o „des Ritters 300“, znaczącem 8 skojców, i „des Gebuers 300“, wynoszącem

niewłaściwem to nazwał, że księgi sieradzkie pod nazwą *Quinquaginta* przywodzą karę, którą była wedle niego i tam kara *Quindecim* (str. 236): to ja sądzę, że co do tego ostatniego punktu stanowczo się pomylił.

Nadmieniłem wyżej, że *Quinquaginta* tam gdzie ją zatrzymano, podlegała później różnym co do wartości swojej niżeniom. To się głównie odnosi do księstwa mazowieckiego, w którym tak w praktyce sądowej, jak i w ustawodawstwie przechowywała się ta kara aż do końca oddzielności Mazowsza, lecz jako pojęcie, nie tylko coraz innego w postępie czasu znaczenia, ale nawet w jednym i tym samym czasie kilka różnych dopuszczające znaczeń. Znaczyła to albo owo — jak dla kogo.

W XIII wieku należała ona do kar największych i mieć musiała normalny jeszcze swój walor, skoro np. Konrad mazow. w r. 1222 oddaje wprawdzie wymiar sprawiedliwości nad poddanymi klasztoru czerwińskiego opatowi tego klasztoru, z wyjątkiem jednak spraw cięższych, mianowicie takich, które karę *L* pociągały za sobą¹⁾. W dalszem stuleciu poczynają się excepcye i różniczki, dziwny tam zamęt wprowadzające w ustawodawstwie i sądownictwie. Inicytorem tego bałamuctwa, o ile wnosić można z faktów dla nas wiadomych, był Janusz I książę czersko-warszawski. Zaraz w pierwszych latach długiego panowania swego (1379—1426) od tego zaczął, że w roku 1381 darzy jakiegoś ulubieńca swego (żadnym wtedy niezaszczyconego urzędem, więc młodego pewnie człowieka), Bokse z Karniewa, takim przywilejem (= Archiw. Kom. hist. T. IV str. 333 nr. 43), że jeżeli kiedy tenże Boksa zo-

¹⁾ Kod. Rzyszez. I nr. 15 z r. 1222: Tamen illud excipio, quod causa *L* marcarum ad me deferatur. Ibid. nr. 16 z r. 1222: Poddani opata nie mają żadnemu innemu sądowi podlegać, jak tylko klasztornemu, excepta causa *L* marcarum, nostro iuri spectante.

stanie, czy to sam, czy który z potomstwa jego, zasądzony na jakie kary sądowe — czy to wielkie, czy małe: to takowych nie będzie płacił, o ile one przypadają dostojnikom uczestniczącym w wymiarze sprawiedliwości. Kar dla panującego zastrzeżonych jednakże opuszczać mu nie przyrzeka, owszem zastrzega, że je będzie i z niego ściągał. — Samo się pewnie rozumie, że i do kar, któreby na rzecz stron pokrzywdzonych były zadekretowane, nie mógł mieć ten przywilej żadnego zastosowania. Ale od kar, sądowi jako sądowi przypadających, będzie Boksa bezwarunkowo wolny. W 5 lat później dostąpił takiej samej prerogatywy, i także znowu dziedzicznie, pewien inny faworyt owego księcia, obdarzony przy tej sposobności i miastem Nasielskiem, Janusz z Radzanowa. («Archiw.» IV str. 347 nr. 51 z r. 1386). — W roku 1400 zachodziły jakieś między tymże księciem a biskupem plockim zatargi — z jego strony gwałty i najazdy, z biskupa strony wyklęcia, słowem obustronna zawziętość taka, że aż trzeba było komisji, która ich wreszcie zbliżyła do siebie — za cenę (jak to zawsze u nas w takich razach bywało) różnych ustępstw na rzecz kościoła, a między nimi i tej koncesyi, że ilekroć jaki członek korporacji duchownej w dyecezyi plockiej, więc choćby i prosty pleban albo wikary, w procesie sobie wytoczonym, zasądzony zostanie na *Quinquagintę*: to pod tą nazwą nie zapłaci sądowi większej kwoty, jak 35 groszy, z których dla księcia będzie przypadają 20 groszy, dla sędzi 10, a dla podsędka 5. (Kod. Maz. nr. 137). Otóż mamy przed sobą już przykład dwojakiego znaczenia kary *L*: albo groszy 35, albo (dla innych) w dawniejszej wartości. Przypuszczam, że stronie pokrzywdzonej i proces wygrywającej musieli ci duchowni i nadal składać to, co jej się należało, w wysokości właściwej, więc jeżeli *Quinquagintę*, to całą. Ale w stosunku do sądu znaczyła ta kara, ze strony duchowieństwa, tylko 35 groszy. A poza duchowieństwem, zachowywała na-

wet i w stosunku do sądu dawny swój walor. — W kilkanaście lat później i to się zmieniło. W roku 1414 wychodzi od księcia Janusza następujące dla wszystkich już jego poddanych rozporządzenie (»Kod. Maz.« N. 151). W sprawach o krzywdy (*iniuriae*), dochodzących aż do kary *L.* nie będzie się nadal broniło stronom po wytoczeniu procesu pogodzić się przed wydaniem wyroku. Jeżeli się pojednają przed utwierdzeniem sporu (*ante litis contestationem*), podlegają tylko karze Jednane zwanej, która za każdy termin (*pro quolibet actu citationis, in se magnas sive parvas poenas panczdzessant continente*) będzie wynosiła tylko groszy 15. Jeżeli się zaś nie pojednają, wtedy podług dawnego zwyczaju będą sądzeni i kary sądowe *more solito* płacą, ale w takim oto wymiarze: kara pięćdziesiąt grzywien na rzecz sądu przypadająca nie będzie wynosiła więcej, jak groszy 50¹⁾. Otóż więc trzecie znaczenie *Quinquaginta* w mazowieckiej czersko-warszawskiej dzielnicy w obrębie pierwszych 14 lat XV w.

Wątpić nie można, że działo się to samo i w drugiej t. j. plockiej dzielnicy²⁾. Kiedy bowiem po wyga-

¹⁾ Ten punkt ostatni tak brzmi w oryginale: Item ob merita nostrorum fidelium damus eisdem (a więc jest to rozporządzenie nowe, teraz dopiero wchodzące w życie, i tylko z łaski księżęcej), quatinus a praedicta poena pienczdzessant, nobis et successoribus nostris per 20 grossos, iudici per 10, subiudici per 5, et universis dignitariis nostris, ad quos ipsae poenae de iure spectare videbuntur, per 3 grossos solvere teneantur. Ponieważ z innego aktu tegoż księcia Janusza (z nr. 137 w Kod. Maz.) wydanego w r. 1400, wiemy, że tymi do percepty uprawnionymi dygnitarzami innymi byli podkomorzy, kanclerz, woźny i jeszcze jacyś dwaj inni, a zatem pięciu: więc po 3 grosze przypada na nich razem kwota 15 groszy, a te w połączeniu z tamtymi 20, 10 i 5 groszami czynią sumę 50 groszy.

²⁾ Wskazują na to nawet i pozytywne przykłady, choć w mniejszej ilości nam znane. Tak np. dokument Ziemowita IV ks. plockiego z r. 1382 dla Abrahama ze Szczytna, oddrukowany w tomie V »Hist. Liter.« Wiszniewskiego, str. 367.

śnieciu męskiej linii tych plockich książąt, puścizna ich do Korony wieclona została i mianowicie ziemia rawska, część składowa tego plockiego księstwa, najpierw inkorporowana do Polski, w r. 1462 otrzymywała swój przywilej od króla Kazimierza Jagiellończyka (*Cod. Epistolaris*, tomu I część II nr. 192): zatwierdza Kazimierz wszystkim ziemi rzeczonyj mieszkańcom przywileje od książąt dawnych nabyte, a między nimi i ten, że kary sądowe t. j. należytości przez sąd pobierane, ściągane będą i nadal w dawnych kwotach, a mianowicie kara zwana pięćdziesiąt grzywien w kwocie 50 groszy¹⁾.

W księstwie czersko-warszawskiem, oddzielnie istniejącem aż do r. 1526, szły potem te zniżania kary kwestyonowanej jeszcze dalszą koleją. Konrad III książę czerski (1454—1503, prawnuk Janusza I) zniżył ją dla kmieci na 40 groszy (Bandtkie, *Ius Pol.* str. 453): ten rodzaj *quinquaginty* zwał się tam odtąd karą czyli winą kmiecią. Brat jego Bolesław V, ks. warszawski, w r. 1480 zmniejszył tę należytość sądową dla biskupa i kanoników plockich z owych w r. 1400 dla nich zawarowanych 35 groszy na tylko 13; a na dwa lata przedtem, w r. 1478, wystawił dla Jana z Radzanowa kanclerza swego taki przywilej, że od niego i od prawych jego potomków nie miały sądy w razach przegranego procesu z tytułu *quinquaginty* więcej dostawać, jak $3\frac{1}{2}$ grosza (»Kod. Mazow.« nr. 246 i 244). Dla tej rodziny, co prawda, nie było to złagodzenie kary, lecz zaostrenie. Dziad bowiem tego kanclerza, Janusz z Radzanowa, w r. 1386 otrzymał był od księcia Janusza I zupełne jej uchylenie i to dziedziczne, jak to wyżej

¹⁾ Poenasque in iudiciis, alias iudiciales, ibidem solvi consuetas, similiter dabunt et solvent, videlicet poenam dictam vulgariter píanthdziesianth, quinquaginta grossorum i t. d.

już nadmienilem ¹⁾). Kiedyś później, około r. 1488, w którym zszedł z świata Bolesław V bezdzietnie, skasował on nawet zupełnie tę należytość sądową dla wszystkich swych poddanych w swem księstwie (Bandtkie, *Ius Pol.* str. 456 daje to rozporządzenie w całości, lecz z niemożliwą, pomyłką datą). — Rzecz dziwna, że pomimo tego później, na zjeździe warszawskim w r. 1531 orzeczono, że *poena L* dla całego Mazowsza, a więc i dla księstwa warszawskiego, wynosi 50 groszy, z którejto kwoty miało przypadać dla starosty 20 groszy, dla sędziego 10, dla podsędka 5, dla podkomorzego 6, dla wojewody 3, dla chorążego 3 i 3 dla kanclerza (*Ius Pol.* Band. str. 372).

Kiedy się patrzy na ten cały przebieg kurczącej się coraz bardziej kary *L* w Mazowszu, doznaje się wrażenia, że tam kary łagodniały stopniowo, aż wreszcie spadły do nic prawie nie znaczącego pozoru. Otóż ostrzec należy, że więcej w tem złudzenia, niż rzeczy. To się tak tylko ze stanowiska ustawodawstwa przedstawia. Praktyka sądowa, uprzytomniona nam zapiskami sądowymi, zebranymi w wydanej przez księcia Tad. Lubomirskiego Księdze ziemi czerskiej z lat 1404—1425, dowodzi zgoła czego innego. *Quinquaginta* na papierze za panowania Janusza drobnieje, lecz sądy jego przywracały równowagę pośród tej ciągłej chwiejności. Albowiem widzimy tu aż zbyt często zasądzenia na *duplex poena LL*, na *triplex poena LLL*, na *quatuor poenae LLLL*. i t. d. aż do 10 -- ba nawet w pojedynczych razach na 34 i t. p., a raz aż na 80 *poenae* z tą cyfrą *L* tyleż napisaną tu razy ²⁾). Nieodżałowana szkoda, że te zapiski tak są zawsze stylizowane krótko, że z nich

¹⁾ Jan (Janusz III) ks. płońsko-mazow., brat tych książąt, w r. 1486 zniżył karę *L* dla Bertranda Niemierzy na tylko 10 groszy. Obacz Wiszn. Hist. Lit. T. V p. 368.

²⁾ Cf. zapiski N. 279, 1603, 1637 i t. d. Zdarzają się i zapiski, gdzie powiedziano, że kilkakrotne kary *L* bierze książę, a strona tylko XV, np. N. 839, 988 i t. d.

nikt nie wyrozumie, ile na te wymiary grzywien wpływała karogodność winy, a ile dowolność sędziów. Tak np. 34 kar *L* w r. 1423 płaci (komu? czy tylko sądowi, czy i stronie przeciwnej?) jakiś Powala „*quia non dedit Jednane*“. Miałaby to być cała jego zbrodnia? A 80 *quinquagint* *luit* w r. tymże 1423 jakiś *Prandota de Przeworsko erga Stephanum* z Ryczywołu — ale za co? nie zapisano.

W tych też tylko multiplikacyach kary *L*, tak powszechnej i utartej w Mazowszu, upatrywać pewnie trzeba jedyny powód zjawiska, że się w ustawodawczych i dyplomatycznych zabytkach tej prowincyi nie spotykamy już wcale z karą *septuaginta*. W Małopolsce, w wieku XIV, widzimy w praktyce tylko *LXX*, *XV* i *VI* grzywien. W Mazowszu — tylko *L*, *XV* i *VI* grzywien. Żeby się przeto te dwie najwyższe kary, *LXX* i *L*, miały wyłączać wzajemnie — o tem ani myśleć. W wieku XIII istniały obydwie wszędzie, jedna obok drugiej ¹⁾. Później jednak w MPolsce *L* co do nazwy zdaje się znikać, a taksamo w Mazowszu rzecz się ma z *septuaginta*. Pomniki jednak ustawodawstwa Mazowieckiego poczynają się dość późno (z rokiem dopiero 1377); więc z milczenia o karze *LXX* w tychże pomnikach trudno wnosić, żeby jej tam i przed epoką ową nie miano znać. Tem bardziej, że uboczna nazwa tej kary: »przezmiłostna« (w właściwej Polsce »niemiłościwa«), jak słyszę, ma się trafiać w t. zw. Zwodzie praw mazowieckich Prażmowskiego z r. 1531, dotąd niedrukowanym w pierwotworze łacińskim.

¹⁾ Tak np. zna je obydwie Ms. Elbląski, stan rzeczy wyobrażający w ziemi chełmińskiej ku końcowi XIII stulecia. Znają je obie i szląskie, niemniej kujawskie dokumenty z XIII w., że tu tylko nr. 66 z r. 1286 w T. I Kod. Rzyszcz. przypomnę: *caput, septuaginta, quinquaginta non solvant*. Znało je i Mazowsze w XIII w. Obacz np. przywilej Konrada maz. z r. 1239 dla bisk. kuj. i inny z r. 1242 dla bisk. pł., wł. i arcyb. gn. (Rzyszcz. II Nr. 24 i 32): *quum videlicet solutio se extendit ad LXX marcas.*

Quindecim, XV.

Nad znaczeniem kary Piętnaście nie ma powodu dłużej się zatrzymywać. Znaczyła rzeczywiście trzy grzywny, a powiadają nam to liczne, różne, zupełnie wiarogodne i od siebie niezależne, tak dawne jak i późniejsze świadectwa. Z XIII wprawdzie wieku żadne źródło dziejowe wyraźnie nie poucza nas o tem, choć gołosłownych z jednej strony o karze trzech grzywien, z drugiej o karze *Quindecim* wzmianek w nich nie brak: ale bo też z tego czasu nie mamy jeszcze zapisek sądowych. Od czasu jednak, gdzie takowe się poczynają (koniec wieku XIV), raz po raz trafiamy w nich na wykład znaczenia tej kary, a to w słowach jak np. *N. tenetur tres marcas ratione poenae vituperii*; — *C. tenetur III marcas ratione poenae XV pro vituperio*; — *Judicium decrevit intromissionem... pro tribus marcis poenae XV*. Albo i bez dodatku, z jakiego tytułu miał kto płacić owe 3 grzywny: *D. poenam trium marcarum remansit*; — *N. tenetur III marcas iudicio*; — *Albertus incurrit poenas Mathiae (jako stronie) trium marcarum et regi XIV marcarum (= LXX) i t. d.*¹⁾ W tymże sensie tłómaczy piętnadziestą i t. zw. kodeks Sierakowskiego statutów wiślickich (zaraz na 1 karcie). Wreszcie stwierdza to i dokument z r. 1465 cytowany przez Lelwela, zawierający jakiś układ między opatem lysogórskim a Janem z Mościc, gdzie powiedziano: *poena quindecim alias III marcarum, quae vulgariter pietnadsziescia dicitur* (=Polska wiek. śr. III wyd. z r. 1859 str. 79).

W Mazowszu kiedyś pod koniec XV wieku kara Piętnaście podlec musiała redukcji, a to na groszy 30. W Księdze czerskiej ukazuje ona jeszcze pełne swoje

¹⁾ »Starodawne prawa pol. Pomniki«, T. II nr. 15 z r. 1394; T. VII nr. 27 z r. 1397, nr. 34 z r. 1398; nr. 549, 553, 560 z r. 1428; T. VIII nr. 7038, 7097 z r. 1398 i t. d.

znaczenie; tak np. zapiska nr. 988 z r. 1417 orzeka: *N. ducati* (dla księcia) *LL, et Stanislao* (jako stronie) *III marcas vulgariter piącznadzescze*. Znachodzą się też w tej księdze przykłady podwójnej, a nawet i potrójnej kary XV (nr. 306, 367, 279 i t. d.). Na zjeździe jednak warszawskim r. 1531 już o niej mówią jako wynoszącej tylko 30 groszy, i że ta kara tylko na rzecz strony samej, a nie i na rzecz sądu przypada. (Bandtkie *Ius. Pol.* str. 372).

Duodecim, XII.

W dalszym wywodzie może uda nam się wartość kary t. zw. »dwunastu grzywien« oznaczyć. W tem miejscu jednak, na podstawie pozytywnych źródeł dziejowych, nic się o tem nie da powiedzieć. Dokumenta z XIII wieku kilka razy ją wspominają, i mówią o niej widocznie jako o jednej z kar mniejszych; np. przywilej szląski z r. 1253 (*Urkundensammlung* Tzschoppogo i Stenzla nr. 42): *Sive sit iudicium XII marcarum, sicut pro furto, sive maius...* Ale co znaczyła, milczą. Ms. Elbląski także o nią potrąca, lecz bez takiego wykładu, któryby był możliwym. W zabytkach z XIV stulecia nie przypominam sobie miejsca, gdzieby o niej (pod tą nazwą *Duodecim*) mówiono. Reluicya, gdybyśmy ją znali, możeby się znalazła, ale nazwa poszła już w zapomnienie.

VI marcae vulgariter »Sześć grzywien«.

Pod taką polską nazwą zwykle ta kara, nawet wśród łacińskiego tekstu, bywa wspomniana i to w sensie jednej z pomniejszych. Wzmianek o niej już w XIII-wiekowych pismach jest mnóstwo; lecz tylko dwa dokumenta dają niejakię punta oparcia do wyrozumienia jej znaczenia wobec tego stulecia. Są to dwa przywileje św. Kunegundy z r. 1268 (Kod. MPol. nr. 474 i 475), w których ta księżna oznajmia, a to z okazji mają-

ych powstać w okolicy Sącza dwóch osad, że dla osadników tych swych wsi z miłosierdzia zniża karę sześciu grzywien na 4 i na 2 skoty, mianowicie na 4 skoty wtedy, jeżeli proces aż do złożenia przysięgi postąpił (*si iuratum est*), a na 2 skoty, *si non iuratum est*, t. j. jeżeli się strony pojednają przed złożeniem jeszcze przysięgi. Równocześnie i to w tych dokumentach powiada, że jeżeli będzie chodziło o sprawy bagatelne, pociągające za sobą (w razie zasądzenia strony proces przegrywającej) wyrok na karę Trzystu, to zniża to Trzysta na 2 skoty, *si iuratum est*, a na 1 skota, *si non iuratum est*. Z tego zdaje się wynikać, 1) że kara Trzystu wynosiła połowę kary Sześciu grzywien, i 2) że Sześć grzywien w pełnym swoim (niezniżonym z miłosierdzia) walorze znaczyło 6 skotów; tak się bowiem kwoty te na 6, 4 i 2 skoty, i na 3, 2 i 1 skot najlaciej rozkładają. Jest to jednak na razie tylko moje przypuszczenie, którego trafność dopiero innemi świadectwami, choćby z wieku XIV, mogłaby być stwierdzona. Z XIII w. brak takich świadectw¹⁾. Otóż w XIV-tym i XV-tym jest tych świadectw — przynajmniej co do

¹⁾ Co Ms. Elbl. o karze Sześciu grzywien prawi, że to znaczyło 9 skotów, a jeżeli sędzia łaskaw, to i mniej, np. 5 albo 3 skoty — uważam albo za świadectwo dowolnej w tamtych stronach praktyki albo za bałamuctwo pisarza tej księgi. Może się komu będzie wydawał ten zarzut zbyt śmiałym. Zważmy jednak, że i kopiści statutów wiślickich w wykładzie Sześciu grzywien niepomniernie bałamucili. Sam wprawdzie kodeksów rękopiśmiennych tych statutów nie porównywałem. Przypuszczam jednak, że nie mylił się Lelewel, kiedy powiada, że odpisywacze i tłómacze rzeczonych statutów reluowali poenam VI marcarum na najrozmaitsze kwoty: na $\frac{1}{2}$ grzywny, na 8 groszy, na 5 groszy bez 2 kwartników (co by czyniło $\frac{2}{3}$), na 6 groszy, na 1 grzywnę groszy i t. d. Ani jeden z tych wykładów nie ma żadnej podstawy! A przecież ci kopiści, jeśli nie wszyscy, to niektórzy, musieli jednak należeć do cechu kauzyperdów. Jeżeli tym uchodziło pleść bajki, to dlaczegoż tylko tamten miałby być nieomylnym?

znaczący, któreto silikwy w dobrych swoich czasach ważyły po 2.27 gramów srebra, z czasem jednak mało co nad połowę tej wagi¹⁾: więc przyjąć można wartość wspomnianego tu skota za równą tamtoczesnej silikwie, na 1.30 gr. Tyle właśnie, jak przypuszczona przez nas wyżej przeciętna waga normalna polskiego pieniądza z czasu przed Bolesławem Śmiałym.

Sztuk takich 24 tworzyło całość, której waga w przybliżeniu na 31.17 gramów wypada. Jeżeli przypuszczam, że taka całość wtedy u nas nazywała się grzywną, to oczywiście nie rozumiem tego ani w tym sensie, żeby to słowo grzywna było przekładem na język polski postronnego wyrazu *Mark*, po łacinie *marca*, ani też żeby miało z tem pojęciem jaką wewnętrzną styczność. Wyraz słowiański grzywna jest nierównie dawniejszy i ma całkiem inny początek: nazczył właściwie naszyjnik, a następnie i naramiennik czyli naręcznik, t. j. obrączkę do noszenia na szyi albo na ręce. (*Griva* w staroindyjskim języku kark; stąd też i u nas grzywa *die Mähne*. Grzywna jest formą zdrobniąłą grzywy, jak panna deminut. pani, gnieźno właściwie gniezdno, demin. gniazda i t. d. Sam ten też wyraz obrączka wskazuje pochodzenie swoje od ręką i jest takiemsamem deminut. tego słowa). Naszyjnik bywał ze srebra albo z innego kruszcu. Jego wartość czyli waga -- najrozmaitsza. Ale ów wymiar, przyrównany tu do wagi około 31 gramów, musiał znaczyć: albo minimalną wagę naszyjnika srebrnego, albo zredukowaną na srebro wartość ozdoby takiej nierównie cięższej z innego kruszcu, np. z bronzu. Że zaś obok tego miała grzywna i znaczenie pewnej

¹⁾ Wspomniana wyżej rozprawa Soetbeera, Tom I str. 274: *Siliqua* (normalnie = 2.27 grama) ważyła już za cesarza Walentyniana I († 375 r.) przeciętnie tylko 2 gramy, za Honorjusza († 423) już tylko 1.70 gr., za Justyniana († 565) około 1.30 gr. Saigi wagę mieć będziemy, biorąc te liczby w dwójnasób.

i w Mazowszu, nastąpiły różnice w obliczaniu wartości kary kwestyonowanej. Wprawdzie wszędzie widziano w niej i nadal $\frac{1}{4}$ grzywny czyli ferton, i to jak dla nas rzecz główna: ale wykład znaczenia fertona nie był odtąd już jednostajny. W Małopolsce, Łęczyckiem i Sieradzkiem znaczyła kara Sześć grzywien i po roku 1300 jak dawniej 6 skotów (czyli 12 groszy). Wprawdzie skot z przed roku 1300 a skot po r. 1300, jako $\frac{1}{24}$ grzywny nie był tą samą wartością: grzywna groszowa bowiem była od grzywny dawniejszej większa o $\frac{1}{3}$. Lecz w tych ziemiach nie uwzględniano tej różnicy w sądowej praktyce. W WPolsce przeciwnie podkładano — przynajmniej widzimy taką rachubę w zapiskach z końca wieku XIV i początku XV — karze Sześć grzywien znaczenie 8 skotów: dlaczego? nie jest dotąd wyjaśnionem. (Skotów 8 czyli groszy 16, jeżeli miały przedstawiać $\frac{1}{4}$ grzywny, toby to wskazywało na 64-groszową grzywnę, jaką była t. zw. morawska grzywna: może więc tę w WPolsce przez czas pewien brano tu za podstawę. Lecz kwestya ta nie daje się przy dzisiejszym stanie źródeł dostatecznie rozplątać).— Całkiem inaczej miała się rzecz w Mazowszu. Tu grzywny Wacława o 48 groszach nie przyjęto, trzymano się po dawnemu i w dalszych wiekach grzywny chełmińskiej czyli toruńskiej, t. j. grzywny dawnej polskiej z przed roku 1300. Ale w skutek coraz podlejszej monety, wybijanej tak przez Krzyżaków, jak i przez następujących ich mazowieckich książąt, nie miała ta ich grzywna już wtedy ani nawet tej wartości, co grzywna polska z przedgroszowej epoki. Redukowana na grosze polskie, liczyła ich nie 40, jak być było powinno, ale mniej, mianowicie w wieku XIV 36, w XV 30, a później, już pod koniec XV stulecia, nawet tylko 20. Pomimo tego, te 36, względnie 30, 20 groszy nazywały się tam grzywną (toruńską czyli mazowiecką). A ferton takiej grzywny równał się z 9, $7\frac{1}{2}$, względnie z 5

groszami. W XV wieku znaczyl groszy $7\frac{1}{2}$ ¹⁾. Otóż tak też karę »Sześć grzywien« wyklada w r. 1414 Janusz I ks. czersko-warszawski w swym już wyżej tu cytowanym dokumencie z tego roku (Kod. Maz. nr. 151), zaprowadzającym takse t. zw. Jednane go, gdzie wysokość należytości tej określa słowami: „*duas poenas Sex marcar. sześć grz. dictas, quindecim grossos in se continentes*“ ²⁾. Taką ewaluację »Sześci grzywien«, w ilości $7\frac{1}{2}$ grosza, stwierdził i Zjazd stanów mazowieckich warszawski r. 1531, dołączając do orzeczenia tego i tę wiadomość, że z tej sumy przypadają dla starosty 4, dla sędziego 2, a dla podsędka $1\frac{1}{2}$ grosza.

Trecenta, CCC.

Ta ze wszystkich kar pieniężnych najmniejsza, pod nazwą Trzystu niknie w źródłach XIV stulecia. Jednakże XIII-wiekowe dokumenta i inne pisma często o niej mówią, a to np. w takich słowach: ...*nisi quum iudicati fuerint ad poenam trecentarum vel sex aut quindecim marcarum* (Kod. MPol. nr. 60 z r. 1262); — *sive sint trecenta sive sex marcae sive duodecim sive etiam quinquaginta* (Kod Tyn. nr. 23 z r. 1268); — *si condemnati fuerint in trecentis...* (dok. z r. 1258); — *quum iudicati fuerint ad trecentorum...* (z r. 1262. Hube, »Prawo w XIII wieku« str. 157) i t. d. *Ius polonicum militare*, około r. 1233 szlachcie ziemi chełmińskiej przez Hermana Balka nadane, często aplikuje tę karę: między

¹⁾ Dobitnie to wypowiada ustawa Zakroczymska z r. 1412, Bandtkie »Ius Pol.« str. 430.

²⁾ Miejsce to samo w sobie nie jest dość jasne; możnaby je bowiem i tak tłómaczyć, że dwie kwoty sześć grzywien zwane zawierały w sobie 15 groszy, i tak, że każda z nich tyle zawierała. Otóż przywilej rawski Kazimierza Jagiell. z r. 1462 (Cod. Epist. I cz. II nr. 192) usuwa tę wątpliwość. Powiada bowiem, że z łaski dla swych rawskich poddanych kasuje poenam dietam Jednane scilicet quindecim grossos. A więc niewątpliwie obie »sześć grzywien« razem wzięte, wynosiły 15 groszy.

innemi podpada jej taki w dobrach jakiego rycerza osiadły prostego stanu mieszkaniec (*Undirsass*), któryby sprawę do sądu dziedzica wsi przynależną wywlekał przed sąd rządowy. Za to pominięcie dziedzica winien mu karę Trzystu. Jednakże znaczenie wartościowe tej kary w pomniku tym zostaje zagadkowe. I w Ms. Elbląskim w kilku miejscach spotykamy się z karą *Dreihundert*. Znajdujemy w nim (w art. XX) wielce szacowną i pożądaną wiadomość, którą przyjąć można bez żadnych zastrzeżeń, że znaczyła ona kiedyś dawniej 300 grudek czyli kruszów soli i że od tego przysła do takiego nazwiska. Co jednakże manuskrypt ten o jej pieniężnym walorze podaje, mianowicie, że obecnie sędziowie — zamiast owej soli, biorą od winowajcy z tytułu Trzystu po 1 skocie, lub też po 4, 2 kury albo i jedną: nie na wiele nam się przydaje, ponieważ w innym miejscu (w art. XV) autor znowu co innego powiada. Tu on rozróżnia dwie Trzysty: *des Ritters Trzysty* ma znaczyć 8 skotów, a *des Gebuers Trzysty* — 3 skoty. Jeżeli z tem porównamy, to com już wyżej (str. 24) o dwóch dokumentach św. Kunegundy z r. 1268 nadmieniał, gdzie karę Trzystu ta księżna dla swych sandeckich poddanych zniża na 2 i na 1 skota: to się nastęrcza wykład i tego miejsca i tamtego w Ms. Elbl. taki, że Trzysty rzeczywiście znaczyło 3 skoty, zamiast których jednak w pewnych razach od biedaków przyjmowano z miłosierdzia i mniej, mianowicie $\frac{2}{3}$ albo $\frac{1}{3}$ tej kwoty, czyli 2 albo 1 skot. Właściwy zaś walor Trzystu, t. j. 3 skoty, znaczyłby $\frac{1}{3}$ grzywny, i to jest ostatnie słowo, dające się o tem na podstawie źródeł dziejowych powiedzieć. W tej chwili jednak jest ono tylko domysłem, którego wartość trzeba będzie innymi sposobami próbować.

Owoż przechodzę do tych »innych sposobów« i zbieram w jeden pogląd wszystko wyżej powiedziane, jak następuje.

Trzy wyższe kary: *LXX*, *L* i *XV*, stanowią razem jeden łączny system, a to o tyle, że rzeczywiste ich znaczenie ma się do ich nazwy, jak 1 do 5. Znaczą $\frac{1}{5}$ nominalnej swej wartości.

Trzy kary mniejsze: *XII*, *VI* i *CCC*, nie mogą do tego systemu być zaliczone, choćby tylko z tego powodu, że ani liczba 12 ani 6 przez 5 podzielić się bez ułamka nie daje.

Mówmyż na razie więc o tamtej jedynie zrozumialszej nam kategorii.

Jeżeli kara, rzeczywiście tylko 14 grzywien wynosząca, nosi nazwę 70 grzywien (a to samo rozumieć i o obydwóch drugich): to ta nazwa 70 datuje z czasu, gdzie rzeczona kara istotnie 70 grzywami była spłacana. A to znaczy, że w onych czasach wynosiła grzywna srebra tylko $\frac{1}{5}$ część wartości i wagi późniejszej naszej grzywny, jak ją znamy w naszej denarowej czyli przedgroszowej epoce.

Ta nasza denarowa grzywna z przedgroszowej epoki miała się do grzywny kolońskiej w przybliżeniu, jak 2 do 3. Kolońska grzywna waży 233.78 gramów. Zatem tamta nasza ważyła c. 155.85 gramów (tyle zawierała srebra, ile go jest w dzisiejszych 14 zlr. w. a. ¹⁾).

¹⁾ Friedensburg, Schlesiens Münzgeschichte, w T. XIII Cod. dipl. Silesiae, str. 23 i nast. — Grünhagen Regest. nr. 1372 i 1373 z roku 1271. — Wyrozumienie wagi grzywny naszej denarowej (z przed r. 1300) nie jest bynajmniej rzeczą tak łatwą, jakby się komu może zdawało. Niejeden mógłby sądzić, że dość będzie wiedzieć, ile denarów szło na tę grzywnę (szło ich 240, o czym donosi nam pewien dokument szląski z r. 1291, zarejestowany u Grünhagena pod Nr. 2197); dalej ile taki denar waży: i pomnożywszy tę wagę denara przez 240, otrzymać kwestyonowaną wagę grzywny. Otóż wiedzieć należy, że na tej drodze nikt do celu nie dojdzie, a to z tego powodu, że moneta bita czy to gdzieindziej, czy u nas, nigdy nie miała takiej wagi, jaką mieć była

Od kiedy ta grzywna denarowa stała się u nas obowiązującą stopą menniczną — nie jest wiadomem. Lecz to pewna, że za rządów Mieczysława I, Bolesława Chrobr. i zapewne Mieczysława II nie służyła ona jeszcze za podstawę bitym w Polsce monetom. Waga tych monet dawniejszych, porównana z denarami, jakie się u nas poczynają za Bolesława Śmiałego, dowodzi że się tamte opierały na jakiejś nieco odmiennej stopie albo rachubie.

Przypuścimy, że tą inną stopą była grzywna, trzymająca $\frac{1}{5}$ grzywny naszej następnej. W takim razie ta $\frac{1}{5}$ ważyłaby gramów 31·17, ponieważ 155·85 grm. podzielone przez 5, daje tę liczbę.

Czy nie popadamy na bezdroża, czy nie popełniamy dziwactwa, przyjmując za rzecz możliwą, żeby najdawniejsza ta grzywna nasza coś tak drobnego była miała przedstawiać? Czy gdzie zachowała się jaka pamięć, jakiś ślad, jaki cień egzystencyi u nas grzywny srebra o tak nikłych wymiarach?

powinna; ważyła bowiem zawsze znacznie mniej. Powtóre, monety z tamtych wieków, nawet tegosamego typu, nigdy nie mają równej wagi, ponieważ były bite zawsze *al marco*, t. j. ku temu tylko zmierzając, żeby z grzywny srebra była wybita pewna przez rząd oznaczona ilość monet, ale nie żeby jedna moneta drugiej zupełnie dorównywała w wadze. Bywał z tego taki wynik, że każda z tych monet przedstawia inną wagę. To też wspomniany tu uczoney niemiecki Friedensburg doszedł wagi grzywny szląskiej w tamtych wiekach, która była identyczną z polską grzywną, zapomocą dokumentu internacjonalnej osnowy, dającego pewniejszą podstawę do wyrozumienia tej kwestyi. Mianowicie zachował się dokument, a raczej dwa dokumenty z r. 1271 (zregestrowane u Grünhagena pod Nr. 1372 i 3), których treść następująca. Włoch kapelan papieski Bartolomeo Carencioni, zamieszkały w Rzymie, posiadał jakąś prebendę katedralną w Wrocławiu; dochód z niej roczny wynosił 15 grzywien (polskich). Z kilku lat nie wypłacano mu tego dochodu, więc się o niego w r. 1271 upomniał. Owoż w dwóch krótko po sobie następujących przesyłkach spłacają mu kanonicy należytość na razie za 2 lata ubiegłe. Za jedno z tych lat posłano mu $1\frac{1}{2}$ grzywny grupek złota. Za drugi rok posłano mu 10 grzy-

Nie byłoby pewnie dziwnem, gdyby śladu takiego nie było. Ale co jeszcze dziwniejsze, to że jest, że się zachował, że się już nawet po wydaniu wiślickiego ustawodawstwa jakby z pod ziemi odezwał. A odezwał się w takiej sferze, która chyba sama jedna mogła w pamięci i praktyce przechowywać tradycję owej przastrej grzywny — w sferze lichwiarskiej, u Żydów.

W r. 1399 d. 3 lipca w Poznaniu (snać po wełnianym, wesoło spędzonym jarmarku!) dwaj utracysze wielkopolscy, jakiś Mikołaj z Wargowa i druh jego także Mikołaj z Pigłowie, wystawiają cyrograf (»Kod. WPol. nr. 2007), w którym zeznają, że mają dług zaciągnięty u dwóch żydków poznańskich i przyrzekają go spłacić za 4 miesiące. W roli poręczycieli jawi się jeszcze dwóch innych szlacheiców (imiona tych, jak i żydów pomijam), i występują w tej sprawie *coniuncta manu*. Dług ten wynosił... 7 grzywien, każda po 6 groszy praskich (*in quamlibet marcam sex grossos pragenses monetae polonicae numerando*) i jest

wien (kolońskich) i 3 skoty w srebrnej monecie. Dalsze przesyłki miały później nastąpić. — Owoż złoto miało wtedy 10-krotną wartość srebra. Jeżeli mu zamiast 15 grz. srebra posłano $1\frac{1}{2}$ grz. złota, to go w ten sposób zaspokojono. Co do grzywien srebrnej monety, nie jest wprawdzie powiedziane w tym dokumencie, jakichto 10 grzywien zamiast 15 polskich jemu posłano; ponieważ jednak skąd inąd wiadomo, że kurya rzymska w tamtym czasie tu kolońską zawsze grzywnę obliczała swoje rachunki ze Śląskiem, więc i tym razem musiały to być grzywny i skoty kolońskie. Jeżeli 10 grzywien kolońskich równało się z 15 polskimi grzywnami, to równała się grzywna kol. z półtorą polską, czyli grzywna polska znaczyła i ważyła $\frac{2}{3}$ grzywny koloń. A że wagę grzywny koloń. powszechnie obliczamy na 233. 78 gramów, więc $\frac{2}{3}$ części tej wagi dochodzą do 155.85 grm. — Mogłaby tu jeszcze zachodzić mała wątpliwość co do owych 3 skotów, które oprócz 10 kol. grzywien temu kanonikowi posłano. Prawdopodobnie było to jakieś agio, dopłacone z powodu mniej dobrej jakości śląskiego srebra. — Ponieważ powyższe obliczenie denarowej grzywny naszej zyskuje i z innej jeszcze strony (jak niżej zobaczymy) poparcie, więc zdaje się, że można na niem polegać.

wyższej kary tylko trzy grzywny srebra: to każdy widzi, że te (rzeczywiste) trzy grzywny srebra są tu ewaluacją XV grzywien karnych, a koncesya dla kościoła polegała na tem, że dawniej za zabójstwo placono wyższą karę, L. Gdybyśmy przypuścili, że te trzy grzywny srebra (w myśl ms. elbląskiego i odpowiednio do mniemanego stanu rzeczy w XIII jeszcze stuleciu) były ewaluacją opartą na stosunku 1 : 3, to techniczna nazwa tej ewaluowanej kary brzmiałaby 9 grzywien. A czy kto o karze *IX marcae* co słyszał? — Tegosamego dowodzi i dokument Kazimierza kujawskiego z r. 1255 dla wsi Warty (Rzyszc. II Nr. 64). Zabójstwo popełnione między ludźmi mieszanej, polskiej i niemieckiej narodowości, pociąga za sobą (oprócz głowszczyzny) karę dla sądu trzech grzywien (rzeczywistych); zabójstwo między Niemcem a Niemcem — karę dla księcia dziesięciu grzywien. Ani o 9 grzywnach karnych ani o 30 w tamtoczesnej Polsce nie słychać. Były to zatem ewaluacje, nie na stosunku 1 : 3, ale na 1 : 5 oparte, ewaluacje kary *Quindecim* i *Quinquaginta*. — Albo wreszcie ów dokument lokacyjny św. Kunegundy z r. 1268 dla osad w Sądeckiem (Kod. MPol. Nr. 474 i 475). Kara sześć grzywien — z miłosierdzia (jak się ta księżna wyraża) znaczy 4 skoty po przysiędze, 2 skoty przed przysięgą; bez miłosierdzia, normalnie, nie powiedziano ile. Kara Trzystu — z miłosierdzia, po przysiędze 2 skoty, przed przysięgą 1 skot; normalnie, nie powiedziano ile. Niechże mi kto ten rebus rozwiąże ze stanowiska Ms. Elbląskiego, t. j. mnożąc te kwoty 4, 2 i 1 skota przez 3.

A zresztą, gdyby to w ogólności prawdą być miało, że aż do końca XIII w. trzy grzywny karne liczyły się na jedną rzeczywistą grzywnę, od połowy zaś XIV wieku liczyło ich się pięć: to wypadaloby z tego, że powiększenie naszej grzywny na pograniczu wieku XIII a XIV zaszło takie, że grzywna z przed r. 1300 czyli denarowa miała się do następnej grzywny (zwiększonej

groszowej), jak 3 : 5. I tak też tę rzecz przedstawia mój recenzent, wyrażając się (str. 636), że »wartość grzywny pieniężnej z XIII wieku o $\frac{2}{5}$ się podniosła« (za Kazimierza W.). Sam jednak dalej (na str. 638) sobie samemu przeczy, kiedy tu za Friedensburgiem, którego »niedoścignionym badaczem i znawcą numizmatyki« nazywa, a więc zgadza się z nim, oblicza wagę grzywny w XIII w. na 158.883 (recte 155.853) grm.¹⁾, a wagę późniejszej na 197.814. Stosunek tych dwóch wag, 155.853 (a choćby 158.883) do 197.814, jest przecież jak 4 : 5, a nie jak 3 : 5. Zatem tylko o $\frac{1}{5}$ wagi a nie o $\frac{2}{5}$ podniosła się nasza denarowa grzywna, przekształcając się na groszową. I nie stało się to dopiero za Kazimierza W., ale co najmniej już za Władysława Łokietka.

2. Przechodzę teraz do innej wątpliwości, mianowicie do spornego pytania: czy ta pierwotna grzywna o 31.17 grm. przedstawiała grzywnę pieniędzy — czy przeciwnie tylko grzywnę pewnych naturaliów, jak np. woły, sól, płótno, skórki zwierzęce i t. p. Z pomiędzy szan. mych recenzentów jeden (Przyborowski) uważa ją zgodnie ze mną za grzywnę pieniędzy. Drugi (Piek. str. 638) tego jest zdania, że »grzywna karna jako grzywna pieniędzy nie istniała nigdy, a mogła tylko istnieć jako grzywna wartościowa, t. j. przedstawiająca inną jak pieniądze wartość, mianowicie surogaty pieniędzy«, i tu mimowoli nasuwa mu się grzywna kun przedewszystkiem. — Uznaję, że wszystko, co tu mówi p. Piek., jest i ciekawe i słuszne — ale jedynie o tyle, że w najgłębszych czasach, wtedy kiedy

¹⁾ W trzech miejscach dzieła swego podaje Friedensburg wagę grzywny z przed r. 1300: na str. 4, 24 i 315. Na str. 4, najważniejszej, bo tu przeprowadza rachunek, a taksamo i na 315, wynosi ta waga 155.853 grm. Na str. 24 widocznie tylko przez pomyłkę druku dano natomiast 158.853 grm. Nasz autor przyjmuje tę drugą wagę, ale ją jeszcze nie wiem dlaczego zmienia na 158.883.

się po pierwszy raz pojawiła ta grzywna jako środek i ustopniowana miara karania przestępstw, była pewnie składana w surogatach. Jednakże w dalszym okresie, w tej epoce gdzie obok naturalistów już i pieniądz służył za środek wymiany handlowej, a zatem na pograniczu tamtych poza horyzontem dziejowym leżących stosunków a historycznym okresem, musiała ta grzywna surogatowa być już zredukowaną na pieniądze i jako o takiej mówią o niej nasze najdawniejsze pomniki.

Inaczej bowiem jakże rozumieć, jeżeli Mieszko Stary w swym dokumencie z r. 1177 (Kod. WPol. Nr. 22) na każdego winowajcę, któryby się poważył niepokoić klasztor Lubiąski w posiadaniu Słupi, z góry nakłada "karę Siedemdziesięciu grzywien srebra i to najczystsze" (*purissimi*). Zdaje się przecież z tego wynikać, że gdyby ktoś tę karę w surogatach, np. w kunach przynosił, toby takiej nie przyjęto; a jeżeliby ją przyjęto, to przedewszystkiem obliczonoby, zredukowanoby ją na srebro lub na pieniądze. A że takie było wtedy postępowanie w sądach, o tem świadczy współczesny temu księciu Kadłubek. Opisuje on z oburzeniem sekatury, jakie się działy w kraju Mieszka Starego, jeżeli kto za przewinienie jakie został skazany na grzywny. "Zabiłeś niedźwiedzia w lesie (powiada w swej kronice, Mon. Pol. II str. 380 i n.) — przyjąłeś w służbę obcego człeka, który może był wolnym, a może już czyim poddanym, a tyś go sobie przywłaszczył — poturbowałeś Żyda — czyjeś bydło w swoim obejściu zająłeś... Tak? Płać skarbowi *Septuagintę!* A dziękuj Bogu, że w denarach tę karę przyjmujemy, boś właściwie powinien w czystym kruszcu (więc w bryle) ją złożyć. Na takie dictum, obwiniony rad nierad przynosi *Septuagintę*, zaczyna liczyć denary... Wtem kasyer na to: "Fi fi! patrzcie tylko na tego błazna! Czy on z nas drwi? Toż on jakimiś plewami, miedzianymi blaszkami chce się z kary wykręcić! —

Płacę przecie bieżącą monetą, odpowiada winowajca, bo na taką karę jestem skazany. Nie bratku, odpiera urzędnik, masz płacić pieniędzmi naszego księcia, a nie taką plewą! — A cóż ja temu winien, że mi monetnik takich dostarczył pieniędzy? — »Nie składaj winy na monetnika, ale płac coś powinien!« I tu (dodaje kronikarz) okazują mu jakąś monetę umyślnie na takie wypadki wybitą, z czystsze go srebra, jakiej mieli kilka tuzinów denarów pod ręką, i w takiej każą mu złożyć karę. A że tej nie mógł dostarczyć, więc mu grabią dobytek, samego biorą pod klucz i t. d.

Z tego zdaje się wynikać, że w tamtych czasach, w wieku XII, choć już wtedy w monetarnych stosunkach inna grzywna była zaprowadzona, po dawnemu rozumiano przez grzywnę karną przedewszystkiem przecie karę pieniężną.

To jednakże nie wyklucza przypuszczenia, że dawniej, a nawet i wtedy jeszcze, mogły być z a m i a s t pieniędzy, albo o b o k pieniędzy spłacane należitości i surogatami. Tak np. już i w powyższym przez Kadłubka opowiedzianym wypadku widać, że byliby od skazańca owego przyjęli i srebro w kruszcu, gdyby je był przyniósł zamiast obiegowej monety. To srebro byłoby także surogatem monety, ale surogatem przecie jednak odmierzonym na pieniądz, odważonym na grzywny.

Mamy nawet pozytywne przykłady opłat, niekoniecznie karnych, ale podatkowych, jak myta, cło, świętopietrze, dziesięcina kościelna i t. d., gdzie należitość jest wymierzona bądź to łącznie na pieniądz i naturalia — bądź na pieniądz albo na surogat — lub też wreszcie tylko na pewien surogat.

Tak np. powiadamia nas dawniejsza Szląska Kronika ¹⁾, pomnik wprawdzie dopiero z końca XIII w., który jednak pewnie tu mówi o stanie rzeczy pamięt-

¹⁾ »Mon. Pol.« III str. 620.

tanym, a może nawet i praktykowanym jeszcze w tych czasach, że z tytułu świętopietrza płacono z rozporządzenia papieskiego od czasu Kazimierza Mnicha począwszy, corocznie od każdej rodziny na Szląsku jeden denar z wyobrażeniem św. Jana albo dwie ćwiertnie (*mensurae*) owsa. — Należytości dziesięcinne w krajach słowiańskich za Odrą i na Pomorzu (w pierwszych czasach po nawróceniu pewnie i w Polsce), w wieku X i dalszych aż do XII wieku, składano w jednej części w denarach, w drugiej w naturaliach, t. j. równocześnie i koniecznie jedno i drugie¹⁾. Quanta były wedle wieku i kraju różne, np. 5 denarów, 10, 12 denarów z każdego radła czyli lanu; naturalia także niezawsze w tejsamej mierze i w rozmaitych artykułach, jak len, żyto, inne zboża. Lecz to zasada, że jedno o bok drugiego. — O cle (targowem), tylko w naturaliach płaconem, daje wiadomość dokument miechowski z r. 1198²⁾, który przedstawia w Skaryszowie, wsi posiadanej przez tenże klasztor miechowski, taki przez Kazimierza Sprawiedliwego tam ustanowiony stan rzeczy, że wolno tu było każdemu nie opłacając cła przywozić na targ, co mu się podobało, ale z wyjątkiem soli i śledzi. Od woza soli należało cło płać i to główkami soli (*capita salis*): 50 główek dla księcia, 12 dla klasztoru. Od woza śledzi — 50 śledzi na rzecz książęcej kamery, a 12 dla klasztoru³⁾. — Ciekawy jest wizerunek mytowych należytości, z dawien dawna w Olesznie na Szląsku (dziś Rosenberg) i w Siewierzu płaconych, o których rzecz

¹⁾ Helmold, Kronika słowiańska I ks. rozdział 12 i 14; a dalej tejże księgi rozdz. 87. — »Monum. Pol.« II str. 19. Hasselbach, Dyplomatarjusz Pomorski Nr. 16 i str. 311.

²⁾ Kod. MPol. Nr. 375. W Kod. WPol. Nr. 34.

³⁾ Aby rzecz ściśle przedstawić, dodaję że i od innych na targ przywożonych rzeczy pobierał sobie klasztor pewne od przekupniów opłaty, ale od tych artykułów nie płaćto się cła książęcego. Składał klasztor za ten przywilej kasie książęcej coroczny ryczałt — 3 grzywny obiegowej monety.

w dokumencie już wyżej (str. 43) wspomnianym biskupa wrocł. Wawrzyńca z r. 1226 ¹⁾). Rycerstwo, księża, celnicy, monetnicy i posłańcy książęcy byli tu wolni od myta. Wszyscy inni je płacili, a to w następujących kwotach. Każdy pieszy lub konno jadący tędy z towarem, jeżeli to nie byli krajowcy, płacił po 2 denary opolskie. Od każdego zaś wozu wyladowanego ołowiem albo czembądź innym — niemniej od niewolnika lub niewolnicy prowadzonej na sprzedaż — albo albo od Żyda tędy przechodzącego — brano po 1 skocie srebra. Od każdego woza śledzi z Kujaw do Moraw przejeżdżającego tamtędy, pobierano w naturaliach 30 śledzi. — Z czego wynika, że te 30 śledzi były pewnie ekwiwalentem skota, skoro w tem piśmie jest powiedziane, że od wozu z jakimkolwiek towarem tyle płacono, pod co i śledzie dają się subsumować. Skot, $\frac{1}{24}$ tamtoczesnej o 240 denarach grzywny = 10 denarów (mniej więcej 60 ct. naszych dzisiejszych). Skoro zaś 10 den. = 30 śledziom, więc za denara 3 śledzie.

3. Gdybyśmy mieli więcej dat takich, jak dwie powyższe, mianowicie że 2 ćwiertnie owsa a denar, i że 3 śledzie a denar, były wartościami które się pokrywały; gdyby daty tego rodzaju nie pochodziły z różnych wieków, ale odnosiły się do pewnego tego samego czasu, a nadto gdyby tu i inne jeszcze wątpliwości nie przeszkadzały, np. niewiadomość ile wtedy trzymała mensura zboża ²⁾): nietrudno byłoby utworzyć sobie o tem wyobrażenie, w jaki sposób wartości naturaliów, jak zboże, sól, srebro, śledzie, skórki zwierząt i t. d. w wieku nieistnienia jeszcze pieniędzy tak

¹⁾ Grünhagen, »Regesten Schles.« Nr. 293.

²⁾ Za czasów Długosza, jak z jego »Libri Benef.« wynika, mensura czyli ćwiertnia zboża tworzyła $\frac{1}{4}$ spada (*modius*), a trzymała 3 korce (*corus*). Te miary mogły datować z najgłębszej starodawności, ręczyć jednak zato nie można, czy w ciągu czasu nie zmieniły się i pod tym względem stosunki.

względem siebie były unormowane, że ruch handlowy i opłata danin, kar i podatków mogła być uskuteczniata zapomocą tych surogatów bez krzywdy dla jednej lub drugiej strony. Moznaby wtedy wywieść z tego i początek pieniężnej grzywny. Niestety na takich punktach oparcia nam zbywa. Tyle jednak dyktuje sama natura rzeczy, że nieunikniona chwiejność i dowolność w wartościowem ustopniowaniu tych wtedy surogatów pieniędzy, od tej dopiero chwili mogła wejść w pewne jaśniejsze stadyum, kiedy się w kraju pojawiła moneta. W niej znaleziono najdogodniejszy środek sprzedaży i kupna. Wedle niej zaczęto oznaczać wzajemną wartość rzeczy, tak iż nawet w takich razach, gdzie nie płacono monetą, była ona już stałą miarą regulującą ceny. To też i kary, pierwotnie tylko wartościowe, w naturaliach, zredukowane zostały na pieniężne.

Monetą, o której tu mówimy, był w tamtych wiekach przyjęty w całej pewnie Europie srebrnik, nazywany denarem, pieniądzem (*pfenning, nummus*). Przypuszczam że u nas w pierwszych wiekach i skotem go zwano. Waga tego pieniądza nie była jednostajna, raz dlatego że go wszędzie wybijano tylko *al marco*, a potem że i jego proveniencya, czasowo i miejscowo różna, nie mogła nie wywierać na jego wewnętrzny walor pewnego wpływu. Pomimo tego obiegowa wartość takiego srebrnika nie podlegała różnicy. (Typy pomniejsze, zdawkowe monetki, o ile gdzie wtedy istniały, tych oczywiście nie mieszano z denarem). W kraju mianowicie naszym ani względna różność wagi ani obcokrajowość monet nie zwracała wtedy na się uwagi. Dowodem tego, co tu mówię, są nasze wykopaliska, a im z wcześniejszych panowań pochodzą, tem wymowniej to ilustrują. Tak np. wykopalisko Jarocińskie w W Polsce w r. 1878 odkryte, a o ile wnosić można między r. 1012 a 14 powierzone ziemi, ukazało — na 781 sztuk wogóle znajdujące się w niem monety — pieniądźw niemieckich, włoskich, anglosaskich i nie

dających się bliżej oznaczyć, lecz obcych, sztuk 658; arabskich 11, bizantyńskie 2: a tylko 110 takich okazów, o których z pierwszego wejrzenia możnaby sądzić, że były krajowe. Lecz i z tych stosunkowo mała tylko ilość może być poczytana za polską monetę, gdyż po największej części były to czeskie denary¹⁾. Rozróżnić między nimi polskich a czeskich niełatwo nawet wtedy, kiedy imię panujących jest na nich położone, mianowicie imię Bolesław. Na jednego bowiem u nas wtedy Bolesława Chrobrego miały Czechy w latach od 936—1003 aż trzech książąt tegosamego imienia (Bolesław Okrutny, Pobożny i Rudy, czyli I, II i III). Otóż już samo to tak blizkie podobieństwo monet polskich i czeskich daje wnosić, że w tamtych czasach żaden polski monarcha nie łamał sobie głowy nad obdarzeniem kraju swego pewną odrębną narodową stopą menniczną, ale dozwalał obiegowi bez różnicy obcej monecie, a kiedy dawał bić i własne swoje pieniądze, to tylko na podobieństwo obcych, w pierwszej linii na podobieństwo czeskich, jak znowu i czeskie na typach niemieckich i anglosaskich przeważnie się wzorowały. Chodziło głównie o to, ażeby pieniądz krajowy był takisam jak postronne i żeby miał nieutrudniony obieg i w internacyjnych stosunkach. — Wszystkie te tamtoczesne denary, pomimo względnych między sobą różnic, ukazują wagi takie, że dziś można przyjąć za przeciętną ich wagę w przybliżeniu 1.25 grm., a 1.30 za tamtoczesną ich wagę że tak powiem obowiązkową czyli normalną.

Co się tyczy specjalnie polskich monet, patrzmy co o nich podają nasi znawcy tego przedmiotu. W dziele Stronczyńskiego z r. 1884, przedstawiają typy od Nr. 5—22, które autor do naszych trzech lub czterech pierwszych książąt odnosi, wprowadzie znacznie niejednostajne w swych różnych okazach wagi, przeciętna

¹⁾ Wł. Jażdżewski, Wykopalisko Jarocińskie, Poznań 1879.

watny, nieurzędowy charakter takich kościelnych zapisek nie uwłacza wiarogodności. Odrębność osobnych części składowych, jakie tej bulli służyły za podkład, jasno z całego składu onej widnieje. Łączą się one z sobą dość luźnie, za pomocą ciągle się powtarzającego słówka *Item*. Porównanie tych wszystkich przez *item* spojonych z sobą składników, jednych z drugimi, przekonywa dostatecznie, że ich nie stylizowała ręka i odrębność jednej osoby — nie mówię w kancelaryi papieskiej, ale ani nawet w gnieźnieńskiej. Widocznie przedłożono redaktorowi rzymskiemu do spożytkowania aglomerat artykułów, układanych w przeróżnych, odległych od siebie czasach, przez ludzi i wprawą pisarską i stopniem inteligencji jak najmniej sobie podobnych. Szereg to notat, zapełniający przestrzeń wieku od założenia arcybiskupstwa aż do lat bliskich czasowi wydania bulli niniejszej.

Ponieważ mało który z mych czytelników będzie miał Dyplomatarysz Wielkopolski pod ręką, który daje tę pamiątkę pod Nr. 7, przeto nie waham się stać tu na samym czele dosłowny i cały tekst tejże, skracając tylko nagłówek jako dla nas obojętny, i dzieląc ciąglą jednolitą osnowę tego dokumentu na 10 poszczególnych, liczbami oznaczonych ustępów, dla ułatwienia sobie rozbioru każdego z nich po kolei. Zresztą niczego tu w tekście jej autentycznym nie zmieniam.

* * *

Innocentius episcopus servus servorum Dei, venerabili fratri Jacobo Gnesnensi archiepiscopo (etc...)-
Quam ob rem venerabilis frater Jacobe tuis postulationibus clementer annuimus et Gnesnensem ecclesiam... apostolicae Sedis privilegio communimus, statuentes, ut quascunque possessiones... juste et canonice eadem ecclesia possidet,... firma tibi tuisque successoribus

serventur. In quibus haec propriis nominibus exprimendo subjunximus:

I. De Gnezden, de Ostrov, de Lecna, de Nakel usque ad fluvium Plitviza, de Landa, de Calis, de Chezram, de Ruda plenarias decimationes annonae, mellis et ferri, tabernarum, placitorum, pellicularum mardurinarum et vulpinarium, porcorum, telonei, tam in ipsa civitate, quam per omnes transitus civitati vel castellis nominatis adjacentes.

II. Item provincia de Znein cum decimis, cum foro, cum lacubus et cum omni juriditione seculari his contenta villis: Grochovisca cum his possessoribus: Dureviz, Radenta, Mislac, Sirac; Stari Biscupieci cum his: Navos, Ruz, Sul, Balovanz, Vitossa, Pantis, Zmarse, Miloch, Craic, Negloz, Conus, Dal, Marlec, Ciz, Posbech, Redanta, Zmogor, Domc, Digoma, Gobilea, Parech, Clobuchec, Pampic, Candera, Comor, Sdomit, Pandetech; quorum quidam in Zagorin manent. Scaple cum his: Ocroz, Smars, Cynela, Zdevy, Sarnota, Sulec, Milochat, Chrap, Dlotla, Tais, Goli, Sedlon, Costol, Milich, Lederg, Sulirad, Puca. Item Syrdnieci cum his possessoribus: Carna, Dobeč, Miley, Snovid, Targossa, Tyrpis, Mesec, Mantina, Lovanta. Item Potulino cum his: Svires, Boranta, Curassec, Selistriy, Redec. Item Opole cum his: Chotam, Sulislav, Miley, Dobros, Vssebant, Vissima, Radotech, Cosussec, Sue, Nadey, Miloz, Volis, Dvisen, Crostavez, Goli, Crost, Cussa, Domasca, Rados, Sostroch, Nessul, Teples, Miley, Milachec et Mogilec, Sobanta, Nemiris. Item in Villa Sagitariorum: Golec cum sociis suis. Item Dochunov cum his: Zach, Osar, Dalost, Siman. Item Gorice cum istis: Carnes, Povož, Belina, Reck, Milic, Nesnavy, Buza, Miley. Item Dochunov cum his: Trup, Gores, Dobrina, Crston, Negloz, Drogomizl, Pantis, Guze, Lucha, Miley, Deventliz. Bezcrist cum possessoribus: Brodec, Chuz, Chropec, Blis, Niudas, Radost, Broda. Item Villa Piscatorum cum his:

Vsemir, Miranta, Plaste, Vsemir, Grucha, Nemir, Cik, Pella, Crisan, Bogdan, Carz, Prussota, Potr, Sdanto, Piscor, Gomola, Blizuta, Sulidad, Sulis, Cecer, Rados, Vrotis, Godes, Ninomizl, Dal, Domazul, Dobrozodl, Ziroch, Glovca, Sirozlav. Item *V r u t i* cum his: Tessimizl, Brodic, Zmars, God, Cessimizl, Blizina, Tangomir, Zedlanta, Milovit, Precart, Trebna, Goles et Dalchic. Item *Vilchecov* cum his possessoribus: Ziroch, Unemizl, Stres, Chropec, Unca, Gostina, Parchina, Sinoch, Unevit. Item *Balovesici* cum his: Radost, Dobromisl, Cisan, Chelzt, Jes, Nevstrop, Razc, Chaianta, Rezc, Sdevy, Zarbinoviz, Milovan, Sodlc, Neznavy, Sulic, Quasca. Item *Lestniz* cum his: Milovy, Pribissa, Vilchanta, Malisca, Crusc, Bachora, Cyg, Balossa, Vssezodl, Jes, Trebomisl, Vilcan, Domay, Gan, Nemoj, Crston. Item *Chomantovo* cum his: Sulichna, Mislím, Suchora, Malozimiz, Sidlo, Jezor, Bichek, Redonc. Item *Silche* cum his: Silca, Milovan, Nezul, Radeta, Techuta, Zippen, Crepc, Zmil, Redos, Lestniza, Unemizl, Gamba, Bogumil. Item *Sodovo* cum his: Stanoch, Pislá, Boruch, Voian, Dargorad, Radost, cui primogenitus Rpis, Nesda, Vilcos, Serucha, Blizohe, Rados, Rados, Ruzoviz. Item *Dobrulevo* cum his possessoribus: Sulistry, Crostavz, Bzek. Item *Zvepavici* cum his: Cuz, Crotossa, Oslab, Sulivy, Radost, Cochán, Domavy. Item *Lissinino* cum his: Ponat, Quatec, Targossa, Stralec. Item *Skarbinichi* cum his: Budizlav, Mlodos, Vead, Zwar, Zlavie, Chestoch, Grochot, Sdan, Darsc. Hi omnes cum aliis advenis et omni posteritate archiepiscopales sunt.

Item villae archiepiscopales circa Gnezdñ: *Keblovo*, cujus possessores hi sunt: Dobron, Nenach, Uston, Radost, Crambos, Ciz, Sostros; item *Dambnicia Radovit* cum his ejus possessoribus: Smarcek, Doman, Sedlevit, Locana, Vestina, cum filiis eorum; item *Pischyno* cum his: Blize, Bogumil, Bogdan.

III. Item villa super flumen Vna, quam tenuit olim

Stan, arator episcopi. Item villae archiepiscopi circa Calis: Raysco et alia servidola, quam super Zvandri aquam appellaverunt Hllme et cum omnibus incolis suis. Item Sovici et Lochovici, Vzorovici, Malonovici, Bralici, Domanevici; et super aquam Oloboc Misentino, et super campum Dambasco omnes servi cum villa eorum. Item Gostonovici cum villa eorum. *Item villae archiepiscopi circa Zeraz: Zandeievici, Parno, Cluchici, Coberichezco, Gambiza, Jarotici, Manina — hae omnes cum possessoribus suis. Item villae circa Spitimir: Janovici, Tandov, Smolzco, Pricuna, Turcovici, Turcoviste, Uneievo, Karchovo, Milostovici, Gazovo et Clonova cum possessoribus suis.* Item Milodat cum villa et Zambatino, quae fuit Davgeri episcopi. Item Sulostovo super fluvium Tena.

IV. Item de Miliche castello, quod est de Vratizlavensi episcopatu, plenariae decimationes per totum ex hac parte Bariche. Item de castello Ziraz, Spitimir, Malogost, Rospra, Lunciz, Voibor, Sarnov, Skrin plenarias decimationes annonae, mellis, ferri, pellium vulpinarium et mardurinarum, de placito, de tabernis, de foris, de teloneo, tam in ipsis castellis, quam in locis eis adjacentibus; per omnes transitus de teloneo et decimali hebdomada, per omnes quotquot sunt de Chrustov usque in Vislam juxta fluvium Pelza. Item plenarias decimationes super eos, qui Treblevici et Radlici dicuntur.

V. Item Loviche cum decimis, cum villis et earum incolis, cum venatione, cum castoribus et cum omni penitus juriditione seculari, nulli praeter episcopum respondere habet.

VI. Item Nir per totum inter Tur et Cholm, cum castoribus et eorum custodibus, cum piscatoribus et villis eorum, tantum archiepiscopo pertinet. Item abbatia s. Mariae in castello Lanciciae cum centum servis et villis eorum, cum quatuor scilicet lacubus: Pretche, Chotle, Bezdeze, Brdowo. *Item Bralin cum sociis*

suis et vineis duabus et tutoribus earum cum villis suis, quarum una Plocensis. altera Vladislavensis castelli est. Pistores etiam et coci. agazones et sutores cum omnibus quae ministracione abbatiae eidem sunt ordinata.

VII. Item Manina ante castellum **Z a n d o m i r** cum rusticis et villis eorum et omnibus ad haec pertinentibus. Item castellum **Solche** cum omnibus pertinentiis nonnisi archiepiscopo pertinet. Item villa ante **Bitom** quae **Zversov** dicitur cum rusticis, argenti fossoribus, cum duabus tabernis, nonnisi ad archiepiscopi pertinet jurisdictionem. Item apud civitatem **Cracoviae** sal archiepiscopi qui **Babiza** nuncupatur, tantum suae respondet ditioni. Item villae archiepiscopi circa **Cracoviam** hae sunt: **Jurevici** cum villa eorum, **Dancovo**, **Conecheno**, **Tyrno**, **Chrostlino**, **Crolevici**, **Zrenava**, et super **Pregini Rudnici**: tam villae, quam possessores earum omni jure archiepiscopo pertinent. Item villa in **Zrem**, quae **Dolzeo** nuncupatur. Item villae archiepiscopales per **C u i a v i a m**: **Cholm**, **Conare**, **Bachora**, **Poddambia**, **Hermanovo**, **Drvalevo**, et hae omnes cum suis possessoribus de possessione archiepiscopali sunt.

VIII. Decernimus ergo, ut nulli omnino hominum liceat praefatam **Gneznensem** ecclesiam temere perturbare, aut aliquid de his ejus possessionibus auferre vel auferendo retinere, minuere seu quibuslibet molestiis fatigare. Si qua igitur in posterum ecclesiastica secularisve persona, hanc nostrae constitutionis paginam sciens, contra eam temere ire tentaverit, secundo tertiove commonita, nisi reatum suum congrua satisfactione correxerit, potestate honorisque sui dignitate careat, reamque se divino existere de perpetrata iniquitate iudicio cognoscat et a sacratissimo Corpore et Sanguine Dei et Domini Redemptoris nostri **Jhesu Christi** aliena fiat, atque in extremo examine distincte ultioni subiaceat. Cunctis autem eidem loco, quae sua sunt, servantibus sit pax Domini nostri **Jesu Christi**,

quatenus et hic fructum bonae operationis percipiant et apud districtum iudicem pacem inveniant.

IX. Adicimus itaque, ut nemini fas sit ecclesiam beati Adalberti super possessione rusticorum de cetero infestare aut eis exinde aliquam contradictionem inferre. Quorum vero nomina haec sunt: videlicet ad officia, ad officium agazonum hi sunt: Gostivvy, Voivuta, Nezamizl cum tribus fratribus, Goston, Datk, Radost, Mancossa, Nadey, Mozuta. Lagenarii vero sunt hi: Crisan et Subic cum fratribus, Bolech cum fratribus. Rustici vero sunt hi: Modlenta, Smogor, Gnevov cum fratribus, Tmina cum fratre, Piscla, Maruzc, Zandey, Domavy, Tycareviz, Smogor, Vitos, Russota cum filiis et fratribus. *Item juxta Ilme: Duluploz cum filiis et cum villa, Prozina, Dobrenta, Golec.* Hi vero sunt carpentarii: Vrest, Tys, Dulgota, Doman, Golian. Hospites vero sunt hi: Polc, Pocay, Tessanta, Lazina, Smars, Sulimisl, Vstech, Mantis, Godina, Panten, Cirnech, Modic, Goston, Dobes cum filiis, Milos, Cuassec. Milites quoque hi sunt: Zoba, Stoygnev, Mantis.

X. *Villae vero circa fluvium Ganzava: Rilevo, Podgorino, Zvepravici, Lizinino, Staribiskupici, Zagorici, Chomesa, Pnevo, Glovotino.*

Si quis autem contra hanc nostram institutionem temere ire tentaverit, excommunicationi subjaceat. Conservantes vero omnipotentis Dei et beatorum Petri et Pauli apostolorum ejus gratiam consequantur. Amen.

Tu następują podpisy papieża i kardynałów. Nakoniec data:

Datum Pisis... Nonis Julii, indictione XIV, anno MCXXXVI, pontificatus vero domini Innocentii papae II anno VII.

Powyższy przedruk Bulli tak jest dany, jak go mamy w Dyplomatarjuszu. Odmiennosc czonek kilku ustępow, odrukowanych kursywa, ma za powód tę

okoliczność, że co do nich przypuszczam, iż się dostały w nieswoje miejsce, że powinny były gdzieindziej być wstawione; któreto miejsca, zdaniem mojem dla nich właściwsze, wskażę w dołączonych uwagach. A teraz przystąpmy do rzeczy samej.

Uwagi do ustępu I.

Przedewszystkiem spotykamy się tu z pytaniem, co rozumieć przez te nazwy topograficzne, których wymieniono tu ośm i nazwano je na końcu *castella*: czy to są grody — czy grodzтва, kasztelanie, obwody? Dodane do wzmianki o Nakle „*usque ad fluvium Płytwica*” dostatecznie rozstrzyga, że nie o grodzie, nie o osadzie Nakle tu mowa, ale o grodztwie nakielskiem. Albowiem ta wtedy jeszcze rzeka Płytwica, już r. 1341 nazwana strumykiem (*rivulus*, Nr. 1202 Kod. dypl. W. Pol.), płynąca w zanoteckiej krainie począwszy od swego źródła koło Lachowa przez szereg jezior z północy ku południowi aż do rzeczki Rokitki, do której wpada niedaleko Mroczy, między Krukówkiem a Drażnem, stanowiła wschodnią (od strony Kujaw) granicę kasztelanii nakielskiej. Nakło samo do Płytwicy bynajmniej nie dotykało. W konsekwencji odpowiednio do tego rozumieć to samo należy i o wszystkich innych tu podanych nomenklaturach. Były to zatem kasztelanie, graniczące ze sobą i tworzące w tej północnej stronie obszar archidiecezyi gnieźnieńskiej, a zarazem służące i za źródło dziesięcinnych dochodów arcybiskupstwa. Granic tego arcybiskupstwa bulla niniejsza ani tu ni w dalszym tekście nie zakreśla, nie jest bowiem dokumentem fundacyjnym ani zatwierdzającym erekcyę, lecz protekcyjnym, t. j. poręczającym doczasne, świeckie, dochodowe prawa tego kościoła. Wszelako opisując obszar dziesięcinnych należytości, temsamem zakreśla i rozciągłość diecezyi. — Wchodziły zatem w terytoryalny obszar arcybiskupstwa w tej

północnej jego połowie kasztelanie: gnieźnieńska, na czele tu wymieniona jako centralna i stołeczna; następnie ostrowska, Gnieznu najbliższa (mowa tu o dawnym, dziś już nie istniejącym Ostrowie na wyspie lednickiego jeziora, 2 mile od Gniezna); dalej lekińska, położona więcej na północ; nakoniec nakielska, już za Notecią, stanowiąca wtedy najdalej ku północy wysuniętą część dyecezyi gnieźnieńskiej. — Od Nakła przechodzi bulla do obwodów z południa Gniezna leżących; więc nasamprzód do kasztelanii łądzkiej jako tu Gnieznu najbliższej; następnie do stykającej się z nią kaliskiej; potem do położonej nieco niżej i z kaliską graniczącej kasztelanii czestramskiej; wreszcie do rudzkiej czyli jak się zwała później, wieluńskiej. Ta tworzyła w tym wązkim, z północy ku południowi idącym, a zachodnią arcybiskupstwa połowę stanowiącym pasie ziem, prawie ostatnią kończynę. — Dlaczego zaraz w tem miejscu nie dano wzmianki i o rzeczywiście ostatniej z południa części archidyecezyi, to jest o oddzielonym przez rz. Barycz działku szląskiej kasztelanii milickiej, o którym opiewa dopiero ustęp IV — tego domyślić się trudno, jeżeliby miała być jaka zasadnicza przyczyna, a nie proste tylko zamieszanie w układzie. — Wspomniany na przedostatniem tu miejscu gród »Chezram«, Czestram, po dziś dzień mało komu nawet z nazwy znany. Nosi obecnie tę nazwę już tylko szczątek starodawnej warowni, to jest baszta niedaleko kościoła w Golejewku, wsi dzisiejszego powiatu krobkiego, leżącej w połowie drogi z Rawicza do Dupina. Wobec wiadectwa niniejszej bulli cała ta okolica czestramska musiała wtedy tworzyć ciągłą i niczem obcem nieodzieloną całość z innemi do gnieźnieńskiej dyecezyi należącemi ziemiami. Później, niewiadomo ani kiedy ni dlaczego, o tyle się to zmieniło, że cały dzisiejszy owiat krobki, równie jak okolice koło Raszkowa Ostrowa, przeszły z pod władzy arcybiskupiej pod

pastorał poznańskich biskupów. Tylko sam powiat krotoszyński (z miastami Krotoszyn, Kobylin i Zduny), położony między Krobią a Raszkowem i Ostrowem w pośrodku, pozostał jako odosobnione od reszty dyecezyi poznańskiej enklawe, po dawnemu przy kościelnej podległości Arcybiskupstwu, i tak to było aż do samego końca niezawisłej Polski. Niezwykłość tej jakby wyspy gnieźnieńskiej, okolonej obszarem innej kościelnej władzy, daje się tylko z tego punktu widzenia rozumieć. — Wspomniałem wyżej, że osady zwanej Czestram dziś niema. Od kiedyż znikła? Dyplomata Kazimierza W. z r. 1357 (Kod. W. Pol. Nr. 1354) wymienia ją jeszcze między osiadłościami tej okolicy, lecz już jako prostą tylko wioskę, będącą własnością w tamtych czasach nie arcybiskupa, ale kapituły gnieźnieńskiej. W dalszych zatem dopiero czasach upadła ta osada.

Z powyższych ośmiu kasztelanii dziesięciny kościołowi należne stwierdza tedy niniejszy ustęp bulli jako prawo arcybiskupa, wypowiadając dokładnie i to, z czego, t. j. z ilorakich źródeł dochodu krajowego mają te dziesięciny być uiszczane. Nie poprzestaje zaś na zwykłym daniny tej nazwaniu *decima*, *decimatio*, ale wypowiada z pryncypium (ponieważ się to i niżej kilka razy powtórzy) „*plenariae decimationes*“, t. j. że ma to być dziesięcina prawdziwa, zupełna i rzeczywista, a nie taka, jaką czasem tu i owdzie ołtarzowi wtedy składano także pod nazwą *decimy*, lecz tylko w surrogacie, dawanym i przyjmowanym z zamiast dziesięciny, pro decima, a nie będącym istotną dziesiątą dochodu częścią, lecz czemś mniej wartującym.

Zatrzymuję się nad tym wyrazem *plenariae* z tego powodu, ponieważ zdaje mi się, że za jego pomocą potrafimy powziąć wyobrażenie w kwestyi, która tu jest pierwszorzędnej ważności, mianowicie w którym czasie mogło zapaść postanowienie, ażeby dyecezya gnieźnieńska taką pełną dziesięcinę swemu arcybiskupstwu

rzowi składała, i z jakiego wieku mógł datować czy to dokument, czy archiwalna zapiska, z której niniejszy artykuł bulli został przejęty. Niniejszy ustęp w tym dokumencie papieskim tak jest zwięzły i lapidarnie stylizowany, tyle znamion w sobie łączy najodleglejszej przeszłości, że jeżeli która, to ta właśnie część jego mogłaby uchodzić za przejętek z dokumentu fundacyjnego arcybiskupstwa, wydanego przez Bolesława Chrobrego. I nie dziwić się też wcale, że niejednokrotnie wypowiedziano już zdanie, że to przekaz pierwszego założyciela, że to wynik układów między kurją rzymską a tym monarchą, które fundację tę poprzedziły, słowem że proveniencya tego ustępu tak jest dawna, jak arcybiskupstwo gnieźnieńskie.

Otóż zdania tego pomimo wszystkich jego pozorów ja nie podzielam i nie sędzę, żeby początek dziesięciny w tej pełnej formie miał jaką łączność z założycielem arcybiskupstwa. — Uiszczanie dziesięciny kościelnej stało się wprawdzie w zachodniej Europie obowiązkową, nawet i przez świecką władzę nakazywaną i poręczaną daniną od czasów Karola W. U świeżo nawróconych jednak narodów prawie nigdzie przez czas długi nie był obowiązek ten dosłownie wykonywany. Dawaly one oltarzowi pewien wymiar swoich dochodów, określony umową albo nakazem, który się dziesięciną nazywał i na której do czasu poprzestawali biskupi, ale który rzeczywiście jednak nią nie był. Znamy kilka listów fundacyjnych dla biskupstw założonych w krajach świeżo podbitych Saxonów i Słowian zaodrzańskich, tak z czasu przed wnijsiem Polski w poczet chrześcijańskich ludów, jak i po jej już nawróceniu. List fundacyjny dla biskupstwa w Verden, przez Karola W. w r. 786 wydany. Takiż z roku 946 Ottona I dla biskupstwa w Hawelbergu. Takiż tegoż cesarza, dla biskupstwa Brandenburskiego z r. 948. Dwa wreszcie dokumenta, przez cesarza Fryderyka I i księcia saskiego Henryka Lwa w r. 1170 i 1171 wysta-

wione, przy ostatecznej organizacji biskupstwa zwierzynskiego (Schwerin) w kraju Wagrów i Obotrytów¹⁾. W tych wszystkich dyplomatach mowa wprawdzie o dziesięcinie, nieraz z dodatkiem, że ją wszyscy dycecyzanie, „omnes nullo excepto“, biedni i bogaci, niekiedy nawet i z ilorakich dochodów swoich składać mają. Lecz zawarowania „plenariae decimationes“ nie znachodzimy w żadnym. I nie dziw. Dowiadujemy się bowiem, czasem ubocznie, np. od Helmolda, niekiedy nawet z samego dokumentu odnośnego dotatora fundacyi, że te rzekome „dziesięciny“ do czasu niepomniernie były nikłe i chude (*tenuis*, tak w co tylko zacytowanym dokumencie Henryka Lwa z r. 1171), ponieważ tylko pewien surrogat dziesięciny, więc *prodecima*, a nie prawdziwa dziesięcina bywała kościołom tym świadczona. Tak np. powiadamia nas wspomniany powyżej Helmold, że w jego ojczyźnie, w kraju Wagrów i Obotrytów, w wieku X t. zw. biskupownica nie więcej wynosiła, jak po jednej mierze zboża, 40 kit lnu i 12 denarów z każdego lanu²⁾. Biskupi ówczesni oldenburscy kontentowali się tą daniną, choć zapewne list fundacyjny tego biskupstwa, wprowadzonego w życie w r. 952, niestety nie zachowany do czasów naszych, i tam zapewniał im dziesięcinę, jak wszystkie inne dokumenta z owego czasu. Kiedy później (w w. XII) rozdzielono to biskupstwo na trzy osobne, na oldenburskie, racesburskie i wyżej wymienione zwierzynskie, postąpiła tam biskupownica od Słowian do nieco wyższego wymiaru. Nakazał im bowiem książę saski Henryk składać z lanu po 3 miary (modii) żyta i 12 denarów, t. j. tyle, ile Polacy i Pomorzanie uiszczają swoim biskupom. Wyraźnie to jako słowa tego niemieckiego herzoga wypowiada współ-

¹⁾ Hasselbach Cod. dipl. Pomeran. Nr. 1, 6, 7, 28 i 31.

²⁾ Helmold ks. I rozdz. 12 i 14.

zesny Helmold¹⁾. To tłumaczy, jak rozumieć owo jego wyrażenie w dokumencie zwierzysłkim z r. 1171, że dziesięciny od tych Słowian będą na razie *tenues*. Pojedzenie, że Polacy i Pomorzanie to samo kościółowi mają, odniesione do stanu rzeczy w r. 1171, nie jest ściśle zgodnem z prawdą, przynajmniej o ile to naszego kraju dotyczy. Rozbierana tu bulla gnieźnieńska z r. 1136 temu zaprzecza. Czy jednak nie był taki stan rzeczy u nas w pierwszych czasach po założeniu biskupstw, to inne pytanie. Co się tyczy Pomorzan, których biskupstwo wolińskie za sprawą głównie naszego Bolesława Krzywoustego stanęło między r. 1130 a 1133: wiadomo z bulli Inocentego II z r. 1140²⁾, jaki wymiar dziesięcinny tam wtedy obowiązywał: *de unoquoque rante*, t. j. z każdego poszczególnego pluga czyli aranu (radła), dwie miary zboża i 5 denarów. Za czasów Hermana Lwa mogło to być podrośnięte do 3 miar zboża i denarów 12. Ale dziesięcina prawdziwa nakładana Pomorzanom została i rzeczywiście zaczęła tam być dawana dopiero między r. 1176 a 1180, z okazji przeniesienia tego biskupstwa z Wolina do Kamienia (ostatecznej regulacji tej diecezji³⁾). A spojrzmy jeszcze, jak się ta sprawa przedstawia w Czechach. Za czasów Thietmara, pierwszego biskupa praskiego († 982), powiadamia nas Kosmas (I, rozdz. 40), że każda poszczególna huba (aratura) składała rzeczonemu biskupowi po 100 snopów zboża *pro decimatione*. Czwartemu z porządku biskupowi Okartowi (1017—23) uiszczano już więcej: każdy czy to możny i bogacz, czy

¹⁾ Helmold ks. I rozdz. 87.

²⁾ Hasselbach, Nr. 16. *Mon. Pol.* II str. 19.

³⁾ Klempin, *Pommersches Urkundenbuch*, Nr. 80. Jest to dokument biskupa kamieńskiego Konrada z r. 1181 dla klasztoru kolbackiego, w którym powiada: *Nam Domino adjuvante, per manum domini Alexandri papae († 1181) nobis quoque a subditis nostris decimas exhiberi obtinuimus, sicut consuetudo solempnis est ubique terrarum fidelibus populis.*

biedak, jeśli tylko własnym pługiem ziemię uprawiał znosił mu po dwa spądy (modii) zboża, jeden pszenicy, drugi owsa, od każdej aratury. Była i ta jeszcze ofiara pro decimatione, a nie decimatio istotna, jak dodaje tenże kronikarz. Prawdziwa dziesięcina w naturze czyli snopowa przyszła tam do skutku kiedyś później dopiero.

Kiedy się to wszystko rozważy, trudno przypuścić, żeby to ustanowienie dziesięciny plenarnej w Polsce było aktem już przez Bolesława Chrobrego spełnionym. Pomimo żarliwości religijnej i sławionej jeszcze w późnych wiekach szczodrości dla kościoła tego monarchy, i on musiał się liczyć z usposobieniem swego świeżo nawróconego narodu i nie mógł nań nakładać ciężarów, które przyłgnięcie ludu szczerze do nowej wiary byłyby tem trudniejszym czyniły. Przykład Czech jako kraju, który wtedy w rzeczach religijnych w pierwszej linii za modłę nam służył, nie mógł i pod dziesięcinnym względem nie regulować naszych stosunków. Trudno w to wierzyć, żebyśmy go mieli w tym kierunku prześcigać¹⁾.

Tak więc nie z czasu bytności Ottona III w Gnieźnie datowało pismo, które niniejszemu ustępowi bulli naszej służyło za podkład. Najprawdopodobniej rozporządził tak dopiero Bolesław Śmiały w r. 1075, kiedy legaci Grzegorza VII zjechali do Polski w tym wła-

¹⁾ Przypominam, że aż do r. 1230 w Mazowszu mieszkańcy nadbużańskich okolic składali swemu biskupowi plockiemu tytułem dziesięciny tylko 5 skórek łasiczych czy wiewiórczych od pluga. Dopiero Konrad mazowiecki uznał to za nadużycie i skasował ten zwyczaj. (Kod. Mazow. Nr. 3 i 7). Takim samym surrogatem zbywali do późna i Szlązacy biskupa wrocławskiego w niektórych stronach tej dyecezyi. Nawet układ, po dość przewlekłym sporze między księciem Henrykiem Brodatym a biskupem Wawrzyńcem roku 1227 zawarty, pozostawił ten status quo nadal w obrębie kasztelanii Wleńskiej.

śnie celu, jak zapowiada list tego papieża ¹⁾, by ustrój ostateczny kościoła w tem państwie tak co do liczby biskupstw, jako i uposażenia przeprowadzić odpowiednio duchowi czasowi i potrzebom obszernego tego królestwa. Naprowadza na ten wniosek późniejszości kwestyonowanego podkładu samo to tylokrotne powtarzanie tego wyrazu *plenariae*. Czyżby to słowo było tu tak koniecznie potrzebne, gdyby dziesięcina w Polsce od razu była taką — gdyby poprzednio nie była inną i dopiero skutkiem niedawnej reformy nie była się stała taką, jak ją tu bulla określa?

Co gdy tak jest, patrzmyż teraz, jakie dalsze stąd konsekwencye. Jest ich dwie. Pierwsza dotyczy układu bulli, nad którą się tu zastanawiamy. W ustępie I mówi ta bulla tylko o ośmiu kasztelaniach, stanowiących zachodnią połowę dyecezyi. Druga ósemka kasztelanii, tworząca obszar wschodniej arcybiskupstwa połowy, jest przedmiotem IV dopiero ustępu. Z tego rozłożenia jednej właściwie tylko rzeczy na dwa artykuły osobne, przedzielone czem innym, chciano taki wysnuwać wniosek, że to rzuca światło na dzieje, na powstanie gnieźnieńskiego arcybiskupstwa. Zachodnie kasztelanie miały pochodzić z pierwotnego uposażenia. Wschodnie miały przybyć do nich później i to kosztem dyecezyi krakowskiej. Do tej bowiem dyecezyi pierwotnie miały one należeć, a odpadły od niej z przyczyny, ażeby odszkodować gnieźnieńskie arcybiskupstwo za terytoryalne straty przy fundacyi biskupstwa kujawskiego. Ta więc, że tak powiem, w dwóch tempach odbyta budowa archidyecezyi miała dać powód do istnienia dwóch z osobna o każdym opiewających

¹⁾ Kod. dypl. W. Pol. Nr. 4. Czytamy w nim między innemi i następujące zdanie: *In hoc autem cognoscimus, quod excellentia vestra beatum Petrum sinceris affectibus diligit, quoniam gratuita devotione vestris eum oblationibus honorantes debitorem vobis fieri desideratis i t. d.*

zapisek czy dokumentów, a to znowu miało oddzia-
nia takie jak go widzimy, układ bulli. — Otóż ja sędz-
zę ponieważ stylizacya obydwóch tych ustępów (I i IV)
jest prawie dosłownie tasama, jak i wiek zapisek, i
w których sformułowano te dwa ustępy, był ten sam
(około r. 1075): przeto rozłożenia tej materyi na dw-
a artykuły osobne musiał być chyba inny a nie ten p-
wód, i wrócimy niżej do tego; na teraz zaś poprzest-
jemy na wyniku, że układ bulli z r. 1136 sam prze-
się nie dostarcza przyczyny do wyobrażenia sobie, że
formacya terytoryalna arcybiskupstwa dokonywała się
w dwóch zawodach.

Przejdźmy teraz do spożytkowania drugiego, z po-
wyższej premisy wypływającego wyniku. Plenariae
decimationes w obszarze dyccezyi mają być (oczywi-
ście w naturze) składane w myśl niniejszego ustępu
bulli od zboża, od miodu, z produkeyi żelaza, od do-
chodu z karczem — z kar i taks sądowych (placitorum) —
z kunich i lisich łupieży (pellicularum), z hodowli wie-
przów, wreszcie od dochodu z ceł i myt drogowych,
tak w kasztelanii gnieźnieńskiej, jak i innych pomie-
nionych wyżej. Nie powiedziano, kto składa te dzie-
sięciny. A z tego przemilczenia to jedno tylko wynika,
że uważano za rzecz, która się sama przez się rozumie,
iż je składa każdy, o ile kogo co dotyczyło. Dziesię-
cinę z bożową, miodową i z chowu z zwierząt
domowych, zacieśnionego tu nie wiem dlaczego do sa-
mej hodowli *porcorum*, świadczyli kościołowi wszyscy,
którzy z tych trzech gałęzi produkeyi żyli, od zagrody
włościańskiej począwszy aż do domen książęcych. Dzie-
sięcina żelaza wpływała z hut tego kruszcu, ktokol-
wiek uprawiał ten przemysł w swych dobrach; do re-
galiów bowiem nie zaliczano rudy żelaza w tamtocze-
snej Polsce. Przeciwnie dochód z karczem, nawet
po wsiach prywatnych, dochód z wymiaru sprawie-
dliwości, równie jak cła i przewozowe myta, sta-
nowiły pobór książęcy i zaliczały się do regaliów, o ile

chyba na mocy specjalnych przywilejów coś i z tego nie było komu gdzie przydzielone jako wyjątkowe nadanie: w takim razie i prywatna osoba albo instytucja kościelna świadczyła centralnej władzy kościoła dziesięcinę z tego dochodu. Poza takimi wyjątkowymi razami, płynęła kościołowi gnieźnieńskiemu dziesięcina od poboru z tych trzech źródeł — zasadniczo od rządu, od panującego monarchy. Taksamo także do rządowej tylko władzy (a rozumiem przez nią nie tylko panującego, ale i jego organa, dostojników grodowych) odnoszę należytość dziesięciną *pellicularum*. Dziesięcina *in pelliculis* była kościołowi u nas okolicami (np. w Mazowszu i Szląsku) w pierwotnych czasach składana jako *prodecima* i przez ludność. Tu jednak mowa o czem innym, o dziesięcinie specjalnie od tego artykułu, stanowiącego osobny dochód publicznych władz. Były to skórki zwierzęce, futra, które u nas do późna zastępowały monetę, szczególnie monetę zdawkową, tak przy składaniu dannicznych należytości skarbowi książęcemu z najrozmaitszych tytułów, jako i w wymianie targowej. Od czasu Bolesława Śmiałego zaczęła wprawdzie produkcyja mennicza więcej u nas znaczyć, niż za poprzednich panowań, tak iż odtąd lupięże zwierzęce nie tyle zamiast pieniędzy, ile raczej obok nich były w obiegu. Przy tem jednak ubocznem i pomocniczem znaczeniu utrzymały się te surogaty monety aż w drugą połowę XIII stulecia ¹⁾.

¹⁾ Rocznik kujawski (=Mon. Pol. III 208) w zapisce o zadowadzeniu w Polsce w r. 1300 szerokich groszy przez Wacława czeskiego, pisze: *ubi prius cum nigro argento (denary z lichego srebra) et pelliculis asperiolinis forisabatur.*—Inne wzmianki o lupiężach jako surogacie pieniężnych, bądź to rządowych, bądź dominialnych *exakeyi* jeszcze w wieku XIII, znajdujemy w licznych dyplomatach współczesnych; tak np. tyniecki akt kardynała Idziego, Kod. Tyn. Nr. 1; inny dokument dotyczący Tyńca z r. 1258, *ibid.* Nr. 20; mazowieckie archiwalne zabytki z r. 1231, 1232, 1257 w Kod. Maz. Nr. 3, 9 i 28; w =Mon. Pol. V p. 424 i 437, i w dyplomata-

Wykładając w powyższy sposób powoła-
przemilczenia w niniejszym ustępie co do tego, kto
te dziesięciny uiszcza, — stawiając sprawę tak, że ten
obowiązek ciążył na wszystkich, tak na skarbie rzą-
dowym, jak na całym społeczeństwie, o ile się do kogo
mogło co ściągać: nie mogę pominąć milczeniem, że
z bardzo poważnej strony w czasach ostatnich wy-
powiedziano inne, wręcz przeciwne o tem zdanie¹⁾. Nie
w formie co prawda stanowczego twierdzenia, ale ra-
czej pytania, w formie ostrożnie stawionego domysłu.
podłożono ustępowi niniejszemu myśl taką, że te wszy-
stkie dziesięcinne prestatye były arcybiskupstwu świad-
czone przez samą tylko rządową władzę, a nie przez
ludność. Miały je uiszczać owe grody, przywiedzione
tu nie jako obwody czyli grodzstwa, ale jako poszcze-
gólne topograficzne punkta, że tak powiem kamery
rządowe, zbiorowiska powiatowe wszelkich ze strony
ludu podatków i danin. Z nich tylko miała jedna dzie-
siąta państwowych dochodów być obracana na utrzy-
manie kościoła. Natomiast ludność cała, dycieczynie-
mieli wtedy być jeszcze wolni od tego ciężaru. Dziać
się to miało na mocy przywileju, o ile przypuszczać
można, nadanego kościołowi w duchu pierwotnych sto-
sunków, czyli innemi słowami, na mocy przyrzeczenia
i zobowiązania, własnowolnie na się wziętego przy
fundacyi arcybiskupstwa, przez jego założyciela. W sku-
tek tego sam tylko panujący monarcha część pewną
z własnych dochodów swoich na utrzymanie ducho-

rzyku Ketrzyńskiego zamieszczonym przy Sprawozdaniu z czyn-
ności Zakładu Ossolińskich z r. 1888, Nr. 2 i 3. Pretensyi do po-
bierania 20 grzywien w kunich skórkach z dóbr biskupa
krakowskiego, podnoszonych jeszcze w roku 1259 przez kasze-
lanę czechowską, dowodzi dokument z tego roku, zamieszczony
w Kod. katedry krak. Nr. 60. I wiele innych dowodzących tej-
mej rzeczy.

) Prof. Abraham: O powstaniu dziesięciny swobodnej.
w Bibliotece Warsz. z r. 1891, zeszyt październikowy.

eństwa wydzielał, tak jak i na utrzymanie funkcyj-
ryuszów państwa i rycerstwałożył wtedy skarbu pu-
czny. To też już choćby z tego powodu nie miał
edy być jeszcze kościół uznawany za instytucję
ok państwa istniejącą, lecz był instytucją pań-
rową, która celom państwa służyć miała. Dopiero
źniej, mianowicie pod koniec rządów Bolesława Krzy-
ustego, miał zostać w Polsce zaprowadzony inny
tej mierze porządek. Dziesięcina zbożowa stała się
edy powszechną dla kościoła prestacją, bezpośrednio
wszystkiej ludności diecezji pobieraną, a w miarę
go dziesięcina książęca zacieśniła się odtąd do nie-
órych tylko artykułów dochodu, np. ze sądownictwa
z menniczej produkcji. Obrazem takiego przekształ-
nego już stanu rzeczy ma być bulla protekcyjna
geniusza III z r. 1148, dla biskupstwa wrocławskiego
ydana¹⁾, w której temu kościołowi tylko «decimam
artem de moneta et de iudiciis» w całej tej diecezji
yraźnie zawarowano jako należytość od rządu, o in-
ej zaś dziesięcinie, t. j. zbożowej, od ludności, z tej
przyczyny wcale nie uczyniono wzmianki, ponieważ
ie uiszczanie takowej już wtedy samo przez się miało
rozumieć...

Zapłaty tego nie mogę podzielać z następu-
jących przyczyn. Przedewszystkiem służyły tej bulli
o do dziesięcin za podkład nie postanowienia powzięte
rzy fundacji arcybiskupstwa, ale znacznie późniejsze,
ak się to okazało już wyżej. Powtóre wykład taki nie
alby się w żaden sposób logicznie pogodzić z dal-
zymi ustępami, mianowicie z II-gim i V-tym, w któ-
rych mowa o kasztelanii żnińskiej i łowickiej. Sprze-
żność ta jasno wystąpi, kiedy będziemy rozbiegali te
tytuły. Po trzecie, nawet w razie gdybyśmy przy-
uścili, że mamy przed sobą obraz pierwotnego upo-
żenia arcybiskupstwa, byłoby trudno pojąć, jak się

¹⁾ Dyplomatarjusz Rzyszczewskiego. T. II Nr. 1.

conego w srebrze przez Słowian w kilku około Me-
 deburga położonych grodztwach, to od czynszu w m. i
 dzie mu wnoszonego, to od dochodu z mennic i c
 to wreszcie od należytości targowych w obrębie ter-
 toryalnej władzy tej archikatedry ¹⁾). W pierwszej w i
 linii i tu zapewniona dziesięcina od rządu, a z te g
 bynajmniej nie wynikało, żeby i cała ludność dyecezy
 od swych dochodów nie miała składać dziesięcin. B
 skupstwo w Miśni, fundowane r. 967, już w 3 lata p
 wnijsiu w życie, obdarzone zostało przekazaną so bi
 przez swego założyciela dziesiątą częścią trybutu, który
 cesarzowi składało pięć żup czyli prowincyi do te
 dyecezyi należnych, a to w nierównie szerszej jeszcze
 różnorodności przedmiotów, aniżeli je poszczególnia
 nasza bulla gnieźnieńska ²⁾). (Czy w tej że samej roz-
 ciągłości nałożono od razu dziesięcinę i na dye-
 cezyan, jak to orzekają aż trzy dokumenta dotyczące
 fundacyi i uposażenia tego biskupstwa ³⁾), rzeczą pewną
 nie jest; doszły bowiem czasów naszych w tekstach
 nieautentycznych, interpolowanych w XI albo XII stu-
 leciu. Ale i z tego co najmniej tyle wynika, że się-
 gały w tym już czasie tak daleko aspiracye miśnij-
 skiego kościoła.

Zwracano także uwagę na to, że inne protekcyjne
 bulle papieskie dla polskiego kościoła z tego czasu,
 a mianowicie wspomniana wyżej włocławska z r. 1148,

¹⁾ Monumenta Germ. dipl. Tom I część 3-cia, Nr. 295, 303,
 312; Tom II Nr. 30.

²⁾ Gersdorf Urkund. d. Hochstifts Meissen, Nr. 8 z r. 971
 czy 970: decimam partem tributi in melle, crusinis (futra?), solu-
 tione argenti, mancipiis (!), vestimentis, porcis, frumento et in
 inquirendis rebus, quod uberchoufunga vocatur (targowe?).

³⁾ Ibidem Nr. 3, 4, 11 i 15 z lat 968 i nast. aż do 996. Deci-
 mationes in omni fertilitate terrae, frugum et pecudum, in ar-
 gento, vestimento, nec non quod Teutonici ouercouphunga dicunt
 et talunga familiarum, insuper tota utilitate et in omnibus rebus,
 quibus mortales utuntur.

trudno przypuszczać nawet w wieku, kiedy powstawały biskupstwa.

Pobór dziesięcin, w rozciągłości określonej w tej bulli, równocześnie i od ludności i od władzy rządowej, polegał na wymogach prawa kanonicznego i na uznaniu tych wymogów za odpowiednie stosunkom kraju przez najwyższą świecką jego władzę. Że wtedy w Polsce i panujący i lud podlegał temu obowiązkowi, i że mu pod względem tylorakich gałęzi dochodu podlegał — nie było to wtedy bynajmniej odosobnieniem w świecie zjawiskiem. Kościół żądał na pokrycie swych potrzeb dziesięciny od wszystkiego, i domagał jej się od wszystkich. Helmold około r. 1170 piszący swoje dzieło, nie poczytywał za normalną innej dziesięciny, jak »od wszelkiego zwierzęcego dobytku czyjego i od wszystkich płodów ziemi« (ks. I rozdz. 3). List fundacyjny biskupstwa Verdeńskiego z r. 786, wydany przez Karola W. ¹⁾, nakazuje biednym i bogatym, przez całą dycyę, »odpowiednio ustawom kanonicznym«, dziesięcinę *jumentorum et fructuum terrae — omnis agriculturae et nutriturae*. Założyciel biskupstwa w Havelbergu, Otto I, w odnośnym swym dokumencie z roku 946 ²⁾, nakłada dziesięcinę przedewszystkiem na siebie samego, t. j. nadaje temu biskupstwu *decimam tributi*, jaki z tych części cesarstwa do jego skarbu corocznie wpływa, a w drugiej dopiero linii orzeka, że ją świadczyć mają od swego dochodu i wszyscy mieszkańcy obwodów tworzących dycyę. Arcybiskupstwo w Magdeburgu, zanim jeszcze definitywnie wyniesione do tej godności zostało w r. 968 z opactwa św. Maurycego, otrzymywało od tegoż cesarza już naprzód po kolei (w ciągu jeszcze roku 965 i nast.) prawa dziesięcinne, to co do czynszu (*census*, to samo co *tributum* w dokumencie wyżej powołanym) cesarskiemu skarbowi pła-

1) Hasselbech, Nr. 1.

2) Tamże, Nr. 6.

kościółom w takiej samej rozciągłości, jak w innych dyecezyach.

W dalszych wiekach zmniejszyła się ta rozciągłość dziesięcin. Duch czasu, zwiększone potrzeby rządu, przykład tego, co za granicą się działo, a nadewszystko inne korzyści, w ciągu w. XIII i później osiągnięte w Polsce przez kościół, immunitety przyznane mu w doniosłości wiadomej, wszystko to razem sprawiło, że dziesięcina pobierana z ludności zacieśniła się do samej tylko zbożowej, a ta, co ze skarbu publicznego wpływała, tylko do cel w co dziesiątych tygodniach odstawianych z pewnych grodów arcybiskupom gnieźnieńskim. Poucza nas o tem przywilej Kazimierza W. z roku 1357 (Kod. W. Pol. Nr. 1354 pag. 71).

Uwagi do ustępu II i IX.

Ośm grodztw wymienionych w I ustępie tworzyło razem obszar, stanowiący zachodnią połowę dyecezy gnieźnieńskiej. Więcej takich obwodów w tamtych stronach nie było ¹⁾ z wyjątkiem jednej jedynej, tam po-

¹⁾ Granicząca z zachodu z kasztelanią Lekieńską Żońska należała większością swego obszaru do dyecezy poznańskiej. Dlatego ją tu pominięto. W XIV wieku zachodził między kościołem gnieźnieńskim a poznańskim spór o zwierzchnictwo nad tym powiatem. Zalagodził sąd polubowny ten zatarg w roku 1361 orzeczeniem, że tylko trzy w granicach tej kasztelanii leżące parafie: żońska, grylewska i gołaniecka, mają podlegać władzy gnieźnieńskiej, reszta zaś biskupom poznańskim. Co się tyczy kasztelanii Zbarskiej, położonej ku południowemu wschodowi względnie do gnieźnieńskiej, a na północ od łódzkiej, to stanowiła ona kiedyś wprawdzie osobną całość, skutkiem czego jeszcze w Liber beneficiorum Łaskiego widzimy dekanat zbarski zachowujący tę nazwę: w rychłych czasach jednak była ona w administracyjnym sensie świeckim tylko częścią łódzkiej. Również i Konin nie tworzył odrębnego grodztwa, ale podlegał władzy łódzkich kasztelanów. Ci później rezydując już to w Łędzie, już w Koninie, właśnie przeto tak lub owak byli nazywani. Kod. dypl. W. Pol. Tom IV p. 378 i 379.

miniętej, t. j. kasztelanii Żnińskiej. O tej mówi bulla osobno, w drugim dopiero ustępie, a to z tego powodu, ponieważ podległość Żnina arcybiskupom wyjątkowej była natury; służyły im tu bowiem nie tylko prawa kościelne, ale i świeckie. Kościelne prawa zamykają się tu w wyrazie „*cum decimis*“: dziesięcina z ziemi żnińskiej, niewątpliwie w rozciągłości takiej-samej, jak z 8 kasztelanii poprzednich, należała im się na mocy prawa kanonicznego. Uiszczala ją tu oczywiście ludność, a nie gród żniński w sensie hipotezy, o której wyżej wspomniałem jako niemożliwej do przyjęcia; gdyż gdyby się to do grodu jako poborowej kamery (czyjej? przecież nie książęcej, ale chyba arcybiskupiej) miało stosować, w takim razie cały ten ustęp musiałby być zgoła inaczej stylizowany. A skoro tu cała ludność podlega tej daninie, toć to samo rozumieć trzeba i o ludności w tamtych kasztelaniach; inaczej bowiem byłaby ludność żnińska niewiadomo dlaczego przywalona wyjątkowym, gdzieindziej niebywałym ciężarem. — Prócz tego kościelnego prawa nad ziemią żnińską, posiadali nad nią arcybiskupi i prawa świeckie, określone wyrazami „*cum foro, cum lacubus et cum omni juriditione seculari*“. Przez *forum* (targ, targowe należytości) rozumieć tu pewnie trzeba całkowite z Żnina targowe, a nie dziesięcinę tylko targowego dochodu, jak gdzieindziej, np. w ustępie IV, gdzie mowa tylko o dziesięcinie „*de foris*“, należącej arcybiskupstwu. (W ustępie I niema o *forum* wcale wzmianki, ale zapewne tylko przez nieumyślne wypuszczenie tego słowa). Pobór całego więc targowego z żnińskiego targu stanowił właśnie jeden z przywilejów, wyjątkowo tym ustępem nadanych, równie jak i dochód z tamtejszych jezior. Resztę zaś przywilejów przyznanych artykułem niniejszym zamyka w sobie wyraz „*secularis juriditio*“: prawo zwierzchnicze (w prestacyjnym sensie) złane na arcybiskupów, w całej rozciągłości z prawa publicznego wynikającej, jak je gdzieindziej wykonywała władza

naczelną państwa. — Bardzo często, niemal powszechnie, brano ten wyraz *juriditio* za *jurisdictionem* i wykładano go jako przekazany mocą tego artykułu arcybiskupom wymiar sprawiedliwości, sądową władzę w znińskiej kasztelanii. Wykładu takiego przyjąć nie można, raz dlatego, że jak skąd inąd wiadomo, nie posiadali biskupi jeszcze wtedy jurysdykcji poza obrębem spraw duchownych i pośrednio z nimi związanych: albowiem ludność kraju (z wyjątkiem chyba niewolników) podlegała w wieku XII jeszcze sądom tylko publicznym, a dopiero w XIII wieku zaczęła władza duchowna w dobrach kościelnych zdobywać sobie tę prerogatywę: powtórę z tej przyczyny wykład taki żadnej nie miałby podstawy, że wyrazy kwestyonowane, pomimo że tak mało różnią się brzmieniem, znaczący różne pojęcia. Jurysdykcję przysądza arcybiskupstwu bulla niniejsza w ustępie VII nawet nad solą w Babicy pod Krakowem, co przecież nie może znaczyć jurysdykcji. Prawda, że tam położono *ditioni*, a nie *juriditioni*: ale *ditio* a *juriditio* są w dokumentach tamtoczesnych synonimy. Znaczący słowo to: prawo nad czem lub nad kim, władzę, zwierzchnictwo — w okolicznościach tamtoczesnych: zwierzchnictwo ekonomiczne, danin i pożytków dotyczące nad jakim przedmiotem, z wykluczeniem sądowej władzy jako obcej temu pojęciu¹⁾.

¹⁾ Dokumentem z roku 1222 przyznaje Kazimierz książę opolski biskupowi wrocławskiemu prawo zaprowadzenia we wsi tegoż Ujeździe magdeburskich urzędzeń (Grünhagen, Regesten Nr. 249) i powiada, że służy kościołowi z tych dóbr cała *juriditio*, z wyjątkiem bobrów i *excepta* monet. A zatem bicie monety i korzyść z bobrów wchodzi w pojęcie tej jurysdykcji. Gdyby nie były wymówione, stanowiłyby przynależną biskupowi część tejże: pod pojęcie jurysdykcji wcałoby się *excepta* ta nie dała podgarnąć. — Dokumentem z roku 1239 (Archiv. Komis. hist. IV pag. 290, Nr. 5) nadaje książę mazowiecki Bolesław I Templaryuszom trzy wsi z całkowitem prawem, pożytkiem i wolnością, *nulla penitus juriditione mihi reservata*. Widocznie podłożono tu temu wyrazowi tylko znaczenie prawa do danin, a nie znaczenie jurys-

Niewiem, dlaczego nawet wydawcy tekstów dyplomatycznych częstokroć nie zważają na tę różnicę. Że rzedrukowują bez zastrzeżenia kopie dokumentów ieraz z taką pomyłką, byłoby pomniejszym grzechem; ale bywa, że nawet oryginały czy przez niewiadomość, czy przez niedbalstwo w odczytaniu podlegają w druku temu skażeniu. Tak np. w dokumencie Henryka sandom. z czasu około r. 1166 (nie 1153, jak w druku — Rzysz. I Nr. 4), jednym z najważniejszych naszych archiwalnych zabytków, czytamy: »Praefati loci (w Zago-
u) homines nulli *jurisdictioni* polonicae subiaceant, podczas gdy w autentyku (znam go z podobizny fotograficznej) jest natomiast *jurisdilioni*, a i to zamiast *jurisdictioni*. Boć przecie o jurydyceki polskiej albo niemieckiej w Sandomirskim w tym wieku nie mogło być jeszcze mowy. Na podstawie takichto błędnych listów wytwarzają się bałamutne o społecznych tamże-
czesnych stosunkach wyobrażenia — upornie obstaje przy swoim, bo rzekomo dokumentami poparte.

Secularis iuriditio zapewniona arcybiskupom w tych konach nie rozciągała się na całą prowincja de Żnin, ale tylko na te 24 wsi leżące w jej granicach, które tu wlla szczegółowo wraz z ludźmi w nich osiadłymi wymienienia¹⁾. Ci ludzie, rozmieszczeni w tych włościach

keyi. — Dokumentem z roku 1289 (Kodeks Wielko-Polski Nr. 7) obdarza książę wielkopolski Przemysław II wieś klasztoru szewskiego Trzęsacz prawem niemieckim; w skutek tego mieszkańcy tej wsi nec alicui *juriditioni* castellanorum nec eom *judiciis* subiacebunt. Otóż najdokładniejsze odróżnienie łownictwa (*judicia*) od prawa do pewnych poborów (*iuriditio*). — nże książę w dokumencie z roku 1284 (Kodeks W. Pol. Nr. 542) r się wyraża: ... ab omnibus angariis, videlicet ab omni solenne, servitute ac *juriditione* seu *dominio*. — Cf. jeszcze w Arwivum Komis. hist. IV Nr. 8 na str. 292; Nr. 5 na str. 352 itd. itd.

¹⁾ Stylizacja łacińska pozostawia wątpliwość, czy wyraz *connta* jest *nominatiwem* przynależnym do *provincia*, czy *ablatywem* przynależnym do *juriditione*. Ostatecznie jednak czy tak r owak, sensu to tak bardzo nie zmienia. W pierwszym razie

po 4, po 5, 8, 9 i t. d. rodzin aż do maksymalnej liczby 30, przytoczeni w każdej wsi po imieniu, widocznie rdzennie polscy krajowcy, wszystkie bowiem ich imiona są polskie — nazwani są *possessores*: w jednej tylko osadzie, w Strzelcach, dano im nazwę *socii*, jako spółce grupującej się około jednej tylko indywidualności po imieniu nazwanej: „*Golec cum sociis suis*”. Snać w tej wsi panował wtedy jeszcze dawny porządek wspólnego posiadania i pożycia rodu, podczas gdy w innych widzimy już indywidualne gospodarstwa, na rodziny porozdzielane własności. Ta różnica między wsiami jak Strzelce a resztą osad, nie tworzących spółki rodowej, nie ma jednak w moich oczach ostatecznej takiej ważności, byśmy się tu dłużej nad nią zatrzymywali. Nierównie ciekawszem jest pytanie, co rozumieć o tych *possessores* pod względem społecznym ich położenia? Jakiego to stanu była ludność, i dlaczego tak dokładnie podano tu imiona tych wszystkich ojców familii? — Jak dotąd, powszechnie brano ich za glebae-adskryptów, za arcybiskupich poddanych pozbawionych wolności. Ma to z tego wynikać, że siedzą jako siła robocza w dobrach, stanowiących własność kościoła. Ma to być wyraźnie powiedziane słowami pod koniec ustępu położonemi: *Hi omnes cum omni posteritate archiepiscopales sunt*. Głowy ich dlatego policzono z taką ścisłością i oznaczono po imieniu, by broń Boże kiedykolwiek nie wydawał się z nich który za wolnego człowieka lub nie umknął z poddaństwa. — Otóż sądzę, że jeżeli co, to ten wykład ani chwili nie wytrzymuje krytyki. Mamy do dnia dzisiejszego za-

otrzymują arcybiskupi prowincję żnińską z tych a tych wsi złożoną, zatem nie całą: bo gdyby otrzymywali całą, to jaki powód byłby wtedy wyliczania wsi składających się na nią? W drugim sensie przyznaje im się w kasztelanii żnińskiej *juriditio* na tych a tych wsiach, z tego właśnie powodu poszczególnie wymienionych z nazwiska. Ta druga wersja widzi mi się lepszą. Ale sens główny w obydwóch tensam.

rowany w autentycznym oryginale przywilej Władysława Odonicza z r. 1234 (Kod. WPol. Nr. 174), regulujący stosunki w dobrach arcybiskupich, a w pierwszej linii właśnie w kasztelanii żnińskiej. Otóż przydaje się tu władzy kościelnej całą jurysdykcję nad skryptami w tych dobrach, eo tamen excepto, quod liberi homines, non hospites sed indigenae, illis ecclesiarum inhabitantes, coram me tantum citati respondeant; grzywny, na jakie w razie jakiego przestępstwa będą zasądzeni wyrokiem książęcym, może obie arcybiskup zabierać, jeżeli nie będą dochodziły wysokości t. zw. XII grz. lub wyżej, w którymto razie w połowie dzielić się niemi mają obie strony, arcybiskup i książę: ale sąd do władzy tylko rządowej należy, jeżeli to są liberi, ut supra scriptum est. A zatem mamy dyplomatycznie udowodnioną pewność, że jeszcze za czasu Odonicza istniała w dobrach arcybiskupich żnińskich ludność z dziada pradziada wolna, arcybiskupiej władzy tylko częściowo podległa, pod opieką zostająca książęcą, nie przybłądy z stron dalekich, nie hospites, sed indigenae. I skądże się ona tu wzięła? O emancypacji gromadnej, o obdarzeniu wolnością dawniejszych glebae adscripti, nikt tu przecie nie seryo nie będzie myślał. — Gdyby bulla z r. 1136 przez »possessores« była rozumiała klasę ludu, za jaką się biorą powszechnie, za klasę pezbawioną wolności i prawa, przykutą do miejsca, osiadłą na gruntach pańskich, więc cudzych, żadnej ziemskiej rzeczywiście swojej nie posiadającą własności: czyżby ich nazywała właścicielami? Słowu *possidere*, *possessio* podkłada ten dokument papieski w innych miejscach znaczenie osiadania i własicielstwa, w najlepszym, bezwarunkowym tych wyrazów sensie¹⁾. Czyżby robił z tego

¹⁾ W nagłówku bulli: Ut quascunque possessiones canonicae ecclesia gnezn. possidet, firma ei servantur. A w zakończeniu: Hae omnes villae cum suis possessoribus de posses-

samego słowa użytek na oznaczenie włościan, którzy chyba byli posiadani, ale nie posiadali niczego? Czy brakło innych na to wyrażień? Lokucya *glebae ascripti* i samo *ascripticii* zjawia się wprawdzie dopiero pod sam koniec XII stulecia; ale były w czasie pisania tej bulli na podoręczu określenia, jak *mancipia*, *famuli*, *familia*, *servi*, wreszcie *rustici*, *coloni*, lub owo każdy możliwy odcień w sobie mieszczące, a tak często i w tym sensie używane *homines*. — Prawda, że *possessores*, w tem znaczeniu, jakie im tu podkładam, nie należało do zwykłych określeń tej warstwy włościan w naszych dawniejszych źródłach. Właściwą nazwą było *heredes*. Ale i tamto nie jest unikatem. Liber foundationis klasztoru Henrykowskiego na Szląsku, zabytek pisany około r. 1266, zwie „*possessores hereditarii*” ludzi tego samego stanu we wsi Radzicach (str. 101). A i osadnicy po wsiach prawem niemieckiem nadanych częstokroć nazywani bywają *possessores* swych osad. Przykładów takich dostarcza nie tylko Liber benef. Łaskiego (np. II 350 i t. d.), ale i dokumenta z XIII wieku (Kod. WPol. Nr. 251 z r. 1246; Kod. Mogil. Nr. 34 z r. 1278, i t. d.). Że tych włościan w wsiach niemieckich niemożna na jednej linii stawiać z gospodarzami bulli ani z dziedzicami w Radzicach, tego z oka nie spuszczałam. Ale położenie społeczne i ekonomiczne jednych i drugich nie przedstawia wielkiej różnicy.

Wszyscy tak często w Henrykowskiej księdze wyępujący pod nazwą *heredum* posiadziciele drobnych, z podziału dziedzizny i ojcowizny na każdego przypadłych gruntów, posiadają tam na Szląsku po jednym, po półtora, po dwa, a co najwyżej trzy lany. Takież było położenie ekonomiczne i tych rodzin w bulli gnieźnieńskiej. W tych granicach się tu obracała przeciętna rozciągłość posiadania poszczególnej rodziny. Do tej

sione archiepiscopi sunt. Nemini fas sit ecclesiam super possessione... infestare.

Wskazywać dojdzie można w przybliżeniu, zestawiając w tej bulli podane, mianowicie ilu rodzinami była udniona wieś każda, z wiadomościami co do obszaru użytkalnych gruntów w tych wsiach, jakich dostarczą księgi poborowe, niedawno drukiem ogłoszone przez prof. Pawińskiego. W pomoc do tego przybywa także i »Liber benef.« Łaskiego, który w odnośnej części tomu I (str. 145--156) i ze swego także stanowiąca przechodzi te wsie okręgu żnińskiego, donosząc do niektórych, czy w nich były jakie grunta plebańskie, i jeżeli były, ile zawierały. To wzięcie tu o rachubę plebańskich działów dlatego za konieczne uważam, ponieważ obracano na uposażenie parafii części grunta rustykalne, w danej chwili stojące pustką, żelazki folwarczne. Przyznaję chętnie, że niepomiernie ma to obliczenie różnica wieku, z jakiego bulla Łaskiego, a wykazy poborowe pochodzą. Lecz tu też o wyrozumienie tych stosunków jedynie w przybliżeniu chodziło ¹⁾.

W »właścicielach« wsi żnińskich nie można upatrywać ludzi innego stanu, jak heredes Henrykowej księgi. Powiedzenie o nich wyżej zacytowane: *omni posteritate archiepiscopales*, nie przesądza tego. Są arcybiskupimi, i potomstwo ich będzie na imię w tym położeniu, ale w charakterze, który im

¹⁾ W Pawińskiego »Wielkiej Polsce XVI-go wieku«, w Warszawie 1883 wydanej, znajdują się wsie, o które chodzi, w ilości co najmniej 14, a nie wszystkich 24, na str. 180 i dalszych aż 91. — Na próbę podaję tu obliczenie np. co do wsi Białozżyce, dziś Białozewin. Possessores było tu według bulli 16. W kmiecych według Pawińskiego jest tam osiadłych 8, pól 8½; plebańskich według Łaskiego 5. Razem więc łanów 21½. Przypada przeciętnie po 1½ łana na rodzinę. — W Górzycach według bulli possessores 8; łanów kmiecych u Pawińskiego 13, pustych 9; plebańskich 2, razem 24. A więc przeciętnie 3 łany przypadają na każdego. — W Chomętowie gólarzy 8. Łanów kmiecych 11, plebański 1, razem 12. Obszar przeciętny gospodarstwa: 1½ łana — w przybliżeniu.

się tyle tu razy przyznaje, w charakterze dziedzicznych właścicieli swych gruntów. Jeżeli bulla zwierzchnictwo nad nimi na wieczne czasy waruje kościołowi, to równocześnie i im zapewnia na wieki ich położenie społeczne. Nie dlatego głowy ich zlicza i imiona ich zapisuje, ażeby im drogę do wolności zagrozić, ale żeby im zabezpieczyć tę wolność, w posiadaniu której zostają od niepamiętnych czasów i przy której na zawsze mają pozostać, pomimo tego, że z pod bezpośredniej władzy rządowej przeszli pod dominium kościoła. To, co kiedyś z tytułu krajowego publicznego prawa w prestacyach i innych powinnościach uiszczali panującemu, uiszczają arcybiskupom. Ale na tem się też kończy cała »secularis iuriditio« arcybiskupów nad nimi.

Powiedziawszy, co było do nadmienienia o ludziach, przejdźmy teraz do miejscowości, do topograficznych nomenklatur w tym ustępie objętych. Secularis iuriditio arcybiskupów rozciąga się więc w obwodzie żnińskim na następujące wsi, i po dziś dzień zachowujące mniej więcej tamtoczesną swą nazwę (wsi, których obecnie już niema albo inaczej się zowią, zestawię w osobnym szeregu): Grochowiska — Stare Biskupice (dziś Biskupin) z przysiółkiem Zagórzynem — »Syrdnicy« (dziś Żerniki) — Potulino (dziś Podolin) — Dochunów i drugi Dochunów (dziś Dochanowo, tylko jedno) — Górzyce — Bezkorzyst (dziś Brzyskorzystew) — Wilczków — »Białowieżycy« (Białożewin) — Chomętowo — »Silche«, czytaj Silce (dziś Sielec?) — »Sodowo«, czytaj Sądowo (dziś Zędowo) — Dobrylewo — Łysinino i Skarbinice.

Wsi już dziś nie istniejące lub których polskiej nazwy tylko się można domyślić: Czaple (musiały leżeć nad mniejszem jeziorem żnińskim, któreto jezioro według Platerra ma mieć i dziś jeszcze tę nazwę) — Opole (nie odgadnione) — Villa sagittariorum (zapewne Strzelece, dziś nieznanne) — Villa piscato-

im (w r. 1357 »Rybitwy«, a obecnie nawet i pod tą
nazwą nieznane) — »Vruti« (w r. 1357 »Vrzuty«, nie-
wiadomo czy Wrzuty czy Urzuty — dziś nieznane) —
»Westniz« (ani z tą ani z podobną nazwą niema dziś
w tej okolicy) — Zwapowice (nieodgadnione).

A zatem 7 wsi kategorii tej ostatniej, a 17 wie-
si, razem 24.

Jak sobie to wytłómaczyć, że o samym Żninie
nie wspomniano, że jest posiadłością arcybiskupa?
Boć że także do niego należał, i od najdawniej-
szych już czasów, wiadomo skądinąd. O pewną odpo-
wiedź na to pytanie trudno, ale jeżeliby wolno było
wielki domysł, to przypuszczam, że mowa o tym gro-
dzie w IX-tym t. j. w przedostatnim ustępie. Cała koń-
cówka części bulli, dziwnie luźnie doczepiona do raz już
tego finalnego jej zakończenia, t. j. do VIII-go ustępu,
wygląda jakby na jakieś post-scriptum. Widocznie
ta część była już ułożona i przepisana na czysto, kiedy
ostrzeżono, że z materyałów przysłanych do jej zre-
gowania nie wszystko zostało spożytkowane. W for-
mie przeto dopisku dołączono na samym końcu kilka
punktów — zdaje mi się, że ich jest trzy — w właści-
wym miejscu czy przez niedopatrzenie, czy przez nie-
wiadomość, gdzie je wstawić, nie uwzględnionych. Ta
preraca, jak każda taka po czasie poprawka, pocią-
gnęła za sobą ten skutek, że całe to dopełnienie, tak
jak jest, bardzo trudno zrozumieć. Daje bowiem różno-
rodne rzeczy jednym tchem, jak gdyby należały do sie-
bie; stawia zdanie w druku naszym odznaczone kur-
wą, może w nieswojem, cały sens psującym miejscu;
ma dobitkę sam początek tego post-scriptum wido-
wnie podległ zdefektowaniu, gdyż rozkłada cały po-
tę mieszkańców na różne wedle zajęć ich kategorie,
nie powiada, do jakiej miejscowości się to ściąga,
gdzie mieszkają ci wszyscy ludzie. Otóż przypuszczam,
że się to właśnie do samego Żnina odnosi. W doku-
encie czy zapisce, która tu służyła bulli za podkład,

powiedziane (może nie dość jasno) być musiało, że Żnin jest grodem arcybiskupim, a następnie w temże piśmie zinwentowano całą tego grodu służebną czeładź, osadzoną na gruntach w bezpośrednim jego pobliżu, przeznaczoną to do tych, to do owych nakazanych, z ojca na syna przechodzących usług żnińskiej załogi. Rozpadają ci poddani grodu, oczywiście ludzie niewolni, na dwa działy: na tak zw. ministeriale *s* (*ad officia*) i na chłopów rolników (*rustici*). Do pierwszych są zaliczeni koniarze (*agazones* — dziewięć indywidualów, pomijając braci jednego z nich) — łagiewnicy (trzy imiona, prócz braci) — i kołodziej *e* (pięć osób). Chłopów jest podanych po imieniu dwunastu, ale kilku z nich wraz z braćmi albo z synami. Do tej listy chłopów żnińskich dołożono zaraz i spis chłopów *juxta Ilmie*, pod Ilmiem. Czy ten drugi spis tu powinien być znaleźć miejsce — nie wiem i wątpię. Ilmie leży nie w tej okolicy, ale w Kaliskiem, koło Borkowa (Łaski, Lib. Benef. II, 85), może mila na północ od Kalisza. O tem Ilmiu (*Hllme*) jako miejscowości kaliskiej mówi bulla już raz i wyżej (w ustępie III-cim). Chłopi, którzy tu (w post-scriptum) są po imieniu nazwani — czterej. Jeden z nich zwie się *Doluploz cum filiis et cum villa*. Ta ich *villa* nie jest tu oznaczona z nazwy, może nawet wtedy jeszcze nazwy nie posiadała, ale gdzieś leży pod Ilmiem, a (kiedy stary *Doluploz* zemrze) zwać się inaczej pewnie nie będzie, jak *Doluplozice*. Otóż dowiadujemy się z pewnego dokumentu późniejszego, Kod. W. Pol. Nr. 698, że rzeczywiście istniała wieś *Doluplozice* alias *Biskupice*, które wydawca tego dyplomatarza (Tom IV, p. 97) widzi koło Stawiszyna, a więc w okolicy wskazanej — i że była wsią arcybiskupią, a wychodzi z posiadania kościoła dopiero r. 1293 drogą zamiany na coś innego. — Otóż więc ta notatka o chłopach gdzieś *juxta Ilmie* w Kaliskiem rozrywa zaczęty tu spis ludności około żnińskiego grodu. Po niej dopiero tekst

wraca do przerwanej materyi i daje dalszy ciąg żnińskiego spisu poddanych, obejmujący kołodziei (jak to już wyżej wspomniałem), a potem idą i dwa jeszcze inne odcienie społeczne, mianowicie na pół swobodni *hospites* (przyłazy czyli łazęgi — jest ich szesnastu) i nakoniec *milites* (cztery tylko imiona). W tych ostatnich widzę włodyków arcybiskupich z pod Żnina, rycerstwo taksamo uprzywilejowane, jak reszta polskiego rycerstwa, tylko że ci nie bezpośrednio stoją pod panującym monarchą, ale pod tym ksiązęciem kościoła. Że biskupi w tamtych wiekach, a nawet świeckie możnowładztwo, mieli własne swoje rycerstwo, to i skądinąd wiadomo¹⁾. — Dalsze zdanie, położone po tej o „*milites*” wzmiance, (o wsiach nad rzeką Gąsawą), czy materyalnie należy do tego IX-go ustępu — nie śmiem orzekać, lecz wątpię.

A teraz wróćmy do głównej kwestyi: do tych 24 osad in provincia de Żnin, o których rzecz w II-gim ustępie i którą przerwaliśmy powyższą dygresją. Wyprowadzano z tego całego ustępu wnioski bardzo stanowcze i daleko idące. Kasztelania żnińska nie miała więcej w sobie obejmować włości, jak właśnie tylko te 24. Całą tę kasztelanię miał przy fundacyi kościół gnieźnieński dostać sobie przydzieloną. Ponieważ te wsi, przed założeniem arcybiskupstwa rządowe, niewolnikami (?) ksiązęcymi były osiadłe i uprawiane, więc ma to być niezachwianym dowodem, że jeszcze zatem w XI wieku, za Chrobrego, istniały w Polsce całe obwody grodowe, jak np. właśnie ten żniński, w których dowodnie nie było żadnej innej ziemskiej, ani rycerskiej, ani jakiejbądź prywatnej własności, jak tylko sama ksiązęca, zaludniona niewolnikami. Dlatego też i po nadaniu tej kasztelanii arcybiskupom wszyscy jej mieszkańcy pozostali, czem byli dawniej: poddanymi,

¹⁾ Obacz n. p. dwa dokumenta z roku 1224, zamieszczone w Kod. dypl. kat. krak. Nr 13 i 14.

w prywatno-prawnym sensie poddańcami kościoła i t. d. Otóż pytanie, czy na to tak zasadniczo o ustroju naszym społecznym w tamtych wiekach przesadzające zapatrywanie trzeźwa i nieuprzedzona krytyka może się zgodzić? czy ono rzeczywiście jest poświadczoną tą bullą?

Przedewszystkiem czy to prawda, żeby kasztelanię żnińską, choćby nawet za czasów Bolesława Chrobrego, składać miało tylko te 24 wsi arcybiskupstwu nadanych?

Nie jesteśmy wprawdzie w stanie powiedzieć, jak daleko wtedy sięgały granice tej kasztelanii, a o gęstości jej zaludnienia, czy to w r. 1000, czy 1136, żadnego mieć nie możemy wyobrażenia. Lecz tyle przecie godzi się wnosić, że późniejsza (jeżeli by jej w r. 1136 jeszcze nie miało być urzędzonej) parafia żnińska, jak ją znamy z księgi Łaskiego (T. I, 143 i nast.), nie mogła szerszej mieć rozciągłości, jak kasztelania, a jeżeli się różniła obszarem od kasztelanii, to chyba tak, że jej nie dorównywała, że się miała do niej jako część do całości. Otóż wiadomo, że składały się na żnińską parafię w początku XVI wieku Żnin, Skarbinie, a nadto i następujące osady: Jaroszewo, Sarbinowo, Bożejewice, Bożejewiczki, Gogulkowo, Suchoręcz. Z tych wszystkich nomenklatur zna bulla tylko dwie pierwsze. Co sądzić o sześciu innych? Czy one nie istniały jeszcze w r. 1136? Przypuśćmy, że nie istniały, że je dopiero potem kiedyś założono. Lecz ktoto taki miałby one założyć? Przecież na gruncie już zajętem, na gruncie nietykalnym kościoła (całą bowiem tę ziemię żnińską uważają za arcybiskupią zwolennicy tego zapatrywania) ani panujący ani nikt inny nie miał prawa osad zakładać, jak chyba sam tylko kościół — a gdyby się kto i był o to pokusił, to prędzej czy później odebrałoby mu je arcybiskupstwo jako na własnym swoim pniu wytworzone. A czyż kiedy posiadało ono którą z tych wsi? —

Do tychsamych przychodzimy wyników, rozpatrując objętości innych parafii, całkowicie lub częściowo leżących w granicach »provincyi« żnińskiej. Tak np. wspomniane w bulli wsi Wilczków, Białozewin i Dobrylewo zaliczano w XVI wieku do parafii w Górze, a prócz nich należał do tej górskiej parafii jeszcze i Murczyn, Januszkowo, Jadownik, Młodocino i Obielewo. Czyżby ta cała szóstka osad, niewątpliwie po większej części w obrębie żnińskim leżących, nie miała jeszcze istnieć w wieku, kiedy bullę naszą pisano? — Albo takie Chomętowo, w bulli jako wieś żnińska wspomniane, które następnie stało się centralnym punktem parafialnym. Tworzyły u Łaskiego tę chomętowską parafię: Zędowo, Gąbin, Smerczyn, Załochowo, Buszkowo, Jabłowo, drugie Jabłowo, Rzeczyce i jeszcze kilka osad, już wtedy porzuconych przez ludność, a dziś ani nawet z nazwy nieznanych. Prócz Zędowa, ani jedna z tych nomenklatur nie znachodzi się w bulli. Czyż dlatego przypuścimy, że i tych wszystkich jeszcze w roku 1136 nie było? — Lecz wreszcie może komu nie zdaje się być właściwym ten sposób dochodzenia rzeczy zapomocą późniejszych urzędzeń parafialnych. Spróbujmy przeto innego sposobu, ile że tenże jeszcze prostszą drogą wiedzie do celu. Wytyczmy sobie na mapie areal, w granicach którego się mieszczą te wymienione w bulli 24 wsi arcybiskupie. Utworzy nam to wielokąt, którego boki się łamią na Zędowie, Podolinie, Sielcu, Żernikach, Grochowiskach, Łysininie, Białozewinie i Chomętowie. Będzie to w każdym razie coś niewiększego, jak ziemia żnińska. Policzymy teraz osady, zawarte w tym wielokącie. Okaże ich się, lekko rachując, co najmniej dwa razy więcej, niż osad arcybiskupich, a między niemi takie np. Świątkowo, Uścikowo, Sobiejuchy, Wiewiorczyn i t. d., w których upatrywać należy punkta, nie tylko istniejące w r. 1136, ale dawniejsze, niż arcybiskupstwo gnieźnieńskie i niż mo-

narchia Chrobrego, albowiem dowodzą tego pogańskie ementarzyska, za naszej już pamięci na tych miejscach odkryte. A ileż to takich pamiątek przeddziejowych odsłonięto i zmarnowano bez śladu w dawniejszych, obojętnych na takie rzeczy czasach po wsiach innych, zawartych w tym wielkokącie.

A zatem żadną miarą nie można w tych 24 osadach upatrywać całego tamtoczesnego zaludnienia kasztelanii żnińskiej, ani też całej tej ziemi nie nadano arcybiskupstwu. Komu się zdaje, że temu twierdzeniu memu sprzeciwia się dosłowny tekst bulli, ten nie uwzględnia, że stylizacya pism ówczesnych miewała swoje odrębności, niekoniecznie zgodne z sposobem, w jaki my dziś wyrażamy to, co powiedzieć chcemy¹⁾.

Raczej ten wniosek z bulli wynika, że już w najdawniejszych czasach obejmowała w sobie ta kasztelanja wszelkie możliwe rodzaje posiadania, i wsi rycerstwa i osady zaludnione niewolną warstwą i ojcowizny dziedziców, których tu possessores nazwano. Bo skoro wsi, przekazane arcybiskupom, nie tworzą (jak się o tem na mapie przekonać można) jednego

¹⁾ Tak np. bulla wrocławska z roku 1148 (Rzyszc. II Nr. 1) zestawia szereg różnych rzeczy, które posiadaniem tego biskupstwa nazywa (possessiones), a między nimi przywodzi i castrum Kdanzc in Pomerania cum decima tam annonae, quam omnium eorum quae de navibus solvuntur. Zgoła taksamo się więc wyraża, jak nasza bulla (Item provincia de Żnin cum decimis... et cum juriditione). A czyżby można dosłownie tak to rozumieć, że Gdańsk, stolica wschodnio-pomorskiego księstwa, należał do posiadłości biskupów kujawskich? Więc gdzieżby wtedy mieli książęta pomorscy własną swą rezydencyę? Otóż sam rozum ostrzega, że mimo wszystkich pozorów nie mógł papież takiego znaczenia miejscu temu podkładać. A tego dowodzi druga bulla protekcyjna, w r. 1238 temuż biskupstwu wystawiona, w której inaczej już jest stylizowany ten ustęp, mianowicie: Item in castro Danczk et in Pomerania decimam tam annonae, quam omnium rerum, quae de navibus solvuntur. (Perlbach Pommerell. Urkundenbuch T. I, pag. 52).

go dóbr kompleksu, ale są poprzegradzane in-
więc widocznie żadna część tej kasztelanii nie
ła się z osad jednolitej ludności. Gdyby taka
tam istniała, byłoby ją z pewnością otrzymali
iskupi, i byłaby miała dla nich nierównie większe
enie, niż wsi sporadycznie zdala od siebie leżące.
azano im tylko włości, posiadane przez possesso-
bydwoch zaś drugich kategorii osad żnińskich
rzydzielono. Zdaje się także, że i lasów tej oko-
olowania, nie włączono w tych stronach do upo-
ia kościoła. Poprzestano na nadaniu mu tu wód,
óstwa (cum lacubus): orzeczenia cum venatione,
o w ustępie V dotyczącym ziemi Łowickiej, po-
ono dołączyć. W takim razie wnosiłoby należało,
y kasztelanii żnińskiej pozostały i nadal własno-
anujących, jakkolwiek użytkowania z nich w pe-
określonym wymiarze wtedy jeszcze nie bro-
nikomu.

Nreszcie nadmieniam, że cała osnowa tego ustę-
zdaje mi się być przejętą nie z zapiski potocznie
wanej, ale z urzędowego dokumentu, z niezwykłą
owanego szczegółowością. Właśnie dla tej dokła-
i, tak wybitnie odbijającej od innych ustępów
upatruję w nim zabytek nie sięgający zapewne
boką przeszłość. Wydanie tego aktu musiał spo-
rać jakiś spór, dotyczący praw arcybiskupich
ębie tej kasztelanii. Jeżeli ostatnia partya bulli,
akem je nazwał post-scriptum, zostawała w rze-
m i czasowym związku z tym aktem, a podana
j w takisam sposób co tu klasyfikacya ludności,
iej i to, że się właśnie do Żnina ona odnosi,
uje na taki związek: to byłby tam nawet i ślad
uszczonego tu sporu: *nemini fas sit ecclesiam
possessione rusticorum de cetero infestare
is contradictionem inferre...* Dla uchyl-
tych nagabań i tych zaprzeczeń spisano w nim
robnostkowo nie tylko miejscowości, ale i ludność

w nich i położenie tejże społeczne. — W tymże czasie rozchodzić się musiało i o mniej aż dotąd jasne stosunki w paru wsiach arcybiskupich gnieźnieńskich okolicy, mianowicie w Kęblewie (dziś miejscowość nieodgadniona), w Dębnicy bliżej tu niezrozumiałym wyrazem *Radovil* oznaczonej, i w Pyszczynie, które osady zostawały także w rękach »possessorum« — nazwanych tak jak tam po imieniu, każdy z osobna. Pokrewność sporu mogła sprawić, że i o tych wsiach gnieźnieńskich zrobiono wzmiankę zaraz w niniejszym ustępie żnińskim, choć do niego nie należały.

Uwagi do ustępu III.

Lakoniczność stylizacji całego tego ustępu, napomknięcia o takim stanie rzeczy, który wyprzedził urządzenie metropolii gnieźnieńskiej, niemała ilość w nim nomenklatur zmienionych później lub wcale się niedających odgadnąć, wreszcie pewien nieporządek i zamęt w ich zestawieniu — wszystko to tak tu rażąco odbija od ustępów poprzednich, że nie wahałem się poczytać tej części bulli za powtórzenie, za dosłowną reprodukcję jakiejś bardzo dawnej, inwentarskiej tylko zapiski, a nie aktu wydanego z kancelaryi rządowej. Objaśniam, co rozumiem przez nieporządek, który tej partyi zarzucam. Każdy pewnie zauważył, że spis posiadłości kościoła w całej tej bulli nie idzie w szeregu chronologicznym nadań. Miano w niej raczej na względzie położenie topograficzne. Prócz kilku drobnych zboczeń od tej przyjętej zasady, kolej poszczególnych pozycji postępuje w całej masie z północy ku południowi, zwłaszcza o ile to dotyczy poszczególnych wsi, nadanych arcybiskupstwu tu i owdzie w kasztelaniach składających tę diecezję. Wobec tego oczekiwać więc należało, że po żnińskich dobrach przyjdzie kolej na posiadłości *gąsawskie*, jako najbliższe. Tymczasem mowa o nich dopiero na samym końcu

buli, w wiadomym dodatkowym przypisku (ustęp X). Czy nie pochodzi to widocznie z tego tylko powodu, że o nich przepomniano w właściwym miejscu, i że zamiast od nich zacząć niniejszy ustęp III, umieszczono cały ten passus »Villae vero circa fluvium Ganzawa« i t. d. tam, gdzie rzecz o nich obecnie?—Dalsza kolej na razie bez zarzutu. Wzmianka o dobrach pod Gnieznem, będąc z powodów już nam wiadomych wcielona do ustępu II, nie mogła słusznie znaleźć tu miejsca. Wzmianka o wiosce Uni, dziś w powiecie wrzesińskim (niegdyś w łódzkiej kasztelanii), o niej to bowiem mówi pewnie bulla w zdaniu »villa super flumen Unia« i t. d., także słusznie stanowi pierwszą obecnie pozycję, sam początek ustępu, który nazywam III. Skoro tamte wypuszczono, wieś Unia jest w nim punktem najpółnocniejszym. — Logicznie także przesuwamy się zaraz potem do majątku kościoła w Kaliskiem. Lecz tu po niewielu wierszach spostrzegamy się już znowu na błędnej ścieżce. Te posiadłości kaliskie są jak gdyby jakim klinem przepołowione szeregiem włości sieradzkich, a potem i śpicimirskich, które tem bardziej się tu dostały w niewłaściwe dla siebie miejsce, że po nich przecie bulla wraca znowu do miejscowości kaliskich: do Sulostowa nad rzeką Cienią i do Zębocina w tejże okolicy leżących.

W kasztelanii łódzkiej zatem posiadało wtedy arcybiskupstwo wieś tylko jedną Unię, tak tu przytoczoną, jakby jeszcze wtedy żadnej nie miała nazwy: oznaczono ją bowiem tylko położeniem »nad potokiem nazywającym się Unia« i przypomnieniem dawniejszego w niej osadnika, rataja biskupiego, imieniem Stana. Była to zatem wieś mało co przedtem należąca do poznańskiego biskupa. Jej przyłączenie do uposażenia gnieźnieńskiego zaszło pewnie przy samej fundacji arcybiskupstwa. Równie i nieco niżej przytoczone Zębocino (dziś nieodgadniona miejscowość, pewnie w Kaliskiem) miało być dawniej włością »Davgeri episcopi«

zmylona nazwa drugiego z porządku poznańskiego biskupa Ungera, zmarłego w r. 1012. Te dwie reminiscencye poznańskie stwierdzają odwieczną dawność zapiski, z której tu bulla czerpała. Wieś Unia jeszcze r. 1287 należała rzeczywiście do kapituły gnieźnieńskiej (Kod. WPol. Nr. 572), o niej zatem niewątpliwie tu mowa. — Wsi kościelnych w Kaliskiem jest tu podanych kilka, mało która między nimi daje się na karcie odszukać. Znane i dziś pod temi nazwami są: Rajsko, Ilmie nad rzeką Szwędrą (servidola: o niem powiedziane, niewiadomo co miało za znaczenie, bo to wyraz zepsuty — czy może servi Dolan?), Sowice (dziś Sowina), Malonowice (Malanów), Domaniewice (Domanin p. Kępnem?), Myślęcino nad Ołobokiem, Dębsko (pod Liskowem). Niemożliwe do oznaczenia albo wątpliwe zaś te: Lochowice, Uzorowice, Bralice, Gostonowice, Miłodat cum villa (to już całkiem niezrozumiałe!), Zębocino, Sulostowo. Mieszkańcy tych wsi — „*incolae*”. w któremto określeniu wszelkie możliwe pojęcia się mogą mieścić; w Dębsku zaś niewolnicy (*servi*). — Weźmy tu zaraz i posiadłości arcybiskupie spicimirsko-sieradzkie, jakkolwiek właściwe dla nich miejsce byłoby dopiero w VI ustępie. Wszystkie należące tu włości są znowu bezpośredniemi posiadłościami *possessorum*: tych possessores jednak ani z nazwisk ani z liczby tym razem nie podano. Koło Sieradza leżą te wsi: Sędziejowice, Parzno, Kluczyce (Kluki?), Kobjerzycko, Gębica (nieznana dziś w tych stronach), Jarocice, Manina (?). Koło Spicimirza następujące: Janowice (dziś Jankowice), Tędów, Smolsko, Przykuna, Turkowice, Turkowiszcze (dziś Turek), Uniejów, Charchowo, Miłostowice (?), Gazowo (?) i Klonów.

Na tem miejscu kończy się pierwsza połowa bulli. Ostatni ustęp tej połowy pierwszej, t. j. niniejszy III ustęp, zawiera więc inwentarz wsi kościelnych, rozrzuconych sporadycznie w grodztwach północnych.

Wsi koło Sieradza i Spicimierza dostały się tu tylko z pomyłki.

Druga połowa bulli, do której teraz przystępujemy, ma tensam układ, co pierwsza: najprzód rzecz o całych kasztelaniach jako obszarze dziesięcinnym; potem wzmianka o Łowiczu jako grodztwie w tych stronach nie tylko dziesięcinę, ale i inne (tak jak Żnin) prestacye uiszczającym arcybiskupstwu; a na dalszem jeszcze miejscu katalog włości w tym obrębie sporadycznie leżących.

Uwagi do ustępu IV.

Ustęp niniejszy tak się poczyna, jak gdyby był bezpośrednią kontynuacją I ustępu; po grodztwie rudzkim i po czestramskim, idzie rzecz o owej części kasztelanii Milickiej, która oddzielona rzeką Baryczą od reszty milickiego powiatu, należącego administracyjnie do Szląska, a kościelnie do dyecezyi wrocławskiej, styka się tu bezpośrednio z ziemią czestramską i z nią razem tworzy południową archidyecezyi kończynę. *Decimationes plenariae* z tego wykroju są dochodem arcybiskupów. — Że i to było urządzenie, nie sięgające aż w czasy Bolesława Chrobrego, o tem przekonywa dostatecznie powiedzenie: *quod est de Vratislaviensi episcopatu*, dotyczące Milicza z tamtej strony Baryczy. Przy fundacyi biskupstwa w roku 1000 podlegać musiał i ten kawał Milickiego Wrocławowi, a odpadł później od niego z tej tylko pewnie przyczyny, że bagnista Barycz zmieniała później swoje łożysko, tak iż dostęp do tych stron stał się utrudniony lub niemożliwy dla ich dawniejszego biskupa. — Po tem uzupełnieniu granicy najdalszej z południa, przechodzi bulla do kasztelanii wschodnich, wchodzących w skład dyecezyi gnieźnieńskiej jako druga onej z tej tu strony połowa, zobowiązana do prestacyi, jakie z tego wynikają w myśl prawa kanonicznego. Są to

grodzstwa: Sieradzkie, Śpicimirskie, Małogoj-
skie, Rozpierskie, Łęczyckie, Wolborskie,
Żarnowskie i Skrzyńskie. — Łęczyca i Łowicz,
o którym z powodów słusznych niżej dopiero będzie
mowa osobno, administracyjnie stanowiły razem kie-
dyś pewnie całość odrębną. Sieradz, Śpicimirz, Wol-
bórz i Rozprza, razem wzięte, odpowiadają później-
szemu województwu sieradzkiemu. A Żarnów, Skrzyn
i Małogoszcz tworzyły zachodnią połowę województwa
Sandomierskiego, część integralną już Małopolski. —
Przez *castella* i tu rozumieć należy okręgi grodowe,
nie grody: raz dlatego że w tem znaczeniu użyto tego
wyrazu w ustępie I, a potem że niektóre z tych ca-
stella, mianowicie sam Wolbórz, a pewnie i Skrzyn,
nie były w r. 1136 już własnością książęcą. Gród Wol-
bórz od dawna należał do biskupów kujawskich,
a Skrzyn od niedawnych lat do Piotra Włostowicza ¹⁾. —
Rozciągłość i różnorodność dziesięcin z tego całego
obszaru jest tu określona w takisam sposób, jak z ka-
sztelanii zachodnich ²⁾; to upoważnia do wniosku, że
sformułowanie użytej tu za podkład zapiski czy do-
kumentu o tych kasztelaniach wschodnich, a zapiska
o tamtych ośmiu jeżeli były to dwa pisma osobne—
pochodziły z tego samego czasu. — Końcowe zdania
ustępu niniejszego są już to z stylistycznych, już z rze-
czowych powodów dla nas prawie niezrozumiałe. Słowa
per omnes transitus de theloneo et decimali ebd-
mada i t. d. widocznie tworzą jakieś zdanie zepsute.
Sensu — tylko domyślić się możemy: z całego dochodu
za przewóz przez Pilicę, o ile się ta rzeka w granicach
dycecyji zawiera, od Chrzastowa aż do Wisły, a raczej

¹⁾ Bulla protekcyjna z r. 1148 dla biskupstwa kujawskiego
w Kod. Ryszcz. II Nr. 1. — Długosz *Historja* II, 11.

²⁾ Mała różnica jednak jest. Tu brak słowa *porcorum*,
które tam położono, a przybyło *de foris*, którego tam brak. Ale
to pewnie tylko meumysłne opuszczenia.

może ku Wiśle¹⁾), należy się dziesięcina (pobór z każdego co dziesiątego tygodnia) arcybiskupom. Chrzęstów leży na samych południowych kresach dyecezyi gnieźnieńskiej i małegojskiego grodzstwa, nad Pilicą, pod Secyminem. Dalsze zdanie, choć w sobie jasne, rzeczowo znowu sprawia niepokonaną trudność, gdyż o tych „*Treblevici et Radlici*“ do dziesięcin zobowiązanych, ni tyle po dziś dzień nie daje się powiedzieć, czy to były wsi, czy jakieś większe ziemskie kompleksy, a tem mniej, w których to stronach.

Powyższe uwagi dotyczą tylko drobnych szczegółów. Główne pytanie, które się tu odpowiedzi domaga, tkwi w tem, dlaczego bulla nie daje w jednym ciągu, w jednym ustępie wiadomości o całym obszarze arcybiskupstwa? Dlaczego rozkłada ten przedmiot na dwa tak daleko od siebie leżące miejsca? Dlaczego w ogólności cały jej skład takie sprawia wrażenie, jak gdyby się na dwie główne części dzieliła, z których pierwsza mówi może o pierwotnej rozciągłości tej dyecezyi, a druga o kasztelaniach, które kiedyś dopiero później do niej przydano?... Ktokolwiek miał dotąd do czynienia z tym dokumentem papieskim, każdy zadawał sobie to pytanie, niestety tak trudne do rozwiązania. Mojem zdaniem sam tekst bulli nie zmuszałby koniecznie do przypuszczenia, żeby wniosek, jaki się z tego przepołowienia nastrecza, musiał uchodzić za poparty wszelkimi znamionami prawdy, za wynik bezwarunkowo do przyjęcia uprawniony. Określenie jakości dziesięcin w pierwszym — i także w niniejszym ustępie, zdają się pochodzić z jednej i tejsamej epoki. Obydwa te ustępy nie polegają zatem na różnym wiekiem, dostarczonych z Gniezna podkładach. Tyle innych rzeczy w tej bulli, najściślej jednotliwych,

¹⁾ Pilica przekracza granicę dyecezyi gnieźnieńskiej zaraz za Przybyszewem, przed Warką. Aż do Wisły nie rozciągało się to arcybiskupstwo.

widzimy w niej rozerwane, bez dostatecznej przyczyny omawiane z osobna: dlaczegożby zatem i ta materya nie miała w niej być traktowaną w dwóch partyach, już to może bez żadnego świadomego powodu, już dla łatwiejszego objęcia, co się gdzie kościółowi temu należy, już wreszcie dla konsekwentnego przeprowadzenia przyjętej w tem piśmie topograficznej zasady, posuwania się partyami większemi z północy ku południowi, załatwiania tego najprzód, co się w północniejszych stronach tej dyecezyi mieści, a z osobna potem tego, co w położonych z południa. Osnowa bulli, powtarzam, nie zmusza koniecznie do rozumienia, że omawiane z osobna i dopiero w tem miejscu ziemie przeszły pod jurysdykcyę gnieźnieńską w innym czasie, jak grodzitwa właściwe wielkopolskie. A jednak, kto się dziwnej konfiguracyi tego arcybiskupstwa na karcie przypatrzy, wązkim pasem przedzielającego dyecezyę kujawską od poznańskiej, choć tam był jego główny punkt ciężkości, bo i katedra i rezydencya pasterska — a rozszerzającej się niepomniernie w tej dopiero południowej połowie: trudno pewnie żeby uwierzył, iż to stan rzeczy pierwotny, a jeżeliby był pierwotny, żeby bez jakiegoś szczególnego powodu był wytyczony w tych granicach przez swego fundatora. Skoro zaś do tych wątpliwości przybywa i ten jeszcze poszlak dualizmu w bulli, to się pewnie wszyscy tem skłonniejszymi czujemy przypuścić, że ta tak niepomniernie szeroka rozległość południowego obszaru mieć musi jakieś specjalne powody, które zająć mogły czy to później (przy erekcyi innych biskupstw), czy może już przy pierwszej fundacyi arcybiskupstwa, w taki sposób, iż wcielono do niego kompleks ziem pierwszej przynależnych albo przeznaczonych dla innej organizacyi kościelnej. Ale któryżby to był organizm, kształtem którego tak tu rozszerzono terytoryum gnieźnieńskie? Powszechnie domyślano się tu okrojenia dyecezyi krakowskiej, w czasach pewnych późniejszych,

że Konrad w pierwszych czasach swego panowania nad Mazowszem, do którego ziemia Łowicka już wtedy była liczona, pod niewiadomo jakim pretekstem zająć musiał samowolnie pewną ilość wsi nadanych temu kościołowi. Nie pojmuję możliwości takiej aneksyi, gdyby cały obwód łowicki, od krańca do krańca, wyłącznie i niepodzielnie był stanowił odwieczną własność arcybiskupów. Takie naruszenie granic byłoby się w zasadzie równało zakwestyonowaniu, a nawet zaprzeczeniu prawa kościołowi i do całości tej ziemi. Za taki postępek byłaby tego księcia ze strony tak żarliwego i bezwzględego arcybiskupa, jakim był Kietlicz, z pewnością doraźnie spotkała klątwa najcięższego kalibru. A przecież w pomienionym dokumencie wcale tego nie widać, żeby Konrad jako człowiek takim gromem przywołany przemawiał. Rozchodzić się przeto musiało o jakieś chyba tylko włości bezpośrednio graniczące z książęcami, które jako rzekomo wątpliwe co do tytułu własności, pozwolił sobie zagrabieć ten cheiwy książę, a teraz ich się zrzeka. Ten pośredni tylko dowód z XIII stulecia stwierdza się pozytywnie świadectwem z XIV, dokumentem skierniewickim księcia mazowieckiego Ziemowita III z r. 1359, wydanym dla arcybiskupa Jarosława Bogoryi (Kod. WPol. Nr. 1404). Mamy tu imiennie wyliczone wszystkie wsi, składające się na t. zw. dystrykt łowicki, posiadany od wieków i tu na nowo uznany za własność gnieźnieńskiego kościoła. Było tam wtedy tych wsi kościoła nie więcej, jak 95. Jeżeli się rozpatrzymy w położeniu tych wsi na karcie, to jakież obraz nam się przedstawia? Wsi kościelne tylko około samego Łowicza i około Skierniewic grupują się gęściej i tworzą ciągle kompleksy. Reszta włości jest rozsiana zdala jedna od drugiej po całej ziemi łowickiej, począwszy od Kocierzewa z północy aż do Inowłodka i do Łęgonic nad Pilicą z południa. A między nimi leży więcej aniżeli drugie tyle wsi, które z arcybiskupem nie miały żadnego innego

nie była nigdy zgromadzeniem zakonnem czyli klasztorzem w zwykłym tego słowa znaczeniu. Niewiadomo ani kiedy powstała ani kto był onej twórcą. Przedstawia się później jako gremium księży świeckich, jako kapituła, »kollegiata«, ostatecznie i nazwy archikollegiata używa. Jej uposażenie, jak się w tym pomniku odsłania, nie było klasztorne, zakrawało na biskupie. Świątynia tej kollegiaty jest i zawsze była nazywana tum, tak jak katedra w Poznaniu, w Gnieźnie, w Płocku, w Włocławku, w ustach mieszkańców przez wszystkie wieki do dziś dnia tumami nazywane bywają. Nie wiem o żadnym innym kościele, choćby opakim lub kollegiackim, choćby najwspanialszym i najdawniejszym, któremuby (jeżeli nie był biskupim) dawano kiedy to miano. Ta abacya jest w całości swego uposażenia inkorporowaną w tej bulli do gnieźnieńskiego arcybiskupstwa, i stan to rzeczy niewątpliwie równie dawny, jak to arcybiskupstwo. Czy nie z nią razem weszły te łączyczo-sieradzkie grodzstwa w skład jego dyecezyi? Nie wypowiadam przez to, co tu mówię, bynajmniej wręcz twierdzenia, że było to gotowe, uznane, a potem zniesione biskupstwo. Ale czy nie mogło ono przed rokiem jeszcze bytności cesarza Ottona w Gnieźnie być zamierzonym, drugim obok już istniejącego poznańskiego postanowionem biskupstwem, poczynającym na razie swój żywot jako kongregacya kanoniczna, choć bez biskupiego zwierzchnika, ale już sprowadzona na miejsce, działająca odpowiednio celowi i obdarzona odpowiednią przeznaczeniu swemu w przyszłości dotyczą? Był takim i związek pierwszy magdeburskiego arcybiskupstwa: jako abbaacya św. Maurycego istniała ona tam dobrze pierwiej, niż wytworzona z niej archikatedra; i przeznaczona do takiej przyszłości, otrzymywała od cesarzy już naprzód nadania i przywileje, jakich gdzieindziej nie użyczano podobnym zgromadzeniom. Byłoby mogło, że i inne biskupstwa nasze z takich związków

istnienie swoje poczęły. O jakiejś *abbatia s. Martini*, której ślad wszelki później zaginął, wcielonej do wrocławskiego biskupstwa, mówi bulla protekcyjna dla tego kościoła z r. 1155¹⁾. Związek przeniesionego później do Tyńca konwentu Benedyktynów z katedrą i kapitułą krakowską w czasach pierwotnych, należy także do faktów, na które się pewnie wszyscy dziś godzą, choć natury tego związku trudno jasno określić.

O pierwotnej naszej organizacyi kościelnej prawie nie więcej nie wiemy, jak co o niej przekazał pamięci Diethmar. Lecz ten kronikarz niemiecki nie pisał historii kościelnej, tem mniej dziejów polskiego kościoła. Co o nim wspomniał, rzucił tylko mimochodem i po części tylko na to, żeby w ten sposób Bolesławowi Chrobremu jaką łatkę przyczepić za nielegalne zdaniem jego postępowanie. Milczenie Diethmara przeto o antecedenyach zdarzeń z r. 1000 i o stosunkach łączących nie upoważnia do zarzutu, że domysły moje powyższe tylko wyobraźnia zrodziła. Co i jak było — zagadka; ale że cel tej łączycykiej fundacyi musiał mieć jakieś donioślejsze znaczenie, to pewna.

Uwagi do ustępu V.

Niniejszy ustęp tak się ma do poprzedzającego, jak ustęp II (żniński) do pierwszego, określającego obszar dyecezyi w jej zachodniej połowie. W tym samym bowiem stosunku podległości, nie tylko duchownej, ale i świeckiej, co tam Żnin z przyległościami, zostaje w tych stronach względem arcybiskupów i Łowicz. Cała rzecz o tej pozycyi zawarta tu jednak w jednym tylko zdaniu. Sens tego zdania pod względem jasności na pozór nie zostawia nic do życzenia. Łowicz wraz z dziesięciną (od ludności w całym Łowickiem), tudzież z włościami i mieszkańcami w tych

¹⁾ Kod. dypl. W. Pol. Nr. 584.

przestawiwszy tam, gdzie należą, otrzymujemy przywrócony do pewnego ładu ustęp obecny, jak następuje:

»Item Ner per totum inter Tur et Chołm, cum castoribus et eorum custodibus, cum piscatoribus et villis eorum, cum quatuor lacubus scilicet Predcze, Chotle, Bezdeże, Brdowo, tantum archiepiscopo pertinet. Item abbatia s. Mariae in castello Lanciciae cum centum servis et villis eorum; pistores etiam et coci, agazones et sutores, cum omnibus quae ministracione(?) abbatiae eidem sunt ordinata. Item villae archiepiscopi circa Sieradz i t. d. (jak w ustępie III cały passus dany kursywą). A potem dopiero: Item Bralin cum sociis suis et vineis duabus et tutoribus earum cum villis suis, quarum una Plocensis, altera Vladislaviensis castelli est. Ale to ostatnie zdanie powinnyby poczynać już ustęp następny, z kolei VII.

Posiada zatem arcybiskup w Łęczycy rzekę Ner w rozciągłości 4-milowej od wsi Tur aż do Chełma, z bobrami i z wsiami bobrowników (nie podanemi z nazwiska), z rybakami i wsiami ich (nie wiadomo, ile ich i jak się zwały), z czterema jeziorami: przedziekiem, chotelskiem, bezdziekiem i brdowskiem ¹⁾. — Również należy tu do niego Opactwo Panny Maryi w grodzie łęczycyckim (o ćwierć mili od miasta Łęczycy, gdzie dziś kolegiata i wieś Tum), z całą setką niewolników i (niepodanemi ani z liczby ni z nazwy) wsiami, w których oni są osadzeni, więc z piekarzami, kucharzami, koniarzami, szewcami i ze wszystkiem przeznaczonem do obsługi tego opactwa. — Ta cała setka niewolnych rodzin około Łęczycy, i ci różni rzemieślnicy i officiales, zobowiązani do pewnych, z ojca na syna i na całe dalsze generacye przechodzących służb około

¹⁾ Dwa jeziora z tych czterech leżą na pograniczu Łęczycyckiego z Kujawami, drugie dwa już za kujawską granicą.

łęczyckiego tumu, cała ta czereda powtarzam wskazuje na to, że było to urządzenie pradawne i tego rodzaju. że kiedyś świadczyła ta cała czeladź posługi swoje księżęcemu grodowi lęczyckiemu, następnie przy erekcyi tamtejszego kościoła w całej masie temuż kościołowi na wieczne czasy została przekazana na własność¹⁾. Wsi zajmowane przez tych wszystkich bobrowników, rybaków, piekarzy czyli mączników, kucharzy, koniarzy czyli kobylników, szewców, krawców, i przez setkę rodzin nazwanych *servi*, nie są w bulli ani liczebnie ani po nazwie podane. W przywileju Kazimierza W., gdzie wszystkie w roku 1357 posiadane przez kościół gnieźnieński włości ziemiami są wymienione (Kod. W. Pol. Nr. 1354), przypada na ziemię Lęczycką nomenklatur 56. Niektóre z nich jednak nie należały do arcybiskupów w całości, a niejedna mogła być dopiero później, po roku 1136 nabyta. Rzuca to wszelako światło na niezwykle uposażenie tej kościelnej instytucyi lęczyckiej. Miała ona i swoich świątników i to w zadziwiającej ilości. Bulla czy breve Inocentego III z roku 1207 (Kod. W. Pol. Nr. 52) wymienia ich po

¹⁾ Około wszystkich naszych odwiecznych grodów pozostały bądź to w nazwach pewnych ulic i przedmieść, bądź osad okolicznych ślady takiej organizacyi. Tak n. p. mamy w Poznaniu i około Poznania: Garbary, Piekary, Rybaki, Winiary, Rataje, Szczytniki, Sokolniki, Komorniki, Złotniki, Psarskie, Żerdniki dziś Żerniki, Kobylniki, Świątniki, Lagiewniki. Około Gniezna: Piekary, Woźniki, Winiary, Żerniki, Mączniki, Szczytniki, Sokolniki, Świątniki i t. d. Około Kalisza: Kuchary i Kucharki, Tokary, Złotniki, Żerniki, Jastrzębniki, Mączniki, Winiary, Zduny. Tęgo samego rodzaju nomenklatury znajdują się lub w dyplomatach są wspomniane i około Wolborza, Lubiąża na Szląsku, Wiślicy, Giecza, Lędu, Tyńca i t. d. Niektórzy nazywają wsi takie narokowemi, narokiem odnośnego grodu, jako genus, a ich mieszkańców narocznikami. Ja jednak myślę, że narocznicy (studzy sądowi, egzekutorowie, siepaki) stanowili tylko pewną species tego rodzaju ludzi.

przez siebie wydań (Kownacki i Bielowski), jeszcze inni w okazyjonalnych ocenach opinii drugich, niektórzy wreszcie w samoistnych publikacjach, których po dziś dzień mamy dwie: Mosbacha: »Godysław Paweł (?) dwóch imion dziejopisarz polsko-laciński w XIII wieku«, Lwów r. 1867 — i Dr. Warmskiego: »*Die grosspolnische Chronik*«, Kraków 1879.

Po tej całej tak często wznawianej dyskusji rzecz dzisiaj stoi tak, że jeżeli się komu z nas w pracach naszych przyjdzie powołać czasem na tę kronikę, to nie wiedzieć, jak ją oznaczyć, nie uciekając się do oklepanego »tak zwany« Bogufała albo Baszko, Pasek i t. p. I to dla mnie właśnie powód, dlaczego poświęcam temu przedmiotowi niniejszy osobny artykuł. Przyczytując tylko Baszka za autora, i chcąc kronikę tę tylko jego imieniem oznaczać, powinienem podać powody, które mnie do tego skłaniają.

Pierwsza edycja tej kroniki wyszła w roku 1730 w Wrocławiu w tomie II zbioru Sommersberga, pod nast. tytułem: »*Boguphali II episc. Posnan. Chronicon Poloniae cum continuatione Baszkonis custodis Posnaniensis*«. Ten tytuł nadał jej dopiero wydawca, w manuskryptach bowiem tego nie było. Z tymże tytułem weszła ona potem w dwa następne wydania warszawskie, Jabłonowskiego (1752) i Mitzlera (1769). Takiż napis nosi i ostatnia edycja, Bielowskiego z r. 1872 w tomie II »*Monumentów Poloniae*«.

W autorstwo biskupa Bogufała uwierzono w wieku XVIII tem chętniej, że sobie wtedy wyobrażano, iż w ogólności najważniejsze dzieła nasze dziejopisarskie przez biskupów były dokonane: Mateusz herbu Cholewa — Kadłubek — Martinus Polonus — Długosz — Kromer i t. d. Naruszewicz, kiedy zasiadał do swego epokę stanowiącego dzieła, podniósł to nawet wyraźnie jako chlubną tradycję polskiego episcopatu. A przecież zachodziła w tem mniemaniu pewna illuzya. Wyżej wymienieni biskupi — z wyjątkiem Mateusza, który

w dyecezyi krakowskiej. W Szremskiem (dyecezya poznańska) wieś Dolsko. Na Kujawach (dyecezya włocławska) Chołm (dziś Chełmce), Konary, Bachorce, Poddębia (dziś Dąbie), Hermanowo (dziś Jerzmanowo) i Drwalewo — wszystkie te kujawskie wsi w rękach „*possessorum*“.

Ustęp VIII zawiera zwykły w dokumentach tego rodzaju finał, poręczający nietykalność posiadłości kościoła. A potem ów dopełniający dopis, złożony z dwóch artykułów, o których znaczeniu i gdzie należą, już mówiliśmy wyżej.



broni w przedmowie do swej edycji. Zwalczali zaś autorstwo biskupa: Kownacki (w swym przekładzie tej kroniki na język polski w r. 1822 wydanym), Wiszniewski, Przeździecki, Mosbach, Zeissberg i wielu innych. A ponieważ przy dokładniejszym roztrząsaniu kwestyi wynurzyły się z tego zamętu wątpliwości, które — nawet usunąwszy Bogufała na bok — także i Baszka prawa do tej spuścizny bądź w części, bądź całkiem zachwiewają, więc koniec końcem uznano za najlepsze, omijać ostrożnie ten prawdziwy stek zagadek i sprzeczności, i nie nazywać dzieła ani Bogufalową ani Baszkową kroniką, lecz — Wielkopolską.

Mojem zdaniem nie można Bogufała ze styczości z tą kroniką całkiem usuwać. Pochodzi coś w niej od niego, ale nie więcej, jak ta właśnie zapiska o wizji we śnie. Nazajutrz po owej wizyi, przywieszając do niej głębsze znaczenie, spisał na jakiej luźnej karcie albo podyktował nasz biskup, co mu się śniło; a ponieważ była to przepowiednia, że za 25 lat *tota Polonia consummabitur*, więc dla sprawdzenia i umożliwienia tego *verra qui vivra*, polecił owę notatkę zanieść na wieczną rzeczy pamiątkę do przechowania w jakim miejscu bezpiecznym, np. w skarbcu kościelnym.

W skarbcach kościołów przechowywano w takich wiekach oprócz drogocennych kosztowności sakralnych i archiwalno-biblioteczne zbiory, więc dokumenta, pieczęci, księgi, manuskrypta i t. d. a między innymi i rocznik własny miejscowy, do którego za przykładem katedralnych i opackich fundacyi za granicą, i u nas zaciągano pamiętne zdarzenia, dotyczące odnośnego kościoła i ważniejsze krajowe. Taki rocznik, od dawnych czasów, posiadała i katedra poznańska. Mamy go, w stanie wprawdzie bardzo zdefektowanym, oddrukowany w Mon. Pol. w t. II i III. Nader chudy początek tego rocznika od r. 730—1190, zaledwie tu i owdzie dotyczący naszych krajowych zdarzeń, więc widocznie wypisany z jakiegoś niemieckiego annału,

zamieścił Bielowski w tomie II, obok krakowskiego Rocznika katedralnego (p. 789—800). Dalsza partya, niepotrzebnie oderwana w druku od tamtej, znalazła miejsce dopiero w III tomie (p. 7—41), p. t. »Rocznika Wielkopolskiego«. Poczyna on się od r. 1192 i coraz zasobniej zdarzenia nasze własne krajowe szereguje i opowiada. Prowadzić takie roczniki było obowiązkiem tych z pomiędzy prałatów katedralnych, którzy mieli pod swym kluczem skarbiec, a takimi byli z kolei kustoszowie odnośnego miejsca. Nie stawiam wprawdzie wręcz twierdzenia, żeby wszystkie, jakie tylko mamy, annały nasze koniecznie i jedynie przez kustoszów były ułożone. Niejeden z tych dygnitarzy mógł się od tego obowiązku uchylać, lub też kim innym dawać się w nim wyręczać. Ale z zasady tychto dostojników kapitulnych było zadaniem pamiętać o kontynuowaniu rocznika i o straży nad nim. Gdyby było prawdopodobieństwo choćby najslabsze, że późniejszy biskup Bogufał piastował w młodszych latach kustodyę w kapitule poznańskiej, możnaby bodaj pewną część (przed r. 1240) »Rocznika poznańskiego« jego autorstwu przyśądzać. Lecz my znamy z pewnością dyplomatyczną wszystkich z tego czasu kustoszów. Byli nimi następujący: w r. 1230 ktoś, którego imię od sylab *Aro* się zaczynało, jeżeli odnośny (tylko w odpisie zachowany) dokument nie przekreślił jego nazwiska; w dalszych latach Mikołaj, cytowany w tym charakterze w r. 1236—1238; następnie od r. 1244—1252 *Helvicus*¹⁾. Z drugiej strony i o Bogufale dokumentnie wiadomo, że nie z kustodyi, ale z kantoryi poznańskiej, na której już r. 1230 i aż do 1240 zasiadał, postąpił na tron biskupi²⁾. I wiedział o tem już Długosz, który o nim podał różne szczegóły, lecz ani słowa jednego o tem,

¹⁾ Kod. dypl. WPol. Nr. 127, 196, 212, 213, 599. Roczn. WPol. Mon. Pol. III 11 pod r. 1244.

²⁾ Kod. dypl. WPol. Nr. 127, 131, 137, 196, 212, 199, 595.

żeby się był pisaniem dziejów zajmował. Nikomu i z późniejszych aż do r. 1730 nie nigdy o tem nie było wiadomo. W samej niniejszej — nazwijmy ją tu tak jeszcze — »Wielkopolskiej Kronice«, pod rokiem 1253 jako rokiem śmierci biskupa, podniesiono z całym uznaniem rzadkie i szlachetne zgasłego tego męża zalety; nie pominięto i tego, że miał zamiłowanie w naukach, że cenil księgi i lubił się w nich rozczytywać. Ale o żylce dziejopisarskiej niema tu najmniejszej wzmianki. A przecież nie byłby właśnie tego pokrył milczeniem człowiek, który z całą czcią dla zmarłego do tej księgi zapisał to wspomnienie pośmiertne i sam był z powołania na niwie dziejowej rozmiłowanym badaczem i pracownikiem.

Spisana podług własnego dyktatu notatka owa o wizyi biskupa w r. 1249 — wszakże bowiem czytamy w niej i tę wiadomość, że ją *expergefactus de somno* niezwłocznie *revelavit quibusdam suis capitlanis* — mogła później, tak jak opiewała, dosłownie zostać wstawioną w rocznik¹⁾. A przy układaniu kroniki na podstawie tego rocznika, weszła i w nią w brzmieniu temsamem, t. j. w pierwszej osobie, by zatrzymała całe znamię autentyczności.

Złatwiwszy się z biskupem, zajmijmy się teraz kustoszem, który miał kontynuować jego dzieło. Fakt wiadome o Baszku zestawiam w następującym szeregu. W r. 1252 nie był jeszcze kanonikiem i poprzestawał na skromnem stanowisku skarbnika biskupiego. W tym charakterze jest wspomniany w dokumencie Bogufała II z tego roku²⁾ z tym dodatkiem, że ten dokument on ułożył i napisał. Imię jego tu *Bascho*. W r. 1256 występuje jak świadek pewnej czynności biskupa Bogufała III³⁾ i ma już tytuł kustosza poznańskiego — imię

¹⁾ Mamy ją tu na str. 15 III tomu.

²⁾ Kod. WPol. Nr. 599.

³⁾ Tamże Nr. 601.

jego tu *Basco*. W r. 1257¹⁾ w tymże charakterze uczestniczy w pewnej czynności księcia Przemysła I w kościele katedralnym poznańskim odbytej i jako kustosz przywiesza do tego aktu pieczęć kapituły. Napisano imię tu jego *Bascho*. W dalszym dokumencie, niedatowanym, ale z tegosamego pewnie roku²⁾ wspomniano o nim, że w jego przytomności obok kilku innych prałatów poznańskich po imieniu nazwanych, dokonał pewnej czynności prawnej w r. jeszcze 1256 Jarost sędzieja gnieźnieński. Nazwano go tu *Gotsalcus custos Posnaniensis*. W akcie z r. 1267³⁾ występuje pod temże imieniem *Gotsalcus custos Posnaniensis* między świadkami pewnego rozporządzenia, uskutecznionego w Krobi przez tamoczesnego biskupa Mikołaja. W dokumencie z r. 1269⁴⁾ świadkuje odnośnie tegoż biskupa czynności i nazwany tu jest *Basco* kustosz poznański. Nakoniec w dyplomie Przemysła II z r. 1280⁵⁾ wydanym w Kaliszu dla Dominikanów we Wronkach, jest przywiedziony jako świadek pod imieniem *Gotsalcus cantor Posnaniensis*. Dyplom ten podejrzewają pod względem autentyczności; zdaje się być przepisany później kiedyś z niejakimi wtrętami, choć chce uchodzić za oryginał. I snąc przy temto przepisaniu wkradł się weń ten lapsus: *cantor* zamiast *custos*. Dalszych śladów jego istnienia jako kustosza poznańskiego przy dzisiejszym stanie źródeł nie mamy. W r. 1285 widzimy jako piastującego tę godność już innego prałata, imieniem Tomka, który mógł ją już parę lat i pierwej osiągnąć; a po tego zejściu posiada ten urząd od r. 1306 począwszy jakiś Jakób⁶⁾.

Zostawał przeto nasz Baszko na tej prałaturze

1) Kod. WPol. Nr. 347.

2) Tamże Nr. 362.

3) Tamże Nr. 607.

4) Tamże Nr. 439.

5) Tamże Nr. 493.

6) Tamże Nr. 559, 896, 910, 921, 956.

poznańskiej od r. 1256 albo paru lat przed tym rokiem aż do co najmniej roku 1280. Był tu zaś nazywany Baszko lub Gotszalk, co tylko stąd pochodziło, że Baszko było jego przezwiskiem, jak sam w tej kronice z okazji pewnego wydarzenia w roku 1266 albo 67 zachodzącego ¹⁾ oznajmia, a imię mu było Godysław: *miserunt me Godislaum custodem Posnaniensem, Basconem cognomine. Godislaus a Gotsalcus* brało otoczenie jego poznańskie snąć za synonim. Na tym roku 1280 nie urywa się jednakże wątek życia tego męża i nie była ta kustodya poznańska jedyną jego godnością. Począwszy od r. 1268 widzimy go w kilku dokumentach kujawskich wspomnianego jako dziekana kruszwickiego ²⁾, a to pod imieniem *Goslaus*. Dzierżył tę funkcję dowodnie aż do r. 1277, rzeczywiście jednak pewnie parę lat dłużej, ponieważ następcą jego na tej dziekani, jakiś Albertus, jawi się dopiero d. 4 października r. 1282 ³⁾. W roku zatem pewnie 1281 musiał Baszko zrezygnować z tej prałatury kruszwickiej, a zapewne i z poznańskiej, zamieniając obydwie na dostojęństwo dziekana archikatedry gnieźnieńskiej, na którejto posadzie dowodnie go w r. 1283 spotykamy, co nie wyklucza możliwości przeniesienia się jego do Gniezna jeszcze r. 1281. Poprzedni dziekan gnieźnieński nazywał się Falenta i występuje w źródłach dziejowych w tym charakterze od r. 1262 do 1279, w którym żył jeszcze i działał, tak iż mógł w r. 1281 zakończyć życie ⁴⁾. Jako dziekan gnieźnieński jest Baszko wspomniany zawsze pod imieniem *Goslaus*, a to w kilkunastu dokumentach z r. 1283 do 1294 ⁵⁾. Niema jednak koniecznego powodu do przypuszczenia, żeby zgon jego

¹⁾ Mon. Pol. II 591.

²⁾ Kod. Rzyszez. II Nr. 94 i 109; Kod. WPol. Nr. 608; Archiw. Komis. hist. IV p. 216 Nr. 40.

³⁾ Kod. Rzyszez. II Nr. 459 i 119.

⁴⁾ Kod. WPol. Nr. 396 i 490.

⁵⁾ Ibid. Nr. 522, 534, 554, 630, 655, 696, 697 i 717.

do tego już czasu należało odnosić; a to z powodu, ponieważ następca jego Mikołaj po raz pierwszy się jawi jako dziekan gnieźnieński dopiero w r. 1298¹⁾. Mógł zatem snadnie dożyć tego jeszcze lub poprzedniego roku nasz Gosław. Umierałby w wieku wprawdzie późnym, ale nie licząc sobie pewnie lat więcej, jak najwyżej 77. Pierwsza bowiem o nim wzmianka jako o skarbniku tylko biskupim, przypadająca jak się wyżej powiedziało na r. 1252, upoważnia do widzenia w nim wtedy jeszcze młodego człowieka, nie starszego na lat 30, tak iżby się mógł rodzić około r. 1222.

Na tę myśl, że Gosław, dziekan gnieźnieński, był identyczną osobą z Baszkiem, wpadał już Mosbach. Jemu jednak był wiadomy tylko jeden dokument ze wzmianką o tej osobistości na tym urzędzie i z tem imieniem. Dr. Warmcki znalazł ich już więcej, nie tylko o gnieźnieńskim, ale i kruszwickim tego imienia dziekanie mówiących. Ale z uwagi, że tam zawsze Gotszalk albo Baszko, a tu nigdy inaczej jak Gosław, nie chciał uznać w nich jednego człowieka. Do tych wątpliwości dotyczących imienia, i tę jeszcze dodaćby można, że przecież zdaje się to być dziwnem, że też nie ma ani jednego dokumentu z owych lat, kiedy miałby być Baszko kustoszem poznańskim i dziekanem kruszwickim, w którymby go przywiedziono w obydwóch tych charakterach. Zawsze go wspominają albo tylko w jednym lub w drugim.

Zapewne, zdaje się to być dziwnem! Ale uważyć tu należy na dwie okoliczności. Po pierwsze, że te wszystkie dokumenta mówią o Baszku resp. Gosławie lub Gotszalku zawsze tylko między świadkami, a nie żeby w nich Baszko występował jako główna, czynnie lub biernie działająca osoba; powtóre, że nie było wtedy u nas zwyczajem przywozić imion świadków ze wszystkimi tytułami posiadanyimi; przeciwnie,

¹⁾ Kod. WPol. Nr. 789.

poprzestawano zwykle na tylko jednym tytule, t. j. tym, który w stosunku do miejsca i do czasu był głównym.

Przekonamy się o tem najlepiej, jeżeli rozpoznamy, jak np. późniejszy nasz historyk Janko z Czarnkowa ukazuje się w dokumentach. Posiadał on równocześnie kilka godności kościelnych. Już w r. 1360 miał kanonię poznańską i zatrzymał ją aż do śmierci. W r. 1363 wynosi go Kazimierz W. na swego wicekanclerza, i zaraz potem w tymże roku dostają mu się dwa beneficya duchowne: dziekania wrocławska i kantorya gnieźnieńska (obie już r. 1363). Dziekanię wrocławską zamienił później (już tak było r. 1365) na kantoryę wrocławską, żeby po niewielu latach (r. 1368) znowu do dziekani wrocławskiej powrócić i piastować ją aż do śmierci. A gnieźnieńską kantoryę zamienił r. 1368 na archidyakoniat gnieźnieński, na którejto godności umarł w początku r. 1387¹⁾.

Był przeto kanonikiem poznańskim, dziekanem resp. kantorem wrocławskim, kantorem później archidyakonem gnieźnieńskim, a prócz tego i wicekanclerzem *regni*. Wicekanclerstwo odebrano mu r. 1370, ale tamte kościelne godności zatrzymał aż do zgonu, w taki sposób, że począwszy od r. 1363 do końca życia miał ich zawsze co najmniej trzy naraz, nie licząc w to wicekanclerstwa.

Patrzmyż teraz, jak się to wszystko w dokumentach współczesnych odbija, w których albo świadkuje nasz Janko, albo je nawet sam układa jako wicekanclerz. Znam takich dokumentów przeszło 50. Niemniej między nimi ani jednego, w którymby więcej przymieniu jego godności było podanych, jak dwie, t. j. wicekanclerstwo i jedna z kościelnych. A i to zdarza się rzadko i jedynie w takich dokumentach (choć żadną miarą nie wszystkich), które przezeń (*per manu*—

¹⁾ Kod. WPol. Nr. 1435, 1436, 1441; 1493, 1494; 1554, 1575
1576, 1594; 1628, 1588, 1859.

eius) zostały wydane. Gdzie zaś wspomniany jako tylko świadek, tam tylko jedną zawsze oznaczony bywa godnością. Najczęściej bywa zaś tak nawet i w dyplomatach przezeń wystawionych.

Mianowicie jest nazwany: tylko kantorem gnieźnieńskim raz ¹⁾; tylko archidyakonem gnieźnieńskim 11 razy ²⁾; tylko wicekanclerzem 6 razy ³⁾; wicekanclerzem i archidyakonem 13 razy ⁴⁾; wicekanclerzem i dziekanem wrocławskim 5 razy ⁵⁾; wicekanclerzem i kantorem wrocławskim 7 razy ⁶⁾; kantorem gnieźnieńskim i kanonikiem poznańskim raz ⁷⁾.

A zatem na 50 sztuk tylko jedna, w której oznaczony wyjątkowo dwiema kościelnymi godnościami, i *ub.* nie występuje on tu ⁸⁾ jako świadek, lecz jako działająca osoba! We wszystkich innych poprzestaje na jednym tylko zawsze tytule duchownym, obok wicekanclerza lub z opuszczeniem tego rządowego tytułu, a 6 razy nawet i samo to wicekanclerstwo wystarcza, bez żadnej kościelnej intytulacyi! Co większa, w dokumencie z r. 1383 ⁹⁾ występuje Janko nie w roli tylko świadka, ale jako główna działająca osoba, i pomimo tego poprzestaje na nazwie (5 razy tu powtórzonej) tylko »archidyakona gnieźnieńskiego« z pominięciem drugich duchownych tytułów! A przecież i do poznańskiej i do wrocławskiej kapituły do samej swej śmierci należał, jak to wynika z jego dzieła (rozdz. 56 i 92).

¹⁾ Kod. WPol. Nr. 1494.

²⁾ Kod. WPol. Nr. 1655, 1716/17, 1768, 1774/5, 1822, 1829, 1848, 1859, i w Kod. Mog. Nr. 84.

³⁾ Kod. WPol. Nr. 1589, 1597, 1618; w Kod. Rzyszcz. II Nr. 523; Kod. Mog. Nr. 82/3.

⁴⁾ Kod. WPol. Nr. 1588, 1590, 1605/6, 1621—1627, 1642; i Kod. Rzyszcz. I Nr. 131.

⁵⁾ Kod. WPol. Nr. 1493, 1594, 1596, 1603, 1628.

⁶⁾ Tamże Nr. 1554, 1573—77 i 1580.

⁷⁾ Tamże Nr. 1548.

⁸⁾ Tamże Nr. 1548.

⁹⁾ Tamże Nr. 1s14.

Wobec tego nie może tedy zadziwiać, że nasz Baszko, nie występujący nigdy w odnośnych dokumentach w innej roli, jak tylko świadka, także zawsze tylko jedną oznaczony godnością, choć ich posiadał więcej. I trudnoby było nawet przypuścić, żeby tak światły, pracowity i zasłużony człowiek, dopóki mu sił i woli starczyło, na jednej tylko miał być przedstawiać.

A teraz jedna jeszcze uwaga co do imienia Baszka. Czy on przy chrzcie otrzymał imię Gotszalk, czy Gosław, trudno dzisiaj rozstrzygać. Ale to pewna, że predylekcyą miał sam nasz kustosz do spolszczonego imienia, ono bowiem sam sobie daje w kronice i pod tem tylko imieniem go znano tak w Kruszwicy, jak w Gnieźnie — w jego już późniejszych latach. W Poznaniu mogli go nazywać Gotszalkiem, bo za młodu znać to imię nosił, i po dawnemu tak go tam zwano do końca. To imię Gosław nie należało i w tamtych czasach do tak powszechnych, jak Jan, Marcin, Jakób i t. p. W całym dyplomatarzu wielkopolskim i Rzysszczewskiego nie znajdujemy w obrębie blisko trzech zawartych w nich wieków, ani w Gnieźnie i Poznaniu ani w Włocławku, Kruszwicy i t. d. już drugiej kapłańskiej osobistości, posiadającej to imię, prócz chyba jednego kanonika w Poznaniu, który je miał, ale żył w XIV wieku. Trudno zatem przypuścić, żeby w skutek ślepego jakiegoś trafu, tylko w tym właśnie jednym czasie wyjątkowo znaleźć się miało aż trzech Gosławów, w trzech różnych kapitułach współcześnie funkcyonujących, i żeby nie mieli być jedną i tą samą osobistością.

Tyle tedy o osobie tego prałata, a teraz przejdźmy do pism, mogących pochodzić z jego ręki.

Skorośmy wyżej za prawdopodobne uznali, że prowadzenie rocznika kościelnego było zadaniem w pierwszej linii kustoszów, a co do Baszka powzięliśmy wszelką pewność, że on tę funkcyą w poznańskiej ka-

pitule co najmniej od r. 1256 do c. 1280 sprawował: więc samo przez się nasuwa się teraz pytanie, czy znajdujemy w odpowiedniej rocznika poznańskiego partii jakie ślady pracy nad nią tego właśnie pisarza? Rozumiem tak, że trzebaby chyba umyślnie oczy na to zamykać, żeby nie widzieć tu jego ręki, żeby nie przyznać, że ten rocznik od tego dopiero czasu, a właściwie już od roku 1253, staje się w zdarzenia obfitszym, w opowiadanie zasobniejszym, w ogólności całkiem odtąd i co do formy i ducha pisanym inaczej, jak jego dawniej tak sztywna i urzędowa, nieraz niejasna, zawsze niezgrabna, jakby spętana, niewymierna i różnorodna, w słowa skąpa, w treść dziejową tak uboga i jałowa redakcja. Jakże np. sama charakterystyka zmarłego w r. 1253 biskupa Bogufała, tak serdecznie i zasobnie podana, odbija od wszystkiego, co to miejsce i tę epokę czasu w całym tym roczniku poprzedza! A skoro to całe pośmiertne o biskupie wspomnienie odnajdujemy powtórzone temi samymi niemal słowy także znowu i w kronice, o której jako dziele Baszka niżej będziemy mówili: to czyż mógłby kto słusznie wątpić, że ten annał w druku nazwany Rocznikiem Wielkopolskim pisze od tego miejsca począwszy, współcześnie ze zdarzeniami, nasz ten kronikarz. Jak daleko go doprowadził — pozostanie na zawsze nierozwiązanem pytaniem. Autentyk bowiem czyli oryginał tego zabytku przepadł. Znamy tylko część rocznika, która się na roku 1273 urywa, a miejscami nawet i przed tym już rokiem mocnemu zdefektowaniu dzięki lenistwu odpisujących podległa. Ci zaś kopiści z pewnością nie odpisywali go już z poznańskiego urzędowego oryginału, lecz z wyciągu, który sobie nasz kronikarz, do Gniezna się przynosząc, albo sam z niego zrobił albo komu zrobić polecił. Dalsze zapiski, w druku Bielowskiego¹⁾ przed-

¹⁾ »Monum.« III 40—41.

stawiające zakończenie Rocznika wielkopolskiego, nie były już pióra Baszka. Obejmują z całego czasu od r. 1273—1295, a od 1295—1309 siedm tylko faktów dziejowych, tak jeden od drugiego odległych i tak różnorodnych, że widać, iż to zbieranina przypadkowa z najrozmaitszych źródeł.

Zasmakowawszy (układając rocznik) w dziejopisarskiej pracy, zabrał się kustosz poznański z czasem i do ułożenia narracyjnego w szerszych ramach obrazu dziejów — do napisania kroniki. Przypuszczam, że na razie nie chodziło mu o nic więcej, jak o kontynuację Kadłubka. Rozpoczął więc dzieło swoje, jak ono dziś całe leży przed nami, od środka. Myśl uzupełnienia go i początkiem, pierwszą połową tej kroniki, powziął później. Zapewne poprzedził tę swą wcześniejszą robotę jakimś wstępem, którego obecnie nie ma, a dlatego go niema, że dopisana później pierwsza kroniki połowa czyniła go niepotrzebnym, owszem psującym ciągłość. Po wstępie, mogła się ta jego praca poczynać od dzisiejszego 57 rozdziału¹⁾. Ten właśnie rozdział dlatego zdaje mi się być najwłaściwszym początkiem odrębnego wtedy utworu, że w nim daje autor, o ile go stać było na to, ogólne i sumaryczne na stan rzeczy w całej Polsce spojrzenie w owej chwili, od której opowiadanie zaczyna; że określa w nim jakby program tego, co powie, a co pominie lub mimochodem i ubocznie tylko nakreśli²⁾.

Zaraz potem (roźdz. 58) bez dalszych korowodów *in medias res* wkracza, a trzyma się jak najściślej Ro-

¹⁾ Mon. Pol. II p. 553.

²⁾ Ut autem quilibet lector historiarum Poloniae actus et gesta ac progressum principum polonorum, qui sequentur, plenius possit capere et lucidius notare, restat videre, qui principes quibus tetrarchiis his temporibus praefuerunt i t. d.

Obmissis namque Slesiae et Opoliae principibus (aliqua tamen et de ipsis incidenter inserere non obmittam), de ceteris tantum scribere intendo i t. d.

cznika, który zostawał pod jego pieczęcią i który w wiadomej partyi on sam przez kilka lat poprzednich, wspólnie z biegiem zdarzeń, był spisał. Ten rozdz. 58 daje fakta z r. 1217 i 1223. Dlaczego nie wcześniejsze, skoro to miała być kontynuacya Kadlubka, który dzieło swoje na r. 1202 przerwał? Oto z tej prostej przyczyny, że w Roczniku WPol. w obrębie lat od 1196—1217 żadnych nie podano faktów¹⁾, a nasz pisarz i z żadnego innego źródła wtedy jeszcze ich nie znał. W roczniku znajdują się z przeciągu czasu 1217—24 cztery zapiski: Baszko podejmuje i rozwija po swojemu tylko dwie (wygonienie Odonicza z Kalisza — i potem ucieczka przez tegoż księcia Uścia). Dlaczego dwie drugie opuszcza? Ponieważ zawalenie się wieży gnieźnieńskiej w r. 1220 było tylko lokalnym wypadkiem, a zajęcie Lubusza przez sąsiedniego landgrafa w r. 1224 zdawało mu się być zdarzeniem postronnem, ważnem dla Śląska, ale nie dla całej Polski. Ta, co prawda, jednostronność zapatrywania odpowiadała jego programowi (*obmissis Slesiae principibus...*). Tak postępuje i dalej aż do rozdz. 126 t. j. do r. 1258. Z każdej zapiski rocznika tworzy nieco szerzej stylizowany, pragmatycznie rozwinięty rozdział; rzadko kiedy tekst pierwotnemu skraca, a tylko wtedy to i owo przeskakuje, jeżeli mu się co zdawało nie należeć do rzeczy z jakichkolwiek powodów. Trzyma się także po największej części i porządku, jak te fakta szły po sobie w roczniku. W ogólności aż do r. 1259 niewiele takich rozdziałów w kronice, któreby były na jakim innym źródle oparte. Takimi są np. rozdział 60—62, potem 66, a taksamo i 74, dotyczące spraw mazowieckich, kujawskich i małopolskich, o ile się takowe z sobą łączyły jako czyny Konrada mazowieckiego. Musiał tu mieć pod ręką nasz pisarz jakiś rocznik, może kruszwicki albo czerski, nam już nieznanym. Tem snadniej to można

¹⁾ Obacz Rocznik, «Mon. Pol. III str. 7.

przypuścić, że archidyakoniat czerski, jak wiadomo, do Poznania należał, a kruszwickiej kapituły Baszko był członkiem. — W partyi rocznika poznańskiego dawniejszej, z przed r. 1253, nie pisanej przez Baszka, nie braknie na takich zapiskach, które tenże spożytkował, lecz niedokładnie, a nawet mylnie. Badaczem dziejów z powołania on nie był, a mógł zbłądzić tem łatwiej, że w tej partyi pierwotworu stylizacya niezręczna, zbylakoniczna, dawała powód do niewłaściwego połączenia w jedno zdarzeń czasowo odrębnych, lub do opaczego ich przedstawienia ¹⁾. Przeciwnie zaś rzecz się ma począwszy od r. 1253. Od tego miejsca aż do końca kroniki nie znajdziemy już tak łatwo sprzeczności

¹⁾ Tak np. z pewnością zgola mylnie w rozdz. 69 przedstawia okoliczności okrucieństwa, jakiego się Konrad mazowiecki dopuścił na scholastyku Janie Czapli. Powiada, że dlatego księżę na śmierć skazał, ponieważ Czapla towarzysząc w r. 1239 młodemu jego synowi Kazimierzowi kujawskiemu, w charakterze jego mentora, na wesele do Wrocławia, pozwolił temuż, wbrew woli ojca, przydłużej zabawić się u rodziców swej żony. Ta wiadomość weszła potem i w Historią Długosza i ma obieg po wszystkich dalszych książkach do dziś dnia. Nie znamy i nigdy nie będziemy, jak się rzeczywiście miała sprawa z tym Czaplą. Ale temu przecież wierzyć trudno, żeby ta błaża przyczyna miała była wywołać taki gniew u Konrada, a takie już wręcz rozbestwienie u jego żony. Zresztą Kazimierz kujawski nie był wtedy kiedy się żenił, bynajmniej takim niedorostkiem, żeby mentora potrzebował i żeby musiał się do żądań jego stosować. Za całe to bałamuctwo spada odpowiedzialność tylko na Baszka, a nie na rocznik, choć rzecz zeń wziął. W roczniku bowiem (Mon. Pol. III 8) jest pod r. 1239 naprzód wspomniana sromotna śmierć tego Czapli, bez podania żadnych powodów. Potem idą dwie zapiski, nadmienające o całkiem odrębnych faktach; a dopiero na czwartym miejscu następuje wzmianka o owym ślubie w Wrocławiu. Widać z tego, że Czapla wcale do Wrocławia nie jeździł a nawet nie żył już wtedy, kiedy to wesele się odbywało. Baszko dopiero czasowo i nawet przyczynowo powiązał z sobą te dwa zdarzenia. Równie mylnie i to jest powiedziane, że nadanie Łowicza arcybiskupstwu gnieźnieńskiemu zaszło wtedy dopiero, z ręki Konrada, i w następstwie tej zbrodni. Rocznik i o tem nie

między tem, co rocznikarz, a co kronikarz podaje. I rzecz to zgoła naturalna. Rocznikarzem i kronikarzem w tej partyi tasama była osoba. To też przyswaja sobie odtąd kronika bez żadnego skrupułu całe zdania, całe nawet ustępy, temi samemi zazwyczaj powtórzone słowami, jak je ma rocznik, a i od kolei, jak po sobie następują, rzadko odbiega, chyba że coś jest niedokończone albo z powodów, które niżej wyjaśnimy, pominięte w roczniku. Tak to idzie aż do rozdziału 126.

Z rozdziałem 127 (rok 1259) poczyna się całkiem inny między rocznikiem poznańskim a kroniką stosunek i nie zmienia się na lepsze aż do rozdziału 154 (rok 1268), choć i potem nie taka między niemi już

nie wie, i tak nie było. Arcybiskupi byli w posiadaniu kasztelanii lowickiej już w r. 1136, a raczej od niepamiętnych czasów. I ta także mylna wiadomość wnikła do historii Długosza.

Taksamo niby za rocznikiem, ale przez nieporozumienie niezgodnie z jego lakonicznemi datami i z prawdą dziejową, jest nakreślony w rozdz. 65 kroniki przebieg wojny w roku 1233 i 34 między Odoniczem a Henrykiem Brodatym. Każe tu Baszko Odoniczowi palić gród w Bninie, a odbudowywać w Gnieźnie, podczas gdy rocznik (co prawda bardzo niezdarne) właśnie wystawienie grodu bnińskiego w r. 1233 do Odonicza, a jego spalenie w następnym i zbudowanie gnieźnieńskiej warowni do Henryka Brodatego odnosi.

Sprawa obdarzenia biskupstwa poznańskiego przywilejami przez Odonicza i później przez synów tegoż (rozdz. 65 i 78) opowiedziana i niedokładnie i nawet mylnie, jeżeli się z tem teksty rocznika pod r. 1232 i 1245 i inne okoliczności o tem wiadome porówna. — W rozdz. 76 kroniki, w r. 1245, zaślubia Przemysł I Jadwigę wrocławską księżniczkę. Przejęto to z rocznika (*Mon. Pol.* III p. 10 i 11), gdzie fakt ten dano pod r. 1244 a imienia tej córki Henryka II wcale nie wyrażono. Stąd pomyłka: Jadwiga zamiast Elżbieta. Poprawka r. 1244 na 1245 będzie pewnie uzasadnioną. — Zapiska rocznika z r. 1247 (III 13), dotycząca różnych sprawek Kazimierza kujawskiego, nie została należycie spożytkowaną w odnośnym (83) rozdziale kroniki. Mianowicie pominięto tu milezeniem przywłaszczenie sobie przez tego niespokojnika już wtedy ziemi sieradzkiej. — Poprzestaję na tych kilku przykładach, choć możnaby ich więcej wskazać.

zgodność co do doboru opowiedzianych zdarzeń, jaka była zrazu.

Stosunek rocznika do kroniki w ciągu tego dziesięciolecia (r. 1259—68) jest taki, że w pierwszym miesiącu z tego czasu w ogólności tylko 13 zapisanych zdarzeń, podczas gdy kronika daje ich 33. W tej liczbie znachodzą się tylko 3 takie fakta, o których wie coś i rocznik (wojna Bolesława Pobożnego w r. 1259 z Kazimierzem kujawskim — ucieczka santockiego grodu przez Niemców i spalenie go wraz z drdzeńskim w r. 1266 — i bezskuteczna elekcya proboszcza katedralnego Pietrzyka na biskupa poznańskiego pod r. 1265). A zatem rzecz się w tej partyi przedstawia tak, że daje ten rocznik 10 zapisek, niewyzyskanych w kronice — a kronika zawiera 30 takich, które do rocznika nie weszły. Jak sobie to wytłómaczyć?

Że Baszko dziesięć do rocznika zaciągniętych zapisek nie uwzględnił w kronice: tem się tłumaczy, że to wszystko albo zajścia poznańskie lokalne, albo (jak zgon papieża Klemensa IV w r. 1267) postronne. Nie dziw przeto, że je pominięto w dziejach politycznych narodu. Dla czternastu rozdziałów kroniki¹⁾, poświęconych wypadkom dotyczącym innych prowincyi, a nie Wielkopolski, mógł autor zaczerpnąć osnowy z innych źródeł, które trudno dziś wskazać: lokalny poznański rocznik mógł być się o nie nie troszczyć. Ale nawet przypuściwszy to wszystko, jak zrozumieć, że cała reszta rozdziałów tej partyi kroniki (jest ich 13), opowiadających o rdzennie wielkopolskich zajściach, nie ma w tym roczniku nic zgoła sobie odpowiedniego? Skądże one tedy są wzięte? Odpowiedź na to jest taka, że te zajścia, a pewnie i wiele z tamtych, były wspomniane w tym roczniku, z niego są wzięte: ale

¹⁾ Są to rozdziały 128—130, 132—134, 136, 138, 140, 147—149, 151 i 154.

my nie posiadamy tego pisma w jego pierwotnym komplecie.

Oryginał rocznika poznańskiego albo bardzo wczesnie zaginął albo nie było doń łatwego dla byle kogo przystępu. Zachowały się do dni naszych tylko (już z kopii zrobione) odpisy, wszystkie z XV stulecia. Jest ich wszystkich siedm. Jedne dają ten zabytek w postaci więcej, drugie w mniej zdefektowanej, w zupełnej żaden. Ani jedna też z tych siedmiu kopii nie stanowiła samoistnej, osobnej sama dla siebie całości, ale wszystkie chodzą razem z Kroniką, dopisywane jako apendyks do niej, i mieszczą się we wszystkich kodeksach dopiero po kronice. Ci, którzy w swojej każdej kopii nasamprzód przepisali kronikę, cisami właśnie kopiści zaciągali do tejże księgi potem i rocznik. A że się każdemu z nich ta robota przykrzyła, że nie pojmowali racyi, dlaczego mieliby się męczyć nad przepisywaniem tylu rocznikarskich zapisek w tejsamej prawie stylizacyi, w jakiej jeszcze szerzej opowiedziane już je byli przepisali w kronice: więc opuszczali z tego rocznika całe ustępy, nawet całe lata — jedni milczkiem, drudzy przyznając się niekiedy do tego i usprawiedliwiając, dlaczego tak czynią.

Najmniej leniwym, choć także próżniak, i najrzetelniejszym z nich wszystkich był ten kopista, którego ręką jest pisany kodeks t. zw. Otoboniański, przechowywany obecnie w watykańskiej bibliotece. Jak wszyscy drudzy, tak i ten pissrz ułatwiał sobie w ten sposób swoje rzemiosło już nieraz i w partyi rocznika poprzedniej (przed r. 1259), o której powiedziałem wyżej, że stosunkowo zgadza się z kroniką jeszcze najlepiej. Ale na wielką skalę przypada zdefektowanie dopiero w partyi od roku 1259 począwszy. Tak np. opowieść przewlekłej elekcji biskupiej po śmierci Bogufala III, opisaną bardzo dokładnie w kronice (rozd. 143 i 145), a niewątpliwie opowiedzianą, choć może krócej, także w roczniku, znajdujemy w dzisiejszym

jego tekście pod rokiem 1267¹⁾ zbyta następującym sposobem. Zaczyna się tu na razie to miejsce temi samemi słowy, co w kronice; ale już po piątym wierszu taka oto ekskuza: *Iam est eadem materia de praedicta electione descripta in quinto sexterno huius cronicae (!), quod incipit „De electione Petrziconis“* (ten nadpis ma rzeczywiście rozdz. 145 kroniki). *Et ergo quod semel est scriptum. quare deberet resumī? Et causa istius eam hic scribere obmitto, quia ibi de VI sexterno ad VIII stat. prout est gestum. Et etiam multae aliae materiae bene sunt descriptae* (w kronice!), *quae hic resumebantur* (w oryginalne rocznika, a które w niniejszej kopii zostają wypuszczone). Kronika w rozdz. 118 notuje zgon Przemysła I, wysławia jego niepospolite zalety, jego szczodrość dla kościoła i opisuje pogrzeb. W następnym rozdziale donosi o narodzeniu, już po śmierci ojca, jego syna Przemysła II, i o chrzcie tegoż dziecięcia w dniu św. Kaliksta, z wszystkimi szczegółami. W dalszym (120) rozdziale rozpowiada o synodzie łączyckim, w tymże dniu św. Kaliksta roku 1257 odbytym, z dołączeniem wiadomości, którzy biskupi udział w nim wzięli itd. Cóż o tem wszystkim w roczniku? O śmierci Przemysła nasze kopie nie mówią wcale. Poczciwy tylko Otobonianin pisze tu tak²⁾: *Sequitur rubrica de obitu Przemisli ducis. quae iam scripta est superius in IV sexterno* (kroniki), więc się tutaj wypuszcza. O narodzeniu Przemysła Pogrobowca wszystkie kopie milczą. jeden tylko Otobonianin³⁾ tak pisze: *Item anno 1257 natus est filius Przemislonis* (temi snać słowy w oryginalne zaczynała się ta zapiska), lecz jej dalej nie opisuje, a natomiast powiada: *hoc etiam iam est conscriptum immediate supra post illud... et ergo hic praetermitto*. O synodzie łączyckim wszystkie odpisy rocznika

¹⁾ «Mon. Pol.» III p. 35.

²⁾ Ibid. III 31 nota.

³⁾ Ibid. III p. 32.

e udzielają ni słowa: jedynie w Otoboniańskim koksie tyle o tem: *Item eodem anno in die b. Calixti...* i urywa, a dalej tak się z tego tłómaczy:) *hoc etiam m est post hoc expressum* itd. a kończy: *et ergo causa illatis seu causa papiri et laboris obmitto*.

Zacytowałem tylko kilka przykładów na okaz, jak zepisywano ten rocznik. Więcej dowodów tej otwarści najrzetelniejszego z kopistów, a tajonego lenistwa głupoty innych odpisujących, znajdziemy pod r. 1246 (1247 ¹⁾), pod r. 1254 i 55 ²⁾), pod r. 1268 i 69 ³⁾) i może gdzieindziej jeszcze. A wobec tych faktów, własnem zyznaniem winowajcy lub innymi dowodami pozytywnie stwierdzonych, czyżby można o tem wątpić, że amy przed sobą tylko fragmenta tego rocznika w tych nawet latach, co do których niema tak janych dowodów samowolnego zdefektowania. Począszy od r. 1269 ¹⁾) złe to wprawdzie zmniejsza się trochę. Lecz i ta ostatnia część rocznika nie ocalała w swej zupełności pierwotnej.

Tyle o stosunku kroniki do wielkopolskiego ronika. Opuszczamy ten zrudny temat z tem nabytem Ń przeświadczeniem, że omawiany tu rocznik służył onice za główne, choć nie za jedyne źródło, a to zez całą drugą onej połowę, od rozdziału 58 po ąwszy aż do samego końca.

Właściwie jednak o końcu kroniki nie należały w tym sensie mówić, gdyż go nie posiadamy, ani : żadnego o tem ni mamy wyobrażenia, jak daleko a była doprowadzona. W każdym razie będzie pelem, że dzisiejszy onej tekst, dochodzący zaledwie r. 1273, t. j. do pierwszych czynów Przemysła II szcze przed objęciem władzy nad przydzielonym mu

¹⁾ Mon. Pol. III 12.

²⁾ Ibid. III 23.

³⁾ Ibid. III 33.

⁴⁾ Ibid. III 36.

kiego postu pod inną odzieżą potajemnie używał: *Ego Basco custos Posnaniensis post mortem ipsius vidi* i t. d. Pod tymże rokiem (rozd. 119) opowiada, że chrztu nowonarodzonego Przemysła II dopełnił biskup Bogufał III przy jego asystencyi: *cum Bascone custode*. Pod r. 1268 (rozd. 154) donosząc o zgonie bł. Salomei siostry ks. Bolesława Wstydliwego w Skale, zapisuje, co już wtedy w tamtych stronach rozprowadano o cudach przy jej pogrzebie i co sam o nich od naoczego świadka słyszał: *Audivi etiam a religiosissima virgine Martha, sanctimoniali coenobii* itd. Imienia swego tym razem nie wyraża. Nakoniec z okazji elekcji dokonywanych po zejściu biskupa Bogufała III, w rozdz. 145 szczegółowo rozpowiada o zatargach, jakie z tego między Gnieznem a Poznaniem wynikły, i że i jemu w tem naprężeniu przypadła pewna rola do odegrania. Biskup Bogufał zmarł r. 1263. Kapituła, podzielona wtedy na dwa stronnictwa, dopełniła kanonicznej elekcji dopiero r. 1265. Jeszcze przed rzeczonym rokiem wyszedł był z tego rozdwojenia, dzięki jakiejś mniejszości głosów, elektem Falenta, dziekan gnieźnieński. Arcybiskup i dwór książęcy popierał tego pralata. Ale większość kapituły poznańskiej nie chciała nic o tem słyszeć i wybrała w r. 1265 jako kandydata swego Pietrzyka, proboszcza w tejże kapitule. Temu jednak arcybiskup odmówił sakry, obstając przy Falencie. Wprawdzie Pietrzyk dla miłego spokoju rezygnuje na rzecz Falenty. Ale i to się na nic nie zdało, ponieważ kapituła przystąpiła do trzeciego wyboru, z którego elektem wychodzi Jan archidyakon poznański. Arcybiskup i tego odrzuca. Rozżaleni kanonicy poznańscy wysyłają delegację do Rzymu z protestem przeciw takiemu postępowaniu; nim jednak papież rozpoznał tę sprawę, konsekruje arcybiskup swego elekta. Wtedy dopiero przychodzi do wmieszania się Baszka w ten zatarg. Stało się to z pewnością dopiero r. 1267, choć jednym ciągiem opowiada o tem kronika pod 1265. *Habito consilio,*

mówi nasz autor, *canonici miserunt me Godislaum custodem eiusdem ecclesiae, Basconem cognomine, cum litteris ad curiam*. Teraz dopiero ojciec św. obydwie strony pogodził, mianując w r. 1267 biskupem całkiem inną osobę, Mikołaja kapelana swojego, Falentę mimo otrzymanej sakry, równie jak i jego współzawodnika do rezygnacyi skłoniwszy.

Ponieważ obydwaj ostatnie powołane tu miejsca, i to o elekcyi i owo o cudach Salomei, przypadają pod sam już koniec kroniki, a autor i tu jeszcze kustoszem poznańskim siebie nazywa, więc rzecz jasna że to pisał przed swoją jeszcze dziękanią gnieźnieńską t. j. przed r. 1282. A to się stwierdza i przez inny jeszcze ustęp kroniki, w rozdziale 131. Zapisuje tu Basko wyjście za mąż w r. 1260 najstarszej córki Przemysła I, 14-letniej wtedy Konstancyi, za marchionbrandeburskiego Konrada i dołącza do tego wiadomość, że w braku gotowizny (jak to u naszych księżyżąt zawsze bywało) na posag dla tej księżniczki, oddał stryj panny młodej, Bolesław kaliski, jej małżonkowi kasztelanię santocką na tak długo w zastaw, dopókiy posag ten nie był splecony. Ale niestety (dodaje) *per hoc ipsa castellania a regno Poloniae alienata usque in praesentem diem*. Otóż i w tem widzę dowód, że niniejsza połowa kroniki układaną była przed rokiem 1280. Albowiem o ile z dokumentów Przemysła II wnosić się godzi¹⁾, ta kresowa okoliczność, *regni custodia et clavis*, jak ją jeszcze Gallus nazwał, była w latach od 1280—96 odzyskana dla Polski — czy orężem, czy za spłatą owego dłużnego Niemcom posagu, nie wiedzieć. Po zamordowaniu Przemysła w r. 1296, zagarnęli tę kasztelanię niezwłocznie brandebursey marchionowie napowrót. A od tego czasu, nawet za panowania Łokietka, ani wojny ani układy nie potrafiły wy dostać im już tej zdobyczy z gardła.

¹⁾ Kod. WPol. Nr. 496, 516, 548, 585, 570 i 584.

W r. 1335 sprzedał Ludwik brandeburski gród Drdzeń i Santok z przyległościami niemieckiej rodzinie Wedłów i Ostenów, jako swoim feudalnym podwładnym. Szczęśliwsze rządy Kazimierza W. tyle w tem tylko zmienić na lepsze zdołały, że się rzeczona rodzina w r. 1365 uznała za wasalów króla polskiego ¹⁾. Była to jednak tylko obłuda, która zaraz po zgonie Kazimierza w r. 1370 maskę z twarzy zrzuciła, oddając Santok na nowo pod supremacyę brandeburską ²⁾. Otóż więc miejsce wyżej zacytowane z kroniki mogło być pisane chyba tylko przed r. 1280. Gdyż po upływie dłuższego czasu od chwili oddania w zastaw ziemi santockiej, a zwłaszcza po jej zagarnięciu przemocą w r. 1296, byłaby ta niecierpliwość kronikarza, że *regnum Poloniae* ciągle jej jeszcze nie ma sobie zwróconej, co najmniej naiwnym optymizmem.

Oprócz powyższej pracy Baszka z epoki jego późniejszej, należy tu bodaj zaznaczyć, że pozostawił z tychże czasów i drugą: Żywot Przemysła I, zaraz pewnie po tegoż śmierci, więc w r. 1257 lub 58 skreślony. Od niepamiętnych czasów zaginęły wszelkie ślady istnienia tego utworu, Długosz jednak niewątpliwie z niego korzystał ³⁾.

¹⁾ Kod. WPol. Nr. 1545.

²⁾ Janko z Czarnkowa, Mon. Pol. II 642.

³⁾ Pisze Baszko w rozdz. 118 (p. 579) tak: Cuius (Przemysła) *vitam* sub brevitate transcurrens, ne ex hoc legenti generaretur fastidium, strictissime *descripsi*. Że przez tę *Vita* nie rozumiał poczynającego się tu właśnie wśród kroniki rozdziału 118, ale coś dawniej już zrobionego, tego dowodzi samo to *perfectum: descripsi*, a nie *describo*. Długosz (Hist. II p. 364) reprodukuje niniejszy rozdział 118 Baszka, ale takimi pomnożony faktami, których w nim niema. Wie np. że chorował Prz. dni 15; że pochowany w tumie pozn.; że zostawił 4 córki (prócz syna) i jakie tychże imiona. Zresztą powiada, że Baszko cnoty tego księcia ślawi *in suis scriptis et annalibus*. *Annales* to kronika, a *scripta* — chyba coś drugiego.

Zajmijmy się teraz pierwszą połową kroniki. Nadmienilem już wyżej, że ją uważam za dzieło wprawdzie Baszka, lecz w każdym razie dorobione dopiero później do już gotowej części drugiej. Albo to utwór z lat życia jego ostatnich, albo jeżeli napisany jeszcze w Poznaniu, to w nim poczynił pewne zmiany i uzupełnił wstępem, obecnie stanowiącym początek — dopiero w drugiej r. 1295 połowie.

W rzezonym wstępie wyklada autor powody, dlaczego się do tej pracy zabiera. »Jakkolwiek wielu mamy historyków, powiada, którzy początek królów i książąt naszych i czyny ich zasobnie i prawdziwie opisali, co zwłaszcza do Kadłubka się ściąga: to jednak rozważywszy, że ci pisarze w opowiadaniu swoim o niektórych książętach Polski (w innych kopiach: Wielkopolski), a mianowicie o królu Przemysławie dziś panującym, przebieg rodowych jego stosunków zdają się pomijać — uważam za potrzebne cofnąć się (*descendere*) do tej przeszłości i o rodzicach jego tudzież o dalszych antenatach, tak Przemysła jak i innych polskich książąt, według imion ich i według dzielnic, nad którymi panowali, rzecz jak najdokładniejszą podać«.

Zarzut to ostatecznie niesłuszny. Żaden z kronikarzy poprzednich nie pomijał zasadniczo rodowodu monarchów. Ale jeżeli myśl jaka zdrowa dyktowała tę uwagę źle w słowa przyobleczoną, to chciał nasz autor tylko tyle pewnie powiedzieć, że kwestya rodowoda i terytoryalnej (dzielnicowej) dotycząca władzy książąt aż do Przemysła II, w zamęcie rzeczy dziwnie się kłębiących w kronice Kadłubka (jego to bowiem przedewszystkiem mieć tu musiał autor na oku) ani nie występuje na jaw tak jasno, jakby sobie należało życzyć, ani też aż do czasów rzezonego króla nie została doprowadzona. Chce więc ten brak sam uzupełnić, szczególnie w zakresie wielkopolskiej dzielnicy.

Mówi o królu Przemysławie, dziś panującym. Jeszcze wydawca kroniki niniejszej w zbiorze Monumentów, *per omnia fortia* dowodzi, że się to ściąga do Przemysła I i że mogło być i było przez biskupa Bogufala II, a zatem około r. 1250 pisane. Średniowiekowi nasi historycy, zwłaszcza Kadlubek, a zatem i niniejszy kronikarz, mieli wyrazów *rex* i *dux* używać dowolnie ¹⁾.

Ja sędzę, że nawet przed trybunałem Kadlubka niechybnie przegrałoby sprawę to zdanie. Lecz na co tu odwoływać się do Kadlubka, kiedy niniejsza kronika niewątpliwie i sama spór ten może rozstrzygnąć. Przedhistorycznych władców Polski: Krakusa, Lestków, Popiela, Piasta, Ziemowita i t. d. tytułuje ona *reges*. Mieszko I — *rex*. Chrobry i Mieczysław II — naturalnie także *reges*. Kazimierz I, Bolesław Śmiały, Władysław Herman — jeszcze *reges*. I Krzywousty stale *rex* nazywany! Następują czasy podziałów. Władysława II (*crudelis* mianowanego w tem dziele) okraża nasz autor nieśmiało. Nie ma do niego zaufania, nie lubi go; jak go tytułować, jest w ambarasie. Załatwia trudność złotem milczeniem: ni razu go ani *rex* ani *dux* nie nazywa. Występuje na scenę Kędzierzawy: lepszy to człowiek, ale i z nim tasama bieda. Wykreca się z niej nasz pisarz tymże fortem. Nie daje i jemu żadnego tytułu. (Dopiero po śmierci tego księcia, przygodnie wspominając o nieboszczyku, zwie go *dux* ²⁾). Naczelna władza po Kędzierzawym (w Krakowie) przechodzi na Mieszka Starego. Inni współcześni książęta pod Mieszkiem, np. Kazimierz na Sandomierzu, opolski Mieczysław, są *duces* ³⁾, ale jaki charakter przyznać Staremu? Ażeby i wilk był syty i koza cała, tytułuje go

¹⁾ Mon. Pol. II str. 467.

²⁾ Mon. Pol. II p. 528.

³⁾ Ibid. II 527, 529.

kronikarz... *princeps*¹⁾. Ma to być niby coś więcej: pierwszy między książęty. Odbierają po paru latach Staremu pryncypat. Kazimierz Sprawiedliwy *fit...* *monarchus totius Lechia*²⁾, a Mieszko odtąd jako już tylko dzielnicowy władca, staje się *dux*³⁾. Ale i ów *monarchus*, zwany także *princeps serenissimus*⁴⁾, poprzestaje na dalszej karcie⁵⁾, choć i teraz piastuje naczelną władzę, na nazwie *dux*. Nieco dalej⁶⁾ odzyskuje znowu tytuł *princeps*. Z tym tytułem kończy życie⁷⁾. Jego syn Leszek Biały — to *dux* nazywany, to *princeps*, lecz częściej *dux*⁸⁾. Taksamo i Władysław Laskonogi⁹⁾, nawet jako panujący naczelnie — *princeps* lub *dux*. Tu się kończy ta pierwsza połowa kroniki. W drugiej połowie wszyscy panujący są *duces*.

Z tego wynika, że mogłaby tu być mowa o chwiejności między wyrazami *dux* a *princeps*, ale nie *rex*. Od czasu podziałów po zgonie Krzywoustego żaden z książąt nie nazwany w kronice królem. »Królem po dzień panującym« (na początku kroniki) nie może być nikt inny, jak chyba tylko Przemysław II.

A zatem były te słowa pisane w jednym z tych 7 miesięcy, które koronację tego księcia, dokonaną w samym środku 1295 r. przedzielają od końca jego życia. Wskazuje na to i inne jeszcze miejsce w kronice.

Jednym z źródeł, któremi się w niniejszej jej połowie zasilal nasz pisarz, był Żywot św. Stanisława, skreślony około r. 1260 przez Wincentego z Kielc, t. z. *Vita maior*, zamieszczona w tomie IV »Monument

1) Mon. Pol. II 527, 529.

2) Ibid. II 530.

3) Ibid. II 532.

4) Ibid. II 529.

5) Ibid. II 531.

6) Ibid. II 534.

7) Ibid. II 538.

8) Ibid. II 544—547.

Ibid. II 552.

Poloniae«. Znajduje się w tym żywocie ¹⁾ ustęp, który Baszko w rozdziale o Bolesławie Śmiałym z niejakimi odmianami powtórzył ²⁾. Patrzymy, jak się te dwa miesca mają do siebie:

Vita.

... Nam propter parricidium ipsius (Bolesława Śmiałego) non solum corona de capite posteritatis ipsius cecidit, sed et ipsa Polonia usque ad praesens tempus suam gloriam et *regni honorem* amisit... Et sicut ipse corpus martiris in multas partes secuit, sic Dominus regnum eius scidit et plures principes in eo dominari permisit... Sed sicut divina potentia idem beatissimum corpus redintegravit, sic futurum est, ut per eius merita regnum divisum in pristinum statum restauret, iusticia roboret, *gloria et honore coronet*.

Baszko.

Revelatumque est quibusdam viris religiosis, sanctam vitam ducentibus, quod sicut Bol. rex sanctum Stanislaum in partes minutas secuisset, sic Deus regnum Poloniae deinceps scindet, plures principes in eo dominari faciens. Nihilominus vero, prout corpus viri sancti redintegratum exstitit, sic in futuro tempore, cum Deo placuerit, in statum pristinum et ad unitatem unius principis reducetur.

Czyżby z tych dwóch przepowiedni: 1) że połączenie rozerwanych dzielnic Polski w jedno państwo nastąpi, 2) że zaszczyt królewskiego tytułu będzie kiedyś Polsce zwrócony, czyżby z nich był nasz kronikarz tylko pierwszą powtórzył, a o drugiej przemilczał, gdyby w czasie, kiedy pisał, koronacja nie była już faktem spełnionym?

Program pracy zapowiedziany na początku kroniki został w niej co prawda tylko częściowo wykonany — o tyle, że fakta w nieznośnej gadaninie Kadłubka jakby tonące w powodzi, otrząśnięte z tego balastu, wydobywają się tu więcej na wierzch, tem bardziej, że je nasz kronikarz (pierwszy w naszej literaturze)

¹⁾ Mon. Pol. IV 391.

²⁾ Ibid. II 489.

i do dat chronologicznych odnosi. Choć zatem pisał tę połowę dzieła swego prawie krok w krok za Kadłubkiem, zapożyczając się aż zbyt często od niego nawet co do wyrażzeń: daje ta kronika jednak pogląd na przeszłość jaśniejszy, spokojniej opowiedziany, tworzący z niej łączną całość, dla każdego przystępną. W sprawach rodowodowych, z szczególną dokładnością traktowanych, a taksamo i co do kwestyi, gdzie kiedy który książę panował, z pewnością łatwiej się tu poinformować, niż w scholastycznej, nieporządnie do cikliwości o wszystkim naraz rozprawiającej, dawniejszej kronice. Sprawy specjalnie wielkopolskie nie górują tu nad innymi w tym stopniu, jakby kto oczekiwał. Brakło do tego naszemu autorowi w tej odległej partyi dziejów materiału odpowiedniego. Oprócz Kadłubka korzystał tylko z jakiegoś już dziś zaginionego pisma o Piotrze Właście i z t. zw. *Vita maior* św. Stanisława. O ile jednakże zdołał, akcentuje nad innymi wielkopolskie zdarzenia z widoczną predylekcyą. O Mieszku Starym mówi z osobna aż w 6 rozdziałach, w każdym razie nierównie szerzej, niż Kadłubek, choć ten nadal dziełu swemu bez mała dwa razy większą niżeli Basko objętość. Szląskich stosunków zaledwie tyka. Poznań i Kraków — to główna widownia jego dziejów od czasu śmierci Bolesława Krzywoustego. Niektórymi szczegółami potrafił też i zbogacić zasób dawniejszej dziejowej wiedzy. (Wyjaśnienie początku i znaczenia stróży — założenie kruszwickiej katedry przez Mieczysława II — klasztorna młodość Kazimierza po raz pierwszy z żywotów św. Stanisława wprowadzona w dzieje — wiadomość co do Zbigniewa, przez matkę z rodu Prawdzców pochodził — ważna wzmianka o Bolesławie jakoby starszym bracie i poprzedniku Kazimierza I — szczegóły różne o Piotrze Właście, choć w części nie do przyjęcia — a nadewszędzie rodowodowe szczegóły (np. rozdz. 12, 18, 27, 30)

i dotyczące dzielnicowego rozpołożenia, (rozdz. 30, 33, 35 i t. d. i t. d.).

Jeżeli z tym duchem całej roboty porównamy plan, jaki sobie wytknął był Baszko w poprzedniej pracy, w drugiej połowie kroniki: *obmissis Slesiae principibus de ceteris tantum scribere intendo*¹⁾; jeżeli uwzględnimy położony silnie akcent i w tamtej partyi na rodowodowych szczegółach (rozdz. 65, 72, 121, 131, 138), lub na tej nigdy w niej nie pomijanej kwestyi, gdzie który panujący znalazł swój wieczny spoczynek: to obydwie części dzieła najzupełniej przystają do siebie. Nie przeczę, że co do formy jest pewna między niemi różnica. Pierwsza połowa, pisana więcej po kronikarsku — druga wygląda bardziej na rocznik. Ale to tylko z tej przyczyny, że tam był mu głównem źródłem Kadłubek, a tutaj rocznik. Nasz autor nie posiadał, czy nie szukał takiej samodzielności pisarskiej, żeby zawsze i wszędzie być sobą, a nie dawać na siebie wpływać tym wzorom i materyałom, które do dzieła swego przejmował. (Wszakże wzmiankę o śnie Bogu-fala, może przez cześć dla biskupa, może dla nadania faktowi znamienia tem większej autentyczności, powtórzył własnymi jego słowami, w pierwszej osobie). Ale sposób, język, styl — prosty i łatwy, niewykwintny, ale do czytania przyjemny — jest przez całą tę kronikę tensam, o ile jej nie szpecą późniejsze obce interpolacye.

A jest tych wtrętów w obydwóch połowach mnogość taka, jak w żadnej drugiej naszej kronice. Czy one wszystkie pochodzą z ręki jednego interpolatora i czy z tegosamego wieku, o tem przesądzać nie łatwo. Ale wybierać je nie byłoby zbyt trudną rzeczą, a co do niektórych można jak na dłoni dowieść, że dopiero w samym końcu XIV w., jeżeli nie jeszcze później, tu

¹⁾ »Mon. Pol.« II p. 553, rozdz. 57.

ścicielem¹⁾. Edycya Baszka ostatnia, w II tomie »Monumentów Poloniae«, podaje dla porównania obok siebie obydwie teksty, z ms. hodzejowskiego i z tych innych późniejszych kopii, w których dzieło doszło do czasów naszych. Do niej tedy czytelnika odsyłam.

Wyniki powyższego zbadania rzeczy są zatem następujące:

Biskup Bogufał II nie miał w pisaniu Kroniki wiślickiej żadnego udziału.

Obydwie połowy tej kroniki są dziełem Baszka, ale druga pierwiej została ułożona, niż pierwsza.

Życie tego pisarza przeciągnęło się aż do r. 1299

Drugą połowę kroniki układał przed r. 1280. Pierwszą w latach od r. 1295 do 1297.

A jeżelibyśmy woleli przypuścić, że i pierwszą jeszcze przed rokiem 1280 pisał, albo pisać zaczął, w takim razie przyjąć trzeba, że do niej dopiero w r. 1295 dopisał wiadomy wstęp, spowodowany do tego kroku świeżo odbytą koronacją Przemysława II.

¹⁾ Mówi Dobner o tem wszystkim w tomie II p. 7 i nast. swojej edycyi historyka czeskiego Hajka, w roku 1763 wydanej. Przywodzi dosłownie z tego dawnego kodeksu hodzejowskiego przydłuższy cytat z samego początku i drugi z końca kroniki, która się w tym rękopisie niewiadomo dlaczego już na r. 1249 urywała.



KARTA
Z DZIEJÓW AKADEMII KRAKOWSKIEJ.

Był to odczyt na publicznem posiedzeniu krakowskiej Akademii
Umiejętności dnia 4 maja 1874 r.

W pierwszych dniach lipca 1448 roku ujrzał się Uniwersytet krakowski w nader trudnem położeniu. Całe grono członków tego ciała naukowego zostało zawezwane przed króla. Salę tronową zapełnił świetny tłum dworzan królewskich, świeccy senatorowie i dostojnicy królestwa, biskupi, kapituła katedralna i co tylko było znakomitego w stolicy. Na tronie zasiadł młody, od roku zaledwie królem polskim koronowany Kazimierz Jagiellończyk. Obok niego — zajął miejsce odpowiednie swojej godności Legat papieski. Wszystko wskazywało na to, że chwila to uroczysta i że chodzi o rzecz jakąś niepowszedniego znaczenia. Kiedy nadany znak poważne grono akademików, z kilkudziesięciami osób złożone, z schylonemi czołami przybywało przed ten majestat najwyższej władzy: utkwili w nich wzrok wszyscy obecni z natężoną ciekawością, a na wielu twarzach wyczytać było można i inne jeszcze, górujące nad ciekawością uczucia — współczucie, obawę, niechęć. Król przyjął przybywających z zachmurzonym obliczem.

Zostali zapytani mistrzowie szkoły Głównej krakowskiej, dlaczego sami jedni w całym królestwie odmawiają posłuszeństwa papieżowi Mikołajowi V?

Zabrał głos na to jeden z ich grona, prawdopodobnie rektor owego roku, mistrz Jakób, doktor teologii i zakonnik, przełożony stradomskiego św. Jadwigi

... Soboru Bazogrobców Jerozolimskich. Oświadczył...
... Uniwersytetu, w słowach pokornych wpra-
... nie stanowczych, że gdyby Mikołaja za papieża
... aby działali wbrew przekonaniu i sumieniu
... Albowiem akademie krakowska zajęła wraz
... katolickim światem, a mianowicie z wszystkimi
... uniwersytetami, stanowisko po stronie soboru bazylej-
... i uważa sobie za obowiązek konieczny, wytrwać
... na tem stanowisku. Ojcem św., przez sobór bazylejski
... za papieża uznanym, jest Feliks V, któremu i oni także
... zaraz po jego wyniesieniu w posłuszeństwo się odda-
... pragną dochować tej wierności do końca.

Przełożenia Legata rzymskiego, a może i którego
z biskupów, którzy ażeby zachwiać to postanowie-
nie akademików, przypominali im, że się obecnie wszy-
stkie rządy i narody już soboru tego zaparły na rzecz
Mikołaja V — nie sprawiły żadnego skutku. Odpowie-
dzieli na to doktorowie krakowscy, że co było przed
14 laty powszechnie poczytanem za prawdę, jest w ich
oczach niewzruszoną prawdą i dzisiaj. Złego przykładu
drugich nie godzi się naśladować. Nakoniec zakończyli
obronę swoją oświadczeniem, że się chętnie dadzą od-
wieść od przekonania swojego: ale tylko silniejszymi
dowodami, aniżeli te, którymi oni się powodują i po-
wodowali dotychczas. Dopóki nie usłyszą takich do-
wodów, nie godzi im się w sprawie tak świętej działać
wbrew sumieniu i przekonaniu. Mielizby sami kłam
niejako zadać owym naukom, które od lat przeszło
trzydziestu ludowi z ambon, a młodzieży akademickiej
z katedr swoich głosili? Jakżeby mogli, mimo tego że
trwają przy dawniejszych zapatrywaniach, zacząć mó-
wić teraz przeciwnie — tylko dlatego, że im czynić
tak nakazano? Coby świat na postępowanie takie po-
wiedział?

Po takiej odpowiedzi odprawiono ich w niełasce
do domu. Namysłano się, co uczynić. W dniach nastę-
pnych przyzywano uniwersytet przed króla po raz

drugi i trzeci, i nawet czwarty. Zawsze z tysamym skutkiem. Legat doradzał i prosił króla o ostateczne środki — odebranie beneficyów, rozpedzenie nieposłusznych, uwięzienie najwinniejszych. I nie szcędzono też gróźb tych bynajmniej na posłuchaniach następnych. Ale i to wszystko żadnego nie sprawiło wrażenia¹⁾. Nastąpiło tedy w całym Krakowie we wszystkich warstwach społecznych wielkie naprężenie umysłów. Mistrzowie bowiem szkoły krakowskiej otoczeni byli czią powszechną. Stanowili aż po dni owe w rzeczach dotyczących kościoła zastęp mężów, dzierżących ostatnie słowo. Teraz ujrzano ich w waśni z tronem, prawie w buncie przeciw stolicy apostolskiej. Widziano ich zagrożonych albo odjęciem katedr, albo utratą całej moralnej podstawy, którą trudem i zasługą sobie zdobyli. O pojednaniu lub ustępstwach nie mogło być ani mowy. Nikt więc nie przewidywał, jak się to skończy i co z tej burzy, czarnemi chmurami nad akademią wiszącej, wyniknie.

Nim opowiem dalszy przebieg tej sprawy, widzę się w konieczności, ażeby być rozumianym, cofnąć się nieco w przeszłość. Zestawię w szcuyłych ramach szczegóły, które sobie uprzytomnić należy, ażeby z jednej strony zrozumieć, jak mógł uniwersytet krakowski, tak twardo zawsze stojący przy prawej katolickiej nauce, znaleźć się wtedy na pochyłości, na jakiej go tu widzimy — z drugiej zaś strony, jakie były przyczyny, dla których w kraju naszym naówczas rząd państwa i hierarchia kościelna zajęły w sprawie tu poruszonej stanowisko przeciwne dawniejszym swoim zapatrywaniom.

Znane powszechnie są wstrząśnienia w łonie Kościoła w wieku XV. Wiadomo, że wynikły one w bezpośrednim następstwie owego przez lat przeszło 70

¹⁾ Zapiska współczesnej ręki w Kalend. kapit. krak. »Mon. Pol.« II 911.

trwającego przeniesienia stolicy Kościoła do Awinionu, które historycy nazywają zwykła wygnaniem babilońskim. Trwało ono przez ciąg panowania siedmiu papieży, od roku 1305—1377. Ich nieobecność tak długo w Rzymie, a pobyt w kraju pod obcym rządem, chociaż w mieście z dawną należącym do posiadłości papieży, miały ten skutek, że zamęt polityczny w państwie kościelnem coraz więcej się wzmagał, a zawisła osoba ojca św. od królów francuskich, także z postępem czasu rosnąca, przekraczała nareszcie zaczęły miary godziwe. Ażeby tym niewłaściwością położyć koniec, postanowił ostatni z tych siedmiu papieży, Grzegorz XI, powrócić do właściwej chrześcijaństwa stolicy. Przybył do Rzymu — na razie z częścią tylko kolegium kardynałów — w r. 1377; lecz nim zdołał połatwiać to wszystko, co się łączyło z powziętym przedsięwzięciem, zapadł w niemoc i zakończył przedwcześnie życie w roku następnym. Na śmiertelnej już pościeli wydał rozporządzenie — w zbawiennej myśli, że tym sposobem zapewni skutek postanowieniu swemu nawet pomimo zgonu, który wszystko mógł udaremnić — rozporządzenie mówi, ażeby otaczający go kardynałowie (było ich wszystkich 16), natychmiast po jego śmierci, i to koniecznie w Rzymie, nie czekając na resztę członków grona kardynalskiego, którzy w Awinionie zostali, przystąpili do wyboru jego następcy. Rozporządzenie to, wydane jako wyjątkowe i tylko usprawiedliwione nagłością chwili, o tyle się rozmijało z dawnym zwyczajem i ustawą przepisaną w takich wypadkach, że według tejże ustawy wybór papieża był aktem całego kolegium kardynalskiego; teraz zaś miała go dokonać część tylko owego grona, w liczbie szesnastu, bez udziału reszty kolegium, to jest owych siedmiu kardynałów, którzy zostali byli we Francji.

Stało się zadość woli zgasłego papieża. W czasie

i miejscu przez niego oznaczonem nastąpił jednomyślny, przez wszystkie 16 głosów zgodnie dokonany wybór Urbana VI, rodem Włocha i męża tejże samej dą-
żności, co jego poprzednik.

To właśnie spowodowało dwór francuski, z niechęcią na to patrzący, że mu się wymykała z ręki sposobność wywierania i nadal wpływu na osobę i otoczenie papieża, do wyłączenia wszelkich intryg, aby udaremnić wszystko, co zaszło. Ujęto sobie kardynałów, którzy nie brali udziału w wyborze Urbana. Przeciągnięto na tę stronę kilku i z owych szesnastu, którzy wprawdzie należeli do tej czynności, w dniach jednakże następnych zrażeni zostali przez nowego papieża szorstkiem jakimś, jak mówili, jego z nimi postępowaniem. Wzięto za pretekst do protestacyi owę wyjątkową nieregularność w sposobie co tylko dokonanego wyboru, która zaszła, jak głosili, w myśl nieprawnego rozporządzenia i odbyć się miała pod niedozwolonym naciskiem ludności rzymskiej. Z tych wszystkich przyczyn potrafiiono tego dokazać, że się to całe stronnictwo grona kardynalskiego w innem miejscu zgromadziło (w Fondi w Neapolitańskim), obiór Urbana obwołało za nie-
były i żaden, a natomiast wybrało na papieża Fran-
cuza, oddanego całą duszą dworowi francuskiemu. Przybrał on jako papież imię Klemensa VII i natych-
miast wybrał za rezydencję swoją znowu Awinion, wraz z wszystkimi kardynałami, którzy stali po jego stronie.

W takito sposób ujrzał świat dwie naraz głowy zachodniego Kościoła, dwie stolice apostolskie, dwa grona kardynałów, które wszystkie wykluczały się wzajem. Papieże rzucili wzajemnie na siebie ekskomunikę i nastąpiło wielkie zamieszanie i zgorzenie w całym chrześcijańskim świecie.

W pierwszej chwili można się było spodziewać, że z śmiercią jednego lub drugiego papieża to rozdwo-

jenie władzy skończy się. Dalsza przyszłość okazała jednakże, że to zło było chroniczne. W zawieruchach i w coraz się więcej potęgującym rozbudzeniu namiętności — przy biorącym coraz bardziej górę zepsuciu w łonie obydwóch kardynalskich kollegiów, które potem więcej niż wszystko inne dało powód do owego powszechnego, ze wszystkich narodów i wszystkich stanów słyszeć się dającego domagania reformy Kościoła w głowie i członkach, zapomniano najzupełniej o potrzebie przywrócenia Kościołowi przedewszystkiem jedności. Cały szereg papieży, obierany jeden po drugim, rezydujących w Rzymie. I drugi podobny szereg, po awiniońskiej stronie¹⁾. Ta schizma jak ją nazywano Kościoła zachodniego trwała przez lat 40, od r. 1378—1417.

W pierwszych latach dogadzało to sponiewieranie władzy papieskiej niektórym rządóm, Francya mianowicie upatrywała w tem swoje korzyści. Popierała ją w tych intrygach państwa niektóre, połączone z nią w politycznych widokach. Ale z czasem i Francyi było tego zgorszenia w Kościele i chrześcijaństwie zanadto. Zaczęły głowę podnosić różne sekciarstwa, np. Wiklefistów w Anglii (1376...), Husytów w Czechach (1400), które nie tylko w wierze nowości głosily, ale i pod społecznym, pod politycznym względem nie dobrego nie wróżyły królom i rządóm.

Pragnęli tedy już wszyscy końca tego zgorszenia. Ale jak go można było dokonać? Anty-papieże trzymali się władzy swojej oburącz. Ustąpić z tronu żaden z nich nie chciał. Przyszło do tego, że w początku XV w. Francya obydwóm już papieżóm, nie tylko rzymskiemu, lecz i swojemu awiniońskiemu odmówiła po-

¹⁾ Po rzymskiej stronie: Urban VI † 1389, Bonifacy IX † 1404, Inocenty VII † 1406, Grzegorz XII. — Po Awiniońskiej: Klemens VII † 1394, Benedykt XIII † 1424.

śluszeństwa. Uczynił to również i uniwersytet paryski, a za jego przykładem i inne jeszcze wszechnice.

W takim stanie rzeczy było to zgoła koniecznym i naturalnym zwrotem umysłów, że wszyscy utkwili oczy, jako w jedynym sposobie przywrócenia ładu w Kościele, jako w jedynym porcie nadziei — w instytucji chrześcijańskiej **Sobórów** powszechnych.

Gdy ster naczelną nawy Piotrowej niewiadomo w czyich się rękach prawnie i po bożemu znajdował, zdawało się jedyną radą na to, zgromadzić w jedno miejsce wszystkich uprawnionych do zabierania głosu w tej wielkiej radzie powszechnego Kościoła i przez ich głosy, pod natchnieniem Ducha św., wątpliwości rozstrzygnąć.

To też w r. 1409 zebrał się sobór w Pizie. Został zwołany — nie przez papieża, gdyż ci o takim sądzie o sobie i na siebie nie chcieli słyszeć, lecz przez obydwa kollegia kardynałów, pozyskanych już dla tej myśli i o tyle już do siebie zobopólnie zbliżonych. Na ich głos zebrało się w wiosennej porze owego roku około 800 prałatów i przedstawicieli Kościoła z rozlicznych krajów, toż doktorów teologii reprezentujących uniwersytety. Z kraju naszego zasiadali pomiędzy nimi Piotr Wysz, biskup krakowski a zarazem kanclerz akademii, Jan biskup lubuski, jakiś kanonik płocki imieniem Stanisław, zastępujący w tem zgromadzeniu swego biskupa i kapitułę, Mściśław opat tyniecki, i kilku innych jeszcze, z imienia nam niewiadomych.

Sobór Pizański zgromadził się w tym przedewszystkiem zamiarze, aby orzec, który z papieża jest prawdziwy i prawowity. Ażeby rzecz tę według prawa kanonicznego zgłębić, zaproszono ich obydwoh, aby się przed zgromadzeniem stawili. Żaden z nich nie chciał jednak wystawić się na możliwość niekorzystnego dla siebie orzeczenia ani też uznać takiego niejako trybunału nad sobą. Zostali tedy osądzeni zaocznie. Dnia 5 czerwca 1409 ogłoszono jednego i dru-

giego, tak Grzegorza XII, który panował w Rzymie, jak Benedykta XIII w Awinionie, a natenczas już właściwie przesiadującego w Hiszpanii, w Paniskoli, za intruzów i schizmatyków. Obu złożono nieodwołalnie z godności. Przystąpiono do wyboru nowego na ich miejsce papieża, dokonanego tym razem przez oba już pojednane kollegia kardynałów, razem tworzących 23 głosy, z których dawniej 13 uznawało Grzegorza, a 10 Benedykta. Wszystkimi 23 głosami jednomyślnie został obrany papieżem Aleksander V. Radowano się w duszy, wznoszono dzięki do Boga, że w tej osobie znalazł Kościół pojednanie i przywrócenie czci swojej. Ale radość miała trwać krótko. Obydwaj bowiem złożeni z godności swojej papieże zaprotestowali przeciwko wszystkiemu, co sobór w Pizie uczynił. Ogłosili — i w tym względzie prawo kościelne zupełnie przemaśniało za nimi — że bez papieża niema soboru. Warunek i znamię prawności soborów powszechnych stanowią to, aby były zwołane przez usta Ojca św., aby on je osobiście lub przez zastępcę swego otworzył, aby posiedzenia odbywały się pod prezydencją jego legatów, aby zapadające uchwały otrzymały sankcję papieską. Bez tych znamion prawowitości żadne, by też najliczniejsze zjazdy duchowieństwa nie mogły mieć znaczenia koncyliów ekumenicznych czyli soborów całego Kościoła prawowierny przedstawiających. A że zjazd w Pizie był właśnie od początku do końca w taki tylko sposób odbyty, więc to wszystko, co na nim postanowiono, rzeczywiście nie mogło mieć żadnego zgoła znaczenia. Obaj przeto owi papieże obstawali przy swojej władzy i za złożonych z godności nie chcieli i nie mogli być uważani. Z swojej strony i nowo obrany papież Aleksander V obstawał przy swoim wyniesieniu. Skończyło się tedy na tem, że co miał sobór Pizański jedność Kościołowi przywrócić, to przeciwnie nieład i zamieszanie powiększyło się jeszcze. Było bowiem od tego czasu już trzech papieży. Bene-

dykta, w Paniskoli dwór swój utrzymującego, Hiszpana rodem, uznawała Hiszpania i także Szkocya. Grzegorz, który teraz osiadł w Gaecie, podtrzymywał Neapol i pewna część Niemiec. A Aleksander przez resztę tylko świata katolickiego był uznawany głową Kościoła i rządcą jego najwyższym. Osiadł w Rzymie i objął rządy nad państwem papieskim mimo wszystkich wątpliwości podnoszonych przeciw prawności jego wyboru.

Nie na tem jednakże koniec. W roku następnym 1410, Aleksander V zszedł z świata. Kardynałowie rzymscy, to jest ci którzy jego byli zwolennikami, zgromadzili się co prędzej w Bolonii — w liczbie 16, i dali głosy swoje (Bóg raczy wiedzieć, z jakiej przyczyny) temu właśnie z pośród grona swojego, którego przeszłość dziwnie była zszargana, a i terazniejszość nie uchodziła za lepszą od tej przeszłości. Sponiewieranie majestatu stolicy świętej dosięgło tedy szczytu swojego, kiedy tym właśnie między trzema antypapami, który stosunkowo najwięcej mógł mieć pozorów prawowitej godności, który na własnym tronie Piotra św. zasiadł, to jest w jego rzymskiej stolicy, który nakoniec równie, jak już jego poprzednik, przez największą liczbę państw i narodów katolickich za ojca św. był uznawany, kiedy tym właśnie papieżem został Jan XXIII, osławiony w dziejach Kościoła.

Już niedługo po wyniesieniu swoim widział to Jan XXIII, że mu się władza z ręki z wolna usuwa. Panowanie jego, z przyczyn własnej już jego osobistości, nie rokowało trwania długiego. Główną jego podporą był jeszcze Zygmunt cesarz niemiecki, ów niedoszły król polski po śmierci Ludwika węgierskiego i przez całe życie swoje wróg Polski i Władysława Jagielly. Choć wichrzyciel i daleki w sposobie, jakim rządził powierzone sobie narody, od chrześcijańskich zasad, nie mógł on jednak jako władca cesarstwa być obojętnym na to wszystko, co się działo w kościele. Domagano się ze stron wszystkich, a szczególnie też

w samych Niemczech, nowego powszechnego soboru Zygmunt nie mógł się prądowi temu opierać. Co większa, miał on nawet własne swoje przyczyny, dla których go musiał pragnąć. Chodziło bowiem o zaprowadzenie jakiegoś ładu w łonie czeskiego narodu, który tak blisko obchodził tego Luxemburczyka. Od r. 140 Hus i Czesi w otwartym już trwali buncie przeciw władzy papieża. Odwoływali się oni do powszechnego soboru, który o różnicach wiary przez Husa głoszone i o zatargach jego z Rzymem miał wyrok ostateczny wydać. Spodziewano się wtedy jeszcze z obojej strony że na tej drodze przyjdzie do jakiego porozumienia Zygmunt upatrywał, że tędy dla niego ścieżka do tronu czeskiego.

Wszystko się więc składało na to, żeby był zwołany ponowny sobór powszechny. Zwołany zaś koniecznie być musiał w prawny kanoniczny sposób, to jest przez samego papieża, jeżeli nie miały się powtórzyć nadaremne próby pizańskie. Dołożył przeto cesar wszelkich usiłowań u Jana XXIII, z którym jedynie jako papieżem utrzymywał stosunki, ażeby on z swego ramienia i dobrowolnie wydał bullę zwołującą koncylium.

Ulegając takiemu naciskowi, zagrożony różnymi niebezpieczeństwami dla swojej władzy, widząc w tej jedyną możliwość utrzymania się na tronie, wydał — choć z ciężkim sercem ów papież. Powołał na listopad roku 1414 do Konstancji panujących z całego katolickiego świata, biskupów i wszystkie uniwersytety, których znaczenie w wiekach owych w przedmiocie wiary i prawa kościelnego miało nierównie większą doniosłość, aniżeli obecnie.

Powitano tę zapowiedź zebrać się mającego soboru w całej Europie zachodniej z niepodzielną radością. Przywiązywano do niego ważność wielką i nadzieje rozległe. Obiecywano sobie i żądano od zgromadzonych na nim: zasadniczego uchylecia w samym zarę-

dzie wszystkich tych nieszczęść, jakim Kościół tak boleśnie a już od tak dawna podlegał. Nazywano tęto właśnie potrzebę *reformatio morum in capite et in membris Ecclesiae*. Żądano przywrócenia jedności Kościoła w jego widomej głowie. Spodziewano się zażegnania burzy, jaka nauce chrześcijańskiej groziła ze strony nowowierstwa czeskiego. Polska spodziewała się krom tego wszystkiego jeszcze i jakiejś ulgi, jakiejś interwencji skutecznej w swoich nigdy końca żadnego do czekać się nie mogących zatargach z chytrym Zakonem, który i teraz przed to całego chrześcijaństwa zebranie niósł z bezczelnością, sobie tylko właściwą, kłamliwe bo sfalszowane pergaminy swoje jako niby dowody prawności swych uroszczeń i krzywd rzekomych, zadawanych mu przez nasz naród.

To też nie widziano na żadnym przedtem synodzie, od tak dawna jak chrześcijaństwo istniało, ani tak licznego ani równie świętego zgromadzenia. Wszyscy bowiem panujący katolickiego świata, wszystkie biskupstwa i prowincye kościelne, wszystkie reguły zakonne, wszystkie uniwersytety przysłały na ów sobór delegatów, przedstawicieli lub naczelników swoich. Liczono kardynałów, arcybiskupów i biskupów przybyłych z całego świata 346; niższych prałatów i doktorów teologii więcej jak pół tysiąca; świeckich panów i książąt, a między tymi znajdował się osobiście i cesarz, znacznie nad półtora tysiąca. Cały ogół obcych osób, zgromadzonych do Konstancyi z przyczyny tego soboru, dochodził liczby 100.000, jak to podają wzmianki współczesne.

Zważywszy na tę mnogość, na ten przepych i świętość zgromadzenia soborowego, i porównyując z tem wszystkim pozbawioną moralnego uroku i czei należnej osobistość Jana XXIII, który także na sobór zjechał i zagaił go ściśle podług kanonicznych przepisów, nie będziemy się zbyt nad tem dziwili, że się mogła urodzić myśl w głowie męża głębokiej nauki

i skądinąd dalekiego od kacerskich zacheianek, kancelarza paryskiej akademii Gersona, myśl niewątpliwie w najrdzenniejszej zasadzie swojej niezgodna z katolicyzmem, ale wtedy z konieczności łatwo trafiająca do przekonania, myśl mówię, że sobór powszechny, jeżeli tylko został zwołany kanonicznie, to jest z ramienia samejże stolicy apostolskiej, może się w dalszym swoim przebiegu obyć bez współdziałania papieża i w rzeczach dotyczących wiary tudzież dyscypliny kościelnej ma władzę nad każdym pojedynczym człowiekiem, choćby nim nawet był i sam papież.

Mamy tu więc przed sobą samo zrodzenie tej głębszej w dziejach kościelnych doktryny, która od czasu przez jakie pół wieku dogmatycznie panowała na umysłami. Jest to właśnie owa idea, dla której i za którą uniwersytet nasz krakowski w r. 1448 gotów był znosić nawet prześladowanie. Przypatrzmyż się jeszcze bliższym okolicznościom, które dały na konstancyjskim soborze hasło do wyrzeczenia onej zasady, ażeby się przekonać, że w ówczesnem położeniu Kościoła była to prawie konieczność.

Czynność soboru konstancyjskiego zaczęła się przedewszystkiem od obrad, w jaki sposób zalać wiec monstrualność potrójności papieży. Na pierwszym zaraz posiedzeniu pełnem (w samym początku roku 1415) zapadła taka uchwała, że wszyscy trzej papieże mają na razie złożyć swoje godności, aby natomiast mógł być jeden prawdziwy papież obrany. Pamiętna i zachowana jest świetna mowa, powiedziana przy tej sposobności przez jednego z polskich członków soboru, przez Andrzeja Laskarego z Gosławic, biskupa-nominata poznańskiego, p. t. *Oratio paraenetica ad papam Joannem XXIII de humilitate papam decencie spontaneaue Papatus abdicatione*¹⁾, w której bardzo zwięźnie

¹⁾ Mamy ją wydrukowaną w wielkiem dziele Hermana Hardta (*Magnum oecumenicum Constantiense Concilium*).

i wymownie wykazuje papieżowi konieczność przychylenia się do tej uchwały ¹⁾.

Jakoż na drugiem walnem posiedzeniu (dnia 2-go marca 1415) przyrzekł to uczynić obecny na niem Jan XXIII, pod warunkiem jeżeli i drudzy obaj pa-

¹⁾ Inni z narodu naszego na tym soborze obecni, o ile z osoby i nazwiska są nam wiadomi, bo nie wiemy o wszystkich, byli następujący: z biskupów, Mikołaj Trąba arcybiskup gnieźnieński, Jan Kropidło, biskup kujawski, Jakób Kurdwanowski, płocki, i wyżej wspomniany Gosławski, mianowany biskup poznański. Z panów świeckich, zastępujący króla polskiego Jan z Tuliszkowa kasztelan kaliski i Zawisza Czarny z Garbowa. Z profesorów uniwersytetu krakowskiego: słynny kanonista dawniej w Pradze, następnie w Krakowie, Paweł syn Włodzimierza (*Paulus Vladimiri*) Polak, herbu Dołęga, doktor dekretów, kanonik i kustosz katedralny krakowski, rektor uniwersytetu w r. 1415, jako też Piotr Wolfram, licencyat prawa kanonicznego i kantor kolegiaty wiślickiej. — Wolfram jednakże został przez uniwersytet wysłany łopiero w roku 1416, podczas gdy Paweł uczestniczył w działaniach soborowych od samego początku. O czynności tego rektora Pawła w Konstancyi daje w przybliżeniu wyobrażenie ogromny foliant różnych własnoręcznych jego traktatów, pisanych tamże w ciągu roku 1415 i 1416 po największej części w przedmiocie zatargów między Krzyżakami i Polską, będący obecnie własnością biblioteki Ossolińskich we Lwowie. Mieszczą się jednak w tym foliancie i inne rozprawy, traktujące o rzeczach na soborze roztrząsanych. Szczególnie ciekawą jest krótka, brulionowym sposobem rzucona konotatka, w której ten, jak go skądinąd znamy, gorliwy obrońca prawej katolickiej nauki, zestawil punkta najbardziej pożądaných jego zdaniem dla pomyślności Kościoła reform. Mianowicie uważał on za takowe: 1) Zniesienie Annatów pobieranych przez kuryę rzymską przez rok pierwszy po nadaniu beneficjów duchownych. 2) Pozostawienie kapitułom wolnego wyboru biskupów i innych prałactw. 3) Zaniechanie mniej słusznego a już wtedy tak często u nas praktykowanego przenoszenia biskupów z jednej katedry na drugą, lepiej wyposaženą. Przedewszystkiem zaś 4) Oględniejsze niż dotąd postępowanie przy nadawaniu kardynalskich godności, co główną będzie, jak się wyraża, podwaliną lepszego powodzenia w kościele katolickim.

pieże podobnie sobie postąpią. A nawet obwieścił światu to swoje postanowienie osobną bullą.

Jakże się zdziwić i oburzyć musiało całe zgromadzenie soboru, kiedy w 18 dni po wydaniu tej bulli, Jan XXIII z nienacka potajemnie wyjechał z Konstancyi, a z nim i całe jego stronnictwo, z siedmiu kardynałów złożone.

Teraz nie pozostawało nic innego do uczynienia jak albo powiedzieć sobie, że pozbawiony prezydencji papieskiej sobór nie ma żadnego znaczenia i powinien rozjechać się do domu, pozostawiając nieład w kościele i trzech papieży przy władzy nadal, na czasy, jak przewidywać należało, może wieczyste — albo nie zważając na to co zaszło, przystąpić do zamierzonego soboru nowego ojca św. i obdarzyć świat chrześcijański czwartym jeszcze anty-papieżem — albo wreszcie uczynić, co sobór wtedy rzeczywiście uczynił na wniosek owego paryskiego kanclerza. Myśli Gersona, wprowadzającej w poczet pewników kościelnych zupełnie nowy pierwiastek, przetwarzającej monarchiczny dotychczasowy ustrój Kościoła więcej jak w konstytucyjne państwo, co mówię, przetwarzającej go prawie więcej jak w republikanizm, boć i w republikańskich rządach niema parlamentów, bez współdziałania naczelnika państwa, ani też ustaw, bez jego zatwierdzenia — myśli tej więc nie przyklasnęli wprawdzie wszyscy na soborze owym obecni. Mianowicie usunęło się od obrad owym wnioskiem wielu z pomiędzy biskupów. Ale ogromna większość zgromadzenia, zwłaszcza zaś uniwersytety, ten sztab główny ówczesnej nauki prawa kanonicznego i dogmatyki, oburząc się tej zasady chwyciły i zamieniły na następujących sesjach soboru całą Gersona doktrynę w ustawy odtąd obowiązujące.

Dnia 6 kwietnia r. 1415, na piątym powszechnem posiedzeniu, przez usta biskupa polskiego Jędrzeja Gosławskiego został z woli i wskutek uchwały całego zgromadzenia wygłoszony uroczyste dekret soboru,

że koncylium powszechne, prawnie zwołane i kanonicznie rozpoczęte, ma wyższość i nad samym papieżem.

A ponieważ takim prawnie zwołanym soborem i kanonicznie otwartym był niezawodnie sobór w Konstancyi: przystąpiono zatem niezwłocznie (tym razem już bez wszelkiej obawy, że się powtórzą bezskuteczne eksperymenta soboru w Pizie) do zrobienia całkowitego użytku z tej nowo nabytej władzy. Jan XXIII został dnia 29 maja (1415) złożony z swojej godności. Grzegorz XII, posłuszny orzeczeniu soboru, złożył dobrowolnie swoją tyarę już 4 lipca tegoż roku. Z trzecim antypapą, z Benedyktem XIII, głuchym na wszystkie prośby i groźby, w dalekiej zabarykadowanym Hiszpanii, najtrudniejsza była rada. Po wyczerpieniu wszelkich środków pojednawczych, użytych nadaremnie, trzeba było nakoniec i jego zaocznie wyzuć z nieprawnie posiadanej godności, co jednak nastąpić mogło dopiero 26 lipca 1417 r. I terazto dopiero, po oczyszczeniu w taki sposób pola ze wszystkich zawad, dokonany został w dniu 11 listopada 1417 w Konstancyi, pod bokiem obradującego w nieprzerwanym toku synodu, uroczysty i wszystkim pożądanym wybór Marcina V, którego wszystkie bez wyjątku i bez wahania narody katolickie, wszystkie uniwersytety i rządy uznały prawym i jedynym władcą Kościoła chrześcijańskiego¹⁾.

Trwająca od lat 40 schizma zachodnia ustała *ipso facto* wraz z jego na tron rzymski wstąpieniem.

W kilka miesięcy po wyniesieniu Marcina V, koncylium konstancyjskie spełniwszy swoje główne zadanie, zakończyło czynności. Stało się to pod koniec

¹⁾ Tu warto wspomnieć, że przy tej sposobności, kiedy się zabierano do wyboru papieża, jednym z nader bliskich tego najwyższego zaszczytu, wielu liczącym stronników, był i nasz arcybiskup gnieźnieński Mikołaj Trąba.

kwietnia 1418 r. Przy tej sposobności papież zatwierdził powzięte przez ten sobór uchwały, jednakże z pewnem i to zgola niejasnem ograniczeniem. Uświęcił powagą swoją te w ogóle między dekretami owymi, które zapadły, jak się wyraził, *conciliariter*, czyli — które zapadły zgodnie z odnośnemi tradycjami i zasadami Kościoła. Czy do ich liczby należała i owa uchwała wyższości soborów nad papieżem? Zdawałoby się, że nie. To jest, zdawałoby się tak dzisiaj. Ale w ówczesnych okolicznościach nikt w całym chrześcijaństwie nie mógł inaczej rozumieć, jak tylko że i to już stało się uświęconym nawet przez tego papieża pewnikiem. Albowiem całe papieństwo Marcina V stało i upadało razem z ową zasadą. Jej on tylko zawdzięczał jako papież swój prawowity charakter. Kiedy go bowiem obierano, a i w dalszych jeszcze latach, żyli wszyscy trzej papieże. Wyzucie tych papieży z godności, dokonane właśnie tylko na mocy owej zasady, z konieczności musiało być uważane za ważne i prawomocne. Inaczej bowiem i wyniesienie Marcina V także by żadnej prawomocy nie miało. A cały świat katolicki, i on sam przecież także, uznawał tę prawomocność.

Przejdźmy teraz do dalszego stadium tej sprawy, to jest do soboru Bazylejskiego (1431 do 1449).

Ponieważ już w chwili kończącego się poprzedniego (konstancyjskiego) soboru pojmowano to jasno, iż się rozjeżdżają członkowie jego, nie spełniwszy całej misyi, dla której się zgromadzili: uchwalono przeto jeszcze w Konstancyi, aby odtąd co lat dziesięć zbierały się regularnie te powszechne zgromadzenia kościelne. Dla nagłości zaś załatwienia piekących już wtedy pytań, miał się najbliższy sobór nawet już za lat pięć zgromadzić do Pawii, a następny miał się odbyć po nim w lat siedm — w miejscu mającem się czasu swego bliżej oznaczyć. Cesarz Zygmunt należał do gorąco popierających ten program, a i nowo obrany papież przyrzekł go wypełnić bez oporu.

Jakoż po latach pięciu dotrzymał Marcin V danego słowa. W r. 1423 zgromadził się i rozpoczął obrady swoje sobór w Pawii, musiał wszelako dla grasującej w tem mieście zarazy być niezadługo przeniesiony w inne miejsce — do Syeny, gdzie jednakże także nie mógł pełnej rozwinąć czynności z tego powodu, że szczupła tylko liczba przedstawicieli Kościoła z krajów niewłoskich wzięła w nim udział. Oddalenie Syeny i morowe powietrze były tego przyczyną.

W skutek tych przeszkód skończyły się obrady w Syenie na załatwieniu niektórych tylko spraw najnaglejszych, pomniejszego znaczenia; a zapowiedziany został już wtedy przez Marcina V nowy, za lat 7 zebrać się mający sobór powszechny w miejscu więcej dla wszystkich krajów dogodnem — w Bazylei.

Przy zbliżającej się chwili otwarcia tego soboru, wydał papież, wielkie do niego przywiązujący znaczenie, w roku jeszcze 1429 w osobnej bulli uroczyste na rok 1431 do Bazylei zaproszenie wszystkich, których to dotyczyło. W miesiącu zaś lutym 1431 r. zamianował legatem swoim, prezydować i zastępować go tam mającym, kardynała Juliana Cesariniego. Równocześnie oznaczył jako czas, w którym nastąpi otwarcie — miesiąc marzec owego roku.

Godzi się twierdzić, że gdyby wszystkie te rozporządzenia obdarzonego powszechnem zaufaniem papieża, który rzeczywiście pragnął oprzeć wewnętrzny spokój kościoła na trwałych i istotnych podstawach, były się mogły w jego duchu i pod jego zbawiennym sterem wykonać: nie byłoby nastąpiło, co niżej opowiedzieć nam przyjdzie. Godzi się także przypuszczać, że nawet może byłaby ludzkość uchroniona i od tych późniejszych burz religijnych, których świadkiem miał być wiek XVI i dalsze czasy, tak boleśnie niekiedy czuć się dających aż do dni naszych. Tak jednakże być nie miało.

Już w kilka dni po zamianowaniu Cesariniego

liczebna większość intelligencji, przybyłej z wszystkich krajów z tej strony Alp. Był i tutaj w niemałej liczbie biskupi, i to reprezentujący całe narodowe kościoły...

W miesiącu marcu (1438) miał Eugeniusz mógł wprowadzić do miejsca obrad, przybyło tylko z Grecji: cesarza bizantyńskiego Janusze leologa z licznym a dostojnym świeckim i duchownym, Józefa patriarchę konstatynopolskiego i 700 duchownymi wszelakich stopni, i metropolitę nicejskiego, Marka, metropolitę zaciętego wroga sprawy, dla której niby przybył. W sierpniu (1338) przybył jeszcze metropolita Izydor, wyobraziciel Rusi i zarazem pełnomocny tryarchy Antyochejskiego, i kilku innych.

Dysputy teologiczne z Grekami, utrudniającą miarę zaciętą opozycją metropolity Marka, to dość pomyślnie. Z początkiem następnego musiał się całe to zgromadzenie przesiedlić z powodu zarazy, która wybuchła i tutajto w miejscowej katedralnej świątyni w 1439, wśród powszechnej radości obu narodów nareszcie podpisana obustronnie unia Kościoła rzymskiego z rzymskim, nazywana w dziejach Unią florencką z tego powodu, że jak widać długo trwała, dopóki ci goście Eugeniusza wrócili do domu. Pozostali jej wiernymi tylko Izydor i Izydor kijowski, których też ostatecznie potem papież zaszczycił kardynalską purpurą.

W tej to chwili, kiedy jawnem się jawiło, że owe wielkie nadzieje pokładane na Gdziejcie mówię olśnienia całego świata potęgą tatem unii ze Wschodem, omyliły Eugeniusza: stał się sobór bazylejski do ostatecznego krodrodnie dotąd przebytej mógł jeszcze być. Przystąpił do wyboru papieża z swego raju stał nim dnia 30 października 1439 roku

chnego pokoju, jako warunku możności wspólnego wystąpienia w obronie wschodniego cesarstwa.

Otóż właśnie ten tak rozległy program działania tworzył Eugeniego, jeżeliby się obrady odbywać miały w miejscu tyle od niego oddalonym, jak Bazyleja. Szczególnie zaś przykro mu było słyszeć o zamiarach i skłonnościach do czynienia jakichkolwiek ustępstw Husytom. Czekał więc tylko na sposobność, żeby mimo pierwotnej i z jego niby strony zgody na Bazyleję — zmienić to postanowienie.

Sposobność taka wnet się znalazła. Członkowie soboru zjeżdżali się w ciągu r. 1431 do Bazylei powoli. Jeszcze w wrześniu tak mało ich tam było, że Cesarini od tygodnia do tygodnia zagajenie odwlekać musiał. Wystawiono papieżowi, że w części przyczyną tego tak leniwego przyływu były rozruchy z powodu wojny jakiejś między księstwem austriackim a Burgundią, toczonyj w tamtejszej okolicy. Z drugiej strony posłowie z Grecyi do Rzymu objawiali życzenie, aby miejscem synodu mogło być jakie bliższe dla nich miasto we Włoszech. Z tych wszystkich przyczyn zdobył się nareszcie papież na krok, którego przedtem uczynić nie śmiał. Przysłał legatowi swemu do Bazylei polecenie (d. 12 listopada 1431 r.), aby z całym zgromadzeniem tam już obecnym przeniósł się do Bolonii. Polecenie to przyszło za późno, a było stylizowane tak niestanowczo i jakby warunkowo, że kardynał źle je zrozumiał i uważał za rozkaz tylko ewentualnie wykonać się mający, to jest w takim jedynie razie, gdyby sobór dla jakich przyczyn nie mógł przyjść w Bazylei do skutku. A ponieważ w owym już czasie przyczyn takich nie było, bo i liczba przybyłych tymczasem po trosze znacznie już wzrosła i trudności z powodu wojny zostały już zażegnane, a przeniesienie się do Bolonii dla północno-niemieckich i francuskich i angielskich członków soboru z równymi, jeżeli nie z większymi jeszcze było złączone trudnościami, jak przybycie do

Bazyli dla Greków: — więc rozumiał Cesarini, że postąpi sobie zupełnie w duchu papieża i odpowiednio potrzebie, jeżeli pozostanie przy pierwszym postanowieniu. Otworzył przeto uroczyście i jak najściślej kanonicznie sobór ów w Bazylei. Pierwsza pełna sesya odbyła się d. 14 grudnia (1431).

W kilkanaście dni po otwarciu posiedzeń przyszła formalna już bulla Eugeniego IV, która uchylała stanowczo zamiar odbycia soboru tego gdzieindziej, jak we Włoszech, i powoływała wszystkich niezwłocznie do Bolonii. Była datowana dnia 18 grudnia 1431 roku, a więc — w niewiadomości tego, co się tymczasem stało w Bazylei — w 4 dni po uroczystem i prawnie już dokonaniem zaczęciu tego soboru. Mocy wstecz działającej mieć oczywiście nie mogła i posłuchu też nie znalazła.

W pierwszej chwili pocieszali się wszyscy w Bazylei nadzieją, że to pokrzyżowanie rozkazów zaszło tylko przez nieporozumienie. Spodziewano się, że po wystawieniu rzeczy w świetle prawdziwym, łatwo się Eugeni da skłonić do cofnięcia tej swojej bulli. Przypuszczenia te jednakże niezadługo się okazały mylnymi. Papież obstawał nalegliwie przy swoim i uważał „*conciliabulum*“ (jak je pogardliwie nazywał) bazylejskie za rozwiązane. To wzbudziło nieufność przeciwko niemu, zwątpienie w szczerłość jego pobudek. Zaczęto patrzeć na ojca św. takimi znowu oczami, jakimi niegdyś Konstancyjczycy spojierali na Jana XXIII. Rozpisano listy do wszystkich panujących i do uniwersytetów, żeby na sobór jak najliczniej się gromadzili, nie pytając o bulle rzymskie¹⁾. Odczytano na pełnych posiedzeniach dekreta konstancyjskie o ważności soboru prawnie rozpoczętego, chociażby się od niego potem papież albo legat jego usunął; o niemo-

¹⁾ Obacz je w Zbiorze Koneyliów Mansego, w tomie XXX, na str. 112 i 227.

żności rozwiązywania soborów tak rozpoczętych bez przyzwolenia ich samych na to; o obowiązku posłuszeństwa dla tej najwyższej reprezentacji Kościoła, nawet ze strony papieży... Dekreta te miały, jak to wyżej już okazałem, mimo wszystkiego coby dziś o nich powiedzieć można, w owym czasie rzeczywiście pozytywną ważność ustaw obowiązujących. I nie dziwić nam się dzisiaj, że posłano nareszcie do papieża wezwanie, aby się osobiście lub też przez zastępców swoich do soboru przyłączył. A kiedy to nie nastąpiło, postawiono Eugeniego (w grudniu roku 1432) w stan oskarżenia, a w r. 1433 nakoniec i zasuspendowano go w jego władzy.

Ujrzał się wtedy Eugeniusz najzupełniej odosobnionym i opuszczonym przez wszystkich. Zjazd elektorów niemieckich (1433 r. we Frankfurcie) wręcz i otwarcie zachęcał sobór bazylejski do wytrwania na tej drodze. Inni panujący, a szczególnie cesarz niemiecki, równie stali po stronie soboru. Wszystkie uniwersytety z zapalem się oświadczyły za jego sprawą. Nie pozostało przeto papieżowi wśród takich okoliczności, jak pogodzić się z ojcami w Bazylei zgromadzonymi i postarać się o to, aby mu zaufanie swoje wrócili. W styczniu 1434 r. przystąpił więc do soboru, rozwiązanie jego poprzednie odwołał, kazał się odtąd w jego obradach zastępować aż przez pięciu umocowanych do tego kardynałów — i w ten dopiero sposób wyjednał uchylenie swojej suspenzyi. Tak więc cały dotychczasowy przebieg soboru otrzymał teraz mimo wolne ze strony samego papieża uprawnienie. Tok dalszych jego działań przybrał w każdym razie, od owej chwili począwszy, najzupełniejszy charakter legalności.

W tym stanie rzeczy i po takich dopiero zajściach poprzednich, przyłączyła się do zgromadzenia bazylejskiego i delegacja polska. Aż dotąd nie mieli w nich udziału Polacy — jak się zdaje, dla tej głównie przyczyny, że w tych latach od 1431—1433 umysły w kraju

instancyi naukowej, nie dziw że i na Oleśnickim sprawa
 wiać musiała wrażenie. Przechylił się — widocznie wte-
 dopiero — w osobistych swych przekonaniach ku sta-
 nie bazylejskiego papieża. Tytułu kardynała, jako r-
 danego sobie przez jego przeciwnika, od owego cza-
 zupełnie przestał używać. A kiedy — w ciągu już ro-
 1441 — Marek Bonfili (tak się nazywał poseł Feliksa V
 do Polski) oświadczył życzenie zawiezienia tych tr-
 aktatów akademickich do przeczytania ojcu św. do Ba-
 zylei: polecił Zbigniew Oleśnicki Tomaszowi Strzęp-
 skiemu zlać je wszystkie w głównej treści w jedną re-
 dakcyę i złożył powstały w taki sposób memoryał do
 rąk tego posłannika papieża ¹⁾.

Traktat krakowski został w Bazylei przyjęty
 z uniesieniem. Wyrivano go sobie z rąk, podziwiano
 jasność i siłę wywodów, przepisywano na wyścigi, r-
 syłano na wszystkie strony. Akademia paryska, któ-
 go także w odpisie udzielono, tak się nim ucieszy-
 ła.

¹⁾ Traktat ten przechował się do dni naszych. Ma nast. ty-
 „Almae Universitatis cracoviensis Super auctoritate sacrorum g-
 raliū Conciliorum, universalem ecclesiam repraesentantium tract-
 continens adhaesionem per ipsam universitatem factam sacro B-
 liensi concilio et SS. Domino nostro Felici papae V^a. Zaczyna
 zaś słowami, wręcz zwróconemi do Zbigniewa Oleśnickiego, k-
 dynałem już i tutaj nie tytułowanego: *Reverendissimo in*
Christo Patri, Domino nostro Episcopo cracoviensi, almae Universi-
Studii cracoviensis Cancellario dignissimo, Rector, Doctores et Mag-
universitatis eiusdem devotas in Domino orationes“. Znajduje
 pismo to w bibl. uniw. krak. w mss. folio oznaczonych Nr.
 oddziału Historycznego, 50 i 308 oddz. Teologicznego, i w k-
 tancie Nr. 664; niemniej między munuskr. w rzymskiej waty-
 skiej bibliotece jako Nr. 32 w oddziale Ottoboniańskim; i t-
 w florenckiej Medycejsko-laurencyjańskiej bibl. jako Nr. 12 w od-
 dziale XVI. Oprócz tego jest ono także i drukowane w Pi-
 Allegriniego „*Novae eruditorum deliciae*“, Firenze, r. 1788, t. I.

Owe zaś poszczególne traktaty akademickie krakowskie,
 przednio napisane, przechowuje krakowska uniwersytecka bi-
 teka w rękopisach, oznaczonych Nr. 43 i 194 oddz. Teol., a
 i 770 oddz. Hist. (folio). 418

krakowski. Od uniwersytetu w delegacji, pewnie razem z tamtymi pojechali: Dersław z Borzynowa, Dr. prawa kanonicznego i rektor akademii w r. 1434, archidyakon krakowski; Mikołaj z Kozłowa, Dr. i profesor teologii, kanonik katedralny krakowski, Jakób z Paradyża, zakonu Cystersów i Dr. teologii. Do tych przyłączył się jeszcze mistrz Stanisław z Sobniowa, późniejszy proboszcz katedralny trydencki, naówczas prof. uniwersytetu w wydziale sztuk wyzwolonych. — W skutek śmierci królewskiej, która zaszła już w kilka dni po ich wyjeździe (d. 31 maja) i o której oni dowiedzieli

Zygmunta, którzy warcholstwo i głupotę Świdrygiełły, a burzliwość jego podwładnych na swoją korzyść wyzyskiwali, to wiadomo z dziejów każdemu. Otóż odebrał król polski od soboru bazylejskiego, złożonego z ludzi biegłych w teologii, ale w rzeczach świeckich przystępnych lada czym podszeptom, bo nie wiedzieli, co się gdzie dzieje na świecie, zaraz w r. 1431 list z przyganą i cały pełen morałów o grzeszności wszelkich wojen między chrześcijańskimi panującymi, a cóż dopiero z własnym rodzonym bratem!... «Wolałbyś, powiada mu w nim sobór, obrócić ten twój zapal wojenny na Turka!» Śmieszność tego wystąpienia dosięga szczytu, kiedy jeszcze rozważymy, że równocześnie z tym listem poszedł drugi od soboru do W. Mistrza Krzyżaków, z poleceniem, aby miłościwą swą interwencją pogodził między sobą zwaśnionych braci. (Ten miał ich godzić, który cały ów międzynarodowy pożar rozdmuchał i podtrzymywał i swoją drogą najeżdżał właśnie wtedy i pustoszył całe przestrzenie kraju polskiego!!)

Obydwa listy in extenso znajdują się w zbiorze Mansego, tom XXX, str. 66 i 68.

Przez cały rok 1432 i 1433 posyłane były znowu nieustające skargi na Polaków i na ich króla do soboru bazylejskiego to od cesarza, to od zbuntowanych przywódców ruskich, to od Krzyżaków (od tych po kilka razy), to od Świdrygiełły, który choć całą duszą nienawidził katolicyzmu, przybiera tu maskę wielkiego katolika. Skarżyli go o najrozmaitsze przestępstwa — że to tyran dla poddanych, że to burzyciel powszechnego pokoju, że się sprzyścił z Husytami i depce nogami wszystko co katolickie... (Mamy te listy u Mansego w tomie XXX str. 249, 528, 534, 607, 626). Zdaje się wprawdzie, że Bazyleja nie wdawała się już wtedy w te rzeczy i składała te pisma ad acta — przynajmniej nie widać już od-

się w drodze, bawiąc właśnie w Poznaniu, nastąpiła ta zmiana w składzie polskiej delegacji, że Zbigniew Oleśnicki nie jadąc już dalej, wrócił z Poznania do domu, a zamiast niego, już po wstąpieniu na tron Władysława Warneńczyka, podążył do Bazylei z urzędowym doniesieniem o wyniesieniu młodego króla i jako trzeci królewski do soboru delegat Jan z Brzezia, kanonik gnieźnieński i poznański (późniejszy biskup krakowski) ¹⁾.

W obecności tychto mężów z narodu naszego i z ich czynnym udziałem toczył się dalszy prze-

powiedzi na to ze strony soboru; ale stosunki jego do Polski były jakieś zakwaszone i nie mogły w żaden sposób nęcić do niego Polaków, ile że zrażać ich mogły także i zatargi soborowe z papieżem. Dopiero kiedy właśnie to naprężenie stosunków Bazylei a Rzymu przybrało miary ostateczności — w czasie suspensyi Eugeniusza IV: počzął sobór się oglądać za poparciem strony swojej po wszystkich krajach i wyprawił w r. 1433 do Polski wysłannika swojego w osobie Idziego, biskupa rozeńskiego, który nie już nie wspominając o polityce, wręczył Jagielle list nalegliwie proszący, aby i polski naród wziął czynny udział w obradach soborowych, nie zważając na intrygi papieża. (Daje go Mansi w t. XXIX str. 422). To więc dopiero poselstwo z Bazylei sprawiło, że się Polacy zbliżyli do soboru. A mogło to teraz przyjść do skutku tem łatwiej, że z jednej strony właśnie się uporali już z wojną, z drugiej zaś papież pogodził się w początku roku 1434 z soborem i uprawnił działania jego.

¹⁾ Powtarzające się w różnych naszych podręcznikach twierdzenia, jakoby do poselstwa tego należeli jeszcze i Jan Elgot prof. uniw. i kan. krak., oraz Sędziwoj Czechel, magister sztuk wyzwolonych, nie mają żadnej podstawy. Obydwaj wyjechali za granicę dopiero w końcu r. 1441, pierwszy wprowadzie do Bazylei, ale w zupełnie innej sprawie, jak się to niżej jeszcze szczegółowo opowie; drugi zaś do Paryża, w sprawie własnego wykształcenia, o czem przekonywa Nr. CXIV w Kodeksie dypl. uniw. krak. Tom II. — Do grona posłów bazylejskich należał pośrednio jeszcze i Mikołaj z Błonia dr. prawa kanonicznego i przez czas pewien profesor uniwersytecki krakowski, ale jedynie w charakterze kapelana biskupa Ciołka, towarzysząc mu prywatnie w tej podróży.

bieg soboru bazylejskiego, który niezadługo przeszedł na nowo w burzliwe stadyum. Eugeniusz mimo swego przystąpienia do obrad, często tak sobie pożywał, jak gdyby go wcale nie dotyczyły uchwały bazylejskie. Członkowie zjazdu, czując prawny (ze stanowiska ówczesnych okoliczności) grunt pod stopami, i ośmieleni pierwszym swoim zwycięstwem, zanosili na to do niego samego skargi. Z tych skarg wytworzyły się już r. 1435 gorzkie wyrzuty. Widząc, że to nie pomaga, zaczęto grozić. Groźby rozdrażniały papieża. Ciągłe domaganie się Greków o przeniesienie soboru do Włoch, więcej miały u niego wagi, niż pragnienie utrzymania zgody w własnym swoim obozie. Posłużyły one nawet niezadługo za pretekst do wystąpienia na nowo w roli, na której już raz źle wyszedł. Dnia 29 czerwca 1437 r. ogłosił bullę, mocą której sobór bazylejski otrzymał rozkaz bezwarunkowy, bezwzględnie przenieść się do Ferrary. Na to nastąpiły ze strony zniecierpliwionego soboru w krótkich po sobie odstępach coraz dalej sięgające cenzury: powołanie papieża do odpowiedzialności — postawienie go zaoczne w stan oskarżenia — w roku 1438 (d. 24 stycznia) tymczasowa suspenzja — a nakoniec i zupełne, stanowcze raz na zawsze zrzucenie go z papieskiej godności, wyrzeczone d. 25 czerwca owego roku.

Gdy się to działo, Eugeniusz zajmował się już wyłącznie pięknem ale złudnem marzeniem nawrócenia Greków przez sobór Ferrarski. Otworzył go dnia 10 stycznia 1438 r. w obecności kardynałów i bardzo wielu biskupów, szczególnie włoskich, którzy porzucili Bazyleję, wierni i posłuszni papieskiemu wezwaniu. Dwa te kościelne zgromadzenia mimowolnie przedstawiają nam, dzisiaj na nie patrzącym, dwa typowe antagonizmy, przypominające późniejsze hasła. W Ferrarze głównie Włosi i południe Europy — a w Bazylei przedewszystkiem germańska północ. W Ferrarze najwyższa urzędowa hierarchia — a w Bazylei niezmierna

Kiedy tak społeczeństwo nasze i biskupi ton nadjący pod naciskiem samych zdarzeń przechodzili już prawie poza linię neutralności: nie brakło jednakże i na prądzie przeciwnym, który ich niebawem zwrócił na stanowisko dawniejsze. Ten prąd wychodził z Węgier. Nadmienilo się już wyżej, że Węgry chyliły się odrazu raczej ku rzymskiej kuryi. Król nasz Władysław, podlegając tam miejscowym usposobieniom, najdalej w roku 1442 wszedł był jako panujący węgierski w stanowczy już stosunek z Eugeniuszem IV. Marzyli obydwa razem o wielkiej lidze zachodnich książąt w obronie wschodniego cesarstwa i chrześcijaństwa. Legat rzymski, tensam Julian Cesarini, który otworzył był koncylium bazylejskie, a potem z niego był odwołany, bawił już wtedy prawie ciągle przy jego boku. Ono także miał go w roku 1444 zaprowadzić na pole Warny, gdzie łatwowierność swoją taksamo życiem przypłacił, jak i nasz król za jego idący radą.

Otóż ta stanowczo rzymska polityka Warneńczyka naszego począwszy od roku 1442 stanowiła hamulec przeciw przerwaniu się Polski w stronę soboru i Fe-

a Tua majestate, o Pater SS. deferretur; quam invalidae sunt omnes voces meae“ i t. d.

Chociaż w powyższych słowach na karb tylko krasomówczej dosadności położyć należy to „*ne tenui quidem ictu oculi visere duxit*“, to jednak reszta wynurzeń niewątpliwie określała rzeczywiste usposobienia ówczesne Oleśnickiego. A przypuścić razem z autorem dzieła »Zbigniew Oleśnicki«, którego zapatrywać na cały stosunek tego biskupa do soboru bazylejskiego w ogóle podzielać w żaden sposób nie mogę, przypuścić mówię, że wysłannik przekroczył dane sobie zlecenie: tego nie dozwala ta okoliczność, że go i za powrotem z tej podróży widzimy w dobrych stosunkach z Oleśnickim i najzaufańszymi tegoż domownikami, np. Janem Długoszem. Tego wszystkiego byćby nie mogło, gdyby był Elgot przekroczył swoją instrukcyę. Takie skompromitowanie osoby Oleśnickiego byłoby musiało co najmniej pociągnąć za sobą odebranie Elgotowi urzędu *Vicarii generalis* na całą dyecezyę. A to nie nastąpiło.

liksa. Król Władysław nie wymagał wprawdzie od Polaków, aby już w czasie jego nieobecności w kraju stanęli w kwestyi kościelnej po tejże stronie, co węgierska korona. Wiedział, że przymus podobny w narodach pozbawionych obecności i bezpośredniej pieczy panującego, a zwłaszcza w naszym narodzie, zamęt umysłowby tylko sprawił¹⁾. Ale wymagał wytrwania przynajmniej w neutralności aż do jego powrotu. Temu żądaniu nie mogli się biskupi nasi opierać. I tak to się jedynie tłumaczy, że chociaż mniej już serdeczne stosunki między Bazyleją a Krakowem utrzymywały się w następnych latach, Marek Bonfili jednak przebywał tutaj stale²⁾, Oleśnicki otrzymywał od soboru ciągle różne pomniejszej wagi zlecenia, bywał z roku na rok mianowany legatem Feliksa na jakąś część krajów polskich i t. d. Ponad tem wszystkiem górowały wszelako urzędowe pozory biernego wyczekiwania i zawieszenia. Były zaś widne w tem mianowicie, że od tej pory biskup krakowski wcale i nigdy już nie używał tytułu kardynała — ani św. Pryski ani św. Anastazy — a taksamo postępował sobie i arcy-

¹⁾ Możemy tu przytoczyć bardzo charakterystyczny przykład tej przezornej i powściągliwej ostrożności jego w działaniu w stosunku z Polską. Kiedy się Eugeniusz dowiedział, że go Feliks V uprzedził w przesłaniu Zbigniewowi Oleśnickiemu kapelusza kardynalskiego, postanowił odzyskać sobie tego biskupa przesyłając mu natychmiast (teraz dopiero!) i od siebie kapelusz. Wiózł mu go już w r. 1442 Julian Cesarini. W drodze do Polski zatrzymał się ten kardynał w stolicy Węgier i zawiadomił o tem i króla. Władysław znając położenie chwilowe w własnym swym kraju, odradził mu wykonać to zlecenie papieskie. Prosił, żeby to odłożyć aż do jego z Węgier do Polski powrotu. Nie wiedział bowiem, jakby to teraz było przyjęte w Krakowie. Słowem, unikał wszystkiego, co wpłynąć tam mogło na rozkołysanie umysłów.

²⁾ Widzimy go nawet zapisującego się w roku 1446 do Album uniwersytetu krakowskiego. Napisano tam na str. 151: „*Magister Marcus Bonifilii precentor Barsolensis, sacre theologie professor de Cathalonia, domini regis Aragonum de villa Castellionis dioc. Gerundensis, 1446 a*“.

wystarczać. Przyjęto więc legata w Lublinie z należnym uszanowaniem, i sprawa kościelna w taki sposób co do Polski zdawała się być załatwioną zupełnie.

Teraz to przyszła kolej na uniwersytet, ażeby także rolę swoją odegrał.

Uniwersytet krakowski patrząc na to wszystko, co się na dworze królewskim i w niektórych też innych państwach od roku działo, widział się z dnia na dzień w położeniu coraz przykrzejszem. Dla tych ludzi surowych zasad, czerpiących pochop działania i całą swoją siłę z dna nauk którym byli oddani, a zgoła nie pytających o polityczne kombinacye i światowe pobudki, wydawał się ten nawrot powszechny w stronę coraz bardziej górować teraz zaczynającą poprostu lekkomyślnością, jeżeli nie czemś gorszem. To też jeszcze w owej chwili, kiedy zaraz po koronacyi królewskiej zasiadła była rada biskupów i panów do uchwalenia owych postanowień z r. 1447, błagała już wtedy akademia króla Kazimierza, by się zbytecznie nie spieszył i nie dokładał ręki do dzieła, które w jej przekonaniu nie miało słuszności za sobą. Jeżeli już żadną miarą nie chce popierać synodu bazylejskiego, niechby do roku poczekał jeszcze, co przy pomocy bożej z tego zawikłania naturalnym biegiem rzeczy wyniknie. Na co miałyby wpływać na to polityczna rachuba? — Głos ten profesorów krakowskich nie został wtedy wysłuchany. Od tego czasu położenie soboru pogorszyło się jeszcze — lecz nie w ich sumieniu i przekonaniu! Dla nich, to co raz uznali za prawdę, pozostawało prawdą, choćby się jej wyrzec mieli i wszyscy książęta świata...

Nie będziemy się dziwili, że stojąc tak stale przy powziętych raz przekonaniach, w wyłącznej służbie czysto-kościelnym pryncypiom, daleki też był i teraz ten uniwersytet od tego, żeby uczestniczyć w owych wszystkich uroczystościach, których widownią stał się Kraków za przybyciem tutaj legata z Lublina. Kiedy

mu tu teraz wszyscy — świeckie stany i duchowni, rządowe władze i miejskie — w najrozmaitszy sposób składali holdy: sami tylko mistrzowie tej wszechnicy tak sobie postępowali, jak gdyby tego biskupa włońskiego wcale w mieście nie było.

Rzecz stała na ostrzu, kiedy dnia 20 czerwca, w kilka dni po przybyciu legata, nareszcie i sam król z Lublina wrócił, i kiedy mu tu doniesiono o wszystkim.

I terazto nastąpiło owo publiczne, dla uniwersytetu nieopisanie przykre zawezwanie tej korporacji uczzonej przed tron, senat i dwór królewski, któryśmy już opisali na wstępie ¹⁾. Wiadomo nam już także z tego opisu, że się ta scena powtarzała w mniej więcej podobny sposób po cztery razy — zawsze z równym, najzupełniej ujemnym skutkiem.

Wśród różnych uwag, któremi starano się skruszyć opór akademików, usłyszeli oni z ust legata papieskiego także i odwołanie się na to, że obecnie wszystkie już uniwersytety na świecie porzuciły sprawę Feliksa V. Zaledwie do wiary podobnem wydawało się to powiedzenie naszym obrońcom soboru! W ówczesnym stanie utrudnionej komunikacji miast i krajów pomiędzy sobą, było to dla nich rzeczywiście niespodziewaną a przygnębiającą nowiną. Kiedy zatem zaczęto im grozić ostatecznymi następstwami, na jakie się wystawiali swoim uporem: zaklęli się na wszystko, co im tylko było świętego, że w tej chwili wprawdzie niepodobna im jest uczynić, czego od nich żądają; ale prosili o kilka tygodni zwłoki, aby się znieść mogli

¹⁾ Mamy to opowiedziane przez jakiegoś współczesnego członka kapituły krakowskiej, całą duszą jak widać stronnika akademii, w „Kalendarzu kapitulnym krakowskim”. („Monumentów Pol.” T. II str. 911). Jako też w listach uniwersytetu, zupełnie zgodnych z tamtą zapiską, o których rzecz będzie niżej. — Obacz i Długosza o tem wzmiankę (Hist. V 49—50) która zdradza jego wtedy stanowisko po stronie akademii.

z innymi uniwersytetami i wyrozumieć, jakie powody skłonić je potrafiły do porzucenia sprawy, której do niedawna jeszcze z tak niezłomnem przekonaniem broniły. Jeżeli te powody są silne, na prawie bożem oparte i wyższe nad to wszystko, co oni dotąd u siebie po- czytywali za prawdziwe i pewne: to bez wahania rzuca- się i oni także z posłuszeństwem synowskiem do stóp papieża Mikołaja V.

Biskup kameryński nie zgadzał się na takowe od- roczenie ostatecznego szturm do tej jedynej jeszcze w świecie twierdzy z powiewającą soborową chorągwią. Doradzał użyć doraźnych oblężniczych narzędzi, na- grubszego kalibru, i przesądzić sprawę natychmias. Król Kazimierz, biskup Oleśnicki i największa czę- rady królewskiej byli innego zdania. Mimo wszystkie- co zaszło, nie odmawiali oni szacunku swego tej szcz- płej załodze nieprzyjacielskiej, z takim poświęcenie- i męstwem murów swoich broniącej. Przychylnie dożądanego rozejmu.

Przez dni następne ruch był wielki po wszystki- kolegiach akademickich. Zbierano się, projektowa- obradowano. Układały się bowiem listy do różny- głośniejszego imienia uniwersytetów, za których pr- ważną sprawą i radą czasu swego sobór bazylej-ki wydał powzięte postanowienia swoje. Opisywano w nich całe położenie obecne akademii krakowskiej — zaj- z legatem rzymskim i z królem — niebezpieczeństwo- grożące i t. d. Zapytywano, czy to prawda, żeście wy przeszli na stronę Mikołaja? I dlaczegoście to uczynili? Powiedzcie powody wasze, abyśmy i my za przykla- dem waszym pójść mogli...

Z tymi listami do uniwersytetów w Paryżu, Wie- dniu, Lipsku, Erfurcie, Kolonii i także do soboru ba- zylejskiego, wyruszali między 17 a 28 lipca (1448) pra- wie codziennie w drogę różni członkowie korporacji akademickiej — z poleceniem niewracania inaczej, jak z odpowiedzią. Do Bazylei i do Paryża wyprawieni

zostali profesorowie Mikołaj z Działoszyc i Jakób ze Stradomia, doktor teologii. Innych nazwiska nie są wiadome. Z naprężoną ciekawością wyglądano, jaką przywiozą odpowiedź.

Niedługo na nią czekano. W drugiej połowie sierpnia już się zaczęli zjeżdżać z powrotem wysłani ci do różnych krajów koledzy i przechowują się do tej pory w bibliotece uniwersyteckiej krakowskiej kopie współczesne wszystkich listów, które ze sobą przywieźli ¹⁾.

Przypatrzmy się bodaj streszczonej osnowie tej ciekawej korespondencji, tak nam żywo stawiającej przed oczy paralełę zachowania się naszej akademii w tej sprawie a innych uniwersytetów.

Najprzód nadszedł list od akademii wiedeńskiej, datowany d. 12 sierpnia 1448 roku.

Z tej odezwy nie wiele się nasi mistrzowie dowiedzieli. List ten opiewa, że zapytania Krakowian tyle w sobie zawierają punktów głębokich i trudnych do rozwiązania, że odpowiedzieć na nie w takiej krótkości czasu jest prawdziwem niepodobieństwem. Ale w czasie dogodniejszym może potrafi uniwersytet wiedeński odpowiedzieć kiedyś jeszcze na te ważne pytania ¹⁾.

¹⁾ Wszystkie te listy, tak od krakowskich profesorów pisane, jak i odpowiedzi uniwersytetów postronnych na nie, zawiera w sobie «Kodeks dyplomatyczny uniwersytecki krakowski» w tomie II. Zamieścił je także w oryginale łacińskim już i Wiszniewski na końcu tomu IV swojej «Historji Literatury», ale z bezlikiem błędów bardzo utrudniających ich rozumienie.

²⁾ Gdyby się byli chcieli rozpisać profesorowie wiedeńscy o okolicznościach, które ich przeprowadziły do obedyncji Mikołajowi V: to byłiby donieśli mniej-więcej co następuje: Kiedy się cesarz Fryderyk III edyktem swoim z dnia 21 sierpnia 1447 r. oświadczył za Mikołajem, zawezwano zaraz potem i uniwersytet tamtejszy do złożenia temu papieżowi hołdu swojego. Uniwersytet ten stał aż do r. 1442 stanowczo za Feliksem; w rzezonym zaś roku, uwzględnwszy okoliczności czasu, zajął urzędownie sta-

Odpowiedź z Lipska, pod datą d. 26 września, była zupełnie w duchu ówczesnej scholastyki ułożona kazuistycznie. — Że władza soboru nad papieżem jest wyższa, powiada lipski uniwersytet, to nie podlega najmniejszej wątpliwości. Podpisaliśmy wszyscy cza su swego rezolucyę, że winien ka ż d y posłuszeństwo so borowi bazylejskiemu. Przy tej zasadzie stoimy i d z i s i a j jeszcze niezłomnie. Ale zachodzą tu niejakię jednak trudności. Kiedy się cesarz rzymski i nasz ksiązę saski wraz z innymi ksiązęty i biskupami oświadczyli za Mikołajem, wtedy orzekliśmy następujący dylemat: Jeżeli w owej chwili, kiedy Eugeniusz IV był skła dany z papiestwa, miał sobór bazylejski jeszcze wa żność prawnie istniejącego i powszechnego soboru: to i dziś Feliksowi V być posłusznym należy. Jeżeli zaś ważności tej wtedy nie miał: w takim razie słusznie uczynili ksiązęta nasi, że się Mikołajowi poddali. Czy zaś było tak, czy owak — tego my rozstrzygnąć nie możemy, bo w owej chwili z grona naszego nikt w Ba zylei nie zasiadał (?). Ale w podobnych razach ka ż d y

nowisko neutralności, choć wydziały teologiczny i artystyczny i potem jeszcze w stycznościach swoich wewnętrznych trwały przy dawniejszych zapatrywaniach. Teraz więc — w sierpniu 1447 — na wezwanie, ażeby stanowczo i bez ogródki uznali sprawę Mikołaja V, powstała w murach uniwersytetu wrzawa wielka, szcze gólniej w obu wymienionych wydziałach. Na ten opór, tak na ra zie jaskrawy, oświadczone ze strony dworu, że się nieposłusznym odbierze beneficya i zamknie placę. To skutkowało. Zmiękły najprzód fakultety jurydyczny z medycznym, które już i dawniej mniej gorąco brały do serca tę sprawę; a za ich przykładem po szły później także i inne.

W październiku 1447 przyjmował Wiedeń uroczystym po chodem wjeżdżającego do miasta legata papieskiego, kardynała Jana Carvajal. Kazano i uniwersytetowi do tej procesyi należeć. Stawiano tu zrazu i znowu opór, zwłaszcza ze strony Artystów. Ale się dali namówić innym wydziałom wreszcie i mistrzowie sztuk wyzwolonych do wzięcia w tem udziału, choćby w ubiorze nieurzędowym. W parę dni później byli wszyscy nawet i z wizytą u kardynała (Z Aschbacha).

ę trzymać tego powinien, co mu powiedzą tacy druzi, którzy to wiedzą. Cesarz i nasz książę saski, a nawet i arcybiskup nasz, mówią nam, że wiedzą, iż wtedy nie było to już prawdziwe koncylium. I jest ich kilku, my tylko jedni jesteśmy. A snadniej wierzyć dwóm niż twierdzącym, aniżeli jednemu, który przeciwnie przymuje. Przyjeliśmy tedy, co nam ci wszyscy powiedzieli, zwłaszcza że i pismo św. uczy, że biskupa tego każdy słuchać powinien. A choćbyśmy się tu pomylili co do samej istoty prawdy: to szkodzić nam nie może, ponieważ się w tym razie mylimy podług wszelkich przepisów syllogizmu. — Pomimo tego wszakiego jednak, jeżeli wasz uniwersytet ma dowody umowe albo z pisma św. na to, że koncylium w owym czasie nie było rozwiązane: toście go bronić powinni wszystkich sił waszych. A prześladowania bracia chani się nie lękajcie, albowiem napisano jest: »Błogosławieni, którzy dla sprawiedliwości znoszą prześladowanie...«

Uniwersytet Erfurcki, w liście z d. 3 października, bardzo krótkim ale uprzejmym, omija główne pytanie i nie zgola o tem nie pisze, co sam uczynił dla czego to uczynił. Ubolewa zato z całej duszy nad szczęściem, że wszechnica tak świetnej sławy, tak przez pisma swoje odznaczona zaszczytnie w dziejach tego soboru, znosić teraz musi takie przykrości! Biblijnym stylem kończą jednak odezwę swoją wypowiadając nadzieję, że Bóg dobry i miłosierny wyrwie z tej ziemi uniwersytet polski.

Najlepsze ze wszystkich były listy z Kolonii, dwa zupełnie sobie przeciwne, obydwaj zresztą tejsamej daty (są z dnia 17 września 1448). W jednym z nich żądosamo prawie, co akademia lipska, że w niedomomości zostając co do wielu ważnych szczegółów, w pytaniem tem połączonych, wołał się uniwersytet koloński nie sprzeciwiać woli cesarza i kolońskiego arcybiskupa, pana swojego — i dlatego poddał się Miko-

lajowi V. W drugim liście dała mniejszość (jak widać mistrzów kolońskich wyraz zapatrywania swojego, czyniąc całą niewłaściwość twierdzenia, w tamtym liście wyrzeczonego, jakoby i Kolonia, najkrzykliwsza w śnie na bazylejskich obradach, uniewinniać się temu mogła niezajomością rzeczywistego przebiegu rzeczy. Pisz tu tedy ta druga połowa mężów owej wszechchnicy przedewszystkiem o tem: że czyny ich kolegów krakowskich przejmują ich uwielbieniem, podziwem i współczuciem najwyższem. Przyrównywa Krakowian do jednych Machabeuszów, których także ani najstraszniejsze następstwa od bronienia świętej prawdy nie zdołały powstrzymać. Nadto rozwodzi się nad niewątpliwością pewnika, wyrzeczonego przez dwa koncylia powszechnie, jasnego jak słońce na niebie, że sobór ma władzę i nad papieżem. Ale kończy potem ten wywód stwierdzeniem faktu, który wcale nie rymuje z taką teorią, to jest przyznaniem, że szkoła kolońska w rzeczy samej uznała prawność Mikołaja V. A to dlatego, ponieważ w tem zawikłanem zdarzeniu były, jak się wyrażają, okoliczności podobne do obłoku, zaciemniającego wód nieprzezroczystych wyziewem, który jasność kwestyi zasłonił i możność pobłądzenia ułatwił. Ażeby się przeto broń Boże nie pomylić: woleliśmy odłożyć zbadanie tej wielkiej kwestyi na później, a tymczasem — by nie płynąć przeciw prądowi — pójść ostrożnie za przewodem księcia arcybiskupa naszego i cesarza. Jeżeli zaś wstępując na tę drogę zblądniemy, zostawiamy odpowiedzialność za to im obydwom, i winowajcom za wszystko ¹⁾).

¹⁾ Zabawnym komentarzem do tych dwóch listów jest jeszcze list łaciński z Kolonii, także w Kodeksie dypl. krak. drukowany, z dnia 19 września, a więc o 2 dni od nich wstępujący. Pisz go... pedel koloński, imieniem Sebastyan jak i kolegów swoich krakowskich. (W wiekach średnich pedel wiersyteccy nie rekrutowali się z wysłużonych podoficerów dzisiaj, ale zazwyczaj z biednych studentów, i zdarzało się im

Na samym ostatku odebrany i stosunkowo też jszczyrszy był list od akademii paryskiej (z dnia 10 października 1448). Przyznała w nim ta korporacja otwarcie, że przeszła do przeciwnego obozu jedynie przez wzgląd na wysokie ukształcenie teraźniejszego ojca św. i za przykładem swojego króla i także innych książąt, którzy prawie wszyscy hołd złożyli kołajowi V. Pytanie zasadnicze zupełnie zostawiając na uboczu, rozwódzi się tylko o potrzebie jedności Kościele bożym. Kończy wreszcie uwagą, że ją to mocno oburza, gdyby uniwersytet krakowski miał z tej przyczyny doznawać rzeczywiście prześladowania. Doświadczył, że równocześnie udaje się i ze swojej też strony do sprawiedliwości króla polskiego i prosi go, aby to nie czynił.

W taki sposób przyszła tedy akademii krakowskiej przekonania, że rzeczywiście opuściły wszystkie uniwersytety sprawę soboru. Powzięła jednak i tę potrzebę, że się to nie stało z przyczyn, któremi podług zdania należało się jedynie w takiej sprawie kierować, ale raczej wbrew przekonaniu, dla przymusu,

nimi czasem nawet ludzie graduowani). Otóż donosi w nim Sebastyan, że list akademii krakowskiej spadł — mówiąc stylem dzisiejszym — jak bomba między mędrców kolońskich i że wyszło między nimi do strasznej zwady, jak w karczmie, kiedy w posiedzeniu powszechnem jedni obstawali za wysłaniem pierwszego listu, drudzy zaś, którym żal było, że nie uczynili i nie zrobili tego co Krakowianie, upierali się przy drugiej odpowiedzi. W tej sposobności nie tai też autor listu owego własnych swych zapatrywań w kwestyi schizmy kościelnej i choć mętnym i niejasnym stylem, jednak jak na pedela umiejętnie wchodzi w szczegółowy rozbiór takowej. Widać stąd, jak to pytanie sięgało wtedy do najniższych warstw społecznych i rozbudzało namiętności w dach kołach. — O profesorach swoich wyraża się pedel koloński burzeniem. Wytyka im niestałość przekonania i zdradę własnych lepszych swych zasad, nauk i postępów dawniejszych — i wreszcie przeto, aby gonić za łaską potężnych tego świata i nie stawiać się na przykrości. Widać z tego tyle przynajmniej, że im ustąpienie było tylko skutkiem postrachu i przymusu.

z obawy, idąc za przykładem rządów i królów, słowem z pobudek jej zdaniem niczego nie dowodzących światowych. Przekonała się, że się teraz one po części największej wstydzą tego co uczyniły, i same nie wdają, w jakich słowach przyznać to swoje odstępstwo.

Właśnie przeto postanowiła szkoła nasza i teraz jeszcze wytrwać na stanowisku zajętem, a to tem bardziej, że ją i sobór, do którego się także zapytano, co ma czynić udala, prosił usilnie w odpowiedzi swojej, już nie z Bazylei, ale z Lozanny do niej pisaną (dnia 26 sierpnia 1448¹⁾), aby go nie opuszczała w tej chwili najkrytyczniejszej, która niedługo w ten lub ów sposób skończyć się musi, ponieważ zaczęły się już rokowania z rzymskim dworem papieskim przy pośrednictwie państw niektórych, pragnących pojednania w Kościele na zasadach czyniących zadość wszystkim sumieniom.

Jakoż rzeczywiście toczyły się już wtedy takie układy między Feliksem a Mikołajem przy pośrednictwie Francyi, Anglii i Sycylii.

Król nasz Kazimierz nie nalegał już odtąd więcej na uniwersytet i zostawiał rzeczy te najchętniej własnemu naturalnemu biegowi. Oświadczył on był biskupowi kameryńskiemu przy jego odjeździe z Krakowa, że życzy sobie, ażeby o tem wszystkiem, czego był tutaj świadkiem, opowiedział ojcu św. Co Mikołaj V osądzi, co względem uniwersytetu rozkaże, to król wykona świeckiem swoim ramieniem. Ale aż do nadejścia takich poleceń, powstrzymać się woli od wywierania przymusu.

Co większa, uczyniono teraz z kancelaryi polskiej kroki do Rzymu, które miały na celu złagodzić tam przykre wrażenie złożonych doniesień o uniwersytecie

¹⁾ W tym czasie bowiem na rozkaz cesarza Fryderyka przesiał się sobór usunąć z Bazylei i prowadził dalsze swoje działania w Lozannie.

krakowskim. Jest przechowana kopia listu z r. 1448, wprawdzie bez bliższej daty i także bez wymienienia osób, przez którą i do której był list rzechony pi-sany¹⁾ — widocznie jednak odnosi on się do chwili, którą teraz mamy przed sobą, prawdopodobnie pocho-dzi od Zbigniewa Oleśnickiego, a przeznaczony był do dojścia jaką drogą pośrednią do wiadomości samego ojca św. W tem piśmie dawniejsze około Kościoła za-sługi tej korporacyi krakowskiej i szczerota jej prze-konań nawet i po tem wszystkim, co zaszło, znalazły wyraz należytego uznania i poparcia. List ten stara się tedy usprawiedliwić umiarkowanie i oględność, z jaką sobie rząd polski i miejscowa biskupia władza postępują z tym zastępem zwolenników soboru. »Sto-ją oni tutaj (wyraża się autor listu), jako czujni stróżo-wie wiary. Ichto tylko usilność, ich nigdy niezmodo-wane trudy zaważyły murem bramę do domu tego kró-lestwa przed powodzią husytyzmu, walącego się stru-mieniami z narodu tak nam ze wszech miar blizkiego. Już ten jeden wzgląd nakazuje takie z nimi postępo-wanie, aby to, czego nauczali dotychczas i co nadal będą głosili, mogło mieć wiarę i moc i cześć w kraju naszym»...

W tym samym duchu pojmował także i papież Mikołaj V ówczesne położenie Kościoła. Umiał on w pełnej światła i umiarkowania mądrości swojej odróżnić krzykackie wichrzycielstwo sekciarzy od stałości przy zasadach raz z przekonaniem powziętych i dyktowanych sumieniem. Wiedział, że przymus i gwałty nie zapewnią Kościołowi jedności. I on przeto posza-nował przekonania akademii krakowskiej. Nie tylko nie wywierał żadnego na niej przymusu, ale nawet źle przyjął swego legata i podobno go wcale, kiedy do Rzymu powrócił, przed oczy swoje przypuścić nie

¹⁾ Znajduje się w zbiorach Zakładu imienia Ossolińskich we Lwowie, w rękopisie Nr. 601 na str. 19.

chciał za to tak niewczesnie gorliwe wystąpienie jego w Krakowie, tylko kompromitujące imię jego i powagę papieską.

Akademia krakowska czekać przeto mogła już teraz spokojnie końca układów, które z coraz większą pewnością dojścia do skutku zbliżały pożądaną dla wszystkich chwilę zupełnego pojednania się obu stronnictw kościelnych. Dnia 7 kwietnia 1449 r. nastąpiło zobopólne wyrównanie wszelkich różnic i trudności. Feliks V w Genewie złożył dobrowolnie tyarę i uznał Mikołaja prawym papieżem. Z swojej strony Mikołaj uznał w nim pierwszego między kardynałami i legatem swoim na Sabaudyę go zamianował. Uchyłono wszystkie cenzury duchowne, na kogokolwiek z przyczyn soborowych rzucone. Uznano i zatwierdzono znaczniejsze nominacje, dokonane w czasie rozdwojenia Kościoła. Kardynałowie Feliksa, uznani za takich i przez Mikołaja V, dali mu teraz i swoje głosy. Sobór lozański zakończył dobrowolnie swoje czynności i sam ogłosił, że jest zamknięty ¹⁾. Wszystko to dokonało się za obustronną zgodą i wróżyć sobie teraz już było można na pewne, że się poczyna w dziejach Kościoła lepsza epoka.

W końcu kwietnia 1449 otrzymali profesorowie krakowscy od rozchodzącego się już soboru z Lozanny urzędowe zawiadomienia (z dnia 16 i 25 kwietnia) o wszystkim tem, co tam tymczasem zaszło ²⁾. Zwolnieni z obowiązku wierności względem Feliksa, mogli oni już teraz, bez narażenia się na zarzut lekkomyślnego, wszelkiej pozbawionego konsekwencyi przerzucania się z jednego do drugiego obozu, zanieść hołd swój przed jedynego na cały świat katolicki zwierzchnika chrześcijaństwa -- z tem poczuciem wewnątrz-

¹⁾ Długosz Hist. V 61.

²⁾ Obacz te pisma w Kodeksie dypl. uniw. w tomie II, Nr. 149 i 150.

nego zadowolenia, że spełnili swój obowiązek, nawet wśród trudnych okoliczności.

Złożyli broń, ale dopiero na rozkaz własnego wodza — sami jedni, którzy go nie odstąpili do końca.

Akt piśmienny submisji uniwersytetu krakowskiego, przesłany Mikołajowi V, pisany z wielką godnością, nosi datę z dnia 3 lipca 1449 ¹⁾. Już przed tym czasem wypowiedział ustnie papieżowi uczucia te w imieniu akademii i za pośrednictwem Zbigniewa Oleśnickiego, jako biskupa jej i kanclerza, wysłannik tegoż do Rzymu, Jan Długosz, słynny historyk. Jemu także dane było załatwić i drugą sprawę, ściślej niżby здаwać się mogło z tym przedmiotem związaną, a przez ten cały czas mimo ciągłych starań nie rozstrzygniętą, to jest przywieść do Polski ostateczne zatwierdzenie ze strony Mikołaja V kardynalskiej godności Oleśnickiego ²⁾.

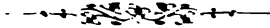
¹⁾ Mamy ten akt submisyjny w wyżej wspomnianym Kodeksie jako Nr. 160.

²⁾ Pismo Mikołaja V, nadające biskupowi krakowskiemu z jego ramienia kardynalski kapelusz, datowane jest z d. 29 lipca 1449, i można je znaleźć w Hist. Dług. (V 63), a stąd i w dziele hr. M. Dzieduszyckiego. Przewleczenie się tej rzeczy od r. 1447 aż do tej chwili nie było skutkiem, jak to wszyscy o tem piszący, a także i co tylko wspomniany autor sądzi, żadnych intryg, ani prymasa, ani Wielkopolan, ani wreszcie króla samego; lecz prosto było to tylko następstwo położenia całej tej sprawy. Przekona o tem dowodnie każdego samo zestawienie dat wszystkich, które tego dotyczą, i porównanie ich z sobą. Że prymas i Wielkopolanie mogli zazdrościć Oleśnickiemu zaszczytu, przez który otrzymywał prym niejako ponad arcybiskupem, będąc w krajowej hierarchii niższym od niego: nie jest rzeczą niepodobną. Że przedstawienia w tym czasie mogły z ich strony, a później nawet i ze strony króla samego być zanoszone do Rzymu: i temu nie będą przeczyli. Powiem nawet, że się to w części przyczynić mogło do odwleczenia tej rzeczy. Ale gdyby nie było innych przyczyn, nierównie od nich silniejszych: nie byłoby to mogło wystarczyć na tak długie powstrzymanie papieża od spełnienia przyrzeczenia, które dał Oleśnickiemu jeszcze w r. 1447, a które potem ciągle

dla pewnych powodów odraczał. Bo słowo papieskie prz więcej znaczyło, niż intrygi gnieźnieńskie.

Właściwą przyczyną zwłoki być mogło jedynie to, że Mikołaj V w Zbigniewie Oleśnickim, po mowie Elgota bazylikańskiego z roku 1442, widział tylko kardynała nie Eugeniusza Feliksa: a takich kardynałów było w Europie i więcej, z kó postąpić sobie należało według jednej zasady. Czekać więc siał papież chwili, w którejby okoliczności pozwoliły mu zał tę kwestyę wspólnie i naraz. Jakoż ją załatwił dopiero w r. kiedy sprawa ze Soborem i z Feliksem V stanęła jasno. G prymas Wincenty z Dębna był dożył owego roku († 1448): i pownie i on także został teraz uznanym jako kardynał na układu z dnia 7 kwietnia 1449, należąc do tejże kategorii.

Przyrzeczenie Mikołaja V dane Oleśnickiemu jeszcze 1447, że mu przyśle kapelusz, uważam za akt prostej roztrop liczącej się z wielkim wpływem tego biskupa w kraju. Mogł tem śmieiej dane, że papież chciał zgody ze Soborem i wie że się to prędzej czy później tak musi skończyć.



JAN OSTRORÓG

I JEGO MEMORYAŁ

) URZĄDZENIU RZECZYPOSPOLITEJ.

— • —



Posiadamy już po dziś dzień cały szereg gruntownie, a nieraz i znakomicie napisanych rozpraw o doktorze obojga praw Janie z Ostroroga, w końcu życia wojewodzie poznańskim. Życie tego męża, przed rokiem 1860 (rozprawa L. Wegnera, poświęcona temu przedmiotowi w Rocznikach poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk) niemal całkiem nieznaną, zostało dzięki co tylko wymienionemu autorowi, a potem i innym, głównie zaś Pawińskiemu, dostatecznie już wyjaśnione. Jego memoriał O urządzeniu (a raczej reformie) tamtoczesnego państwa polskiego — *Monumentum pro ordinatione reipublicae* — zajmował pod względem politycznego swego znaczenia i stosunku do wieku, w którym powstał, tyle piór pierwszorzędnych, że obecnie do wyników tego tak umiejętnie i wszechstronnie dokonanego rozbioru byłoby trudno dodać czegoś donioslejszej ważności. Pozostaje tylko jedno dotąd jeszcze nierozstrzygnięte pytanie, mianowicie co do chwili, w której statysta nasz z tym swym traktatem wystąpił. Kwestya tu może najważniejsza ze wszystkich. Słusznie bowiem uznał to już Pawiński, że jakkolwiek zdawać się może, że to tylko drugorzędne pytanie, to jednak jest tak ściśle z całą tą sprawą spojone, że od trafnego rozwiązania zależy cała właściwość miary, wedle której oceniać należy wartość wygłoszonych przez Ostroroga uwag. Otóż właśnie pod tym wzglę-

dem badacze nasi i postronni, którzy w ciągu kilkadziesiąt lat ostatnich zajmowali się tym zabytkiem politycznej naszej literatury z czasu króla Kazimierza Jagiellończyka i przede wszystkim tę właśnie kwestyę co do czasu starali się rozwiązać, do tej pory różnią się od siebie w zdaniu. Odnoszą pismo to do lat coraz innych w obrębie czasu od r. 1455 do 1477. Dowody, którymi każdy z tych uczonych zapatrywanie swoje okłada, nie potrafiły przekonać drugich.

Ten spór i ta różność stanowisk spowodowały i mnie do wzięcia udziału w tem dochodzeniu. Zdaje mi się, że ta zagadka nie byłaby tak trudną do odgadnięcia, byleby tylko do kwestyi przystąpić z innego punktu widzenia, aniżeli dotychczasowe. Może tedy, pomimo że już tyle o Ostrorogu pisano, nie będzie to i dziś nawet tak bardzo od rzeczy, jeżeli moje, od wszystkich innych odmienne zapatrywanie na tę sprawę w »Kwartalniku» rozwiode¹⁾ i poddam pod sąd osób zajmujących się tym przedmiotem.

Fakta z życia Ostroroga, jakem już wyżej nadmieniał, są wprawdzie obecnie już po największej części dostatecznie wiadome. Ponieważ jednak wynurzały się one zwolna i stopniowo z archiwalnych kryjówek, tak iż żadna z prac dotychczasowych o tym mężu stanu nie obejmuje całego tych wiadomości zasobu (wzajemnie się one uzupełniają): niechże zatem przede wszystkim wolno mi będzie zewnętrzne zdarzenia tego żywota, odniesione do lat swoich, w jednym szeregu zestawieć, ażeby czytelnik, mając materiał ten w zupełności przed oczyma, mógł tem łatwiej sam sądzić i kontrolować moje co do głównego pytania domysły.

¹⁾ Artykuł niniejszy, pisany w r. 1887, był ogłoszony w lwowskim Kwartalniku Historycznym, w III zeszytce z owego roku. Obecnie jednak wychodzi pomnożony szczegółami wykrytymi po tym już czasie i uzupełniony kilku uwagami, które były pominięte w pierwszym wydaniu.

Pochodził nasz mąż stanu ze starożytnego rodu, jednego z najmożniejszych między wielkopolskimi, używającego za herb i za proklamę Nałęczy. Miano to służyć kiedyś musiało za nazwę pewnej w tamtych stronach miejscowości, nie dającej się już dziś wskazać. Starodawność tego rodu, zapewne sięgająca w czasy jeszcze przedhistoryczne, daje się śledzić od końca XII stulecia. Trudno dociec, gdzie szukać pierwotnej szerszej działalności jego widowni — w W. Polsce czy na wchodniem Pomorzu. Pierwsza archiwalna wzmianka, odnosząca się do Nałęczów, daje ich widzieć w otoczeniu pewnego wschodnio-pomorskiego dynasty, Grzymisława pana na Świeciu, w r. 1198¹⁾. Już jednak za czasów Władysława Laskonogiego widzimy członków tego domu na najwyższych godnościach i w naszym kraju. Ów wojewoda poznański, imieniem znowu Dobrogost, któreto imię niemal w każdej generacji się tu powtarza, poległy przy napadzie Odonicza na Uście w r. 1226 w obronie tej twierdzy na rzecz pana swego a stryja owego księcia, mógł rzeczywiście z tego rodu pochodzić, jak to podaje Bielski. — W dalszych czasach rozrodna ta familia rozchodzi się na poszczególne odnogi. Wyosobnioną nasamprzód z całości rodu zdaje się być rodzina Szamotulskich, tak nazwanych od Szamotuł w woj. poznańskim. Jej protoplasta Tomasz, który za panowania Przemysła I był kasztelanem poznańskim, posiadał już to gniazdo rodowe, otoczone licznym szeregiem przyległych włości. Szamotuły, Piotrowo, Gaj, Biezdrowo, Chojno, Pakawie, Gać, Otorowo, Otusz, Pomarzany, Okiszowo (Ocieszę?), Nojewo i Krężoły, stanowiły połowę tylko tej magnackiej fortuny, przechodzącą w spadku po ojcu na młodszego zapewne tego Tomaszego syna, imieniem znowu Tomisława, ka-

¹⁾ Byli to trzej synowie Dobrogosta: Mikołaj, Wincenty i Tomisław, i dalszy ich jakiś krewny imieniem także Dobrogost. Perlbach, Pommerell. Urkunden, Nr. 9.

mnianego powyżej Sędziwoja Ostroroga, Stanisław (ojciec Jana) i Dobrogost¹⁾. — Zachodzi przeto wątpliwość, z jakiego tytułu przeszedł zamek ów Dzierżka Grocholi, Ostrorogiem w r. 1383 już zwany, na Sędziwoja udowodnionego protoplastę już tej familii, mianowicie czy nań przeszedł jako na syna jego, czy może zięcia.

¹⁾ Że wymienieni tu trzech bracia i panowie majątności kujawskich, Albert, Stanisław i Hektor, byli przodkami Ostrorogów tego się wprawdzie dopiero dowiadujemy od Nakielskiego, autora Miechowii, który mówi o tem jako rzeczy dowodnie wiadomej i wręcz ich nazywa Ostrorogami (na str. 281). Jakkolwiek późniejszy to świadek, bo z XVII wieku, mógł jednak Nakielski, jako i sam Miechowita, na pewne wiedzieć, od kogo co jego zakon podawane posiadał. Hektor z Pakościa przekazał Miechowitom czynie raczej Bożogrobcom gnieźnieńskim w r. 1360 na wieczne czasy probostwo sempołińskie. Odnośny dokument nadawczy posiadał w r. 1361 (Kod. WPol. Nr. 1427). To nadanie zatwierdził Kazimierz W. w r. 1361 potem (ibidem N. 1447 z r. 1361). Tu wspomniano i o obydwóch braciach Hektora, jako zgadzających się na to nadanie probostwa łącznie z całym jego uposażeniem. Nazwiska Ostrorogów nie mają jednak ci panowie w żadnym z tych dokumentów. Nie nosił go też jeszcze Albert wojewoda brzesko-kujawski i w innych aktach z lat 1359—62, drukowanych w dwóch pierwszych tomach Kod. dypl. Rzyszcz., w których występuje w tym swoim charakterze wojewodzińskim. — Posiadanie Sempolna przez Stanisława i Dobrogosta Ostrorogów, synów Sędziwoja (już wtedy nie żyjącego), jest faktem tą okolicznością udowodnionym, że jako niepodzielni jeszcze wtedy właściciele tej włości, przeznaczają w r. 1446 plac w Sempolnie na szkołę i oddają ten swój dar w zawiadowanie miejscowych zakonników i posiadaczy probostwa. Nakielski Miechowia str. 481. — Nie będzie od rzeczy dodać tu jeszcze wiadomość, że urząd starościński brzesko-kujawski był nadawany Ostrorogom tych obydwóch generacji w XV wieku. Posiadał go w r. 1411 obok innych swych godności Sędziwoj, dziad naszego doktora Jana. (Kod. Rzyszcz. II Nr. 557 z roku 1401, niewątpliwie tylko myłka kopisty, zamiast r. 1411). A syn Sędziwoja Stanisław łączył ten urząd z godnością podstolego kalisk. w r. 1432. (Tama Nr. 575). Co dowodzi, że musieli oni być dziedzicami pewnych dóbr i na Kujawach, wziętych w takim razie w spadku chyba po owym Hektorze z Pakościa.

(pisali się z Żydowa i Gilewa), a wreszcie o Ostrorogach¹⁾.

Oprócz jednak wiadomości, że wszystkie te gałęzi z jednego pnia wyszły i blizkiem krewieństwem były z sobą związane, nie umiałbym co do Ostrorogów dokładnie wskazać pierwszego właściwego zawiązku tej rodzinnej dzielnicy. Mamy tu bowiem do wyboru dwie filiacje, o których niewiadomo, czy się obie rodem z sobą wiążą, czy może i koligacją na matrymonialnem z innym domem połączeniu opartą. Pierwszym historycznie wiadomym panem warowni Ostroroskiej (*fortalicium*), o jedną tylko milę od Szamotuł odległej, był Dzierżysław czy Dzierżykraj Grochola, jako kasztelan santocki pod rokiem 1383 i dalszych wspomniany w pamiętniku Janka z Czarnkowa²⁾. W dwadzieścia lat później będzie w tym zamku już rezydował Sędziwoj, dziad naszego męża stanu, doktora praw Jana. Ponieważ Sędziwoj ten już w r. 1403 występuje jako chorąży poznański, następnie osiąga inne, coraz wyższe godności, mógłby zatem być synem owego Grocholi, jak się tego domyślał Niesiecki³⁾. Z drugiej strony daje jednak do myślenia, że tego przezwiska nie używał Sądziwoj, a prócz tego, że występują w dawniejszych jeszcze latach jako domniemani Ostrorogowie osobistości inne: trzech bracia, posiadający godności swoje i majątki na Kujawach, mianowicie Albert w r. 1360 i nast. wojewoda brzesko-kujawski, Stanisław sędzia brzeski, i Hektor »z Pakościa«, podstoli brzeski, dziedzic między innymi miejscowości Sempolna (za Notecią w powiecie kamińskim), którego to Sempolna będą w kilkadziesiąt lat później panami synowie wspo-

¹⁾ Sędziwoj dictus Świdwa, w r. 1381 jako kasztelan nakiel-ski przez Janka z Czarnkowa wspomniany (»Mon. Pol.« II 753). Był w latach 1397—1405 wojewodą pozn.

²⁾ »Dirseo Grochola«, »Dirseo de Ostrorog«, »Monum Pol. II str. 731 i 748.

³⁾ Niesiecki, wyd. lipskie, VII str. 196.

Tęgo tak wcześniej zmarłego stryja swego imię-
 nik syn jedyny Stanisława Jan, któremu poświęca-
 niniejsze pismo przyszedł na świat po jego dopi-
 zgonie. Stał się to mogło według mego obliczenia ok. o
 r. 1496. Obliczenie to opieram na czasie odnoszącej się
 do niego zapiski w uniwersyteckim Album, tylko że
 już nie krakowskimi, lecz erfurckimi. Wszedł w poczet
 scholarów tej niemieckiej wszechszkoły razem ze stryj-
 czynym swym bratem, Dobrogostem synem Dobrego-
 sta, w r. 1496. Są tu odcy pod takim samym zapisani. Jan
 najpierw, a potem Dobrogost. Jeżeli przypuścimy, że
 było wtedy Dobrogostowi jako widocznie młodszemu
 16 lat, a Janowi 17, to lata ich urodzenia przypad-
 łyby na r. 1487 i na 1496. W tych bowiem latach wiek
 między 16-tym rokiem a 18-tym przybywała tamto-
 zna młodzież polska na studia do uniwersytetów po-
 stronnych, jak to z innych kolumnarykacyjnych wpi-
 sów, i wiek uczniów posiadających wiadomo. Młodszymi
 trudno tedy wtedy być mogli ci dwaj panicze. A i star-
 szym nad 17 lat także pewnie Jan nie był, młodzie-
 niec wyższych nad przeciętne zdolności i co także
 uwzględniając tu wartość pochodzący z takiego domu, gdzie
 wartość i potrzeby wczesnego wykształcenia nauko-
 wego uznawano tak niepodzielnie, że niemal wszyscy
 Ostronogowie XV i XVI stulecia dają się wykazać jako
 studenci głębszych w tamtym czasie wszechnic, pra-
 wie zawsze niemieckich.

Aby rzecz z przeduniwersyteckimi latami, prze-

1497 w kościele św. Jakuba w Samborczu, z herbem Nałęcz i
 pismem Jan Ostronogi, o którym wspomina p. Piekosiński na str.
 264 liście. O dynastycznym związku polskiej pochodzenia, a
 na polsku nie mówiąc sobie przysięgę senatora Stronczyńskiego.
 Rok ten 1497 zupełnie się tu nadaje.

Wskazano tę pierwszą wyrobę na jaw prof. wrocławski
 Czajka, a to z publikacji Weissentobena Acten der Erfurter Uni-
 versität, zamieszczonych w Geschichtsquellen der Provinz Sachsen,
 VIII str. 228.

pedzonemi zapewne w domu, i z rodzicielskimi stosunkami od razu zakończyć, dodajmy w tem już miejscu, że nie tylko Jan, ale i Dobrogost byli jedynymi swych rodziceli synami. Matką Jana była Czyżowska, kasztelanica krakowska, jak się tego pewnie słusznie Pawiński domyśla. Ojciec Jana piastował w r. 1453 już godność wojewody kaliskiego, na którą wstąpił rok przedtem. Poprzednio był ten Stanisław Ostrorog, jak się już wyżej wspomniało, podstolim kaliskim (już r. 1432) a obok tego i starostą brzesko-kujawskim -- następnie (około 1438) podkomorzym poznańskim, a wnet potem generalnym wielkopolskim starostą (aż do r. 1440) — w r. 1446 wszedł w poczet członków Rady królewskiej jako kasztelan, na razie międzyrzecki, którąto kasztelanie już w r. 1450 zamienił na gnieźnieńską, posiadaną aż do r. 1452, a w tym roku osiągnął i wojewodzińską już godność. Brat Stanisława młodszy Dobrogost, daje się że aż do r. 1448 nie piastował żadnych urzędów. Od tego roku wszelako i on już należał do szlacheckiej, jako kasztelan kamiński ¹⁾.

Czas studyów Jana wypełnia w życiu jego, ściśle wszystko obliczywszy, lat sześć i kwartał: od jesieni 1453 do końca 1459. Wiadomość w ostatnich dopiero datach wydobyta z ukrycia i o tyle ważna, że w ten sposób wszystkie domysły o napisaniu *Memoryału* w tym już okresie czasu, np. w r. 1456, 1456/7, 1458 lub 1459, raz na zawsze upadają same przez się. Nie było z pewnością bez tego, żeby młody nasz wojewodzie w tym lub owym roku swych nauk nie był miał na wakacye domu rodzicielskiego odwiedzić. Ale żeby się jako je-

¹⁾ Dowody co do tych dat obacz w *Kod. dypl. Rzyszcz. II* Nr. 575. — *Pomniki prawa*, Helcel II str. 443, i *Liskego Akta grodzkie* V Nr. 75. — *Kod. WPol. Raczyńskiego* str. 166, 178, 186 i 188; i *Inventarium privilegiorum* w Paryżu r. 1862 wydane, str. 283, 289 i 300. — Pawiński, *Monografia o Janie Ostr.* str. 19 i 193. — *Długosz, Historia* IV 626 i V 153. — *Liskego Akta grodzkie* II Nr. 74 i V Nr. 125.

szcze student miał być mieszać w sprawy publiczne i z projektami swojemi występować przed senatem i królem — o tem przecież myśleć nie można.

Z tych sześciu lat przypadają co najmniej dwa, lecz może i trzy lub cztery, na uniwersytet w Erfurcie¹⁾. Czy się stąd bezpośrednio przeniósł na wszechnicę bolońską, o tem nie jesteśmy dokładnie powiadomieni. To jednak pewne, że we Włoszech i mianowicie w Bolonii dokończył studyów. W grudniu roku 1459 uwieńczył je doktoratem z obojga praw, kanonicznego i rzymskiego. Dnia 11 rzeczonego miesiąca odbyła się tu uroczysta jego promocya, a potem świetna uczta wyprawiona wszystkim tamtejszym doktorom i wielkiej liczbie innych jeszcze osób²⁾.

¹⁾ W publikacji *Scriptores rerum silesiacarum*. IX, zamieścił Dr. Markgraf p. t. „*Breslauer Correspondenz*” sprawozdanie niejakiego Fabiana Hanko czy Hancke i inne jego listy do Rady miejskiej wrocławskiej z Włoch pisane w r. 1464, gdzie tenże Hanke między innymi pisze i o znajomości swojej z Janem Ostrorogiem. Powiada, że go z nim łączy dawna zażyłość, bo związana jeszcze w czasie studyów erfureckich. Dwa lata (nie powiada które) razem w tem mieście z sobą w koleżeństwie spędzili. „*Wann wir haben in studio Erfurdiensi II jar mit einander gestanden*”. — Z tego jednak tylko tyle wynika, że co najmniej przez dwa lata na pewne Jan uczęszczał do tej wszechnicy. Mógł być tam wszakże i dłużej przebywać, jeżeli Hanke już go tam jako dawniej zapisanego zastał, lub też przybycie jego wyprzedził i wcześniej od niego swe nauki ukończył.

²⁾ Obacz Archiwum do dziejów literatury i oświaty, publikacya Akad. Umiej. z r. 1892, tom VII: „Informacya o aktach uniwersytetu Bolońskiego przez Dr. Windakiewicza, str. 134 i 138. Zapisany tu w Aktach obydwóch fakultetów jurydycznych jest pod r. 1459 „*Johannes de Polonia*”, jako doktoryzowany w tym roku w grudniu. Dnia 8 tego miesiąca uzyskał t. zw. Dispensacyę (zwolnienie od pewnych formalności — zapewne od lat tu przepisanych i koniecznych do otrzymania promocyi: w prawie kanonicznem lat 6, a w rzymskiem 8). W dwa dni później złożył egzamin z tych obydwóch przedmiotów, a nazajutrz, d. 11 grudnia, dokonano publicznych uroczystości, po czem zaszło owo „*solemnne prandium*”. — Niema wprawdzie w zapiskach tych

Za powrotem do ojczyzny w roku 1460 wstąpił w służbę publiczną, na razie jako jeden z funkcyjnarzysów kancelaryi królewskiej, w której się w krótkim czasie dobił wydatniejszego znaczenia, będąc używany do różnych ważniejszych zadań.

Na rok 1462 (rok wieku jego 26-ty) przypadają dwie takie nam wiadome jego czynności. Uczestniczył w przeprowadzeniu wcielenia ziemi Belskiej do Korony i położył podpis swój w odnośnym akcie inkorporacji („*Joannes de Ostrorog juris doctor*“, „*Vol. Leg.*“ I fol. 202). Następnie występował w charakterze jednego z trzech umocowanych prokuratorów królewskich przed sądem ad hoc złożonym w sprawie spornej aneksyi do Korony księstwa Płockiego, korzystnie dla króla zakończonej. (Dług. t. V str. 358 i nast.).

W roku 1464 był wysłany do papieża Piusa II do Rzymu, podobno w sprawie biskupstwa płockiego, które król Kazimierz uważał za wakujące. Misya ta przypadła na pierwszą roku tego połowę. Nie zastał papieża w Rzymie, bawił bowiem Pius II dla poratowania zdrowia wtedy w Petrioli (pod Sieną), gdzie

blizszego określenia tego Jana z Polski. Lecz wątpić nie można, że do naszego Ostroroga się to ściągało, gdyż w tym wieku drugiego świeckiego człowieka z tytułem doktora obojga praw w Polsce nie spotykamy. Inne w tym wieku doktoryzowane w Bolonii osobistości także się w album tem obywają bez oznaczenia stanu, familijnej nazwy i miejsca urodzenia. Nie mogło tedy być inaczej i z Janem. — W swym Memoryale (artykuł 50) pogardliwie się nasz autor wyraża „*de doctoribus bullatis*“, przez co rozumiał takich bogatych paniczów, którzy we Włoszech, po kilku tygodniach na jakim dworze spędzonych, do odznak (oczywiście za pieniądze) i tytułów doktorskich tam przychodzą i potem niemi paradują w ojczyźnie. Nie stosuje on tego jednak do wszystkich we Włoszech promowanych, owszem przeciwstawia im takich tam graduowanych, którzy zaszczyt ten uzyskali przez egzamin „*secundum scholae rigorem*“. I sam on do tych ostatnich należał. To też cenil sobie ten swój tytuł i przez pierwszą połowę życia kładł go zawsze w podpisach przy swem nazwisku.

używał kąpieli. Było to w kwietniu. Przystęp do chorego ojca św. bardzo wtedy był utrudniony. Mało komu on tu udzielał audyencji. Nasz doktor jednak podobno był przyjmowany i jak wspomniany wyżej Hanke powiada, szczególnymi odznaczany względami. W jakim właściwie interesie był wtedy Ostroróg do papieża wysłany, nie jest dokładnie wiadomem. Jeżeli jednak rzeczywiście rozchodziło się o owo biskupstwo, jak to Lubieński podaje (*Series episcoporum. ploc.* str. 139), to godzi się tu nadmienić, że pomimo rzekomych owych względów papieskich nie był wynik tego poselstwa pomyślny ¹⁾).

Te dwa lata 1463/4 stanowią w życiu naszego męża stanu zresztą ważną dla niego epokę. Jeszcze w r. 1463 świetny związek małżeński. Potem owo mimo wieku tak młodego jemu jednemu powierzone do papieża poselstwo. Zaraz potem, w środku r. 1464 (na jeden albo dwa lata przed trzydziestką), postąpienie do stanu senatorskiego jako kasztelan międzyrzecki. Nakoniec na pograniczu trzeciego a czwartego kwartału tegoż roku 1464, autorstwo owego politycznego traktatu, który wślawił jego imię w dziejach naszej literatury, a niewątpliwie podniósł go wysoko i w opinii pokrewnych mu duchem współczesnych.

Żoną Jana Ostroroga, którą w każdym razie jeszcze przed wyjazdem do Rzymu zaślubił, była Piastówna, księżniczka raciborska Helena, córka (nieżyjąca).

¹⁾ Rzecz miała się bowiem tak: W samym początku jeszcze r. 1463 biskup plocki Paweł Giżycki zakończył życie. Król Kazimierz przeznaczał to biskupstwo po nim Jakóbowi z Sienna i wyprawił posłów swoich do kapituły, w celu elekcji biskupa w maju tegoż roku zgromadzonej, z wezwaniem ażeby się zastosowali do tej woli królewskiej. Kanonicy wszakże nie uwzględnili tego życzenia i wybrali kanonika plockiego Ścibora z Gozacie biskupem. Król tego wyboru nie chciał zatwierdzić. (Dług. Hist. V 368). — Pomimo tego jednak widzimy ostatecznie, że Ścibor utrzymał się na biskupstwie i miał je do samej śmierci (1471).

ego już wtedy) księcia na Raciborzu Waclawa († 1456) i spokrewnionej z Ostrorogami Małgorzaty z Szamotulskich, poprzednio księżnej mazowieckiej, jako małżonki Kazimierza II księcia belskiego¹⁾. To ożenienie wojewodzica naszego z córką panującej jeszcze wtedy na Szląsku i na Mazowszu dynastii niepomiernie uświetniło, a i pod majątkowym względem wzmogło dom tych wielkopolskich magnatów. Nie należało ono wprawdzie do nadzwyczajnych i niebywałych wydarzeń, gdyż w tamtych czasach łączyli się już potomkowie Piastów, tak mazowiecy jak i szląscy, nieraz z domami nienależącymi do rzędu panujących²⁾. Wsze-

¹⁾ Była ta Małgorzata córka Wincentego Szamotulskiego, kasztelana międzyrzeckiego, w młodym wieku poległego r. 1444 pod Warną. Za życia jeszcze ojca, w r. 1442 (nie 1446, jak to podał Długosz V 24) wydana za podstarzałego już Kazimierza księcia na Belzie, żyła z nim nie całe 3 miesiące, zmarł bowiem już w roku ślubu. (Obacz Genealogią Piastów Balzera str. 504 i nast.). Potomstwa z tego małżeństwa nie było. W początku r. 1445 (przed 19 stycznia) wyszła ta owdowiała pani secundo voto za Waclawa ks. raciborskiego. Z tego stadła zrodziło się czworo rodzeństwa: Katarzyna, wydana kilka lat przed 1463 za Włodka Pałukę na Doborzu kasztelana nakielskiego, Helena, bliżej nam z kolei żyjąca swego nieznaną Anna, i wspomniany przez Długosza (Hist. V 261) jako najmłodszy z tych dzieci, syn Jan, jako książę raciborski zmarły w r. 1493. Ich matka Małgorzata w rok po wydaniu Heleny za mąż zesza z świata, d. 5 listopada 1464.

²⁾ Tak np. młody książę mazowiecki Janusz, syn Janusza I księcia czerskiego, zaślubia w r. 1408 córkę Spytka Katarzynę Melsztyńską. Bolesław V ks. warszawski († 1488) pojmuję w roku 1477 za żonę Annę Uhnowską, wojewodziankę belską. Księżniczka Anna, córka księcia plockiego Konrada, wychodzi r. 1536 za Stanisława OdrowąŜa Sprowskiego. Tejże ojciec, Konrad III nazywany Rudym († 1503) był jeszcze mniej wybierny na punkcie dobierania sobie małżonek, zaślubiał bowiem aż dwa razy mieszczanki. Pierwszą z nich była krakowianka, Magdalena Stawrotówna — drugiej imienia nie podał nam Długosz, który się bardzo zżyma na takie pospolitowanie dynastii. (Balzer, Genealogia). — Jeszcze więcej takich przykładów w linii Piastów szląskich. Pomijam częstokrotne śluby z hrabiankami i szlachciankami niemieckimi,

lako był to w annałach rodziny Ostrorogów i pierwszy i jedyny wypadek tego rodzaju. On też pewnie był przyczyną, że już w kilka miesięcy potem nasz wojewodzie, a nawet i brat jego stryjeczny, otrzymali krzesła w Radzie królewskiej.

Wyrozumienie ściśle czasu, w którym ten zaszczyt dostał się Ostrorogom w udziale, jest dla kwestyi naszej pierwszorzędnej ważności, gdyż od tego zależy i oznaczenie chwili powstania Memoryału *De reipublicae ordinatione*, napisanego przez Jana w charakterze już senatora. Roku jego nominacyi na kasztelanie międzyrzecką nie podaje żadne znane dotąd źródło. Prof. Caro postawił tu rok 1463, ale tylko uwiedziony pomysłką wydawcy jednej z publikacyi Akademii Umiejętności (Codex Epistolaris z r. 1876), gdzie dokument pewien, wydany przez Kazimierza Jagiellończyka pod wyraźną oznaczoną datą d. 14 października r. 1465, przywiedziony został w druku w szeregu aktów z r. 1463, jak gdyby z tego już roku pochodził. Owoż w tym dokumencie, między świadkami czynności której dotyczył, jest przywiedziony i Jan Ostroróg „*juris utriusque doctor, castellanus miedzyrzecensis*“ (Cod. Epistolaris, II str. 224 i 227).

a wspomnę tylko o związkach z polskimi domami poniżej tronu. Jan ks. świdnicki († c. 1407) żeni się z wdową po Spytku Melsztyńskim, Elżbietą rodem Węgierką. Teżże córka, Jadwiga Melsztyńska, wychodzi około r. 1400 za Bernarda opolskiego († c. 1460). Bolko V opolski zaślubia w r. 1418 Elżbietę Pilecką. O Waławie raciborskim już wiemy, że się w r. 1445 z domem Szamotulskich połączył, a i obie jego córki, Katarzyna i Helena, wydane zostały za nieuksiążęzonych panów na Domaborzu i Ostorogu. Brat rodzony tegoż Waławy, Mikołaj na Jägerndorfie, w r. 1452 zmarł nie wzgardził związkiem z wdową po dwóch mieszczanach krakowskich, Barbarą Rokemberg, a i pierwsza jego żona, Małgorzata z Elgut, nie była żadną księżniczką. Za jego przykład jeszcze dalej w tym demokratycznym kierunku poszedł Konrad ks. oleśnicki († 1492), którego małżonka Dorota Reinkenbergska córka prostego jakiegoś rzemieślnika. (Grotefend, Stammtafel schlesischen Fürsten).

A zatem jest wszelka pewność, że w październiku r. 1465 dzierżył już nasz doktor tę kasztelanię — ale pytanie: od kiedy?

Rozważmy przedewszystkiem, że w pierwszej połowie roku 1464, mianowicie przez kwiecień, w którym u papieża Piusa II w poselstwie bywał, i przez dalsze miesiące aż do czerwca, nie służy Janowi jeszcze w żadnej o nim wzmiance źródłowej ten senatorski tytuł. Ów Hanke, kolega Ostroroga erfurecki i protegowany przezeń przyjaciel, dobrze świadom jego stosunków, nie wspomina go w swych relacjach z tego czasu inaczej, jak tylko „*der ritter Herr Johann von Ostrorog*“. Kasztelanem więc jeszcze wtedy on nie był. Rozważmy dalej następujące powiązanie ubocznych faktów. Stryj naszego męża stanu, a młodszy brat Stanisława ojca doktora, ów Dobrogost, o którym wyżej już nadmieniałem, że od roku co najmniej 1448 był kasztelanem kamińskim, piastował ten urząd aż do r. 1464 i wtedy postąpił na kasztelanię gnieźnieńską¹⁾. Zamiast niego widzimy na tem krześle senatorskiem kamińskim siedzącego wprowadzić znowu Dobrogosta Ostroroga, ale innego. Był to syn tamtego Dobrogosta, stryjeczny brat Jana i kolega jego na uniwersytecie erfureckim w r. 1453 i paru dalszych. Roku nominacyi młodego Dobrogosta na tę godność senatorską wprowadzić nie znamy. Występuje on z tytułem tym w zachowanych źródłach dopiero r. 1466. Mianowicie podpisał on się tak pod dokumentem pokoju toruńskiego zawartego w tym roku. (*Volum. Leg. I fol. 220*). Nominacya ta jednakże zajść musiała parę lat wcześniej. Rozważywszy bowiem krótkość czasu między r. 1464 a 1466, niepodobno przypuszczać, żeby ojca od syna na tej godności

¹⁾ Pawiński, Monografia o Ostrorogu, str. 193. Dokumenta od 1464 począwszy, o ile w nich Dobrogost świadkuje, przywodzą go jako kasztelana już gnieźnieńskiego, np. Nr. 64 w tomie VII Liskego Aktów Grodzkich, datowany rokiem 1470.

był przedzielal ktoś trzeci. Jak skoro ten urząd w r. 1464 zawakował, to niewątpliwie dostała go już z araz wtedy tasama osobistość, która go w r. 1466 w źródłach zachowanych posiada, a tą osobą nie był kto inny, jak syn posuniętego wyżej Dobrogosta starego. Czyli innemi słowy, nominacya ojca na gnieźnieńskieg^o kasztelana, a syna na opróżnione po nim kamińsk^{ie} krzesło, była wynikiem jednego postanowienia, fakte tegosamego czasu. Jeżeli zaś zgodzimy się na to: rzecz jasna, że i Jan musiał już w tedy wnijsć w pczet członków Rady królewskiej. Bo czyżby było rzeczą możliwą, żeby król, mając przy boku swoim człwieka zaszczyconego stopniami akademickimi, jakim był Jan Ostroróg, już zasłużonego w życiu publicznem, z pewnością nierównie zdolniejszego, niżeli brat jegostryjeczny, wreszcie starszego wiekiem, i pochodzącego ze starszej linii Ostrorogów, mógł go zostawiać na boku, z próżnemi rękami, kiedy tamtego, Dobrogosta, powoływał do senatu i darzył kasztelanią kamińską? Ani wątpić, że zamianowanie to Dobrogosta albo dopiero nastąpiło po wyniesieniu już Jana na krzesłomiędzyrzeckie, albo co najmniej zaszło z niem równocześnie. Słowem, Jan Ostroróg jeszcze w r. 1464 musiał zostać dostojnikiem, jakim go ów akt z r. 1465 już zna i między świadkami wymienia, nie zaś w tym ostatnim dopiero roku.

Wyniesienie tych obydwóch braci stryjecznych do senatorskiej godności zaszło w latach ich wieku dziwnie rychłych! Było Janowi wtedy lat około 28, Dobrogostowi najwyżej 27. Ani przedtem ani potem nie dochodzili już członkowie tej rodziny tak wcześnie do podobnych zaszczytów. Według mego obliczenia (rozumieć je oczywiście należy jedynie w przybliżeniu) doszedł dziad naszego Jana, Sędziwoj Ostroróg, pierwszej senatorskiej godności dopiero w roku swoim 36-ty; ojciec Jana, Stanisław, choć z pewnością zdolny człowiek, dopiero po ukończonej czterdziestce; stryj Do-

brogost w dwa lata po Stanisławie, w roku życia swego c. 35-tym. Obydwaj zaś synowie doktora Ostro-roga, Waclaw i Stanisław, doczekali się lat wieku c. 39, względnie 35, żadnych jeszcze nie posiadając tytułów dostojniczych. (W pozwach do nich wystosowanych w r. 1501—1504, oddrukowanych u Pawińskiego, nie dodano do ich imion i nazwisk żadnego tytułu). Wstęp do senatu zdarzył się Stanisławowi w roku jego dopiero 44-tym, Waclawowi zaś w 51-szym.

Dalsze fakta co do Jana szły po sobie w następującym porządku. Kwestyę co do Memoryału, przypadającego na r. 1464, pominiemy jeszcze w tem miejscu, a trzymajmy się tylko zdarzeń więcej wiadomych.

Przy układaniu traktatu toruńskiego w r. 1466 po szczęśliwie ukończonej dwunastoletniej z Krzyżakami wojnie, odgrywał Jan Ostroróg jedną z rol pierwszorzędných i kładzie podpis swój pod tym traktatem ¹⁾.

Zaraz potem, w końcu tegoż jeszcze roku 1466, udaje się razem z biskupem-nominatem chełmińskim Wincentym Kielbasą, jako poseł króla polskiego do Rzymu. Mieli spełnić dwa zadania sobie zleczone: złożyć Pawłowi II obedyencyę w imieniu Kazimierza Jagiellończyka i królestwa polskiego, którejto obedyencyi aż dotąd papieżowi temu ze strony Polski uroczyście nie dopełniono; i wyjednać u Pawła II apostolskie zatwierdzenie zawartego z Krzyżakami przymierza. (Dług. t. V str. 467).

Pobyt poselstwa tego w Rzymie przeciągnął się aż do kwietnia r. 1467. Wynik starań co do zatwierdzenia toruńskiego traktatu nie był pomyślny. Obydwaj posłowie w początku dopiero czerwca tego roku za powrotem do ojczyzny zdawali królowi sprawę z swoich rzymskich czynności w Niepołomicach. (Dług. t. V str. 483).

W tem miejscu zachodzi stanowczy przełom w toku

¹⁾ Volum. Leg. I f. 218 i 220.

życia naszego męża stanu. Aż dotąd było to życie czynne, publiczne — karyera spieszna i świetna. Druga połowa tego żywota (1467—1501), choć o tyle lat dłuższa, do tego stopnia upływała mu w obrębie domowego tylko zacisza, bez rozgłośnych wystąpień na publicznej działalności widowni, bez prędko po sobie następujących dalszych awansów, że prawdziwie dziwić się temu nie można, że dawniejsze biografie notowały zgon Jana Ostroroga już około r. 1466/7 i utyskiwały z nieutulonym żalem nad tym przedczesnym kresem działania tak niepospolitego pisarza.

Z całej tej drugiej połowy życia daje się wszystko, co nam wiadomo sprowadzić do następujących szczegółów.

Na kasztelanii międzyrzeckiej pozostawał nasz autor Memoryału aż do r. 1472. W tym bowiem roku dzierżył to dostojęństwo już inny, Andrzej Szamotulski (Pawiński, str. 38). Musiał zatem Jan Ostroróg w roku tym być posunięty na jakieś względnie wyższe kasztelańskie krzesło — prawdopodobnie kaliskie, i zajmował je do r. 1474¹⁾. W tym czasie, po zgonie wuja ciotecznego żony swojej, Piotra z Szamotuł, i właśnie na jego miejsce nasz Jan postępuje na kasztelaninę poznańską i ugrzęzł na niej aż do r. 1500, więc przez całe 26 lat!

W roku 1475 zawakowała godność wojewodziń—

¹⁾ Z tego powodu przypuszczam tu kasztelaninę kaliską, że niewiadomy nam jest żaden inny tego właśnie stopnia dostojnik w latach 1472—74. Awansem względnie do międzyrzeckiej kasztelanii, aż do r. 1472 posiadanej przez Ostroroga Jana, mogła być tylko kaliska, gnieźnieńska albo poznańska. Obie ostatnie tu wykluczone, ponieważ gnieźnieńskim kasztelanem był przez lata 1464—78 stryj jego Dobrogost, w tym roku zmarły; poznańskim zaś od r. 1472—74 był Piotr Szamotulski. (Kod. dypl. WP Raczyńskiego str. 188. Długosz Hist. V 616. Pawiński str. 193). A zatem pozostaje chyba tylko kasztelanina kaliska jako przezeń piastowana w tych latach.

ska kaliska, kiedy ojciec Jana Stanisław posunięty z niej został na województwo poznańskie. Nie dano jej naszemu mężowi stanu. W r. 1477 zawakowała godność wojewodzińska poznańska, kiedy tenże Stanisław ojciec jego na niej życie zakończył. Nie dano jej małżonkowi księżniczki z dynastyi Piastów.

Kiedy Jan był kasztelanem poznańskim, zaszła w r. 1476 w życiu jego jakaś awantura dziwna, dotąd niewyjaśniona.

Oto co pisze o tem prof. Anatol Lewicki, który na ślad tego zdarzenia w drezdeńskim Archiwum rządowym niedawno temu natrafił. »W r. 1476 Jan Ostrobróg został w zagadkowy jakiś sposób i z nieznanych powodów, przez nieznaną sprawców w Saksonii porwany. Niewola jego, jak z dwóch listów sprawy tej dotyczących wynika, trwała zdaje się przynajmniej rok. Włóczono go z miejsca na miejsce, *von einem Schlosse und Hofe auf die andern, auch in Wälder und Heiden*«, tak że nikt nie umiał powiedzieć, gdzie on się znajduje, i najrozmaitsze o tem rozchodziły się po kraju pogłoski. Czyniono za nim staranne poszukiwania. Sam król wysyłał w tym celu osobnych posłów do zaprzyjaźnionych ze sobą książąt saskich Ernesta i Alberta. Udawał się osobiście do nich ojciec Jana, Stanisław wojewoda poznański. We wrześniu 1476 doszła do ojca wieść, przez jakichś przejeżdżających Łużyczan, że niejaki Jerzy von Sal, mieszkający na zamku Schönfeld, ma wiedzieć coś o miejscu niewoli Jana. Udaje się więc wojewoda ponownie, listem z d. 20 września (1476) do książąt saskich z usilną prośbą, aby tego Jerzego Sala wybadano. Po pięciu dopiero miesiącach, dnia 16 lutego (1477), odpisuje mu jeden z tych książąt, że jak się z przesłuchania Jerzego okazało i on nic nie wie więcej, jak to co mówią po kraju, nie umiając wcale wymienić miejsca, gdzieby się Jan mógł znajdować. Niestety na tem się kończą nasze wiadomości.

mości o tej ciekawej przygodzie znakomitego naszego statysty.

Do powyższej wiadomości dołączył Lewicki i obydwie odnośne listy. Jeden Stanisława Ostroroga do książąt saskich, zachowany w autentyku, z jak najwyraźniej wypisaną datą „*Ostrorog feria sexta ante festum s. Mathei apostoli* (= dnia 20 września) *anno domini millesimo [quadringsesimo] septuagesimo sexto*“. Drugi jako odpowiedź książąt na ten list, zachowany w brulionie, z datą „*Dr[esden] sabbato post esto mihi*“ (= d. 16 lutego), bez liczby roku, lecz oczywiście z r. 1477¹⁾.

Cała ta sprawa wydaje się tem dziwniejszą, że list ojca do książąt saskich nosi datę już 20 września. Wiadomo skądinąd, że na trzy tygodnie przed tym dniem wysłanego listu znajdował się Jan jeszcze w kraju na sejmie, mianowicie w Piotrkowie, gdzie się owego roku od 14 sierpnia do 5 albo 6 września sejm ten odbywał²⁾. Na pewnym królewskim dokumencie, w Piotrkowie w ciągu jeszcze trwającego sejmu d. 30 sierpnia 1476 wydanym, obydwaj Ostrorogowie, ojciec i syn, występują przytoczeni między innymi czynności tej przytomnymi świadkami³⁾. Przypuścić przeto należy, że chyba dopiero po tym dniu 30 sierpnia, ale nie zwłocznie po nim, z Piotrkowa Jan do Saksonii wyjechał i od razu wpadł tam w jakieś nieprzyjacielskie ręce. Czyje to mogły być ręce? nadaremniebyśmy się pytali. Żeby to była rządowa władza, która go tam uwięziła: o tem wobec listów tu wspomnianych myśleć nie można. Pomimo tego jednak sądzę, że interes, w którym kasztelan wyjechał, nie musiał być jego prywatną sprawą, ale królewską. Wskazują na to d

¹⁾ »Kwartalnik Histor.« z r. 1891 zes. IV str. 825.

²⁾ Dług. Hist. V 646 i 648.

³⁾ Paprocki, »Herby« str. 940, dokument króla Kazimierza »*feria sexta ante festum s. Egidii proxima anno 1476*«.

zachowane ślady, zdające się być w związku z tem wydarzeniem ¹⁾).

Jakkolwiek ta niewola w życiu naszego męża stanu epizodyczny tylko stanowiła wypadek, nie jest jednak bez ważności dla kwestyi, kiedy powstał jego Memoriał. Odnosili i odnoszą go niektórzy do r. 1477. Na sejmie tegoto roku miał on być przedłożony lub przeznaczony do takiego użytku. Otóż wiadomo z Długosza, że sejm r. 1477 przypadł na miesiące wiosenne. Dnia 13 kwietnia w Piotrkowie został otwarty. (Hist. V 654). Według wszelkiego prawdopodobieństwa Jan Ostroróg zostawał i wtedy jeszcze w niewoli, a jeżeli z niej już był wrócił, to świeżo, i niekoniecznie w usposobieniu przemawiania takim duchem wyniosłym, jaki wieje w tem piśmie.

Do kasztelanii poznańskiej przybył autorowi Memoriału, ale dopiero pod sam koniec XV stulecia, jeszcze i urząd WPolskiego generała-starosty. Sprawował go tylko pięć lat, od 1493—98 ²⁾).

Ostatniem zdarzeniem w życiu jego publicznem było postąpienie z kasztelanii poznańskiej na wojewo-

¹⁾ W Pawińskiego monografii o Ostrorogu znajdujemy na str. 195 wydobyty z archiwum warszawskiego zapis 12.000 dukatów dla Jana Ostr. przez króla Kazimierza uskuteczniony w r. 1488, a to z tytułu zwrotu długu u niego zaciągniętego i w wynagrodzeniu za służby, merita *et pro captivitate*. O żadnem innym pojmowaniu w niewolę w życiu tego senatora nie słychać, jak chyba wtedy. — Oprócz tego jest jeszcze inny takiż dla Jana naszego zapis, kwoty 800 grzywien, podarowanej jak się dokument ten wyraża, za (nieokreślone tu bliżej) jakieś jego merita. Data tego rozporządzenia (Kod. Rzyszcz. II Nr. 622) d. 2 września 1476 na sejmie w Piotrkowie, a więc na tysiącym sejmie, przed zakończeniem którego po dniu 30 sierpnia Jan do Saksonii wyjechał, data ta nasuwa domysł, że może to wynagrodzenie zostawało w pewnym związku z tym wyjazdem za granicę kraju.

²⁾ Pawiński, Jan Ostr. p. 40. Liske Akta grodzkie, T. IV Nr. 117 z d. 22 lutego 1493, ukazuje na tym urzędzie jeszcze Mikołaja z Kutna. W dalszych więc miesiącach dopiero tego r. go dostał. — Raczyński, Kod. dypl. WPol. str. 193. Vol. Leg. I fol. 280 i t. d.

dzińskie dostojęństwo w tejże dzielnicy królestwa. Do-
czekał się tego awansu w samym końcu r. 1500 lub
w początku r. 1501, długo się jednak tym zaszczytem
nie cieszył. Kres życia jego bowiem przypadł na środ-
kowe miesiące tegoż roku 1501. Umarł w Grodzisku,
skąd przewieziony do Ostroroga i złożony tu w pod-
ziemiach miejscowego kościoła.

Z prywatnego jego życia zanotować jeszcze na-
leży, że po stracie pierwszej żony (czas zgonu tejże
nie wiadomy), ożenił się powtórnie z Dorotą Wrzesiń-
ską, mniej zamożną pewnie córką obywatelską. Zająć
to musiało około r. 1495¹⁾. Z tego małżeństwa było
dwoje dzieci, syn Achilles i córka Polixena. Dwaj zaś
synowie z pierwszego związku nazywali się Stanisław
i Waclaw.

Mając teraz powyższe z życia Ostroroga fakta,
odniesione do właściwych lat swoich i w jednym nie-
jako biegu przed oczyma stawione, przystąpmy do
wrozumienia czasu, w którym najsnadniej mógł on
się zabrać do spisania owych swoich rad i spostrze-
żeń, które razem w jedną całość ujęte noszą tytuł
*„Monumentum pro comitiis generalibus pro reipublicae
ordinatione“*.

Wspomniałem już na wstępie rozprawy, że co do
tego pytania podzielone są zdania. Odnoszono ten me-

¹⁾ Za tym rokiem albo co najpóźniej za 1496 jako rokiem
powtórneho ożenienia się Ostroroga przemawia akt z roku 1500,
w którym stary ten już wtedy kasztelan poznański pozostawił
rozporządzenia co do opieki nad dziećmi swemi tego drugiego
małżeństwa. Nazywa je w tem swem piśmie proles infantilis et
tenerrima. Odpowiednio powiedzeniu temu, nie miał pewnie Achil-
les wtedy więcej latek jak 3 lub 4, a jego siostra mniej jeszcze. —
Achillesa dalsze koleje życia zupełnie nieznanne. Polixena wyszła
za mąż około r. 1522 za Potulickiego Przeclawa. (Akt ten z r. 1500
mamy cały przytoczony u Pawińskiego, str. 200).

moryał do czasu między r. 1455 a 1456, do r. 1456, do 1459 i do 1477. W ostatnich latach życia swego dotknął tej kwestyi mimochodem i Liske (w Sybla *Historische Zeitschrift*, tom XX nowej seryi) i rzucił myśl, że memoriał najprawdopodobniej pochodzi z czasu między r. 1463 a 1467. Zgadzam się z tem ostatniem zapatrywaniem — chodzi mi jednakże o to, ażeby w przeciągu tego czterolecia wskazać punkt kwestyjonowany dokładniej, i co tu jest najważniejszym, dowieść że tak było a nie inaczej.

Pisarze powyższych zapatrywań, jakkolwiek z sobą tak sprzeczni, wychodzili wszyscy z jednego założenia. Kładą główny przycisk na tem, że tytuł memoriału opiewa *Monumentum pro comitiis generalibus regni* (Memoriał dla walnego sejmku) i że jego pierwsze słowa brzmią tak: »Będąc członkiem Rady królewskiej i jednym z przedniejszych (*a primoribus*), słyszałem, że niezadługo odbędzie się Sejm, na którym przedewszystkiem wadliwości (*defectus*) tego państwa i niedobre w niem zwyczaje (*pravae consuetudines*) będą wytknięte i zganione (odrzucone? *reprobandae*), a zbawienne i pożyteczne uchwalone«. Otóż pojmano te słowa tak, że wypowiada je Ostroróg niejako w przededniu takiego sejmku, na którym w skutek postanowienia ze strony decydującej, a więc z inicjatywy rządu, miano uchwalić pewną reformę całej machiny państwa, podjąć rewizję politycznych naszych urzędzeń, słowem uskutecznić przekształcenie organizmu tamtoczesnego, i że wiedział o tej intencji króla nasz Ostroróg już naprzód przed zwołaniem sejmku owego, będąc członkiem wybitnie zajmującym miejsce w jego radzie przybocznej. — Wychodząc z tej hipotezy, przyjąwszy za pewnik, że jeden z sejmów za króla Kazimierza Jagiellończyka odbytych, był zwołany w powziętych z góry takich właśnie zamiarach, starano się już potem tylko o to, ażeby w długim szeregu zjazdów i sejmów owego czasu do-

patrzeć się takiego właśnie sejmu. Materiałem do tego miał być Długosz. Czyniono tedy w jego *Historyi* dochodzenia, porównywano jego opisy sejmów jedne z drugimi, i na ten sejm, który się komu zdawał najwięcej mieć pozoru i podobieństwa do tego, o czym Ostroróg mówi, wskazywano jako właśnie na ów sejm przez niego zapowiedziany, a wedle tego odgadywano też i rok napisania memoriału kwestyonowanego. Na tej drodze przychodzono jednak do coraz innych wyników. Jednemu zdawał się być owym sejmem reformacyjnym zjazd tego a tego roku, drudzy dopatrywali go się w innych zjazdach. A względną słuszność poniekąd mieli wszyscy. Wszystkie bowiem mniej więcej sejmy i zjazdy za panowania tego króla przepelnione były projektami reorganizacyjnej natury, a to z tej prostej przyczyny, że były to czasy ciągłej wojny, silnego poczucia pustek w skarbie, coraz jaśniejszej świadomości, że instytucya pospolitego ruszenia nie odpowiada potrzebie, że były to czasy coraz mniejszej ochoty brania udziału w tym obowiązku szlacheckim, coraz silniejszego pragnienia wojsk zaciężnych i na każde skinienie gotowych do boju, których trzymanie jednakże kosztowało sumy, jakich tamtoczesne urządzenia podatkowe nie pokrywały. Więc radzono na każdym sejmiku i sejmie, kogoby i w jakiej mierze pociągnąć do kontrybucyi, wymyślano coraz inne nowe formy tych kontrybucyi, sarkano na mały, a czasem i żaden w nich udział duchowieństwa, lamano sobie głowę nad poprawą urzędzeń dotyczących pospolitego ruszenia, do którego sejmy ostatecznie rade nierade wracać musiały, jako do rzeczy bądź jak bądź mniej kosztownej, przynajmniej mniej gotowego grosza potrzebującej, aniżeli liczne wojska zaciężne. A radząc nad tem wszystkim, z samej natury rzeczy zahaczano bardzo często o pytania sięgające nierównie dalej, o pytania zasadnicze, np. co do stosunku jednego stanu do drugich, a szczególnie do duchowieństwa, którego przywileje

przetrzęsano, a tradycyjne immunitety starano się, choć z bardzo małym skutkiem, okroić. Odgłos tej ostatniej dążności odzywa się i w opowiadaniu Długosza, choć zaledwie w dziesiątej części; takie bowiem niedogodne dla Kościoła i hierarchii rozpędy wolał nasz ojciec historyków o ile się tylko dało pomijać milczeniem i topić w zapomnienia fali, żeby przyszłym pokoleniom nie dawać złego przykładu i... niepotrzebnej do wznawiania dawnych zachceń pokusy.

Wadliwość zatem drogi, na jakiej starano się dotąd rozstrzygnąć kwestyę, na którym sejmie Ostroróg wystąpił ze swoim Memoryałem, widzi mi się być bijącą w oczy już przez to, że ta droga miała prowadzić przez zapiski Długoszowe o sejmach, żadną miarą nie będące ani tak wyczerpującymi, ani tak całą prawdę podającymi, iżby na tem było można budować.

Ale jest zdaniem mojem jeszcze i druga pomyłka w powyższem założeniu. Jeżeli Ostroróg na wstępie swego traktatu wypowiada: Wiem, że odbędzie się w najbliższej przyszłości sejm, na którym to, co jest złego w naszym ustroju państwowym, będzie reprobowane i t. d., a mówię to jako człowiek z Rady królestwa i jeden *a primoribus*: to nie wypowiada przez to niczego więcej, jak tylko to, że z pewnością oświadczyć może, iż na tym sejmie będą poruszone takie a takie sprawy, to znaczy, że przez stanowisko swoje społeczne, a i przez charakter swój senatorski, sądzi się być upoważnionym do zapewnienia, że tak będzie. (Jeżeli kto inny ich nie poruszy, to on sam to uczyni i ci co stoją za nim, jego stronnictwo, jego krewni, jego równi położeniem społecznem, których zdanie wyrozumiał). Ale bynajmniej przez słowa powyższe tego nie wypowiada, że taki jest rządowy program przyszłego sejmu, że w tym sensie przyjdzie na stół przedłożenie rządowe, instrukcja z ramienia samego króla lub coś w tymże rodzaju. Gdyby taki właśnie był sens powyższych słów Ostroroga, w takim razie jedynie

mielibyśmy wszelki powód szukania po Długoszu, co się stało z owym rządowym programem? i któryto sejm zostawał z tym programem w związku, choćby o tyle, że dajmy na to, może odrzucono ów program, może nie chciano o nim radzić na owym sejmie? Ale takiego sensu podkładać słowom Ostroroga w żaden sposób nie można, choćby już z tej tylko przyczyny, że niema żadnego podobieństwa do prawdy, iżby Kazimierz Jagiellończyk w którejkolwiek długich swoich rządów chwili nosił się na seryo z myślą przekształcenia organizmu swego państwa jednym że tak powiem zamachem, i to jeszcze za pośrednictwem i ze współdziałaniem sejmu. Zwoływano za jego panowania reprezentacye kraju, żeby uzyskać przyzwolenie na rozpisanie podatków, albo na zwołanie pospolitego ruszenia. O reformach machiny państwa, z inicjatywą rządu, nigdy na nich mowy nie było. Czegoś na kształt sejmu czteroletniego* nie zamierzał wywołać ani Kazimierz ani żaden król inny po nim aż do Stanisława Augusta. A i Poniatowskiemu w chwili, kiedy się zabierano do tego sejmu, ani w głowie nie postąpiło, żeby na nim przeprowadzić to wszystko, co w sobie zawiera konstytucya 3go maja. Do tego doprowadziły dopiero dalsze wypadki i konjunktury, których w r. 1788 żaden rozum ludzki nie mógł przewidzieć¹⁾.

Zapowiedź przeto wielkiej doniosłości obrad na sejmie już w najbliższej przyszłości, stanowiąca sam początek memoriału młodego naszego magnata, była tylko wyrazem jego osobistego przewidywania, była jego subiektywnem życzeniem i może kilku innych, czembądź do niego zbliżonych. A takie życzenia, choćby były najsluszniejsze, niekoniecznie odnoszą zawsze skutek. Jego memoriał mógł być w odpisach rozrzucony między senatorów, a może i posłów ziemskich,

¹⁾ Porównaj dzieło X. Kalinki, np. na str. 117—119, 131—134, 356 i t. d. tomu I.

mógł być przez nich wszystkich czytany, przez wielu i aprobowany — ale czy nad nim radzono, czy w ogóle zrobiono z niego jakikolwiek urzędowy, a choćby oficjalny użytek? to inne pytanie. Mnie się zdaje, że o tem ani myśleć nie można. W przeciwnym bowiem razie byłaby się przecież musiała zachować jakakolwiek wzmianka o tem w pismach współczesnych, a takiej przynajmniej dotąd ani śladu nigdzie nie znaleziono. Poprostu traktat ten był sobie i pozostał tylko tem, co dziś zwykle nazywamy akademicką rozprawą.

Chcąc wyrozumieć czas tej rozprawy, trzeba zatem przystąpić do rzeczy z innej zupełnie strony, t. j. dać pokój przetrząsaniu sejmów i Długoszowych półsłówki, a trzymać się samego memoryału i w nim poszukać punktów oparcia do konkluzji, jaka jest artykułu niniejszego zadaniem. Na punktach takich w nim nie brak.

Przedewszystkiem należy do takich punktów ta okoliczność, że był zatem Ostroróg już wtedy, kiedy pisał ten swój traktat, jak sam we wstępie powiada, „*a consiliis regni*“, to jest w Radzie królewskiej. Przemawia przeto już jako kasztelan, zatem nie przed rokiem 1464, w którym dopiero tej godności dostąpił. — Drugim takim punktem niech będzie to, że autor w art. 27 traktatu napomina senatorów, żeby radę jego, chociaż młodego (*tametsi juvenis*), wzięli sobie do serca. Ci którzy przedłożenie traktatu sejmowi odnosili do r. 1477, usprawiedliwiali to wyrażenie, powołując się na różnicę między *juvenis* a *adolescens*; podnosili, że młodzieńcem nie nazywa tu siebie Ostroróg, lecz tylko młodym; takim zaś mógł się słusznie w obec starszyny senatorskiej nazywać, choć był człowiekiem już dochodzącym czwartego krzyżyka. Przyznaję, że może być pewna, nie zbyt znaczna różnica między *juvenis* a *adolescens*. Sądzę jednak, że gdyby w roku 1477 nasz Ostroróg, już ojciec synów, z których jeden miał co najmniej lat 10, może i 11,

Lata 1455 i 1458 są tu wykluczone bezwarunkowo, ponieważ wtedy nasz Ostroróg jeszcze był studentem, bawił za granicą, do rady królewskiej nie należał. Rok 1471 także tu już nie może być brany w rachubę, albowiem wtedy, licząc c. 35 lat wieku, nie byłby autor traktatu już nazywał siebie *juvenis*. Pozostaje przeto tylko rok 1464 jako jedyna możliwa taka zmiana osoby na tronie papieskim, do którejby się nasz memoriał mógł z pewnem prawdopodobieństwem odnosić.

Obejrzmy się teraz za dowodami, któreby to prawdopodobieństwo zamieniły na pewność i które za tym właśnie rokiem stanowczo przemawiają, a do reszty uchylają możliwość związku memoriału z r. 1471.

Przedewszystkiem zarzuciłby mógł przypuszczeniu memu niejedną tę okoliczność, że to pismo było przecież w każdym razie przeznaczone dla sejmu, dla najbliższego (nie zjazdu, ale) walnego sejmu, ażeby na nim było rozbiegane jako wniosek lub przedłożenie. Tymczasem o sejmie walnym, w r. 1464 odbyłym Długosz nie wie. Opowiada on nam wprawdzie o partykularnym małopolskim i ziemi ruskiej sejmiku, w Nowem mieście Korczynie zgromadzonym w maju owego roku; ale milczy, zgoła nie wie o generalnym w tym roku zjeździe. Otóż tak jest rzeczywiście. W Długoszu sejm z r. 1464 nie istnieje. Ale to tylko stwierdza rzucaną powyżej moją uwagę, że u tego historyka szukać światła na wyjaśnienie tych wszystkich pytań nie można, bo o niejednym niechęcą lub też umyślnie przemilczał. Wiemy już obecnie skądinąd, z wszelką pewnością, że w tym roku 1464 odbył się walny sejm, a to w Piotrkowie, i że trwał przez październik i listopad, zatem właśnie te miesiące, w których Ostroróg posiadał już kasztelańskie swoje krzesło w senacie¹⁾.

¹⁾ Liskego Akta grodzkie, tom XIII Nr. 5727 i 5728. Są to dwa listy króla Kazimierza, datowane jeden w październiku in

Co stanowiło główny przedmiot uchwał i czynności owego sejmu, tego się już nie dowiemy, bo niema ślad. Ale położenie polityczne ówczesne i anteceden-
cy, które były następujące, rzucają na to pytanie
nieświatła.

W r. 1454 rozpoczęła się wojna pruska. Nie wiodła się tak pomyślnie, jak się zrazu niejeden tego spodziewał. Wcześniej otwarły się oczy na to, że na takie przedsięwzięcie, jak bój z Zakonem, ani sił dostatecznych nie było ani pieniędzy w skarbie. Pospolite ruszenia okazywały się instytucją już do niczego. Zwykle pobory podatków ni w części nie pokrywały potrzeb. Jeszcze w roku 1454 pod Chojnicami doznała sromotnej klęski. W dalszym roku, w jesieni, oblegano Łaszyn, twierdzę wcale nie zbyt warowną, ale i tę nie zdobyto. Trzeba było koniecznie coś na takie niepowodzenia obmyślić. Zgromadziła się w początku listopada 1455 w Grudziądzu Rada królewska, ale się okazało, że jej projekta do niczego nie prowadziły. Więć król wtedy złożył zgromadzenie, złożone z ludzi wpływowych i znacznych, lecz nie będących jeszcze senatorami, z delegatów rycerstwa, w nadziei uzyskania z tej strony hojniejszych ofiar na rzecz publiczną¹⁾. Jakoż uchwaliło to grono subsidia pieniężne, nierównie dalej idące, niżeli projekta tamtych; lecz brzemień ich

conventiones generali, drugi w listopadzie in conventiones piotrkowiensium generali r. 1464. A jeżeliby kto żądał jeszcze więcej na to dowodów, to je znajdzie w tychże Aktów tomie VI Nr. 62 i 63, tudzież w Kod. dypl. Rzyszcz. III Nr. 221.

¹⁾ Et damnatis veterum baronum et dignitariorum consiliis, quidam juniores ex communitate ad formandum reipublicae statum lecti. Lecti, wybrani, lecz nie przez króla. Quidam nobiles per communitatem electi. Dług. Hist. V 214 i 218. Każdy widzi, że tu mowa nie o starszych i młodszych wiekiem, ale o senatorach i o niesenatorach. Ci ex communitate lecti mogli być w pewnej części także ludźmi późniejszego już wieku, jeżeli reszta rycerstwa ceniła ich doświadczenie i wydelegowała ich do tej ankiety.

miało w dwójnasób, a nawet w trójnasób zaciężać na duchownem możnowładztwie w porównaniu z ofiarami od świeckich. Myśl tę przyjęto. Publikowano ją już nawet po kraju jako nakazy płatnicze. Ale sprawiło to popłoch i oburzenie w dotkniętych. «Kto tu śmie nakazywać nam kontrybucye? — prosić, nie rozkazy wydawać!» — Sejm też najbliższy, w styczniu r. 1456 do Piotrkowa zwołany, na żądanie nalegliwe biskupów zganił i odrzucił owe uchwały. Trzeba było koniecznie jednak coś i w dodatnim kierunku uchwalić. Więc przyzwołono na pobory, równe od obydwóch stanów, ale... w zasadzie. A zasada, to co innego jak przeprowadzenie! Nad przeprowadzeniem faktycznem miały dopiero radzić potem partykularne (prowincjonalne) zjazdy. I radziły nad niem, przez cały ten rok, ale tak, że rok się skończył, a próżnia w królewskim skarbie ciągle świeciła pustkami. Zależało tu bowiem wszystko od pewnego warunku, a tym warunkiem miało być jasne postawienie kwestyi, wytoczonej na stół przez ową ankietę «młodszej braci» w listopadzie roku 1455 w Grudziądzu, która nie dawała już potem spać spokojnie ni jednej ni drugiej stronie, ani szlachcie ani biskupom — kwestyi mówię, jak się rzecz będzie nadal miała z tradycyjnymi immunitetami hierarchii? czy jej udział w ciężarach publicznych i odtąd po dawnemu będzie tylko od jej łaski zależał? Jeżeli mamy takie grube złożyć w ofierze pieniądze, niechże i oni je złożą i to odpowiednio do swej możności, a tak, żeby się z pod tej miarki równej dla wszystkich już nigdy nie wylamywali potem! — Jasnego co do zasady tej orzeczenia i zamienienia jej w prawo, w ustawę na sejmie uświęconą, z całą świadomością domagała się szlachta ¹⁾). A król choć wiedział, że w ciągu rozpoczę-

¹⁾ «Petebatur a rege celebratio generalis conventionis, ut in ea de differentiis inter ecclesiam et laicos poneretur decisio». Długosz pod r. 1456 str. 235.

tej już wojny nie pora wprowadzać drażliwe takie pytania w wir obrad, pod naciskiem okoliczności nawet piśmiennie przyrzec musiał, że da stanom swoim sposobność rozstrzygnięcia tego finansowego pytania, skoro tylko będzie chwila po temu¹⁾.

Oczywiście w okolicznościach danych król Kazimierz, zawisły od swojej Rady, w której dominowali biskupi, nie mógł spełnić tej obietnicy. Lata upływały, do rzeczy nie przychodziło. Ale świeckim panom tkwiło dobrze w pamięci, co im przyrzeczone zostało. Niepowodzenia w sprawach publicznych były u nas zawsze zwalane na panujących, choć ci najmniej byli za nie odpowiedzialni. Na takich nie brakło i w tej z Krzyżakami przewlekającej się wojnie. To też na sejmiku roku 1450 (w grudniu, w Piotrkowie) wywnętrzył Jan Kyrwianski starosta sandomirski, wszystkie żale i pretensye, jakie miano do Kazimierza, a nadewszystko wytknął mu owo ciągle odkładanie przyrzeczonej, na osobnym sejmie zapasę mającej decyzji co do „*stabilitamentum et reformatio publicarum rerum*“²⁾. To upomnienie miało ten skutek, że wybrano wtedy z pomiędzy sejmujących dwudziestu najprzedniejszych, którzy mieli, *ceteris omnibus rebus exclusis*, tę piekącą zasadniczą sprawę załatwić.

Że i ci jej nie załatwili, rzecz to taka, co się w okolicznościach tamtoczesnych sama rozumie. Lecz w tem świadectwo, że kwestya w Memoryale Ostroroga stawiona na pierwszym miejscu, najjaśniej w nim opracowana ze wszystkich innych punktów, kwestya kościelna, trutynująca stosunek Polski jako państwa do

1) Dał takie przyrzeczenie w październiku 1456 na sejmiku nowokorezyńskim, przyrzeczenie osobnego sejmu pro reformatione dumtaxat, instauratione et emendatione status regni (pod podatkowym, głównie hierarchii dotyczącym względem). Bandtkie Jus Polonicum, str. 297.

2) Dług. Hist. V 293 i 298.

Rzymu, i stosunek majątków duchowieństwa do skarbu publicznego, była wtedy, przez ten cały szereg lat, pytaniem aktualnym, jak najżywiej zajmującym wszystkie umysły. Nasz Ostroróg jej z zagranicy nie przyniósł ani w swej głowie nie wymyślił. On tylko podjął, co jakby zawisłe było w powietrzu. A że ją podjął z takim zamachem, właśnie w roku 1464, pierwszym roku jego senatorskiej godności: było to przy jego młodym wieku i pewnem niedoświadczeniu w rzeczach publicznych tak naturalną rzeczą, że raczej temu dziwiłoby się należało, gdyby z tem był kiedyś w dalszem dopiero życiu wystąpił. Przysłowie przecież, może trywialne ale prawdziwe niesie, że nowa miotła najlepiej zawsze zamiata.

Dwa pierwsze artykuły Memoryału są poświęcone stosunkowi króla polskiego do papieży. Są to właśnie owe „*accidentalia*“, owe na czasie właśnie będące, aktualne i żywotne kwestye, o których zapowiedział autor, że o nich będzie mówił nasamprzód. Pierwszy artykuł »O powinszowaniu papieżowi nowo wyniesionemu«. Drugi — »Jakim tonem listy królewskie do papieża powinny być pisane?« — Przeczyć temu z pewnością nie można, że obydwie te ustępy są stylizowane z widoczną niechęcią, goryczą, co najmniej nietajoną niezyczliwością dla godności papieskiej. »Odwiedzić nowego papieża, powiada, i powinszować mu wyniesienia, a zarazem upomnieć go (*monere et hortari*), aby Kościołem Chrystusowym rządził sprawiedliwie i święcie — wypowiedzieć także i wyznać katolicki nasz i tego królestwa charakter: tego bynajmniej za rzecz zdrożną nie uważam. Lecz przyrzekać mu posłuszeństwo we wszystkim, jak się to często mówi — żadną miarą nazwać nie mogę właściwem. Mówić jedno, a co innego czynić — to przecie sprzeczność! Król polski utrzymuje, i słusznie, że nad sobą nie uznaje wyższego, jak tylko Boga. Azali to będzie prawda, jeżeli tak bę-

tej już wojny przemawia jak dotąd zwyczajem tania w wir...

piśmiennie... dotyczący listów jeszcze mocn sobność... w bezpośrednim związk skoro tylko...

Oczywiście taka właśnie korespondencya mierz, zawieszona do papieża rzymskiego nig biskupi, nie... tak uniżenie i tak pokornie, do rzeczy... papieskiem był król w oko dobrze w...

wodzenia w... widocznie rzucone tu są pod zwalane na... listu właśnie takim tonem odpowiedzi... do Rzymu, skoro i t żakami przez... Musiał być j roku 1459 (...), ale wszystkim których to ty Rytwiański... autora bez taktu i miar tensye, jakie... do nowo obraneg tknął mu ow... wyrozumieć, jak się rzecz m bnym sejmie

mentum et... dnia 14 sierpnia Pius II nie mało ton... W parę tygodni później sejmujący... Paweł II i konsekracy mieli, ceteris... dnia 14 września tego sam czą sprawę... Podług zwyczajnego try

Ze i ci ja... złożoną mu być obedyency licznosciach... państwa katolickiego już świadectwo... konsekracyi, a zatem w cią wiona na pie... jednakże owym razem nie cowana ze w... czasie był król Kazimi ścielna, truty... wojny pruskiej, czy raczej

... do wysłania poselstwa ... nie przyszło prędzej, a nowokorczyńskim... nie przyszło ocale 2 lata później. B matione dumtasal... uszanowania dla podatkowym, głow... uszanowania dla Jus Polonicum, ... jego konsekracyi,) Dług. Hi... Twierdzić można z całym

że jeszcze w r. 1464 dopełnił tej formalności król Kazimierz — listownie ¹⁾).

I otóż mamy ów list, do którego się tu Ostroróg odnosi, list w każdym razie co najpóźniej z października 1464 r., więc z czasu, kiedy autor koncytował właśnie ten swój Memoryał.

Z cierpkiego usposobienia, z jakim Memoryał o papieżu, a dalej i o biskupach wyraża się, chcieli niektórzy dzisiejsi pisarze wyciągać wnioski, że to utwór jakiegoś z czasu już Lutra lub Kalwina polskiego akatolika, podrzucony Ostrorogowi; że to jakiś falsyfikat, nie przystający do społeczeństwa polskiego w XV w. Ten »zamach na Ostroroga« odparł już wprawdzie w osobnej rozprawie pod tym właśnie tytułem Pawiński (»Ateneum« z r. 1890, zeszyt majowy). Niech jednak i mnie wolno będzie poświęcić temu pytaniu słów kilka.

Nie miałbym żadnej ochoty kruszyć kopii w obronie prawowierności, a jeżeli to może zbyt mocne wyrażenie, w obronie kościelności katolickiej autora Memoryału. Ostrorogowie wprawdzie dopiero w XVI w. jawnie odpadli od Kościoła. W roku 1550 (albo następnym) przystał do sekty Braci czeskich, świeżo wtedy

¹⁾ Istnienie tego listu wynika z kombinacji następującej. W poselstwie gratulacyjnym w r. 1466 z Polski do papieża Pawła wyprawionem przodował biskup-nominat chełmiński Wincenty Gosławski, a nasz praw obojga doktor towarzyszył mu w tej funkcji. W pięknej mowie biskupa mianej wtedy do Ojca św. dwa są miejsca, które tu podnieść należy. Zaraz z początku tłumaczy, dlaczego aż do owej chwili, t. j. aż do r. 1466, król polski »Sanctitati ejus publicam obedientiam verbis non praestitit«. Pod koniec mowy wszelako dodaje: »Rex autem noster... praestitam Tibi alias obedientiam iterum atque iterum praestat et innovat«. A zatem była już i dawniej (alias, kiedy indziej) uczyniona ta obediencya, tylko że nie publicznie i nie verbis, a obecnie się ją tylko ponawia. Kiedyż to zatem być mogło? i w jakiej formie? Oczywiście zaraz po wstąpieniu na tron Pawła II, i chyba nie w inny sposób, jak za pośrednictwem listu.

do WPolski przybyłych, wnuk w prostej linii naszego doktora Jana, Jakób Ostroróg, w końcu życia starosta wielkopolski. Oddał im w zarząd kościół dotąd katolicki w swem gniaździe rodzinnem i zapoczątkował epokę różnowierstwa w dziejach tej pańskiej rodziny, która dopiero r. 1636 do wyznania przodków swoich wróciła. Pomimo tak późnej daty owego odszczepienia jednakże, nie mamy żadnego powodu twierdzić, żeby aż do apostazy Jakóba, wszystko tam w Ostrorogu było się działo poprawnie pod religijnym względem. W XV wieku nie brakło już w Polsce na wpływach i na powodach, dla których domy, z imienia katolickie, więcej się solidaryzowały z hasłami potępianymi przez Kościół, niż z tradycyjnym dogmatem. A nie brakło i na zdeklarowanych wyznawcach husytyzmu. (W Małopolsce Spytko Melsztyński, Leliwita, lecz przez żonę Beatryx Szamotulską skoliigaony z Nałęczami, w r. 1438 pokonany i poległy pod Grotnikami. W WPolsce Abraham Zbąski, Nałęcz i jeszcze bliższy krewniak Ostrorogów — w niż tamten, w tychsamych czasach tyle sprawiający religijnego nieładu i wręcz groźny dla dwóch następujących po sobie biskupów poznańskich). Stary Sędziwoj Ostroróg, w r. 1441 zmarły wojewoda poznański, zdaje się że był człowiekiem starej szkoły, dalekim od takich zapędów, raczej dążnościami pokrewnymi Zbigniewowi Oleśnickiemu. W myśl rady i woli tych dwóch mężów głównie się wtedy składały w Polsce sprawy publiczne. Czem był jeden dla Małopolski, tem był drugi dla tej starszej dzielnicy kraju. Synów swoich wysłał Sędziwoj na studia do Jagiellońskiej wszechnicy, nie pragnąc dla nich zagranicznego zrozumu. Lecz już ci obydwaj synowie, tak Stanisław i Dobrogost, dzieci swoje wychowywali w Erfurcie, a i dalsze generacye tej możnej wielkopolskiej rodziny systematycznie omijały krakowską starowierczą siedzibę nauk, przekładając nad nią to uniwersytet lipski, to wittenberski, to strasburski, jak dziś już można tego

do wieś datami archiwalnemi. Ojciec Jana Stanisław, tak wczesnie i tak ciągle wynoszony do najwyższych szczytów, był z pewnością uznawany za męża nie tylko rozumem, ale i statkiem wytrawnym dającego wszelkie rękojmie — w politycznym świeckim względzie. Czy jednak i pod wyznaniowym względem uchodził za tak pewnego? o tem mogłyby być różne zdania. Kiedy się młody syn i następca Jagielly Władysław, Warneńczykiem później nazwany, w r. 1440 wybierał do Węgier na objęcie tam tronu, którato nieobecność jego w ojczyźnie, jak już wtedy przewidywano, mogłaby potrwać przydłużej: wyznaczano na ten przeciąg czasu nieokreślony dla poszczególnych dzielnic Polski starostów generalnych, łączących ze zwykłą starościńską władzą i zadanie być zastępcami (*vicarii*) króla nieobecnego. Chwila ta zastała na urządzie generała-starosty dla W. Polski właśnie naszego Stanisława. Dlaczegożto odebrano mu wtedy to dostojęństwo i zastąpiono go na niem inną osobistością (Krzesława z Kurozwęk, kasztelana wiślickiego)? To samo uczyniono i z innymi aż dotąd starościńskie wielkorządztwa w kraju piastującymi panami, np. Janem Pileckim w MPolsce i Piotrem Polakiem na Podolu¹⁾. Zajęły ich miejsca godniejsze zaufania osoby. A zatem te »destytucye«, jak je współcześni nazywali, nie był to żaden przypadkowy wynik stosunków, lecz system. I z pewnością nie wyszło postanowienie to od króla, zbyt młodego jeszcze do takich rozporządzeń, lecz od osób w jego otoczeniu decydujących, a przede wszystkim od biskupa Oleśnickiego i Sędziwoja, własnego ojca tego Stanisława pozbawionego dotychczasowej swej funkcyi, by to co przyszłość przyniesie, zabezpieczyć od niepożądanych a możliwych zawikłań.

Nie mamy zatem żadnych koniecznych powodów upatrywania i w autorze Memoryału z roku 1464 czło-

¹⁾ Długosz. Histor. IV 626.

Wszystkie posiadzenia, nielotkni
... doktryn antypapieskie
... które w szerokich już wtedy sferach
... ducha wieku, to poku
... przez sam już urok nowości. Lecz gdyby
... w rzeczy miały całkiem przeciwnie, gdyby
... student erfurecki w rzeczach wiary i wy
... murem przy dawnych tradycjach: to
... jako człowiek świadom toku spraw
... od samego początku wojny króla Kazi
... jako umysł oceniający postępowan
... z Polską niezawisłe od różnico
... nie mógł mieć dla papieża tamto
... usposobienia, jak któremu w tem swem
... wymowny wyraz. Dziwną bo oni zaiste
... dwunastolecie odgrywali rolę! Występo
... na charakterze nibyto pośredników i orędowni
... w rzeczy służyli tylko za narzędzie
... wrogów tamtoczesnych kraju na
... Zakon. Dość tu powiedzieć,
... (1455-58) w pierwszym zaraz dniu po
... zagroził Prusom klątwą za to, że się
... swemu prawowitemu buntują, a zwierr
... polskiego poddają. W parę miesięcy
... on tę groźbę i ekskomunikował całą
... kraju za tę rzekomą zbrodnię. Żeby
... za to, że odbierają tę swą prawo
... przywłaszczytelom: do tego się wpra
... ten papież. Brakło odwagi dodać
... roku i ten drugi, choć logicznie i ko
... wynikał. Ale tamten wyrok swój pod
... czynionych przeciwko nie
... Kaliksta nastąpił Pius II.
... Pico
... mini, o którym z lat już
... nadto dobrze wiadano w Polsce,
... narodowi naszemu, a wylany
... protekę z nicości wy

— 200 —

rósł, nie cofnie się przed niczem, co z tej strony będzie od niego żądane. Nie zawiódł też tych oczekiwań. Cały czas rządów tego papieża (1458—64), było to jedno pascmo wszelkich możliwych knowań i praktyk na szkodę naszą a ratunek strony przeciwnej. Nie było tu zaiste potrzeby być Ostrorogiem, wystarczało być Długoszem, ażeby widzieć i właściwem imieniem nazwać całą niegodność tego tak ubliżającego świętości Stolicy apostolskiej postępowania ¹⁾.

W r. 1464 zakończyły się rządy papieskie Piccolominiego. Władza przeszła w inne ręce. Paweł II w owej chwili, kiedy Ostroróg rzucał na papier te swoje cierpkie dla kuryi rzymskiej wyrazy, nie był tu jeszcze znany z ducha, w jakim pokieruje nawę Piotrową. Nie do niego też ściągać się miało, co w Memoryale zdaje się więcej pochodzić od jakiego zamaskowanego husyty, niż od katolika. Ściągało się bezpośrednio do poprzedników nowo obranego papieża, których kłątwa, tytułarnie niby tylko na Prusy rzucona, ale pośrednio dotykająca i Polski, przez te wszystkie długie lata ciągle jeszcze trwała w swej mocy. Przerząć nie przerząła ona już wtedy nikogo, bo się do tego przyzwyczajono, ale zdjętą nie była i bądź jak bądź, stawiała całą sprawę naszą w fałszywem położeniu.

Przechodzę teraz do innej materji, o ile wiedzieć mogę przez nikogo dotąd nie omówionej: do wyjaśnienia prawdopodobnej przyczyny, dlaczego żywot naszego statysty rozpada na dwie tak mało do siebie podobne części. Zauważyli to już i drudzy, że od czasu

¹⁾ Obacz np. opis przyjęcia poselstwa polskiego, przybyłego do tego papieża z obedyencyą w r. 1459 (Hist. V 299). Albo wszystkie owe sceny i prawdziwe szkandaly, które w roku 1463 legat Piusa II arcybiskup kreteński Hieronim, do Prus, a potem do Polski przybyły, przez ten prawie rok cały w obydwóch tych krajach wyprawiał. Hist. V 369—371.

owego poselstwa do Rzymu w roku 1466 >ginie imię Ostroroga z księgi Długosza jak gwiazda z widnokregu. W sprawach publicznych nie tylko pierwszorzędnego, ale przez lata całe nieraz żadnego nawet on odtąd nie brał udziału. Człowiek w tak młodym już wieku do senatu przybrany, który zamierzał już na samym wstępie w ten zawód spowodować przewrót organizmu państwa swem pismem — przesiaduje w drugiej połowie życia przeważnie w domu. Tak nieskończenie długo poprzestaje — pomimo stopni swoich uniwersyteckich i pozycyi społecznej i fortuny magnackiej — na godnościach... senatorskich wprawdzie, lecz jak słusznie się wyrażono, szary koniec: w Radzie królewskiej tworzących. Posunięty w dziesięć dopiero lat później (1474) z międzyrzeckiej na kasztelanię poznańską, i na niej znowu osiada, rzeczywiście >jak okręt na mieliznie. Słowem cały dalszy wizerunek życia tego męża odtąd jest taki, że własny jego już w trzeciej generacyi potomek, ów wnuk jego Jakób Ostroróg, nie później po nim jak w sześćdziesiąt lat zmarły, stawia mu dobrze przed tym zgonem swoim pomnik w ostroroskim kościele z tem najgłębszem przekonaniem, wyrażonem w napisie, iż ten dziad jego z kasztelanii międzyrzeckiej już wyżej nie postąpił i zaraz po odbytem w r. 1466/7 do papieża poselstwie zszedł z świata („*re feliciter gesta polonoque nomine et gloria aucta, domi obiit*“¹⁾). — To powiedzenie przeszło potem we wszystkie dalsze o Janie wzmianki. Leon Wegner²⁾ dopiero był pierwszy, który

¹⁾ Ten nagrobek Jana Ostroroga i czterech innych członków tejże rodziny zachował nam (bo później zniszczone te pomniki zostały) Starowolski w swym zbiorze (*Monumenta Sarmatarum*), a za nim powtórzył je i Józef Lukaszewicz w swem dziele o kościołach w diecezyi poznańskiej (tom II str. 409 i nast.). -- To *re feliciter gesta* itd. było oczywiście pustą przechwalką.

²⁾ Wegnera rozprawa o J. Ostrorogu była publikowana w r. 1860 w *Rocznikach Tow. Przyjaciół nauk pozn.*

wykazał, że ten senator żył dłużej, że wprawdzie leniwie i późno, ale przecież ostatecznie dostępował i wyższych jeszcze niż tamta kasztelania dostojęństw. Przedłużył mu tedy życie o dalsze 34 lata, karierę polityczną o parę wyższych stopni, a i domowe pożycie o drugie jeszcze małżeństwo. Przed r. 1860 nie tylko nie było to nikomu wiadome, ale nawet przypuszczano zrazu i wtedy, że ten biograf różnych ludzi tegosamego imienia z sobą pomieszał i żywoty ich złączył w jeden.

Mówi się często i bardzo słusznie, że „*post hoc*“, to niekoniecznie *tosamo*, co „*propter hoc*“. Co innego chronologia, a co innego logika. W naszym wypadku miała się rzecz jednak przeciwnie. Poselska funkcyja Ostroroga w r. 1466 do Rzymu, jak poprzedziła, tak też i była niewątpliwie najgłówniej owym szkopulem, o który się rozbila dalsza publiczna przewaga tego magnata.

Jak się wyżej już powiedziało, zaraz po ukończeniu względnie szczęśliwem wojny o Prusy i zawarciu toruńskiego traktatu z W. Mistrzem Zakonu, wyprawione zostało do Papieża Pawła II uroczyste poselstwo polskie. Stanęli na czele tej ambasady: przyszyły, już przez króla dezygnowany, lecz jeszcze nie konsekrowany biskup chełmiński Wincenty Kielbasa i nasz doktor praw Jan Ostroróg. Wybór pierwszego z tych mężów mógł być przez to podyktowany, że dyecezya chełmińska leżała właśnie w kraju teraz odzyskanym dla Polski. Chełmiński biskup był najwłaściwszym rzecznikiem mieszkańców tej ziemi wobec apostolskiej stolicy. Drugi — może przeto został do zadania tego przeniesiony nad innych, że skoro w swym Memoryale tak świetnie sformułował prawidłowe stanowisko króla polskiego do kuryi rzymskiej, to niechżeby i czynem pokazał, co potrafi — niech i w praktyce tam przeprowadzi ten program swój. Zresztą zwykle się tak działo, że towarzyszem dygnitarza duchownego w takich okazjach bywał który z świeckich

panów. Uczeńszego i bieglejszego w dyplomacyi nad Jana nie widział król nikogo w swem świeckiem otoczeniu. — Żądania, z jakimi ich wysyłano, były skomplikowane. Złożenie obedyencyi i gratulacyi oficjalnej Pawłowi, o dwa lata spóźnione — żeby łaskawie mimo tego przezeń była przyjęte: ta sprawa najłatwiejszą była do załatwienia. Ale chodziło i o rzeczy drażliwe: o zatwierdzenie toruńskiego między Polską a Krzyżakami pokoju; o zdjęcie cenzur duchownych, które od lat już 12 na całej ludności ziem pruskich ciągle dotąd ciążyły, na którąto absolucyę zgadzał się już i sam Zakon; o wytłómaczenie papieżowi, jak niemożliwemi są dla Polski jego żądania, by król Kazimierz o husytyzm z Podjebradem królem czeskim wojnę poczynął; wreszcie o przetworzenie biskupstwa chełmińskiego na świeckie, gnieźnieńskiej metropolii podległe. Dotąd bowiem to biskupstwo było zakonne, krzyżackie i niezawisłe.

Wyjazd tych posłów z kraju zaszedł pod koniec już roku, najwcześniej w listopadzie (1466). Bawili w Rzymie jeszcze przez wiosnę następnego. Widać z tego, jak rokowania zakulisowe postępowały upornie. Publiczna uroczysta audyencya poświęcona była samemu tylko aktowi obedyencyi w imieniu króla polskiego i na tej przemawiali do ojca św. obydwaj posłowie nasi.

Jeden z głosów tych poselskich znany był z dawna. Piękne, celowi odpowiednie, z prawdziwym taktem ułożone to przemówienie publikował już Łaski w swoim Statucie (nie dodając, który z posłów je miał), a stąd weszło ono i w *Volumina Legum* (T. I fol. 222). Do niedawna powszechnie rozumiano, że to właśnie była mowa naszego Ostroroga. Pierwszym, który temu zaprzeczył, choć nie miał jeszcze pozytywnego na to dowodu, a tylko się opierał na sprzeczności, zachodzącej między duchem tej mowy a znanymi dążnościami mnie-

manego jej autora, był Bobrzyński ¹⁾. Ten domysł, na razie *per omnia fortia* zbijany przez prof. Caro, świetnie został stwierdzony, kiedy w niewiele lat potem prof. Pawińskiemu udało się odszukać w Petersburgu tekst mowy całkiem innej, do papieża wtedy mianej, a to właśnie przez naszego kasztelana międzyrzeckiego. Od tej chwili mamy tedy wszelką już pewność, że tamta mowa i zawarte w niej wyrzeczenie obedyencyi synowskiej w imieniu króla polskiego, było wygłoszone przez biskupa Wincentego; głos zaś drugiego posła był tylko domówieniem.

Odszukany przez Pawińskiego tekst tego domówienia w rękopisie współczesnym, ma napis *Peroratio domini Ostrorog coram domino Apostolico*. Jest drukiem ogłoszony o ile mi wiadomo raz tylko, właśnie w monografii przerzeczonego profesora o Janie Ostrorogu wydanej r. 1884, a to w drugiej połowie tej książki między uzupełniającymi dodatkami, zaraz po *Memoryale*.

Pan Pawiński poprzestał na ogólnem ocenieniu tej mowy — jako utworu piśmienniczego. Niedostatków jej nie dostrzega. Podnosi zalety, mianowicie tę właściwość że charakteryzuje ona wiernie osobistość autora, odbija ducha wieku, tehnie zapalem oratorskim, polem fantazyi i silnem uczuciem patryotycznym... Tych przymiotów i ja nie będę jej odmawiał. Rozumiem jednak, że należałoby sąd o niej wydać jako o akcie oficjalnym, jako o głosie poselskim; zapytać, czy się nadawał do chwili i do miejsca, do misyi dyplomatycznej, w jakiej ci mężowie z Polski przemawiali w owym dniu do głowy Kościoła. Pod tym względem zdaje mi się, że trudnoby było o jaskrawszy przykład nietaktu, niezdolności absolutnej do takiego zadania! — Całe to

¹⁾ Obacz jego przedmowę do *Memoryału Ostroroga* w łacińskim oryginale wydanego w T. V „*Starodawnych prawa polskiego pomników*” (1878).

przemówienie jest krótkie (zapełnia nie więcej, jak trzy stronicie średnio nabitego druku). Ileż jednak mieści w sobie niepotrzebnych ekspektoracy! — Pierwsza jedna trzecia całości tej — jest wstępem. Mówca zaczyna tu od wyrażenia, z jaką treścią się odzywa w tak świetnym zgromadzeniu. Bombastycznym wprawdzie tonem podnosi majestat przedstawiciela Kościoła i zastępcy Chrystusowego, niedościgłość stanowiska kolegium kardynalskiego, urok całej tej mnogiej rzeszy najuczestniejszych mężów, którzy słuchać go mają: ostatecznie jednak, pomimo rozbujającego stylu, oddaje w tej części mowy każdemu, co się jemu należy, i nie chybia punktu wyjścia, od którego należało głos podobny rozpocząć. Lecz zaraz potem wpada w swój tekst. »Jakkolwiek nieraz, powiada, widywałem mnogie tysiące uzbrojonych wrogów, których szyki groziły śmiercią, a wszelako szczepek ich oręża i huk bębnow nie przerażały mnie tyle, co to Wasze milczenie: to przecie duchu mój wystąpił i niczego się nie bój! Pamiętaj, że cię Polska wydała, gdzie Byk, ta gwiazda promienna, śmiałych mężów płodzi, a Aldeboran i Oryks umysły podżega«. Jestem syn strefy, gdzie się dotąd raczej wojownicy niżeli oratorowie rodzili. Lecz przemawiam do papieża, w którym nic innego jak świętość i łagodność. A więc powiem, jak wielkiego monarchy jak wielkimi wysłannikami (*quam magni principis quanti oratores*) jesteśmy; dlaczegośmy przez tyle gór, przez tyle stromych dróg aż tu przyszli; i czego tam na północy, o Ojczyźnie, narody oczekują od Ciebie. — Od tego miejsca przystępuje do rzeczy głównej i zamieszcza w niej aż do końca niestety same do rzeczy nie należne, do ust jego jako Polaka nie przystające przechwałki. Samochwalstwo zawsze razi, a cóż dopiero, jeżeli w takiej formie. — Podnosi rozległość tego królestwa, żyzność ziemi, miodem i mlekiem płynącej. Państwo to nigdy nie doznało cudzego

panowania, czego żaden drugi naród nie powie o sobie. Asyryjczycy, Medowie, Persy itd. (wymienia wszystkie starożytne ludy aż do Kartagińczyków) podbili otaczające je ludy, tych zaś potem ovladnęli Rzymianie, a Rzymian sam Rzym sholdował. Ale Polskę żeby kto kiedy ujarzmił — czy który z wodzów, czy który naród potrafi się tem pochwalić? Królowa Wanda pokonała samem tylko ukazaniem się »imperatora Germanów«. Wolła się zabić przed orężnem starciem, niż z siłami się spróbować przez kobietę dowodzonemi! Polakami się nazywamy z powodu częstych w polu zwycięstw, gdyż takięto ma znaczenie u nas pole. Aleksandra W., którego Wschód cały nie był w stanie objąć, Polska upokorzyła, z granic swoich go wypędzając. Juliusz Cezar w trzech bitwach na głowę pobity, zawarł z nią sojusz, na znak czego dane zostało pasterzom jej (?) miejsce, miasto Julia, które teraz jest Litwy stolicą. Przemileczał to Liwiusz, Justyn, Florus, albowiem to byli Rzymianie. Jam polskie przewartował annały, a niejedno z tego nawet i listy Arystotelesowe stwierdzają¹⁾. A cóż dopiero o Scytach: jak oni byli

¹⁾ Wolno było Kadłubkowi w XII wieku takie niedorzeczności do kroniki zaciągać. Uchodzi i Baszkowi, że je w końcu XIII za tamtym na jego wiarę powtarza. Ale w XV stuleciu, jeżeli boloński doktor rzymskiego i kanonicznego prawa, przedstawiciel dyplomacyi i intelligencyi polskiej, takie duby z taką fiducyą przed takim auditoryum wygłasza — to już rzeczy nielatwe do zrozumienia. Długosz Ostrorogowi współczesny, choć erudyta domorosły, a historyk tak skłonny do trzymania się podań, jakie zastał w tradycyi, przecieź bajek tych nie powtarzał w swem dziele. A co taki n. p. Grzegorz z Sanoka, także człowiek tej generacyi, o początkach narodu i o Kadłubku sądził, wiemy z opowiadania Kallimacha. Obacz żywot tego arcybiskupa lwowskiego w »Mon. Pol.« T. VI str. 193. Światle te zdania wygłaszał Grzegorz, kiedy na Węgrzech u biskupa waradyńskiego Jana z Gary przebywał — w latach między 1447 a 49, a więc w czasie o dwa decenia wyprzedzającym te ekspektoracye poselskie.

znakomitymi, to wiadomo wszystkim. Daryusa perskiego zmusili do ucieczki, Cyrusa porazili na głowę, Zofiryona macedońskiego znieśli, o Rzymianach (gdy ci nie śmieli zadrzeć z nimi) słyszeli ledwie z daleka. Otóż i tych powaliła za naszych czasów Polska na ziemię, cesarza ich trzyma w zawisłości, a Scytyę w posłuszeństwie. Nie mniejszą sławę zjednała sobie Polska i pod względem religii. Otoczona dokoła odszczepieńcami, nigdy się od tej stolicy apostolskiej nie oddaliła. A jakiejże sławy godny jest rodzic dzisiejszego króla Władysław, który Litwę, Żmudź, Ruś prawdziwej wierzę pozyskał. Od niejednego apostoła zdaniem mojem on większy, a co najmniej równy. Gdybyśmy nie byli wyprzedzeni, jemuby się zamiast owego z apostołów, który się zgubił, należało dwunaste w tem gronie miejsce! — Wspomina dalej nasz mowca o Władysławie III (Warneńczyku), który poległ za wiarę jako męczennik, i o terażniejszym królu, a tamtego bracie, Kazimierzu. Coby w tym wprzód należało sławić, powiada, prawdziwie sam nie wiem: taka potęga, taka wielkoduszność, taka skromność tego męża! To jednak ze wszystkiego największe, że choć z każdej prawie strony otoczony, tu przez Turków, tam przez Tatarów, owdzie przez Besarabów, tam znowu przez Lacedemończyków — nie dozwala on królestw swoich, owszem całego chrześcijaństwa zaczepiać, nad wszelkiego monarchę wyższy:...

Trzy dalsze ostatnie zdania tej mowy trudno mi streścić, doszły nas bowiem w tej kopii w stylizacji nadto zepsutej, tak iż się domyślić nawet nie można, co chciał Ostroróg powiedzieć. Zapowiedzianego we wstępie tematu (czego tam na północy o Ojeze święty narody oczekują od Ciebie), nie rozwija i nie tyka tu wcale ¹⁾). Poprzestał na owym jednym „*quam magni*

¹⁾ Co tem dziwniejsze, że w memoryale *De reipublicae ordinatione* ten punkt właśnie admonicyi wskazał jako najważniejszej-

regis quanti oratores sumus“. Wogóle jednak całe to zakończenie takie sprawia wrażenie, jak gdyby mówca — może widząc że się słowa jego nie podobają — raptem przerwał i uciał pęd dalszych swoich wywnętrzeń. Zamyka bowiem rzecz ostatecznie taką uwagą, że gdyby dzieje, których tylko zarys (*epitome*) naznaczył, pełniej chciał opowiadać, to »prędzejby mi dni do tego, niż słów zabrakło; lecz ażebym się przeobfitą i niezwyyczajną przemową nie uprzykrzył, kończę. Amen«¹⁾.

Jakie wrażenie ta perora zrobiła na papieżu, na kardynałach, na samym nawet biskupie chełmińskim, który jej słuchać musiał nie bez przykrego uczucia, że i na niego pewna za nią odpowiedzialność spada — tego nie wiemy. Lecz to z natury rzeczy wynika, że owe wzmianki o zwycięstwie nad Aleksandrem W., o trzech bitwach z Juliuszem Cezarem stoczonych, o Jagielle nad apostołów wyższym i t. d. a wreszcie cała treść i nastrój tej bujnej oracyi nie mogły nie zrodzić myśli w słuchaczach, że to jednak rzecz jest dziwna, iż król polski w swojej Radzie nie posiada ludzi zdolniejszych, że przez takich pośredników sprawy swoje ze stolicą apostolską załatwia. Samo to przemówienie zresztą sprawiło może chwilowy tylko niesmak. Niemile wrażenie mogło się w dniach dalszych, przy układach za kulisami z kuryą rzymską prowadzonych, powoli zatrzeć. Nie jest jednak wykluczoną możliwością, bardzo prawdopodobną mem zdaniem, że Ostroróg biskupowi Wincentemu i tam tym swym narodowym szowinizmem sprawę tylko utrudniał. Wynik bowiem

szy przy składaniu obedyencyi papieżom: »Visere novum papam et monere hortarique, ut ecclesiam recte et sancte gubernet.

¹⁾ »At ne fecunda et insolenti oratione taedio sim, facio finem. Amen«. Przetłómaczyłem *insolenti* przez »niezwyčajną«. Mogło to jednak znaczyć i »dumną«, »wyniosłą«, jeżeli mówca bodaj pod koniec zmiarkował, że był to głos za wysoki o parę tonów.

tych rokowań, choć się przeciągnęły aż do maja 1467, był tak dobrze jak żaden. Biskup chełmiński wprawdzie (w kwietniu) dostąpił w Rzymie zatwierdzenia papieskiego i sakry. Lecz inne życzenia żadnego nie osiągnęły skutku ¹⁾.

Nie przypuszczam, żeby to niepowodzenie w poselstwie na sam karb tylko nietaktu Ostroroga było składane i żeby było ściągnięło na niego wręcz niechęć królewską. Lecz nie obeszło się pewnie bez jakiej uszczypliwej, z góry lub z boku, bezpośrednio lub pośrednio usłyszanej uwagi. I mogło to nato wystarczyć, że temu doktorowi bolońskiemu już odtąd żadnych spraw dyplomatycznych do przeprowadzenia nie powierzano. Dowiódł bowiem dostatecznie, że ten rodzaj uzdolnienia nie należał do jego przymiotów.

Pewne także oziębienie między dworem królewskim a tym dumnym wielkopolskim magnatem mogło się wytworzyć i przez ów nieszczęśliwy wypadek, że w tym samym właśnie czasie, na parę tygodni przed jego powrotem z Rzymu, jego szwagier, Włodek z Domaborza, kasztelan i starosta nakielski, za swywołę i rozboję, których się od lat już kilku dopuszczał, oddał głowę pod miecz katowski. Stało się to d. 14 maja (1467). Zajście samo nie było wprawdzie tego rodzaju, żeby się niezasażoną karą było mogło zdawać, ani też nie mieli Ostrorogowie szczególnego powodu tak bardzo boleć nad losem tego niespokojnego człowieka. Łupiąc bowiem i niepokojąc wokół Nakła, Domaborza

¹⁾ Kiedy król Kazimierz, pisze Długosz w *Historii* (V 483), przebywał w Niepołomicach (w początku czerwca), powrócili posłowie wyprawieni do Rzymu Wincenty Kielbasa i Jan Ostroróg, nulla re, pro qua fatigabantur, votive disposita. Albowiem i zatwierdzenie pokoju zawartego z Zakonem i zdjęcie cenzur kościelnych z szlachty i mieszczan w Prusiech zostało odroczone przez papieża do dalszego czasu.

i Człochowa majątki tak kościelne jak szlachty, nakładając na całe okolice kontrybucye w bydło, ziarnie albo pieniądzech, nie czynił on tu żadnego wyjątku i względem dóbr krewnych swoich, mianowicie też Ostrorogów. O szkodach wyrządzonych szczególnie Stanisławowi Ostrorogowi, ojcu naszego Jana, nadmieniam w kilku miejscach pewne pismo urzędowe króla Kazimierza, jeszcze w r. 1460 wydane ¹⁾. Zważyć także i na to należy, że w skazaniu Domaborskiego na śmierć król Kazimierz nie wziął żadnego udziału. Stało się to „*praeter sententiam regis*“, bez dekretu królewskiego. Wyrok wydał i wykonał na własną rękę Piotr Szamotulski, kasztelan i starosta poznański, własny wuj żony Włodka, księżniczki raciborskiej, córki matki z domu Szamotulskiej, tego Piotra siostry stryjecznej. Pochwycony ten niespokojnik gdzieś pod Człochowem dnia 13 maja, został odprowadzony do Kalisza i tu go już

¹⁾ Codex epistolaris, tomu I część 2, Nr. 177. Król w tem piśmie przebacza wszystko Włódkowi, co wtedy nabroil, zapewnia mu bezkarność i prawie staje w jego obronie. Sprawiedliwość też każe przyznać, że Włódko Domaborski nie byłby wyszedł na takiego warchoła, gdyby sam król nie był dostarczył warunków, które go pełniły na tę pochyłość. W ciągu bowiem wojny pruskiej, jeszcze w r. 1456 czy 1455, oddał mu w tenutę Człochów, później i Frydland, z obowiązkiem trzymania w tych grodach kilkuset ludzi zaciężnych dla obrony tych okolic, za co miał Włodek otrzymywać pewne umówione kwoty w terminach stałych ze skarbu państwa. Tych rat mu jednak dla braku funduszu w kasie królewskiej regularnie nie wypłacano. A w takim razie wymuszał je Włodek, skąd się dało, boć żywić tych ludzi musiał. Zasmakowawszy w tej swywoli, broił potem w tensam sposób, z potrzeby i bez potrzeby, przez cały ciąg owej wojny. A w końcu, gdy się niewypłacone należności nagromadziły do sumy znaczniejszej, połączył się po już zawartym pokoju z kilku setkami równie jak on niezaspokojonych w swym żółdzie najemników zbrojnych, tak królewskich jak i krzyżackich, i zaczął się bez ogródki do represaliów przeciw własnemu krajowi i rządowi sposobieć. To go zgubiło. Obacz Codex epistol., I t. N. 177—179 i N. 200. Kod. Rzyszcz. II Nr. 600 i 601. Dług. Hist. V 322, 414, 479 i 515.





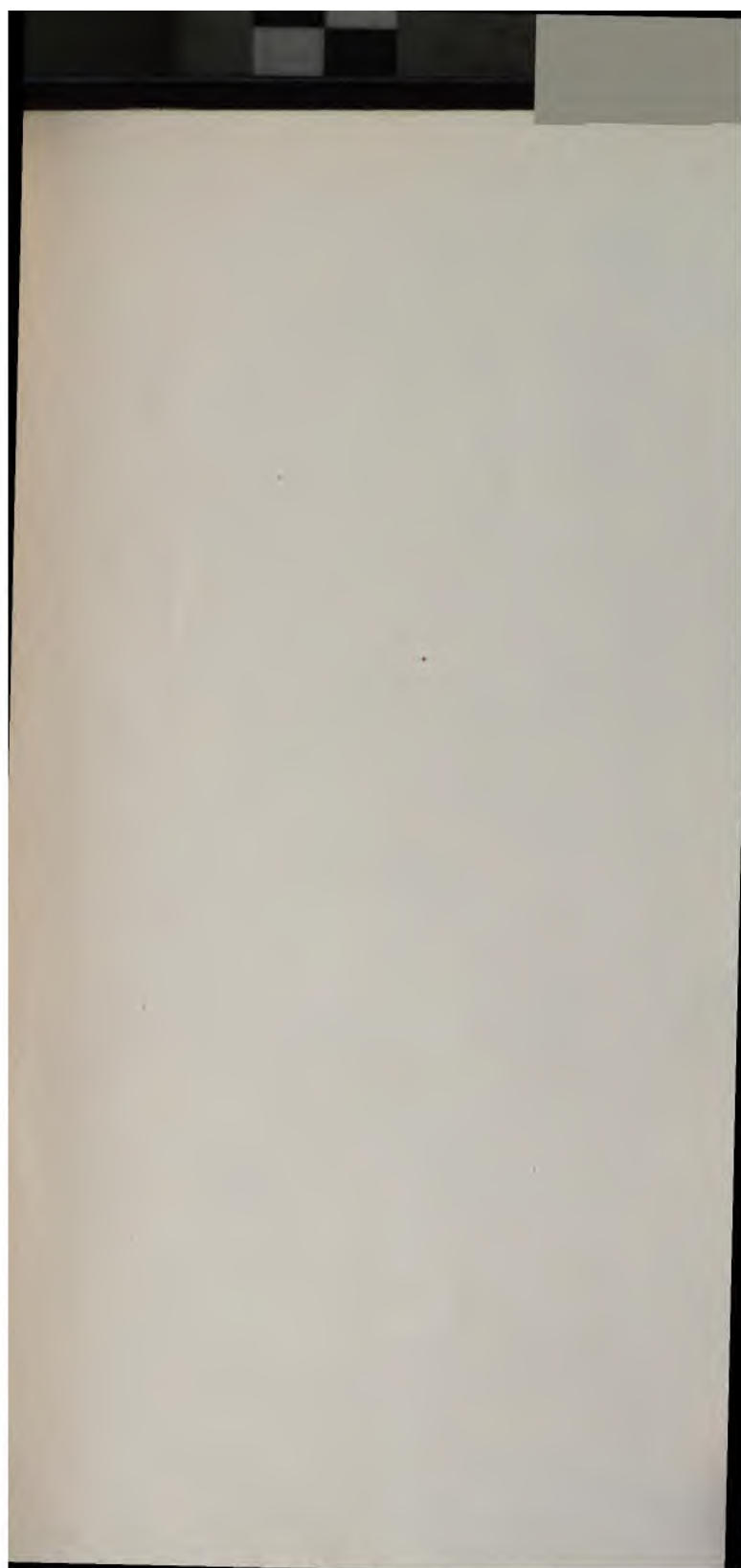
SPIS RZECZY.

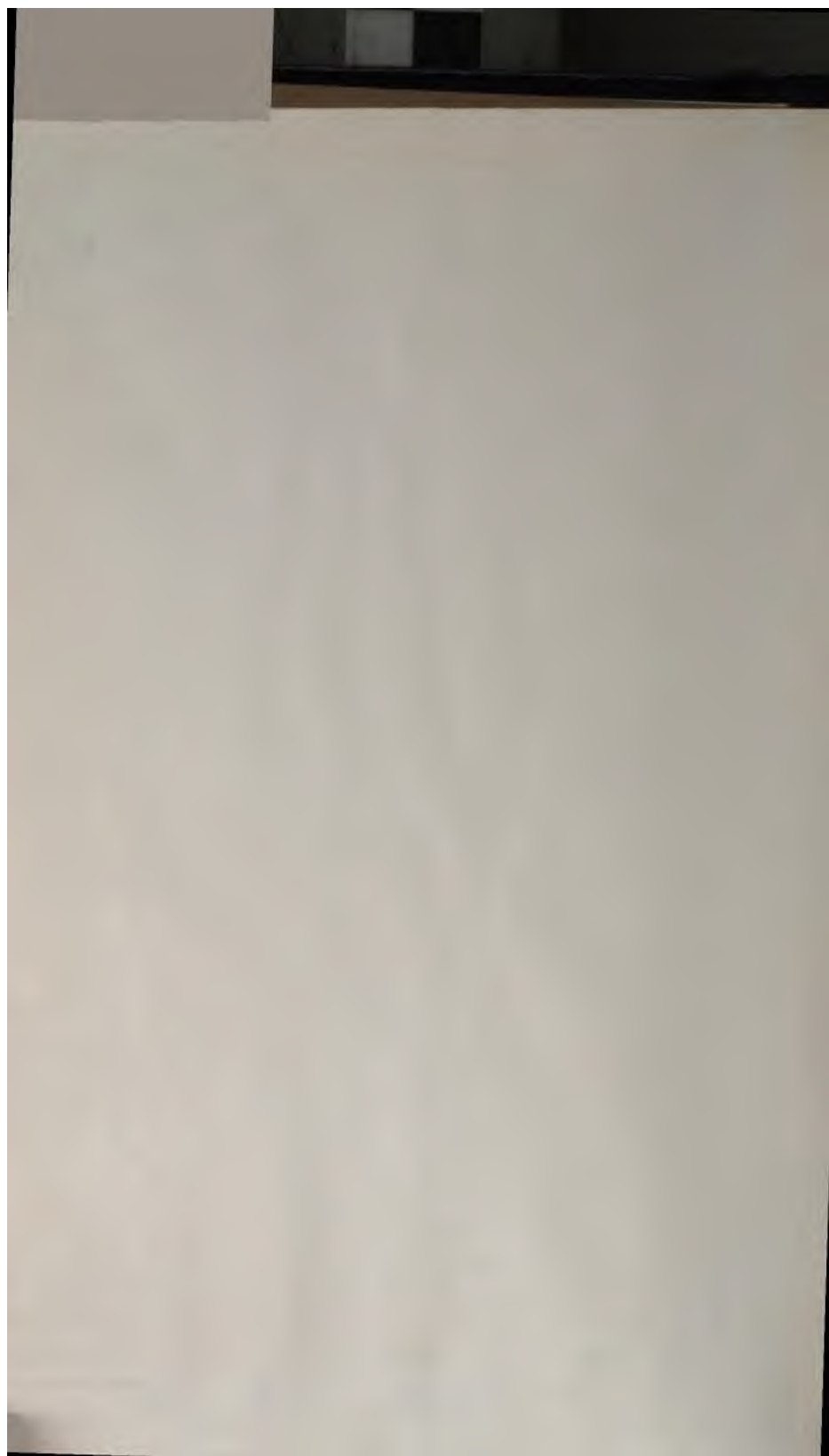
	Str.
Grzywny karne w dawnej Polsce i pierwotna nasza grzywna mennicza	1
Stydium nad bullą Inocentego II z roku 1136 wydaną dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego	63
Kronika Baszka czyli t. zw. Kronika wielkopolska	123
Karta z dziejów akademii krakowskiej	159
Jan Ostroróg i jego Memoryał O urządzeniu rzeczypospolitej	213




GENERAL BOOKBINDING CO.
75
QUALITY CONTROL MARK

100





DK 4200 .M3 C.1
 Z przeszłości dziejowej :
 Stanford University Libraries



3 6105 036 560 055

PK
 4200
 M3

DATE DUE			

Stanford University Libraries
 Stanford, Ca.
 94305

